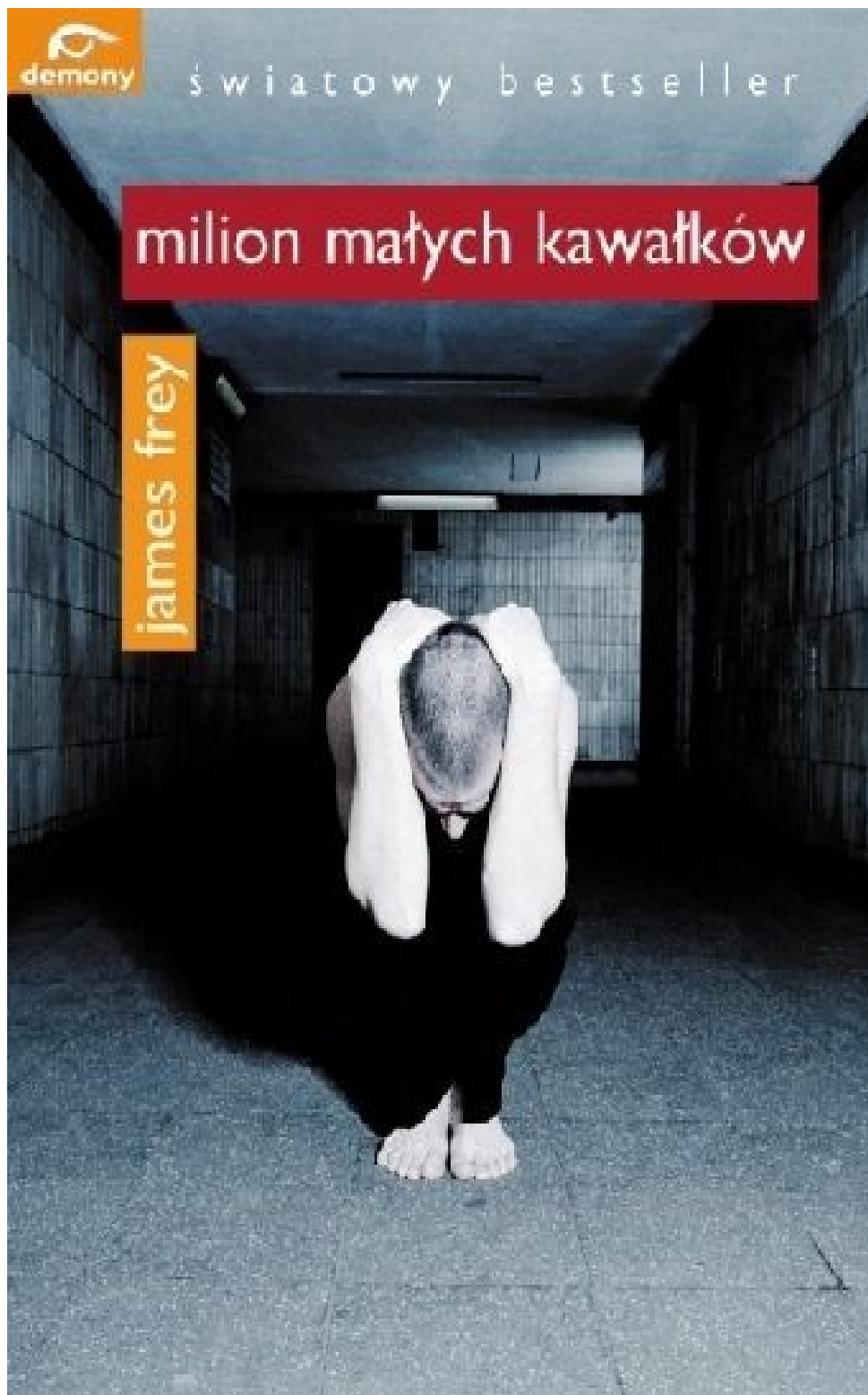


demony

światowy bestseller

milion małych kawałków

james frey



James Frey

Milion małych kawałków

A Million Little Pieces

Przełożył Patryk Gołębiowski

OD AUTORA

Milion małych kawałków wiąże się ze wspomnieniami z mojego pobytu w ośrodku leczenia alkoholizmu i narkomanii. Tak jak zostało to ujawnione przez dwóch dziennikarzy ze strony internetowej, i później potwierdzone przeze mnie, w trakcie pisania książki ubarwiłem wiele szczegółów swoich doświadczeń i zmieniłem inne, aby, jak mi się wydawało, zrealizować nadrzędne przesłanie książki. Najmocniej przepraszam tych czytelników, którzy poczuli się rozczarowani moimi poczynaniami.

Po raz pierwszy usiadłem do pisania tej książki wiosną 1997 roku. Napisałem wtedy to, co obecnie stanowi jej pierwszych czterdzieści stron. Przestałem pisać, ponieważ nie czułem się gotów, aby kontynuować, nie czułem się gotów, żeby wyrazić część traumatycznych przeżyć, których doświadczyłem. Zacząłem ponownie jesienią 2000 roku. Pracowałem wtedy w branży filmowej i byłem bardzo niezadowolony z tego, co robiłem. Chciałem pisać książki, pisałem scenariusze. Odłożyłem tyle, żeby móc poświęcić osiemnaście miesięcy na napisanie tej książki.

Początkowo nie traktowałem tego, co pisałem, jako literaturę faktu ani beletrystykę, pamiętnik ani autobiografię. Chciałem wykorzystać swoje

doświadczenia, żeby opowiedzieć historię o narkomanii i alkoholizmie, o powrocie do zdrowia, o rodzinie i przyjaciółach, wierze i miłości, o odkupieniu i nadziei. Chciałem napisać książkę, która w najlepszym wypadku odmieni czyjeś życie, pomoże ludziom w trudnej sytuacji, w jakiś sposób ich zainspiruje. Chciałem napisać książkę, która będzie relacją z walki, jaka rozgrywa się w umysłach i ciałach narkomanów i alkoholików, i będzie opowieścią o tym, dlaczego tak trudno tę walkę wygrać. Chciałem napisać książkę, która pomoże przyjaciołom i rodzinom narkomanów i alkoholików tę walkę zrozumieć.

W trakcie pracy nad książką pisałem głównie z pamięci. Korzystałem też z materiałów pomocniczych, takich jak dokumenty medyczne, notatki terapeutów i dzienniki, kiedy miałem do nich dostęp i kiedy ich treść była istotna. Chciałem, żeby fabuła książki wznosiła się i opadała, żeby miała strukturę dramatyczną, żeby miała napięcie charakterystyczne dla wszystkich wielkich opowieści. W całej książce zmieniałem wydarzenia i szczegóły. Niektóre z nich dotyczą mojego udziału w wypadku na przejeździe kolejowym, w którym zginęła moja koleżanka ze szkoły. Choć w rzeczywistości nie byłem bezpośrednio uwikłany w ten wypadek, wywarł on na mnie ogromne wrażenie. Inne zmiany dotyczyły czasu spędzonego w areszcie,

który w książce wynosi trzy miesiące, podczas gdy faktycznie było to tylko kilka godzin, i niektórych wydarzeń natury kryminalnej, w tym aresztowania w Ohio, którego przebieg został podkoloryzowany. Przedmiotem dyskusji i debaty była też scena opisująca przebieg leczenia kanałowego, które odbywa się bez znieczulenia. Pisałem ten fragment z pamięci i mam dokumenty medyczne, które zdają się potwierdzać moją wersję wydarzeń. Moja relacja została jednak zakwestionowana przez władze ośrodka odwykowego, które utrzymują, że pamięć mogła mnie zawieść.

Oprócz tego imiona i cechy charakterystyczne wszystkich pacjentów i pracowników ośrodka występujących w książce, włączając w to zawody, wiek, miejsce zamieszkania, miejsce i okoliczności śmierci, zostały zmienione w celu ochrony anonimowości osób, z którymi dzieliłem tamten okres swojego życia. Uczyniłem to w duchu poszanowania prawa jednostki do prywatności, do czego byliśmy zachęceni podczas pobytu w ośrodku, jak również po jego opuszczeniu.

Dokonałem także innych zmian w opisie samego siebie, z których większość miała mnie przedstawić jako twardszego i odważniejszego, i agresywniejszego, niż byłem bądź jestem w rzeczywistości.

Ludzie radzą sobie z przeciwnościami na wiele

różnych sposobów, sposobów, które są bardzo osobiste. Wydaje mi się, że jednym z nich jest wykreowanie fałszywego obrazu samych siebie, który pozwala im odnosić sukcesy i podejmować się rzeczy, których inaczej nie odważyliby się spróbować. Moim błędem – i jest to błąd, którego z całego serca żałuję – było opisywanie osoby, którą wykreowałem, żeby dać sobie radę, a nie osoby, która doświadczyła tej historii. Ostatnio sporo dyskutuje się o naturze pamiętników, literatury faktu i beletrystyki. Debata ta nie wydaje się zmierzać ku końcowi. Wierzę i zdaję sobie sprawę, że niektórzy stanowczo się nie zgodzą z tym, iż formuła pamiętnika pozwala pisarzowi opierać się na pamięci, a nie na rygorystycznych dziennikarskich bądź historycznych standardach. Bazuje ona na wrażeniach i uczuciach, na indywidualnych wspomnieniach. Ten pamiętnik stanowi mieszankę faktów z mojego życia i pewnych ubarwień. To prawda subiektywna, przefiltrowana przez umysł wracającego do zdrowia narkomana i alkoholika. To w końcu opowieść, i to opowieść, jakiej nie byłbym w stanie napisać, nie prowadząc takiego życia, jakie prowadziłem. Nigdy nie spodziewałem się, że książka ta może stać się tak popularna, jak się stała, ani że sprzeda się w tylu egzemplarzach, w ilu się sprzedała. To doświadczenie było dla mnie szokiem, nauczyło mnie pokory, niekiedy mnie przerażało. Przez cały ten czas

spotkałem się z tysiącami czytelników i czytałem listy wielu tysięcy innych, których książka ta głęboko poruszyła i których życie odmieniła. Najmocniej przepraszam tych wszystkich czytelników, których rozczarowałem, i mam nadzieję, że te rewelacje nie naruszą ich wiary w nadrzędny przekaz książki – że narkomanię i alkoholizm da się pokonać i że zawsze istnieje droga do odkupienia, jeżeli człowiek jest gotów o nie walczyć. Trzydzieści lat po wyjściu z ośrodka w dalszym ciągu kroczę tą drogą w nadziei, że kiedyś tam w końcu dotrę.

James Frey
Nowy Jork
styczeń 2006

Młodzieniec przyszedł do Starca po radę.
Starcze, rozbiłem coś.
Jak bardzo to rozbiłeś?
Na milion małych kawałków.
Obawiam się, że nie mogę ci pomóc. Dlaczego?
Nic się nie da zrobić.
Dlaczego?
Nie można tego naprawić.
Dlaczego?
Jest za bardzo rozbite. Na milion małych
kawałków.

Budzi mnie warkot silnika samolotu i czuję, jak coś ciepłego cieknie mi po brodzie. Podnoszę dłoń i dotykam twarzy. Nie mam czterech przednich zębów, mam dziurę w policzku, złamany nos i zapuchnięte na amen oczy. Otwieram je i rozglądam się i jestem z tyłu kabiny i nikogo koło mnie nie ma. Patrzę na ubranie i ubranie jest całe w kolorowej mieszance śliny, flegmy, moczu, wymiocin i krwi. Sięgam do przycisku i znajduję go i naciskam i czekam i trzydzieści sekund później pojawia się Stewardesa.

W czym mogę panu pomóc?

Dokąd lecimy?

Nie wie pan?

Nie.

Lecimy do Chicago.

Skąd się tu wziąłem?

Przyprowadził pana Lekarz i dwóch mężczyzn.

Coś mówili?

Rozmawiali z Kapitanem. Mieliśmy pana nie budzić.

Za ile lądujemy?

Mniej więcej za dwadzieścia minut.

Dziękuję.

Chociaż nie podnoszę wzroku, wiem, że się uśmiecha, i jest jej mnie żal. Niepotrzebnie.

Niedługo potem lądujemy. Rozglądam się, szukając rzeczy, ale nic nie mam. Nie mam biletu,

bagażu, ubrań, portfela. Siedzę i czekam i próbuję zrozumieć, co się stało. Nic z tego.

Po wyjściu wszystkich Pasażerów wstaję i zaczynam iść w stronę drzwi. Po przejściu pięciu kroków znowu siadam. Nie utrzymam się na nogach. Zauważam moją przyjaciółkę Stewardesę i podnoszę dłoń.

Wszystko w porządku?

Nie.

Co się stało?

Nie mogę chodzić.

Jeżeli dojdzie pan do drzwi, to dam panu wózek.

Jak daleko są drzwi?

Niedaleko.

Wstaję. Zataczam się. Znowu siadam. Patrzę w podłogę i robię głęboki wdech.

Nic panu nie będzie.

Podnoszę wzrok, a ona się uśmiecha.

Proszę.

Wyciąga dłoń, a ja ją chwytam. Wstaję i wspieram się i pomaga mi przejść Korytarzem. Docieramy do drzwi.

Zaraz wracam.

Puszczam jej dłoń i siadam na stalowym mostku Rękawa, który łączy Samolot z Wyjściem.

Nigdzie się nie wybieram.

Śmieje się i patrzę, jak odchodzi, i zamykam oczy. Głowa mnie boli, usta mnie bolą, oczy mnie

bolą, dłonie mnie bolą. Bolą mnie różne nienazwane.

Pocieram brzuch. Czuję, jak nadchodzi. Szybkie i silne i palące. Nie da się zatrzymać, można tylko zamknąć oczy i się poddać.

Nadchodzi i wzdrygam się od smrodu i bólu. Nie mogę nic zrobić.

O mój Boże.

Otwieram oczy.

Nic mi nie jest.

Muszę wezwać Lekarza.

Nic mi nie jest. Proszę mnie tylko stąd zabrać.

Może pan wstać?

Tak, mogę wstać.

Wstaję i otrzepuję się i wycieram dłonie o podłogę i siadam na wózku, który dla mnie przyprowadziła. Przechodzi do tyłu i zaczyna mnie pchać.

Ktoś pana odbierze?

Mam nadzieję.

Nie wie pan.

Nie.

A co jeśli nikogo nie będzie?

Nie pierwszy raz, dam sobie radę.

Wychodzimy z Rękawa prosto do Wyjścia. Ani się obejrzę, jak stają przede mną Matka i Ojciec.

Jezu.

Mamo, proszę.

Mój Boże, co się stało?

Mamo, nie chcę o tym rozmawiać.
Jezu Chryste, Jimmy. Co się do Diabła stało?
Nachyla się i próbuje mnie objąć. Odpycham ją.
Mamo, po prostu chodźmy stąd.
Tata obchodzi wózek i staje za nim. Szukam
Stewardesy, ale zniknęła. Wielkie dzięki.

Dobrze się czujesz, James?

Patrzę przed siebie.

Nie, Tato, nie czuję się dobrze.

Zaczyna pchać wózek.

Masz jakiś bagaż?

Matka w dalszym ciągu płacze.

Nie.

Ludzie się gapią.

Chcesz, żeby coś ci podać?

Chcę, żebyś mnie stąd zabrał, Tato. Po prostu
mnie stąd kurwa zabierz.

Dojeżdżamy do samochodu. Wsiadam do tyłu i
zdejmuję koszulę i kładę się. Tata prowadzi, Mama
płacze, zasypiam.

Budzę się jakieś cztery godziny później. Mój
umysł jest jasny, ale wszystko pulsuje. Podnoszę się i
wyglądam przez okno. Zaparkowaliśmy na Stacji
Benzynowej gdzieś w Wisconsin. Na ziemi nie ma
śniegu, ale czuję chłód. Tata otwiera drzwi od strony
Kierowcy i wsiada i zamyka drzwi.

Mam dreszcze.

Nie śpisz.

No.

Jak się czujesz?

Chujowo.

Mama poszła się ogarnąć i zrobić zakupy. Kupić ci coś?

Butelkę wody i parę butelek wina i paczkę papierosów.

Serio?

No.

Niedobrze, James.

Potrzebuję tego.

Nie możesz zaczekać.

Nie.

Matka się zmartwi.

Trudno. Potrzebuję tego.

Otwiera drzwi i idzie na Stację Benzynową. Kładę się z powrotem i patrzę w sufit. Czuję, jak tętno mi przyspiesza, i wyciągam dłoń i próbuję utrzymać ją prosto. Mam nadzieję, że się pospieszą. Dwadzieścia minut później butelek już nie ma. Siadam i zapalam fajkę i wypijam łyk wody. Mama się odwraca.

Lepiej?

Jeżeli chcesz tak to ująć.

Jedziemy do Domku.

Domyśliłem się.

Kiedy dojedziemy, postanowimy, co dalej.

Dobra.

Co o tym myślisz?

Nie chce mi się w tej chwili myśleć.

Kiedyś będziesz musiał.

No to poczekam na kiedyś.

Jedziemy na północ do Domku. Po drodze dowiaduję się, że moi Rodzice, którzy mieszkają w Tokio, są od dwóch tygodni w Stanach w interesach. O czwartej rano zadzwonił do nich mój przyjaciel, który był ze mną w Szpitalu, namierzył ich w hotelu w Michigan. Powiedział, że spadłem na twarz z Drabiny Przeciwpożarowej i że powinni się mną zająć. Nie wiedział, co wziąłem, ale wiedział, że było tego sporo, i wiedział, że nie jest dobrze. W nocy przyjechali do Chicago.

Więc co to było?

Co co było?

Co brałeś?

Nie bardzo wiem.

Jak możesz nie wiedzieć?

Nie pamiętam.

A co pamiętasz?

To i tamto.

Czyli co?

Nie pamiętam.

Jedziemy dalej i po kilku minutach nieznośnej ciszy dojeżdżamy. Wsiadamy z samochodu i wchodzimy do Domu i biorę prysznic, bo muszę. Kiedy wychodzę, na łóżku leży czyste ubranie.

Wkładam je i idę do Pokoju Rodziców. Piją kawę i rozmawiają, ale przestają, kiedy wchodzę.

Cześć.

Mama znowu zaczyna płakać i odwraca wzrok. Tata patrzy na mnie. Czujesz się lepiej?

Nie.

Powinieneś się przespać.

Mam zamiar.

To dobrze.

Patrzę na Mamę. Nie potrafi spojrzeć mi w oczy. Oddycham.

Ja tylko.

Odwracam wzrok.

Ja tylko, wicie.

Odwracam wzrok. Nie potrafię na nich spojrzeć.

Ja chciałem wam tylko podziękować. Ze po mnie wyszliście.

Tata się uśmiecha. Bierze Mamę za rękę i wstają i podchodzą do mnie i obejmują mnie. Ich dotyk nie podoba mi się, więc się odsuwam.

Dobranoc.

Dobranoc, James. Kochamy cię.

Odwracam się i wychodzę z Pokoju i zamykam drzwi i idę do Kuchni. Przeglądam szafki i znajduję nieotwieraną dwulitrową butelkę whisky. Pierwszy łyk wywołuje mdłości, ale potem jest już w porządku. Idę do swojego Pokoju i piję i palę papierosy i myślę o niej. Piję i palę i myślę o niej i w

pewnym momencie ogarnia mnie ciemność i pamięć mnie zawodzi.

Z powrotem w samochodzie z bólem głowy i nieświeżym oddechem. Jedziemy na północny zachód do Minnesoty. Ojciec zadzwonił do paru osób i załatwił mi miejsce w Klinice i nie mam innego wyjścia, więc zgadzam się zostać tam na trochę, i na razie mi to odpowiada. Robi się zimno.

Twarz jest w gorszym stanie i upiornie spuchła. Z trudem mówię, jem, piję, palę. Jeszcze nie spojrzałem w lustro.

Zatrzymujemy się w Minneapolis, żeby spotkać się z moim starszym Bratem. Przeprowadził się tam po rozwodzie i zna drogę do Kliniki. Siada koło mnie z tyłu i trzyma mnie za rękę i to mi pomaga, bo się boję.

Wjeżdżamy na parking i parkujemy i kończę butelkę i wysiadamy i zaczynamy iść w stronę Wejścia do Kliniki. Ja i Brat i Matka i Ojciec. Cała Rodzina. Idziemy do Kliniki. Zatrzymuję się i zatrzymują się ze mną. Przyglądam się Budynkom. Niskie i długie i połączone. Funkcjonalne. Zwyczajne. Niepokojące.

Chcę uciec albo umrzeć albo się rozjechać. Chcę być ślepy i niemy i nie mieć serca. Chcę się wczłochać do dziury i nigdy nie wyjść. Chcę zmieść swoje istnienie z powierzchni ziemi. Z powierzchni jebanej ziemi. Biorę głęboki oddech.

Trzeba iść.

Wchodzimy do małej Poczekalni. Za biurkiem siedzi kobieta i czyta czasopismo o modzie. Podnosi wzrok.

Mogę w czymś pomóc?

Ojciec podchodzi i z nią rozmawia, a Matka i Brat i ja znajdujemy krzesła i na nich siadamy.

Trzęsę się. Dłonie i stopy i usta i tors. Trzęsę się. Z wielu różnych powodów.

Matka i Brat siadają koło mnie i biorą mnie za ręce i trzymają je i czują, co się ze mną dzieje. Patrzymy w podłogę i nic nie mówimy. Czekamy i trzymamy się za ręce i oddychamy i myślimy.

Ojciec kończy rozmawiać z kobietą i odwraca się i staje przed nami. Wygląda na zadowolonego, a kobieta rozmawia przez telefon. Ojciec klęka.

Zaraz zostaniesz przyjęty.

Dobra.

Wszystko będzie w porządku. To dobre miejsce. Najlepsze miejsce. Słyszałem.

Gotów?

Chyba tak.

Wstajemy i idziemy do małego Pokoju, gdzie za biurkiem z komputerem siedzi mężczyzna. Wschodzi nam na spotkanie i staje w drzwiach.

Przepraszam, ale musicie go tu zostawić.

Ojciec przytakuje.

Teraz go przyjmiemy, a potem będziecie mogli

zadzwoń, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Matka się rozkleja.

Jest w dobrym miejscu. Proszę się nie martwić.

Brat odwraca wzrok.

Jest w dobrym miejscu.

Odwracam się i przytulają mnie. Po kolei i mocno. Ściskając i obejmując, okazuję im tyle, ile potrafię. Odwracam się i bez słowa wchodzę do Pokoju, a mężczyzna zamyka drzwi i nie ma ich. Mężczyzna pokazuje mi krzesło i wraca do biurka. Uśmiecha się. Cześć.

Witam.

Jak się masz?

A jak wyglądam?

Nie najlepiej.

Czuję się gorzej.

Masz na imię James. Masz dwadzieścia trzy lata.

Mieszkasz w Karolinie Północnej.

Tak.

Zostaniesz u nas na jakiś czas. W porządku?

Na razie.

Wiesz coś o Ośrodku?

Nie.

Chcesz się dowiedzieć?

Wszystko mi jedno.

Uśmiecha się, patrzy na mnie przez chwilę.

Mówi.

To najstarszy Zamknięty Ośrodek dla Alkoholików i Narkomanów na Świecie. Został założony w 1949 roku w starym domu, który mieścił się tu, gdzie stoją teraz te Budynki, a są tu trzydzieści dwa połączone ze sobą Budynki. Wyleczyliśmy ponad dwadzieścia tysięcy Pacjentów. Mamy najwyższą skuteczność ze wszystkich Ośrodków na Świecie. W każdej chwili na sześciu Oddziałach, trzech męskich i trzech żeńskich, znajduje się od dwustu do dwustu pięćdziesięciu Pacjentów. Uważamy, że Pacjenci powinni przebywać tu tak długo, jak to konieczne, a nie na przykład tylko na czas trwania Programu dwudziestoosmiodniowego. Mimo że pobyt jest kosztowny, wielu Pacjentów trafiło tu dzięki finansowanym przez nas stypendiom i dotacjom. Nasze dofinansowanie sięga kilku setek milionów dolarów. Zajmujemy się nie tylko leczeniem Pacjentów, jesteśmy także jedną z lepszych Placówek Naukowo-Badawczych w dziedzinie Badań nad Uzależnieniem. Możesz uważać się za szczęściarza, skoro tu trafiłeś, i powinieneś być podekscytowany możliwością rozpoczęcia nowego rozdziału życia.

Patrzę na mężczyznę. Nie odzywam się. Patrzy na mnie, czeka, aż coś powiem. Moment zakłopotania. Uśmiecha się.

Jesteś gotowy zacząć?

Nie uśmiecham się.

Pewnie.

Wstaje i wstaje i idziemy Korytarzem. Mówi, ja nie.

Drzwi są tu zawsze otwarte, więc jeżeli chcesz, możesz wyjść. Nie wolno brać i jeśli zostaniesz przyłapany na braniu bądź posiadaniu narkotyków, zostaniesz odesłany do Domu. Do kobiet, oprócz Lekarek, Pielęgniarek i Personelu, wolno ci powiedzieć tylko cześć. Jeżeli złamiesz tę regułę, zostaniesz odesłany do Domu. Są jeszcze inne Reguły, ale na razie musisz znać tylko te.

Przechodzimy przez drzwi do Skrzydła Medycznego. Są tu małe Sale i Lekarze i Pielęgniarki i Apteka. Na szafkach są duże stalowe zamki. Prowadzi mnie do Pokoju. Jest w nim łóżko i biurko i krzesło i szafka i okno. Wszystko jest białe.

Stoi w drzwiach, a ja siadam na łóżku.

Za chwilę Pielęgniarka przyjdzie z tobą porozmawiać.

Dobra.

Dobrze się czujesz?

Nie, czuję się chujowo.

Polepszy ci się.

Jasne.

Zaufaj mi.

Jasne.

Mężczyzna wychodzi i zamyka drzwi i jestem sam. Bujam stopami, dotykam twarzy, dotykam

językiem dziąseł. Jest mi zimno i robi mi się zimniej. Słyszę czyjś krzyk. , Drzwi otwierają się i do Pokoju wchodzi Pielęgniarka. Jest ubrana na biało, cała na biało, i trzyma podkładkę do pisania. Siada na krześle przy biurku.

Cześć, James.

Cześć.

Muszę zadać ci kilka pytań.

Dobra.

Muszę też zmierzyć ci tętno i ciśnienie.

Dobra.

Z jakich używek korzystasz na co dzień?

Alkohol.

Codziennie?

Tak.

O której godzinie zaczynasz pić?

Po obudzeniu.

Zapisuje to.

Ile pijesz dziennie?

Ile się da.

To znaczy ile?

Tyle, żebym wyglądał tak jak teraz.

Spogląda na mnie. Zapisuje to.

Czy bierzesz coś jeszcze? >

Kokainę.

Jak często?

Codziennie.

Zapisuje to.

Ile?
Ile się da.
Zapisuje to.
W jakiej postaci?
Ostatnio crack, ale przez wiele lat w każdej
dostępnej. Zapisuje to.
Coś jeszcze?
Prochy, kwas, grzybki, metamfetaminę, PCP i
klej.
Zapisuje to.
Jak często?
Kiedy tylko mam.
Jak często?
Parę razy na tydzień.
Zapisuje to.
Podchodzi i wyciąga stetoskop.
Jak się czujesz?
Fatalnie.
W jakim sensie?
W każdym sensie.
Sięga do mojej koszuli.
Mogę?
Tak.
Podnosi koszulę i przykłada mi stetoskop do
klatki piersiowej. Słucha.
Oddychaj głęboko.
Słucha.
Dobrze. Jeszcze raz.

Opuszcza koszulę i odsuwa się i zapisuje.
Dziękuję.
Uśmiecham się.
Jest ci zimno?
Tak.
Ma aparat do pomiaru ciśnienia.
Jest ci niedobrze?
Tak.
Zakłada mi opaskę na ramię, boli.
Kiedy ostatni raz brałeś?
Pompuje.
Jakiś czas temu.
Co i ile?
Wypiłem butelkę wódki.
Jak to się ma do twojej normalnej dziennej dawki?
Nie ma się.
Obserwuje wskaźnik i wskazówki się ruszają i zapisuje coś i zdejmuję opaskę.
Na chwilę cię zostawię, ale wrócę.
Patrzę w ścianę.
Musimy cię uważnie obserwować i pewnie będziemy musieli podać ci leki odtruwające.
Widzę cień i wygląda, jakby się poruszał, ale nie jestem pewien.
W tej chwili nic ci nie jest, ale chyba zaczniesz coś odczuwać.
Widzę kolejny. Nienawidzę tego.

Jeżeli będziesz mnie potrzebował, wezwij mnie.
Nienawidzę tego.

Wstaje i uśmiecha się i odstawia krzesło i wychodzi.

Zdejmuję buty i wchodzę pod kołdrę i zamykam oczy i zasypiam. Budzę się i zaczynam się trząść i zwijam się w kłębek i zaciskam pięści. Pot ścieka mi po torsie, rękach, nogach. Kłuje mnie w twarz. Podnoszę się i słyszę czyjś jęk. W kącie widzę robala, ale wiem, że go tam nie ma. Ściany zamykają się i rozszerzają zamykają i rozszerzają i słyszę je. Zatykam uszy, ale to nie wystarcza.

Wstaję. Rozglądam się. Nic nie wiem. Gdzie jestem, dlaczego, co się stało, jak uciec. Jakie jest moje imię, moje życie.

Zwijam się w kłębek na podłodze i miazdzą mnie obrazy i dźwięki. Rzeczy, których nigdy nie widziałem ani nie słyszałem, ani nie wiedziałem, że istnieją. Nadchodzą z sufitu, drzwi, okna, biurka, krzesła, łóżka, szafy. Nadchodzą z pierdolonej szafy. Mroczne cienie i jaskrawe światła i przebłyski niebieskiego i żółtego i czerwieni tak intensywnej jak czerwień mojej krwi. Zbliżają się do mnie i wrzeszczą na mnie i nie wiem, czym są, ale wiem, że sprzyjają robalom. Wrzeszczą na mnie.

Zaczynam się trząść. Trząść trząść trząść. Całe moje ciało się trzęsie i moje serce dygocze i widzę, jak wali mi w piersi, i pocę się i kłuje. Robale

wpełzają na moją skórę i zaczynają mnie gryźć i próbuję je zabić. Szarpię skórę, wyrywam włosy, zaczynam się gryźć. Nie mam zębów i gryzę się i są cienie i jaskrawe światła i przebłyski i wrzaski i robale robale robale. Już po mnie. Już kurwa po mnie.

Krzyczę.

Szczam po sobie.

Sram w gacie.

Wraca Pielęgniarka i wzywa pomoc i przychodzą Mężczyźni w Bieli i kładą mnie na łóżko i przytrzymują. Próbuję zabić robale, ale nie mogę się ruszyć, więc żyją. We mnie. Na mnie. Czuję stetoskop i opaskę i wbijają mi igłę w ramię i przytrzymują mnie.

Ciemność mnie oślepia.

Nie ma mnie.

Siedzę na krześle przy oknie i patrzę. Nie wiem, na co patrzę, i wszystko mi jedno. Jest ciemno i jest późno i nie mogę już spać. Leki przestają działać.

Wchodzi Pielęgniarka.

Nie możesz spać?

Mierzy mi ciśnienie i puls.

Nie.

Mamy tu Świetlicę.

Podaje mi leki.

Można pooglądać telewizję.

Podaje mi szlafrok i kapcie.

I można palić.

Odwracam się i wyglądam przez okno.

Przebierz się, to cię zaprowadzę.

Dobra.

Wschodzi i biorę leki i przebieram się i kiedy otwieram drzwi, czeka na mnie. Uśmiecha się i podaje mi paczkę papierosów. Mogą być?

Uśmiecham się.

Dziękuję.

Idziemy do Świetlicy. Telewizor, dwie kanapy, głęboki fotel, kilka automatów. Telewizor jest włączony.

Chcesz coś do picia?

Siadam na fotelu.

Nie.

W porządku?

Przytakuję.

Dzięki.

Wychodzi i czuję, jak leki zaczynają działać. Oglądam telewizję, ale nic do mnie nie dociera. Palę papierosa. Piecze.

Wchodzi mężczyzna i podchodzi do mnie i staje przede mną.

Hej, Koleś.

Jego głos jest głęboki i mroczny.

Hej, Koleś.

Sznyty krzyżują mu się na przedramionach.

Mówię do ciebie.

Blizny biegną w poprzek nadgarstków.
Mówię do ciebie.
Patrzę mu w oczy. Są puste.
Co?
Pokazuje.
To mój fotel.
Odwracam się do telewizora.
To mój fotel.
Leki zaczynają działać.
Hej, Koleś, to mój fotel.
Nic nie dociera.
HEJ, KUTASIE. TO MÓJ JEBANY FOTEL.
Oglądam telewizję, a on oddycha ciężko i
przychodzi Pielęgniarka. Jakiś problem?
Ten Kutas zajął mi fotel.
To może usiądziesz na kanapie?
Kanapa mi się nie podoba. Podoba mi się fotel.
James siedzi na fotelu. Jest jeszcze kanapa albo
podłoga albo do widzenia. Zdecyduj się.
Jebać Jamesa. Każ mu spadać.
Mam wezwać Ochronę?
Nie.
No to się zdecyduj.
Podchodzi do kanapy i na niej siada.
Pielęgniarka go obserwuje. Dziękuję.
Śmieje się i ona wychodzi i jesteśmy sami i
oglądam telewizję i palę papierosa. Gapi się na mnie i
obgryza paznokcie i mnie nimi opluwa, ale leki

zaczęły działać i robali nie ma i jest mi wszystko jedno. Nic do mnie nie dociera.

Oglądam telewizję. Wszystko zwalnia. Zwalnia nie do poznania.

Obraz rozmywa się, głosy zanikają. Nic się nie dzieje, nic nie hałasuje, są tylko migoczące światła i symfonia cichnących głosów. Gapię się na światła, słucham głosów. Chcę, żeby zniknęły, a one trwają.

Powieki mi opadają. Zmagam się z nimi, ale nie chcą się podnieść. Reszta ciała idzie za nimi. Mięśnie wiotczeją i zsuwam się z fotela na podłogę. Podłoga mi się nie podoba i nie chcę być na podłodze, ale nie mogę się powstrzymać. Kiedy się zsuwam, powierzchnia fotela przytrzymuje szlafrok i obciera mi z tyłu nogi i szlafrok marszczy mi się w talii. Podnoszę rękę, żeby poprawić szlafrok, i dłoń mi opada. Mój umysł każe dłoni poruszyć się i mój umysł każe dłoni poprawić szlafrok ale mój umysł nie działa. Mój umysł nie działa i dłoń nie działa. Szlafrok zostaje.

Mężczyzna przestaje opluwać mnie paznokciami i wstaje i podchodzi do mnie i przez szczeliny między powiekami widzę, jak podchodzi. Wiem, że może ze mną zrobić wszystko, co będzie chciał ze mną zrobić, i wiem, że nie jestem w stanie go powstrzymać. Wiem, że jest wściekły, i wiem po jego sznytach i bliznach i oczach, że przypuszczalnie da upust wściekłości poprzez jakąś formę przemocy.

Gdybym mógł się ruszać, tobym wstał i stawił mu czoło na jego zasadach, ale nie mogę stawić mu czoła na żadnych zasadach. Z każdym jego krokiem w moją stronę sytuacja wydaje mi się coraz bardziej klarowna. Może zrobić ze mną, co mu się żywnie podoba, a ja nie jestem w stanie mu przeszkodzić. Nie jestem w stanie mu przeszkodzić. Nie jestem w stanie.

Staje nade mną i patrzy na mnie. Nachyla się i spogląda mi w twarz i śmieje się.

Ale z ciebie brzydki Skurwysyn.

Próbuję coś odpowiedzieć. Mogę tylko stęknąć.

Gdybym miał ochotę, to mógłbym ci teraz skopać dupę. Rozjechać cię na jebaną miazgę.

Moje ciało jest bezwładne.

Ale chodzi mi tylko o jebany fotel.

Mój umysł nie działa.

I teraz go sobie kurwa wezmę.

Sięga do mnie i chwytą mnie za nadgarstki i wlecze po podłodze. Odciąga mnie od fotela w kąt Sali i zostawia leżącego twarzą do podłogi. Nachyla się i przykłada mi usta do ucha.

Mogłem ci skopać pierdoloną dupę. Zapamiętaj to sobie.

Odchodzi i słyszę, jak siada na fotelu i zaczyna zmieniać kanały w telewizorze. Codzienne podsumowanie sportu, reklamówka preparatu na porost włosów, nocny talk-show. Zostawia talk-show

i śmieje się, kiedy się trzeba śmiać, i mamrocze do siebie, jakby chciał zerznąć kogoś z widowni. Leżę twarzą do podłogi.

Jestem przytomny, ale nie mogę się ruszyć.

Serce mi bije i bije głośno i widzę je.

Włosie wykładziny wpija mi się w twarz i słyszę je.

Nagrane śmiechy z telewizji grzmia i czuję je.

Jestem przytomny, ale nie mogę się ruszyć.

Znikam.

Znikam.

Znikam.

Nadchodzi ranek i kiedy się budzę, mogę się ruszać i wstaję i szukam mężczyzny. Nigdzie go nie ma, jest za to wspomnienie i zostanie jeszcze na długo. To byt zawsze mój problem. Nie zapominam.

Idę do swojego Pokoju i kiedy otwieram drzwi, widzę, jak Salowy kładzie na biurku tacę z jedzeniem. Spogląda na mnie i uśmiecha się. Dzień dobry.

Dzień dobry.

Przyniosłem ci śniadanie. Myśleliśmy, że może będziesz głodny. Dziękuję.

Jeżeli będziesz jeszcze czegoś potrzebował, zadzwoń.

Dziękuję.

^chodzi, a ja oglądam jedzenie. Jajka, bekon, tosty, ziemniaki. Szklanka wody i szklanka soku

pomarańczowego. Nie chcę mi się jeść, ale wiem, że powinienem, więc podchodzę do krzesła i na nim siadam i patrzę na jedzenie i dotykam twarzy. Wszystko jest ciągle spuchnięte. Dotykam warg i pękają. Otwieram usta i krwawią. Zamykam usta i ciekną. Nie chce mi się jeść, ale wiem, że powinienem.

Sięgam po szklankę wody i wypijam łyk, ale jest za zimna.

Sięgam po sok pomarańczowy i wypijam łyk, ale piecze.

Próbuję jeść widelcem, ale za bardzo kaleczy.

Przełamuję tost i wpycham sobie palcami kawałki do gardła. To samo robię z ziemniakami i jajkami i bekonem. Wfypijam wodę, ale nie sok. Oblizuję palce do czysta.

Po skończeniu idę do Łazienki i wymiotuję. Próbuję to powstrzymać, ale nie mogę. Zwracam mniej więcej połowę jedzenia razem z krwią i żółcią. Jestem szczęśliwy, że zatrzymałem połowę jedzenia. To więcej, niż normalnie zatrzymuję.

Kiedy wracam do łóżka, do Pokoju wchodzi Lekarz. Uśmiecha się. Cześć.

Nosi tabliczkę z nazwiskiem, ale nie mogę jej odczytać.

Jestem Doktor Baker.

Uścisk dłoni.

Dzisiaj będę z tobą pracował.

Siadam na brzegu łóżka.

W porządku?

Patrzy na moją twarz, ale nie w oczy.

Tak.

Patrzę mu w oczy.

Jak się czujesz?

Jego oczy są dobre.

Mam już dość tego pytania.

Śmieje się.

Na pewno.

Uśmiecham się.

To są.

Podaje mi kolejne leki.

Librium i diazepam.

Biorę je.

To leki odtruwające i istotne dla leczenia, bo stabilizują pracę serca, obniżają ciśnienie i ułatwiają przetrwanie głodu. Bez nich mógłbyś mieć udar albo zawał, albo jedno i drugie.

Nachyla się i ogląda mój policzek.

Będziesz je brał co cztery godziny w zmniejszających się dawkach przez następne pięć dni.

Patrzę mu w oczy.

Przeprowadzimy kilka badań.

On już to widział.

I zaczniemy przygotowywać dla ciebie Program.

Dobrze.

Jednak najpierw musimy cię trochę poskładać.

Idziemy do Sali. Są tam jaskrawe fluorescencyjne światła i duży stół operacyjny i pojemniki z materiałami. Siadam na stole, a on wkłada parę lateksowych rękawiczek i bada mój policzek. Odrywa strupy. Otwiera mi usta. Jego palec przechodzi przez ranę. Bierze igłę i nić i każe mi zacisnąć pięści i zamknąć oczy. Nie zamykam ich i patrzę, jak igła przechodzi na wylot. Do środka i na zewnątrz. Policzek, wargę, usta. Czterdzieści jeden razy.

Skończyliśmy, a on rozmawia przez telefon z Chirurgiem Szczękowym i siedzę na stole i trzęsę się z bólu. Czuję gorąco i nić i krew. Umawia się na termin i odkłada słuchawkę i zaczyna myć ręce.

Za parę dni zabierzemy cię do Miasteczka i poskładamy ci zęby. Dotykam szwów językiem.

Znam Dentystę i on się tobą zajmie.

Dotykam językiem resztek zębów.

Będziesz jak nowy.

Zostawiam język tam, gdzie jego miejsce.

Nie martw się.

Wkłada nową parę rękawiczek i odwraca się.

Teraz muszę ci sprawdzić nos.

Biorę głęboki wdech. Podchodzi i zaczyna oglądać mi nos. Dotyka go, a ja się kulę. Nie czuję policzka.

Nie jest dobrze.

Wiem.

Będę go musiał złamać i nastawić.

Wiem.

Im szybciej, tym lepiej, ale jeżeli chcesz, możemy poczekać.

Im szybciej, tym lepiej".

W porządku.

Rozstawia stopy i zapiera się i kładzie obie dłonie na moim nosie. Chwytam brzeg stołu i zamykam oczy i czekam.

Gotów?

No.

Szarpie do przodu i do góry i słyszę wyraźny trzask. Zimne białe światło przebija mi oczy i kręgosłup i stopy i z powrotem. Mam zamknięte oczy, ale płaczę. Krew cieknie mi z nozdrzy.

Teraz muszę go nastawić.

Dłonie poruszają się w bok i czuję, jak chrząstka porusza się z nimi. Znowu się poruszają. Czuję to. Wypycha do góry i chyba pasuje. Czuję to.

Już.

Sięga po plaster, a ja otwieram oczy. Nakleja plaster na grzbiet nosa i utrzymuje chrząstkę na miejscu. Chyba dobrze się trzyma.

Bierze ręcznik i wyciera mi krew z twarzy i szyi, a ja patrzę w ścianę. Twarz mi pulsuje i ściskam brzeg stołu i bolą mnie dłonie. Chcę puścić, ale nie mogę.

W porządku?

Nie.

Nie mogę ci dać leków przeciwbólowych.

Domyśliłem się.

Librium i diazepam złagodzą ból, ale będzie boleć.

Wiem.

Przyniosę ci nowy szlafrok.

Dziękuję.

Odsuwa się i wyrzuca ręcznik do kosza na śmieci i wychodzi. Puszczam stół i trzymam dłonie przed twarzą i oglądam je. Trzęsą się, trzęsę się.

Lekarz wraca z Pielęgniarką i pomagają mi się przebrać i opowiadają o badaniach. Krew, mocz, kał. Muszą wiedzieć, jak bardzo zniszczyłem sobie wnętrzności. Na samą myśl czuję obrzydzenie. Wychodzimy i idziemy do innej Sali, w której też jest Łazienka. Szczam do kubeczka, sram do plastikowego pojemnika, igła wchodzi mi w ramię. To proste i łatwe i bezbolesne.

Wschodzimy i Oddział jest pełen ruchu. Pacjenci stoją w kolejce po leki, Lekarze przechodzą z Pokoju do Pokoju, Pielęgniarki noszą buteleczki i probówki. Słysząc hałas, ale wszędzie jest spokojnie.

Idę do swojego Pokoju z Lekarzem i siadam na łóżku. Siada na krześle i wypełnia kartę. Kończy pisać i patrzy na mnie.

Oprócz Dentysty najgorsze już za tobą.

Dobrze.

Zapiszę ci dwieście pięćdziesiąt miligramów amoksycyliny trzy razy dziennie i pięćset miligramów penicyliny VK raz dziennie. To zapobiegnie infekcji.

Dobrze.

Idź do Ambulatorium, tam dostaniesz leki, a jeżeli zapomnisz, Pielęgniarka cię znajdzie.

Dobrze.

Dziękuję, że wytrzymałeś.

Nie ma sprawy.

Powodzenia.

Dzięki.

Wstaje i wstaje i ściskamy sobie dłonie i wychodzi. Idę do Ambulatorium i staję w kolejce. Młoda kobieta staje przede mną. Odwraca się i spogląda mi w twarz. Mówi.

Cześć.

Uśmiecha się.

Cześć.

Wyciąga dłoń.

Jestem Lilly.

Biorę ją. Jest miękka i ciepła.

Jestem James.

Nie chcę puścić, ale puszczam. Robimy krok do przodu.

Co się stało?

Spogląda w stronę Ambulatorium.

Nie pamiętam.
Odwraca się.
Straciłeś przytomność?

No.

Krzywi się.

Kurde.

Śmieję się.

No.

Robimy krok do przodu.

Od kiedy tu jesteś?

Spoglądam w stronę Ambulatorium.

Od wczoraj.

Pielęgniarka piorunuje nas wzrokiem.

Ja też.

Pokazuję na Pielęgniarkę i Lilly odwraca się i przestaje mówić i robimy krok do przodu i czekamy. Pielęgniarka piorunuje nas wzrokiem i wręcza Lilly leki i kubek wody i Lilly bierze leki i pije wodę. Odwraca się i kiedy mnie mija, uśmiecha się i bezgłośnie mówi cześć. Uśmiecham się i idę do przodu. Pielęgniarka piorunuje mnie wzrokiem i pyta, jak się nazywam.

James Frey.

Spogląda na kartę i idzie do szafki i bierze leki i podaje mi je z kubkiem wody.

Biorę leki.

Piję wodę.

Idę do Pokoju i zasypiam i przez resztę dnia śpię

i wpycham sobie jedzenie do gardła i stoję w kolejce i biorę leki.

Niedy ciało mnie budzi, jest jeszcze ciemno. Wnętrznosci mnie pieką i czuję, jakbym się palił. Poruszają się i nadchodzi ból. Znowu się poruszają i ból się wzmacnia. Znowu się poruszają i jestem sparaliżowany.

Wiem, co mnie czeka, i muszę wstać, ale nie mogę chodzić, więc staczam się z łóżka i spadam na podłogę. Leżę tam i jęczę i jest zimno i cicho i ciemno.

Ból ustępuje i czołgam się do Łazienki i chwytam się brzegów sedesu i czekam. Pocę się i urywa mi się oddech i serce mi trzepocze. Ciało się szarpie, zamykam oczy i pochylam się. Z ust i nosa wylewają mi się krew i żółć i kawałki żołądka. Utykają mi w gardle, w nozdrzach, w resztkach zębów. I znowu nadchodzi, znowu nadchodzi, znowu nadchodzi i za każdym razem ostry ból przeszywa mi klatkę piersiową, lewe ramię i szczękę. Uderzam głową o tył sedesu, ale nic nie czuję. Uderzam znowu. Nic.

Wymioty się kończą i siadam i otwieram oczy i patrzę na sedes. Grube czerwone zacieki lepią się do ścianek i brązowe kawałki moich wnętrznosci unoszą się na wodzie. Próbuję uspokoić oddech i serce, ale nie mogę, więc siedzę i czekam. Każdego ranka to samo. Wymiotuję i siedzę i czekam.

Po kilku minutach wstaję i powoli wracam do Pokoju. Noc się kończy i stoję w oknie i obserwuję. Pomarańczowe i różowe smugi żeglują przez błękit nieba, duże ptaki rysują się na tle czerwieni wschodzącego słońca, chmury przesuwają się powoli w moją stronę. Czuję krew ciekącą mi z ran na twarzy i czuję bicie serca i czuję, jak ciężar mojego życia zaczyna ciążyć, i zdaję sobie sprawę, dlaczego o świcie mówi się ranny.

Wycieram sobie twarz rękawem i zdejmuję szlafrok, który teraz jest pokryty krwią i czym tam jeszcze rzygałem, i upuszczam go na podłogę i idę do Łazienki. Odkręcam prysznic i czekam na ciepłą wodę.

Oglądam swoje ciało. Skóra jest ziemista i blada. Tors pokryty rankami i siniakami. Jestem chudy i mam sflaczałe mięśnie. Wyglądam na zużytego, pobitego, starego, martwego. Nie zawsze tak wyglądałem.

Wyciągam dłoń i sprawdzam wodę. Jest ciepła, ale nie gorąca. Wchodzę pod prysznic i zakręcam zimną wodę i czekam na gorąco. Woda ścieka mi po piersiach i po reszcie ciała. Biorę kostkę mydła i namydlam się i kiedy to robię, woda robi się gorętsza. Wbija mi się w skórę i parzy mi skórę i skóra mi się zaczerwienia. Mimo że boli, jest mi dobrze. Gorąco, woda, mydło, poparzenia. Boli, ale należy mi się.

Zakręcam wodę i wychodzę spod prysznicza i wycieram się. Madę się do łóżka i kładę się pod kołdrę i zamykam oczy i próbuję sobie przypomnieć. Osiem dni temu byłem w Karolinie Północnej. Pamiętam, że wziąłem butelkę i fife i postanowiłem wybrać się na przejażdżkę. Dwa dni później obudziłem się w Waszyngtonie D. C. Leżałem na kanapie w Domu należącym do Siostry mojego przyjaciela. Byłem zalany szczynami i rzygami, a ona chciała, żebym sobie poszedł, więc pożyczyłem od niej koszulę i wyszedłem. Dwadzieścia cztery godziny później obudziłem się w Ohio. Pamiętam Dom, Knajpę, kokę, klej. Pamiętam krzyki. Pamiętam płacz.

Drzwi otwierają się, podnoszę się i Lekarz przynosi stertę ubrań i leki i kładzie je na stole.

Cześć.

Sięgam po leki.

Cześć.

Biorę je.

Przyniosłem ci czyste ubranie.

Dzięki.

Siada przy stole.

Przeniesiemy cię dzisiaj na Oddział.

W porządku.

Zazwyczaj kiedy Pacjent przechodzi na Oddział, jego kontakt z nami jest ograniczony, ale w twoim wypadku będziemy się musieli widywać. Dobra.

Przez następny tydzień będziesz musiał przychodzić tu dwa razy dziennie, po śniadaniu i kolacji, po antybiotyki i librium. Teraz dostałeś ostatnią porcję diazepamu.

Jasne.

Patrzy mi na usta.

Jutro zabieramy cię do Dentysty.

Nie oglądałem sobie jeszcze ust.

To dobry fachowiec i mój przyjaciel. Dobrze się tobą zajmie.

Boję się zobaczyć.

Trzymaj się i wszystko będzie dobrze.

Boję się nienawiści, jaką może wywołać mój widok.

Powinieneś się przebrać i poczekać w Świetlicy.

W porządku.

Wyślą po ciebie kogoś z Oddziału.

Nie mogę się doczekać.

Śmieje się i wstaje.

Powodzenia, James.

Wstaję.

Dziękuję.

Podajemy sobie ręce i wychodzi i przebieram się w rzeczy, które mi przyniósł. Spodnie khaki, biały T-shirt, kaptcie. Są ciepłe i miękkie i miłe. Czuję się prawie jak człowiek.

Wschodzę z Pokoju i idę przez Oddział Medyczny, gdzie nic się nie zmieniło. Jaskrawe

światła i biel. Pacjenci i Lekarze i kolejki i lekarstwa.
Jęki i wrzaski. Smutek, szaleństwo i ruina. Znam to
wszystko i już mnie nie rusza. Wchodzę do Świetlicy
i siadam na kanapie. Jestem sam i oglądam telewizję i
ostatnia porcja leków zaczyna działać.

Tętno zwalnia.

Ręce przestają się trząść.

Powieki opadają.

Ciało wiotczeje.

Nic nie dociera.

Słyszę swoje imię i spoglądam i przede mną stoi
Lilly. Uśmiecha się i siada koło mnie.

Pamiętasz mnie?

Lilly.

Uśmiecha się.

Nie byłam pewna, czy sobie przypomnisz.
Wyglądasz na naszprycowanego.

Librium i diazepam.

Tak, ja właśnie przestałam brać. Nienawidzę
tego szajsu.

Lepsze niż nic.

Śmieje się.

Pogadamy za parę dni.

Uśmiecham się.

Nie wiem, czy wytrzymam parę dni.

Przytakuje.

Wiem, o czym mówisz.

Nie odpowiadam. Mówi.

Skąd jesteś?

Sięgam po papierosy.

Karolina Północna.

Wyciągam jednego.

Poczęstujesz?

Podaję jej papierosa i zapalam i palimy i Lilly opowiada o sobie, a ja jej słucham. Ma dwadzieścia dwa lata i wychowała się w Phoenix. Ojciec zostawił ich, kiedy miała cztery lata, a Matka była Uzależniona od Heroiny i żeby ją zdobyć, kurwiła się z każdym, kto zapłacił. Zaczęła dawać Lilly narkotyki, kiedy miała dziesięć lat, i zaczęła zmuszać ją do kurwienia się z każdym, kto zapłacił, kiedy miała trzynaście lat. W wieku siedemnastu lat Lilly uciekła do Babci w Chicago, gdzie mieszkała do tej pory. Jest uzależniona od kokainy i metakwalonu.

Do Świetlicy wchodzi mężczyzna i przestajemy rozmawiać, a mężczyzna zatrzymuje się przede mną. Jest chudy, elegancki, prawie łysy. Ma małe nerwowe oczka.

James?

Uśmiecha się.

No.

Wygląda na bardzo zadowolonego.

Cześć, jestem Roy.

Wyciąga dłoń.

Cześć.

Wstaję i podaję mu dłoń.

Przyszedłem, żeby zabrać cię na Oddział.
W porządku.
Masz jakieś torby?
Nie.
Jakieś ubrania na zmianę, książki?
Nie mam nic.
Saszetka?
Nic.
Uśmiecha się znowu. Nerwowo.
Chodźmy.
Odwracam się i patrzę na Lilly, która udaje, że ogląda telewizję.
Na razie, Lilly.
Spogląda i uśmiecha się do mnie.
Na razie, James.
Roy i ja wychodzimy ze Świetlicy i idziemy po wykładzinie krótkim ciemnym Korytarzem. Kiedy idziemy, Roy uważnie mnie obserwuje.
Wiesz, że to wbrew Regułom.
Patrzę przed siebie.
Co?
Rozmowa z kobietami.
Przepraszam.
Nie przepraszaj, tylko więcej tego nie rób.
W porządku.
Reguły są dla twojego dobra. Proponuję, żebyś ich przestrzegał. Postaram się.
To staraj się dobrze, bo wpadniesz w kłopoty.

Postaram się.

Docieramy do dużych drzwi i przechodzimy przez nie i wszystko się zmienia. Korytarze są długie, a wszędzie wokół drzwi. Wykładzina jest miękka, a ściany jasne. Jest kolorowo i jasno i bezpiecznie. Wszędzie chodzą ludzie i się uśmiechają.

Przechodzimy przez ciąg Korytarzy. Roy patrzy na mnie, a ja patrzę przed siebie. Opowiada mi o Oddziale i Regułach.

Na Oddziale jest zazwyczaj od dwudziestu do dwudziestu pięciu mężczyzn, trzech Opiekunów i Szeft Oddziału. Każdy mężczyzna ma przydzielonego Opiekuna, który nadzoruje jego Program Leczenia, a ich nadzoruje Szeft Oddziału.

Każdy mężczyzna ma słuchać trzech Wykładów dziennie, jeść trzy posiłki dziennie i brać udział we wszystkich organizowanych na Oddziale zajęciach.

Każdemu mężczyźnie wyznacza się pracę, którą ma wykonywać każdego ranka.

Substancje psychoaktywne są na Oddziale zabronione. Jeżeli zostaniesz przyłapany na ich posiadaniu lub zażywaniu, zostaniesz wydalony.

Poczta jest roznoszona raz dziennie. Opiekunowie Oddziału mają prawo otworzyć i przeszukać każdą przesyłkę.

Odwiedziny są w niedziele od pierwszej do czwartej. Personel ma prawo przeszukać i obejrzeć każdy prezent i każdą paczkę, którą przyniosą

Goście.

Kobiety znajdują się na osobnym Oddziale i kontakt z nimi jest zabroniony. Jeżeli zobaczysz je na Korytarzu, cześć jest w porządku, jak się masz, nie. Jeżeli złamiesz tę Regułę, możesz zostać wydalony. Roy patrzy na mnie.

Reguły to poważna sprawa. Jeżeli chcesz wyzdrowieć, zalecałbym ich przestrzeganie.

Patrzę przed siebie.

Postaram się.

Przechodzimy przez drzwi z napisem Sawyer i wchodzimy na Oddział. Idziemy Korytarzem z drzwiami po obu stronach. Na niektórych drzwiach są nazwiska i niektóre z nich są otwarte.

W Pokojach widzę mężczyzn.

Opuszczamy Korytarz i wchodzimy do dużej, przestronnej, dwupoziomowej Sali. Na Górnym Poziomie jest automat z napojami, automat ze słodyczami, duży ekspres do kawy, Kuchnia i duży stół otoczony krzesłami. Na Dolnym Poziomie są kanapy i krzesła ustawione w okrąg, telewizor i tablica. Przy drugiej ścianie jest Budka Telefoniczna, a w dwie pozostałe ściany wbudowano duże rozsuwane szklane drzwi. Za drzwiami rozciąga się widok na trawniki i drzewa, w oddali widzę Jezioro. Mężczyźni siedzą przy stołach i na kanapach. Czytają, rozmawiają, palą papierosy i piją kawę. Kiedy wchodzę do Sali, wszyscy odwracają się do

mnie i patrzą na mnie.

Roy uśmiecha się.

Witamy w Sawyer.

Dzięki.

To dobre miejsce.

Chcę wyjść.

Tu wydobrzejesz.

Uciec.

Zaufaj mi, ja to wiem.

Rozjechać się.

Jasne.

Zdechnąć.

Chodźmy do twojego Pokoju.

Przechodzimy z Górnego Poziomu Sali do Korytarza na drugim końcu. Wzdłuż Korytarza są Pokoje, z których dobiegają rozmowy Ludzi, śmiech, płacz. Zatrzymujemy się przed drzwiami i Roy otwiera drzwi i wchodzimy do Pokoju. Pokój jest dość duży i stoją w nim cztery łóżka, w każdym rogu jedno. Obok każdego łóżka jest mała szafka nocna i mała komoda. Z boku jest Łazienka. Na jednym z łóżek siedzą i grają w karty dwaj mężczyźni i obydwaj spoglądają na nas, kiedy wchodzimy.

Larry, Warren, to jest James.

Mężczyźni wstają i podchodzą do miejsca, gdzie stoję, i przedstawiają mi się. Larry jest niski i mocno zbudowany jak obuch dwuręcznego młota. Ma długie brązowe włosy i gęstą brodę i południowy akcent.

Wygląda na trzydzieści pięć lat. Warren ma po pięćdziesiątce i jest wysoki i szczupły i opalony i dobrze ubrany i ma szeroki uśmiech.

Podajemy sobie dłonie i pytają, skąd jestem, i opowiadam. Pytają, czy chcę zagrać w karty, i mówię, że nie. Mówię, że jestem zmęczony i chcę odpocząć i dziękuję Royowi i idę do pustego łóżka i kładę się. Roy wychodzi, a Larry i Warren wracają do kart.

Zamykam oczy i robię głęboki wdech i myślę o swoim życiu i jak tu wylądowałem. Myślę o szkodach, zniszczeniach i krzywdach, jakie wyrządziłem sobie i innym. Myślę o nienawiści do samego siebie i pogardzie dla samego siebie. Myślę o tym, jak i dlaczego i co się stało, i myśli przychodzą z łatwością, ale odpowiedzi nie.

Słyszę kroki, wyczuwam obecność. Otwieram oczy, a nade mną stoi mężczyzna. Jest po trzydziestce. Średniego wzrostu i szczupły jak trzcina z długimi kościstymi rękami i delikatnymi dłońmi. Schludny, krótkie włosy, gładko ogolony.

Jesteś nowy.

Jest zdenerwowany i pobudzony.

No.

I jego oczy są puste.

Jak masz na imię?

James.

Siadam.

Jestem John.

Siada na skraju łóżka i podaje mi wizytówkę.

To moja wizytówka.

Czytam ją. John Everett. Ninja Seksualny. San Francisco i Świat. Śmieję się.

Chcesz coś zobaczyć?

Sięga po portfel.

Pewnie.

Otwiera go i wyciąga wyblakły artykuł z gazety, podaje mi go.

Artykuł jest stary z „San Francisco Chronicle”. Jest w nim zdjęcie mężczyzny stojącego na środku Ulicy, trzymającego tabliczkę. Nagłówek brzmi Mężczyzna Aresztowany na Market Street z Tabliczką Sprzedam Kokainę Trzy Godziny po Ujściu z San Quentin.

To ja.

Znowu się śmieję.

Dostałem kolejne trzy lata.

Oddaję mu artykuł.

Niefajnie.

Chowa go do kieszeni.

Jebałeś kiedyś kogoś w dupę?

Co?

Jebałeś kiedyś kogoś w dupę? o czym ty gadasz?

Wciągnąłem się w to w Więzieniu i teraz jestem uzależniony. Od tego i kokainy. Pomyślałem, że powinien się od razu dowiedzieć. Patrzę na niego.

Uczciwość i szczerść są tu bardzo ważne. To część Programu, a ponieważ postępuję zgodnie z Programem, chciałem ci powiedzieć. W porządku?

Wbijam w niego wzrok.

W porządku.

Robi się nerwowo, wstaje, spogląda na zegarek.

Czas na lunch. Chcesz, żebym pokazał ci Stołówkę?

Wstaję bez słowa. Tylko patrzę.

Wychodzimy i mijamy Oddział i ciąg Korytarzy. Kiedy idziemy, John opowiada o sobie. Ma trzydzieści siedem lat i jest z Seattle. Wychował się w zamożnej i wpływowej rodzinie, która go wydziedziczyła. Ma dwudziestojednoletnią Córkę, której nie widział od dziesięciu lat. Spędził osiem lat w więzieniu. Ojciec zaczął go molestować, kiedy miał pięć lat.

Wchodzimy do długiej Sali ze szklanymi ścianami po obu stronach. W jednej części siedzą kobiety i jedzą lunch, w drugiej siedzą mężczyźni. Na końcu Sali jest Lada z barem sałatkowym, gdzie wydaje się posiłki. Stoją tam dwie kolejki jak w kantynie. John bierze dwie tace, podaje mi jedną i stajemy w kolejce.

Kiedy posuwamy się do przodu, obserwuję otoczenie. Kobiety i mężczyźni. Jedzenie. Rozmowy, ale bez uśmiechów. Okrągłe stoliki otoczone ośmioma krzesłami. Na krzesłach siedzą Ludzie, na

stołach są talerze i szklanki i tace. W Części Męskiej jest około stu dwudziestu pięciu mężczyzn przy stołach mogących pomieścić dwustu. W Części Żeńskiej jest około stu kobiet przy stołach mogących pomieścić sto pięćdziesiąt. Biorę talerz zupy i szklankę wody i kiedy przechodzę przez Salę, czuję, jak ludzie się na mnie gapią. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak wyglądam.

Znajduję pusty stolik i siadam i jestem sam. Wypijam łyk wody i zaczynam sobie wkładać łyżką zupę do ust. Jest gorąca i każda łyżka to przeszywający ból warg, policzka, dziąseł i zębów. Jem powoli i uważnie i ani razu nie podnoszę wzroku. Nie chcę nikogo widzieć i nie chcę, żeby ktoś mnie widział.

Kończę zupę i przynajmniej przez chwilę jest mi dobrze. Mam pełny żołądek i jest mi ciepło i jestem zadowolony. Wstaję i biorę tacę i kładę ją na stercie innych tac i wychodzę ze Stołówki.

Wracam na Oddział. Kiedy mijam otwarte drzwi, ktoś mnie woła po imieniu. Zatrzymuję się i wracam do drzwi, a mężczyzna wstaje i wychodzi zza biurka i do mnie podchodzi. Jest tuż po trzydziestce. Bardzo wysoki i bardzo szczupły. Ma ciemne włosy ściągnięte w mały kucyk i nosi okrągłe ciemne okulary. Jest ubrany w czarny T-shirt, czarne spodnie i czarne tenisówki. Ogląda jak dorosła wersja chłopaka, który spędził dzieciństwo, siedząc przed

komputerem i ukrywając się przed Dręczycielami.

Ty jesteś James.

Wyciąga do mnie dłoń. Podaję mu swoją.

Mam na imię Ken, jestem twoim Opiekunem
Odwykowym.

Miło mi.

Odwraca się i idzie w stronę biurka.

Chodź i siadaj.

Idę za nim i siadam na krześle naprzeciwko i rozglądam się po jego Gabinet. Jest mały i zagracony i wszędzie leżą sterty papierów i wszędzie leżą teczki. Na ścianach są rozkłady zajęć i małe zdjęcia ludzi albo pejzaży, a z tyłu za nim wisi oprawiony w ramkę egzemplarz Dwunastu Kroków Anonimowych Alkoholików. Sięga po teczkę i kładzie ją na biurku i otwiera i spogląda na mnie.

Aklimatyzujesz się?

Tak.

Możemy ci w tym jakoś pomóc?

Nie.

Potrzebne nam są dodatkowe informacje, żeby uzupełnić twoją teczkę. Czy mógłbyś odpowiedzieć na kilka pytań?

Tak.

Podnosi długopis.

Kiedy zacząłeś brać narkotyki i pić alkohol?

Zacząłem pić, kiedy miałem dziesięć lat, brać narkotyki, kiedy miałem dwanaście.

Kiedy zacząłeś brać regularnie?

Kiedy miałem piętnaście lat, piłem codziennie, kiedy miałem osiemnaście, piłem i ćpałem codziennie. Od tego czasu biorę znacznie, znacznie więcej.

Urywa ci się film?

Tak.

Jak często?

Codziennie.

Od kiedy tak się dzieje?

Od czterech albo pięciu lat.

Wymiotujesz?

Codziennie.

Jak często?

Po obudzeniu, po pierwszym drinku, po pierwszym posiłku i potem jeszcze parę razy.

Parę to znaczy ile?

Trzy do siedmiu.

Od kiedy tak się dzieje?

Od czterech albo pięciu lat.

Czy rozważasz samobójstwo?

Tak.

Czy próbowałeś je popełnić?

Nie.

Czy zostałeś kiedyś aresztowany?

Tak.

Ile razy?

Dwanaście albo trzynaście.

Za co?

Takie tam.

To znaczy?

Posiadanie, posiadanie z zamiarem sprzedaży, trzy razy prowadzenie w stanie nietrzeźwym, kilka oskarżeń o wandalizm i zniszczenie mienia, napad, napad z niebezpiecznym narzędziem, napad na oficera służby czynnej, zakłócenie porządku publicznego i zakłócenie porządku publicznego w stanie nietrzeźwym. Możliwe, że coś tam jeszcze było, ale w tej chwili nie pamiętam.

Czy któreś z tych oskarżeń jest jeszcze aktualne?

Większość.

Gdzie?

W Michigan, Ohio i Karolinie Północnej.

Czy byłeś na Rozprawie?

Nie.

Czy zostałeś zwolniony za Kaucją?

Nie stawiałem się na rozprawę.

Gdzie?

Wszędzie.

Dlaczego?

Byłem już w Areszcie. Nie podobało mi się i nie chciałem wracać. Kiedyś będziesz musiał stanąć przed sądem.

Wiem.

Będziemy cię zachęcać, żebyś zrobił to jeszcze tutaj. Albo przynajmniej się zgłosił.

Zastanowię się.

W jaki sposób zarabiałeś na życie?

Sprzedając narkotyki.

To będzie się musiało skończyć.

Wiem.

Czy poddałeś się kiedyś Leczeniu?

Nie.

Dlaczego?

Nigdy nie chciałem się zgłosić. Powiedziałem Rodzicom, że jeśli spróbują mnie zamknąć, ucieknę i nigdy więcej mnie nie zobaczą. Uwierzyli mi.

Przerywa i odkłada długopis. Patrzy mi w oczy i czuję, że mnie bada, czeka, aż odwrócę wzrok, więc tego nie robię.

Czy chcesz się wyleczyć?

Tak sędzę.

Tak sądzisz?

No.

Czy to znaczy tak?

To znaczy, że tak sędzę.

Dlaczego?

Moje życie to Piekło, było Piekłem już zbyt długo. Jeżeli nie przestanę, to umrę. Nie jestem pewien, czy chcę już być martwy.

Czy jesteś gotów zrobić wszystko, co trzeba?

Nie wiem.

Zapytam raz jeszcze. Czy jesteś gotów zrobić wszystko, co trzeba? Nie wiem.

Zapytam jeszcze raz. Czy jesteś gotów zrobić wszystko, co trzeba? Nie wiem.

Patrzy na mnie zły, że nie udzielę mu odpowiedzi, którą chciałby usłyszeć. Wstrzymuję jego spojrzenie.

Jeżeli nie jesteś gotów zrobić wszystkiego, co trzeba, możesz równie dobrze odejść. Wolałbym, żebyś tego nie robił, ale nie możemy ci pomóc, dopóki nie będziesz gotów pomóc samemu sobie. Pomyśl o tym i porozmawiamy. Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, znajdź mnie.

Dobrze.

Wstaje i wstaje i obchodzi biurko i wychodzimy z Gabinetu i idziemy z powrotem na Oddział. Mężczyźni wracają z lunchu i zbierają się w małych grupkach przy stołach, na kanapach, na rozkładanych krzesłach. Ken pyta mnie, czy chcę kogoś poznać, i mówię mu nie i odchodzi i patrzę, jak podchodzi do innego mężczyzny i zaczyna z nim rozmawiać. Siadam na krześle i zapalam papierosa i głęboko się zaciągam i patrzę na mężczyzn siedzących dookoła. Są czarni i biali i żółci i brązowi. Mają długie włosy, krótkie włosy, brody i wąsy. Są dobrze ubrani i noszą łachmany, są grubi i są chudzi. Są twardzi, ogorzali, zmęczeni i zdesperowani. Groźni i oprychowaci, uzależnieni i niepoczytalni. Wszyscy są różni i wszyscy są tacy sami i kiedy siedzę tam i palę papierosa, napędzają mi niezłego stracha. Ken

kończy rozmawiać z mężczyzną i oznajmia, że czas na Wykład, więc Mężczyźni wstają i zaczynają wychodzić. Leki przestają działać i potrzebuję więcej, więc nie idę na Wykład, tylko wracam do Skrzydła Medycznego i staję w kolejce. Kiedy kolejka posuwa się do przodu, zaczynam odczuwać niepokój i zdenerwowanie i złość.

Z każdym krokiem zbliżającym mnie do leków, uczucia się nasilają. Czuję, jak serce bije mi szybciej, i spoglądam na dłonie i trzęsą się i kiedy dochodzę do okienka, nie mogę mówić. Chcę czegoś, potrzebuję czegoś, muszę coś dostać. Cokolwiek. Po prostu mi to kurwa daj.

Pielęgniarka mnie rozpoznaje i sięga po kartę i spogląda na nią i odwraca się i wyciąga z szafki leki. Podaje mi je z małym plastikowym kubkiem wody i połykam je tak szybko jak potrafię i odchodzę od okienka i czekam. Prawie natychmiast czuję się lepiej. Serce mi zwalnia, dłonie przestają się trząść, zdenerwowanie, niepokój i złość znikają.

Odwracam się i wychodzę i idę w stronę Oddziału i idę do Auli, gdzie siadam i słucham, jak mężczyzna opowiada o związku między zdrową dietą a sprawnym umysłem. Nic z tego nie rozumiem przez leki i w pewnym momencie Wykład się kończy i wstaję i wychodzę i wracam na Oddział z resztą mężczyzn. Jeden z nich wygląda jak Gwiazda Filmowa i wydaje mi się, że z nim rozmawiam, ale

nie jestem pewien. Popołudnie i wczesny wieczór przemijają pod pokrywą otumanienia, gdzie zdolność do zbornego rozumowania zanika i gdzie każda chwila wydaje się wiecznością. Wkrótce po kolacji wchodzę do łóżka i po raz pierwszy od kilku lat mam świadomość tego, że zasypiam. Otwieram oczy. Moi Współlokatorzy śpią i w Pokoju jest cicho i spokojnie i ciemno. Siadam i przejeżdżam palcami po włosach i spoglądam na poduszkę i widzę, że jest zakrwawiona. Dotykam twarzy i dociera do mnie, że krwawię.

Wstaję i powoli robię dziesięć kroków do Łazienki i otwieram drzwi i wchodzę do środka i włączam światło. Wzdrygam się oślepiony i zamykam oczy i kiedy czekam, aż wzrok mi się przyzwyczai, robię krok do przodu i chwytam brzeg umywalki. Otwieram oczy i patrzę w lustro i pierwszy raz od pięciu dni widzę swoją twarz.

Moje wargi są pocięte i popękane, a z powodu opuchlizny są trzy razy większe niż normalnie. Rząd zaschniętych pokrytych strupami szwów na lewym policzku trzyma głęboką ranę długości jednego cala.

Mój nos jest skrzywiony i napuchnięty pod bandażem, z nozdrzy wyciekają mi czerwone strużki. Pod oczami mam ciemnofioletowe i żółte sińce. Wszędzie jest krew, ta lepka i ta zaschnięta.

Sięgam po papierowy ręcznik i namaczam go i zaczynam delikatnie wycierać. Smugi krzyżują mi się na policzkach i strupy pękają i krzywię się z bólu i

ręcznik nasiąka. Wyrzucam go i sięgam po następny.
Robię to jeszcze raz.

Robię to jeszcze raz.

Robię to jeszcze raz.

Kończę i wyrzucam ostatni ręcznik i myję dłonie i patrzę, jak czerwień ścieka ze skóry do umywalki i do odpływu. Zakręcam kran i przejeżdżam rękami po włosach i są ciepłe i miłe w dotyku i próbuję na sobie jeszcze raz spojrzeć.

Chcę zobaczyć oczy. Chcę zajrzeć pod powierzchnię bladej zieleni i zobaczyć, co jest wewnątrz mnie, co jest we mnie, co ukrywam. Zaczynam podnosić wzrok, ale odwracam się. Próbuję się zmusić, ale nie mogę.

Odwracam się i wychodzę z Łazienki i wchodzę do Pokoju. Larry i Warren i John nie śpią i są na różnych etapach ubierania. Mówią cześć i mówię cześć i wracam do łóżka i wchodzę pod kołdrę. Kiedy zaczyna mi być wygodnie, John podchodzi i staje nade mną.

Co robisz?

A jak ci się wydaje?

Idziesz spać.

Właśnie.

Nie możesz tego zrobić.

Dlaczego nie?

Musimy wykonać swoje Prace.

Jakie prace?

Każdy z nas ma wyznaczoną jakąś Pracę.
Wstajemy rano i ją wykonujemy.

Teraz?

No.

Wstaję z łóżka i idę za Johnem na Górny Poziom Oddziału. Roy mnie zauważa i podchodzi do mnie i prowadzi do Tablicy Prac i pokazuje mi ją i tłumaczy, jak to działa.

Jest Praca i jest twoje imię. Im dłużej tu jesteś, tym lżejsza Praca. Ponieważ dopiero przyjechałeś, masz wyczyścić Toalety Publiczne. Pytam, gdzie są środki czystości, i pokazuje mi. Kiedy je zbieram i kieruję się w stronę Toalet Publicznych, mówi.

Postaraj się, żeby były czyste.

Tak jest.

Naprawdę czyste.

Usłyszałem.

Znajduję Toalety Publiczne, dwie Łazienki na Górnym Poziomie używane przez Opiekunów, Gości i mężczyzn, którym nie chce się wracać do Pokoi. Są małe, z jedną toaletą i jednym pisuarem i jedną umywalką w każdej. Wchodzę do środka i szoruję toalety i pisuary i umywalki. Opróżniam kosz na śmieci i wymieniam papier toaletowy. Myję podłogę. To nie jest przyjemne, ale już wyczyściłem toalety, więc mi to nie przeszkadza.

Kończę pracę i odnoszę środki czystości i wracam do Pokoju i idę do Łazienki i wymiotuję. Nie

piłem od trzech dni i nie brałem koki od pięciu, więc mdłości nie są tak silne jak zazwyczaj, ale zaczyna mi być niedobrze w innym sensie. Zamykam pokrywę i spuszczam wodę i siadam na sedesie i patrzę w ścianę. Zastanawiam się, co się ze mną dzieje.

Wstaję i zaczynam chodzić po Łazience w tę i z powrotem. Krzyżuję ramiona i zaczynam pocierać ciało. Robi mi się zimno i czuję chłód w krzyżu. W jednej sekundzie chce mi się płakać, w jednej chce mi się zabijać, w jednej chce mi się umrzeć. Rozważam bieganie, ale nie ma gdzie biegać, więc chodzę szybkim krokiem i pocieram ciało i jest mi zimno.

Larry otwiera drzwi i mówi, że czas na śniadanie, więc wychodzę i idę za nim i Warrenem i Johnem do Stołówki i staję w kolejce i dostaję jedzenie. Znajduję pusty stolik i siadam i zaczynam jeść ciepłą słodką owsiankę z miseczki i pić wodę ze szklanki. Wrażenia ustąpiły, ale nie do końca. Wydaje mi się, że tracę zmysły.

Kończę owsiankę i opieram się na krześle i rozglądam się po Stołówce i widzę Kena rozmawiającego z mężczyzną z mojego Oddziału. Mężczyzna pokazuje na mnie i Ken podchodzi do mojego stolika i siada przede mną.

Dobrze się czujesz?

W porządku.

Myślałeś o naszej rozmowie?

Tak.

Jakieś wnioski?

Nie.

No to myśl dalej.

Będę myślał.

Dziś rano jesteś umówiony do Dentysty.

W porządku.

Zaprowadzę cię na Oddział Medyczny i po tym, jak dostaniesz leki, wsadzę cię do furgonetki. Kierowca zawiezie cię na wizytę, zaczeka i przywiezie cię z powrotem.

Dobrze.

Potem, jak już zjesz lunch, poddamy cię badaniu o nazwie MMPI.

To standardowy test psychologiczny, który pozwoli nam określić, jak możemy ci pomóc.

Dobra.

Wstaje.

Gotów?

Biorę tacę i wstaję.

No.

Odkładam tacę i wychodzimy i wracam na Oddział Medyczny. Dostaję leki i biorę je i idziemy do głównego Wejścia do Szpitala, gdzie czeka biała Furgonetka. Ken daje mi kurtkę, żebym nie zmarzł, i wychodzimy i odsuwa boczne drzwi furgonetki i rozmawia z Kierowcą, podczas gdy ja rozsiadam się z przodu. Ken się żegna i ja się żegnam i zamyka

drzwi i Kierowca rusza i odjeżdżamy. Pogoda się popsuła. Czarne chmury zasłaniają Niebo i płatki śniegu zalegają na Ziemi. Co kiedyś było zielone, jest brązowe. Co kiedyś miało liście, nie ma ich. Jest zimno i jest zima i Świat poszedł spać. Spoglądam przez okno na dryfujący zamarznięty krajobraz. Mgiełka mojego oddechu zbiera się na szybie i zaczynam drzeć. Kulę się i patrzę na Kierowcę, który też się kuli i jedzie powoli i patrzy na Drogę.

Można tu trochę nagrzać?

Kierowca patrzy na mnie.

Zimno?

Patrzę na niego.

Jak cholera.

Śmieje się.

Już niedługo, Mały. Jak tylko silnik się rozgrzeje, będzie ciepło. Zatrzymujemy się na samotnym skrzyżowaniu, gdzie światło jest czerwone i drogi są puste i wiatr wzbija w powietrze skrawki papieru i liście. Kierowca jest leciwy. Ma rozczochrane siwe włosy i zmierzwioną siwą brodę i błyszczące niebieskie oczy. Jego cera wygląda, jakby była z licowanej skóry. Jego przedramiona są cienkie, ale wyglądają na silne, a on sam pomimo wieku wygląda na silnego. Wyciąga rękę, żeby uścisnąć mi dłoń.

Jestem Hank.

Podajemy sobie ręce.

Jestem James.

Co się stało?

Nie bardzo wiem.

Rozjebałeś się?

A jak to wygląda?

Ogląda, jakby to było mało powiedziane.

Pozory nie mylą.

Śmiejemy się i światło zmienia się na zielone i Hank jedzie i dalej rozmawiamy. Jest z Massachusetts, gdzie przez większość życia był Kapitanem Barki Rybackiej. Zawsze był Alkoholikiem, ale kiedy przeszedł na emeryturę, pogorszyło mu się. Stracił Dom, Żonę, Rodzinę, rozum. Przyjechał tu po pomoc i kiedy się wyleczył, postanowił zostać i zobaczyć, czy mógłby pomagać innym. Dobrze się z nim rozmawia i kiedy podróż się ciągnie, zaczynam traktować go jak przyjaciela.

Wjeżdżamy do małego Miasteczka i skręcamy w Ulicę, która wygląda na Główną. Spożywczak, Sklep Żelazny, Posterunek. Na Lampach wiszą ozdoby na Halloween i Ludzie, którzy wyglądają, jakby się wszyscy znali, wchodzą i wychodzą ze Sklepów. Hank wjeżdża na miejsce parkingowe naprzeciwko Sklepu Wędkarskiego i wysiadamy z furgonetki i idziemy do małych drzwi obok głównego Wejścia do Sklepu. Hank otwiera drzwi i wchodzimy po schodach i przechodzimy przez kolejne drzwi i wchodzimy do małego ciemnego Pokoju z dwiema

kanapami, Recepcją za szklanymi rozsuwanymi drzwiami i małym stolikiem z porzrzuconymi czasopismami i książkami dla Dzieci.

Hank idzie do Recepcji, a podchodzę do jednej z kanap i siadam i zaczynam przeglądać czasopisma. Na drugiej kanapie siedzi kobieta z małym Chłopcem przeglądającym książkę z obrazkami o Słoniu Babarze. Kiedy biorę czasopismo i opadam na oparcie kanapy, żeby zacząć czytać, dostrzegam, jak kobieta obserwuje mnie kątem oka. Przysuwa się do Chłopca i obejmuje go ramieniem i nachyla się i całuje go w czoło. Wiem, dlaczego to robi, i nie winię jej i kiedy otwieram czasopismo, serce mi się kraje i mam nadzieję, że mały Chłopiec nie wyrośnie na kogoś takiego jak ja.

Hank wraca z Recepcji.

Przyjmą cię od razu.

Odkładam czasopismo i wstaję.

Dobra.

Boję się i Hank to widzi.

W porządku?

Kładzie mi dłoń na ramieniu.

Tak.

Spogląda mi prosto w oczy.

Wiem, że to zapadła Dziura, ale ci ludzie znają się na rzeczy, Mały. Dasz sobie radę.

Odwracam wzrok.

Pielęgniarka mnie woła i Hank zabiera dłoń i idę

do otwartych drzwi, gdzie Pielęgniarka na mnie czeka. Zanim wejde, odwracam się i widzę, jak kobieta i Dziecko na mnie patrzą. Spoglądam na Hankę i przytakuje i ja przytakuję i przez ułamek sekundy czuję się silny. Nie na tyle silny, żeby stawić czoło samemu sobie, ale na tyle, żeby iść do przodu.

Przechodzę przez drzwi i Pielęgniarka prowadzi mnie do czystego białego Pokoju i siadam na dużym fotelu dentystycznym na środku Pokoju i Pielęgniarka wychodzi i czekam. Kilka sekund później wchodzi Dentysta. Jest po czterdziestce, wysoki i ma ciemne włosy i ciemne oczy i szorstką skórę. Pomijając biały fartuch i podkładkę do pisania, wygląda jak Drwal.

Jesteś James?

Przysuwa krzesło i siada naprzeciwko mnie.

Tak.

Doktor David Stevens, miło mi.

Podajemy sobie dłonie.

Mnie również.

Zakłada parę cienkich przezroczystych rękawiczek z lateksu.

Lekarz z Ośrodka opowiedział mi o tobie.

Wyciąga z kieszeni małą latarkę.

Ale i tak sam muszę cię zbadać, zobaczyć, z czym konkretnie mamy do czynienia.

Nachyla się.

Możesz otworzyć usta?

Otwieram, a on włącza latarkę i zbliża się do mojej twarzy.

Mogę podnieść górną wargę?

Kiwam na tak i odkłada latarkę i podnosi moją wargę i bierze długi cienki metalowy przyrząd z ostrym końcem.

To może boleć.

Końcówką przyrządu dotyka odłamków moich dwójek i zaczyna wpychać go w poranione części dziąseł. Ból jest natychmiastowy, ostry i przejmujący. Chcę zamknąć usta i powstrzymać go, pozbyć się bólu, ale tego nie robię. Zamykam oczy i zwijam dłonie w pięści i zaciskam. Czuję, jak wargi mi drżą i czuję smak krwi i kiedy Dentysta dotyka moich zębów, ruszają się. Kończy badanie i słyszę, jak odkłada przyrząd na tackę. Odprężam się i otwieram oczy. Musimy zrobić prześwietlenie, ale z tego, co widać gołym okiem, wynika, że trzeba będzie operować.

Zaciskam pięści. Zaciskam mocno.

Dwie dwójki są połamane, ale korzenie wyglądają na nietknięte. Wargi mi drżą.

Założymy korony i to powinno wystarczyć.

Czuję smak krwi.

Jednak obie jedyne obumierają.

Dotykam językiem górnych dziąseł.

Trzeba będzie przeprowadzić leczenie kanałowe i zrobić mostek. Czuję resztki moich zębów. Krótkie

ostre odłamki zębów.

To nie będzie przyjemne, ale jeżeli w ogóle chcesz mieć zęby, nie ma innego wyjścia.

Przytakuje.

Umówię cię na wizytę za parę dni. Do tego czasu opuchlizna warg powinna zniknąć, tak jak jest teraz, nic nie możemy zrobić. Przytakuje.

Miło cię było poznać, James.

Mnie też.

Wstaje i podajemy sobie ręce i wychodzi. Inna Pielęgniarka wchodzi i myje mi usta i wpycha do nich waciki i klisze i robi kilka zdjęć rentgenowskich. Kiedy kończy, waciki są przesiąknięte krwią i czuję, jakby ktoś wyszorował mi usta papierem ściernym i uderzył młotkiem. Mówi mi, że mogę już iść, i wychodzi i wstaje i wracam do Poczekalni. Hank siedzi na jednej z kanap i czyta czasopismo o prywatnym życiu Gwiazd Filmu i podchodzę i siadam obok niego i odkłada czasopismo i patrzy na mnie.

Jak było?

W porządku.

Złożą cię do kupy?

Tak twierdzą.

Pójdę dowiedzieć się, kiedy mamy wrócić.

Wstaje i idzie do Recepcji i rozmawia z Recepcjonistką i wraca i wychodzimy z Biura i wsiadamy do Furgonetki i zaczynamy jechać z

powrotem do Kliniki. Hank próbuje być miły i rozmawiać ze mną, ale mówię mu, że usta mnie bołą, więc daje mi spokój. Wyglądam przez okno.

Myślę o niej. Myślę o tym, kiedy ją zobaczyłem po raz pierwszy. Miałem osiemnaście lat i byłem w Szkole i siedziałem sam pod pomarańczowym i żółtym więdącym październikowym drzewem. Trzymałem w ręku książkę i czytałem i z jakiegoś powodu podniosłem wzrok. Szła sama przez trawnik Szkoły z papierami pod pachą. Potknęła się i papiery rozsypały się na ziemi i kiedy nachyliła się, żeby je pozbierać, rozejrzała się, żeby zobaczyć, czy ktoś to zauważył. Nie widziała mnie, ale kiedy rzuciła się do zbierania papierów, ja ją zobaczyłem. Nie zauważyła mnie, ale ja zauważyłem.

Furgonetka podejźdza przed Wejście do Kliniki, Hank i ja wysiadamy z Furgonetki i podchodzę do Hanka i dziękuję mu za podwiezienie i wsparcie. Mówi mi, że przydałoby się mnie przytulić, i wyśmiewam go, a on to ignoruje i podchodzi i obejmuje mnie i przytula. Zwyczajna radość z kontaktu z innym człowiekiem mnie rozgrzewa i po raz pierwszy od dłuższego czasu jest mi naprawdę dobrze. Czuję się niezręcznie, więc się odsuwam i żegnam i dziękuję mu jeszcze raz i wracam do Kliniki. Recepcjonistka mówi mi, że jest pora lunchu, więc idę do Stołówki i ustawiam się w kolejce i dostaję talerz zupy i szklankę wody i znajduję pusty

stolik i siadam sam i staram się z całych sił przepchnąć trochę jedzenia przez krawę 2glis2C2a swoich ust.

Hej, Młody.

Podnoszę w2rok. Pr2ede mną stoi mężczy2na. Ma koło pięćdziesiątki, jest średniego wzrostu, średniej budowy ciała. Ma gęste brązowe włosy r2ednące na czubku głowy i ogor2ałą twar2, która wygląda, jakby 2alic2yła w życiu kilka ciosów. Ma na sobie jaskrawą niebieskożółtą jedwabną hawajską koszulę, małe okrągłe srebrne okulary i dużego złotego roleksa. Pr2ygląda mi się. Kładzie tacę na stoliku. Wgląda na wkurwionego.

Pamiętasz mnie?

Nie.

Pałętales się przez dwa dni, wołając na mnie Gene Hackman. Chwytam, że przećpali cię tym szajsem na odtruwanie, ale nie jestem Gene Hackman, nigdy nie był ze mnie Gene Hackman i jeżeli jeszcze raz wyjedziesz mi z Gene'em kurwa Hackmanem, będziemy mieli kurewsko wielki zgryz.

Śmieję się.

Coś śmiesznego?

Śmieję się jeszcze raz. Wygląda jak Gene Hackman.

To ci się wydaje śmieszne, Chujku?

Patrzę na niego i się uśmiecham. Nie mam zębów i ta myśl sprawia, że uśmiecham się jeszcze

szerzej.

Myślisz, że to jest kurwa śmieszne?

Patrzę na niego. Ma twarde, gniewne, agresywne oczy. Rozumiem te oczy i wiem, jak sobie z nimi radzić. Jestem na znajomym gruncie. Wstaję i mój uśmiech znika. Patrzę na mężczyznę i Sala zamiera. Mówię.

Nie znam cię. Nie pamiętam, żebym cię kiedykolwiek widział, nie pamiętam, żebym z tobą kiedykolwiek rozmawiał, i z pewnością nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wołał na ciebie Gene Hackman, ale gdybym tak zrobił, to pewnie, że byłoby śmieszne.

Czuję, że większość Ludzi w Stołówce nas obserwuje, i serce bije mi szybciej i mężczyzna patrzy na mnie i jego oczy są twarde, gniewne i agresywne. Wiem, że nie jestem w formie, ale jest mi wszystko jedno. Czuję, jak się szykuję. Napinam się, szczęka mi się zaciska, patrzę prosto przed siebie spojrzeniem utkwionym, skoncentrowanym i nieruchomym.

Jeżeli chcesz mnie zmusić, żebym ci dopierdolil, Dziadek, to równie dobrze możemy startować.

Jest zaskoczony. Nie przestraszony czy niechętny, tylko zaskoczony. Patrzę prosto przed siebie.

Coś ty powiedział?

Spojrzenie utkwione, skoncentrowane i

nieruchome.

Powiedziałem, że jeżeli chcesz mnie zmusić, żebym ci dopierdolil, to równie dobrze możemy startować.

Młody, jak masz na imię?

James.

James, jestem Leonard.

Uśmiecha się.

Nie wiem, czy jesteś najgłupszym kutasem, jakiego w życiu spotkałem, czy najodważniejszym, ale jeżeli odpowiesz mi na jedno pytanie, to rozważę puszczenie tej ostatniej uwagi w niepamięć.

Co to za pytanie, Leonard?

James, czy ciebie pojebało?

Tak, Leonard, pojebało mnie. Pojebało mnie i to jak.

To dobrze, bo mnie też pojebało. Lubię pojebańców i staram się z nimi zadawać przy każdej okazji. To może sobie siądziemy i zjemy razem lunch, zobaczymy, może uda się nam zapomnieć o naszej sprzeczce i zostać kumplami. Przydałby mi się tu kumpel.

W porządku.

Siadamy i jemy lunch i Leonard mówi, a ja słucham, jak mówi. Leonard pochodzi z Las Vegas, a tu jest od tygodnia. Jest uzależniony od kokainy i od ponad roku zbierał się, żeby tu przyjechać. Ostatnich dwanaście miesięcy spędził na jedzeniu

wysokokalorycznych posiłków, picciu drogich win, grze w golfa i wciąganiu gigantycznych ilości koki. Wziął już tyle, mówi, że jeżeli weźmie jeszcze raz, to umrze. Nie wiem, jak zarabia na życie, ale wiem, że to nielegalne, i wiem, że jest w tym dobry. Wdę to po jego oczach, słyszę w jego słowach, rozpoznaję po łatwości, z jaką mówi o sprawach, które większość ludzi uznałaby za przerażające. Dobrze się czuję w jego towarzystwie. Lepiej niż w towarzystwie innych ludzi tutaj. Mówienie o okropnościach przychodzi mu łatwo. Jest jakimś Przestępcą. Dobrze się czuję w jego towarzystwie.

Kończymy jeść i odnosimy tace i wychodzimy ze Stołówki i idziemy do Auli. Pacjentki siedzą po jednej stronie Auli, Pacjenci po drugiej, łączna liczba Pacjentów wynosi około dwustu pięćdziesięciu. Każdy siedzi ze swoim Oddziałem i kiedy Leonard i ja siadamy wśród dwudziestu mężczyzn z Sawyer, Lekarz na Podium zaczyna opowiadać nam o Alkoholizmie i Narkomanii jako chorobach.

Zbiera mi się na wymioty. Wstrząsają mną fale mdłości. Robi mi się zimno. Zamykam oczy i otwieram je i zamykam je jeszcze raz. Robię to szybko, robię to powoli. Zaczynam się trząść i patrzę na krzesło przede mną i ono się rusza. Zaczyna do mnie mówić, więc odwracam wzrok i widzę tańczące wszędzie niebieskie i srebrne światła. Zamykam oczy i świada tańczą mi w mózgu. Czuję, jak krew płynie

mi powoli przez serce i czuję, że stracę przytomność, więc chwytam twarz dłonią i ściskam twarz. Boli, ale chcę bólu, bo on zamienia ten koszmar w rzeczywistość i ratuje przed utratą zmysłów. Ból jest ogromny, ale potrzebuję go, bo ratuje mnie przed utratą zmysłów. Lekarz kończy mówić i Pacjenci zaczynają klaskać i puszczam twarz i biorę głęboki wdech i patrzę prosto przed siebie. Leonard klepie mnie w ramię.

W porządku?

Nie.

Potrzebujesz pomocy?

Nie.

Wyglądasz, jakbyś potrzebował.

Potrzebuję czegoś, ale nie pomocy.

Kiedy Lekarz na Podium odpowiada na pytania, wstaję i wychodzę z Auli. Kieruję się z powrotem na Oddział w nadziei, że dojdę do łóżka i że w łóżku poczuję się lepiej. Kiedy mijam Gabinet Kena, woła mnie, a ja go ignoruję i idę dalej. Wychodzi na Korytarz i woła mnie jeszcze raz.

James.

Zatrzymuję się.

Co?

Opieram się o ścianę.

W porządku?

Podchodzi do mnie.

Fatalnie się czuję, muszę się położyć.

Zatrzymuje się przede mną.

Możesz się położyć później. Czas na twój test.

Jaki test?

MMPI. Opowiadałem ci o nim rano.

Nie chce mi się go robić.

Dlaczego?

Bo fatalnie się czuję i muszę się położyć.

Przez pewien czas będziesz się czuł fatalnie.

Może, ale i tak nie chcę robić tego testu.

Jest obowiązkowy.

Nie mogę go zrobić później?

Nie, musisz go zrobić teraz. Pomoże nam zrozumieć, jak ci pomóc, bo chcemy ci pomóc jak najszybciej.

Dobra.

Przechodzimy przez Aulę i przez labirynt Korytarzy z wykładziną na podłodze i wchodzimy do małego pustego Pokoju z dwoma krzesłami i stołem. Ken siada i ja siadam. Przed nami na stole jest duża spięta zszywaczem książeczka i arkusz odpowiedzi i ołówek. Ken mówi.

To bardzo prosty test. Odpowiadasz prawda lub fałsz, możesz się zastanawiać, jak długo chcesz. Kiedy skończysz, wróć do mojego Gabinetu, a jeżeli mnie tam nie będzie, zostaw odpowiedzi na biurku. Psycholog wszystko przeanalizuje i za dwa dni omówimy razem wyniki.

W porządku.

Jakieś pytania?

Nie.

Ken wychodzi, a ja biorę ołówek i arkusz odpowiedzi i otwieram książeczkę i zaczynam czytać. Strony są wypełnione pytaniami i zaczynam na nie odpowiadać.

Jestem zrównoważoną osobą.

Fałsz.

Uważam, że Świat sprzymierzył się przeciwko mnie.

Fałsz.

Uważam, że inni są źródłem moich problemów.

Fałsz.

Nikomu nie ufam.

Fałsz.

Nienawidzę samego siebie.

Prawda.

Często myślę o śmierci.

Prawda.

Samobójstwo jest rozsądnym rozwiązaniem.

Prawda.

Moich grzechów nie da się odkupić.

Patrzę na pytanie.

Moich grzechów nie da się odkupić.

Patrzę na pytanie.

Moich grzechów nie da się odkupić.

Zostawiam puste miejsce.

Kończę pięćset sześćdziesiąte szóste z pięciuset

sześćdziesięciu siedmiu pytań testu wyboru i zamykam książeczkę i odkładam ołówek i biorę głęboki oddech. Minęło wiele godzin, a ja jestem wyczerpany i chcę drinka. Wódka, gin, rum, tequila, burbon, scotch. Wszystko jedno. Po prostu dajcie mi drinka. Dobrego mocnego alkoholowego drinka. Mówię sobie, że chcę tylko jednego, ale wiem, że to nieprawda. Chcę kurwa pięćdziesiąt.

Biorę arkusz odpowiedzi i wstaję i wychodzę z Pokoju i wracam do Gabinetu Kena i zostawiam test i arkusz odpowiedzi na biurku i idę na Oddział. Zajęcia skończyły się i mężczyźni są rozproszeni w grupkach na obydwu Poziomach. Grają w karty, plotą trzy po trzy, palą papierosy i piją kawę. Telefon jest wolny. Nie rozmawiałem z Rodzicami, Bratem ani żadnym z przyjaciół, więc idę na Dolny Poziom i biorę krzesło i siadam przy telefonie i podnoszę słuchawkę i zaczynam dzwonić na koszt rozmówcy.

Dzwonię do swojej przyjaciółki Amy. Dzwonię do swojej przyjaciółki Lucindy. Dzwonię do swojej przyjaciółki Courtney. Wszystkie były jej przyjaciółkami, ale kiedy odeszła i wszyscy inni odeszli, one przy mnie zostały. Kocham wszystkie trzy z całego serca i rozmowy mnie przygnębiają. Dzwonię, one odbierają. Mówię, że miałem wypadek, że znalazłem się tutaj, że chcę spróbować się wyleczyć. Mówię, że nie wiem, czy mi się uda. Płaczą i pytają, czy czegoś potrzebuję, a ja mówię, że

nie. Pytają, czy mogą jakoś pomóc. Mówię, że wystarczająco mi pomogły. Rozłączamy się.

Dzwonię do Brata. Pyta, jak się mam, i mówię, że daję sobie radę. Mówi, że się o mnie martwi i że chce przyjechać w odwiedziny. Mówię, że nie wiem, jaki dziś dzień, ale że Dzień Odwiedzin jest w niedzielę i że chciałbym, żeby przyjechał. Mówi, żebym był dzielny, a ja mówię, że się staram. Mówi, że jest ze mnie dumny, a ja mówię dzięki. Mówię, że muszę iść, a on mówi, żebym zadzwonił, gdybym czegoś potrzebował, dziękuję mu. Rozłączamy się.

Dzwonię do Rodziców do Hotelu w Chicago i moja Matka odbiera połączenie.

Słucham.

Cześć, Mamo.

James, poczekaj.

Słyszę, jak woła Ojca. Ojciec podnosi słuchawkę.

Cześć, James.

Cześć, Tato.

Jak się masz?

W porządku.

Jak ci tam jest?

Dobrze.

Co się dotąd działo?

Jestem odtruwany i to jest niefajne, a wczoraj przeniosłem się na Oddział i to jest w porządku.

Czujesz, że to pomaga?

Nie wiem.

Słyszę, jak Mama robi głęboki wdech.

Możemy coś zrobić?

Słyszę, jak Mama się rozkleja.

Nie.

Słucham, jak płacze.

Muszę lecieć, Tato.

Słucham, jak płacze.

Dasz sobie radę, James. Tylko się trzymaj.

Słucham, jak płacze.

Muszę lecieć.

Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, zadzwoń.

Do widzenia.

Kochamy cię.

Odwieszam słuchawkę i patrzę w podłogę i myślę o Matce i Ojcu w Pokoju Hotelowym w Chicago i zastanawiam się, dlaczego ciągle mnie kochają i dlaczego nie potrafię ich kochać i jak dwójka normalnych zrównoważonych ludzi mogła stworzyć coś takiego jak ja, żyć z czymś takim jak ja i znosić coś takiego jak ja. Patrzę w podłogę i zastanawiam się. Jak oni mnie znosili.

Podnoszę wzrok i widzę, jak większość mężczyzn wychodzi z Oddziału na kolację, więc wstaję i przechodzę Korytarzami do Stołówki i staję w kolejce i dostaję zupę i szklankę wody i siadam przy pustym stoliku i jem. Jedzenie mi smakuje i kiedy zjadam cały talerz, chcę jeszcze. Moje ciało

łaknie i pragnie i wymaga i mimo że nie może mieć tego, co normalnie ma, potrzebuje czegoś. Dostaje drugi talerz, a potem trzeci, a potem czwarty. Zjadam wszystko i chcę jeszcze. Zawsze było tak samo, chcę jeszcze i jeszcze i jeszcze i jeszcze.

Kończę jeść i wychodzę ze Stołówki i idę do Auli i siadam z Leonardem i słucham, jak kobieta opowiada historię swojego życia. Przez ostatnich dziesięć lat była w siedemnastu Ośrodkach Odwykowych. Straciła Męża, Dzieci, wszystkie pieniądze i spędziła dwa lata w Więzieniu. Od osiemnastu miesięcy nie bierze i mówi, że po raz pierwszy w życiu jest szczęśliwa. Mówi, że poświęciła życie Bogu i Dwunastu Krokom i że każdy nowy dzień jest lepszy od poprzedniego. Powodzenia, proszę Pani. Powodzenia kurwa powodzenia.

Kończy opowieść i Ludzie klaszczą i wstaję i wracam na Oddział i idę do Pokoju. Chcę iść do łóżka, ale nie mogę, więc gram w karty z Johnem i Larrym i Warrenem. Larry, którego Zona i nowo narodzone Bliźniaczki czekają na niego w domu w Teksasie, jest pogrążony w żalu. Po południu dowiedział się, że ma wirusa HIY którym się przypuszczalnie zaraził w ciągu dziesięciu lat szprycowania się metamfetaminą w kryształkach i pierdolenia kurew. Chce powiedzieć Zonie, ale boi się do niej zadzwonić, więc siedzi z nami i gra w

karty i opowiada o tym, jak bardzo kocha swoje Dzieci. Chcę spróbować go pocieszyć, ale nie wiem, co powiedzieć, więc nic nie mówię i śmieję się, kiedy żartuje, i mówię mu, że jego Dziewczynki są śliczne, kiedy pokazuje mi ich zdjęcie.

Robi się późno i odkładamy karty i idziemy do łóżek. Moje ciało ciągle pragnie tego, czego nie mogę mu dać, i nie mogę zasnąć, więc leżę na plecach i patrzę w sufit. Myślę o tym, gdzie jestem i jak tu trafiłem i co ze mną dalej kurwa będzie, i słucham, jak Larry płacze i wali w poduszkę i przeklina Boga i błaga o przebaczenie. W pewnej chwili oczy mi się zamykają i w pewnej chwili zasypiam.

Siedzę sam przy stole. Jest ciemno i nie wiem, gdzie jestem ani jak się tu znalazłem. Wszędzie są butelki z wysokoprocentowym alkoholem i winem, a na stole przede mną jest duża kupka białej kokainy i olbrzymia torba żółtego cracku. Jest też zapalniczka, fifa, tubka kleju i otwarty kanister pełen benzyny.

Rozglądam się. Ciemność, alkohol, narkotyki. Masa wszystkiego. Wem, że jestem sam i że nikt mnie nie powstrzyma. Wem, że mogę wziąć, ile chcę, czego chcę.

Kiedy sięgam po jedną z butelek, coś mówi mi, żebym przestał, że to jest złe, że nie mogę już tego robić, że się zabijam. I tak sięgam. Biorę butelkę, podnoszę do ust i wypijam długi duży łyk, który pali mi usta, przełyk i żołądek.

Przez ułamek sekundy czuję się spełniony. Wewnętrzny ból znika. Czuję się odprężony i wypoczęty, pewny siebie i bezpieczny, opanowany i spokojny. Czuję się dobrze. Kurwa mać, czuję się zajebiście.

Uczucie znika tak szybko, jak się pojawiło, i pragnę go z powrotem. Nie obchodzi mnie, co muszę zrobić, co muszę wziąć, co muszę przejść. Zrobię wszystko. Chcę tylko, żeby wróciło.

Wypijam kolejnego drinka. Nie działa. Łapię inną butelkę, piję większego drinka. Nie działa. Chwytam butelkę za butelką, piję drinka za drinkiem, nic nie działa. Zamiast czuć się lepiej, czuję się coraz gorzej. Wszystkie dobre odczucia stały się złe i tak zintensyfikowane, że trudno by je do czegoś przyrównać albo zrozumieć. Moim jedynym wyjściem jest spróbować zabić. Zabić to, co boli. Zabić to.

Przechodzę do narkotyków. Biorę głęboki wdech i zakopuję twarz w kupie koki i wdycham i moje nozdrza zaczynają płonąć i w moim gardle rozpętuje się piekło. Biorę oddech, wdycham, biorę oddech, wdycham, biorę oddech, wdycham. Za dużo za szybko i nos zaczyna mi krwawić. Wycieram krew i biorę oddech i wdycham.

Robię to jeszcze raz. Zabijanie rozpoczęło się, ale do końca jeszcze daleko.

Rozrywam torbę cracku i wyciągam garstkę

małych żółtych kryształków. Jeszcze raz wycieram krew i biorę fifę, która jest długim prostym kawałkiem szkła z filtrem, i zaczynam wpychać do niej kryształki. Nabijam ją, jeszcze raz wycieram krew, zapalam zapalniczkę, wsadzam fifę do ust, przysuwam biały płomień do wylotu. Wdycham. Gorący miętowy miód zmieszany z napalmem, po którym przychodzi kop tysiąc razy silniejszy od najczystszej proszku, tysiąc razy bardziej niebezpieczny. Trzymam, a kop nabiera mocy. Ta moc rośnie, ogarnia mnie i pochłania. Czuję się znowu dobrze, idealny, doskonały i niepokonany, jak gdyby moc każdego orgazmu, jaki kiedykolwiek miałem, mógłbym mieć i będę mieć, została skumulowana w pojedynczy moment. O mój Boże, dochodzę. O mój jebany Boże, dochodzę. Pozwól dojść pozwól dojść pozwól dojść pozwól dojść. Pozwól kurwa dojść.

Znika tak szybko, jak nadeszło, i wiem, że zniknęło na dobre, zastąpione strachem, lękiem i morderczą wściekłością. Wszelkie pozory przyjemności znikają. Chwytam kryształki, nabijam fifę, mach. Chwytam kryształki, nabijam fifę, mach. Zapalniczka jest biała, a szkło jest różowe i czuję, jak skóra moich palców skwierczy, ale to mi nie przeszkadza. Chwytam kryształki, nabijam fifę, mach. Robię to, aż torebka jest pusta, a wtedy wciskam do fify torebkę i spaliam plastik. Jest we

mnie mordercza wściekłość i muszę zabić. Zabić serce, zabić umysł, zabić siebie.

Mam klej i benzynę i chcę obydwu. Chwytam klej i przykładam koniec tubki pod nos i wyciskam grubą kreskę na skórę między nozdrzami i wargą. Każdy wdech przynosi fetor Piekła i śmierci, każdy wdech przynosi pragnienie czegoś jeszcze. Zabijam teraz szybko i wydajnie, ale niewystarczająco szybko ani wydajnie. Nachylam się i ustawiam nos tuż nad połyskującą powierzchnią benzyny i jestem twarzą w twarz z chemicznym unicestwieniem. Ta twarz to mój przyjaciel, mój wróg i moje jedyne wyjście. Wybieram je. Wdycham, wydycham, szybciej i szybciej i szybciej i szybciej. Nic już nie czuję albo to, co czuję, jest tak potężne, że mój umysł i moje ciało nie są w stanie pozwolić mu dotrzeć. Jest mi tu dobrze. Waśnie tego pragnę, tego potrzebuję i to muszę mieć i tu spędziłem ostatnich parę lat życia.

Zdaję sobie sprawę, że jest mi zimno, i zaskakuję i otwieram oczy. Pokój jest ciemny i cichy. Budzik koło łóżka Johna pokazuje szóstą piętnaście. Słyszę, jak Warren chrapie. Siadam i rozcieram ciało i trzęsę się. Gęsia skórka pokrywa mi skórę na ramionach i stoją mi włoski na karku i boję się. Boję się swojego snu, boję się ranka, boję się tego miejsca i Ludzi tutaj, boję się życia bez narkotyków i alkoholu, boję się samego siebie, boję się radzenia sobie ze sobą, boję się następnego dnia, robię w portki ze strachu,

tracę zmysły ze strachu. Boję się i jestem sam i jest wczesnie rano i nikt się jeszcze nie obudził.

Wstaję z łóżka i idę do Łazienki i biorę prysznic i wycieram się i ból mnie ścina i padam na kolana i czołgam się do sedesu i wymiotuję. Wymiociny są gorsze niż zazwyczaj. Bardziej gęste, bardziej krwiste, więcej kawałków żołądka, więcej bólu. Każda wyzymająca erupcja pali mi przełyk i wysyła ostry ból przez klatkę piersiową i sprawia, że czuję, jakbym się dusił. Sprawia, że czuję, jakbym się dusił, i prawie żałuję, że tak nie jest, bo wtedy to by się skończyło. Chcę, żeby to się skończyło.

W/mioty się kończą, a ja siadam na podłodze i opieram się o przód sedesu. Przepływają przeze mnie fale emocji i czuję, jak wzbierają łzy. Wszystko, co wiem i czym jestem, i wszystko, co zrobiłem, zaczyna przelatywać mi przed oczami. Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość. Przyjaciele, wrogowie, przyjaciele, którzy stali się wrogami. Gdzie mieszkałem, gdzie byłem, co widziałem, co zrobiłem. Co zrujnowałem i zniszczyłem.

Zaczynam płakać. Łzy lecą mi po twarzy i wydobywa się ze mnie cichy szloch. Nie wiem, co robię, i nie wiem, dlaczego tu jestem, i nie wiem, jak sprawy mogły się tak posypać. Próbuje znaleźć odpowiedzi, ale ich nie ma. Jestem zbyt rozjebany na odpowiedzi. Jestem zbyt rozjebany na cokolwiek. Łzy płyną szybciej i szlocham głośniejsze i kulę się na

zimnych kafelkach podłogi i obejmuję się. Obejmuję się i wyję i jest rano i jestem gdzieś w Minnesocie i od pięciu dni nie piłem i nie wiem, co się ze mną kurwa dzieje.

Płacz cichnie i szloch cichnie i siadam i wycieram twarz. Słyszę rozmowy na zewnątrz i nie chcę, żeby mnie widzieli w tym stanie, więc wstaję i robię głęboki wdech i mówię sobie, że nic mi nie jest, i wychodzę.

Wchodzę do Pokoju. Warren i John stoją przy łóżku Larry'ego. Warren słyszy mnie i spogląda na mnie.

Wdziałeś Larry'ego?

Nie.

Jego rzeczy zniknęły.

Nie widziałem go.

Chyba uciekł.

Nie wiem, co powiedzieć.

Znajdziemy Opiekunów i powiemy im. Jeżeli go zobaczysz, wyślesz go do nas?

Tak.

Wchodzą, a ja zmierzam do łóżka i kiedy wkładam ubranie, myślę o Larrym. Odszedł. Odszedł definitywnie i definitywnie bez powrotu. Jest na zewnątrz, sam na zimnie, przypuszczalnie na poboczu Autostrady, niesie torbę, z podniesionym i wystawionym kciukiem. Myśli o swojej Zonie i swoich ślicznych małych Dziewczynkach. Chce je

zobaczyć i potrzymać i przytulić i pocałować. Chce im powiedzieć, że jest mu przykro i że wszystko jest w porządku, że jest gotów, żeby być Mężem i Ojcem, i wie, że mógłby nim być. Modli się, żeby nie miały tego, co on ma, bo jeżeli mają, to umrą. Może nie jutro ani za tydzień ani za miesiąc ani za rok, ale wcześniej czy później umrą i umrą przez niego. Bądź błogosławiony, Larry, myślami jestem z tobą. Oby udało ci się dotrzeć bezpiecznie do domu, oby twoja Zona i Córki okazały się seronegatywne, niechaj reszta twoich dni na tej Ziemi będzie najszcześniejsza z tych, których zaznałeś. Bądź błogosławiony, Larry. Bądź błogosławiony.

Kończę się ubierać i wychodzę z Pokoju. Zbieram środki czystości i idę do Toalet Publicznych i chociaż nie wyglądają na brudne, klękam i zaczynam je czyścić.

Hej.

Odwracam się. W drzwiach stoi Roy.

Wczoraj spartoliłeś robotę.

Odkładam gąbkę.

Co?

Wstaję.

Wczoraj spartoliłeś robotę.

Roy robi krok do przodu.

Dla mnie były czyste.

Robi kolejny krok do przodu.

Były brudne. Dzisiaj się postaraj albo na ciebie

doniosę.

Łazienka jest mała.

Słyszałeś mnie. Dobrze wyczyść toalety albo na ciebie doniosę.

Czuję się uwięziony.

Wyczyszczę je porządnie. Obiecuję.

Jak szczur w klatce.

WYCZYŚCISZ JE LEPIEJ NIŻ PORZĄDNIK.
WYCZYŚCISZ JE NA BŁYSK ALBO CIĘ STĄD
WYWALĄ.

Jak szczur w klatce, który chce się wydostać.

ZEJDŹ MI KURWA Z OCZU.

Robi kolejny krok do przodu. Czuję jego oddech, czuję jego ślinę na policzkach. Furia wzbiera.

WYWALĄ CIĘ NA ZBITY PYSK, TY MAŁY
SKURWIELU. Wyciągam rękę i chwytam Roya za
gardło i ściskam i rzucam nim o ścianę Łazienki i
uderza z głuchym odgłosem i zaczyna krzyczeć. NA
POMOC NA POMOC NA POMOC NA POMOC.

Chwytam go ponownie i wyrzucam go przez
drzwi. Uderza w ścianę na zewnątrz drzwi i osuwa
się na podłogę i nie przestaje krzyczeć.

NA POMOC NA POMOC NA POMOC NA
POMOC.

Wschodzę przez drzwi i staję nad nim.

A teraz są czyste, Skurwielu?

Mam ochotę mu przylać.

NA POMOC NA POMOC NA POMOC NA

POMOC.

Mam ochotę skopać mu tę jego pierdoloną twarz.

A teraz są czyste, Skurwielu?

Mam ochotę wyrwać mu kończyny i wepchnąć mu je do pierdolonego gardła.

NA POMOC NA POMOC NA POMOC NA POMOC.

Mam ochotę go zabić. Zamienić go w zmiążdżone kości, poharatane ciało i krew.

A TERAZ SĄ CZYSTE, SKURWIELU?

Zajebać go na śmierć.

A TERAZ SĄ CZYSTE?

NA POMOC NA POMOC NA POMOC NA POMOC.

Dwóch mężczyzn wpada na Korytarz. Łapią mnie i odciągają. Odpycham ich.

SPRÓBUJ MNIE KURWA DOTKNAĆ.

Nadchodzą kolejni. Stawiają Roya na nogi, stają między nami, patrzą na mnie, jakbym był jakimś potworem. Patrzę na nich. Patrzę przez nich i prosto na Roya.

Napadł na mnie, to wariat, zabierzcie go ode mnie.

Roy płacze i szlocha. Łzy ciekną mu po twarzy i oddycha szybko i ciężko. Mężczyźni starają się go uspokoić.

Chciałem mu pomóc przy toaletach, chciałem mu tylko pomóc, a on na mnie napadł. Nie zrobiłem

nic złego.

Patrzą na mnie. Patrzą na mnie, jakbym był potworem.

Odwracam się i wracam do Pokoju. Jest pusty, a ja zaczynam chodzić szybkim krokiem i ciało mi się trzęsie i próbuję się opanować. Połowa mnie chce wrócić na Korytarz i bić się z każdym, kto tam jest, i albo zniszczyć, albo zostać zniszczonym, połowa mnie chce się ukryć. Całość mnie chce alkoholu i wina i koki i cracku i kleju i benzyny, które miałem we śnie.

Furia wezbrała. Chodzę i trzęsę się i próbuję się opanować. Muszę się uspokoić, ale nie wiem jak. Wentyle, na których polegam, które są mi potrzebne do przeżycia, od których się uzależniłem, zniknęły, zastąpione Lekarzami i Pielęgniarkami i Opiekunami i Zasadami i Regułami i Lekami i Wykładami i Posiłkami Obowiązkowymi i porannymi Pracami i żadne z nich ani trochę mi kurwa nie pomaga. Nawet kurwa odrobinę.

Przestaję chodzić. Patrzę w podłogę. Zaciskam pięści i ściskam i każda komórka w moim ciele napina się i przygotowuje i nadchodzi Furia nadchodzi i nie wiem co robić ani dokąd iść ani jak ją powstrzymać i nadchodzi i nadchodzi i dochodzi. Wybuch. Wrzeszczę. Widzę łóżko. Łapię koniec łóżka i podnoszę je i przewracam i materac spada i chwytam prostą metalową ramę i podnoszę ją i

rzucam ze wszystkim wszystkim wszystkim i pęka ale to nie wystarcza więc skaczę na nią skaczę na nią skaczę na nią i pęka znowu znowu znowu i zostają tylko połamane pręty i bolce i śruby i wrzeszczę i jest mi dobrze i dopiero się rozkręcę. Podchodzę do szafki. Wyciągam szuflady i rzucam i są po drugiej stronie Pokoju i to nie są już szuflady tylko kawałki szuflad, a szafka ciągle tu jest więc podnoszę ją i ciskam nią i to już są tylko kawałki szafki.

Ktoś stoi w drzwiach i ten ktoś krzyczy, ale go nie słyszę. Jestem ponad słuchem, ponad wzrokiem, ponad czuciem, ponad myśleniem. Jestem głuchy, niemy i ślepy. Nieprzytomny, nieświadomy i nieokiełznany.

Jest komoda, są kawałki komody. Jest kolejne łóżko i przewracam je i niszczę je. Jest więcej wrzasków i potem są Mężczyźni w Bieli i są ręce i trzymają mnie i wrzeszczę.

Jest igła.

Jestem w nowym Pokoju. Jest zwyczajny i biały i pusty oprócz łóżka. Nie wiem, jak się tu znalazłem ani jak długo tu jestem, ani jaki jest dzień, ani która jest godzina. Wiem za to, że nadal jestem w Klinice. Wiem to, ponieważ słyszę wrzaski. Wrzaski Nałogowców pozbawionych nałogów. Wrzaski martwych, którzy jakimś cudem ciągle żyją.

Leżę na plecach i patrzę w sufit. Wymiotowałem dziś dwa razy, ale nie było najgorzej. Nie było krwi

ani żółci, ani kawałków wnętrzości, tylko woda i kwas. Znajduję w tym pocieszenie. Jest to jedyny aspekt mojej sytuacji, w którym znajduję pocieszenie. Czekam, aż ktoś przyjdzie i powie mi, że mam się wynosić. Próbuję podjąć decyzję, co dalej. Nie mam gdzie mieszkać, nie mam dokąd pójść. Nie mam pieniędzy, środków do życia, pracy. Nie mam szans na pieniądze, środki do życia, pracę. Nie mam pewności siebie, godności osobistej, poczucia wartości. Mój instynkt samozachowawczy zanikł wiele lat temu. Nie będę zawracał sobie głowy Rodzicami ani Bratem, ani kilkorgiem przyjaciół, którzy mi zostali. Kiedy stąd wyjdę, spiszą mnie na straty. Kiedy stąd wyjdę, spiszę siebie na straty.

Ktoś puka do drzwi, a ja nie zwracam na to uwagi. Ktoś znowu puka, a ja znowu nie zwracam na to uwagi. Nie chcę nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać, ani mieć z kimkolwiek do czynienia. Muszę podjąć decyzję, co dalej.

Drzwi otwierają się i Ken i mężczyzna i kobieta wchodzi, a ja siadam. Mężczyzna jest wyższy od Kena i ma umięśnione ciało i krótkie czarne sterczące włosy. Nosi duże czarne buty, sprane czarne dżinsy i czarną koszulkę ze zdjęciem harleya z przodu i napisem Jedź Ostro, Jedź Czysto. Jego ramiona są całe w tatuażach, a knykcie w bliznach. Kobieta jest niska i pulchna i ma długie siwe włosy ściągnięte w kucyk i wygląda jak Mona Liza. Ma na sobie grube

luźne ubranie i wełniane skarpety i sandały i ma srebrne pierścionki na palcach i turkusowy wisiołek na szyi. Nie widzę tatuaży ani blizn. Ken mówi.

Cześć, James.

Cześć.

Możemy usiąść?

Jak chcecie.

Ken siada na brzegu łóżka, kobieta siada po turecku na podłodze, mężczyzna stoi. Ken mówi.

To jest Lincoln.

Pokazuje na mężczyznę. Mężczyzna patrzy na mnie.

Jest Szefem Oddziału Sawyer.

Patrzę na niego.

A to jest Joannę.

Lincoln patrzy na mnie.

Jest Oddziałowym Psychologiem.

Patrzę na niego.

Chcielibyśmy porozmawiać o tym, co się wczoraj stało.

Lincoln patrzy na mnie, patrzę na niego.

No to porozmawiajmy.

Lincoln mówi. Ma głęboki i twardy głos, brzmi jak zardzewiały metalowy szpikulec.

Chcemy, żebyś ty mówił. Chcemy usłyszeć twoją wersję wydarzeń. Wyrzucicie mnie stąd?

Ken spogląda na Lincolna, Lincoln spogląda na Joannę. Joannę mówi. Na razie chcemy

porozmawiać.

Od czego mam zacząć?

Lincoln mówi.

Kiedy zaczęły się kłopoty?

Miałem sen, zły sen, i to mnie kompletnie rozjebało. To się chyba wtedy zaczęło.

Ken mówi.

O czym był ten sen?

Byłem sam w Pokoju i nie wiedziałem, gdzie jestem i jak się tam znalazłem, i piłem i brałem narkotyki i unicestwiłem się. Wydawał się prawdziwy i kiedy się obudziłem, bałem się.

Joannę mówi.

Miałeś Sen Nałogowca.

Co to jest Sen Nałogowca?

Kiedy Alkoholicy i Narkomani przestają pić i brać narkotyki, ich podświadomość w dalszym ciągu ich łaknie. To łaknienie czasami manifestuje się w postaci snów, które mogą się wydawać niepokojąco rzeczywiste i w pewnym sensie są rzeczywiste. Mimo że nie brałeś, jakaś część twojego umysłu właśnie to robiła. Przypuszczalnie będziesz miewać takie sny jeszcze nawet przez rok.

Brzmi nieźle.

Lincoln mówi.

I co potem?

Patrzy na mnie.

Poszedłem do Łazienki i zwymiotowałem i

gorzej się poczułem. Chciałem obejrzeć sobie twarz i zrobiło mi się niedobrze jeszcze inaczej i znowu gorzej się poczułem. Potem poszedłem wyczyścić Toalety.

Nadal patrzy.

A potem napadłeś na Roya.

Odwracam się, patrzę na niego.

Roy wszedł mi w drogę. Więc go odsunąłem.

Ken mówi.

Dlaczego wszedł ci w drogę?

Nie mam pojęcia.

Tak po prostu to zrobił?

Przypierdalał się, od kiedy tu jestem. Nie mam pojęcia dlaczego.

Co robił?

Mówił mi, że łamię wszystkie Reguły, mówił mi, że robię wszystko źle, mówił mi, że załatwi, żebym stąd wyleciał.

Lincoln mówi.

Nie podoba ci się to, co?

Nic nie zrobiłem. Nie miał prawa się przypierdalać.

A ty miałeś prawo na niego napadać?

Kiedy już wszedł mi w drogę, to tak.

A gdybym ja wszedł ci w drogę?

Tobym cię z niej odsunął.

Lincoln patrzy.

Teatryk Twardziela daleko cię nie zaprowadzi.

Patrzę na niego.
Ciebie też nie.
Ken mówi.
Roy powiedział nam, że ci pomagał i napadłeś na
niego bez powodu. Roy to jebany kłamca.
Lincoln mówi.
Uważaj, co mówisz.
Pierdol się.
Co powiedziałaś?
Powiedziałem Pierdol Się.
UWAŻAJ, CO MÓWISZ.
PIERDOL SIĘ.
Ken mówi.
Spokojnie, James.
Ty też się pierdol, Ken.
Joannę mówi, spogląda na Kena i Lincolna.
Możecie nas zostawić na chwilę samych?
Lincoln mówi.
Jeszcze nie skończyliśmy.
Joannę mówi.
Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli zostawicie nas
na chwilę samych.
Za moment znowu porozmawiamy w grupie.
Lincoln odwraca się i bez słowa wychodzi z
Pokoju. Ken spogląda na mnie i mówi.
Jeżeli będziesz chciał porozmawiać, będę w
Gabiniecie.
Wschodzi za Lincolnem i zamyka drzwi, a ja

zostaję sam z Joanną. Opiera się o ścianę i zamyka oczy i bierze głęboki oddech i wypuszcza powietrze, a ja siadam na łóżku i patrzę na nią, a ona tylko tam siedzi i oddycha, a mnie męczy cisza i odgłos jej oddechu. Chcę być sam i muszę się zastanowić, co dalej. Mówię.

Czego chcesz?

Otwiera oczy.

Pomyślałam, że posiedzę z tobą parę minut. Może jest coś, o czym chcesz porozmawiać.

Nie ma.

Jasne.

Wstaje.

Mogę ci jakoś pomóc, zanim pójde?

Tak.

Jak?

Chcę przestać brać librium.

Dlaczego?

Bo od niego wariuję, wydaje mi się, że to wszystko jakiś jebany koszmar. Jak mam brać to gówno, wolę już nic nie brać.

Powiem Pielęgniarce, żeby skończyła twój cykl.

Dziękuję.

Coś jeszcze?

Co mam teraz robić?

Dzień jak co dzień. Śniadanie za dziesięć minut, potem Wykład. Masz wizytę u Dentysty o wpół do jedenastej i musisz spotkać się tu z Kierowcą o

dziesiątej. Po prostu rób to co zwykle, a jeżeli zechcesz o czymś porozmawiać, będę w Gabinetcie trzysta dwanaście. Dziękuję.

Idzie w stronę drzwi.

Zobaczymy się niedługo?

Może.

Wschodzi, a ja zostaję sam i dziwi mnie, że tu jestem, i część mnie czuje ulgę i część mnie jest rozczarowana i część mnie jest dezorientowana i nie wiem, co dalej. Mogę odejść albo zostać. Mogę odejść albo zostać? Odejść znaczy wrócić do nałogu i stawić czoło śmierci albo Więzieniu. Zostać znaczy rzucić nałóg i stawić czoło nieznanemu. Nie jestem pewien, co przeraża mnie bardziej. Wstaję i otwieram drzwi i widzę, że jestem na Oddziale Medycznym. Staję w kolejce i robię to co zwykle i pamiętam numer Gabinetu Joannę. Trzysta dwanaście.

Biorę antybiotyki i wchodzą łatwiej niż przedtem i idę przez czyste jasne puste Korytarze do Stołówki. Kiedy wchodzę do szklanego Korytarza, widzę, że się spóźniłem, i widzę, jak Ludzie spoglądają na mnie i gapią się na mnie i ignorują ich i dostaję talerz szarej papkowatej owsianki i wsypuję do niej łyżkę cukru i znajduję miejsce przy pustym stoliku i siadam. Wiem, że Ludzie ciągle się na mnie gapią i ignorują ich. Leonard pokazuje na mnie i podchodzi z dwoma mężczyznami. Pierwszy mężczyzna jest niski i krępy i ma na głowie czarną bandanę. Spod

bandany wystają mu długie ciemne włosy. Ma na sobie džinsy i czarny T-shirt i jeden z policzków przecina mu blizna. Drugi mężczyzna jest wysoki i szczupły i ma na sobie obcisłe czarne džinsy, czarną koszulę z przypinanym kołnierzykiem i czarne kowbojskie buty. Jego twarz jest napięta i ściągnięta i niebieskie żyły sterczą mu na przedramionach.

Obydwaj mężczyźni wyglądają na agresywnych i zirytowanych. Obydwaj są daleko bardziej niepokojący od przeciętnego Pacjenta. Leonard kładzie tacę na stoliku.

Hej, Młody.

Hej.

To jest Ed.

Pokazuje na niskiego mężczyznę.

A to jest Ted.

Pokazuje na wysokiego mężczyznę.

Mężczyźni kiwają do mnie. Kiwam do nich.

Możemy się przysiąc?

Jak chcecie.

Leonard siada.

Dzięki.

Ed i Ted robią to samo. Leonard mówi.

Słyszałem, że spuściłeś wczoraj Royowi bęcki.

Patrzę na owsiankę. Nie odpowiadam.

Nienawidzę tego Chujka, więc nie bój się, nic nikomu nie powiem. Spoglądam na Leonarda. Nie odpowiadam.

Ted mówi. Ma mocny południowy akcent.

Trzeba go było widzieć po wszystkim. Rozjebany. Chlipał i jęczał i darł ryja i takie tam. Tak się spietrał, że się zeszczął.

Spoglądam na Teda. Nie odpowiadam.

Ed mówi. Ma niski zużyty głos. Głos robola.

Coś ty mu zrobił?

Spoglądam na Eda.

Nic przecież nikomu nie powiem.

Patrzę na bliznę. Jest głęboka i przerażająca.

Chcę tylko wiedzieć, coś mu zrobił.

Zapytałem go, czy Toalety są wystarczająco czyste, trochę go poszturchałem.

Leonard mówi.

To wszystko?

Tak, to wszystko.

Wstaję i podnoszę tacę i idę do pustego stolika i siadam i zaczynam jeść. Owsianka jest szara i papkowata i ohydna, ale cukier mi smakuje. Wsiąka mi w język, a słodycz to pierwszy smak, jaki rozpoznałem poza smakiem whisky czy wina czy dymu czy wymiocin od wieczoru, kiedy miałem wypadek. Lubię słodycz i ten smak oznacza, że wraca mi część zmysłów. Jeżeli tu zostanę, to wrócą wszystkie. Będę mógł smakować i wąchać i mieć normalne doznania, jakich normalni ludzie doświadczają na co dzień. Jeżeli zostanę. Wpycham ostatnią słodką łyżkę owsianki do ust, a kiedy ją

połykam, czuję, jak żołądek stara się odesłać ją z powrotem. Zaciskam szczęki i wstrzymuję oddech i napinam mięśnie brzucha i próbuję to powstrzymać. Zaczynam się krztusić, mam krótkie gwałtowne bolesne torsje. Czuję papkę podchodzącą mi do gardła, nie ma już tak słodkiego smaku, i biorę oddech i przełykam jeszcze raz i papka wraca na dół. Gdy tylko znajdzie się na dole, próbuje wrócić na górę. Powtarzam sekwencję. Zacisnąć, napiąć, oddychać, przełknąć. Zacisnąć, napiąć, oddychać, przełknąć. Ciało walczy o to, czego potrzebuje, żeby wyzdrowieć. Walczę o to, co jest mi niezbędne do wyzdrowienia.

Papka w końcu się układa, mnie jest niedobrze i robię głęboki wdech i opieram się wygodnie na krześle. Mam pełen żołądek, piecze. Nie jest przyzwyczajony do takiej ilości jedzenia i nie jest przyzwyczajony do takiej ilości jedzenia tak regularnie. Czuję, jak się rozciąga i zaczyna wysysać ze mnie całą energię. Zwykłe trawienie talerza owsianki wysysa ze mnie całą energię. Jestem na nogach od niecałej godziny.

Pacjenci wychodzą jeden za drugim ze Stołówki i idą na Wykład. Wstaję i odkładam tacę i idę za nimi szklanym Korytarzem i przez labirynt Korytarzy i przez strumienie wpadającego przez okna światła i obok otwartych drzwi i uśmiechniętych twarzy Personelu. Nie patrzę na nikogo i nie zauważam

nikogo. Jestem w swojej głowie i w swojej głowie jestem sam. Próbuję zastanowić się, co dalej. Znajduję miejsce wśród mężczyzn z Oddziału i siadam. Po obu stronach nie ma nikogo i to mi odpowiada. Mężczyznom z Oddziału najwyraźniej też. Czuję, jak na mnie patrzą, i kiedy na nich patrzę, odwracają wzrok. Szybko odwracają wzrok, a ja gapię się na nich, aż czują, że się na nich gapię, i dociera do nich przesłanie mojego gapienia się i wiedzą, że lepiej na mnie nie patrzeć. Więcej na mnie nie patrzą. Roy siedzi dwa rzędy przede mną i szepcze do mężczyzny, którego nie znam, i łypie na mnie kątem oka. Patrzą na niego. Jego szept robi się bardziej ożywiony i towarzyszą mu agresywne gesty. Mężczyzna zaczyna łypać na mnie okiem. Roy przerywa zdanie i zaczynają się śmiać. Nie jestem w nastroju.

Hej, Roy.

Roy urywa, patrzy na mnie.

Masz coś do mnie?

Pozostali mężczyźni z Oddziału patrzą na mnie.

Nie, nic nie mam.

Masz coś do powiedzenia, to podejdź i powiedz mi to w twarz.

Nie mam nic do powiedzenia.

To może w takim razie ty i twój mały Dupowłaz zamkniecie ryje.

Roya zatyka, mężczyzna jest zszokowany.

Słyszę śmiech kilku Osób. Patrzę na Roya, aż on i mężczyźni odwracają się. Patrzą prosto przed siebie i nie ma więcej szeptów.

Kobieta wychodzi na Podium i zaczyna się Wykład. Kobieta opowiada o seksie i uzależnieniu i jak Alkoholicy i Narkomani są często uzależnieni od kombinacji konkretnego narkotyku i konkretnej formy aktywności seksualnej. Opowiada, jak ta korelacja uzależnień może wykoleić i zaprowadzić w niebezpieczne miejsca.

Miejsca fizyczne i miejsca w przenośni. Miejsca bez wyjść i miejsca, z których nie da się wrócić.

Wykład się kończy, a ja siadam i czekam i patrzę, jak wszyscy wychodzą, i wstaję i wychodzę i jedzenie ciągle we mnie wsiąka i sączą się ze mnie resztki librium. Czuję się ociężały i powolny, ale pod spodem są zaczątki czegoś szybkiego i zdesperowanego i zalęknionego i niepewnego i kruchego i zaniepokojonego i zirytowanego i rozpaczliwego. Na razie ociężałość to powstrzymuje, ale wiem, że tylko na razie.

Idę na Oddział Medyczny i zwracam się do Pielęgniarki i mówię jej, że muszę jechać do Dentysty, i sprawdza grafik spotkań na zewnątrz i zgadza się i wysyła mnie do Poczekalni i czekam. W Poczekalni są okna i mogę wyjrzeć na zewnątrz. Mimo późnego ranka ciągle jest ciemno. Słyszę grzmot i widzę ulewę. Wiatr porywa wszystko z

ziemi. Drzewa wyglądają, jakby chciały się ukryć. Jest paskudnie i będzie jeszcze gorzej.

Hank wchodzi do Poczekalni. Ma na sobie grubą ciepłą nieprzemakalną kurtkę. Chodzi w podbitych wełną gumiakach.

Hej, Mały.

Hej, Hank.

Podajemy sobie dłonie.

Jak leci?

Bywało lepiej.

Wstaję.

Pewno gorzej też.

Uśmiecham się.

No, gorzej też bywało.

Gotowy?

Tak.

To chodźmy.

Wychodzimy z Poczekalni i przez krótki Korytarz na zewnątrz. Furgonetka stoi niedaleko Wyjścia, biegnę do niej. Ulewa i wiatr siekają mi skórę, od grzmotów trzęsą mi się kości.

Otwieram przednie drzwi Furgonetki od strony pasażera i wskakuję do środka, silnik jest włączony i jest ciepło. Na siedzeniu leży stara zniszczona kurtka podobna do noszonej przez Hanka. Biorę ją i wkładam i sadowię się i opatulam. Kilka sekund później Hank, który nie musiał biec, otwiera drzwi od strony kierowcy i wsiada. Znalazłeś kurtkę.

Trudno było przeoczyć.

Chodziłem w niej, kiedy pracowałem na kutrze.

Tak też wygląda.

To dobra kurtka.

Świetnie się teraz sprawdza.

Wiem, że takiej nie masz, o ile mi wiadomo, w ogóle nic nie masz, więc chciałbym, żebyś ją nosił, kiedy tutaj będziesz.

Dziękuję, Hank. Doceniam to.

Nie ma sprawy.

Naprawdę to doceniam. Dziękuję.

Nie ma sprawy.

Hank wrzuca bieg i wyjeżdżamy z Kliniki i zaczynamy jechać do Miasteczka. Hank koncentruje się na drodze, a ja wyglądam przez okno i myślę. Parę dni temu ziemia się zamykała i szykowała do zimy i umierała. Teraz jest zamknięta i przygotowana i martwa. Na drzewach nie ma liści, na ziemi nie ma żywej roślinności, nie widać ani jednego owada ani ptaka ani zwierzęcia. Grzmoty są coraz głośniejsze i są coraz bliżej i ulewa jest coraz większa i silniejsza, a wiatr próbuje zepchnąć Furgonetkę do rowu. Hank utrzymuje ją na drodze. Wygadam przez okno i rozmyślam.

Wiedziałem, co jest grane, miesiąc po tym, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Była z Connecticut, jej Ojciec był znanym w Nowym Jorku bankowcem inwestycyjnym, Matka grała w tenisa i brydża i była

Przewodniczącą miejscowej Ligi Juniorów. Chodziła do elitarnego prywatnego liceum dla dziewcząt w New Hampshire. Miała starszego Brata i starszą Siostrę. Nigdy nie miała chłopaka. Poznałem ją, kiedy przyjaciel poprosił mnie o załatwienie jakiegoś towaru. On sam nie palił, więc spytałem dla kogo, a on powiedział mi, że dla dziewczyny o imieniu Lucinda, która mieszka w tym samym akademiku, a ja powiedziałem mu, że najpierw muszę się z nią spotkać, więc dał mi numer Pokoju i poszedłem do Pokoju i zapukałem do drzwi i drzwi otworzyły się i ona tam stała. Wysoka i szczupła, długie jasne włosy jak grube jedwabne liny, oczy wyciosane z Arktyki. Nie znałem Lucindy i nie wiedziałem, że mieszka z Lucindą, więc zatkało mnie, a ona tam stała. Ona tam stała.

Cześć.

Gapilem się.

Mogę w czymś pomóc?

Zacząłem otwierać usta, ale usta mi nie działały i serce mi waliło i ręce mi się trzęsły i czułem się zakręcony i podniecony i przestraszony i nieistotny. Stała przede mną. Tuż przede mną. Wysoka i szczupła, długie jasne włosy jak grube jedwabne liny, oczy wyciosane z Arktyki. Odwróciłem się i bez słowa poszedłem. Nie obejrzałem się za siebie i poszedłem do Pokoju i wziąłem butelkę mocnego alkoholu i zrobiłem sobie mocnego drinka. Serce

dalej mi waliło i ręce mi się trzęsły i po raz pierwszy w życiu nie z powodu alkoholu czy narkotyków i po raz pierwszy w życiu alkohol i narkotyki nie mogły tego zagłuszyć.

Wjeżdżamy do Miasteczka i jest puste. Nie ma zaparkowanych samochodów, nie ma kupujących, nie ma młodych Matek spacerujących z Dziećmi, na ławkach nie ma starców z kawą i poradą. Sklepy są otwarte, ale nie ma ruchu. Tylko grzmot, ulewa i wichur nie siedzą w domu. Są coraz silniejsze.

Parkujemy w tym samym miejscu przed tym samym Budynkiem i Hank zatrzymuje Furgonetkę i nachyla się i otwiera schowek i wyciąga dwie stare żółte piłki tenisowe. Podaje mi je.

Pomyślałem sobie, że mogą ci się przydać.

Do czego?

Nie znam się na niczym oprócz łowienia i jeżdżenia, ale mam przeczucie, że cokolwiek będzie się z tobą działo tego ranka, będzie bolało.

Pewnie tak.

Nie dostaniesz środków przeciwbólowych ani znieczulenia, przynajmniej dopóki jesteś Pacjentem Ośrodka Odwykowego.

Te dwie piłki to jedyne wyjście. Kiedy zaczniesz boleć, zacznij ścisnąć.

Trzymam piłki w dłoni, trochę je ściskam.

Dzięki.

Nie ma sprawy.

Otwiera drzwi i wysiada, a ja robię to samo i zatraskujemy drzwi i wchodzimy do Budynku i idziemy po schodach do Gabinetu Stomatologicznego. Drzwi są otwarte i wchodzimy do środka i siadam na jednej z kanap w Poczekalni i Hank idzie do Recepcji i zaczyna rozmawiać z Recepcjonistką. Przede mną leży książka o Słoniu Babarze. Podnoszę ją i zaczynam czytać. Pamiętam, jak czytałem ją, kiedy byłem małym Chłopcem, i podobała mi się i wyobrażałem sobie, że jestem przyjacielem Babara, nieodłącznym Towarzyszem wszystkich jego przygód. Poleciał na Księżyc, ja poleciałem z nim. Walczył z Szabrownikami Piramid w Egipcie, ja walczyłem u jego boku. Ratował narzeczoną słonicę ze szponów Poszukiwaczy Kości Słoniowej na Sawannie, ja zabezpieczałem trasę ucieczki. Uwielbiałem tego cholernego Słonia i uwielbiałem być jego przyjacielem. Babar jest jednym z nielicznych miłych wspomnień dzieciństwa pełnego nieszczęść i wściekłości. Ja i Babar przerabiamy ich bez mydła.

Hank wraca i siada obok.

Są gotowi.

W porządku.

Gotowy?.

Podnoszę piłki tenisowe.

Tak.

Fajnie będzie zobaczyć, jak wyglądasz z zębami.

Fajnie będzie je znowu mieć.

Wstaję.

Na razie, Hank. Dzięki za wszystko.

Nie ma sprawy.

Idę w stronę drzwi, gdzie stoi i czeka na mnie Pielęgniarka. Kiedy koło niej przechodzę, uważa, żeby mnie nie dotknąć, i wytrąca mnie ze szczęśliwej mgiełki słonowych wspomnień i przypomina mi, czym jestem. Jestem Alkoholikiem i jestem Narkomanem i jestem Przestępcą. Nie mam czterech przednich zębów. Mam dziurę w policzku, która została zaszyta czterdziestoma jeden szwami. Mam złamany nos i podbite zapuchnięte oczy. Ktoś mnie Eskortuje, bo jestem Pacjentem Ośrodka dla Alkoholików i Narkomanów. Mam na sobie pożyczoną kurtkę, bo nie mam własnej. Niosę dwie stare żółte piłki tenisowe, bo nie wolno mi dostać środków przeciwbólowych ani znieczulenia. Jestem Alkoholikiem. Jestem Narkomanem. Jestem Przestępcą. Oto czym jestem i nie winię Pielęgniarki za to, że nie chce mnie dotknąć. Gdybym nie był sobą, nie chciałbym się dotknąć.

Prowadzi mnie do małego Gabinetu. Gabinet jest taki jak wiele innych Gabinetów, w których ostatnio bywałem, tyle że wydaje się bielszy i czystszy. Wzdłuż ścian stoją szafki ze stali nierdzewnej, na szafkach leżą tace z ostrymi lśniącoymi narzędziami, z sufitu zwisa duża lampa halogenowa. Na środku

podłogi stoi duży fotel operacyjny. Jest metalowy i ma zielone obicie i długie groźne poręcze i różne rodzaje zapieć i przycisków i dźwigni i przekładni. Wygląda jak średniowieczne narzędzie tortur. Wiem, że to dla mnie. Mijam Pielęgniarkę i siadam na fotelu i próbuję usiąść wygodnie, ale to niemożliwe. Narzędzia tortur nie mają być wygodne.

Doktor Stevens za chwilę przyjdzie.

W porządku.

Mogę w tym czasie coś panu przynieść?

Książkę o Babarze.

Słucham?

Poproszę książkę o Słoniu Babarze. Jest w Poczekalni.

Zaraz wrócę.

Dziękuję.

Wschodzi, a ja zostaję sam i kiedy sadowię się na fotelu i rozglądam po Gabinetach, zaczynam panikować. Resztką librium już ze mnie wyparowała, a jedzenie w żołądku jest tak strawione, że już się nie trzyma i wszystko przyspiesza. Serce, tętno, myśli w mojej głowie. Ręce mi się trzęsą, ale to nie jest silne drżenie głodu narkotycznego. To szybki i nietrwały rodzaj drżenia, rodzaj drżenia, którego źródłem jest strach. Strach przed tym Gabinetem, strach przed fotelem, strach przed zawartością szafek, strach przed zastosowaniem narzędzi, strach przed tym, co mi się tu stanie, strach przed bólem tak potężnym, że muszę

ściskać piłki tenisowe, żeby go wytrzymać. Pielęgniarka wraca z książką o Babarze i daje mi ją i wychodzi.

Kładę piłki tenisowe na kolanach i otwieram książkę i próbuję czytać. Kiedy przewracam strony, widzę słowa i widzę obrazki i nie mogę przeczytać słów i nie rozumiem obrazków. Wszystko przyspiesza. Serce, tętno, myśli w mojej głowie. Nie mogę się na niczym skupić. Nawet na Babarze.

Zamykam książkę i przyciskam ją do piersi i czekam. Wszystko się trzęsie. Ręce, stopy, mięśnie ud, klatka piersiowa, szczęka, zęby, które mi pozostały. Podnoszę piłki i ściskam je i próbuję wmusić w nie amplitudę drżenia i piłki zaczynają się trząść. Wszystko się trzęsie. Drzwi otwierają się i Dentysta-Drwal Doktor Stevens wchodzi, a za nim wchodzi kolejny Dentysta i dwie Pielęgniarki. Doktor Stevens przysuwa stołek ze stali nierdzewnej i siada na stołku u stóp fotela. Drugi Dentysta i Pielęgniarki zaczynają zbierać pojemniki i narzędzia i otwierają szafki i zamykają szafki. Dochodzące mnie hałasy są kanciaste i nie wiem, co oni robią, ale wiem, że to, co upitraszą, trafi do moich ust.

Cześć, James.

Cześć.

Przepraszam, że czekałeś. Analizowaliśmy poszczególne etapy operacji, którą dzisiaj przeprowadzimy.

Nie ma sprawy.

Drugi Dentysta nachyla się i szepcze coś Doktorowi Stevensowi na ucho. Doktor Stevens przytakuje.

To, co upitraszą, trafi do moich ust.

Najpierw chcemy założyć korony na dwie dwójki. Jeszcze raz obejrzeliliśmy zdjęcia, korzenie wydają się nietknięte, podstawy nienaruszone. Po założeniu koron powinno być dobrze.

W porządku.

Następnie musimy przeprowadzić leczenie kanałowe w obydwu jedynkach. Korzenie są uszkodzone i jeżeli ich nie wyleczymy, zęby umrą i szernieją. Po tym, jak umrą, wypadną. Zakładam, że to ci nie odpowiada.

Nie.

Przepraszam, jeżeli jestem bezpośredni.

Doceniam to.

Chcę, żebyś dokładnie wiedział, co robimy i dlaczego.

Nie chcę wiedzieć nic więcej.

Jest jeszcze jedna sprawa.

Jaka?

To będzie niezwykle bolesne. Ponieważ jesteś obecnie Pacjentem Ośrodka Odwykowego, nie możemy zastosować znieczulenia, miejscowego ani ogólnego, a kiedy skończymy, nie możemy dać ci środków przeciwbólowych.

Podnoszę piłki, lekko je ściskam.

Wiem.

Myślisz, że wytrzymasz?

Przeżyłem już gorsze rzeczy.

Słucham?

Przeżyłem już gorsze rzeczy.

Doktor Stevens gapi się na mnie, jak gdyby nie mógł zrozumieć, co do niego powiedziałem. Wiem, że to, czego zaraz doświadczę, będzie straszne, i nie wiem, czy przeżyłem kiedyś coś gorszego, ale żeby sobie z tym poradzić, muszę wierzyć, że tak właśnie było. Patrzę na niego.

Do roboty, Doktoru. Dawaj.

Wstaje i zaczyna rozmawiać po cichu z drugim Dentystą i z Pielęgniarkami i pomaga im przygotować pojemniki i narzędzia przed użyciem w moich ustach. Siedzę i czekam i ciało mi zwalnia i umysł mi zwalnia i przestaję się trząść i przestaję ściskać piłki i jestem spokojny. Pogodziłem się z tym, co się stanie i że jest mi to potrzebne i że będzie bolało. Ogarnia mnie spokój, spokój, jaki Skazaniec musi czuć tuż przed Egzekucją.

Doktor Steves podchodzi i staje nade mną.

Trochę cię opuszczę.

Dobrze.

Sięga pod fotel i pociąga dźwignię i opuszcza mnie powoli i łagodnie. Lampa halogenowa jest dokładnie nade mną i jej jasność mnie oślepia i

zamykam oczy. Trzymam piłki a książka o Babarze spoczywa na mojej piersi, tuż nad sercem.

Mogę przesunąć książkę?

Wolałbym nie.

W porządku. Jakoś sobie z tym poradzimy.

Słyszę szuranie stóp i stawianie pojemników i ktoś podnosi mi głowę i wkłada pod szyję tasiemki śliniaka i spina je i kładzie śliniak na książce. Fotel przesuwana się jeszcze bardziej do dołu i do tyłu i pod moim karkiem zostaje umieszczony mały twardy podgłówek.

Kobiecy głos. Kliniczny ton.

Proszę otworzyć usta.

Otwieram usta.

Proszę powiedzieć, kiedy będzie bolało.

Dobrze.

Teraz proszę się nie ruszać.

Nie ruszam się, kiedy czyjaś dłoń odciąga mi dolną wargę i wypycha wacikiem przestrzeń między wargą a dziąsłem. Czuję, jak szwy się napinają, i zaczynam krwawić. To samo odbywa się z górną wargą i policzkami i czuję, że usta są pełne miękkiego włóknistego brudu i prawie od razu wszystko jest suche. Strumień wody nawilża, ale za mało. Jest sucho i będzie sucho niezależnie od nawilżenia. Wyciągam się na fotelu i zamykam oczy i szeroko otwieram usta i ktoś podaje mi piłki tenisowe i czuję strumień wody i słyszę przytłumione

ciche słowa i odgłos włączanej wiertarki. Próba wiertła. Wiertarka włącza się i wyłącza, włącza i wyłącza.

Następne wiertło.

Wiertarka włącza się i wyłącza, włącza i wyłącza.

Następne wiertło.

Wiertarka włącza się i wyłącza, włącza się i wyłącza.

Czuję obecność stojących nade mną Ludzi. Dłoń chwyta górną wargę i delikatnie ją odciąga, żeby odsłonić dziąsło. Strumień wody obmywa resztki moich zębów.

Zaczynamy, James.

Strumień obmywa i wiertarka się włącza, a kiedy zbliża się do moich ust, jest coraz głośniejszy i dźwięk jest wysoki i przenikliwy, a mnie bolą uszy i zaczynam ścisnąć piłki i próbuję przygotować się na wiertło i wiertło wbija się w kawałek lewej dwójki. Wiertło lekko się odbija i biały elektryczny ból przeszywa mi usta i wiertło wraca i przywiera, a ból rozplywa mi się po ciele od góry w dół i każdy mięsień mojego ciała napina się i ściskam piłki i oczy zaczynają mi łzawić i stają mi włoski na karku i ząb mnie kurewsko boli, jakby przebijało go ostrze bagnetu. Ostrze pierdolonego bagnetu.

Wiertło porusza się po powierzchni fragmentu zęba i jestem cały napięty i boli mnie i czuję drobiny

kości na języku i strumień obmywa i zbiera drobiny i zmywa mi część z nich do gardła i część pod język. Nie ustaje, wiercenie i obmywanie i drobiny i ból i ciągle drgania sprawiają, że jestem napięty i twardy. Siedzę i ściskam piłki tenisowe i serce bije mi równo i mocno, jak gdyby potrzebowało testu tej udręki, żeby udowodnić, że wszystko z nim w porządku. Wiertło zatrzymuje się, a ja się odprężam i robię głęboki wdech. Łagodne głosy i podnoszone narzędzia.

Chyba masz ubytek, James. Muszę to sprawdzić.

Waciki przesunęły mi się w ustach na tyle, że mogę wyraźnie mówić. To sprawdź.

To będzie bolało.

Po prostu to zrób.

Szykuję się na więcej, ale nie jestem gotowy na porażenie. Ostre spiczaste narzędzie bada jedną ze spiłowanych krawędzi zęba i odnajduje mały otwór i wbija się tam. Przeszywa mnie elektryczny ból i razi mnie trylion woltów i jest biały i piecze. Bagnet ma dwadzieścia stóp i jest rozgrzany do czerwoności i ostry jak brzytwa. Ból jest silniejszy niż cokolwiek, co kiedykolwiek czułem, i jest silniejszy niż cokolwiek, co mogłem sobie wyobrazić. Opanowuje każdy mięsień i każde włókno i każdą komórkę ciała i wszystko wiotczeje. Jęczę i narzędzie odchodzi, ale ból zostaje.

To na pewno ubytek. Musimy go wypełnić,

zanim założymy koronę. Każde włókno i każda komórka jest wiotka.

James?

Ból jest silniejszy, niż mogłem to sobie wyobrazić.

James?

Biorę głęboki wdech.

Rób to, co musisz. Po prostu to zrób.

Ciche, przytłumione głosy, otwieranie i zamykanie szafek, wymiana narzędzi. Wiertarka się włącza. Siedzę i czekam.

Nadchodzi długie wiertło i wbija się, a ja ściskam piłki tak mocno, że zdaje mi się, że palce mi się kurwa łamią, i jęczę. Jęczę monotonnym głosem, który wypełnia mi uszy, żebym nie słyszał wiertła, ale i tak je słyszę i koncentruję się na swoich jękach, które mają zagłuszyć ból, ale tego nie robią. Bagnet bagnet bagnet bagnet. Wiertło robi otwór i porusza się w średnicy otworu i rozszerza go i drobiny mieszają się ze strumieniem wody i spływają mi do gardła i zbierają się pod językiem. Bagnet bagnet bagnet. Otwór robi się coraz większy. Bagnet bagnet bagnet. Mam w ustach pierdolone wiertło. Bagnet. Wiertło zatrzymuje się, ból trwa, ściskanie trwa, jęczenie trwa. Doktor Stevens mówi Pielęgniarkom i drugiemu Dentyście, żeby się pospieszyli, i tak robią. Wypychają otwór gutaperką i wycierają ją i wypychają i wycierają. Wypełnienie

łagodzi otwarty ból dziury i przenikliwy ból zanika, a zostaje tępa pulsująca agonia i serce bije mi mocno i rytmicznie i ból pulsuje razem z nim, a mnie to nie przeszkadza. Żyłem tak długo w bólu, że kiedy teraz pulsuje on razem z moim silnym równym biciem serca, to mi nie przeszkadza.

Przestaję jęczeć i otwieram oczy i przez wzbierające łzy widzę nad sobą jakieś niebieskie światło skierowane na gutaperkę. Gutaperka tężeje i wnika i zatapia się w otwór i słyszę narzędzie i widzę, jak wchodzi, i zamykam oczy i narzędzie się wbija i chemiczne drobiny gutaperki wypełniają mi usta. Proces się powtarza. Gutaperka, niebieskie światło, narzędzie. Gutaperka, niebieskie światło, narzędzie. Uodporniam się na to i uodporniam się na ból i ściskam piłki tenisowe i czekam, aż się skończy, i kończy się. Jeden z głowy, trzy przede mną.

Teraz założymy koronę na prawą dwójkę.

Kiwam na tak.

Chcesz odpocząć, zanim zaczniemy?

Kręcę głową na nie.

Chwila przygotowań i potem wiertło wraca i znoszę to bez problemu. Nie ma ubytku i nie ma wiertła, więc kit i światło wracają i nic nie czuję. Trzymam piłki, ale nie ściskam, nie ma monotonnego jęku, serce mi odpoczywa. Łatwa i bezproblemowa odbudowa prawej dwójki. Dwa z głowy, dwa przede mną.

Słyszę szelest stóp i brzęk przekładanych narzędzi i szmer otwieranych i zamykanych szuflad i otwieram oczy. Doktor Stevens rozmawia z drugim Dentystą, a Pielęgniarki odkładają użyte narzędzia do małego zlewu do sterylizacji. Doktor Stevens kończy mówić i drugi Dentysta wychodzi.

Jest jakiś problem?

Nie, nie ma problemu.

Podnoszę się.

Dokąd on poszedł?

Doktor Stevens przysuwa stołek.

Nie chciałem ci tego mówić, dopóki nie będziemy gotowi, ale chciałbym cię przypiąć na czas leczenia kanałowego.

Po co?

Podczas leczenia kanałowego pacjenci są znieczulani nie tylko po to, by oszczędzić im bólu, lecz również po to, żeby się nie ruszali. Żebyśmy mogli pracować, musisz być nieruchomy, a nie jestem pewien, czy zdołasz leżeć nieruchomo, jeżeli nie będziesz przypięty. Dobra.

Jesteś pewien, że nie masz nic przeciwko?

Tak, wszystko gra.

Dentysta wraca, niosąc dwa długie grube niebieskie nylonowe paski z dużymi kłamrami. To paski używane do przypinania dużych przedmiotów do dachów samochodów, do mocowania łódek do przyczep, do zabezpieczania drzwi klatek ze

zwierzętami. Te były już używane i są oprócz mnie i piłek tenisowych jedyną rzeczą w Gabinetce, która nie lśni czystością.

Opadam na fotel i podchodzi Dentysta. Pielęgniarki przerwały sterylizację narzędzi i patrzą na mnie.

Mógłbyś położyć ręce wzdłuż ciała?

Kładę ręce wzdłuż ciała.

Dentysta kładzie na mnie paski tak, że kłamry spadają pod fotel. Schyla się i zahacza luźny koniec i pociąga go i paski zaczynają się na mnie zaciskać.

Powiedz, kiedy będzie ciasno.

Nadal ciągnie, paski zaciskają się coraz bardziej. Kiedy nie jestem w stanie podnieść ramion ani nimi poruszyć i kiedy paski zaczynają wrzynać mi się w skórę i wciskać książkę o Babarze w klatkę piersiową, daję Dentyście sygnał, że paski są dobrze umocowane. Zapina kłamry i wstaje i idzie do umywalki umyć ręce. Podchodzi Doktor Stevens i Pielęgniarki.

Postaramy się zrobić to możliwie szybko.

Tylko poproszę porządnie, żebym nie musiał tu więcej wracać.

Na pewno.

Do roboty.

Zamykam oczy i próbuję się przygotować i wygodnie ułożyć. Mam w ustach waciki, po poprzednim borowaniu pozostał pulsujący ból, a

grube niebieskie nylonowe paski wrzynają mi się w skórę i przyciskają mi książkę do piersi. Palce chwytają górną wargę i odciągają ją, a zimny strumień wody zalewa odsłonięte resztki obydwu jedynek. W każdej dłoni ściskam piłkę tenisową i mam świadomość, że zaraz będę przechodził podwójne leczenie kanałowe bez znieczulenia. Dudnienie bijącego coraz szybciej serca. Oczekiwanie. Strach. Nie ma ulgi.

Wiertło wraca i przewierca się przez kawałek lewej jedynek. Przebija się przez cieńszą, bardziej kruchą część kości, więc idzie szybko. Rozpryskuje drobiny, wierci otwór, przebija się. W momencie przebicia zostaję porażony prądem, który nie jest bólem, daleko mu do bólu, jest czymś nieskończenie potężniejszym.

Wszystko zalewa biel i nie mogę oddychać. Zaciskam powieki i zagryzam pozostałe zęby i myślę że szczeka może mi pęknąć i zaciskam dłonie i przebijam się palcami przez twardą gumową powierzchnię piłek tenisowych i paznokcie mi pękają i paznokcie mi się łamią i paznokcie zaczynają krwawić i podwijam palce stóp i kurewsko bolą i napinam mięśnie ud i kurewsko bolą i tors mi się napina i mięśnie brzucha wydają się zapadać i żebra wydają się uginać pod swoim ciężarem i kurewsko boli i jaja mi się kurczą i kurczenie kurewsko boli i kutas mi stoi bo krew mnie boli i krew chce się

wydostać i szuka wyjścia przez mojego kutasa i kutas mnie kurewsko boli i ramiona napierają na grube niebieskie nylonowe paski i grube niebieskie nylonowe paski wrzynają mi się w ciało i kurewsko boli i twarz mi płonie i żyły na szyi chcą wybuchnąć i mózg jest biały i roztopia się i kurewsko boli. Mam w ustach wiertło. Mózg jest biały i zdaje się kurwa roztopiać. Nie mogę oddychać. Męczarnia.

Wiertło wycofuje się i ssak zaczyna zasysać obumierającą tkankę wokół korzenia z kanału, który go utrzymuje. Męczarnia nie ustępuje. Zasysanie ustaje i resztki tkanki są zdrapywane z wnętrza kanału jakimś ostrym szpikulcem. Męczarnia nie ustępuje. Ssak wraca i wycofuje się, zdrapywanie trwa. Męczarnia nie ustępuje. Korzeń musi być czysty. Proszę, wyczyść szybko tego Skurwysyna. Proszę proszę proszę wyczyść szybko Skurwysyna. Męczarnia nie ustępuje. Zaczynam odpływać w stan białej świadomości, gdzie nie jestem już bezpośrednio połączony z tym, co się ze mną dzieje. Ramiona nie są już moimi ramionami, nogi nie są moimi nogami, klatka piersiowa nie jest moją klatką piersiową, twarz nie jest moją twarzą, zęby nie należą do mnie. Ciało nie jest już moim ciałem. Nastaje biel.

Biel jest wszędzie. Męczarnia. Męczarnia jest bezdenna. Próbuję zmusić się do powrotu do rzeczywistości i do wiertel i ssaków i narzędzi i wacików i strumienia i drobin i Lekarzy i

Pielęgniarek i odbudowy zębów, ale nie mogę wrócić. Ciało nie pozwala mi wrócić. Jakby chciało oszczędzić umysłowi cierpień, ile się tylko da, i przepychało go w sferę, która jest straszna, ale jakby mniej straszna. Poddaję się i oddaję się i pochłania mnie biel i męczarnia i zdaje mi się, że jestem tam przez całą wieczność. Biel i męczarnia. Biel i męczarnia. Biel i męczarnia.

Piskliwe zawrodożenie wiertła sprowadza mnie z powrotem. Czuję górną lewą jędynkę i wiem, że wiertło nadchodzi, żeby naprawić prawą. Uderza i przebija się i podczas przebicia jestem przytomny i powtarza się rytuał wytrzymania. Ucieka ze mnie powietrze i nie mogę oddychać. Zaciskam powieki i zagryzam zęby i ściskam piłki tenisowe i wydaje się, że każda pojedyncza komórka mojego ciała eksploduje z bólu. Gdyby istniał Bóg, splunąłbym mu w twarz za oddanie mnie na coś takiego. Gdyby istniał Diabeł, sprzedałbym mu duszę, żeby to przerwać. Gdyby istniało coś Wyższego, co kontroluje nasze indywidualne losy, powiedziałbym mu, żeby wzięło mój los i wsadziło sobie w pierdoloną dupę. Wsadź mocno i głęboko, ty Skurwysynu. Proszę skończ. Proszę skończ. Proszę skończ.

Ssak zasysa, narzędzie zdrapuje i wytrzymuje. Wnętrze kanału jest oczyszczone i obmyte i wytrzymuje. Kanał jest wypełniony i korzeń jest

zabezpieczony i wytrzymuję. Gutaperka i niebieskie światło i narzędzie, gutaperka i niebieskie światło i narzędzie, gutaperka i niebieskie światło i narzędzie. "Wytrzymuję. Jestem gdzieś w Minnesocie i jestem Pacjentem Ośrodka dla Alkoholików i Narkomanów i mam odbudowywane cztery przednie zęby i jestem przypięty do fotela, bo nie mogę dostać znieczulenia. Jedyne, co mogę, to wytrzymać.

Czuję wodę obmywającą chyba zęby i resztkę drobin spływa mi do gardła. Waciki zostają wyjęte z policzków i dziąseł i słyszę przytłumione głosy i w umywalce leci woda i drzwi szafek otwierają się i zamykają. Otwieram oczy. Widzę przeblyski bieli i mam problemy z ostrością. Halogen jest ciągle włączony. Coś się rusza i ktoś wyłącza halogen i coś się ode mnie odsuwa, a coś innego przysuwa. Słyszę odpinanie klamer na paskach i paski zostają ściągnięte i książka o Babarze zabrana i moje ciało może się poruszać i funkcjonować tak, jak ma ochotę, i jest mi od razu zimno i od razu się trzęsę. Próbuję się podnieść i nie mogę. Próbuję podnieść głowę i nie mogę. Próbuję złapać ostrość i oczy nie dają rady. Jest mi zimno i robi mi się zimniej. Zaczynam się mocniej trząść. Ciągle ściskam piłki tenisowe.

Męczarnia jeszcze nie ustąpiła.

Ktoś mnie podnosi i owija kocem. Koc jest ciepły i ciepło wywołuje silne mdłości i czuję, jak nadchodzi, i nie mogę nic na to poradzić i nadchodzi.

Nadchodzi z łatwością i w pewien sposób to nadejście rozluźnia mi żołądek i płuca i tors i mimo że dalej nie mam ostrości, widzę, że jest czerwone. Nadchodzi i nadchodzi i nadchodzi. Czerwone czerwone czerwone. Wszędzie na kocu, wszędzie na krześle, wszędzie na podłodze, wszędzie na mnie. Wypuszczam piłki tenisowe i próbuję podnieść dłoń, żeby wytrzeć twarz, ale dłoń mi się trzęsie i twarz mi się trzęsie i nie mogą się spotkać. Dłoń opada mi wzdłuż ciała.

Przynieście jeszcze koce i przynieście wody. Biegiem.

Kładę się z powrotem na fotel.

W porządku, James?

Jęczę.

Rozumiesz mnie?

Jęczę jeszcze raz, kiwam na tak.

Musisz iść do Szpitala. Zadzwoń po Karetkę.

Nie chcę iść do Szpitala, więc resztkami sił podpieram się i otwieram oczy. Doktor Stevens stoi przede mną.

Żadnego Szpitala.

Potrzebna ci Opieka Lekarska. Opieka, której nie możemy ci zapewnić.

Fotel.

Co?

Obniż fotel.

Doktor Stevens obniża fotel. Stawiam stopy na

podłódze. Jest mi zimno i trzęsę się i wszystko boli. Mam dość Lekarzy i Dentystów i Pielęgniarek i foteli i testów i lamp halogenowych i narzędzi i czystych Gabinetów i sterylnych umywalek i krwawych operacji i mam dość starań, jakie poświęca się słabym i potrzebującym, i nie chcę iść do Szpitala. Zawsze sam radziłem sobie z bólem. Teraz też sam sobie z nim poradzę.

Zawołaj Hanka i niech zabierze mnie z powrotem do Ośrodka. Potrzebujesz Opieki Lekarskiej.

Poradzę sobie.

Jeżeli teraz stąd wyjdiesz, zrobisz to wbrew moim wyraźnym zaleceniom.

Rozumiem.

Odpycham się od fotela. Mięśnie ud drżą i nogi są niepewne. Robię mały powolny krok i zatrzymuję się. Zdejmuję koc i kładę go na fotelu i robię kolejny mały powolny krok i zatrzymuję się.

Dasz sobie radę?

Tak.

Potrzebujesz pomocy?

Nie.

Oczy łapią ostrość i żołądek mi się uspokaja. Ciągłe się trzęsę i ciągle jest mi zimno i ciągle mnie boli, ale im dalej od fotela, tym lepiej. Patrę na drzwi. Jeżeli uda mi się dotrzeć do drzwi, to będę bliżej wydostania się stąd. Chcę się stąd wydostać.

Robię kolejny krok. Nogi mam jak z galarety. Kolejny krok. Ważą pół tony każda. Kolejny krok. Bola. Kolejny krok. Pulsują. Kolejny krok. Każdy ruch to nadludzki wysiłek. Kolejny krok. Po każdym kroku nie wiem, czy będę go w stanie powtórzyć. Doktor Stevens obserwuje mnie i Pielęgniarki wróciły i obserwują mnie i wiem, że jeżeli zasłabnę, to pójdę do Szpitala. Kolejny krok. Kolejny krok. Docieram do drzwi i zatrzymuję się. Po prawej stronie jest lustro. Spoglądam w nie i przez chwilę widzę siebie. Jestem blady jak kreda. Mam upiornie napuchniętą twarz. Na ustach zostały pląty zaschniętej krwi. Z dolnej wargi sterczą mi szwy i mam podbite oczy. Na czubku nosa tkwi opatrunek. Jestem za chudy jak na swoją budowę ciała, a to, co mam, jest sflaczałe i obwisłe. Mój biały T-shirt jest upačkany brązowymi i czerwonymi plamami wymiocin. Wyglądam jak jebane monstrum.

Odwracam się do Doktora Stevensa i Pielęgniarek. Pielęgniarki odwracają wzrok, Doktor Stevens nie. Mówię powoli.

Dziękuję za pomoc.

Nie ma sprawy. To moja praca.

To nie jest twoja praca. Dzisiaj zrobiłeś znacznie więcej. Dziękuję. Doktor Stevens uśmiecha się.

Nie ma sprawy.

Od wzajemnie uśmiech. To mój pierwszy uśmiech z nowymi zębami. Rozśmiesza mnie to i

uśmiecham się szerzej i pokazuję na usta. Doktor Stevens śmieje się i podchodzi do mnie i obejmuje mnie i ściska. Jesteśmy dwoma mężczyznami, którzy przeszli razem drogę przez mękę. Chociaż to mnie było gorzej, wiem, że jemu też nie było lekko. Ten uścisk to nasza więź, więź pozwalająca nam 't wyciągnąć wnioski z tego, przez co przeszliśmy, i stać się dzięki temu lepszymi i silniejszymi ludźmi. Wiem, że on pozostanie wierny tej więzi, nie wiem, czy ja będę potrafił. Odsuwam się.

Jeszcze raz dzięki.

Trzymaj się, James.

Postaram się.

Odwracam się i powoli odchodzę i nie oglądam się za siebie. To była zawsze moja wada, ale taki właśnie jestem. Nigdy nie oglądam się za siebie. Nigdy.

Idę Korytarzem, przytrzymując się ścian. Każdy krok jest trudniejszy od poprzedniego, każdy krok bardziej boli. Twarz pulsuje mi w rytm bicia serca, rytm bicia serca nie jest tak silny ani pewny jak niedawno. Przyspiesza i zwalnia, bije nieregularnie, wysyła kłujące sygnały wzdłuż lewej ręki i do szczęki. Wytrzymało, kiedy miało wytrzymać, ale dłużej już nie wytrzyma. Dłużej już nie wytrzymam. Dochodzę do drzwi i popycham je i przechodzę przez nie do Poczekalni. Hank siedzi na kanapie i rozmawia ze starszą kobietą, a kiedy spoglądają na

mnie, starsza kobieta bierze gwałtowny wdech. Hank wstaje i podchodzi do mnie, a ja opieram mu się na ramieniu. Bez jego ramienia upadłbym.

Jezu Chryste.

Zabierz mnie stąd.

W porządku?

Ani trochę.

Co mam robić?

Kurwa, zabierz mnie stąd.

Hank zarzuca na mnie kurtkę i kładzie sobie moją rękę na ramieniu i swoją rękę na moim ramieniu i podtrzymuje mnie i wychodzimy z Gabinetu i schodzimy po schodach. Kiedy jesteśmy na dole, nogi się pode mną uginają i Hank wlecze mnie w stronę drzwi. Opiera mnie o nie i otwiera je popchnięciem i wyciąga mnie na zewnątrz. Burza, która nasilała się, kiedy wchodziliśmy, teraz szaleje. Wiatr chłoszcze w powietrzu ścianę zamarznętego deszczu ze śniegiem. Niebo jest czarne. Niszczycielskie grzmoty i wstrząsy piorunów. Hank ciągnie mnie do Furgonetki, stopy wloką mi się po zimnej i mokrej ziemi, a zimno i mokro przesiakają mi do butów. Kiedy docieramy do Furgonetki, Hank opiera mnie o drzwi od strony pasażera.

Dasz radę ustać?

Sięga do kieszeni po kluczyki.

Tak, byle szybko.

Wyciąga kluczyki z kieszeni i otwiera

Furgonetkę i rozsuwa boczne drzwi i pomaga mi wejść do środka i kładzie mnie na trzyosobowym siedzeniu i zatrzaskuje drzwi i biegnie do drzwi od strony Kierowcy i otwiera je i wdrapuje się do Furgonetki. Siada i wkłada kluczyk do stacyjki i zapala silnik i Furgonetka rusza.

Kiedy jedziemy przez Miasteczko, leżę na plecach i trzęsę się i marznę. Serce bije mi nieregularnie i boli. Mam bagnet w ustach i jestem nieludzko wyczerpany. Wracam do Ośrodka i nie chcę wracać do Ośrodka. Jeżeli opuszczę Ośrodek, czeka mnie śmierć albo Więzienie. Nie chcę takiego życia i nie chcę być kimś takim, ale nie znam niczego więcej. Wcześniej próbowałem się zmienić i nie udało mi się. Próbowałem się zmienić jeszcze raz i jeszcze raz i jeszcze raz i znowu mi się nie udało i znowu i znowu. Gdyby było coś, co mogłoby mnie przekonać, że tym razem będzie inaczej, to bym tego spróbował, ale nie ma. Gdyby w tunelu było światełko, popędziłbym do niego. Jestem Alkoholikiem i jestem Narkomanem i jestem Przestępcą. Nie ma światełka w tunelu.

Po jakimś czasie Furgonetkę zalewa ciepło i ciepło spowalnia drzenie i zabija marznięcie i jestem nieludzko wyczerpany i zamykam oczy. Jest ciemno. Zamykam oczy. Nie ma światełka w tunelu. Zamykam oczy. Jest ciemno. Zamykam oczy. Nie ma światełka. Zamykam oczy. Ciemno.

Zamykam oczy.

Zamykam oczy.

Zamykam oczy.

J jestem w kolejnym białym Pokoju i nienawidzę go. Jestem w kolejnym białym szlafroku i chcę podrzeć go na strzępy. Kolejne łóżko i kolejne biurko i kolejne krzesło i chcę je zniszczyć. Okno. Chcę się z niego rzucić.

Trzymam się grafiku. Przeczłołgać się do Łazienki. Zwymiotować. Poleżeć na podłodze. Zwymiotować. Poleżeć na podłodze. Zwymiotować. Poleżeć na podłodze. Część wymiocin utknęła mi między nowymi zębami i ich mycie boli. Po umyciu zębów wymiotuję jeszcze raz i myję jeszcze raz i czołgam się z powrotem do łóżka.

Ciągle jest ciemno, ciągle trwa burza. Deszcz i śnieg i wichur łomoczą w okno. Niekończąca się procesja klików i kłaków, niekończący się skowyt. Nienawidzę tego hałasu i chcę, żeby się skończył. Klik, plask, kłak, plask, klik, plask, kłak, plask. Nienawidzę go. Chcę, żeby się kurwa skończył.

Wstaję z łóżka. Moje ubranie jest wyprane i leży na biurku.

Zdejmuję szlafrok i wkładam je. Jest dziś luźniejsze niż wczoraj. Otwieram drzwi i wychodzę i jestem na Oddziale Medycznym. Jest środek nocy i Oddział jest prawie pusty. Pielęgniarka ma dyżur.

Czyta kolorowe czasopismo i nie zauważa mnie.

Wschodzę z Oddziału Medycznego i spaceruję po Korytarzach.

Mimo że nocne Niebo jest mroczne i zachmurzone, Korytarze są ciągle jasne. Lampy na suficie są jasne, ściany są jasne, wykładzina jest jasna, obrazki na ścianach są jasne, tabliczki na drzwiach są jasne. Nie czuję się dobrze w świetle. Za bardzo demaskuje.

Idę do Sawyer. Jest cicho i ciemno. Wszystkie światła są wyłączone, wszystkie drzwi do Pokoi są pozamykane, wszyscy mężczyźni śpią. Idę do Świetlicy i siadam na kanapie i włączam telewizor. Leci program o odchudzaniu, bełkot o Tym Jak Motywować Innych, jakaś kobieta bredzi coś o zjawiskach paranormalnych, gala zawodowych zapasów. Na kilku kanałach śnieży. Z tego, co widzę na ekranie, śnieżenie jest najciekawsze. Oglądam to. Przez godzinę. Śnieżenie.

Wyłączam telewizor i szukam sobie czegoś do roboty. Nie jestem zmęczony i nie chce mi się spać i nie chce mi się wracać na Oddział Medyczny i nie chce mi się chodzić po Korytarzach. Korytarze są zbyt jasne i nie czuję się dobrze w świetle.

Pod jedną ze ścian stoi rząd półek wypełnionych książkami. Nauczyłem się czytać, kiedy byłem mały, i zawsze pochłaniałem książki. To jedna z niewielu rzeczy oprócz rozpierdalania się i pakowania w kłopoty, które robiłem systematycznie przez całe

życie. Ciągnie mnie do książek. Wstaję i podchodzę do półek i siadam naprzeciwko.

Trzy półki z około czterdziestoma książkami na każdej półce. Przeglądam je w nadziei na coś, co mnie stąd zabierze. Chcę i muszę wypierdolić stąd na chwilę. Jeżeli nie mogę tego zrobić fizycznie, chciałbym to zrobić w głowie. Tylko na chwilę. Kurwa, zabierzcie mnie stąd.

Poradniki takie jak Daj upust: terapia płaczem, Gorycz to nie rzeka w Bułgarii, Anioły i narkomania: przyjmij pomoc bożych pomocników!!! i Tatuś mnie nie kochał: bajka o nałogu. Seria książek o każdym z Dwunastu Kroków. Krok pierwszy: brak kontroli, Krok trzeci: powierz życie Bogu, Krok szósty: przygotuj się do działania, Krok jedenasty: zawiąż więź. Kilka mocno sfatygowanych egzemplarzy Nowego Testamentu. Przeczytałem Nowy Testament. Nie będę więcej tracił na to czasu.

Sięgam po grubą zniszczoną niebieską książkę. Nie ma okładki i nie ma tytułu i z przodu jest symbol trójkąta wpisanego w okrąg. Już kiedyś dostałem tę książkę. Dostałem ją od przyjaciół, przyjaciół przyjaciół, ludzi, którym wydawało się, że potrafią mnie zmienić. Nosi tytuł *Wielka księga Anonimowych Alkoholików*, symbol z przodu jest symbolem umiarkowania. Nigdy wcześniej jej nie czytałem, nie chciało mi się jej nawet otwierać. Kiedy ją dostałem, wyrzuciłem ją do rowu albo

wepchnąłem do najbliższego śmietnika. Chodziłem na Spotkania AA i nie zrobiły one na mnie wrażenia. Ich filozofia jest dla mnie formą substytutu. Zastąpienia jednego nałogu kolejnym. Zastąpienia substancji chemicznej Bogiem i Spotkaniem. Od samych Spotkań robiło mi się niedobrze. Za dużo marudzenia, za dużo narzekania, za dużo zrzucania winy. Za dużo pierdoł o Siłę Wyższą. Nie ma żadnej Siły Wyższej ani żadnego Boga, który jest odpowiedzialny za to, co robię, i za to, co zrobiłem, i za to, kim jestem. Nie ma żadnej Siły Wyższej ani żadnego Boga, który mnie uzdrowi. Nie ma takiego Spotkania, na którym jakaś dawka marudzenia, narzekania i zrzucania winy sprawi, że poczuję się lepiej. Jestem Alkoholikiem i Narkomanem i Przestępcą. Jestem w gorszym stanie, niż byłem kiedykolwiek w życiu. Jestem w Ośrodku gdzieś w Minnesocie. Jeżeli opuszczę Ośrodek, Rodzina i reszta moich przyjaciół spiszą mnie na straty. Jeżeli opuszczę Ośrodek, moje opcje sprowadzają się do śmierci albo Więzienia. Jestem sam i jest środek nocy i nie chcę wracać na Oddział Medyczny i nie mogę spać.

Chcę drinka. Chcę pięćdziesiąt drinków. Chcę fife z crackiem. Chcę długą tustą działkę metamfy, chcę dziesięć kwasów, tubę kleju przemysłowego. Dajcie mi butelkę tabletek, dajcie mi marihuany przyciętej PCP Dajcie mi coś. Cokolwiek. Muszę się

stąd wyrwać. Jeżeli nie ciałem, to przynajmniej w głowie. Muszę stąd wypierdalać. Podnoszę książkę. Patrzę na nią. Wiem, że nie może mnie skrzywdzić, i wiem, że nie mam nic do stracenia. Zaczynam czytać. Zaczyna się od wstępu Lekarza, Eksperta od uzależnień. Lekarz twierdzi, że kliniczny Alkoholizm jest de facto nieuleczalny. Twierdzi, że jedynym znanym mu sposobem na wytrzeźwienie i wytrwanie w trzeźwości jest AA.

Przechodzimy do historii Billa, który jest założycielem AA. Bill jest Jezusem Chrystusem społeczności, Zbawicielem i Mesjaszem i mimo że Bill nie umierał na krzyżu, z pewnością na nim żył. Bill był złym pijakiem ze złym życiem i złymi problemami. Poszukiwał i poszukiwał lekarstwa na swój Alkoholizm i niczego nie znalazł. Kiedy był już na samym dnie, spotkał starego Kumpla od butelki, który odnalazł Boga i wytrzeźwiał. Nawrócenie przyjaciela przypomniało mu o czymś, co przeżył we francuskiej katedrze, gdy służył jako Żołnierz podczas pierwszej wojny światowej. Kiedy Bill siedział w ławce podczas zachodu słońca, ogarnęły go błogość i spokój, których nigdy wcześniej nie znał ani nie wierzył, że w ogóle istnieją. Wypełniła go Chwała Pana. Wspomnienia tej chwili i wstrzemięźliwość nawróconego przyjaciela miały przemożny wpływ na Billa. Przekonały go, że wiara w Boga lub w jakąś formę Siły Wyższej może

odmienić jego życie. Wtedy właśnie postanowił zrzec się własnej woli i oddać bezwarunkowo pod opiekę i wolę Boga. Nigdy więcej już nie pił, wypracował Dwanaście Kroków i koncepcję Anonimowych Alkoholików i poświęcił życie ewangelizacji. To wzruszająca historyjka, a napisano ją tak, żeby bardziej przekonać niż opowiedzieć. Nie jestem przekonany. Nie ma mowy, ani trochę. Ani trochę.

Czytam resztę książki, która jest w większości o Dwunastu Krokach. Rozdziały mają tytuły takie jak *Wyjście istnieje, Jak to działa, Ku czynom i Wizja dla Ciebie*. To wszystko jest bardzo proste. Jeżeli będziesz postępował zgodnie z książką, zostaniesz wyleczony. Jeżeli będziesz podążał ich ścieżką prawości, ta ścieżka zaprowadzi cię prosto ku zbawieniu. Jeżeli wstąpisz do klubu, zostaniesz szczęściarzem, który wygrał dożywotni zapas bzdurnych Spotkań pełnych marudzenia, narzekania i zrzucania winy. Sławmy Chwałę. Aż mi się chce paść na kolana. Sławmy Chwałę Alleluja!

Na końcu jest część z historiami członków AA. Mamy historię Dentysty, Alkoholika z Europy, Handlowca i Wykształconego Agnostyka. Wszyscy byli beznadziejnymi Alkoholikami, wszyscy odnaleźli Boga, wszyscy zaczęli tańczyć na Dwanaście Kroków, wszystkim się polepszyło. Tak jak w większości historii tego rodzaju, które czytałem albo słyszałem albo byłem zmuszony znieść, jest w

nich coś nieprzekonującego, wątego i pustego. Chociaż ci ludzie już nie piją i nie biorą narkotyków, w dalszym ciągu zmagają się z obsesją. Chociaż zachowują wstrzeźliwość, ich życie polega na unikach, roztrząsaniu i szkalowaniu substancji, których niegdyś potrzebowali i które uwielbiali. Mimo że zachowują się jak ludzie, funkcjonują dzięki Spotkaniom i Dogmatowi i Bogu. Pozbawieni Spotkań i Dogmatu zostają z niczym. Pozbawieni ich lądują tam, gdzie zaczynali. Pozostaje im nałóg.

Nałogom potrzebne jest paliwo. Nie jestem przekonany, czy Spotkania i Dogmat i Bóg są w stanie zasilić moje. Jeżeli to, co Lekarz powiedział na początku, jest prawdą i przyłączenie się do AA jest jedynym sposobem na wyjście z nałogu, to mam przejebane. Przejebane przejebane przejebane.

Odstawiam książkę z powrotem na półkę. Wstaję i idę do Tablicy Prac i widzę swoje nazwisko przy Toaletach Publicznych. Biorę środki czystości i idę do Toalet Publicznych, które nie były czyszczone od kilku dni i są odrażające. W umywalkach jest ślina, na podłodze zaschnięte szczyny, w koszu na śmieci zakrwawiony papier toaletowy, na ceramicznej muszli klozetowej plamy z gówna. Jestem pewien, że Roy miał z tym coś wspólnego, ale nie jestem w nastroju na gierki i rewanże, więc biorę środki czystości i zaczynam szorować. To podłe zajęcie. Wymiotuję dwa razy i muszę wyczyścić własne

wymiociny, jak również ślinę i szczyny i zakrwawiony papier i gówno. Kiedy kończę, i ściany i umywalka i podłoga i kosz na śmieci i ceramika lśnią, nie czuję satysfakcji, że coś osiągnąłem. Nie będę tego więcej robił. Nie ma kurwa bata.

Wschodzę z Toalet Publicznych i odnoszę środki czystości i idę do Pokoju. Otwieram drzwi i wchodzę. Zniszczone meble zostały wymienione. Larry, którego aktualnego miejsca pobytu w dalszym ciągu nie udało się ustalić, został wymieniony. Na jego łóżku leży mały Łysol i mały Łysol chrapie. Warren i John śpią na swoich łóżkach. John mamrocze i rzuca się, Warren leży nieruchomo. Moje łóżko jest nietknięte, chociaż Biblia i kolejny egzemplarz *Wielkiej księgi* zostały położone na stoliku nocnym. Podchodzę do stolika i podnoszę Biblię i *Wielką księgę* i podchodzę do okna i otwieram okno i wyrzucam książki na zewnątrz w ciemność. Burza ciągle szaleje.

Zamykam okno i idę do Łazienki i odkręcam prysznic i zdejmuję ubranie i rzucam je na stertę na wykafelkowaną podłogę. Podchodzę do lustra. Chcę siebie zobaczyć. Chcę spojrzeć w bladą zieleń swoich oczu i zobaczyć nie swoje fizyczne ja, tylko ukryte pod spodem jestestwo. Oglądam wargi. Są lekko spuchnięte, ale prawie normalne. Oglądam szwy i ranę. Rana zaczyna się goić, szwy trzymają jak należy. Oglądam nos. Zdejmuję opatrunek i

wyrzucam go do kosza na śmieci. Nos jest prosty, mimo że na jego grzbiecie widać nowy guz. Oglądam okolicę pod oczami. Zasinienie zaczyna blednąć i robi się żółte, już prawie nie ma opuchlizny. Powoli podnoszę wzrok. Chcę wejrzeć w bladą zieleń swoich oczu. Chcę zobaczyć nie swoje fizyczne ja, tylko ukryte pod spodem jestestwo. Przysuwam się bliżej. Bliżej. Chcę wejrzeć w bladą zieleń moich oczu. Chcę zajrzeć w ukryte pod spodem jestestwo. Bliżej, bliżej.

Nie mogę. Nie ma kurwa mowy.

Odwracam się i idę do kabiny i wchodzę pod prysznic i uderza we mnie fala gorąca. Parzy mnie i skóra robi mi się czerwona i boli, ale nie odsunę się. Zasluguję na ból, bo nie starczyło mi odwagi, żeby na siebie spojrzeć. Zasluguję na ból i wytrzymam i zniosę go, bo nie mam odwagi, żeby spojrzeć sobie w oczy.

Kiedy drętwieję, dodaję zimnej i siadam na podłodze i pozwalam wodzie obmywać swoje ciało i łagodzić poparzenia. Gorąco jest wyczerpujące, a zimno wyczerpuje mnie jeszcze bardziej. Zamykam oczy i pozwalam ciału się wyłączyć, a umysłowi wędrować. Wędruje do znajomego miejsca. Miejsca, o którym nie mówię ani nie ujawniam jego istnienia. Miejsca, w którym jestem tylko ja. Miejsca, którego nienawidzę.

Jestem sam. Sam tutaj i sam na świecie. Sam w

sercu i sam w głowie. Sam wszędzie przez cały czas, od kiedy pamiętam. Sam w Rodzinie, sam z przyjaciółmi, sam w Pokoju pełnym Ludzi. Sam, kiedy się budzę, sam każdego koszmarnego dnia, sam, kiedy w końcu nadchodzi ciemność. Jestem sam na sam z przerażeniem. Sam na sam z przerażeniem.

Nie chcę być sam. Nigdy nie chciałem być sam. Kurewsko tego nienawidzę. Nienawidzę tego, że nie mam z kim porozmawiać, nienawidzę tego, że nie mam do kogo zadzwonić, nienawidzę tego, że nie mam nikogo, kto potrzyma mnie za rękę, przytuli mnie, powie mi, że wszystko będzie w porządku. Nienawidzę tego, że nie mam nikogo, z kim mógłbym dzielić nadzieje i marzenia, nienawidzę tego, że przestałem mieć nadzieje i marzenia, nie znoszę tego, że nie mam nikogo, kto powiedziałby mi, żebym się trzymał, że jeszcze kiedyś je odnajdę. Nienawidzę tego, że kiedy krzyczę, a krzyczę jak opętany, to krzyczę w pustkę. Nienawidzę tego, że nie ma nikogo, kto by usłyszał mój krzyk, i nie ma nikogo, kto pomógłby mi nauczyć się, jak przestać krzyczeć. Nienawidzę tego, że to, do czego zwróciłem się w swojej samotności, mieszka w fifie albo butelce. Nienawidzę tego, że to, do czego zwróciłem się w swojej samotności, zabija mnie, już mnie zabiło albo wkrótce mnie zabije. Nienawidzę tego, że umrę sam. Umrę sam na sam z przerażeniem.

Bardziej niż czegokolwiek zawsze pragnąłem

bliskości drugiej osoby. Bardziej niż czegokolwiek zawsze pragnąłem poczucia, że nie jestem sam. Próbowałem wielokrotnie, próbowałem zabić samotność przy pomocy dziewczyny albo kobiety, ale to nigdy nie działało. Byliśmy razem i byliśmy blisko siebie, ale nieważne jak blisko siebie byliśmy, ciągle czułem się sam. Wyczuwały tę samotność i ona sprawiała, że chciały się zbliżyć. Kiedy próbowały, uciekałem albo robiłem coś, żeby zniszczyć to, co do siebie czuliśmy. Kiedy chcę szybko biegać, to potrafię, i zawsze dobrze mi szło niszczenie. Żadna z nich nie zamieniłaby ze mną dzisiaj słowa.

Ostatnia była jedyną, która sprawiła, że czułem się tak, jak zawsze chciałem się czuć. Sprawiała, że czułem się lepiej niż kiedykolwiek, lepiej, niż sobie wyobrażałem, że można się czuć, i to mnie przestraszyło, przestraszyło tak bardzo, że ogarnął mnie paraliż. Kiedy mi się oddała, zawiodłem. Ta porażka popchnęła mnie ku zniszczeniu. Zniszczyłem ją, zniszczyłem siebie, zniszczyłem nas oboje. Zniszczyłem nadzieję na przyszłość. Moje imię nie przejdzie jej przez gardło, zignoruje fakt mojego istnienia. Nie winię jej. Zaczynam rozmawiać ze starą przyjaciółką, starą dobrą przyjaciółką. Mówię cześć, jak leci, co u ciebie słyszać, co nowego. Mój głos rozbrzmiewa w kabinie i jest mi głupio, ale mówię dalej. Mówię tęsknię za tobą, szkoda, że cię tu

nie ma. Moja przyjaciółka ma na imię Michelle i nie widziałem jej ani nie rozmawiałem z nią od ponad dziesięciu lat. Mówię ostatnio dużo o tobie myślałem. Mówię może się zobaczymy. Mówię proszę cię bądź, kiedy przyjadę, chciałbym spędzić z tobą trochę czasu. To już za długo trwa. Ponad dziesięć lat. To już stanowczo za długo.

Poznałem Michelle, kiedy miałem dwanaście lat i moja Rodzina właśnie przeprowadziła się do małego Miasteczka. Całe życie spędziłem w dużym Mieście i adaptacja nie była łatwa. Nie miałem nic wspólnego z żadnym z Dzieciaków z Miasteczka, oni nie mieli nic wspólnego ze mną. Nie chodziłem na siłownię, nie znosiłem heavy metalu, uważałem naprawę samochodów za jebaną stratę czasu. Z początku próbowałem się dopasować, ale nie potrafiłem udawać i po kilku tygodniach przestałem próbować. Jestem, kim jestem, i mogli mnie albo lubić, albo nienawidzić. Nienawidzili mnie i to kurwa jak.

Zaczęli mnie zaczepiać, popychać, bić. Odpłacałem im, odpowiadałem zaczepką na zaczepkę, ciosem za cios. W ciągu miesiąca czy dwóch wyrobiłem sobie reputację. Byłem na ustach Nauczycieli, byłem na ustach Rodziców, byłem na ustach miejscowych Gliniarzy. I nie mówiono o mnie nic dobrego. Odwdzięczałem się, rzucając jajami w ich domy, wysadzając ich skrzynki pocztowe i

niszcząc ich samochody. Odpowiedziałem, wypowiadając Wojnę im i ich Miasteczku i prowadząc tę Wojnę ze wszystkich sił. Nie obchodziło mnie, czy wygram, czy przegram, chciałem tylko walczyć. No dawajcie Skurwysyny, to wszystko, co macie? Jestem gotów na jebany pojedynek.

Sześć miesięcy po przeprowadzce zaprzyjaźniłem się z Dziewczyną o imieniu Michelle. Była łubiana, piękna i inteligentna. Uprawiała sport i była Cheerleaderką i miała same szóstki. Nie wiem, dlaczego chciała się ze mną zaprzyjaźnić, ale chciała. Zaczęło się, kiedy przesłała mi liścik na angielskim. W liściku napisała nie wydajesz się taki paskudny, jak o tobie mówią. Odpisałem jej lepiej uważaj, jestem jeszcze gorszy, niż o mnie mówią. Roześmiała się i miałem przyjaciółkę. Nie została moim Sprzymierzeńcem, nie prosiłem jej o to ani tego nie chciałem, ale została moją przyjaciółką, i to było więcej, niż ktokolwiek inny był gotów zrobić.

Zaczęliśmy rozmawiać przez telefon, przysyłać sobie liściki na lekcjach, jeść razem lunch, siedzieć koło siebie w Autobusie. Ludzie zastanawiali się, dlaczego się ze mną zadaje, i zastanawiali się, co ona we mnie widzi, i mówili jej, że nie powinna tracić na mnie czasu, ale ona ich ignorowała. Miała zbyt wiele zalet, żeby ktokolwiek utrudniał jej życie z powodu naszej przyjaźni, więc udawali, że nic między nami

nie ma.

W połowie ósmej klasy Koleś z Liceum zaprosił Michelle na randkę. Wiedziała, że Rodzice jej nie puszczą, więc powiedziała im, że idzie ze mną do kina. Nigdy nic im nie zrobiłem i zawsze byłem w ich obecności miły i grzeczny, więc zgodzili się i zawieźli nas do Kina. Wszedłem do środka i obejrzałem film z pół litra whisky i kiedy się skończył, sam wróciłem do Domu. Michelle została odebrana i poszła na randkę. Ona i Koleś zaparkowali i pili piwo i kiedy odwoził ją z powrotem do Kina, próbował zdążyć przez tory przed Pociągiem. Samochód został zmiażdżony i Michelle zginęła. Była lubiana, piękna i inteligentna. Uprawiała sport i była Cheerleaderką i miała same szóstki. Była moją jedyną przyjaciółką. Przejechał ją Pociąg i zabił. Przejechał ją pierdolony Pociąg i zabił.

Dowiedziałem się następnego dnia. Obwiniali mnie jej Rodzice i ich przyjaciele i wszyscy inni na tym pierdolonym zadupiu. Gdyby nie skłamała i gdybym jej nie pomógł, to by się nie stało. Gdybyśmy nie poszli do Kina, nie poszłaby na randkę. Kolesiowi nic się nie stało i był miejscowym Bohaterem drużyny i wszyscy go żalowali.

Zostałem zabrany na miejscowy Posterunek i przesłuchany. Tak to właśnie tam się odbywało. Zrzucić winę na pojeba, uzalać się nad Bohaterem drużyny. Jednego szkalować do końca życia,

zapomnieć, że drugi miał z tym cokolwiek wspólnego. Dostałem za to gówna zdrowo po dupie i za każdym razem, kiedy się broniłem, a broniłem się za każdym razem, broniłem się dla niej. Broniłem się tak kurewsko mocno, jak tylko potrafiłem, i broniłem się dla niej.

Ciągle myślę o Michelle i ciągle mi jej brakuje. Żałuję, że nie mogę słyszeć jej głosu ani słyszeć, jak się śmieje, ani zobaczyć jej uśmiechu. Żałuję, że nie mogę usiąść obok niej ani do niej zadzwonić, ani przesłać jej wiadomości. Żałuję, że nie mogę poczuć jej zapachu, dotknąć jej włosów, spojrzeć jej w oczy. Żałuję, że nie mogę usłyszeć, jak mówi spokojnie, nie warto. Żałuję, że nie mogę usłyszeć, jak mówi zostaw, nie dawaj im satysfakcji. Żałuję, że nie mogę usłyszeć, jak mówi już dobrze, Jimmy, wszystko będzie dobrze. Żałuję, że nie mogę jej powiedzieć, że ją kocham, bo tak było i tak jest, i nigdy tego nie zrobiłem, kiedy jeszcze żyła. Była moją jedyną przyjaciółką. Przejechał ją Pociąg i zabił.

Nie wierzę, że jest w Niebie, i nie wierzę, że jest w lepszym miejscu. Jest martwa i kiedy jesteśmy martwi, to nas nie ma. Nie ma oślepiającego światła, nie ma radosnej muzyki, Anioły nie czekają, żeby nas przywitać. Święty Piotr nie stoi u Bram Raju z wielką tłustą jebaną księgą, nasi przyjaciele i Krewni nie przytrzymują dla nas miejsca przy jakimś bożym stole, nie ma wycieczki po Niebie. Jesteśmy martwi i

tyle. Nic więcej. Co mimo wszystko nie uniemożliwia mi rozmowy z Michelle. Rozmawiam z nią i zadaję jej pytania i opowiadam jej o swoim życiu. Mówię, że za nią tęsknię, i mówię, że myślę o niej codziennie, i mówię, że ją kocham. Mówię, że ciągle się bronię i bronię się z całych sił i bronię się dla niej. Zawsze będę się dla niej bronił. Zawsze.

Rozmawiam z Michelle i opowiadam jej to wszystko w najgorszych momentach życia. Rozmawiam z Michelle i opowiadam jej to wszystko, kiedy nie mam już nadziei. Rozmawiam z Michelle i opowiadam jej to wszystko, kiedy czuję się, jakbym miał zaraz umrzeć. Wiem, że kiedy umrę, to będę martwy, i wiem, że teraz jestem bliski śmierci. Wiem, że to proste i że kiedy umrę, nie będzie nic więcej. Wiem, że nigdy nie spotkam się z Michelle w Niebie czy gdziekolwiek indziej, ale i tak z nią rozmawiam. Ostatnio często z nią rozmawiam.

Drzwi kabiny otwierają się i ktoś wchodzi do środka i wracam z wnętrza umysłu i samotności, wracam do tej chwili tego teraz tego cholernego prysznicza. Otwieram oczy, a przede mną stoi John. Wstaję i patrzę na niego. Jesteśmy obydwaj nadzy. Mówię.

Co ty kurwa robisz?

Wszyscy jeszcze śpią.

Co ty tu kurwa robisz?

Usłyszałem cię i pomyślałem, że mógłbym ci

towarzyszyć. Wypierdalaj stąd.

Nikomu nie powiem. Obiecuję.

WYPIERDALAJ STĄD.

John wychodzi z kabiny i zasuwa drzwi. Wychodzę z kabiny za nim i sięgam po ręcznik i owijam go sobie wokół bioder. Łazienka zaparowała i umywalka i toalety ociekają skroploną parą. John siedzi na kaloryferze z ręcznikiem na kolanach. Wg[^]cla na zdenerwowanego i przestraszonego jak mały szczeniak czekający na cios.

Przepraszam.

Więcej tego nie rób.

Wielu mężczyznom jest tu samotnie. Wydałeś mi się samotny.

Nie jestem.

Przepraszam.

Nie przepraszaj, tylko więcej tego nie rób.

Nienawidzisz mnie?

Nie, nie nienawidzę cię i jest mi wszystko jedno, co robisz z innymi facetami. Po prostu nie spodziewaj się, że będziesz to robić ze mną. Uderzysz mnie?

Nie, nie uderzę cię.

Czasami Ludzie mnie biją.

Nie uderzę cię.

Jeżeli masz ochotę, możesz mnie uderzyć.

Nie uderzę cię.

John zaczyna płakać.

Przepraszam. Naprawdę przepraszam.

Nie przepraszaj, tylko więcej tego nie rób.

Biorę ubranie i wychodzę z Łazienki i idę do swojej części Pokoju i wycieram się i ubieram. Słyszę Johna lamentującego w Łazience, Warren i Łysol ciągle śpią. Burza ciągle szaleje. Kiedy kończę się ubierać, kładę się na łóżku i jestem zaskoczony, jak bardzo jestem zmęczony, i zamykam oczy i zasypiam.

Sen nadchodzi szybko. Jestem znowu w Pokoju i jestem znowu przy stole. Mam wodę, kokę, crack, klej i benzynę. Biorę wszystko. Biorę, ile tylko mogę, tak szybko, jak mogę. Wrzeszczę i śmieję się i przeklinam. Wznoszę pięści do Nieba i wyzywam Boga od gównianych Skurwysynów, wyzywam Boga od dziwek. Podskakuję i biegam dokoła stołu. Jest tyle wody, koki, cracku, kleju i benzyny, że wcieram je w skórę i wylewam je na siebie. Mam je w sobie i mam je na sobie. Jestem niewyobrażalnie najebany. Pierwszy raz od wielu dni dobrze się czuję.

Pod dużą torbą kokainy znajduję rewolwer. Podnoszę go i trzymam w dłoni. To rewolwer kalibru trzydzieści osiem. To rewolwer, który miałem już kiedyś w rękach, z którym potrafię się obchodzić.

Siadam na krześle i otwieram bębenek. Bębenek jest pełen, w każdej komorze jest nabój. Zamykam bębenek i kręcę i uśmiecham się, słuchając, jak się obraca. Miałem już ten rodzaj rewolweru w rękach i

wiem, jak się z nim obchodzić. Rewolwer kalibru trzydzieści osiem.

Wkładam sobie lufę do ust. Lufa jest zimna i brudna, a mnie podoba się smak metalu w ustach. Jeszcze raz kręcę bębenkiem. Uśmiecham się, słysząc klik klik klik klik klik. W każdej komorze jest nabój. Rezultat może być tylko jeden. Bębenek się zatrzymuje. Zahaczam kciukami o spust. Jestem napompowany wodą, koką, crackiem, klejem i benzyną. Jestem niewyobrażalnie najebany. Kciuki mi drgają, drgają, drgają. Bum.

Budzę się, otwarte oczy widzą sufit, trzęsę się i z trudem łapię oddech. Dotykam nosa i pod każdym nozdrzem jest kropla krwi. Kręci mi się głowie, mam zawroty. Czuję pieczenie w żołądku.

Jestem niewyobrażalnie rozjebany.

Wychodzę z łóżka i idę do Łazienki. Poruszam się z trudem i wpadam tam przez drzwi. Warren stoi przy umywalce i myje zęby, a ktoś jest pod prysznicem. Zaczynam mieć mdłości i czołgam się, krztusząc, do sedesu. Kiedy docieram do sedesu, wymiotuję.

W wymiocinach jest żółć i brązowe gówno, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Jest mnóstwo krwi. Czuję pieczenie w żołądku, gardle i ustach. Czuję pieczenie na wargach i twarzy. To nie chce się skończyć. Żołądek podchodzi mi do gardła i nadchodzą, piekące wymioty nadchodzą i nadchodzą

bez końca. Ciągłe nadchodzą.

Chcę, żeby się skończyły, ale nic z tego.

Warren podchodzi i przyklęka i obejmuje mnie i próbuje mnie przytrzymać. Łysol wyszedł z kabiny i gapi się i jest oszołomiony gwałtownością moich torsji. Ciągłe nadchodzą. Nadchodzą i nadchodzą. Nie chcą się skończyć. Nie chcą się kurwa skończyć. Serce mi wali i wali nieregularnie i z każdym uderzeniem nadchodzi ból i z każdym nieregularnym uderzeniem nadchodzi ból i ból promieniuje na lewe ramię i lewą stronę szczęki. Płyn przestaje wypływać przez usta z mojego ciała, ale wymioty się nie skończyły. Czuję, jakby żołądek i gardło ze mnie wychodziły albo próbowały się wydostać. Czuję, jakby moje ciało próbowało się pozbyć samego siebie z siebie. Próbuje się pozbyć mnie z siebie.

Dłużej już nie mogę. Nie mogę tak dalej żyć. Jestem Alkoholikiem i jestem Narkomanem i jestem Przestępcą. Ciało mi się rozsypuje i umysł dawno temu mi się rozsypał. Chcę się napić i chcę zapalić crack, chociaż wiem, że picie i palenie cracku mnie zabije. Jestem sam. Nie mam z kim porozmawiać, nie mam do kogo zadzwonić. Nienawidzę siebie. Nienawidzę siebie tak bardzo, że nie mogę sobie spojrzeć w oczy. Nienawidzę siebie tak bardzo, że samobójstwo wydaje mi się rozsądnym rozwiązaniem. Rodzina jest gotowa mnie skreślić, przyjaciele są gotowi mnie skreślić. Zniszczyłem

każdy znaczący związek, w którym byłem. WTMO10)? dzisiaj siódmy raz. Siódmy kurwa raz. Nie mogę tak dalej żyć. Nie mogę tak dalej żyć. Torsje kończą się i zaczynam oddychać. Warren mnie przytrzymuje, a Łysol się na mnie gapi. Podnoszę dłoń i pokazuję Warrenowi, żeby się odsunął, więc wstaje i odchodzi, a ja opieram się głową o przód sedesu. Oddycham. Wciągam tyle powietrza, ile potrafię. Wem, że powietrze obniży mi tętno i mnie uspokoi, więc oddycham. Wciągam tyle powietrza, ile potrafię. Uspokój mnie. Uspokój mnie. Warren mówi. Łysol się gapi.

Wszystko w porządku?

Przytakuje.

Pomóc ci?

Kręcę głową.

Zawołam kogoś.

Mówię.

Nie.

Potrzebujesz pomocy.

Nie.

James, potrzebna ci pomoc.

Podnoszę się. Stoję niepewnie.

Ja decyduję, co jest mi potrzebne. Nie ty.

Biorę głęboki wdech i idę niepewnym krokiem do umywalki i puszczam wodę i myję twarz i wypłukuję wymiociny z ust. Kiedy kończę, zakręcam wodę i odwracam się. Warren się na mnie gapi i

Łysol się na mnie gapi. Mijam ich i wychodzę z Łazienki. Warren idzie za mną i przechodzi do swojego kąta Pokoju.

Dam ci przynajmniej koszulę.

Patrzę na swój T-shirt. Jest biały i brązowy i czerwony. Poplamiony żółcią i kawałkami gówna, których nigdy wcześniej nie widziałem, i zakrwawiony.

Proszę.

Warren rzuca mi koszulę. Łapię ją. To wykrochmalona biała koszula z grubej bawełny. Patrzę na nią i patrzę na niego. Mówi.

To jedyna czysta koszula, jaka mi została.

Patrzę na koszulę. To nie jest koszula w moim stylu. Śmieję się i spoglądam z powrotem na Warrena.

Dziękuję.

Śmieje się.

Nie ma sprawy.

Zdejmuję T-shirt i rzucam go na podłogę koło łóżka i wkładam koszulę, jest olbrzymia. Okrywa moje wyniszczone ciało niczym plandeka i sięga mi do kolan. Podwijam rękawy do połowy przedramion i przejeżdżam rękami po przodzie. Jest sztywna od krochmalu, ale miękka pod spodem. Bawełna jest wysokiej jakości i elegancko uszyta, przypuszczalnie w jakimś odległym Kraju. To najczystsza, najładniejsza rzecz, jaką miałem na sobie, od kiedy

pamiętam, i czuję, że nie zasłużyłem, żeby ją włożyć na swoje schorowane ciało. Warren siedzi na skraju łóżka i obcina paznokcie u stóp, obok niego leży para czarnych skarpet. Podchodzę i zatrzymuję się przed nim i dotykam bawełny. Mówię.

Jest bardzo ładna. Będę o nią dbał.

Warren się uśmiecha.

Nie przejmuj się.

Będę się przejmować i doceniam, że mi ją pożyczyłeś. Dziękuję.

Nie przejmuj się.

Będę o nią dbał. Dziękuję.

Warren przytakuje, a ja odwracam się i wychodzę z Pokoju i spaceruję po Oddziale. Mężczyźni są zajęci porannymi Pracami, ubierają się, idą na śniadanie. Roy stoi z przyjacielem przed Tablicą Prac. Mijam go.

James.

Idę dalej i nie oglądam się.

Masz posprzątać Toalety Publiczne.

Idę dalej, nie oglądam się i wystawiam środkowy palec nad ramieniem tak, żeby go widział.

James.

Wystawiam środkowy palec.

JAMES.

Idę Korytarzami do Stołówki. Z każdym kolejnym krokiem narasta we mnie przemożna ochota na drinka, na coś mocniejszego, na jedno i

drugie albo na wszystko. Stopy robią się ociężałe i zwalniam. Przez głowę przebiega mi jedna myśl, która się powtarza i powtarza i powtarza. Muszę się najebać. Muszę się najebać. Muszę się najebać. Muszę się najebać.

Idę Szklanym Korytarzem, który oddziela mężczyzn od kobiet, i staję w kolejce. Czuję jedzenie, śniadanie. Jajka i bekon i kiełbaski i naleśniki i tosty. Pachnie zajebicie. W wielkim garze z boku widzę owsiankę. Pierdolić owsiankę. Obrzydliwa szara gówniana papka. Czuję jedzenie, śniadanie. Jajka i bekon i kiełbaski i naleśniki i tosty.

Posuwam się do przodu. Zbliżam się, zbliżam, zbliżam. Pragnienie, żeby się najebać, rośnie w postępie geometrycznym. Urosło do tego stopnia, że to już nie jest myśl, i urosło do tego stopnia, że nie mam już żadnych myśli. Został tylko pierwotny instynkt. Zdobądź coś. Zapchaj mnie. Zdobądź coś. Zapchaj mnie.

Ktoś na mnie wpada i spoglądam, a Dziewczyna, którą spotkałem kilka dni temu, stoi przede mną i coś upuściła. Zdobądź coś. Ma na imię Lilly. Zapchaj mnie. Podnoszę to, co upuściła, i widzę, że to złożony kawałek białego papieru. Zdobądź coś. Oddaję go jej. Zapchaj mnie. Zaczyna coś mówić. Zdobądź coś. Ignoruję ją. Zapchaj mnie. Posuwam się do przodu. Zdobądź coś. Zapchaj mnie.

Biorę tacę i proszę kobietę pracującą za Szklaną

Lada o jajka i bekon i kiełbaski i naleśniki i tosty. Nakłada mi za mało, więc proszę o więcej. Nakłada mi dodatkową porcję, ale to wciąż za mało. Proszę jeszcze raz. Odmawia, więcej nie zmieści się na talerzu.

Biorę garść serwetek i sztucce i znajduję pusty stół i wkładam serwetki z przodu koszuli Warrena i siadam i biorę butelkę syropu i polewam jajka i bekon i kiełbaski i naleśniki i tosty syropem i zaczynam je pożerać. Nie patrzę, co to jest, i nie czuję smaku i nie obchodzi mnie, co to jest ani jak smakuje. To bez znaczenia. Liczy się, że coś mam, i zamierzam zjeść tyle, ile dam radę, tak szybko, jak dam radę. Zdobądź coś. Zapchaj mnie.

Kończę porcję. Na twarzy i palcach i serwetkach chroniących koszulę Warrena są jajka i bekon i kiełbaski i naleśniki i tosty i syrop. Oblizuję palce i wycieram twarz i wyciągam serwetki z koszuli i zgniatam je w dłoni i kładę je na tacy i jeszcze raz oblizuję palce. Chcę jeszcze, ale moje potrzeby zostały na razie zaspokojone. Rozpieram się wygodnie na krześle i obserwuję. Mężczyźni i kobiety wylewają się ze Szklanego Korytarza. Wpadają na siebie, wymieniają spojrzenia, dzielą tę samą przestrzeń, ale nic nie mówią. Czuć wyraźne napięcie.

Część żeńska jest prawie pełna. Niektóre kobiety wzięły prysznic i umalowały się, niektóre nie, i

podzieliły się zgodnie z Klasą Społeczno-Ekonomiczną. Bogate siedzą z bogatymi, przeciętne z przeciętnymi, biedne z biednymi. Bogatych jest więcej niż przeciętnych, przeciętnych więcej niż biednych. Bogate kobiety rozmawiają i śmieją się i prawie nie dotykają jedzenia i zachowują się, jakby były na wakacjach. Przeciętne kobiety są mniej ożywione, ale też wyglądają, jakby się dobrze bawiły. Biedne kobiety nie są wcale umalowane i prawie nie rozmawiają. Koncentrują się na jedzeniu, jak gdyby to były najlepsze posiłki, jakie widziały, i najlepsze posiłki, jakie zobaczą.

Mimo że mój stolik jest pusty, większość stolików w części męskiej jest zajęta. Podział wśród mężczyzn nie ma związku z klasą, tylko formą uzależnienia. Alkoholicy siedzą razem, Kokainiści siedzą razem, Palacze Cracku siedzą razem, Cpuny siedzą razem, Lekomani siedzą razem. Wewnątrz każdej z grup jest dodatkowy podział. Jedna grupa składa się z Twardzieli. Są najciężej uzależnieni i mają naprawdę przejebane. Druga grupa składa się z Leszczy. Ci nadają się do użytku i są potencjalnie do odratowania. Twardziele kpią z Leszczy i mówią im, że to nie jest miejsce dla nich. Leszcze nie odpowiadają, ale ich spojrzenia zdają się mówić dzięki Bogu, że nie jesteśmy na waszym miejscu. Ed i Ted i John siedzą wśród Twardzieli, Roy i jego przyjaciel i Warren i Łysol siedzą z Leszczami.

Siedzę sam i wszystkim się przyglądam, zastanawiając się, co ja tu kurwa robię, rozpaczając, że nie mam czegoś, czym mógłbym się najebać. Na razie jedzenie zabiło instynkt, ale wiem, że wróci, i wiem, że wróci silniejszy. Zdobądź coś. Zdobądź coś mocnego i zdobądź coś szybko. Zapchaj mnie. Zapychaj mnie, aż zdechnę. Leonard siada przy moim stoliku. Nosi innego roleksa i inną hawajską koszulę. Ma na talerzu kiełbaski i bekon i nic więcej.

Hej, Młody.

Rozwija serwetkę, kładzie sobie na kolanach.

Cześć.

Bierze kolejną serwetkę i czyści nóż, widelec i brzeg szklanki soku pomarańczowego.

Kiedy wstawili ci zęby?

Wczoraj.

Co musieli zrobić?

Założyć korony na dwójki, w tej wypełnić ubytek.

Pokazuję lewą dwójkę.

Na tych kanałowe.

Stukam w dwa środkowe. Trzymają się mocno.

Dali ci dobre leki.

Nic mi nie dali.

Kurwa mać.

Właśnie.

Nic ci nie dali?

Nie.

Robili ci kanały na dwóch jedynkach bez znieczulenia?

Tak.

Leonard patrzy na mnie, jak gdyby nie mógł zrozumieć, co powiedziałem.

To najgorsza w dupę jebana sprawa, o jakiej słyszałem.

Bolało.

Bolało nie jest wyrazem, którego ja bym użył.

Bolało jak skurwysyn.

Śmieje się, odkłada widelec.

Młody, skąd ty się kurwa urwałeś?

Ze niby co?

Skąd się biorą tacy jak ty?

Mieszkałem w wielu miejscach.

Na przykład gdzie?

Co cię to obchodzi?

Zastanawiam się.

To się przestań zastanawiać.

Dlaczego?

Nie szukam tu przyjaźni.

Dlaczego?

Nie lubię pożegnań.

Mimo to trzeba się żegnać.

Nie, nie trzeba.

Wstaję i biorę tacę i wracam do kolejki i biorę dokładkę i biorę serwetki i idę do pustego stolika w kącie i siadam i jem. Tym razem jem wolniej. Z

każdym kęsem czuję, jak żołądek mi się nadyma. To paskudne, nieprzyjemne uczucie, ale nie mogę się powstrzymać. Jem kęs za kęsem i czuję się coraz gorzej. Patrzę na jedzenie i nie chcę już więcej, ale to bez znaczenia. Jem kęs za kęsem, czuję się coraz gorzej. Zdobądź coś. Zapchaj mnie. Tylko to się liczy. Zapchaj mnie. Kończę jeść i wstaję i idę powoli, powoli, powoli przez Stołówkę i odkładam tacę na taśmociąg do zmywarki. Kiedy się odwracam, przede mną stoi Lilly. Mimo że jakiś czas temu ją widziałem, naprawdę jej nie widziałem, i mimo że już dwa razy ją spotkałem, nigdy naprawdę jej się nie przyjrzałem. Ma długie czarne włosy do połowy piersi i niebieskie oczy. Nie bladoniebieskie, niebieskie jak woda. Niebieskie jak głęboka, czysta woda. Jest trupio blada, blada blada trupio blada, i ma szerokie i czerwone jak krew wargi, mimo że nie używa szminki. Jej džinsy są stare i znoszone i jej czarny sweter jest stary i znoszony i jej glany są stare i znoszone i wszystko jest za duże na jej ciało, które jest małe i wątłe. Trzyma tacę i uśmiecha się. Ma proste białe zęby, proste bez pomocy aparatu i białe bez pomocy pasty do zębów. Uśmiecham się do niej. Mówi.

Masz zęby.

No.

Ładnie wyglądają.

Dzięki.

Dajesz sobie radę?

Ani trochę. Ty?

U mnie w porządku.

To dobrze.

Wymijam *h* i odchodzę. Wiem, że na mnie patrzy, ale nie oglądam się. Idę Korytarzami i wchodzę do Auli i znajduję miejsce wśród mężczyzn z mojego Oddziału i siadam. Leonard siada koło mnie, a ja wstaję i przesiadam się tak, żeby było między nami puste krzesło. Spogląda na mnie i śmieje się. Ignoruję go.

Zaczyna się Wykład. Jest o Powierzeniu Życia Bogu. Mężczyzna prowadzący wykład jest trzeźwy od dziesięciu lat. Kiedy ma kłopoty albo mu się nie wiedzie, zwraca się do Boga i idzie na Spotkanie AA. Bóg postępuje zgodnie ze swoją wolą, rozwiązuje to lepiej lub gorzej i mężczyzna nie musi się tym martwić ani próbować nad tym zapanować. Po prostu czeka i wierzy, czeka i chodzi na Spotkania, czeka i zakłada, że cokolwiek się stanie, jest tym, co miało się stać. Kiedy opowiada o Bogu i o swoim zaufaniu do wszechmocnego męskiego Boga, oczy mu lśnią. Znam to lśnienie i widziałem je już wiele razy, zazwyczaj kiedy ktoś wyjechał w kosmos na mocnych twardych narkotykach. Bóg stał się jego narkotykiem i wystrzelił, wystrzelił niczym Pierdolona rakietą, i ciska gromy, chodzi tam i z powrotem, Bóg to i Bóg tamto, bla bla bla. Gdybym siedział bliżej albo gdyby

był w moim zasięgu, przyjechałbym mu w ryj, żeby się w końcu zamknął.

Kończy i wszyscy są pod wrażeniem i wszyscy klaszczą. Wstaję i wychodzę. Kiedy wychodzę za drzwi, Ken na mnie czeka.

Cześć, James.

Cześć.

Pójdiesz ze mną na chwilę?

Po co?

Dostaliśmy twoje wyniki i Doktor Baker chce z tobą porozmawiać. Dobra.

Wracamy w świade Korytarzy i jest mi nieswojo i Ken próbuje mnie zagadać i ignoruję go. Ignoruję go, bo moja potrzeba najebania się rośnie i wrzeszczy na mnie i to wszystko, o czym potrafię myśleć i na czym potrafię się skoncentrować. Zabiłbym teraz za drinka. Zabił. Drinka. Zabił. Drinka. Zabił.

Wchodzimy na Oddział Medyczny i Ken prowadzi mnie do Poczekalni i każe mi zaczekać. Wschodzi, a ja zapalam papierosa i oglądam telewizję. Papieros mi smakuje i piecze mnie w gardle i płucach i chociaż to najłżejszy i najslabszy narkotyk, od którego jestem uzależniony, mimo wszystko to narkotyk i smakuje zajebicie. Nie obchodzi mnie, co on ze mną robi, smakuje zajebicie.

W kącie stoi maszyna do kawy, więc wstaję i nalewam sobie kubek. Wsypuję mnóstwo cukru i

wypijam łyk i jest gorąca i parzy i to mi się podoba. Prawie natychmiast przyspiesza mi tętno i chociaż nie przyspiesza tak jak zwykle i chociaż nie jestem uzależniony od kawy, mimo wszystko to narkotyk i smakuje zajebiście. Smakuje tak zajebiście.

Ken wraca do Poczekalni i mówi, że Doktor jest gotów, więc wstaję i prowadzi mnie przez Oddział Medyczny do małego czystego białego Gabinetu Badań. Są w nim trzy krzesła i okno i rząd lśniących stalowych półek na narzędzia i leżanka do badań przy ścianie i wisząca koło drzwi przegładarka do zdjęć rentgenowskich. Doktor Baker siedzi z teczką na jednym z krzeseł. Kiedy wchodzimy, wstaje.

Cześć, James.

Wyciąga rękę. Ściskam mu dłoń.

Witam, Doktorze Baker.

Siadamy.

Mogę zobaczyć twoje zęby?

Uśmiecham się.

Wyglądają nieźle. Doktor Stevens powiedział, że byłeś bardzo dzielny.

Doktor Stevens był dla mnie dobry. Niech mu pan podziękuje ode mnie następnym razem, kiedy będzie pan z nim rozmawiał. Dobrze.

Teraz proszę mi powiedzieć, po co tu przyszedłem.

Dr Baker otwiera teczkę.

Mam wyniki badań, które przeprowadziliśmy

kilka dni temu.

Jest bardzo źle?

Zagląda do teczki, bierze głęboki oddech. Opada na oparcie krzesła i patrzy na mnie. Mówi.

Poważnie uszkodziłeś sobie nos, gardło, płuca, żołądek, pęcherz, nerki, wątrobę i serce. Nigdy nie widziałem tak dużych i rozległych uszkodzeń u kogoś tak młodego. Żeby określić ich konkretny zasięg, musielibyśmy przeprowadzić dodatkowe badania, i jeżeli chcesz, możemy to zorganizować, ale z tego, co tu mamy, wynika kilka istotnych rzeczy. Po pierwsze, masz szczęście, że żyjesz. Po drugie, jeżeli kiedykolwiek napijesz się alkoholu albo zażyjesz jakiś twardy narkotyk, istnieje duże prawdopodobieństwo, że umrzesz. Po trzecie, jeżeli zaczniesz pić albo regularnie brać narkotyki, umrzesz w ciągu kilku dni. Twoje ciało było maltretowane tak poważnie i tak długo, że nie wytrzyma nic więcej.

Ken patrzy na mnie, Doktor Baker patrzy na mnie. Omijam go wzrokiem i patrzę przez okno, gdzie w dalszym ciągu szaleje Burza. W końcu wiem bez cienia wątpliwości coś, co podejrzewałem od dłuższego czasu. Jestem prawie martwy.

Szczęśliwy ten kurwa dzionek.

Doktor Baker mówi.

To nie jest temat do żartów, James.

Patrzę na niego.

Wiem, że nie jest, ale co mam kurwa

powiedzieć? Dostałem wyrok. Ken mówi.

Co to ma znaczyć?

A jak ci się wydaje?

Jesteśmy tu, żeby ci pomóc, James. Jesteśmy tu, żeby pomóc ci wyzdrowieć i pomóc ci nauczyć się, jak przestać się zabijać. Jeżeli będziesz postępował zgodnie z naszymi zaleceniami i zgodnie z przygotowanym dla ciebie Programem, będziesz żył długo i szczęśliwie.

Dostałem wyrok.

Nie musi zostać wykonany. Tylko nam zaufaj.

Patrzę na Doktora Bakera.

Ma mi pan coś jeszcze do powiedzenia?

Mam nadzieję, że nam zaufasz, mam nadzieję, że dasz nam szansę, żeby ci pomóc, i mam nadzieję, że na Boga będziesz tu jutro.

Patrzę na niego. Jego oczy są pełne wyrazu i wilgotne, jakby się miał rozplakać. Jest wyraźnie smutny i wyraźnie rozczarowany. Mam dość zasmucania ludzi i mam dość rozczarowywania ich i mam dość oglądania, jak się rozklejają. Widziałem to zbyt wiele razy. On będzie ostatni.

Doceniam wasz czas i wasze wysiłki. Was obydwu. Dziękuję.

Wstaję i otwieram drzwi i wychodzę z Gabinetu i zamykam za sobą drzwi i wracam do Pokoju. Chociaż właśnie dowiedziałem się, że dalsze spożywanie alkoholu i narkotyków mnie zabije i

zabije mnie wkrótce, w tej chwili najbardziej pragnę dobrego mocnego drinka i macha cracku. Pragnę tego bardzo. Zdobądź coś. Pragnę ich tak bardzo. Zapchaj mnie. Zabiłbym dla nich. Zdobądź coś. Zabij dla nich. Zapchaj mnie. Mam kompletnie przejebane.

Wokół mnie Ludzie radzą sobie z kolejnym dniem. Pacjenci chodzą na rozmowy i leczenie, Lekarze i Terapeuci dają im to, czego potrzebują. Ludzie albo otrzymują pomoc, albo jej udzielają i wszyscy robią to z własnej woli. Ich ciała zdrowieją i ich umysły zdrowieją i odbudowują życie i trzymają się Programu i mają zaufanie do Programu. Oddali się i wierzą i nie ma na dłuższą metę znaczenia, czy to działa, czy nie. Na razie wierzą. Nie wiem, jak im się to udaje. Wchodzę do Pokoju i widzę, że ktoś znalazł Biblię i *Wielką księgę*, które wyrzuciłem przez okno, i położył mi je z powrotem na łóżku.

Są przesiąknięte i wilgotne, strony są napuchnięte, okładki powyginane. Fakt, że wróciły i że ktoś przyniósł je z powrotem, doprowadza mnie do szału. Podnoszę je i niosę do Łazienki i wpycham je do kosza na śmieci pod zużyte maszynki do golenia, waciki do uszu i zasmarkane chusteczki. Gdybym był w stanie i gdyby moje ciało było skłonne do współpracy, wepchnąłbym je do toalety i na nie nasrał.

Wracam do łóżka i kładę się i zamykam oczy, a ostateczność słów Doktora Bakera zaczyna do mnie

docierać i te słowa oczyszczają mi umysł i zabijają żądze i spowalniają tętno. Dostałem wyrok. Kilka dni regularnego ćpania i picia mnie zabije. Będę martwy, koniec, nic więcej. Przestanę istnieć w jakiejkolwiek formie czy postaci. Wkroczę w ciemność i ciemność będzie wieczna. W pewnym sensie zawsze wiedziałem, że tak właśnie skończę. W pewnym sensie zawsze wiedziałem, że zabiję się narkotykami i alkoholem. Wiedziałem za każdym razem, kiedy piłem drinka, wiedziałem za każdym razem, kiedy wciągałem działkę, wiedziałem za każdym razem, kiedy ściągałem macha, wachałem klej czy połykałem pigułę. To tylko i wyłącznie moja wina. Wiedziałem za każdym razem. Nigdy nie mogłem przestać.

Potrafię sobie wyobrazić swój nekrolog. Prawda o moim istnieniu zostanie usunięta i zastąpiona nieistniejącym dobrem. Fakty z mojego życia zostaną pominięte i zmienione i pojawią się zwroty takie jak Ukochany Syn, Kochający Brat, Oddany Przyjaciel, Pracowity Student. Ludzie zmienią o mnie zdanie, z lekkomyślnego Pojeba na bezbronno Męczennika, z niebezpiecznego Durnia na żalosną Ofiarę, z uzależnionego Palanta na pechowe Dziecko. Będą na przykład mówić mój Boże, jaka to strata. O, kim on mógł zostać. Był tak utalentowany, co się stało? I to będzie pierdolony fałsz, każde pojedyncze słowo będzie fałszywe.

Wiem, kim jestem, i wiem, co zrobiłem, i wiem, dlaczego umieram. Stałem twarzą w twarz z rzeczywistością i rzeczywistość jest prosta. Jestem Alkoholikiem i jestem Narkomanem i jestem Przestępcą. Oto czym jestem i kim jestem i właśnie tak powinienem być zapamiętany. Żadnych radosnych kłamstw, żadnych sfabrykowanych wspomnień, żadnych fałszywych wzruszeń, żadnych łez. Nie zasługuję na łzy. Zasługuję na to, żeby być uczciwie przedstawiony, i nie zasługuję na nic więcej i zaczynam układać w głowie uczciwy nekrolog. Układam nekrolog, który powinien się ukazać, ale tak się nigdy nie stanie. Zaczynam od początku i trzymam się faktów i przechodzę do tego, o czym wiem, że będzie moim końcem.

James Frey. Urodzony w Cleveland, Ohio, dwunastego września tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Kiedy miał siedem lat, zaczął podpijać z drinków rodziców. Kiedy miał dziesięć lat, po raz pierwszy się napruł. Kiedy miał dziesięć lat, po raz pierwszy wymiotował z przepicia. Kiedy miał dwanaście lat, wypalił pierwszego skręta. Kiedy miał trzynaście lat, pił i palił regularnie. Kiedy miał czternaście lat, po raz pierwszy urwał mu się film. Kiedy miał piętnaście lat, został trzy razy aresztowany. Za prowadzenie bez prawa jazdy, za wandalizm i niszczenie mienia, za zakłócenie porządku

publicznego i posiadanie alkoholu przez nieletniego. Spędził noc w Areszcie. Kiedy miał piętnaście lat, po raz pierwszy spróbował kokainy, kwasu i kryształków metamfetaminy. Kiedy miał szesnaście lat, został aresztowany kolejne trzy razy. Zaczął pić i brać narkotyki przed pójściem do Szkoły. Zaczął sprzedawać alkohol i narkotyki Kolegom. Regularnie tracił przytomność i wymiotował. Kolejne trzy aresztowania w wieku lat siedemnastu. Pierwszy raz zatrzymany za prowadzenie w stanie nietrzeźwym. Wydmuchał trzy i sześć dziesiątych promila i ustanowił Rekord Stanu. Poszedł na tydzień do Aresztu. Codziennie pił i brał narkotyki. W Szkole, w Domu, wszędzie. Wymiotował i tracił przytomność kilka razy na tydzień. Pierwsza próba abstynencji. Doświadczył delirium tremens. Pił, żeby przeszło. Kiedy miał osiemnaście lat, aresztowany dwa razy. Pierwsze przedawkowanie narkotyków, pierwsze zatrucie alkoholowe. Ponownie próbował rzucić, wytrzymał dwa dni. Pierwszy raz wymiotował krwią, pierwszy krwotok z nosa po kokainie. Dziewiętnaście. Tracił przytomność pięć razy na tydzień, wymiotował pięć razy w tygodniu. Pierwszy raz zsiakał się do łóżka. Trząsał się bez alkoholu. Pierwszy raz obudził się, nie wiedząc, gdzie jest i jak się tam znalazł. Dwadzieścia. Tracił przytomność siedem dni w tygodniu. Wymiotował kilka razy dziennie, siedem dni w tygodniu. Pierwszy raz zapalił

kokainę, pierwszy raz zapalił metamfetaminę, pierwszy raz zapalił PCP Dwadzieścia jeden. Trzy aresztowania. Napaść z bronią, napaść na policjanta, prowadzenie w stanie nietrzeźwym, stawianie oporu podczas aresztowania, próba wszczęcia zamieszek, posiadanie narkotyków z zamiarem sprzedaży, ciężkie uszkodzenie ciała. Nie stawiał się na żadną rozprawę.

Pierwszy raz zapalił crack, zaczął palić crack regularnie. Jedno przedawkowanie, trzy zatrucia alkoholowe. Dwadzieścia dwa. Postępujące uzależnienie od alkoholu, postępujące uzależnienie od cracku. Brał wszystko, co się dało, kiedy się dało. Nieustanne mdłości. Codziennie wymiotował i srał krwią. Próbował rzucić cztery razy. Nigdy nie wytrzymał dłużej niż dwanaście godzin. Dwadzieścia trzy. Postępujące uzależnienie, coraz większe problemy zdrowotne. Dwa przedawkowania, nieustanne zatrucie alkoholowe. Rzadko wiedział, gdzie jest i jak się tam znalazł. Próbował rzucić dwa razy, wytrzymał w sumie sześć godzin. Spadł z drabiny przeciwpożarowej i okaleczył twarz. Zgłosił się do Ośrodka Odwykowego. Opuścił Ośrodek Odwykowy. Umarł dwa dni później. W organizmie wykryto śmiertelne stężenie alkoholu i kokainy. Przyczyna zgonu przypadkowe przedawkowanie. Powinno być samobójstwo. Zamierzone Samobójstwo. Nikogo nie pozostawił. Rodzina

spisała go na straty, przyjaciele spisali go na straty.

Mam jasny umysł, moje żądze zniknęły, serce bije mi powoli i spokojnie. Nekrolog w mojej głowie jest skończony. Skończony i prawdziwy. Opowiada prawdę, która jaka by była paskudna, jest jedynym, co się liczy. Właśnie tak powinienem być zapamiętany, jeżeli w ogóle ktokolwiek będzie mnie pamiętać. Pamiętaj o prawdzie. Tylko ona się liczy.

Mam jasny umysł, moje żądze zniknęły, serce bije mi powoli i spokojnie. Podjąłem decyzję i dobrze mi z tą decyzją. Zawsze wiedziałem, że to kiedyś nastąpi, mimo że dopiero teraz zaczynają się wyłaniać szczegóły. Mam zamiar odejść i mam zamiar się zabić. Mam zamiar odejść i mam zamiar znaleźć coś do picia i mam zamiar znaleźć coś do spalenia i mam zamiar pić i palić, aż umrę. Mam zamiar odejść i nie mam zamiaru oglądać się za siebie i nie mam zamiaru się żegnać. Żyłem sam, walczyłem sam, sam radziłem sobie z bólem. Umrę sam.

Rozważam, kiedy odejść. Nie chcę, żeby ktoś mnie zauważył, i nie chcę, żeby ktoś za mną poszedł, chcę zniknąć szybko i po cichu i bez ceregieli, chcę spędzić w ciemności tyle czasu, ile się da. Ciemność pozwala się ukryć, ciemność jest pełna kryjówek i w ciemności jest bezpieczeństwo. Ciemność najczęściej zapada po kolacji, ale kolacja byłaby zbyt oczywista. Mamy się pojawić i mamy jeść i mimo że podczas

posiłku trzymam się z boku, moje zniknięcie zostałoby zauważone. Potem jest Wykład i Wykład byłby lepszy. Ludzie bez przerwy wstają i wychodzą w trakcie Wykładów. Wstają i idą do Łazienki, wychodzą na zewnątrz zapalić, idą na spotkanie z Terapeutą albo Psychiatrą, biegną zwymiotować. Moje zniknięcie nie zostałoby zauważone i zanim ktoś by się zorientował, że zniknąłem, co nastąpiłoby trzy do czterech godzin później, byłbym na tyle daleko, że nie dałoby się mnie już zawrócić. Byłbym w ciemności. Byłbym sam. Byłoby mi dobrze. Nie dałoby się mnie już zawrócić.

Mam jasny umysł, moje żądze zniknęły, serce bije mi powoli i spokojnie. Mam zamiar odejść i mam zamiar się zabić. Na myśl o tym uśmiecham się. Uśmiecham się, bo to smutne i straszne. Uśmiecham się, bo tajemnica mojej śmierci zniknęła i bez tajemnicy już się jej nie boję. Uśmiecham się, bo wolę się uśmiechać niż płakać. Uśmiecham się, bo to się skończy. Nareszcie się skończy. Nareszcie się skończy. Dziękuję.

Biorę głęboki oddech i zastanawiam się, ile oddechów jeszcze mi zostało. Czuję bicie serca i zastanawiam się, ile razy jeszcze. Przebiegam rękami po ciele i ciało jest ciepłe i miękkie i wiem, że wkrótce będzie zimne i twarde. Dotykam włosów, oczu, nosa, ust. Dotykam boków rosnących na policzkach. Dotykam skóry na szyi, na piersiach, na

ramionach. To wszystko będzie wkrótce gnić. Rozkładać się i rozpadać. Znikać. Wszystkie resztki przestaną istnieć. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Wracam, skąd przyszliśmy. Wkrótce będę gnił i rozkładał się i rozpadał.

Słyszę, jak ktoś otwiera drzwi, i podnoszę się. Wchodzą Roy i Lincoln. Roy ma na twarzy uśmiezek, Lincoln wygląda na wkurwionego. Lincoln mówi.

Co ty wyprawiasz?

Siedzę.

Dlaczego nie jesteś z grupą?

Potrzebowałem samotności.

Trzeba było komuś powiedzieć.

Nie miałem ochoty nikomu mówić.

Zycie tutaj nie składa się tylko z tego, na co masz ochotę.

Jeżeli przyszedłeś zawracać mi dupę grupą, to zaraz tam pójde. Jeżeli przyszedłeś zawracać mi dupę czymś innym, to miejmy to już z głowy.

Lincoln zwraca się do Roya.

Roy.

Roy robi krok do przodu.

Dziś rano nie wyczyściłeś Toalet Publicznych.

Śmieję się. Roy spogląda na Lincolna. Lincoln mówi.

Co cię tak śmieszy?

Jego żalosna próba kablowania.

Roy mówi.

To nie jest żadna próba. Dziś rano nie wyczyściłeś Toalet Publicznych.

Śmieję się jeszcze raz.

Pierdol się, Roy.

Roy spogląda na Lincolna. Lincoln patrzy na mnie.

Nie są czyste, James. Przed chwilą mi je pokazał.

Patrzę na niego.

Wyczyściłem je o czwartej rano. Wyszorowałem je, aż się kurwa lśniły. Jeżeli teraz są brudne, to dlatego, że ktoś z nich korzystał albo ktoś, pewnie on, zafajdał je, żeby na mnie nakablować.

Roy mówi.

Nieprawda.

Śmieję się.

Pierdol się, Roy.

Odwraca się do Lincolna. *'Nyżala się jak mały rozpieszczony chłopczyk.*

To nieprawda.

Lincoln mówi.

To, czy były czyste wcześniej, jest nieistotne. Twoim zadaniem jest dopilnować, żeby były czyste przez cały czas, a w tej chwili są cholernie brudne. Musisz je znowu wyczyścić.

Nie ma bata.

Jak najbardziej jest.

Nie ma kurwa bata.

I to zaraz.

Chyba cię pojebało, jeżeli myślisz, że dotknę tych toalet.

Wyczyściłem je wcześniej i Roy je zafajdał, żeby na mnie nakablować. Tym razem niech Roy sobie poczyści to cholęstwo. Lincoln podchodzi, opieram się o łóżko. Stoi nade mną, robi bojową minę.

Wyczyścisz je, czy ci się to podoba, czy nie, i zrobisz to teraz i nie powiesz już więcej ani słowa. Rozumiemy się?

Odpycham się od łóżka i wstaję i patrzę mu prosto w oczy.

Zmusisz mnie?

Patrzę mu prosto w oczy.

Spróbujesz mnie zmusić?

Patrzę mu prosto w oczy.

No dawaj, Lincoln. I co teraz zrobisz?

Nie odrywamy od siebie wzroku, oddychamy powoli, zaciskamy szczęki, czekamy na atak. Wem, że nic się nie stanie, i to mi daje przewagę. Wem, że jeżeli mnie dotknie, wyleci z roboty. Wem, że robota jest dla niego zbyt ważna, żeby ją dla mnie ryzykować. Wiem, że lata abstynencji zmiękczyły go, i wiem, że w tej chwili czarne ciuchy i glany i fryzura to już tylko kostium. Wiem, że nic się nie stanie, to, że się tak pograżył, mnie śmieszy. Śmieję mu się w twarz. Mówi.

To nie jest śmieszne.

Śmieję się jeszcze raz.

Nie będę czyścił twoich pierdolonych kibli, Twardzielu. Nie ma kurwa bata.

Wymijam go.

James.

Zbieram się do wyjścia.

Nie ma kurwa bata.

Mijam Roya i wychodzę z pokoju i idę na Górny Poziom Oddziału i wypijam kubek kawy i wypalam kilka papierosów, a nikotyna i kofeina dobrze mi robią. Przyspieszają tętno, spowalniają mózg, uspokajają dłonie, nakręcają stopy. Są wystarczająco silne, żebym czuł ich efekty, ale nie tak silne, żeby znacząco podziałać. Lubię je i lubię ich połączenie. Jedno podkręcone i opętane, drugie powolne i przygnębiające. Opadają i wznoszą się i doświadczam ich na obu krańcach skali. Tak szybko, jak tylko potrafię, tak wolno, jak tylko potrafię, wszystko pomiędzy. Nieźle jest tak bawić się dawkowaniem i natężeniem i nieźle jest tak manipulować kopem. To jak ćwiczenia na strzelnicy. Są emocje i jest kop i jest doświadczenie, ale nie ma ryzyka. W pełni kontroluję to, co robię i co odczuwam. Tak jak podczas strzelaniny wiem, że kiedy przerzucę się na prawdziwy sprzęt, nie będzie mowy o kontroli. Nie będzie kurwa mowy. Tyle, ile dam radę, tak szybko, jak dam radę. Aż umrę.

Mężczyźni zaczynają wychodzić z sesji grupowych i kierować się do Stołówki na lunch. Idę za nimi i jem z Leonardem. Zadaje mi wiele pytań, a ja nie odpowiadam na żadne. To go śmieszy i mnie śmieszy, więc w pewnej chwili on daje mi spokój i opowiada historie o innych Pacjentach. Wszyscy są tacy sami. Mieli wszystko, rozjebali się, stracili wszystko. Próbują się wyleczyć. Wielki Amerykański Melodramat.

Po lunchu idziemy na Wykład, który jest o sprawności fizycznej i abstynencji. Nie słucham ani słowa, gównem mnie to obchodzi, a Leonard rzuca monetami w Łysola, który dzieli teraz ze mną Pokój. Celuje w głowę i cieszy się, kiedy trafia w środek łysego placka na czubku głowy mężczyzny. Z jakiegoś względu facet to znosi.

Wykład się kończy i wracamy na Oddział, a ja uczestniczę w swojej pierwszej sesji Terapii Grupowej. Tematem jest zadośćuczynienie. Grupę prowadzi Ken, omawiają potrzebę zadośćuczynienia. Ken, podobnie jak większość mężczyzn z grupy, wierzy, że to nadrzędna sprawa. Zadośćuczynienie pozwala zacząć od nowa, pozbyć się poczucia winy narastającego z każdym złym uczynkiem, zrzucić skórę poprzedniego życia. Nie ma znaczenia, czy zadośćuczynienie zostanie przyjęte. Ważny jest sam akt wyrażenia skruchy, akt przyznania się do winy, akt prośby o wybaczenie.

Najgorsi są ci mężczyźni z grupy, którzy nie wierzą w zadośćuczynienie. Wiedzą, że większość tego, co zrobili, nie powinna być wybaczona i nie będzie wybaczona. Nie chcą zrobić wysiłku i poprosić o wybaczenie, bo proces odrzucenia i przypomnienia sobie własnych czynów będzie zbyt bolesny. Chcą iść do przodu i zapomnieć, mimo że zapomnienie nie jest możliwe. Jestem w tej grupie. Wiem, że nikt mi nie wybaczy, i nie mam zamiaru nawet o to prosić. Śmierć będzie moim zadośćuczynieniem. Nikt, kogo skrzywdziłem, nie będzie mnie musiał nigdy więcej oglądać, słuchać ani o mnie myśleć. Nie będę więcej w stanie ich skrzywdzić ani rozjebać im życia, nie będę w stanie zadać im bólu, który im poprzednio zadałem. Zapomnijcie o mnie, jeżeli jesteście w stanie. Zapomnijcie, że kiedykolwiek istniałem, zapomnijcie, że zrobiłem to, co zrobiłem. Samobójstwo będzie moimi przeprosinami. Choć to niemożliwe, proszę, zapomnijcie o mnie. Proszę, zapomnijcie.

Po sesji grupowej wszyscy mężczyźni z Oddziału zbierają się na Dolnym Poziomie i odbywa się Wręczenie Dyplomów. Roy i jego przyjaciel wychodzą razem. Odsiedzieli swój czas, przeszli przez Programy i są gotowi wrócić do Świata zewnętrznego. Obydwaj dostają Medal i Kamień. Medal oznacza ich obecny okres abstynencji, Kamień

determinację, żeby w niej wytrwać. Obaj wygłaszają krótkie przemowy. Połowa mężczyzn nimi gardzi i myśli, że pierdolą, druga połowa ich podziwia i życzy im powodzenia. Siedzę z tyłu Sali z Leonarodem, który czyta strony ze sportem „USA Today” i przeklina pod nosem.

Uroczystość dobiega końca, wszyscy klaszczą, a Roy przechadza się, obejmując i żegnając. Omija mnie, tak samo jego przyjaciół. Obaj wydają się bardzo szczęśliwi i mają szklisty wzrok Nawróconych. Ściskają swoje Medale i swoje Kamienie, zbierają podpisy przyjaciół na okładkach swoich egzemplarzy *Wielkiej księgi*. Obaj wyglądają na przestraszonych i słabych. Obaj wyglądają, jakby przed czymś uciekali, i obaj wyglądają, jakby się przed czymś kryli. Obaj wyglądają, jak gdyby wiedzieli, że zostaną schwytani. Założę się, że za jakiś miesiąc będą tak rozjebani, że nie będą wiedzieli, gdzie jest przód, a gdzie tył. Daję im w najlepszym wypadku miesiąc. Większość mężczyzn idzie do Pokoi i zaczyna szykować się do kolacji. Idę do Pokoju, żeby szykować się do wyjścia. Zdejmuję koszulę Warrena i wkładam swój T-shirt i piszę do Warrena kartkę z podziękowaniem i wkładam ją do przedniej kieszeni koszuli i idę do jego części i składam koszulę i kładę mu ją na łóżku. Wracam do swojej części i piszę kolejną notkę z imieniem Hanka i adresem Kliniki, na której piszę Proszę Zwrócić Tę

Kurtkę i dziękuję Hankowi za jego dobroć i przyjaźń. Wkładam notkę do przedniej kieszeni kurtki, którą mi pożyczył, tak że znajdą ją, kiedy znajdą mnie, i wkładam kurtkę i rozglądam się, szukając jeszcze czegoś mojego, ale nic nie ma. Szukam w szufladach, na łóżku, pod łóżkiem, pod kołdrą, w szafce na leki, pod prysznicem. Nic nie ma. Nic nie mam.

Idę do Stołówki i staję w kolejce i biorę tacę i biorę głęboki oddech i zapach jedzenia zalewa mi ciało i jestem głodny, głodny, głodny i chcę jeść i chcę dużo jeść. Dziś podają klopsy i puree ziemniaczane i sos i brukselkę i jabłecznik. To posiłek, jaki lubię i jaki nadaje się na przypuszczalnie ostatni prawdziwy posiłek mojego życia. Biorę tyle, ile kobieta za ladą zgadza się mi nałożyć, i biorę sztucce i serwetki i znajduję pusty stolik i siadam i rozkładam serwetki na kolanach i biorę głęboki oddech. To będzie przypuszczalnie ostatni prawdziwy posiłek mojego życia.

Klops jest dobry i wilgotny i soczysty i ziemniaki to prawdziwe ziemniaki i sos jest ciepły i gęsty i ma silny posmak wołowiny. Jem powoli, delektując się każdym kęsem, pozwalając każdemu kęsowi być w ustach, aż się rozpuści. Kiedy byłem Dzieckiem, Matka robiła klopsy dla mojego Brata i dla mnie, gotowała dokładnie taki posiłek mniej więcej raz na tydzień. Jedzenie go teraz w charakterze swojego ostatniego posiłku przypomina

mi o tych kolacjach i o wielu innych rzeczach. Ojciec pracował albo był w podróży służbowej, Brat i ja byliśmy w Szkole albo biegaliśmy po okolicy, w której wtedy akurat mieszkaliśmy. Codziennie o wpół do siódmej jedliśmy z Matką kolację. Gotowała wspaniałe kolacje i uwielbiała rytuał siadania i wspólnego jedzenia. Po kolacji oglądaliśmy telewizję albo graliśmy w gry albo Matka nam czytała. Kiedy Ojciec wracał do domu, spędzaliśmy czas razem, a potem ja i Brat musieliśmy iść do łóżka. Byliśmy Rodziną, szczęśliwą Rodziną, i tak było, aż przestałem się pojawiać. Dobrze by było mieć tutaj teraz ze sobą Rodzinę. Dobrze by było, pomimo rozpadu naszej więzi w ostatnich latach, zjeść z nimi ostatnią kolację. Chociaż rozmowa raczej by się nie kleiła, dobrze byłoby spojrzeć każdemu z nich w oczy i się z nimi pożegnać. Mimo że rozmowa raczej by się nie kleiła, dobrze byłoby potrzymać każdego za rękę, przeprosić ich, powiedzieć, że nie ponoszą winy za to, kim jestem. Chociaż rozmowa raczej by się nie kleiła, chciałbym powiedzieć im, żeby o mnie zapomnieli.

Kończę jeść i wyciągam się na krześle i widzę Leonarda idącego do mnie z tacą z jedzeniem. Stawia tacę na stoliku i siada naprzeciwko mnie i zaczyna rozkładać serwetki i czyścić sztućce.

Jak leci, Młody?

Dobrze.

Dobrze?

Tak, dobrze.

Pierwszy raz to od ciebie słyszę.

Pogodziłem się z tym całym gównem.

Co?

Nie twoja sprawa.

Musimy kiedyś pogadać.

Nie, nie musimy.

Zmęczysz się odgrywaniem Palanta i zmęczysz się brakiem przyjaciół i wtedy pogadamy.

Nie.

Będę tu siedział, aż to się stanie.

Śmieję się.

Będę tu z tobą siedział. Zważ na moje kurwa słowa.

Biorę tacę, wstaję.

Miłego życia, Leonard.

I co to ma niby znaczyć?

Miłego życia.

Odwracam się i niosę tacę do taśmociągu i kładę ją na taśmie i zbieram się do wyjścia ze Stołówki. Kiedy przechodzę Szklanym Korytarzem oddzielającym mężczyzn od kobiet, widzę Lilly siedzącą samą przy stoliku. Spogląda na mnie i uśmiecha się, nasze oczy się spotykają i ja uśmiecham się do niej. Spuszcza wzrok, a ja zatrzymuję się i patrzę na nią. Podnosi wzrok i uśmiecha się jeszcze raz. Jest najpiękniejszą

dziewczyną, jaką w życiu widziałem. Jej oczy, jej usta, jej zęby, jej włosy, jej skóra. Podkrążone oczy, blizny, które widzę na nadgarstkach, absurdalne ubranie, które nosi, które jest o dziesięć rozmiarów za duże, brzemień smutku i bólu, które dźwiga, jest jeszcze większe. Stoję i patrzę na nią, po prostu patrzę patrzę patrzę. Mężczyźni mnie mijają, inne kobiety na mnie patrzą, a Lilly nie rozumie, co robię ani dlaczego to robię, i czerwieni się i to jest piękne. Stoję tam i patrzę. Patrzę, bo wiem, że tam, dokąd się wybieram, nie ujrzę nic pięknego. Cracku nie sprzedaje się w Willach ani w eleganckich Centrach Handlowych i nie chodzi się go palić do luksusowych Hotelu ani Klubów Country. Mocnego taniego alkoholu nie podaje się w pięciogwiazdkowych Restauracjach ani Ekskluzywnych Pubach i nie sprzedaje w Delikatesach ani Sklepach Monopolowych. Wybieram się w paskudne miejsce, które jest w paskudnej okolicy opanowanej przez paskudnych ludzi dostarczających używki najgorszej części Społeczeństwa. Nie będzie tam piękna, niczego nawet przypominającego piękno. Będą Dilerzy i Narkomani i Przestępcy i Kurwy i Alfonsi i Mordercy i Niewolnicy. Będą narkotyki i alkohol i fify i butelki i dym i wymiociny i krew i ludzka zgnilizna i ludzki rozkład i ludzki rozpad. Spędziłem w tych miejscach większość życia. Kiedy stąd odejdę, znajdę jedno z nich i zostanę tam aż do

śmierci. Jednak zanim to zrobię, chcę ostatni raz spojrzeć na coś pięknego. Chcę spojrzeć ostatni raz, żeby mieć coś, o czym będę mógł myśleć w chwili śmierci, żebym wtedy mógł pomyśleć o czymś, co sprawi, że się uśmiechnę, żebym w trakcie trwania tego koszmaru mógł uchwycić się skrawka człowieczeństwa.

Jakaś kobieta podchodzi do Lilly i nachyla się i szepcze jej coś na ucho, a Lilly kręci głową i wzrusza ramionami. Kobieta wygląda, jak gdyby posiadała w jakimś stopniu Władzę, a ja nie chcę wpakować Lilly w kłopoty z powodu swoich pragnień, więc czekam, aż znowu na mnie spojrzy, i uśmiecham się, a ona uśmiecha się pięknym idealnym uśmiechem i mam to, co chciałem zobaczyć. Zegnaj, Lilly. Ten obraz będzie dla mnie bardzo cenny. Zegnaj i dziękuję.

Idę na Wykład i znajduję krzesło w rzędzie z tyłu Auli i siadam i patrzę prosto przed siebie i ignoruję wszystko i wszystkich dookoła. Za piętnaście minut mnie tu nie będzie, wyruszę w drogę prosto do Piekła. W najprostszym sensie to, co robię, nie powinno być trudne. Wstać, wyjść, iść. Zaczyna jednak docierać do mnie, jak to będzie. Zaczyna to do mnie docierać i wszystko utrudniać.

Umrę. Kiedy umrę, będę martwy, koniec, nic więcej. Nie będzie więcej myślenia, nie będzie oddychania, nie będzie czucia. Będzie ciemność i ciemność będzie wieczna. Będzie cisza i cisza będzie

trwać wiecznie. Umrę.

Biorę głęboki oddech. Postępuję właściwie. Postępuję właściwie. Postępuję właściwie. Czas skończyć tę farsę, czas odejść. Mam już dosyć życia, mam dosyć siebie. Nie potrafię spojrzeć sobie w oczy, nie jestem w stanie znieść swojego odbicia. Próbowałem się wyleczyć i nie udało mi się. Najwyższy czas, żebym umarł.

Leonard siada obok i patrzy na mnie. Patrzę prosto przed siebie.

Po co ci ta wielka kurtka?

Ignoruję go.

Zimno ci?

Ignoruję go.

Po co ci ta wielka kurtka?

Patrzy.

Odezwij się, Palancie.

Patrzę prosto przed siebie.

Po co ci ta wielka kurtka?

Ignoruję go. Wyciąga do mnie rękę i kładzie mi dłoń na ramieniu i potrząsa mną.

Dlaczego życzyłeś mi miłego życia?

Zdejmuję jego dłoń z ramienia i stanowczo kładę mu ją na kolanach i odwracam się i patrzę mu prosto w oczy.

Odpierdol się ode mnie.

Wstrzymuje spojrzenie, prosto w oczy.

Dlaczego życzyłeś mi miłego życia?

Zostaw mnie w spokoju, Dziadek. Odpierdol się ode mnie. Odwracam się od niego i patrzę prosto przed siebie. Czuję, jak ciągle się na mnie gapi. Nie wiem, dlaczego to robi ani dlaczego go obchodzę, ani co niby chce osiągnąć. Jeżeli spróbuje mnie powstrzymać, nie pozwolę mu na to i i tak odejdę. Najwyższy czas, żebym umarł.

Wykład się zaczyna, a on odwraca się ode mnie. Na Podium mężczyzna w moim wieku zaczyna opowiadać historię swojego życia. Pił piwo i palił skręty jako Dzieciak i rzucił to, kiedy miał czternaście lat. Poszedł do AA i odnalazł Siłę Wyższą i odmieniła jego życie.

W Liceum miał same szóstki i dostał się na Harvard. Teraz jest Bankowcem Inwestycyjnym i jest zaręczony. Nadal przychodzi na Spotkania, pokłada całe swoje zaufanie w Sił Wyższej i co noc pada na kolana i modli się przed snem. Kiedy tak opowiada o swojej nikczemnej przeszłości, mówi o marihuanie trawka, a o piwie browar. Opowiada o tym, jak kręciło mu się w głowie i jak pociągał z piersiówki na Szkolnej Potańcówce. Opowiada o poczuciu winy i wstydu, które odczuwał, popełniając te czyny.

Ten mężczyzna w żaden sposób do mnie nie przemawia. Nie przemawia do mnie picie browaru i palenie trawki i zawroty głowy i pociąganie z piersiówki. Nie wiążę tych rzeczy z faktycznie groźną i autentyczną formą uzależnienia, nie wiążę

tych rzeczy z potrzebą terapii. Podejrzewam, że ten mężczyzna przyłączyłby się do Grupy Dwunastu Kroków, gdyby miał poczucie, że ogląda za dużo telewizji albo je za dużo hot dogów albo za dużo gra w Space Invaders albo zbyt często dłubie w cholernym nosie. Podejrzewam, że gdyby nie znalazł Dwunastu Kroków, znalazłby Świadców Jehowy albo Zielonoświątkowców albo Chasydów albo Kościół Redemptorystów UFO. Podejrzewam, że jego członkostwo w AA nie ma nic wspólnego z browarem i trawką czy jakąś formą uzależnienia od nich, ale z rozpaczliwą potrzebą przynależności. Nigdy nie przejmowałem się przynależnością i gównu mnie ona obchodzi. Żyłem sam. Teraz umrę sam.

Wstaję i zaczynam wychodzić z Przejścia. Kiedy mijam Leonarda, łapie mnie za ramię. Odpycham jego dłoń i idę dalej, obok reszty siedzących mężczyzn, w stronę drzwi, wychodzę i potem idę Korytarzem w stronę kolejnych drzwi prowadzących na zewnątrz. Sięgam do drzwi i otwieram je i czuję uderzenie zimna i deszczu i wiatru i śniegu i czuję uderzenie ciemności i czuję uderzenie tego, co żyje w ciemności.

Zapinam kurtkę i podnoszę kołnierz i biorę głęboki oddech i wpatruję się w ciemność. Czekają na mnie. Alkohol i narkotyki i Dilerzy i Narkomani i Przestępcy i Kurwy i Alfonsi i Mordercy i

Niewolnicy i fify i butelki i dym i wymiociny i krew i ludzka zgnilizna i ludzki rozkład i ludzki rozpad. Są w ciemności i czekają na mnie.

Wschodzę spod osłony drzwi i zaczynam iść. Krok za krokiem, dalej dalej dalej. Zimno przenika natychmiast, deszcz i śnieg sieką, ziemia jest mozaiką błota i kamieni i wody, ciemność najciemniejszą ciemnością. Dalej dalej dalej, krok za krokiem, czeka na mnie, czeka na mnie. Gdy jestem już kilka kroków od Wejścia, słyszę, jak drzwi się otwierają, i odwracam się i widzę Leonarda wychodzącego na zewnątrz. Jest bez kurtki i jest natychmiast przemoczony i idzie prosto do mnie.

Hej, Młody.

Odwracam się od niego i idę dalej. Słyszę chlupot jego kroków i słyszę, jak przyspieszają, i słyszę, jak się do mnie zbliżają. Idę dalej. Chwila moment, Młody.

Nie czekam, nie zatrzymuję się, nie odwracam się.

Dokąd idziesz?

Kroki coraz bliżej.

Dokąd idziesz?

Ręka na ramieniu. Odpycham ją.

Młody, zaczekaj.

Ręka na ramieniu. Odpycham ją. Ręce na obu ramionach. Silniejsze, niż przypuszczałem. Zatrzymują mnie i odwracają. Leonard jest

przemoczony do suchej nitki i leje się z niego. Mówi.

Dokąd idziesz?

Spycham z siebie jego ręce.

Zostaw mnie.

Zaczynam iść.

Dokąd się wybierasz?

Idzie za mną.

Daleko stąd.

Po co?

Rozjechać się.

Nie ma mowy, ja ci na to nie pozwolę.

Wydaje ci się, że mnie powstrzymasz?

Pewnie.

Zatrzymuję się, odwracam, chwytam go za gardło, ściskam go za jabłko Adama. Nie chcę, żeby za mną szedł, nie chcę, żeby próbował mnie powstrzymać. Jestem w najciemniejszej ciemności. Idę do Domu. Zostaw mnie, Dziadek.

Puszczam go, popycham na ziemię. Łapie się za gardło, krztusi. Zaczynam iść i światła Kliniki zanikają i zaczynam pogrążyć się w ciemności. Słyszę, jak Leonard podnosi się i rzuca się za mną. Zaciskam pięści i szykuję się, żeby zastosować bardziej zdecydowane środki, żeby go powstrzymać.

Widzę pięść, Młody, ale będziesz potrzebował czegoś więcej, żeby mnie znokautować.

Idę dalej.

I nawet jeżeli mnie znokautujesz, dopilnuję,

żebyś został znaleziony i odprowadzony z powrotem.

Idzie za mną.

I będę to robił tyle razy, ile razy odejdiesz, i tyle razy, ile będzie trzeba, żeby wyrównać ci pod sufitem i zmusić, żebyś się wziął za siebie.

Idę dalej.

Nie znasz mnie i nie wiesz, kim jestem, ale mam wpływy i je kurwa wykorzystam. Sprowadzę cię znowu i znowu i znowu.

I Zatrzymuję się i odwracam. Jest dwa kroki za mną. Zatrzymuje się i patrzy na mnie.

Znowu i znowu i znowu, Mały. Nie przestanę.

Powiedziałem ci, żebyś się odczepił.

Chodź do środka.

Nie.

Dokąd pójdziesz?

Pójdę się rozjechać.

A potem co?

Zobaczymy, co się stanie.

Skończysz martwy.

Być może.

Kiedy jesteś martwy, to jesteś martwy.

Wiem.

Nie ma powrotu.

Wiem o tym.

Nie chcesz tego.

To jedyne wyjście.

Nieprawda.

Podchodzi.

Jeszcze jeden krok i ci przywalę.

Podniosę się.

Nie podniesiesz.

Młody, czego ty się boisz?

Spierdalaj.

Podchodzi.

Czego się boisz?

Krok w tył, Dziadek.

Patrzy na mnie, patrzę na niego. Robi krok w tył i mówi.

Nikogo się nie boję, a przy tobie robię ze strachu w gacie. Ed i Ted nie chcą ze mną jeść ze strachu, że stracisz do nich cierpliwość, i wszyscy przez cały dzień gadali o tym, jak przetrzymałeś Lincolna i roześmiałeś mu się w twarz, kiedy próbował cię nastraszyć. Chociaż w pewnym sensie cię podziwiam, to, jaki jesteś, do niczego nie prowadzi. Zupełnie do niczego.

Jestem, jaki jestem.

Nie taki, jaki jesteś w środku.

Pierdol się.

Nie nabierzesz mnie.

Pierdol się.

Nie nabierzesz mnie.

PIERDOL SIĘ.

Jasne, pójdę się pierdolić. A ty znajdź sobie wódę i co tam jeszcze wciągasz i idź się rozjebać i

zdechnąć w rynsztoku ze szczynami w gaciach i gównem w majtach. To dobre wyjście, Młody, honorowe wyjście. Możesz być z siebie dumny.

To mój wybór.

Jeżeli wydaje ci się, że to ty dokonałeś tego wyboru, jesteś w błędzie. Twoich wyborów dokonuje szajs, który nad tobą panuje, i szajs, którego nie potrafisz rzucić. Jeżeli stąd odejdziesz, ten szajs cię wykończy i to jest kurwa niefajne.

Może tak, może nie.

Może nie, kurwa. Może byś tak wrócił i zaczął być kurwa facetem?

A może byś tak wrócił i spróbował kurwa zawalczyć? A może byś tak wrócił i zrobił to, co uczciwe i prawe i honorowe, i okazał trochę dumy, odrobinę kurewskiej dumy?

Niemożliwe.

Dlaczego?

Po prostu nie.

Jesteś na tyle twardy, żeby wiercili ci w zębach bez znieczulenia, i jesteś na tyle twardy, żeby banda pojebanych twardzieli robiła przed tobą w gacie, i jesteś na tyle twardy, żeby robić, co tam kurwa musiałeś robić, żeby doprowadzić się do stanu, w jakim teraz jesteś, a nie potrafisz wrócić do Kliniki i spróbować?

Nie.

Dlaczego?

Już próbowałem. Nie potrafię.

Dlaczego?

To za trudne.

Zycie jest trudne, Młody, musisz być twardy. Musisz stawić mu czoło i walczyć o nie i zachowywać się jak pierdolony facet. Jeżeli jesteś cipą i nie możesz sobie z tym poradzić, to może powinieneś odejść, bo i tak jesteś już trupem.

Patrzę na niego i patrzy na mnie. W odróżnieniu od oczu większości ludzi, którzy na mnie patrzą, w jego oczach nie ma litości, nie ma smutku, nie ma poczucia, że sprawa jest przegrana. Jest gniew i determinacja i zdecydowanie. Jest prawda, a tylko ona się liczy. Prawda. Nie wiem, dlaczego on tu jest ani dlaczego to robi, ale widzę w jego oczach, że mówi serio, że zrobi to, co powiedział. Dlaczego cię to w ogóle obchodzi?

Bo tak.

Dlaczego?

Nieważne dlaczego. Ważne tylko, że tu jestem i że nie kupuję twojego pierdolenia i twoich wymówek. Możesz to sobie ułatwić i wrócić od razu albo możesz to sobie utrudnić i zmusić mnie do poszczucia cię moimi kundlami. Tak czy siak zostajesz, aż ci się polepszy.

Nie mogę obiecać, że tak się stanie.

Obiecaj, że spróbujesz.

Patrzę na niego.

Młody, co ci szkodzi spróbować.

W jego oczach jest prawda. Tylko prawda się liczy.

Nie ma co się bać próbować.

Prawda.

Tylko spróbuj.

Biorę głęboki oddech. Patrzą na niego. Jestem w najciemniejszej ciemności i jest mi tu dobrze. Oprócz pobytu w Ośrodku w ciągu ostatnich sześciu lat byłem trzeźwy w sumie przez cztery dni. Moje dążenie do abstynencji było cokolwiek mało przekonujące. Zawsze gdzieś w pobliżu była woda, zawsze gdzieś w pobliżu były drabi, zawsze byłem otoczony nałogowcami. Jestem poważnie fizycznie, mentalnie i emocjonalnie Uzależniony od dwóch różnych substancji. Jestem poważnie fizycznie, mentalnie i emocjonalnie Uzależniony od pewnego stylu życia. Nie znam już nic innego, nie pamiętam już nic innego, nie wiem, czy na tym etapie mogę jeszcze być kimś innym. Boję się spróbować. Jestem śmiertelnie kurwa przerażony podjęciem próby. Myślałem, że jedyną alternatywą jest Więzienie albo śmierć. Nigdy nie myślałem, że abstynencja może być wyjściem, bo nigdy nie wierzyłem, że sobie poradzę. Umieram ze strachu na samą myśl, że mam spróbować.

Patrzą na Leonarda. Nie znam go. Nie wiem, kim jest ani czym się zajmuje, ani co zrobił, że się tu

znalazł. Nie wiem, dlaczego tu jest ani dlaczego za mną poszedł, ani dlaczego się tym przejmuje. Wiem za to, co ma w oczach. Wiem, że jest w nich gniew, determinacja, zdecydowanie i prawda. Wiem, że szanuję jego oczy i wierzę jego oczom. Wiem, że jego oczy różnią się od wszystkich innych oczu, które na mnie patrzyły, które mnie oceniały, które się nade mną litowały i które spisywały mnie na straty przez te wszystkie lata. Wiem, że mogę zaufać jego oczom, bo to, co w nich jest, jest we mnie. Dwadzieścia cztery godziny.

Co dwadzieścia cztery godziny?

Zostanę na dwadzieścia cztery godziny. Jeżeli będę się czuł tak samo jak teraz, to spadam.

Poszczuję cię psami.

Poszczuj. Odgryzę im kurwa łby.

Uśmiecha się.

Chojrak z ciebie, Młody, nic tylko się bać.

Lepiej o tym pamiętaj, Dziadek.

Śmieje się.

Chodź no tu, to cię wyściskam.

Stoję tam, gdzie stałem.

Zgodziłem się na dwadzieścia cztery godziny. To nie znaczy, że będziesz mnie obejmował, i to nie znaczy, że jesteśmy przyjaciółmi. Śmieje się jeszcze raz, podchodzi, obejmuje mnie, przytula.

Musisz tylko spróbować.

Odsuwam się, a on pokazuje na blade światła

Kliniki.

Kurewsko tu zimno i jestem przemoczony do suchej nitki i nie chcę się rozchorować. Chodźmy do środka.

Nie wracam na ten Wykład.

Zwisa mi, czy wrócisz czy nie, do szczęścia wystarczy mi, żebyś był w środku.

Wracam do drzwi i otwieram je i wchodzimy do środka. Światło jest jaskrawe i nie podoba mi się i jestem śmiertelnie przerażony.

Jestem śmiertelnie przerażony.

Śmiertelnie przerażony.

Przerażony.

Kurewsko przerażony.

Jestem na zewnątrz. Siedzę na drewnianej ławce z tyłu Głównego Budynku Kliniki. Po obu stronach są puste ławki, z przodu małe Jezioro. Zimno mi i trzęsę się i pot mi leci z czoła i z torsu i z ramion i z nóg i tętno mi przyspiesza i zwalnia i szcękam zębami i czuję suchość w ustach i mam robale w kurtce i w spodniach i w koszuli i w butach i w skarpetach. Chociaż je widzę i słyszę i czuję, wiem, że ich nie ma. Zimno mi. Widzę robale i słyszę robale i czuję robale, ale wiem, że ich nie ma. Zimno mi.

Nie spałem, w najbliższym czasie nie pójde spać. Próbowałem zasnąć, ale Warren chrapał i Łysol chrapał i John jęczał i rzucał się i szarpał się i krzyczał przez sen, a ja rozmyślałem o decyzji, żeby

tu zostać jeszcze na dwadzieścia cztery godziny. Mój umysł nie miał nic przeciwko tej decyzji i moje serce nie miało nic przeciwko tej decyzji i mój umysł i moje serce były skłonne dotrzymać słowa, ale moje ciało miało coś przeciwko, miało bardzo dużo przeciwko i nie było skłonne dotrzymać żadnego słowa. Moje ciało domagało się narkotyków i alkoholu i to w dużych ilościach. Wstałem i chodziłem w rytm symfonii chrapań i jęków i krzyków, próbując zmęczyć ciało i je uratować, ale to nie zadziałało. Moje ciało domaga się tego, czego się domaga, i ma w dupie dwadzieścia cztery godziny. Zostało mi osiemnaście godzin. Nie mam zegarka i nie widzę budzika, ale wiem. Zostało mi osiemnaście godzin.

Wyszedłem z Pokoju i wyszedłem z Oddziału i wyszedłem na zewnątrz i przespacerowałem się kilka razy między Budynkami i Oddziałami. Budynki i Oddziały były ciemne i ciche oprócz Oddziału Medycznego. Był oświecony i dobiegały z niego krzyki. Stałem i słuchałem krzyków i krzyczałem do nich. Krzyczałem tak głośno, jak tylko byłem w stanie. Nikt mnie nie słyszał i nikt nie odpowiedział. Krzyczałem tak głośno, jak tylko byłem w stanie, ale nikt mnie nie słyszał.

Znalazłem ławkę i usiadłem na niej i siedzę na niej i wilgoć drewna wsiąka mi w nogi. Patrząc na Jezioro. Powierzchnia jest mroczna i gładka, a wśród

martwych liści i połamanych gałęzi unoszą się długie cienkie kruche tafle lodu. To najgłębsza noc, tuż przed świtem i burza się skończyła i nie ma wiatru ani deszczu, ani śniegu. Patrząc na Jezioro i pocę się i szcękam zębami i tętno mi przyspiesza i zwalnia i boli i wszędzie są pierdolone robale. Nie jestem w stanie sprawić, żeby zniknęły.

Myślę o niej. Myślę o niej, chociaż nie chcę o niej myśleć. Myślę o niej, bo nie potrafię jej zapomnieć, bo ciągle jeszcze do niej wracam. Jest jedyną. Nie potrafię zapomnieć tego, co było i już nie wróci. Nie potrafię sobie poradzić z tym, że jej nie ma nie ma nie ma, nie potrafię sobie poradzić z tym, że to ja się jej pozbyłem. Byłem z nią. Kochałem ją. Pozbyłem się jej. Myślę o niej, mimo że nie chcę o niej myśleć.

Wróciłem dwa dni po pierwszej wizycie w jej Pokoju. Przedtem wypłem butelkę wina i wypaliłem paczkę papierosów i przećwiczyłem, co powiem, kiedy mi otworzy. Kiedy dotarłem do drzwi, stałem i gapiłem się. Serce mi waliło i ręce mi się trzęsły i kręciło mi się w głowie.

Zapukałem, a głos, który nie był jej głosem, powiedział chwileczkę, i stałem i czekałem zdenerwowany przestraszony zdenerwowany przestraszony i drzwi się otworzyły i przede mną stała wysoka Dziewczyna o szerokich czerwonych ustach i z szerokim uśmiechem i brązowymi włosami

i brązowymi oczami.

To nie ona.

Liczyłam na to, że wrócisz.

A kto ty jesteś?

Lucinda. Kumpela Eda. Chcesz wejść?

No.

Wszedłem do typowego Pokoju w Akademiku z dwoma biurkami i dwoma oknami i dwoma zajętych kanapami i stertami papieru i książek i pudełkami po pizzy i pustymi puszkami po piwie i makatkami na ścianach i wieżą w kącie ze stertą kompaktów i górującą nad tym wszystkim antresolą z dwoma łózkami. Kiedy rozglądałem się po Pokoju, zobaczyłem, że ona czyta książkę na jednym z łóżek. Przez jedno z okien wpadało światło i padało jej na twarz i nigdy w życiu nie widziałem niczego ani nikogo tak pięknego. Gdyby serce zatrzymało mi się w tamtej chwili, zatriciłbym się szczęśliwy i zatriciłbym się spełniony i zobaczyłbym w życiu wszystko, co chciałem zobaczyć i co musiałem zobaczyć. Zatrić się. Pozwólcie mi się zatrić.

Lucinda otworzyła małą lodówkę i wyciągnęła kilka piw.

Chcesz?

Nie.

Nie przeszkadza ci, że się napiję?

Wszystko mi jedno.

Lucinda otworzyła jedno piwo, a tamta z tymi

oczami odłożyła książkę i obydwie patrzyły, jak sięgam do kieszeni i wyciągam ćwierć torebki marihuany. To był klasa towar, najlepszy, jaki udało mi się zdobyć, i lepszy niż reszta tego, co krążyło po Szkole. Zielony, włochaty i gryzący, z zapachem na tyle intensywnym, że wydobywał się przez przezroczysty plastik torebeczki. Rzuciłem go Lucindzie. Skąd to masz?

Otworzyła torebkę.

Przyjaciel.

Wciągnęła powietrze.

Ile?

Zamknęła torebkę.

Nie przejmuj się.

Nie mów.

No.

Dlaczego?

Jestem w nastroju na prezenty.

Dzięki.

Zostawię ci numer. Jeżeli będziesz chciała jeszcze, zadzwoń i powiedz, że jesteś moją kumpelą. Coś ci skołują.

Dzięki.

Nie dawaj nikomu tego numeru. Zwykle tego nie robię, a oni nie lubią, jak dzwonią do nich obcy.

Jasne.

Lucinda usiadła na kanapie i sięgnęła pod spód i wyciągnęła blotki i położyła je sobie na kolanach i

zaczęła wyciągać ziele z torby. Zapalisz z nami?

Czułem, jak patrzy na mnie z antresoli. Bałem się.

Nie palę skrętów.

Serio?

Wstałem.

Serio.

Otworzyłem drzwi.

Nara.

Dzięki.

Przytaknąłem, a kiedy zamykałem drzwi, spojrzałem na nią, a ona patrzyła na mnie i nasze oczy się spotkały i uśmiechnęła się, a ja wiedziałem, że nie tylko ja byłem zdenerwowany i przestraszony i nie tylko mnie trzęsły się ręce. Chciałem się zatracić. Chciałem się ze wszystkich sił zatracić. Wiedziałem.

Ciemność wycofuje się i wschodzi Słońce. Czerwony, żółty i pomarańczowy przechodzą w czysty niebieski, słodkie powietrzne głosy budzących się ptaków roznoszą się echem po czarnej tafli Jeziora, rześki powiew niesie przenikliwy chłód do rezerwatu nocy. Wstaję i wracam na Oddział, a rosa z martwych liści przecieka mi do butów i przyglądam się, jak moje stopy rozbijają krystaliczną doskonałość porannej rosy, a rosa to kolejna rzecz, którą zniszczyłem, kolejna rzecz, której nie jestem w stanie naprawić ani odratować, kolejna piękna rzecz, którą zrujnowała moja beztroska. Nie zatrzymuję się. Nie

przestaję niszczyć i nie zmieniam kierunku i nie oglądam się za siebie. Oglądanie się za siebie za bardzo boli, więc po prostu idę.

Otwieram drzwi i wchodzę do środka i jest cicho i nikt się jeszcze nie obudził. Idę do swojego Pokoju i idę do Łazienki i rozbieram się i wchodzę pod prysznic i odkręcam gorącą wodę. To co zawsze. Woda parzy i skóra się czerwieni i boli i boli i boli i stoję tam i wytrzymuję, bo na to zasłużyłem i nie mam nic innego. Boli i na to zasłużyłem. To co zawsze.

Wschodzę i wycieram się i idę do lustra i wycieram parę i patrzę na siebie. Sińce pod oczami znikają. Opuchlizna wokół nosa zniknęła, mimo że guz pozostał i zostanie. Opuchlizna wokół ust zmniejszyła się i usta zaczynają wyglądać prawie normalnie. Mniejsza opuchlizna sprawia, że szwy wokół rany bardziej rzucają się w oczy. Szwy są stare i czarne i zaschnięte i wyglądają jak drut kolczasty, rana się zasklepiła i zaczyna się tworzyć blizna. Odciągam dolną wargę, żeby obejrzeć pozostałe rany i szwy. Szwy są czarne i splatają się ze sobą niczym nienawistne ogrodzenie. Rany są zamknięte i jaskrawobiałe na bladoczerwonym tle. Już nie krwawią, nie ropieją, zaczynają się zablizniać.

Próbuję podnieść wzrok. Chcę spojrzeć sobie w oczy. Chcę zajrzeć pod powierzchnię bladej zieleni i zobaczyć, co jest w środku. Kiedy jestem blisko,

odwracam wzrok. Próbuję zmusić się, żeby wrócić, ale nie jestem w stanie. Od lat nie patrzyłem sobie świadomie w oczy. Chciałem w nie spojrzeć, ale brakowało mi siły. Próbuję się zmusić, ale nie potrafię. Nie mam teraz siły i nie wiem, czy kiedykolwiek będę ją miał. Być może już nigdy więcej nie spojrzę w bladą zieleń swoich oczu. Są miejsca, z których się nie wraca. Są szkody, których się nie naprawi.

Owijam sobie ręcznik wokół bioder i wchodzę do Pokoju, żeby sprawdzić, czy ktoś się obudził. Warren siedzi i Łysol siedzi i rozmawiają ze sobą. John ciągle śpi i jest zwinięty w kłębek i obejmuje się i ssie kciuk. Podchodzę do Warrena.

Dzień dobry.

Cześć, James. Jak leci?

W porządku.

Wyglądasz na zmęczonego.

Nie spałem za wiele.

Przytakuje.

Zdarza się tutaj.

Zastanawiałem się, czy mógłbyś mi coś pożyczyć.

A czego potrzebujesz?

Scyzoryka albo цапków do paznokci albo czegoś ostrego.

Po co ci coś ostrego?

Po prostu.

Chcesz zrobić sobie krzywdę?

Uśmiecham się.

Gdybym chciał zrobić sobie krzywdę, użyłbym czegoś znacznie bardziej niebezpiecznego niż scyzoryk albo cążki do paznokci. Przygląda mi się, uśmiecha się.

No, chyba tak.

Nachyla się i otwiera szafkę i wyciąga małe lśniące cążki do paznokci. Podaje mi je.

Dzięki, Warren.

Wracam do Łazienki. Para rozproszyła się i lustro jest czyste. Podchodzę do niego i oglądam szwy wokół rany. Są czarne i zaschnięte i wyglądają jak drut kolczasty. Chcę się ich pozbyć. Nie mam ochoty wyglądać dłużej jak Frankenstein. Jeżeli wyciągnę te szwy, blizna będzie gorsza, ale blizny mi nie przeszkadzają i nic mi się nie stanie, jak będę miał jeszcze jedną bliznę.

Kładę cążki na białej porcelanie umywalki i odkręcam gorącą wodę i biorę trochę papieru toaletowego i namaczam go i zaczynam oczyszczać szwy z zaschniętej krwi. Zeby wyszły, muszą być czyste, muszą być oczyszczone ze skorupy, tak żeby wyslizgnęły się ze swoich otworów, a nie wyszarpały nowe i większe. Zdarzyło mi się już kiedyś popełnić ten błąd, że nie oczyściłem porządnie szwów, i efekt był mało przyjemny, więc tym razem się nie spieszę. Namaczam papier, przecieram, powtarzam.

Namaczam, przecieram, powtarzam. Namaczam, przecieram, powtarzam. Kiedy strupy nasiąkają wodą, zamieniają się w krew i krew rozmazuje mi się po brodzie i policzku. Zostawiam ją na policzku, bo jeszcze nie skończyłem.

Po jakichś dziesięciu przetarciach szwy są czyste. Podnoszę cążki i rozwieram je i zaczynam ciąć. Na zewnętrznej ranie jest ich dwanaście i wychodzą z łatwością i bez problemu. Kiedy są przecięte, wyciągam je. Otwpry są czyste i nie ma krwi. Będzie widać bliznę, ale nie będzie źle. Małe półkole z boku twarzy. Kolejny ślad po życiu, jakie prowadzę. Jeszcze nie skończyłem.

Odciągam dolną wargę. Tu rany są gorsze i nie zagoiły się tak dobrze. Obecność śliny i jedzenia i ruchy ust i zabieg w Gabinetie Stomatologicznym uniemożliwiły szwom spełnienie swojego zadania. W tej chwili są bezużyteczne.

Szukam szwu, który jest najbliżej ciała. Jest w dolnym rogu ust, u podstawy dziąsła. Kiedy jedną ręką przytrzymuję wargę, drugą wkładam cążki do środka i umieszczam ostrze między ciałem a szwem i ściskam cążki i szew pęka i wzdrygam się i mała strużka krwi wypływa z otworu po nici. Metodycznie przechodzę przez pozostałe dwadzieścia dziewięć szwów w ustach. Kiedy kończę ciąć, wyciągam szwy i krew płynąca z otworów wypełnia mi usta i odkręcam zimną wodę i nabieram łyk i płuczę sobie

usta i wypluwam ją. Umywalka jest jasnoróżowa, moja twarz jest umazana na czerwono, resztki szwów leżą z boku na porcelanie i mam cążki w dłoni. Boli mnie, ale nie bardzo.

Drzwi do Łazienki otwierają się i odwracam się i wchodzi Łysol i widzi mnie i pada na kolana i zaczyna krzyczeć on się zabije, on się zabije i słyszę tumult i drzwi otwierają się gwałtownie i do Łazienki wpada Warren.

Co ty wyprawiasz?

^ciągam szwy.

Warren podchodzi do mnie. Łysol czołga się do sedesu.

Powiedziałeś, że nie zrobisz sobie krzywdy.

Nie zrobiłem.

Wygląda, jakbyś zrobił.

Nie zrobiłem.

Powinieneś był zostawić to Lekarzowi.

Już to kiedyś robiłem, to nic takiego.

Łysol zaczyna wymiotować. Warren podchodzi do niego i klęka obok. Sięgam po papier i namaczam go i wycieram sobie twarz. Kończę i wyrzucam zakrwawioną bibułę do śmieci i podchodzę do sedesu i patrzę, jak Łysol wymiotuje. Mimo że część mnie chce się śmiać, nie chcę, żeby Łysol czuł się gorzej, niż już się przez mnie czuje. Kiedy kończy wymiotować, mówię.

Przepraszam.

Spogląda na mnie, wyciera sobie twarz.
Nie chciałem cię zdenerwować.
Jesteś chory.
Nie odpowiadam.
Jesteś chorym, chorym człowiekiem.
Nie odpowiadam, bo ma rację. Jestem chorym,
chorym człowiekiem. Masz się ode mnie odsunąć.
Nie chciałem cię zdenerwować.
Odsuń się.
Odwracam się i wychodzę z Łazienki i idę do
swojej części Pokoju. John nie śpi i patrzy na mnie.
Co się stało?
Zaczynam się ubierać.
Przecinałem szwy i Łysol wszedł i zobaczył
krew i myślał, że próbuję popełnić samobójstwo, i
spanikował.
John uśmiecha się.
Kiedyś też próbowałem popełnić samobójstwo.
Przykro mi.
To nie było przykre, tylko zabawne.
John, samobójstwo nie jest zabawne.
Powiesiłem się do masturbacji i po wytrysku
postanowiłem jeszcze sobie powisiec. Moja Mama
weszła i zaczęła krzyczeć.
To okropne.
To nie było okropne, to było zabawne.
John, to nie jest zabawne.
Kończę się ubierać i zostawiam Johna ze

wspomnieniami i Łysola z sedesem i Warrena z Łysolem i idę do Szafki z Zapasami i biorę mop i wiadro i opakowanie płynu czyszczącego i papierowe ręczniki i idę do Toalet Publicznych. Mimo że nie chce mi się ich czyścić, nadal tu jestem i dopóki tu jestem, będę wypełniać swoje obowiązki. Będę przychodził na posiłki. Będę jadł. Będę chodził na Wykłady. Będę wykonywał Prace. Będę uczestniczył, w czym tam mam uczestniczyć. Nie będę pił alkoholu i nie będę brał nakotyków. Zostało mi piętnaście godzin.

Otwieram drzwi do Toalet Publicznych i stawiam środki czystości na podłodze. Na muszlach jest kilka plam i na podłodze leży papier, ale oprócz tego nie ma nic więcej. To będzie szybkie i proste.

Zaczynam szorować plamy. Schodzą z łatwością. Spuszczam zużyte papierowe ręczniki w toalecie. Papier, oto rura, papier, oto szambo. To moi przyjaciele. Zniszczą cię, papier.

Czyszczę umywalki i umywalki lśnią. Myję podłogę i podłoga lśni pokryta cienką warstwą wody z mydłem. Wyciągam śmieci i wyrzucam je do większego pojemnika na śmieci. Tu jest tona jebanych śmieci. Każdego dnia więcej.

Wracam do Toalet. Oglądam je. Wydają mi się czyste, gotowe. Skończyłem. Biorę wiadro i ręczniki i odkładam środki czystości na miejsce i idę do Stołówki. Staję w kolejce i dostaję śniadanie i

znajduję pusty stolik i siadam i zaczynam jeść. Od dwóch tygodni regularnie jem. Trzy posiłki dziennie, codziennie. Czuję, jak moje ciało pozytywnie reaguje na jedzenie. Czuję się silniejszy. Mam trochę więcej energii. Przybieram na wadze. Po kilku godzinach jestem głodny. Bardzo długo nie odczuwałem głodu jedzenia. Odczuwałem głód innych rzeczy i zaspokajałem ten głód ze wszystkich sił, ale jedzenie było zawsze na później. Podobno ludzie poszukują wyłącznie pożywienia, schronienia i seksu. Podobno ludzie nie mają innych pierwotnych potrzeb. Znajdowałem się w stanie, w którym wyzbyłem się tych wszystkich potrzeb. Nie wiem, kim w związku z tym jestem.

Widzę idącego do mnie Leonarda i odkładam widelec, a on uśmiecha się i wygląda, jakby się mnie tu nie spodziewał, i macha do mnie. Wystawiam do niego środkowy palec i kiedy siada, śmieje się do mnie.

Dobrze, że jesteś.

Jeszcze czternaście godzin.

Odliczasz?

Część mnie, owszem.

Która część?

Ta, która spuści ci łomot, jeżeli spróbujesz mnie znów zatrzymać. Sam łomot nie wystarczy, żebym cię nie zatrzymał.

Dlaczego?

Bo łomot można znieść.

Dlaczego cię to obchodzi?

Tak po prostu.

Dlaczego?

W tej chwili to nie twoja sprawa.

Próbujesz mną kierować, próbujesz mówić mi, co mi wolno, a czego nie, jak dla mnie to jest moja sprawa.

Patrzysz na to ze złej strony, Młody. Próbuję ci tylko pomóc. Dlaczego?

Leonard wyciąga się na krześle.

Jesteśmy przyjaciółmi?

Nie.

Chichocze.

Chcesz usłyszeć historię, którą mógłbym opowiedzieć komuś, kto jest moim przyjacielem?

Jeżeli to wyjaśni, dlaczego nie chcesz się odczepić.

Znowu chichocze, patrzy na mnie przez chwilę, mówi.

Wychowałem się w Bronksie, zaraz obok Arthur Avenue, okolicy zamieszkaney przez włoskich robotników. Zeby opłacić rachunki, mój Tatko kosił trawniki i pucował buty w ekskluzywnym Klubie Country w Westchester, a Mama siedziała w domu i zajmowała się mną. Nie mieliśmy forsy, ale się kochaliśmy i dobrze nam się razem żyło. Kiedy miałem jedenaście lat, Tatka potraciła Betoniarka,

kiedy przechodził przez jezdnię, i umarł. Mama była zrozpaczona i dwa miesiące później wpadła pod pociąg w metrze. Policja uznała to za wypadek, powiedzieli, że się poślizgnęła czy coś takiego, ale ja znałem prawdę. Mama po prostu nie mogła żyć bez Taty i poszła go szukać.

Musiałem iść do Sierocińca i to był koszmar. Wszyscy mieli mnie w dupie. Zacząłem wagarować i łązić za takim kołesiem z sąsiedztwa, co miał na imię Michelangelo, ale wszyscy wołali na niego Nosaty Mikey. Mikey był dla mnie Bogiem. Jeździł cadillakiem z blondyną u boku i plikiem banknotów w kieszeni. Pomagał ludziom z okolicy, którzy byli akurat w potrzebie. Opłacał ich czynsz, zimą dawał im płaszcze i czapki i rękawiczki, przywoził głodnym jedzenie. Wiedziałem, że robił też nieczyste interesy, ale byłem za mały, żeby zrozumieć, na czym mogłyby one polegać.

Pewnego dnia Michelangelo zatrzymał się, wysiadł z samochodu, podszedł do mnie i zapytał, dlaczego do kurwy nędzy cały czas za nim łążę. Tak się bałem, że nie mogłem z siebie nic wydusić. Zapytał jeszcze raz i dodał, że nie robi mi krzywdy, chce się tylko dowiedzieć. Powiedziałem mu, że chciałem się dowiedzieć, co robi, i samemu to robić, żebym nie musiał siedzieć w Sierocińcu. Zaśmiał się i zapytał, jak się nazywam, i powiedziałem mu, a on powiedział, że łążenie za nim bez przerwy to głupota,

jeżeli chcesz zobaczyć, w czym robię, to jutro ze mną pojedź. No i następnego dnia to ja siedziałem obok niego zamiast blondyny i od tej pory już tylko to robiłem, jeździłem z Michelangelo i obserwowałem, czym się zajmuje.

Parę miesięcy później uciekłem z Sierocińca i wprowadziłem się do niego. Nikt chyba nie zauważył, że zniknąłem. Rok później Michelangelo ożenił się z kobietą o imieniu Geena, która była najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem. Mieszkałem z nimi, jakbym był ich Synem, choć domyśliłem się, że kiedy będą mieli Dzieci, to będę musiał zniknąć. Okazało się, że Geena nie może mieć Dzieci, więc zapytali mnie, czy chciałbym zostać z nimi na stałe. Zgodziłem się, Michelangelo pociągnął za sznurki i on i Geena zaadoptowali mnie i przez resztę dzieciństwa traktowali mnie, jakbym był ich prawdziwym Synem. Dali mi życie, dali mi dom, dali mi przyszłość, dali mi miłość. Dawali mi mnóstwo, mnóstwo miłości.

Leonard urywa, patrzy na stolik. Czekam, aż będzie kontynuował, ale milczy. Mówię.

To rozczulająca opowieść, Leonard, bardzo słodka i wzruszająca. Spogląda na mnie.

Ale nie jestem Dzieckiem i nie jestem sierotą i nie będę twoim jebanym eksperymentem. Rozumiemy się?

Uśmiecha się.

Młody, potrzebujesz pomocy.
Poszukaj sobie kogoś innego, Leonard.
Lubisz futbol?
Poszukaj kogoś innego.
Usłyszałem cię, zrozumiałem, zmieniam temat.
Lubisz futbol?
No.
Ulubiony zespół?
Cleveland Browns.
Serio?
No.
Dlaczego Brownsi?
Urodziłem się w Cleveland.
Przytakuje.
Grają dzisiaj z Pittsburghiem, chyba będzie
niezły mecz. Chcesz razem obejrzeć?
Nie, jeżeli to część eksperymentu.
To nie jest część eksperymentu.
To może.
Masz coś do roboty?
Nie.
To chodź pooglądać.
Zobaczymy.
Widzę, jak Lincoln idzie przez Stołówkę. Patrzy
na mnie i nie ma tacy. Patrzę na niego. Leonard
widzi, że patrzę na niego, i też na niego spogląda.
Szykuje się kolejna burda.
Jeszcze nie było pierwszej.

Lincoln podchodzi. Spogląda na Leonarda.
Zostawisz mnie na chwilę samego z Jamesem?

Leonard spogląda na mnie.

W porządku, Młody?

Tak.

Wstaje, podnosi tacę.

Jestem obok, gdybyś mnie potrzebował.

Pokazuje na stolik obok.

Nie będę cię potrzebował, Leonard.

Leonard śmieje się i idzie do stolika obok i siada i obserwuje mój stolik. Większość mężczyzn na Stołówce obserwuje mój stolik. Lincoln odsuwa krzesło i siada.

Kumplujesz się z Leonardem?

Tak jakby.

Wiesz o nim cokolwiek?

Nie za bardzo.

To chyba nie jest najlepszy pomysł, żebyś się z nim zadawał.

Po to tu przyszedłeś? Mówić mi, z kim powinienem, a z kim nie powinienem się zadawać?

Nie.

To czego chcesz?

Erie przyszedł do mnie wczoraj porozmawiać.

Kto to jest Erie?

Erie to przyjaciel Roya. Wypisał się wczoraj zaraz po Royu.

I co miał ci do powiedzenia?

Powiedział, że Roy obsesyjnie chciał cię stąd wyrzucić, że według niego to Roy wszczął waszą bójkę i że widział, jak Roy zaświnił Toalety Publiczne po tym, jak je wyczyściłeś.

To interesujące.

Też tak pomyślałem i jestem ci winien przeprosiny. Roy był wzorowym Pacjentem i nie wiem, dlaczego miałby zrobić to, co zrobił, a myliłem się, zakładając, że on mówił prawdę, a ty kłamałeś. Przepraszam cię za to i chciałbym spróbować zacząć od nowa i zobaczyć, czy uda nam się trochę lepiej porozumieć.

Jak dla mnie nie ma sprawy.

Wstaje.

Jeszcze raz?

Wstaję.

Pewnie.

Podajemy sobie dłonie i zabieramy dłonie, a on odchodzi, a ja siadam do śniadania i kiedy połykam pierwszy kęs, Leonard się przysiada, i chce wiedzieć, co się stało, i mówię mu, że nic takiego, i nie wierzy mi i męczy mnie o to i ignoruję go i kończę jeść. Kiedy kończę, wstaję, i biorę tacę i kładę ją na taśmę i wracam na Oddział. Na Dolnym Poziomie mężczyźni zbierają się wokół telewizora, oglądają program poprzedzający mecz. Niektórzy palą, niektórzy piją kawę, niektórzy wyglądają na podekscytowanych, a niektórzy na kurewsko

znudzonych. Niezależnie od tego, co robią, niezależnie od swojego podejścia gapią się na obrazki na ekranie. Nałogi potrzebują paliwa. Niekiedy wystarczy cokolwiek, nawet zwykłe obrazki na nudnym ekranie. Paliwo. Zostało mi trzynaście i pół godziny.

Biorę kubek kawy i znajduję miejsce na kanapie i zapalam papierosa i oglądam program. Nie do końca wiem, co mówią zaproszeni do programu ludzie, i wątpię, czy oni sami wiedzą, ale chyba wydaje im się to istotne, więc próbuję się skoncentrować. Po kilku minutach prawie zapadam w śpiączkę. Gapię się na ekran. Piję kawę. Palę papierosy. Nawet nie próbuję zrozumieć, o czym pierdołą kolesie na ekranie.

Leonard wchodzi z Łysolem i wydziera się przyjmując zakłady i mężczyźni zaczynają obstawiać i Łysoł zapisuje stawki w małym notatniku i zbiera pieniądze i wkłada je do małej torby z dużym suwakiem. W pewnej chwili przez Salę przechodzi Lincoln i wszystko zamiera. Kiedy wychodzi, znowu się zaczyna. Mężczyźni bez pieniędzy stawiają papierosy albo Prace, jeden mężczyzna stawia parę kapci, inny stawia okulary przeciwsłoneczne. Nałogi potrzebują paliwa. Telewizja nie wystarcza.

Kiedy mecze się zaczynają, mężczyźni kłócą się, który mecz będziemy oglądać, i spór kończy się, kiedy Leonard mówi, że będziemy oglądać mecz

Pittsburgh-Cleveland. Nikt nie chce oglądać meczu Pittsburgh-Cleveland i zewsząd słysząc narzekania, ale Leonard mówi, że to ostateczna decyzja, i wszyscy się zamykają i koncentrują na ekranie.

Kiedy byłem Dzieckiem, Ojciec zawsze miał na Brownsów bilety z abonamentu. Mimo że mógł wykorzystać je służbowo, nigdy tego nie robił. Jesienią, w każdą niedzielę on i mój Brat i ja wkładaliśmy koszulki Brownsów i czapeczki Brownsów i jechaliśmy kolejką do centrum z naszego Domu na Przedmieściach i szliśmy z kolejki na Stadion. Tata trzymał nas przez całą drogę za ręce, a ponieważ miał tylko dwa miejsca, wnosił mnie na mecz i oglądałem go, siedząc mu na kolanach. Wrzeszczeliśmy i krzyczeliśmy i kibicowaliśmy i śpiewaliśmy piosenki, kiedy Brownsi wygrywali, płakaliśmy, kiedy przegrywali. Kiedy byłem za duży, żeby wnieść mnie na Stadion, chodziliśmy z Bratem na zmianę. W jednym tygodniu on, w drugim tygodniu ja. Jeżeli Tata wyjechał za Miasto, zabierała nas Mama.

Jako dzieciak kochałem jebanych Brownsów i choć już od dawna nie oglądałem futbolu, część mnie nadal ich kocha. Jako Dzieciak kochałem swoją Rodzinę i choć od dawna tak już nie jest, ta sama część mnie, która nadal kocha Brownsów, i ta sama część mnie, w której zostało człowieczeństwo, i ta sama część mnie, która pamięta, co to jest miłość, w

dalszym ciągu ich kocha.

Siedzę i bez słowa oglądam mecz i przeżywam wspomnienia meczów, na które chodziłem z Matką i z Ojcem i z Bratem. Dokoła mnie mężczyźni kibicują i wrzeszczą zgodnie z tym, kogo obstawili. Jeden mężczyzna narzeka, że musi oglądać Cleveland-Pittsburgh, i nazywa Cleveland Niedo-Rzeczną Dziurą i mówi, że to najbardziej chujowe Miasto, jakie widział, i pełno w nim najbardziej chujowych Ludzi, jakich miał nieprzyjemność spotkać, i dziamga bez końca o tym, jaki jest wkurwiony, że musi oglądać chujowy Zespół z chujowego Miasta, i tak w kółko. Po jakiejś pół godzinie wspomnienia i miłość zanikają i nachylam się i patrzę na niego tak długo, aż się do mnie odwróci, i informuję go, że jeżeli nie zamknie jadaczki, jedyną dziurą godną zapamiętania będzie ta, która powstanie na miejscu jego tłustego pierdolonego ryja. Jakaś część mnie nadal kocha. Większość mnie nie.

Zbliża się lunch i faceci idą do Stołówki i dostają kanapki i przynoszą je ze sobą i dalej oglądają futbol w telewizji. Kiedy szykuję się, żeby zrobić to samo, podchodzi do mnie Ted i mówi, że ktoś z Administracji mnie szuka i mam pójść na Recepcję. Pytam go, czy wie po co, a on mówi, że nie ma pojęcia.

Wstaję i idę do Recepcji i mówię Recepcjonistce, jak się nazywam. Uśmiecha się i

mówi, że mam Gości, i prowadzi mnie krótkim Korytarzem do drzwi.

Są w środku.

Kto?

Prosili, żebym nie mówiła.

Dziękuję.

Odchodzi, a ja patrzę na drzwi i biorę głęboki oddech. Nie cieszę się na spotkanie z Ludźmi z przeszłości. Rzadko mają mi do powiedzenia coś dobrego i zawsze jest coś, czym sobie zasłużyłem na ich pogardę. Biorę głęboki oddech i otwieram drzwi i słyszę śmiech i śmiech zamiera i wchodzę do Pokoju, a mój Brat siedzi przy stole z moimi niegdyś bliskimi przyjaciółmi, którzy mieszkają razem w Minneapolis. Brat wstaje.

No i co, Koleś?

Uśmiecham się.

Nic.

Obejmuje mnie i ja go obejmuję. To dobre uczucie.

Co ty tu robisz?

Odsuwamy się.

Dzień Odwiedzin. Nie mogłem przegapić Dnia Odwiedzin. Odwracam się do swoich przyjaciół. Nazywają się Julie i Kirk.

A wy co tu robicie?

Julie uśmiecha się.

My też nie mogliśmy przegapić Dnia Odwiedzin.

Uśmiecham się.

Dzięki.

Kirk wstaje i obejmuje mnie i Julie robi to samo i odsuwamy się. Na stole leży kilka zapakowanych pudełek. Mój Brat pokazuje na nie. Czas, żebyś rozpakował prezenty.

Siadam.

To od ciebie?

Ode mnie kilka i od nich kilka.

Spoglądam na Julie i Kirka.

Nie myślałem, że po ostatnim razie będziecie jeszcze chcieli ze mną rozmawiać.

Kirk śmieje się.

Jak ludzie są najebani, to robią głupoty. Nie musimy już do tego wracać.

Dziękuję.

Popycha w moją stronę paczkę.

Teraz otwórz.

Pudełko jest ślicznie zapakowane. Papier jest jaskrawy i kolorowy i jest na nim napisane Zdrowiej Szybciej i jest przyozdobiony wstążką. Zdejmuję go powoli i ostrożnie i prawie żałuję, że w ogóle muszę zdjąć. Dobrze by było tylko to ze sobą nosić.

Pod spodem jest zwyczajne tekturowe pudełko. Otwieram je, a wewnątrz są trzy małe zapakowane pudełeczka. Wyciągam je i patrzę na Kirka i Julie.

Naprawdę nie musieliście tego robić.

Julie uśmiecha się.

Chcieliśmy.

Uśmiecham się i patrzę na paczuszki i zaczynam je otwierać i muszę się powstrzymać od łez. Nie zasługuję na taką dobroć. Nie zasługuję.

Wewnątrz paczuszek jest para wełnianych skarpet, dwa kartony papierosów, pudełko czekoladek. Patrzę na Julie i Kirka i dziękuję im i głos mi się łamie, a oni uśmiechają się i mój Brat popycha swoje paczki ku mnie, a one nie są tak nienagannie zapakowane, ale też są śliczne.

Otwieram je i są w nich dwie pary drelichowych spodni i dwie pary wełnianych skarpet i dwa białe T-shirty i dwie pary bokserek i czarny wełniany sweter i piżama i czarna czapeczka z logo Cleveland Browns na przodzie. Szczoteczka i pasta do zębów i szampon i mydło i tubka kremu do golenia i maszynka. Kilka książek.

Patrzę na wszystkie prezenty i próbuję coś powiedzieć, ale nie mogę. Spoglądam na Brata. Uśmiecha się.

Podoba ci się to wszystko?

Tak.

Potrzebujesz czegoś jeszcze?

Nie, to wystarczy.

Wstaję i podchodzę do Brata i nachylam się i obejmuję go i szepczę mu na ucho dziękuję i robię to samo z Julie i Kirkiem i zbieram rzeczy i idę do drzwi.

Chcecie, żebym was oprowadził?

Wstają. Mój Brat mówi.

Byłoby super.

Wschodzą za mną i idziemy przez labirynt jasnych oświetlonych czystych nieprzyjemnych Korytarzy, a Julie mówi mi, że już tu kiedyś była, bo jedna z jej najbliższych przyjaciółek była tu parę lat temu.

To był fatalny czas i jej przyjaciółka była w fatalnym stanie, ale wylizała się i dzisiaj czuje się znacznie lepiej. Wspomnienia są słodko-gorzkie.

Docieramy na Oddział i idę do Pokoju odłożyć rzeczy, a Brat i Julie i Kirk czekają na mnie na Górnym Poziomie. Kiedy wchodzę, Pokój jest pusty. Idę do swojego kąta i kładę nowe rzeczy na łóżku i siadam na łóżku i przyglądam im się. To zwykłe rzeczy. Dla większości ludzi artykuły pierwszej potrzeby. Ubranie i przybory toaletowe. Jedzenie. Kilka książek, żeby zająć umysł. Zwykłe rzeczy. Dotykam ich i biorę je i trzymam je. To najprzyjemniejsze rzeczy, jakie miałem od dawna. Wiem, że Brat i Julie i Kirk czekają na mnie, więc wychodzę z Pokoju. Idę na Górny Poziom Oddziału i kiedy przychodzę, Brata i Julie i Kirka tam nie ma. Ed i Ted siedzą przy stole i grają w karty i piją kawę i palą, a ja pytam ich, czy wiedzą, dokąd poszli, i mam nadzieję nadzieję nadzieję, że nie rozmyślili się i nie poszli sobie, a Ted mówi mi, że oglądają futbol, i

wyglądam przez barierkę i widzę, jak siedzą na kanapach z Leonardem i z innymi mężczyznami z Oddziału i wszyscy oglądają końcówkę meczu Cleveland-Pittsburgh. Schodzę do nich i siadam na podłodze przed kanapami i oglądam z nimi mecz, a Cleveland wygrywa i Zwycięzcy zgarniają lupy, a Przegrani marudzą i jęczą i w następnym meczu podnoszą stawkę. Mężczyzna, który postawił kapcie, przegrał. Teraz chce postawić sweter.

Julie nie chce już oglądać futbolu i proponuje, żebyśmy poszli na spacer. Wszyscy się zgadzają, więc idę i biorę kurtkę Hanka i nową czapkę i wkładam je i wychodzimy na zewnątrz i jest jasno i Słońce świeci i powietrze jest rześkie i ziemia jest grząska i trudno o lepszy dzień o tej porze roku w Minnesocie.

Do Kliniki należy obszar o powierzchni tysiąca akrów. Budynki, które są ze sobą połączone, zajmują około pięciu akrów, reszta Terenu przeznaczona jest do spacerowania i medytowania i spędzania czasu w samotności. Są Szlaki, przy Szlakach są Polany, na Polanach są ławki. Są zakątki gęstego Lasu, dwa małe Jeziora, kilka szerokich Pastwisk z wysoką trawą, Bagno, nad którym jest Kładka. Julie zna Szlaki z poprzednich wizyt, więc prowadzi. Oprócz sporadycznych komentarzy na temat otoczenia prawie nie rozmawiamy. Liście i gałązki pękają nam pod stopami. Słońce jest ciepłe i jasne i świeci, Niebo

niebieskie niebieskie niebieskie. Zwierzęta i ptaki ćwierkają i krzyczą i bawią się, szukając pożywienia. Powiew przynosi falę chłodu i kolejny powiew ją zabiera. Ziemia nadal śpi i będzie spała przez resztę Zimy, ale wierci się i rusza. Mijamy innych Pacjentów i innych Gości i przeważnie do siebie kiwamy i nic więcej. Ziemia przejawia życie i wszyscy chcą nim nasiąknąć i się nim nacieszyć i je zapamiętać. Życie. Zapamiętać przejawy życia.

Spacer trwa spokojną cichą godzinę i kończy się na tyłach Oddziału Medycznego. Kiedy wyłaniamy się z gęstego lasu, słyszymy krzyki, długie głośne przenikliwe krzyki. Brat i Julie i Kirk patrzą na ciemne zakratowane okna i Brat pyta, co się dzieje w środku i dlaczego ci ludzie krzyczą. Odpowiadam, że taka jest cena za tę zabawę, i przyspieszam, żebyśmy nie musieli ich słuchać, ale nawet kiedy odchodzimy, krzyki są nadal w naszych głowach.

Przechodzimy na front głównego kompleksu Budynków i Julie proponuje, żebyśmy usiedli na ławkach, tych samych ławkach, na których siedziałem wcześniej. Kiedy się do nich zbliżamy, Lilly wstaje z małą wątlą Staruszką. Bierze dłoń Staruszki i zaczynają iść w naszą stronę. Lilly uśmiecha się do mnie.

Cześć, James.

Cześć, Lilly.

To moja Babcia.

Uśmiecham się do jej Babci, która ma długie siwe włosy i niebieskie oczy Lilly.

Dzień dobry.

Uśmiecha się do mnie. To dobry uśmiech.

Dzień dobry, James.

Pokazuję na Brata, Julie i Kirka.

To mój Brat Bob, a to moi przyjaciele Julie i Kirk. To jest Lilly i jej Babcia.

Lilly uśmiecha się.

Cześć.

Bob i Julie i Kirk uśmiechają się, witają. Babcia Lilly mówi.

Co ci się stało w twarz?

Miałem wypadek.

Z twojej winy?

Mniej więcej.

Dlaczego to zrobiłeś?

Nie zrobiłem tego specjalnie. Taka jest cena za tę całą zabawę. Babcia Lilly uśmiecha się i delikatnie dotyka mojej twarzy wolną ręką.

Mam nadzieję, że już skończysz z tą zabawą, James.

Uśmiecham się, delektuję ciepłem jej dłoni.

Zobaczymy.

Przytakuje. Jej oczy i dłoń rozumieją moje słowa, już wcześniej widziały i czuły ten rodzaj zniszczenia. Nie ma osądu i nie ma pogardy. Tylko nadzieja.

Miło było cię poznać.
Panią też.
Spogląda na Lilly i uśmiecha się.
Powinnyśmy już iść, Słonko.
Lilly spogląda na mnie i mówi łagodnie.
Na razie.
Odwzajemniam spojrzenie, ton.
Na razie.
Spogląda na Boba i Julie i Kirka.
Miło było was wszystkich poznać.
Bob i Julie i Kirk mówią razem.
Was również miło było poznać.
Lilly i jej Babcia odchodzą, patrzę za nimi i
trzymają się za ręce i idą w stronę Budynków. Nie
ma osądu i nie ma pogardy. Tylko nadzieja. Kiedy
nas już nie słyszą, Julie szturcha mnie żartobliwie.
A to kto?
To była Lilly.
To wiem, ale kto to jest?
Dziewczyna stąd, która wyszła z Babcią na
spacer.
Julie szturcha mnie jeszcze raz.
Daj spokój.
Śmieję się.
Spotkałem ją, kiedy tu przyszedłem. Właściwie
jej nie znam. Podobasz się jej.
Podchodzę do środkowej ławki, siadam.
Może.

Bob i Julie i Kirk idą za mną, siadają.
Kirk mówi.
Rozmawiałeś może z...
Przerywam mu.
Nie i nie zamierzam.
Julie mówi.
Było aż tak źle?
Tak, aż tak źle.
Bob wyciąga papierosa, częstuje mnie.
Zapalisz?
Biorę, zapalam. Nikotyna mi smakuje.
Stary...
Patrzę na Jezioro.
Jeszcze nie pytałem, ale dajesz sobie jakoś radę?
Patrzę na Jezioro.
Nie wiem.
Kłopotliwa cisza. Nie patrzę na nich, ale wiem,
że Bob i Julie i Kirk wymieniają spojrzenia. Julie
mówi.
Dobrze się czujesz?
Nie wiem.
Kirk mówi.
Czujesz się lepiej?
Nie wiem.
Mój Brat żartobliwie uderza mnie w ramię.
Kurwa, Koleś. Powiedz coś.
Odwracam się do niego.
Nie wiem, co powiedzieć.

Co masz w planach?

Nie wiem.

Julie mówi.

Musisz się wyleczyć.

Nie wiem, czy potrafię.

Bob mówi.

Jak to?

Bo jestem rozjebany i to kompletnie rozjebany. Nie wiem, co się stało ani jak doprowadziłem się do tego stanu, ale jest, jak jest, i mam kurewsko poważne problemy i nie wiem, czy da się z nimi coś zrobić. Nie wiem, czy ze mną da się coś zrobić.

Julie mówi.

Ze wszystkim da się coś zrobić.

Łatwo mówić.

Mojej przyjaciółce się udało.

Nie jestem twoją przyjaciółką.

Bob mówi.

Stary, musisz spróbować.

Zobaczemy.

Nie, nie zobaczemy. Masz kurwa spróbować.

Patrzę na Jezioro, biorę głęboki oddech.

Nie chcę już o tym rozmawiać.

Kłopotliwa cisza. Nie patrzę na nich, ale wiem, że Bob i Julie i Kirk wymieniają spojrzenia, wiem, że próbują porozumieć się, co dalej. Bob mówi.

Rozmawiałeś z Mamą i Tata?

Śmieję się.

O tym też nie chcę rozmawiać.
Zrób to dla mnie i zadzwoń do nich.
Gdzie są?
W Domu w Michigan. Jutro wracają do Tokio.
W porządku.
Julie mówi.
A czy w ogóle z kimś rozmawiałeś?
Z Anną, Lucindą i Amy.
Co u nich?
Chyba w porządku. Cieszą się, że tu jestem.
Wielu Ludzi cieszy się, że tu jesteś.
Wątpię.
Kirk mówi.
Dzwoniło do nas wielu Ludzi, którzy pytali o
ciebie.
Kto?
Mamy listę.
Kirk spogląda na Julie. Julie wyciąga z torebki
listę i mi ją podaje. Wkładam ją do kieszeni. Julie
mówi.
Nie chcesz zajrzeć?
Zajrzę później. Nie chcę tracić reszty czasu,
który nam pozostał, na czytanie jebanej listy.
Śmieje się, patrzy na zegarek.
Robi się późno.
Która godzina?
Kwadrans po trzeciej.
Do której trwają Odwiedziny?

Bob mówi.

Do czwartej.

Chichoczę.

Co?

Zostało mi pięć i pół godziny.

Kirk mówi.

Do czego?

Niczego.

Wstaję.

Chodźmy do środka.

Wstają i wracamy na Oddział i Brat mnie obejmuje i mówi mi, że jest ze mnie dumny, a ja śmieję się, a on mówi mi jeszcze raz i dziękuję mu i wchodzimy do środka i pokazuję im swój Pokój i przedstawiam ich Warrenowi, który czyta na łóżku kryminał. Julie musi skorzystać z toalety, więc tłumaczę jej, gdzie są Toalety Publiczne, i idzie tam. Bob i Kirk i ja idziemy do świetlicy z telewizorem, gdzie umówiliśmy się z Julie. Znajdujemy pustą kanapę i siadamy i oglądamy futbol. Palę papierosa. Zostało mi pięć godzin i piętnaście minut.

Julie wraca i ma wizytówkę. Siada i podaje mi wizytówkę i pyta mnie, czy znam tego gościa. Spoglądam na wizytówkę. Napisane jest na niej John Everett, Ninja Seksualny, San Francisco i Świat. Oddaję jej wizytówkę i pytam, czy sprawił jej przykrość albo był nieuprzejmy, a ona się śmieje.

Był bardzo zdenerwowany i przez cały czas gapił

się na mój tyłek.

To było trochę dziwne i zabawne.

Kirk bierze wizytówkę i czyta ją i śmieje się i podaje ją Bobowi, który czyta ją i śmieje się. Kirk pyta, czy znam Ninję, a ja mówię mu, że mieszkamy w jednym Pokoju i Kirk wyje ze śmiechu i bierze ' wizytówkę od Boba i ogląda ją znowu i wyje jeszcze głośniej. Pyta, czy może poznać Ninję, a ja mówię mu może innym razem i Julie spogląda na zegarek i mówi, że czas na nich, więc przechodzimy przez labirynt jaskrawych nieprzyjemnych Korytarzy i docieramy do Głównego Wejścia i wychodzę z nimi, żeby się pożegnać.

Dzięki za odwiedziny. To dużo dla mnie znaczy.

Julie mówi.

Martwiliśmy się o ciebie.

Nie chcę, żebyście się o mnie martwili.

Kirk mówi.

I tak będziemy.

Nie trzeba.

Bob mówi.

Stary, chcemy, żebyś się wylizał.

Wiem.

To miejsce to twoje jedyne wyjście.

Są inne.

Jakie?

Chyba wiesz, jakie.

Bob kładzie mi dłoń na ramieniu, patrzy na

mnie.

Wyliż się. Proszę, wyliż się.

Zaczyna się rozklejać, a patrzenie na to, jak się rozkleja, sprawia, że zaczynam się rozklejać, i nie chcę tego. Podchodzi i obejmuje mnie i ściska mnie i ściskam go i to jest dobre i mocne i czyste i prawdziwe. To jest mój Brat, moja Krew, jedyna istota na tym Swiecie powstała z tego, z czego ja powstałem, Osoba, która zna mnie najlepiej na tym Swiecie, Osoba, która, gdybym odszedł, tęskniłaby za mną najbardziej. To, że zależało mu na tyle, żeby tu przyjechać, i że zależy mu na tyle, żeby prawie się przede mną rozkleić, nie jest bez znaczenia, ale koniec końców wiem, że nie znaczy też nic więcej.

Odsuwamy się i szturcha mnie w ten sposób, w jaki szturchają się Bracia.

Nie chcę, żebyś się przekręcił, ty głupi Palancie.

Szturcham go.

Zrozumiałem. I niech tak zostanie.

Przytakuje i zna mnie na tyle, żeby wiedzieć, że to wszystko, co uda mu się ze mnie wyciągnąć. Obejmuję Julie i Kirka i dziękuję im za prezenty i za odwiedziny, a oni mówią mi, że za tydzień znowu przyjadą, i mówią mi, że mam zadzwonić, gdybym czegoś potrzebował, i dziękuję im jeszcze raz. Idą do samochodu. Wracam do środka. Idę jaskrawymi nieprzyjemnymi Korytarzami. Wracam na Oddział.

Wchodzę, a wszyscy mężczyźni zebrali się na

Dolnym Poziomie. Leonard stoi na kanapie i Łysol stoi obok niego na podłodze, wymachując rękami, i próbują uciszyć mężczyzn. Leonard dostrzega mnie i uśmiecha się i spogląda na zegarek i pokazuje na mnie. Myślałem, że dałeś dyla. Zostały ci cztery godziny.

Śmieję się.

Chodź tu, Młody. Przyłącz się do zabawy.

Idę na dół i znajduję miejsce przy ścianie i z dala od większości mężczyzn, a Leonard i Łysol ich uciszają. Łysol przestaje wymachiwać rękami, a Leonard bierze głęboki oddech i patrzy na mężczyzn.

Ludziska, miałem dziś dobry dzień.

Kilka chichotów.

Oglądałem zajebisty futbol, wygrałem większość swoich zakładów i kupę waszych pieniędzy i odniosłem zwycięstwo w pewnej osobistej sprawie, w której spodziewałem się porażki.

Jeszcze kilka chichotów, kilka gwizdów. Leonard śmieje się.

Rozumiem gwizdy, ale mam zamiar zamienić waszą klęskę i nędzę w radość. Chciałbym się podzielić swoim bogactwem i uczcić swoje zwycięstwa, więc po ustaleniach z odpowiednimi Władzami zadzwoniłem do Cajun Sam's w Minneapolis i zamówiłem ucztę na wynos. Dziś jemy w domu.

Mężczyźni wiwatują.

Jedzenie przyjedzie koło szóstej. Jeżeli nie macie ochoty na turduckena, jambalayę i po'boye, to miłej zabawy w cholernej Stołówce.

Mężczyźni wiwatują jeszcze raz.

Przed balangą mam zamiar się zdrzemnąć. Do zobaczenia o szóstej. Leonard schodzi, a mężczyźni zaczynają mu dziękować i zadawać mu pytania, a on idzie do swojego Pokoju i idą za nim. Idę do Budki Telefonicznej i siadam na zimnym stalowym krzeselku i zamykam drzwi i wyciągam z kieszeni listę, którą dostałem od Julie i Kirka, i czytam ją. Jestem zaskoczony, że taka lista w ogóle istnieje, że ludzie dzwonili do nich, żeby dowiedzieć się, co się ze mną dzieje. Jestem zaskoczony nazwiskami na liście.

Podnoszę słuchawkę i zaczynam dzwonić na koszt rozmówcy. Adrienne nie ma w domu, Ebena nie ma w domu, Jody nie ma w domu, ktoś w Domu Matta nie przyjmuje połączenia. Rozmawiam z Kevinem i rozmawiam z Andym. Obydwaj mówią, że byli ze mną w noc wypadku, obydwaj mówią, że byłem kompletnie rozjebany. Kevin mówi, że nie pamięta za dużo, bo urwał mu się film, ale pamięta, że był ze mną. Mówi, że chce przyjechać mnie odwiedzić, a ja mówię, że byłoby mi miło, gdyby to zrobił, i dziękuję mu. Andy mówi, że znalazł mnie nieprzytomnego i zakrwawionego i zaniósł mnie do samochodu i zawiózł mnie do Szpitala. Ubłagał

Lekarza, żeby nie dzwonił na Policję, i ubłagał Lekarza, żeby wsadził mnie do Samolotu. Zadzwoił do moich Rodziców i zawiózł mnie na Lotnisko i wsadził mnie do Samolotu. Dziękuję mu i mówię, że jeżeli jakimś cudem z tego wyjdę, to on będzie za to częściowo odpowiedzialny. Mówi, że to żaden kłopot, i mówi, że gdyby trzeba było zrobić to jeszcze raz, to on zrobiłby to jeszcze raz, ale ma nadzieję, że nie będzie trzeba. Pytam go, czy wie, na czym byłem albo co robiłem w Ohio, a on mówi mi, że znalazł u mnie w kieszeni fiłę do cracku i zauważył zakrwawioną tubkę kleju tuż obok miejsca, gdzie mnie znalazł, ale oprócz tego nic nie wie. Słyszał, że pojawiłem się o dziesiątej rano i że byłem pijany i bełkotałem i zniknąłem na cały dzień. Pierwszy raz zobaczył mnie, kiedy znalazł mnie na ziemi. Dziękuję mu jeszcze raz. Zegnamy się. Rozłączamy.

Dzwonię do Rodziców. Matka podnosi słuchawkę i przyjmuje połączenie.

James.

Jest rozgorączkowana.

Cześć, Mamo.

Zaraz zawołam Ojca.

Odsuwa słuchawkę, woła mojego Ojca. Podnosi słuchawkę.

Jak się masz, James?

Dobrze, Tato.

Wszystko w porządku?

W porządku.

Matka mówi.

Wracasz do zdrowia?

Nie wiem.

Czujesz się lepiej?

Nie wiem.

Czy coś do ciebie dociera?

Nie wiem.

Wypuszcza powietrze, wypuszcza frustrację.

Ojciec mówi.

James.

Tak.

Mama i ja rozmawialiśmy z kilkoma waszymi Opiekunami i chcemy przyjechać w odwiedziny.

Nie.

Dlaczego?

Bo nie chcę was tutaj.

Dlaczego?

Bo nie.

Matka mówi.

Jest coś takiego jak Program Rodzinny, w ramach którego przez trzy dni poznawalibyśmy twoją chorobę i uczylibyśmy się, jak pomóc ci sobie z nią radzić. Chcielibyśmy po to przyjechać.

Moją chorobę?

James, Alkoholizm i Narkomania to choroby.

Kto wam to powiedział?

Tak piszą we wszystkich książkach.

Jasne. Książkach.

Kłopotliwa pauza. Ojciec mówi.

Naprawdę chcielibyśmy uczestniczyć w tym Programie, James. Uważamy, że mogłoby się to nam wszystkim przydać.

Nie chcę was tutaj i jeżeli przyjdziecie, to będę nieźle wkurwiony. Matka mówi.

Mógłbyś nie przeklinać?

Spróbuję.

Kolejna kłopotliwa pauza. Mówię.

Wracajcie do Tokio. Zadzwonię do was w przyszłym tygodniu i powiem, jak leci.

Ojciec mówi.

Bardzo się o ciebie martwimy, James.

Słyszę, jak Matka zaczyna płakać.

Wiem.

Naprawdę chcielibyśmy tam przyjechać.

Płacz.

Róbcie, co chcecie, ale nie spodziewajcie się, że będę brał w tym udział razem z wami.

Potrzebujesz czegoś?

Płacz.

Muszę już iść.

Kochamy cię, James.

Wiem.

Matka mówi.

Kocham cię, James.

Głos jej się łamie.
Wiem, Mamo.
Ojciec mówi.
Zadzwoń, jeżeli możemy ci jakoś pomóc.
Tato, muszę już iść.
Proszę, zastanów się nad Programem
Rodzinnym.

Do widzenia, Tato.
Do widzenia, James.
Matka szlocha.
Do widzenia, James.
Do widzenia, Mamo.
Matka szlocha.
Kochamy cię.
Muszę już iść.

Odkładam słuchawkę i biorę głęboki oddech i patrzę w podłogę. Matka i Ojciec są w Domu w Michigan, którego nigdy nie widziałem, i Matka płacze, a Ojciec próbuje ją pocieszyć i mają złamane serca i chcą przyjechać mnie odwiedzić i chcą spróbować mi pomóc, a ja nie chcę ich tutaj i nie chcę ich pomocy. Matka płacze, bo jej Syn jest Alkoholikiem i Narkomanem i Przestępcą. Ojciec próbuje ją pocieszyć. Złamałem im serca. Patrzę w podłogę.

Wracam do Pokoju i siadam na łóżku. John jest w swojej części i kiedy mnie zauważy, podnosi się i przechodzi do mojej części. Przepraszam, że dałem

twojej przyjaciółce wizytówkę.

Nie mam ci tego za złe.

Jeżeli masz, to rozumiem.

Rozśmieszyłeś nas tym.

Wymyśliłem sposób, żeby ci to wynagrodzić.

Nie gniewam się.

Pozwól mi to wynagrodzić.

Tu nie ma co wynagradzać.

Proszę.

Siada na brzegu łóżka, wpatruje się we mnie z przejęciem.

Ile masz lat?

Dwadzieścia trzy.

Jesteś taki młody.

Chichoczę.

Co proponujesz, John?

Bierze głęboki oddech.

To zadośćuczynienie za wszystkie moje winy.

Dobra.

I jeżeli to nie wystarczy, możemy rozważyć coś innego.

Co to za propozycja, John?

Sięga do kieszeni, wyciąga zdjęcie, podaje mi.

Jest na nim piękna młoda Dziewczyna w bikini.

Co to jest?

Moja Córka.

Jest piękna, ale nie chcę zdjęcia twojej Córki.

Nie o to chodzi.

A o co?
Chcę ci ją dać. Możesz z nią robić, co tylko zechcesz.
Cholera, John.
Oddaję mu zdjęcie.
Nie podoba ci się?
Nie możesz mi kurwa dać swojej Córki.
Moja Rodzina ją utrzymuje i opłaca wszystkie jej rachunki i rachunki jej Matki.
No i co z tego?
Musi zrobić to, co jej każe.
Do widzenia, John.
Zrobi, co tylko jej każe.
Więc każ jej iść do Szkoły, trzymać się z dala od narkotyków i omijać cię kurewsko wielkim lukiem.
To dobra rada.
Do widzenia, John.
Przepraszam.
Nie przepraszaj, John. Po prostu odejdz.
Wstaje.
Dobrze.
Przechodzi do swojej części pokoju i wchodzi do łóżka i zakopuje się pod kołdrę i słyszę, jak przeklina samego siebie. To biedny chory żaloszny Skurwiel, ale kiedyś był niewinnym młodym Chłopcem.
Chłopcem z przyszłością, Chłopcem z całym życiem przed sobą.
Jego Tata był bogaty i wpływowy i pewnego

dnia, pewnego potwornego pojebanego dnia jego Tata postanowił go molestować. Potrafię sobie wyobrazić małego Johna samego w swoim Pokoju z armią żołnierzyków albo stosem klocków lego albo stertą kart z baseballistami i potrafię sobie wyobrazić jego Tatę wchodzącego i zamykającego za sobą drzwi i mówiącego Johnowi, że chciałby spędzić z nim chwilę sam na sam. Potrafię sobie wyobrazić, jak po wszystkim John wchodzi do łóżka i zakopuje się pod kołdrę i przeklina samego siebie.

Siedzę i słucham płaczącego Johna i żałuję, że nie ma czegoś, co mógłbym zrobić, żeby mu pomóc. Siedzę i słucham Johna i żałuję, że nie istnieje sposób, żeby go wyleczyć. Dla Johna nie ma nadziei, żadnej nadziei. Mógłby iść do pięciuset Klinik i spędzić dziesięć lat, przerabiając Dwanaście Kroków, i to by nie miało żadnego kurwa znaczenia. Połamano go za bardzo, żeby go teraz złożyć, zraniono za bardzo, żeby go teraz wyleczyć, wykorzystano za bardzo, żeby go teraz odzyskać. Nigdy nie zazna szczęścia ani radości, bezpieczeństwa ani normalności. Nigdy nie zazna przyjemności, satysfakcji, błogości, klarowności umysłu, spokoju czy jakiegokolwiek namiastki zdrowia psychicznego. Nigdy nie zazna zaufania ani miłości. Ty biedny chory żałosny Skurwielu. Nigdy tego nie poznasz. Przepraszam.

Słyszę głosy i zamieszanie za drzwiami do

Pokoju i wiem, że czas na kolację. Przechodzę do części Johna i siadam na krześle koło jego łóżka. Nadal jest pod kołdrą, nadal mamrocze i przeklina, nadal rzuca się i okłada pięściami.

John?

Przerywa, leży nieruchomo.

John?

Nieruchomo.

John?

Czego chcesz?

Czas na kolację.

Nie chcę jeść kolacji.

Co będziesz robił?

Zostaję.

To głupie.

Odejdź.

W^łaż stamtąd i chodź na kolację.

Odejdź.

Nie wyjdę, dopóki ty nie wyjdiesz.

Odejdź.

Nie.

Odrzuca z siebie kołdrę i patrzy na mnie swoim spojrzeniem twardziela. Śmieję się z niego.

Co cię tak śmieszy?

W twoim spojrzeniu Twardziela jest za mało twardziela.

Więcej niż ci się wydaje.

No, pewnie tak, tylko na to nie wyglądasz.

Wykrzywia twarz w dziwny grymas i warczy.
Śmieję się z niego jeszcze raz.

Nie jest lepiej.

Nie?

Nie.

Rozluźnia się, wygląda normalnie.

Chcę zostać sam.

John, samotność nie przyniesie ci nic dobrego.

Chcę zostać sam.

Lepiej być wśród ludzi. Wtedy mniej boli.

Skąd wiesz?

Wiem.

Nie wiesz.

Zaufaj mi, wiem.

John patrzy na mnie, patrzy na kołdrę.

No chodź, idziemy.

Spogląda na mnie.

Bardzo boli, James.

Wiem.

Chciałbym, żeby przestało.

Znam to uczucie.

I co robisz?

Radzę sobie z nim i mam nadzieję, że pewnego dnia nie będę musiał.

Opuszcza wzrok.

No.

Spogląda na mnie i zwinnym ruchem wyskakuje z łóżka i wstaje i wstaje i wychodzimy z Pokoju.

Idziemy na Oddział i stajemy na końcu kolejki. Przywieźli jedzenie i ustawili na stole na Górnym Poziomie. Kolejka ciągnie się od stołu po schodach prowadzących na Dolny Poziom. Kiedy kolejka posuwa się do przodu i kiedy zbliżam się do jedzenia, zapach podsycza mój głód. Chcę jeść i chcę jeść natychmiast i chcę jeść, aż pęknę. Chcę chcę chcę chcę. Paliwo.

I to kurwa już.

Kiedy wchodzę po schodach, zaczynam tracić panowanie nad głodem i potrzebami. Ręce zaczynają mi się trząść, tętno mi skacze, jestem zdenerwowany, pełen niepokoju i zirytowany. Wpatruję się w jedzenie. Nie widzę ani nie słyszę, ani nie czuję nic więcej. Każda sekunda trwa godzinę, każdy krok to maraton. Chcę, chcę, chcę, chcę. Paliwo. I to kurwa już. Gdyby ktoś próbował zabrać mi jedzenie, zabiłbym, gdyby ktoś próbował przeszkodzić mi w dotarciu do niego, zabiłbym. Potrzeba potrzeba potrzeba potrzeba. Docieram do stołu, biorę talerz, wciskam sobie do kieszeni plastikowy nóż i plastikowy widelec i papierową serwetkę. Jedzenie jest na tacach i w półmiskach i mężczyzna z Restauracji nakłada, a Leonard stoi obok niego i pilnuje. Pyta, co chcę, a ja mówię wszystko. Pyta, który kawałek turduckena chciałbym, i mówię mu, że nie wiem, co to jest turducken, i nie obchodzi mnie, co to jest, po prostu chcę tego dużo. Leonard śmieje

się ze mnie, kiedy proszę o jeszcze i jeszcze i jeszcze. Gównu mnie w tej chwili obchodzi.

Chcę potrzebuję paliwa natychmiast.

Siadam na kanapie obok Johna i wyciągam widelec z kieszeni i próbuję go użyć, ale moja dłoń za bardzo się trzęsie, więc zaczynam wpychać sobie jedzenie do ust palcami. Nie patrzę na jedzenie, nie smakuje go, przeżuwam na tyle, żeby móc przełknąć. Nieważne, jakie jest ani jak smakuje. Chodzi o to, żeby się zapchać. To wszystko, czego pragnę od tego posiłku. Zeby mnie zapchał.

Kończę porcję i biorę następną. Kończę tę porcję i biorę następną. Kończę tę porcję i biorę następną. Kończę tę porcję. Jestem więcej niż pełen, więcej niż napchany. Wydostałem się poza potrzebę, przeholowałem i jest mi dobrze. Serce i dłonie mi zwalniają, zmysły i zdolność myślenia wracają, nerwy i złość odchodzą. Poza potrzebę i przeholować. Miło tak dobrze się czuć. Miło być w Domu.

Biorę głęboki oddech. Czuję, jak żołądek mi się rozciąga. Wiem, że nie rozciągnie się wystarczająco. To jeszcze nie nadeszło, ale nadejdzie. Nadejdzie szybko i mocno.

Wstaję, a John mnie pyta, dokąd idę, i mówię, że zaraz wrócę, i zaczynam iść do Pokoju. Wchodzę po schodach przez Górny Poziom krótkim Korytarzem. Kiedy otwieram drzwi, nadchodzi. Mocno i szybko.

Jestem parę kroków od toalety.

Nadchodzi i mam zamknięte usta i oddycham przez nos. Nie czułem smaku, kiedy schodziło w dół, ale czuję teraz. Ryż i fasola i kawałki ryby i mięsa. Pikantne przyprawy i kawałki chleba. Oddycham przez nos i pędzę do toalety. Próbuję połknąć to, co mam w ustach, ale nadciąga więcej i wypycha to do przodu. Zaczynam się krztusić. Wpadam przez drzwi do Łazienki i zginam się wpół i podnoszę klapę sedesu i wybucham. Mocno i szybko. Miarowy strumień. Jeszcze i jeszcze i jeszcze. Piecze mi twarz i wargi i wnętrze ust. Serce wysyła sygnały przez żebra, lewe ramię i szczękę. Gardło mi się zaciska, żołądek mi się zaciska. Jeszcze i jeszcze i jeszcze. Jeszcze i jeszcze i jeszcze.

Strumień się kończy, a ja oddycham głęboko i sięgam i spuszczam wodę i podnoszę się i podchodzę do umywalki i myję sobie twarz i wypłukuję resztki spomiędzy dziąseł i zębów i z gardła i nosa i wypijam obfity łyk zimnej wody i połykam ją i to chłodzi pieczenie. Zabrudziłem koszulę, więc ją zdejmuję i idę do swojej części Pokoju i kiedy wkładam jeden z moich ładnych nowych T-shirtów, John otwiera drzwi i wkłada głowę do środka.

Tames?

No.

Telefon do ciebie.

Kto to?

Nie wiem, nie ja odebrałem.
Zaraz idę.
Kończę wkładać T-shirt i idę do Budki
Telefonicznej. Otwieram drzwi i siadam i podnoszę
słuchawkę.
Słucham?
Kobięcy głos.
Cześć.
Znam ten głos, ale nie potrafię go skojarzyć.
Kto mówi?
Nie wiesz?
Nie.
Jest mi przykro.
Niepotrzebnie.
Dobrze ci minął dzień?
Kto mówi?
Moja Babcia powiedziała, że jesteś przystojny.
Kojarzę głos. Uśmiecham się.
Miło z jej strony.
Powiedziała, że masz ładne oczy.
Nie wiedziałem.
Jak to?
Długa historia.
Jak długa?
Na dwadzieścia trzy strony.
Dość długa.
No.
Pauza. Ciągłe się uśmiecham.

No... to tylko zadzwoniłam, żeby powiedzieć ci, co powiedziała moja Babcia.

Miło mi.

Zobaczymy się jutro?

Chyba tak.

Dlaczego chyba?

Długa historia.

Śmieje się.

Mam nadzieję, że zobaczę cię jutro.

Byłoby miło.

Cześć.

Dzięki za telefon.

Nie ma sprawy.

Odkładam słuchawkę i wpatruję się w nią i ciągle się uśmiecham. Wstaję i otwieram drzwi i wychodzę i ciągle się uśmiecham i idę do Pokoju, a John pyta, czy chcę zagrać partyjkę, a ja mówię, że nie spałem od wczoraj i jestem zmęczony, ale zagram innym razem, a on mówi dobrze. Wracam do pokoju i ciągle się uśmiecham i kładę się do łóżka i biorę książki, które dostałem od Brata. *Wojna i pokój*, *Don Kichot*, książka o Chińskiej Religii zatytułowana *Wielka księga Tao*. Otwieram *Wojnę i pokój*. Ciągle się uśmiecham. Czytałem już *Wojnę i pokój*, ale jest warta ponownej lektury. Ciągle się uśmiecham. Zaczynam czytać. Nie jestem w stanie przeczytać pierwszego zdania. Ciągle się uśmiecham. Nie spałem od czterdziestu godzin. Ciągle się uśmiecham.

Zostało mi piętnaście minut. Ciągłe się uśmiecham.

Ręka mi opada.

Nieruchomo.

Oczy się zamykają.

Uśmiecham.

Budzę się i idę do Łazienki i biorę prysznic i myję włosy i myję zęby i golę się. Szykuję się na mdłości, ale nie nadchodzą. Przed wyjściem z Łazienki zatrzymuję się i patrzę na sedes. Sedes był moim przyjacielem i moim wrogiem każdego ranka, od kiedy tylko pamiętam. Był moim powiernikiem, wsparciem, tylko on oprócz mnie samego poznał prawdziwy wymiar mojej choroby. Mam dość sedesu. Niech się idzie jebać. Pokazuję mu środkowy palec i wyśmiewam go. Wchodzę z Łazienki.

Wkładam ładne nowe czyste ubranie. Wkładam klapki. Sprawdzam Tablicę Prac. Moją nową pracą jest kawa. Napełniam duży stalowy czajnik i włączam go i upewniam się, że działa. Kiedy kawa jest gotowa, napełniam kubek. Wypijam łyk i smakuje mi. Kawa jest znacznie łatwiejsza i przyjemniejsza niż Toalety Publiczne.

Idę do Stołówki. Dostaję talerz płatków i szklankę soku pomarańczowego i szukam miejsca, gdzie mógłbym zjeść. Zauważam Leonarda siedzącego z Edem i Tedem. Podchodzę do ich stolika i siadam. Leonard spogląda na mnie i mówi.

Nie byłem pewien, czy tu dzisiaj będziesz.

Zeszłej nocy byłem zbyt zmęczony, żeby gdzieś iść.

Ed mówi.

Gdzie się wybierałeś?

Gdzieś się nawalić.

Czym?

Crackiem i wódą.

Ted mówi.

Testeś Palaczem?

No.

Ja też.

Ed mówi.

To gównno jest pojebane.

Ted spogląda na Eda.

Sam jesteś pojebany, ty wielki dumy Skurwysynu z Huty.

Może jestem wielki i durny...

Leonard mówi.

I do tego brzydki.

Ed spogląda na Leonarda i pokazuje mu palec.

Może jestem wielki i dumy i może jestem twardym Skurwysynem z Huty.

Ted śmieje się. Ed mówi dalej.

Ale nie jestem na tyle dumy, żeby palić to narkomańskie ścierwo z Getta.

Ted mówi.

Pewnie, jesteś na tyle cwany, żeby siedzieć w pierdolonej Hucie, popijać wódę i obracać kadzie z

płynnym metalem.

Nigdy nie miałem wypadku.

A co z włosami?

To nie był wypadek, tylko bójka. I cios poniżej pasa.

Ed jak zawsze ma na głowie bandanę. Mówię.

Co ci się stało z włosami?

Nic.

Leonard mówi.

Przecież nie nosi tej kretyńskiej bandany, bo mu w niej do twarzy. Co się stało?

Nic.

Ted mówi.

Ty mu powiesz albo ja mu powiem.

Masz nic nie mówić.

Powiem, jeżeli ty nie powiesz.

Ed patrzy na mnie, mówi.

Obracałem taką jedną mężatkę. Pewnej nocy siedzimy w knajpie, a tu wchodzi jej mąż. Wychodzimy na ulicę i kiedy wychodzę, on mnie jebut przez łeb butelką. Lecę na glebę, a on mi z kopa w jaja. Teraz dopiero lecę na glebę. Nachyla się i łapie mnie za włosy, o tu. Wkonuje ruch łapania tuż nad czołem.

I kiedy łapie to gównno, to wie, że dziewięć miesięcy wcześniej miałem założone wszczepy, i kurwa ciągnie i ciągnie, aż wyrywa te Skurwysyny w pizdu. I teraz cały łeb mam rozjebany i w bliznach i

takie tam.

Krzywię się.

Kurwa.

Ted mówi.

Zapytaj go, jak się Kutasowi odwdzięczył.

Ed mówi.

Zamknij kurwa japę, Ted.

Opowiedz mu, jak żeś się zemścił.

Zaraz ci skopię dupę.

Ted spogląda na mnie.

Gówno zrobił. Pozwolił jakiemuś Matkojebcy wyrwać sobie jebane implanty z czubka pierdolonego łba i gówno mu za to zrobił. Ja to bym odstrzelił takiemu Skurwielowi chuja i zaserwował jego Mamuśce w kanapce.

Śniadanie mija w mgnieniu oka. Siedzę i słucham, jak Ed i Ted się kłócą i opowiadają historie, i śmieję się, kiedy Leonard ich podpuszcza.

Ed jest Alkoholikiem i twardzielem i jest na Odwyku czwarty raz. Związki Zawodowe, które wywalczyły sowite świadczenia lekarskie, sfinansowały każdy jego pobyt. Wysłali go tutaj, bo to ostatni raz, kiedy zapłacą za jego Odwyk, i chcą mu zapewnić najlepsze warunki, żeby się wyleczył. Jest wdzięczny i mówi jeżeli tu nie uda im się złożyć mnie do kupy, to chyba mam przejebane. Ed nie ma żony, ale ma czwórkę dzieci, samych chłopaków. Twierdzi, że każdy z nich to kawał twardego

Skurwiela jak on sam. Mówi, że są wielką miłością jego życia.

Ted to Diler i Złodziej Samochodów, który został niedawno aresztowany za uwiedzenie nieletniej – Córki Szeryfa w Luizjanie. Miał już dwa wyroki za Ciężkie Przesłęstwa i trzeci oznacza Dożywocie Bez Możliwości Zwolnienia Warunkowego zgodnie z Ustawą o Recydywie. Nie stawił się na rozprawę po zwolnieniu za kaucją i przyjechał tu spróbować doprowadzić się do porządku, żeby zapunktować u Władz, jako że Władze z reguły patrzą łaskawszym okiem na delikwentów, którzy poszli na Leczenie. Zapłacił za to z pieniędzy, które zarobił, sprzedając crack. Nie ma Zony i nie ma Dzieci, ale ma, jak twierdzi, cały harem Suk ze świetnymi tyłkami.

Ed i Ted to dobrzy ludzie, którym zdarzyło się być złymi ludźmi, i lubię ich i jestem w stanie ich zrozumieć. Mimo że pochodzimy z różnych części kraju, każdy z nas jest w innym wieku i mamy zupełnie inne problemy, jesteśmy, pod wieloma względami tacy sami. Alkoholicy. Narkomani. Przesłępcy.

Kończę śniadanie i idę na Wykład i siadam i słucham, jak Pielęgniarka opowiada o tym, jak narkotyki i alkohol wpływają na wątrobę, i raczej to do mnie nie dociera i kiedy nie mogę już dłużej słuchać, przyglądam się, jak Leonard rzuca monetami

w łysy placek Łysola. Co trzeci rzut trafia w dziesiątkę.

Wykład dobiega końca i wstaję, a kiedy wychodzę z Auli, zauważam stojącą koło drzwi Joannę. Daje mi znak, żebym podszedł i podchodzę.

Cześć, James. Pamiętasz mnie?

No.

Jak mam na imię?

Joannę.

Uśmiecha się.

Pójdiesz ze mną na chwilę do Gabinetu?

Jasne.

Idziemy przez labirynt Korytarzy i zatrzymujemy się przed drzwiami. Na drzwiach jest tabliczka z napisem Joannę P, 312. Joannę otwiera drzwi i wchodzimy do środka.

Na ścianach są: zdjęcia baseballistów, wycinki z gazet o Chicago Cubs, zdjęcia Joannę jeżdżącej na koniach i stojącej na wierzchołkach gór, dyplom Harvardu, dyplom Northwestern i dwie duże wypchane ryby. Biurko jest zavalone papierami, półki uginają się pod książkami.

Pod jedną ścianą stoją dwa duże fotele sprawiające wrażenie wygodnych, pod inną zużyta kanapa. W kącie leży pluszowa kaczka. Siadaj na kanapie albo fotelu. Jak ci wygodnie.

Siadam na fotelu. Obchodzi biurko i siada i popycha w moją stronę popielniczkę.

Można tu palić?

Ja zamierzam. Kawy?

Pewnie.

Jaką pijesz?

Czarną.

Odwraca się i sięga po dzbanek i nalewa dwa kubki kawy. Zapalam papierosa. Odwraca się i podaje mi jeden kubek.

Dziękuję.

Ostrożnie, jest mocna.

Lubię mocną.

Śmieje się, zapala papierosa.

Wesz, dlaczego tu jesteś?

Chcesz ze mną o czymś porozmawiać.

Mamy wyniki testu psychologicznego, który przeszedłeś w zeszłym tygodniu. Chciałabym je z tobą omówić.

Dobra.

Masz jakieś pytania, zanim zaczniemy?

Nie.

Sięga po teczkę, otwiera ją.

Ten test nazywa się MMPI-2, co oznacza wielofazowy opis osobowości, Minnesota wersja druga. To bazująca na danych empirycznych ocena Psychopatologii Dorosłych używana przez Lekarzy jako pomoc przy diagnozowaniu zaburzeń psychicznych i doborze właściwych metod leczenia. Test może również pomóc Lekarzom lub

właściwemu Personelowi Badawczemu w sporządzeniu ogólnego profilu psychologicznego osobnika. Zaciąga się papierosem.

Nadażasz?

Tak.

Wypuszcza dym.

Używa się go w Szkołach, Firmach, Klinikach, Szpitalach, Sądach, Więzieniach, w Wojsku, i w tak poważanych organizacjach jak NSA, FBI i CIA. To znormalizowany test powszechnego użytku, który jest uznawany za najlepsze dostępne obecnie narzędzie diagnostyczne. Zaciąga się jeszcze raz.

Jakieś pytania?

Dlaczego Minnesota?

Wpuszcza dym.

Został napisany i zaprojektowany przez kilku Profesorów z University of Minnesota. Został też opublikowany przez University of Minnesota Press.

I czego się dowiedziałas?

Jesteś w depresji. Masz bardzo niskie poczucie wartości. Masz tendencję do konfrontacji i agresji, czasami reagujesz na 1 konfrontację przemocą. Preferujesz schematy zachowań dające skutek przeciwny do zamierzonego, masz małą tolerancję na frustrację, absorbujesz stres i radzisz sobie z nim poprzez procesy autodestrukcyjne. Jesteś nieodpowiedzialny, łatwo żywisz urazę, masz skłonności do manipulacji, jest w tobie wrogość i

masz psychologiczne predyspozycje do nałogów.

Śmieję się.

To nie jest śmieszne, James.

Mów dalej.

To nie jest żart.

Śmiech pomaga. Teraz mów dalej.

Zagląda do teczki.

Jesteś również bardzo, bardzo rozgniewany.

Niesamowicie rozgniewany.

Patrzy na mnie.

Jesteś również bardzo inteligentny.

Wypijam łyk kawy.

To by się zgadzało.

Tak?

Oprócz tego kawałka o inteligencji.

Dlaczego tak myślisz?

Gdybym był tak bardzo inteligentny, pewnie nie byłbym taki rozjebany.

Nałogowcy, jako grupa, zazwyczaj osiągają ponadprzeciętne wyniki w testach na inteligencję.

Dlaczego?

Ty mi powiedz.

Może dlatego, że jesteśmy wystarczająco bystrzy, żeby zorientować się, jaki gówniany jest świat, i dochodzimy do wniosku, że nałóg jest jedyną formą radzenia sobie z tym faktem.

Przyznajesz, że jesteś Nałogowcem.

Śmieję się jeszcze raz.

Tak:

Nie byłam pewna, czy to zrobisz.

Przyznaję się.

Dobrze, to pierwszy krok ku poprawie.

Jeżeli pierwszy z Dwunastu, to również jedyny, jaki zrobię.

Zaczynasz się złościć.

Tak.

Dlaczego?

W tej chwili zaczynam się złościć, bo myślę, że jakakolwiek poprawa jest niemożliwa.

Czy to wszystko, co cię złości?

Nie.

Co jeszcze?

Tak z grubsza to kurwa wszystko.

Śmieje się.

Wszystko?

Uśmiecham się.

Brzmi głupio, ale to prawda. Jestem wściekły na praktycznie wszystko.

Od kiedy tak się czujesz?

Od zawsze.

Jako Dziecko?

Moje pierwsze wspomnienia to złość i ból.

Niedobrze.

Tak właśnie jest.

Myślę, że jeżeli uda nam się zlokalizować źródło tego gniewu, to nas znacząco przybliży do

rozwiązania wielu twoich problemów. Jedynym sposobem na dotarcie do twojego gniewu jest zapanowanie nad nałogami, a jestem święcie przekonana, że jedynym sposobem na zapanowanie nad nałogami jest przejście Dwunastu Kroków.

Nie ma mowy.

Bierze głęboki oddech, opada na oparcie fotela. Zapalam kolejnego papierosa.

Wiesz, jaka jest skuteczność tego Ośrodka?

Nie.

Okolo siedemnastu procent. Pacjentów, którzy po wyjściu stąd nie brali i nie pili przynajmniej przez rok.

Kiepsciutko.

To najwyższa skuteczność ze wszystkich Ośrodków Odwykowych na Swiecie.

To jeszcze gorzej.

Pracowałam w sześciu, sama jestem Alkoholiką i Narkomanką, i jedyna skuteczna metoda, z jaką się spotkałam, to Dwanaście Kroków.

Nie wyglądasz na Alkoholikę i Narkomankę.

Każdy, kto tu pracuje, jest, nawet Sprzątaczką i Pomoc Kuchenna. Dzięki temu, jeżeli potrzebujesz pomocy, gdzie tylko się obejrzysz, znajdziesz kogoś, kto może ci pomóc.

To pocieszające.

Ma takie być.

Jak długo już nie bierzesz?

Szesnaście lat.

Długo.

Ty też tak możesz, musisz tylko robić to, co ci każemy, i zaufać nam, nawet jeżeli wydaje ci się to niedorzeczne.

Jeżeli to ma coś wspólnego z liczbą Dwanaście, nie ma mowy.

To jedyny sposób, James. Jedyny sposób.

Będę z tobą szczerzy w pewnej sprawie.

Docenię to.

Dwie noce temu wyszedłem stąd.

Dokąd się wybierałeś?

Miałem zamiar znaleźć jakieś gówno i się zabić.

Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Znasz Leonarda?

Słyszałam o nim.

Leonard mnie powstrzymał.

Tym mnie zaskoczyłeś.

Dlaczego?

To odrębna kwestia.

Co?

Porozmawiamy o tym innym razem.

Może nie być innego razu.

Mówisz serio?

Tak.

Naprawdę chcesz umrzeć?

Wiem, że nie mogę dalej żyć tak, jak żyłem, i wiem, że nigdy nie uwierzę w Dwanaście Kroków.

Tacy jak ty mówią, że to jedyny sposób, więc myślę sobie, że mógłbym równie dobrze od razu skrócić swoje cierpienia i zaoszczędzić sobie i Rodzinie bólu w przyszłości.

Naprawdę chcesz umrzeć?

Kurewsko siebie nienawidzę. Mam tego dość.

Dlaczego tu ciągle jesteś?

Obiecałem Leonardowi, że zostanę na dwadzieścia cztery godziny. Potem mój Brat i starzy przyjaciele przyjechali w odwiedziny. W końcu miałem świetny dzień, najlepszy dzień, jaki pamiętam od długiego czasu, i po upływie dwudziestu czterech godzin byłem zbyt zmęczony i zbyt szczęśliwy, żeby myśleć o samobójstwie.

Takich dni może być więcej.

Nie, jeśli nie mogę nie brać.

Nie musisz brać.

Nie, jeżeli wasz sposób jest jedynym sposobem.

Jest, i możesz to zrobić.

Kręcę głową.

Nie.

Zagłębia się w fotel i zapala kolejnego papierosa i patrzy na mnie. Patrzę na nią. Mówi.

Musisz podjąć dwie decyzje, James. Po pierwsze czy chcesz żyć, a wierzę, że chcesz. Wierzę, że gdzieś w duchu zdajesz sobie sprawę, jakim potwornym marnotrawstwem byłoby samobójstwo. Wierzę, że to, co pokazujesz Światu, i to, co jest w

środku, to dwie różne rzeczy, i wiesz, że to, co w środku, jest warte uratowania. Po drugie musisz zdecydować, czy jesteś gotów zrobić to, co trzeba, żeby przestać brać, a my ci powiemy, co masz robić. Musisz zdecydować, czy przestaniesz być taki uparty i czy będziesz gotów otworzyć się na coś, o czym nie masz zielonego pojęcia. Nie spiesz się i zastanów. Obydwoje wiemy, że jesteś bardzo inteligentnym młodym mężczyzną. Jeżeli masz jakieś pytania, przyjdź do mnie. Jeżeli zdecydujesz, że twoja odpowiedź brzmi tak, przyjdź do mnie. Jeżeli odpowiedź brzmi nie, to bardzo mi przykro i powodzenia.

Patrzy na mnie, ja na nią.

Mam pytanie.

Tak?

Dlaczego nie wywaliliście mnie stąd po tym, jak zaatakowałem Roya? Zaciąga się.

Lincoln i Ken chcieli cię wyrzucić. Nie znałam cię, ale jestem dobrą przyjaciółką Hanka. Kiedy Hank usłyszał, co się stało, przyszedł do mnie i powiedział mi, że osoba, która zaatakowała Roya, nie jest tą osobą, którą on zna. Powiedział, że osoba, którą zna, jest dobra i łagodna i spokojna i nieśmiała i jest najsilniejszą i najodważniejszą osobą, jaką w życiu spotkał. Ufam Hankowi i walczyłam, żeby cię tu zatrzymać, bo powiedział mi, że powinnam.

Lubię Hanka.

On lubi ciebie.

Jesteście przyjaciółmi?

Razem polujemy i łowimy ryby, gramy w karty.
Jest takim niby moim Chłopakiem.

Śmieję się.

Powiedz mu, że go pozdrawiam i że dobrze opiekuję się jego kurtką. Na pewno się ucieszy.

Skończyliśmy?

Mam nadzieję, że nie.

Wstaję.

Zobaczymy.

Wstaje, podaje mi wizytówkę.

Tu jest mój numer Domowy. Jeżeli mnie tu nie będzie, a będziesz mnie potrzebował, dzwoń.

A co, jeżeli będziesz w Domu Hanka?

On śpi u mnie.

Śmieję się.

Dzięki.

Idę do drzwi i wychodzę i zamykam drzwi za sobą. Idę jaskrawymi Korytarzami z powrotem na Oddział. Kiedy wchodzę na Górny Poziom, widzę, że większość mężczyzn zgromadziła się na Dolnym Poziomie. Siedzą na kanapach i krzesłach i Łysol siedzi na krześle przed nimi. Przemawia, a Lincoln stoi z boku i go obserwuje. Idę na dół i siadam na podłodze. Jestem na tyle blisko, że go słyszę, ale na tyle daleko, że jestem ciągle sam.

Moje najgorsze doświadczenie, a chciałbym się

nim z wami podzielić, sprawiło, że w końcu zdecydowałem się tu przyjechać. Spuszcza wzrok, bierze głęboki oddech.

Jestem z Toledo. Dwa lata temu w Halloween mała dziewczynka z sąsiedztwa została porwana i zabita przez mężczyznę w kostiumie Lwa. To naprawdę wszystkim wstrząsnęło, więc żeby zabezpieczyć się przed czymś takim na przyszłość, nasza Rada Wspólnoty przesunęła Halloween na pierwszego października, uważając, że będziemy w stanie lepiej panować nad sytuacją i zapobiec kolejnej tragedii. Moje dwie małe Dziewczynki, Laura, która ma sześć lat, i Jennifer, która ma dziewięć lat, uwielbiają Halloween. To naprawdę żywiołowe Dzieciaki i Halloween jest ich ulubionym Świętem i co roku obydwie przebierają się za Księżniczkę Leah, a ja przebieram się za Luke'a Skywalkera. Pakuję je na tył kombi i jeździmy od Domu do Domu i udajemy, że lecą Sokołem Millennium i że ja go pilotuję. Przerywa i spogląda na Lincolna. Lincoln przytakuje i podnosi pięść na znak siły. Łysol też przytakuje i znowu spogląda na nas.

Parę miesięcy temu umówiłem się z moją Zoną, która ma na imię Terry, że przestanę pić. Ustaliliśmy też, że kiedy poczuję naprawdę silną potrzebę, będę mógł się napić piwa bezalkoholowego. Ja, jak to ja, poszedłem i kupiłem dwadzieścia skrzynek,

schowałem dziewiętnaście i zostawiłem jedną w lodówce w Garażu. Mam kłopoty ze spaniem i nie mogę zasnąć bez picia, ale odkryłem, że jeżeli wypiję w nocy piętnaście bezalkoholowych, to wystarczy, żeby mnie uspić.

Bierze głęboki oddech.

Tak więc przez sześć tygodni noc w noc biegałem do Garażu w trakcie przerw na reklamy w telewizji i strzelałem sobie bezalkoholowe piwo, żeby móc zasnąć. Głupio to brzmi, ale człowiek robi to, co robi, i robi to, co musi zrobić, i to właśnie robiłem.

Kilku mężczyzn się śmieje. Lincoln gromi ich spojrzeniem. Przestają. Kłopot z moim planem polegał na tym, że pijąc co noc lipne piwko, nigdy nie przestałem tęsknić za prawdziwym piwem, a fałszywki sprawiały, że jeszcze bardziej chciałem się napić autentyku.

Przerywa, patrzy w podłogę. Kiedy mówi, głos mu się łamie.

Teraz zaczyna się robić ciężko.

Lincoln mówi.

Świetnie ci idzie. Tylko nie przerywaj.

Łysol spogląda na niego, przytakuje i znowu spogląda na nas.

No i moja Zona musiała pojechać do New Jersey na Bat Micwę swojej bratanicy Tiny. Normalnie pojechalibyśmy na coś takiego jako Rodzina, ale Bat

Miewa była rano po naszym Sąsiedzkim Halloween, więc postanowiliśmy z Terry, że ja zostanę w domu i spędzę Halloween z dziewczynkami, a Terry pojedzie na Bat Micwę Tiny.

Po policzku zaczyna mu lecieć łza.

Odwiozłem Terry na Lotnisko i obiecałem jej, że nie będę pił. Jak tylko znalazła się w Samolocie, poszedłem prosto do Barku w Poczekalni i zamówiłem wódkę z sokiem żurawinowym.

Przerywa, wyciera twarz.

Stamtąd poszedłem do Monopolowego i kupiłem trzy czwarte wódki i więcej soku żurawinowego i piłem całą drogę do Domu.

Wyciera twarz.

Potem zakradłem się do Garażu sąsiada, Iry, i ukradłem dwie butelki chardonnay i kolejną butelkę wódki i poszedłem do piwnicy i wypłem obie butelki chardonnay.

Łzy ciekną.

Potem przebrałem się za Luke'a Skywalker'a i zmieszałem wódkę z sokiem żurawinowym w wielkim kuflu Obi-Wana Kenobi i wyszedłem z Dziewczynkami. Wiedziały, że coś jest ze mną nie tak, ale próbowały się dobrze bawić.

Wyciera jeszcze raz twarz.

Nie wiem kiedy, ale w pewnej chwili straciłem przytomność w kombi, kiedy Dziewczynki stały przy czyichś drzwiach.

Szlocha.

Wróciły i próbowały pchać kombi z powrotem do Domu, ale to małe Dziewczynki, a ja byłem za ciężki.

Szlocha.

Poszły do Domu sąsiada, Lena, po pomoc i kiedy wróciły z Lenem i jego żoną Ginny, okazało się, że obsikałem swój kostium Luke'a Skywalker'a i cały samochód.

Szlocha.

Len próbował mnie obudzić i kiedy to zrobił, zaatakowałem go. Widzicie, Len miał dużą gęstą jasną brodę, a ja byłem tak pijany, że myślałem, że to on jest tym mężczyzną w kostiumie Lwa sprzed dwóch lat.

Szlocha.

O Boże.

Szlocha.

O Boże.

Przerywa, wyciera twarz, bierze głęboki oddech. Rozproszeni po Sali mężczyźni są oniemiałi. Podnosi wzrok.

Żebym się uspokoił, Len musiał mnie związać smyczą i moja Żona musiała wrócić do domu z New Jersey przed Bat Micwą Tiny. Zaczyna ryczeć.

Zhańbiłem siebie, Córki i Żonę.

Słyszeć chichoty.

Jestem pośmiewiskiem całej Okolicy.

Kompletnie się rozkleja, wyje, szlocha, ukrywa twarz w dłoniach. Kilku mężczyzn zaczyna się śmiać. Lincoln spogląda na nich, mówi. Zamknijcie się.

Mężczyźni śmieją się głośniej, przyłączają się kolejni. Łysol podnosi wzrok. Lincoln mówi.

To nie jest śmieszne.

Śmieją się jeszcze głośniej. Przyłączają się kolejni. Łysol jest zaszokowany. Lincoln mówi mocniejszym, zdecydowanym głosem.

To nie jest śmieszne.

Sala eksploduje. Łysol wstaje i wybiega z Sali, zawodząc, szlochając i płacząc. Lincoln staje przed pustym krzesłem.

To się wam wydaje śmieszne?

Mężczyźni śmieją się.

To nie jest śmieszne.

Zaczynają się uciszać.

Ten facet otworzył przed wami serce. Otworzył przed wami serce, do cholery.

Cisza.

Otworzył się i opowiedział o najgorszej chwili swojego życia, chwili, kiedy znalazł się na samym dnie i wiedział, że potrzebna mu pomoc.

Cisza.

To bardzo trudne, i zrobienie tego wymaga odwagi, i zasługuje na szacunek, a nie na kurwa wyśmianie.

Lincoln kręci głową, zniża głos.

Wydaje się wam, że jesteście takimi twardzielami, bo może braliście mocniejsze narkotyki niż on albo piliście więcej niż on albo może wasze dno było niżej niż jego, ale kiedy szukałem Ochotnika, żeby opowiedział o tym, jak znalazł się na dnie, nie zauważyłem, żeby któryś z was się zgłaszał. Siedzieliście w kącie jak mali spietrani Chłopcy.

Pokazuje w kierunku ucieczki Łysola.

Powinniście uczyć się od tego człowieka i powinniście wyciągnąć wnioski z tego, na co się tu dzisiaj zdobył. Był odważny i otworzył się i był szczery i odsłonił się przed każdym na tej Sali. Na tym właśnie polega pobyt tutaj i dzięki takiemu podejściu nie zacznie znowu pić. Zbiera się do wyjścia.

Zastanówcie się nad tym. Zastanówcie się długo i poważnie.

Wychodząc, patrzy na nas.

Długo i poważnie.

Wschodzi. Panuje całkowita cisza. Mężczyźni wymieniają spojrzenia, zawstydzeni i zakłopotani, czekając, aż ktoś coś powie. Leonard wstaje.

Lincoln ma rację i powinniśmy przeprosić małego, ale dla mnie ta historia i tak była zajebiście śmieszna.

Wszyscy się śmieją. Leonard wstaje, patrzy na zegarek.

Czas na lunch. Idę jeść.

Wychodzi, a mężczyźni wstają i zaczynają wychodzić i kierują się w stronę Stołówki. Wstaję i idę za nimi i staję w kolejce i dostaję tacę z jedzeniem. Siadam i słucham, jak Ed i Ted się kłócą, i śmieję się, kiedy Leonard ich podpuszcza i kończę i wstaję i odkładam tacę na taśmociąg.

Idę na Wykład. Książka opowiada o różnych formach spowiedzi.

Nie lubię Księży, nie ufam Księżom i nie słucham ani słowa z tego, co ma do powiedzenia. Siedzę i patrzę w podłogę i myślę o Łysolu. Zastanawiam się, gdzie jest i o czym myśli, a kiedy odtwarzam w myślach jego opowieść, wydaje mi się ona coraz bardziej druzgocąca. Chociaż nie żył w Dzielnicy Biedoty ani w Getcie ani w Melinie i chociaż nadal ma pracę i Rodzinę i życie, stracił najcenniejszą rzecz, jaką może stracić człowiek, swoją godność. Wiem co nieco o utracie godności. Wiem, że kiedy człowiekowi zabierze się godność, zostaje dziura, głęboka czarna dziura wypełniona rozpaczą, upokorzeniem i nienawiścią do samego siebie, wypełniona pustką, wstydem i hańbą, wypełniona stratą i izolacją i Piekłem. To głęboka, ciemna, potworna pierdolona dziura i ta dziura jest tam, gdzie tacy jak ja wiodą żałosne, pojebane, pozbawione godności, odczłowieczone życie i gdzie zdychają, sami, zrozpaczeni, wyniszczeni i zapomniani.

Wykład się kończy i wychodzę i wracam na Oddział i biorę udział w ćwiczeniach Racjonalnej Terapii Zachowań. Ken tłumaczy, że w stresogennych sytuacjach Alkoholicy i Narkomani mają skłonność do irracjonalnych reakcji. Racjonalna Terapia Zachowań uczy podejmowania decyzji, które mają przeciwdziałać irracjonalnemu zachowaniu. Kiedy znajdziesz się w danej sytuacji, rozważ wszystkie możliwości. Nie spiesz się, opanuj, wybierz opcję, która jest najzdrowsza i najbardziej produktywna. To bardzo racjonalna filozofia.

Po ćwiczeniach odbywa się kolejne Wręczenie Dyplomów. Trzech mężczyzn, których nie znam, wychodzi. Odsiedzieli swój czas, przeszli przez Programy i są gotowi wrócić do Świata zewnętrznego. Są szczęśliwi, kiedy odbierają swoje Kamienie i swoje Medale, dwóch płacze, kiedy wygłaszają przemowy.

Uroczystość dobiega końca i wszyscy klaszczą, niektórzy mężczyźni zaczynają grać w karty, a niektórzy zaczynają oglądać telewizję, a niektórzy się przebierają i idą na Siłownię po drugiej stronie Kliniki. Absolwenci wychodzą. Idę do Pokoju i wkładam kurtkę Hanka i wychodzę na dwór.

Nie ma Słońca. Przejawy życia, których doświadczyliśmy wczoraj, zniknęły. Ziemia jest zimna i twarda, powietrze przytłaczające, Niebo czarne, drzewa zgięte pod ciężarem zamarzniętych

gałęzi. Spaceruję i palę i znajduję Szlak i pozwalam mu się poprowadzić. Pod sklepieniem gęstego ciężkiego Lasu jest ciemno i cicho, a jedynym dźwiękiem jest szuranie moich stóp przebijających się przez sterty szeleszczących poźółkłych liści.

Wysłuchuję się w liście. Przyglądam się ziemi. Staram się zatracić. Staram się zapomnieć, gdzie jestem i dlaczego tu jestem, staram się zapomnieć o tym, co mnie czeka. Staram się zapomnieć. Staram się zapomnieć o śmierci, Więzieniu i powrocie do zdrowia. Staram się zapomnieć, że istnieje Świat poza tym w mojej głowie, i staram się zapomnieć, że istnieje Świat w mojej głowie. Staram się zapomnieć wszystko. Cały ten jebany bajzel.

Spaceruję, przyglądam się, staram się zatracić, staram się zatracić, staram się zatracić. Szelest liści przechodzi w ostry dźwięk kaskady turlanych kamyczków i kamyczki prowadzą mnie do długiego wąskiego Jeziora pokrytego kruchymi taflami cienkiego popękanego lodu. Przyglądam się taflom. W płyciznach pod spodem tańczą ławice małych ryb, samotne wodorosty leżą nieruchomo, glony czepiają się, czego tylko mogą. Skorupa leży samotnie i cicho zatrzymuję się i patrzę. Gdzieś pod nią jest życie. W pewnej chwili życie odrzuci skorupę i powróci. Przyglądam się skorupie na płyciźnie kruchej tafla pęknięć. Powrót życia. Chcę zapomnieć, ale nie mogę.

Spaceruję dalej, nadal próbując, nadal nadal. Brzeg przechodzi w szeroki pas ziemi porośniętej wysokimi martwymi żółtymi trawami i moje stopy suną bezgłośnie po twardej czarnej ubitej glebie. Kiedy niosą mnie przez trawy, przebiegam rękami po spiczastych zamarzniętych źdźbłach traw i łaskoczą mnie i śmieję się i dźwięk śmiechu mnie uspokaja. Zapomnij, zatrać się, zapomnij, proszę zatrać się. Łaskoczą mnie i śmieję się. Ubita ziemia przechodzi w bagno i wchodzę na kładkę ze spłowiałych sosnowych desek połączonych śrubami i kładkę z wysokimi solidnymi Barierkami. Mocny odór Bagna przedostaje się do góry, zbyt silny, żeby zabiło go zimno. Kiedy idę, wychylam się przez Barierkę i wdycham odór i wpatruję się w mętne brązowe pustkowie usiane gnijącymi kawałkami drewna, darni i kolczastych szarych krzewów. Pośród zgnilizny jest Wyspa, duża okrągła Kopa z okropnymi wypustkami niczym ramiona Wiedźmy. Spod Kopy dobiega skrzek i gruba brązowa wydra z płaskim pokrytym pancerzem ogonem wdrapuje się na szczyt i patrzy na mnie.

Hej, Gruba Wydro.

Patrzy na mnie.

Chcesz coś dostać?

Patrzy na mnie.

Dam ci wszystko.

Patrzy na mnie.

Dawaj Kopę i dawaj ogon.

Patrzy.

A ja dam ci cały ten jebany bajzel.

Patrzy.

Co ty na to?

Siada i patrzy, zdaje się zastanawiać i znika z powrotem pod Kopą. Czekam, aż wróci, ale nie wraca.

Bystra z ciebie wydra. Zajebicie bystra.

Śmieję się i puszczam Barierkę i idę dalej. Tęsknota sięga zenitu i opada i prowadzi mnie na kamienną ścieżkę, a kamienie otaczają kolejne małe Jezioro i próbuję zajrzeć pod lód, ale nie ma pęknięć i lód jest za gruby. Jeżeli jest tam życie, to jest ukryte pod zimną zamrożoną skorupą.

Rozmyślam i zapominam, a stopy wiodą mnie przez gęstszy Las. Powietrze jest czarne i liście grubsze i szelest hipnotyczny i mimo że mam otwarte oczy, nic nie widzę. Po prostu idę.

Wschodzę z Lasu i ciemności, ale nie z głowy. Przede mną jest brązowy obrośnięty trawą Pagórek, wspinam się na szczyt, widok ukazuje mi Budynki i ławki i Jezioro. Ukazuje mi ruchome cienie tworzone przez światła jaskrawych czystych nieprzyjemnych Korytarzy. Siadam i brązowa trawa jest wilgotna i to mi nie przeszkadza i wzrok mi ucieka do krzyków dochodzących zza ciemnych zakratowanych okien Oddziału Medycznego. Krzyki – wsiąkają i

rozbrzmiewają echem, echem, echem i kładę się i kurtka nasiąka i tył głowy mi nasiąka i zamykam oczy i słucham i rozmyślam. Pozwalam sobie odczuwać i odczuwać totalnie i uczucie sprowadza przejrzyste liniowe strumienie myśli i obrazów i pojawiają się i znikają i wracają i pojawiają się i znikają i wracają. Pojawiają się i znikają i wracają.

Nie mogę przestać.

Muszę przestać.

Nie mogę przestać.

Ból.

Rynsztok.

Książd.

Pierdolić Boga.

Ona.

Pierdolić ją.

Fifa.

Zapalniczka.

Butelka.

Nie mogę przestać.

Ból.

Bierz.

Wściekłość.

Żądza mordu.

Nie do opanowania.

Wściekłość.

Niewybaczalne grzechy.

Miejsca, z których się nie wraca. Nieodwracalne

szkody.

Płacz.

Walcz.

Mama.

Tata.

Brat.

Płacz.

Walcz.

Żyj.

Zapalniczka.

Fifa.

Butelka.

Chory.

Chory.

Chory, wylecz się.

Niemożliwe.

Zostań.

Niemożliwe.

Pierdolić Boga.

Pierdolić ją.

Spierdalaj.

Zostań.

Żyj.

Walcz.

Płacz.

Decyzja.

Decyzja.

Decyzja.

Dawaj.

Wybierz.

Wybierz.

Wybór.

Strumienie są przejrzyste i klarowne i wracają i pojawiają się i wracają i pojawiają się i spotykają się i gubią puste zapominają i jest jest jest coś coś coś nieznanego idealny spokój. Przejrzystość.

Spokój. Pokój. Żądze zniknęły. Serce bije powoli i miarowo. Wszystko co wiem i czym jestem i co widziałem czułem zrobiłem przeszłość terażniejszość przeszłość teraz wtedy przedtem teraz widziałem czułem zrobiłem skrzywdziłem czułem skupiają się w coś poza słowami poza poza poza i mówi teraz i mówi.

Zostań.

Walcz.

Żyj.

Dokonaj.

Płacz.

Płacz.

Płacz.

^1 dłóści wyciągają mnie ze snu, wypychają z łóżka, rzucają przed mojego przyjaciela i wroga, rzucają mnie przed ceramikę. Opróżniają, pustoszą, bolą, nie chcą odpuścić.

Kawałki żołądka, żółci i resztki wczorajszej kolacji. Kwas, flegma i plwocina. Krew. Strumienie

krwi.

Wchodzę pod prysznic i odkręcam gorącą wodę i zmywam wymiociny z twarzy i ciała. Zbierają się przy odpływie i miażdżę je stopami i sprawiam, że znikają. Rzygam już rzyganiem. Chcę, żeby zniknęło. Chcę zmiażdżyć je stopami.

Myję zęby. Nowe są takie jak stare. Podobają mi się i cieszę się, że je mam.

W miejscu dziury na policzku tworzy się biała blizna. Kolejna pamiątka po życiu, jakie prowadzę.

Nawet nie próbuję z oczami.

Ubieram się i parzę kawę i nalewam kubek i wypijam. Jest mocna i znowu wymiotuję, więc biorę kolejny prysznic i drugi raz myję zęby. Nawet nie próbuję z oczami.

Przebieram się i nalewam kolejny kubek kawy i idę na śniadanie i dostaję owsiankę i zasypuję ją cukrem. Siadam przy stoliku z Leonardem i Edem i Tedem i niskim szczupłym czarnoskórym mężczyzną. Gdzieś już wcześniej widziałem tego czarnoskórego mężczyznę, choć nie pamiętam gdzie. Leonard mówi.

Jak leci, Młody?

Pomalutku.

Pokazuje na czarnoskórego mężczyznę.

Poznałeś już Matty'ego?

Nie.

Matty, James. James, Matty.

Sięgamy przez stół, podajemy sobie dłonie.
Mówię miło mi. Mówi miło mi, Pojebańcu.
Przyglądam mu się uważniej. Mówię.

Ja cię skądś znam.

Mówi. Ma wysoki głos, mówi bardzo szybko.

Skąd ty mnie kurwa możesz znać?

Nie jestem pewien. Skąd jesteś?

Minneapolis.

To nie to. Jak się nazywasz?

Nie masz się kurwa prawa pytać o moje
pierdolone nazwisko w tym rozpierdolniku.

Zaskakuję. Wiem, skąd go znam.

Nazywasz się Jackson.

Skąd ty to kurwa wiesz?

Widziałem cię w telewizji. Byłeś Mistrzem
Świata Wagi Piórkowej. Uśmiecha się.

Byłem kurwa.

Uśmiecham się.

I nie przeprowadzano z tobą wywiadów, bo za
dużo przeklinałeś. Żebyś kurwa wiedział, że nie.
Skurwysyńskie pierdolone Chujociągi z telewizji.

Wszyscy się śmieją i śniadanie idzie na bok i
siedzimy i pijemy kawę i pierdolimy o bzdurach i
śmiejemy się. Matty to wrak człowieka, cień
mężczyzny, którym był dwa lata temu, kiedy należał
do światowej czołówki bokserów. W tamtych
czasach miał dwa tytuły mistrzowskie, był bogaty i
sławny, miał Żonę i dwóch Synków. Na imprezie z

okazji jednego ze zwycięstw pociągnął macha z fify, w której miała być marihuana, ale która faktycznie była nabita crackiem. Momentalnie się uzależnił, walczył jeszcze raz i zaliczył nokaut, po czym zniknął.

Dziwnie tak siedzieć naprzeciwko niego. Dziwnie tak uzmysłowić sobie, że człowiek naprzeciwko jest kimś, kogo oglądałem w telewizji. U szczytu kariery był maszyną do walki. Był szybki, bystry, silny i niepokonany w swojej wadze stu dwudziestu sześciu funtów. Był przystojny, miał szeroki uśmiech, nie miał na ciele ani odrobiny tłuszczu i miał ciemną, idealnie gładką cerę. Jego pewność siebie nie miała sobie równych i wchodził na Ring i panował na nim niczym jego władca.

Nie zostało mu nic. Jest bardzo wątyły, waży najwyżej sto dziesięć funtów, ma skudlone i splątane włosy, skórę pokrytą otwartymi ranami i żółte brązowe i czarne zęby. Mimo że jego pewność siebie nie ucierpiała, raczej nie byłby w stanie nawet znaleźć Ringu Bokserskiego, a co dopiero na nim panować albo kogoś tam znokautować. Nie pytam o Zonę ani Dzieci, bo nie chcę wiedzieć, a on chyba nie chce o tym mówić.

Stołówka pustoszeje. Nie zauważamy tego przez Matty'ego i Leonarda i nasz śmiech. Kiedy jeden ze Sprzątaczy podchodzi i każe nam wyjść, idziemy razem na Wykład i Matty mówi i przeklina i nas

rozśmiesza. Kiedy wchodzimy na Wykład, siadamy razem, z dala od reszty mężczyzn z naszego Oddziału, i przed pojawieniem się Mówcy Leonard wyciąga talię kart i zaczynamy grać w pokera. Nie gramy na pieniądze i gramy, oprócz przeklinającego pod nosem Matty'ego, po cichu, dając sobie sygnały dłońmi i głowami.

Wykład się kończy i żegnam się z przyjaciółmi i idę Korytarzami, aż dochodzę do drzwi, na których jest imię Joannę. Pukam, słyszę, jak mówi proszę, i otwieram drzwi i wchodzę do środka.

Ona i Hank siedzą na kanapie, piją kawę i palą papierosy. Hank podnosi się na mój widok i obejmuje mnie.

Jak leci, Mały?

Odsuwamy się.

Dobrze.

Pokaż no te zęby.

Uśmiecham się.

Ładnie wyglądają.

Chyba tak.

Było warto?

Jakoś przeżyłem.

Nie wiem jak, ale chyba ci się udało.

Było warto.

Śmieje się, idzie do drzwi.

Odwiedź mnie kiedyś w Firmówce.

A gdzie jest Firmówka?

To Furgonetka przed Wejściem.
Śmieje się. Sięga do klamki.
Nie musisz wychodzić.
Chyba powinniście zostać sami.
Chciałbym, żebyś został.
Zatrzymuje się, patrzy na mnie, siada obok
Joannę. Siadam na fotelu naprzeciwko.
Joannę mówi.
W czym mogę ci pomóc?
Myślałem o naszej wczorajszej rozmowie.
I co wymyśliłeś?
Zostanę tu na trochę. Zobaczymy, co się
wykluje.
Na trochę?
Nic nie obiecuję.
Uśmiecha się.
To dobry początek.
Zobaczymy.
Obydwoje się uśmiechają. Joannę mówi.
Co za tym stoi?
Nie wiem.
Coś musi.
Nie chcę o tym mówić.
Dlaczego?
Bo nie.
Bo czujesz się bezbronny.
Możliwe.
I to ci się nie podoba, prawda?

Kręcę głową.

Nie.

Jeżeli masz wrócić do zdrowia, to powinieneś się do tego przyzwyczaić.

Pewnie masz rację.

Hank i ja nie zrobimy ci krzywdy.

Wiem.

Spróbuj. Odsłoń się.

Patrzę na nich, biorę głęboki oddech. Mówię.

Wczoraj widziałem płaczącego mężczyznę. Widziałem już wcześniej płaczących mężczyzn, ale z reguły wydawali mi się słabi albo żałośni. Mężczyzna, który płakał wczoraj, płakał, bo był silny, i podziwiałem jego siłę. Wiem, że niektórym ja się wydaję silny albo twardy, ale naprawdę taki nie jestem. Jestem owcą w wilczej skórze.

Biorę kolejny oddech.

Więc myślałem o tym i poszedłem na spacer i próbowałem zapomnieć o tym miejscu i próbowałem zapomnieć o tym całym szambie, w które się wpakowałem, i położyłem się na trawie i czułem spokój, wielki spokój, i postanowiłem zostać na trochę.

Co czułeś?

Tak jak powiedziałem. Spokój.

Miałeś tak zwaną Chwilę Jasności.

To jedna z waszych etykietek AA?

Tak.

No to nie, nie miałem Chwili Jasności. Po prostu
czułem spokój. Obydwoje się śmieją. Joannę mówi.

To nie było takie trudne, prawda?

Chyba nie.

To wszystko, co musisz robić, żeby ci się
polepszyło. Bądź uczciwy, odsłoń się, opowiadaj o
tym.

Myślę, że to będzie trochę bardziej
skomplikowane.

Trochę, ale nie do końca.

Zobaczymy.

Chwila ciszy. Wstaję.

Muszę lecieć. Pomyślałem, że wpadnę
powiedzieć wam, co postanowiłem.

Joannę mówi.

Bardzo nas to cieszy.

Idę do drzwi.

Do zobaczenia wkrótce.

Zegnają się i wychodzę i wracam Korytarzami
na Oddział. Siadam na podłodze z resztą mężczyzn i
oglądam końcówkę filmu. Film opowiada o sławnym
Futboliście, który miał problem alkoholowy i rzucił
picie dzięki Dwunastu Krokom i teraz jest Sędzią
Sądu Najwyższego i jest bardzo szczęśliwy. Kiedy
mówi, siedzi w swoim bardzo urzędowym Biurze i
ma na sobie swoją bardzo imponującą togę. Za nim
wiszą jego zdjęcia w stroju futbolisty i wszystko jest
idealne i wszystko jest motywujące. To trochę jak w

After-School Special i chociaż będąc tutaj, próbuję zachować otwarty umysł, to mi się wydaje kurewsko głupie i zastanawiam się, czy zachowanie otwartego umysłu nie jest w tym miejscu równoznaczne z posiadaniem pustego łba. Otwarty umysł, pusty łeb. Sędzia, który był Futbolistą, do niczego mnie nie przekona. Nie ma kurwa mowy. Film się kończy i wszyscy oprócz mnie klaszczą. Śmieję się i patrzę na mnie spode łba za śmiech, co sprawia, że śmieję się jeszcze głośniej. Jakiś nieznajomy pyta, co jest takie śmieszne, a ja mówię, że film, a on mówi, żebym dorósł, a ja że nie mam zamiaru udawać, że dumy szajs jest czymś więcej niż durnym szajsem, i odchodzi, kręcąc głową. Otwarty umysł, pusty łeb. Zastanawiam się, czy to nie to samo.

Idę na lunch i biorę tacę i jedzenie i jem z Edem i Tedem i Mattym i Leonardem. Matty i Leonard zajmują się rozmową, a reszta zajmuje się śmiechem. Kiedy kończymy, wokół naszego stolika jest pełno mężczyzn, którzy podeszli, żeby posłuchać Matty'ego i Leonarda.

Po lunchu jest Wykład, ale nie zwracam na niego uwagi.

Po Wykładzie Ken prosi, żebym poszedł z nim do Gabinetu. Idę za nim Korytarzami i kiedy jesteśmy w Gabinetcie, siadam na fotelu naprzeciwko.

Dawno się nie widzieliśmy.

No.

Myślałeś o tym, o czym rozmawialiśmy ostatnim razem?

Nie pamiętam, co to było.

Jesteś gotów zrobić wszystko co trzeba, żeby stać się i pozostać abstynentem?

Tak, myślałem o tym.

Masz odpowiedź?

Nie.

Masz odpowiedź?

Nie.

Masz odpowiedź?

Gapienie się na mnie i zadawanie w kółko tego samego pytania donikąd nas nie zaprowadzi.

Gapi się.

Masz odpowiedź?

Śmieję się.

Nie.

Miejmy nadzieję, że w pewnej chwili będziesz ją miał.

Zobaczymy.

Wzdycha i kręci głową, spogląda na papiery na biurku.

Chcę zacząć wgryzać się w twój Program.

Dobrze.

Wyciąga i podaje mi coś, co wygląda jak książeczka do kolorowania dla dzieci.

Zaczniemy od tego.

Oglądam książeczkę.

Co to jest?

To ćwiczenia Pierwszego Kroku.

Śmieję się.

To jebana książeczka do kolorowania.

To proste, owszem, ale wierzymy, że najprostsze metody są najlepsze. Mam wypełnić książeczkę do kolorowania?

Tak.

Śmieję się.

Mogę pożyczyć pudełko Świecówek?

Powinno być na Oddziale.

Mam nadzieję, że nikt nie ukradł Jaskrawego Rózu.

Co to jest?

Moja ulubiona świecówka. Jest w zestawie z sześćdziesięcioma czterema.

Skończyłeś?

Męczę cię?

Twoje żarty mnie męczą.

Nie wydają ci się śmieszne?

Nie.

To dam sobie na wstrzymanie.

Dobrze.

De mam na to?

Dwa dni.

Jasne.

Oprócz tego na Górnym Poziomie wisi Tablica Celów. Chcę, żebyś się na niej wpisał i umieścił swój

życiowy cel, który chciałbyś osiągnąć poprzez abstynencję.

Dobra.

Masz jakiś pomysł?

Raz na rok nowe zęby.

Mało śmieszne.

Zostać Prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Z twoją kartoteką nie wiem, czy możesz nawet głosować.

Mieć najpiękniej pokolorowaną książeczkę do kolorowania w dziejach Pierwszego Kroku?

Skończyłeś?

Męczę cię?

Zapisz cel. Nie żartuj sobie z tego.

Spróbuję.

Wydaje mi się również, że przydałaby ci się zmiana otoczenia, więc dziś po południu dostaniesz przydział do nowego Pokoju.

Gdzie?

Do dwójki. Warren i John wychodzą dzisiaj wieczorem, i myślę, że lepiej będzie wypełnić ten Pokój nowymi Nabytkami.

W porządku.

Zajmę się tą zmianą i trochę później podam ci numer Pokoju. Spoko.

Wyglądasz lepiej i wydajesz się robić postępy, ale musisz traktować to, co tutaj robimy, odrobinę poważniej. Prosimy o wysiłek, nie perfekcję. Staraj

się, ile możesz.

Spróbuję.

Przyjdź do mnie, kiedy skończysz książkę.
Chciałbym ją z tobą omówić.

Dobrze.

Wstaję i wychodzę i wracam na Oddział.
Szukam Johna i Warrena i nie widzę ich, więc idę do
swojego Pokoju i wchodzę. John stoi przy oknie, a
Warren się pakuje. Siadam na łóżku.

Cześć.

Warren mówi.

Cześć.

John wygląda przez okno.

Słyszałem, że dzisiaj wychodzisz.

Warren mówi.

Tak.

Podekscytowany?

Tak, ale też zdenerwowany. Przez całe życie
byłem Alkoholikiem i ciężko będzie nie wypić na
zakończenie dnia przyjemnego mocnego scotcha.
Albo na przykład sześciu przyjemnych scotchów.
Lepiej ci bez tego.

Masz w tej kwestii całkowitą rację.

Wstaję, podchodzę do niego. Przestaje się
pakować.

Powodzenia, Warren.

Wyciągam dłoń. Bierze ją.

Dzięki, James.

Ściskamy sobie dłonie. Mocno i zdecydowanie.
Mówię.

Naprawdę doceniam, jak bardzo byłeś wobec mnie w porządku. Sama przyjemność, James, i zrobiłbym to znowu.

Puszczamy swoje dłonie i przechodzę do części Johna. Bagaż Johna są spakowane i leżą na jego łóżku. Nadal stoi przy oknie, wpatrując się w szarą pustkę.

John.

Odwraca się. Na twarzy ma łzy.

Cześć, James.

Co się stało?

Boję się.

Chodź tu.

Podchodzi. Pokazuję na łóżko.

Siadaj.

Siada na swoim łóżku, wygląda jak bezbronny mały Chłopiec.

Siadam obok niego.

John, dlaczego się boisz?

Bo wiem, że mi się nie poprawiło.

Dlaczego tak myślisz?

Bo wiem to w głębi serca.

To dlaczego nie zostaniesz, dopóki nie poczujesz, że ci się poprawia? Bo wiem, że to na nic.

Dlaczego tak myślisz?

Bo nigdy mi się nie poprawi. Nigdy nie będę

bardziej normalny i ból nigdy nie odejdzie. Nigdy, przenigdy.

John, nie wolno ci tak myśleć.

Ty tak myślisz.

Próbuję przestać.

Jak?

Nie wiem jak. Po prostu próbuję.

Patrzy na mnie, patrzy na łóżko i wybucha płaczem.

Tutaj czuję się bezpieczny. Nikt nie może mi nic zrobić i sam nie mogę sobie nic zrobić.

Spogląda na mnie. Bezbronny mały Chłopiec.

Wiem, że kiedy stąd wyjdę, zrobię coś głupiego, i wiem, że wyląduję z powrotem w Więzieniu, i wiem, co się tam ze mną stanie, i nie chcę, żeby to się ze mną znowu stało.

Biorę jego dłoń, trzymam ją, nie wiem, co powiedzieć. Płacze płacze płacze, szlocha, łzy lecą mu po twarzy, klatka piersiowa podnosi się i opada, gwałtownie podnosi się i opada. Puszczam jego dłoń i obejmuję go i przytulam, a on płacze i nie mam nic do powiedzenia. Przestaje płakać i uspokaja się, puszczam go i wyciera twarz. Przepraszam.

John, nie przepraszaj. Płacz, to nic złego.

Dużo płaczę.

Wiem. Podziwiam to w tobie.

Naprawdę?

Tak, naprawdę. Myślę, że mężczyźni, którzy

potrafią płakać, to silni mężczyźni.

Myślisz, że jestem silny?

Myślę, że jesteś silniejszy, niż ci się wydaje.

Dzięki, James.

Wyciera twarz jeszcze raz.

Będzie mi tego brakowało.

Nam będzie ciebie brakowało.

Naprawdę?

Pewnie.

Nie kłamiesz?

Nie, nie kłamię.

Spogląda na mnie, sięga do jednej ze swoich walizek, wyciąga długopis i wizytówkę.

Zrobisz coś dla mnie, James?

Oczywiście.

Zaczyna pisać na wizytówce.

Kiedy stąd wyjdiesz, zadzwonisz do mojej Córki?

Tylko nie zaczynaj z tamtym, John.

Nie, to nie tamto.

Podaje mi wizytówkę.

Zadzwonisz do niej i powiesz, że tym razem starałem się z całych sił, tak bardzo, jak byłem w stanie, i że żałuję, że nie jestem dla niej czymś więcej i że nie jestem tak złym człowiekiem, jak wszyscy jej o mnie mówią.

Biorę wizytówkę, spoglądam na Johna.

To dla mnie zaszczyt, John. i jeśli będziesz

kiedyś w tej samej okolicy, może mógłbyś ją zabrać na kolację albo coś i...

Urywa, zaczyna płakać, powstrzymuje łzy.

I być dla niej miły i...

Nie może się opanować. Zaczyna płakać. Jak bezbronny mały Chłopiec.

I powiedz jej, że przepraszam. Tak bardzo przepraszam.

Podchodzę i obejmuję go i przytulam i pozwalam mu się wypłakać wypłakać wypłakać i odpycha mnie i prosi, żeby zostawić go samego, a kiedy wychodzę z Pokoju, spoglądam na niego, a on ma głowę wciśniętą w poduszkę i słyszę, jak szlocha i zawodzi i wypowiada to słowo.

Nie.

Nie.

Nie.

Zostawiam go samego i zostawiam go jego przyszłości i kiedy wchodzę na Oddział, upewniam się, że wizytówka jest bezpieczna, głęboko w mojej kieszeni. Kiedy stąd wyjdę, zadzwonię. Zadzwonię i powiem tej Dziewczynie, że jej Ojciec jest dobrym człowiekiem. Może mi nie uwierzyć i być może nie będę miał jej do powiedzenia nic, co sprawi, że zmieni zdanie, ale jej to powiem.

Na Oddziale jest tłoczno, mężczyźni czekają na Johna i Warrena i Wręczenie Dyplomów. Nie chcę tego oglądać ani brać w tym udziału i pożegnałem się

z nimi, więc zaczynam iść. Tak jak wczoraj chcę zapomnieć.

Dziś nie ma zapomnienia. Wiem to, jak tylko wchodzę do Lasu. Ogarnia mnie Furia. Ogarnia każdą emocję każde uczucie każdą myśl. Nie radzę sobie z emocjami, uczuciami, myślami, więc pozwalam Furii sobie z nimi poradzić. Pochłania je. Smutek, który odczuwam, zamienia się we wściekłość, spokój w rozpaczliwą potrzebę. Chcę zniszczyć wszystko, co widzę. To, czego nie mogę zniszczyć, chcę wchłonąć. Z każdym moim krokiem rośnie. Wściekłość i potrzeba. Wściekłość i potrzeba. Wściekłość. Potrzeba. Chcę drinka. Chcę pięćdziesiąt drinków. Chcę butelkę najczystszonego, najmocniejszego, najbardziej niszczycielskiego, najbardziej trującego alkoholu na Ziemi. Chcę pięćdziesiąt butelek. Chcę cracku, brudnego i żółtego i wypełnionego formaldehydem. Chcę kopę metamfy w proszku, pięćset kwasów, worek grzybków, tubę kleju większą od ciężarówki, basen benzyny tak duży, żeby się w nim utopić. Chcę czegoś wszystkiego czegokolwiek jakkolwiek ile tylko się da. Chcę potrzebuję chcę potrzebuję chcę potrzebuję tyle, żeby zabić unicestwić pozwól stracić pozwól zapomnieć uśmierz pierdolony ból daj mi najciemniejszą ciemność najczarniejszą czerń najgłębszą najgłębszą najgłębszą najstraszniejszą pierdoloną dziurę. Jebać to do pierdolonego Piekła,

daj mi to. Wsadź mnie do jebanej dziury.

Schodzę ze Szlaku, przeciskam się przez gęsty, skutny lodem las. Trzęsę się i serce mi wali jak szalone i zaciskam pięści i zaciskam szczękę. Stopy łamią gałązki i miażdżą młode drzewka, ramiona usuwają wszystko, co jest przede mną. Gwałtowne odgłosy zniszczenia, trzask trzask trzask trzask, rozsierz mnie, rozwściecz mnie, spraw, żebym chciał więcej łamać, więcej niszczyć, zrujnować wszystko. Chcę zrujnować wszystko wszędzie. Chcę kurwa zrujnować.

Przebijam się przez gęstą kępę roślin Wiecznie Zielonych na małą wąską okrągłą Polanę. Przestaję iść nacierać przepychać się walczyć i zamykam oczy i biorę głęboki oddech i mam nadzieję, że oddech mnie uspokoi, ale nie uspokaja, więc biorę kolejny i nie uspokaja kolejny nie kolejny nie kolejny nie. Chcę być spokojny, ale nie ma dla mnie spokoju.

Jak tu się znalazłem. Jak trafiłem w to miejsce w tej chwili tego dnia z tym uczuciem historią przyszłością kłopotami życiem tym strasznym pojebanym nic niewartym zmarnowanym życiem jak. Piętnaście minut temu obejmowałem kogoś, kto przez całe życie był Przestępcą i był Uzależniony od kokainy, kto przeżył dzieciństwo z kutasem swojego Ojca w ustach i płakał, bo bał się powrotu do Świata. Jadłem lunch z jakimś groźnym Sobowtórem gwiazdy filmu w średnim wieku i recydywistą

Uciekinierem i Hutnikiem z wyrwanymi wszczepami i stodziesięciofuntowym Duchem, który był kiedyś Mistrzem Świata. Dostałem książeczkę do kolorowania i powiedziano mi, że to ma mi pomóc. Oglądałem kurewsko durny film jakiegoś Sędziego i powiedziano mi, że to ma mi pomóc. Wymiotowałem jak kurwa co dzień i mi to nie pomaga. Mam dwadzieścia trzy lata i jestem Alkoholikiem od dziesięciu lat i Narkomanem i Przestępcą prawie tyle samo i jestem poszukiwany w trzech stanach i jestem w Szpitalu w samym środku Minnesoty i chcę się napić i chcę się naćpać i nie mogę się powstrzymać.

Mam dwadzieścia trzy lata.

Oddycham i trzęsę się i czuję, jak nadchodzi i wściekłość i potrzeba i zamęt żal przerażenie wstyd i nienawiść stapiają się w Furię doskonałą wielką i piękną i straszną i doskonałą Furię Furię i nie mogę powstrzymać Furii ani opanować Furii mogę tylko pozwolić Furii nadejść nadejść nadejść nadejść nadejść. Niech kurwa nadejdzie. Furia nadchodzi.

Widzę drzewo i się na nie rzucam. Wrzeszczę walę kopię szarpię rwę rozrywam włokę ciągnę niszcę walę wrzeszczę walę wrzeszczę walę wrzeszczę. To małe drzewko, mała Sosna, na tyle mała, że mogę ją zniszczyć, i wyrywam gałęzie z pnia i rozszarpuję na kawałki jedną po drugiej rozszarpuję i wyrywam i rzucam na ziemię i miażdżę miażdżę miażdżę i kiedy nie ma już gałęzi słyszę głos

i atakuję pniak i jest cienki i łamię go na pół i słyszę głos i ignoruję go i rzucam złamany pniak na gałęzie i połowa jest nadal w ziemi słyszę głos i chcę wyciągnąć go z pierdolonej ziemi i chwytam i ciągnę ciągnę ciągnę i nie wychodzi ani trochę słyszę głos i ignoruję i ciągnę wrzeszczę ciągnę i nie wychodzi pierdolone drzewo chcę je zniszczyć i puszczam i jest głos ignoruję zaczynam kopać kopać kopać i głos mówi przestań przestań przestań przestań. Przestań.

Odwracam się.

Długie ciemne włosy i przejrzyste ciemnoniebieskie oczy i skóra trupioblada i usta czerwone jak krew jest mała i szczupła i wyniszczona i okaleczona. Stoi tam.

Co ty tu robisz?

Byłam na spacerze i zobaczyłam cię i za tobą poszłam.

Czego chcesz.

Żebyś przestał.

Oddycham ciężko, patrzę z przejęciem spięty i nabuzowany. Zostało mi jeszcze drzewo do zniszczenia chcę dorwać to jebane drzewo. Uśmiecha się i podchodzi do mnie, do mnie do mnie do mnie, i rozkłada ramiona i oddycham ciężko patrzę z przejęciem spięty i nabuzowany obejmuje mnie jedną ręką z tyłu głowy i wciąga mnie w ramiona i przytula mnie i mówi.

Już dobrze.

Oddycham ciężko, zamykam oczy, pozwalam się objąć.

Już dobrze.

Jej głos mnie uspokaja i jej ramiona mnie rozgrzewają i jej zapach poprawia mi nastrój i czuję bicie jej serca i tętno mi zwalnia i przestaję się trząść i Furia roztapia się w jej bezpieczeństwie i przytula mnie i mówi.

Dobrze.

Dobrze.

Dobrze.

Zbliża się coś innego i słabo mi i boję się i jestem bezbronny i nie chcę zostać zraniony i to uczucie to jest uczucie które znaczy że mogę być zraniony i to zraniony ciężko i bardziej okropnie niż cokolwiek fizycznego i zawsze z nim walczę i opanowuję i powstrzymuję ale jej głos mnie uspokaja i jej ramiona mnie ogrzewają i jej zapach poprawia mi nastrój i czuję bicie jej serca i gdyby mnie teraz wypuściła tobym upadł i potrzeba i zamęt i lęk i żal i przerażenie i wstyd i słabość i kruchość są odsłonięte przed miękką siłą jej otwartych ramion i zwyczajnym wyrazem dobrze i zaczynam płakać. Zaczynam płakać. Zaczynam płakać.

Nadchodzi falami. Fale wibrują głęboko i z głębi głęboko ze mnie i przytulam ją i przytula mnie mocniej i wypuszczam ją i wypuszczam to i nie czułem w ten sposób tej bezbronności ani nie

pozwoleń sobie czuć w ten sposób tej bezbronności od kiedy miałem dziesięć lat i nie wiem dlaczego wtedy nie i nie wiem dlaczego teraz tak i wiem tylko że teraz tak i że to niepokojące przerażające straszne gorsze i lepsze niż wszystko co kiedykolwiek czułem płacząc w jej ramionach po prostu płacząc w jej ramionach po prostu płacząc. Sprowadza mnie na ziemię, ale nie puszcza. Bramy są otwarte i trzynaście lat nałogu, przemocy, Piekła i ich akompaniamentu wychodzi w gęstych łzach i ciężkim szlochu i braku oddechu i dogłębnym poczuciu straty. Strata zamieszkuje, wypełnia i przepełnia mnie. To strata dzieciństwa bycia Nastolatkiem normalności szczęścia miłości zaufania rozsądku Boga Rodziny przyjaciół przyszłości potencjału godności człowieczeństwa zmysłów siebie wszystkiego wszystkiego. Straciłem wszystko i jestem zagubiony sprowadzony do masy żalu, smutku, żalości, udręki i cierpienia. Jestem stracony. Straciłem. Wszystko. Wszystko. Jest mokro i Lilly tuli mnie jak zrozpaczone Dziecko. Moja twarz i jej ramię i jej koszula i jej włosy są mokre od moich łez. Zwalniam i zaczynam oddychać powoli i głęboko, a jej włosy pachną czystością i otwieram oczy bo chcę to zobaczyć i to wszystko co widzę. Są kruczoczarne prawie niebieskie i promieniują wilgocią. Chcę ich dotknąć i wyciągam dłoń i przebiegam dłonią od czubka głowy wzdłuż szyi i pleców do podstawy jej

klatki piersiowej i to jest cienka idealna warstewka i pozwalam jej powoli skapywać z koniuszków palców i brakuje mi jej kiedy znika. Robię to jeszcze raz i jeszcze raz i pozwala mi na to i nic nie mówi tylko mnie tuli bo jestem zrozpaczony. Jestem załamany. Załamany.

Hałasy i głosy i Lilly przyciąga mnie mocniej i mocniej i przyciągam ją mocniej i mocniej i czuję bicie jej serca i wiem że czuje bicie mojego serca i rozmawiają nasze serca rozmawiają w języku bez słów starym niepoznawalnym i prawdziwym i przyciągamy się i obejmujemy i hałas się zbliża i głosy są głośniejsze i Lilly szepcze. Już dobrze.

Już dobrze.

Już dobrze.

I puszcza mnie i puszczam ją i stoi, ja zostaję, a ona patrzy na mnie. Muszę iść.

Patrzę na nią.

Zadzwonię później.

Patrzę na nią.

Pa.

Patrzę na nią, a ona odchodzi na drugą stronę Polany. Kiedy dociera do jej skraju, odwraca się i znika w gąszczu krzewów Wiecznie Zielonych i słyszę odgłosy jej kroków i jej krok jest łagodny i słyszę, jak jej głos niknie i jej głos jest łagodny i siadam i oddycham i siadam i patrzę. Jestem sam, stracony i załamany. Patrzę na krzew Wiecznie

Zielony. Sam stracony załamany.

Słońce zachodzi i nadciąga chłód i zapada noc i jestem zmęczony, zużyty i zupełnie pusty. Zmuszam się do wstania i idę między drzewami, aż trafiam na Szlak i potem pozwalam Szlakowi się poprowadzić. Moje stopy są ciężkie, ciało zmęczone, a serce bije powoli powoli powoli. Spacer to tylko kilkaset kroków, ale wydaje się dookoła Świata.

Otwarcie drzwi wymaga całej mojej siły. Wchodzę do środka i przechodzę przez Oddział i idę do Pokoju. Kiedy wchodzę, widzę, że wszystkie moje rzeczy moje nowe piękne rzeczy zostały ułożone na krześle koło łóżka. Przez chwilę się we mnie gotuje, aż zauważam list na stercie ubrań. Sięgam po niego i otwieram go i czytam i jest od Kena i jest w nim jak ustaliliśmy wcześniej w rozmowie przenosimy cię do nowego Pokoju i jest w nim numer Pokoju. Zbieram ubrania i książki i to jest mój cały dobytek na Swiecie i wychodzę. Idę Korytarzami otaczającymi Oddział, szukając nowego Pokoju. Znajduję Pokój i drzwi są zamknięte i mam zajęte ręce, więc otwieram drzwi kopniakiem. Wchodzę do środka. Pokój jest mniejszy niż poprzedni Pokój, ale oprócz tego identyczny. Są w nim dwa łóżka, a z boku jest Łazienka. Na jednym z łóżek leży czarnoskóry mężczyzna w średnim wieku. Nigdy wcześniej go nie widziałem. Spogląda na mnie i mówi.

Większość ludzi puka przed wejściem do

Pokoju.

Ma silny powolny południowy akcent.

Nie wiedziałem, że ktoś tu jest.

Podchodzę do pustego łóżka.

I tak mogłeś zapukać.

Siadam.

Przepraszam. o Zaczynam odkładać rzeczy.

Mieszkasz tu?

Aha.

Jak masz na imię?

James.

Cześć James, ja jestem Miles.

Jak Miles Davis?

Tak samo jak Miles Davis.

Tak samo.

Tak.

Nazywasz się Miles Davis?

Tak jest.

Śmieję się.

Grasz na trąbce?

Nie, gram na klarnecie.

Pokazuje na czarny futerał leżący u stóp łóżka.

W młodości grałem na trąbce, ale kiedy ten drugi Miles stał się sławny, przestałem. Za dużo było z tym zachodu.

Skąd jesteś?

Z Nowego Orleanu. A ty skąd jesteś?

Mieszkam w Karolinie Północnej.

W której części?

Wilmington.

Podoba ci się w Wilmington?

Nie jest źle, ale w sumie głównie mnie to obchodzi.

Śmieje się.

Co robisz w Nowym Orleanie?

Jestem Sędzią.

Co Osądzasz?

Jestem Sędzią Federalnego Sądu Apelacyjnego.

Mocna rzecz.

Wzrusza ramionami.

Jest jak jest.

Wsadzasz ludzi za kraty?

Wsadzałem, kiedy pracowałem w Sądzie Okręgowym, ale teraz już nie.

Jak ci z tym było?

Ciężko tak wsadzić kogoś za kraty. W Węzieniu nie czeka go nic dobrego, nawet jeżeli sobie na nie zasłużył.

Przytakuje.

A ty co robisz?

Pakuję się w kłopoty.

Śmieje się.

Jakie kłopoty?

Różne.

Teraz też masz kłopoty?

Gdybym nie miał, toby mnie tu nie było.

Śmieje się jeszcze raz.

Masz jeszcze jakieś inne kłopoty?

Czy mogę odmówić złożenia zeznań obciążających samego siebie? Jeżeli tego sobie życzysz.

Życzę sobie.

Spogląda na zegarek.

Jadłeś już kolację?

Nie.

Chcesz zjeść ze mną?

Wstaję.

Chodźmy.

Wstaje i wychodzimy z Pokoju. Przechodzimy Korytarzami do Stołówki i stajemy w kolejce i dostajemy jedzenie. Kiedy siadamy przy stoliku, dowiaduję się, że Miles jest Alkoholikiem i że jest żonaty i ma dwójkę Dzieci i przyjechał po południu. Mówi cicho i metodycznie i ostrożnie dobiera słowa, a jego dłonie i oczy i ruchy głowy mówią tyle co same słowa. Kiedy mówię, słucha uważnie, łagodnie przerywając kiwnięciem głowy albo chichotem albo cichym potwierdzeniem. Od razu jest przyjacielem, co jest dla mnie dziwne. Zawsze nienawidziłem Gliniarzy i Sędziów, czy jakiegokolwiek Władzy, a Ośrodek Odwykowy wydawał mi się ostatnim miejscem, gdzie mógłbym się z kimś takim zaprzyjaźnić.

Po kilku minutach dołączają do nas Leonard i

Matty i Ed i Ted.

To typowy posiłek z nimi. Śmieją się, robią sobie z siebie jaja, opowiadają historie z przeszłości, obgadują innych Pacjentów Kliniki. Oprócz Milesa na naszym Oddziale jest czterech nowych mężczyzn i Leonard i Matty i Ed i Ted mierzą ich wzrokiem, omawiają, którzy im się podobają, a którzy nie, i szykują się, żeby zrobić im rozpiarduchę. Nie wiem dlaczego, ale do jednego z nich, niskiego grubego mężczyzny o imieniu Bobby, wydają się żywić szczególną niechęć. Wem za to, że cieszę się, że nie jestem nim. Kończymy jeść i idziemy grupą na Wykład. Siadamy grupą na krzesłach. Siadam od strony przejścia i wypatruję Lilly. Kiedy wchodzi, serce skacze mi do gardła i dłonie mi się trzęsą i ja wewnątrz mnie się uspokaja uspokaja się i rzeczy których nie da się opisać zapalają się i zaczynają rozpalać rozpalać rozpalać.

Wiedziałem, że jej widok zrobi na mnie wrażenie, ale nie wiedziałem tego i nie znam tego i jestem zaskoczony i zaskoczenie mnie denerwuje, a zazwyczaj nie jestem zdenerwowany. Zazwyczaj jestem po prostu wkurwiony. Zapaliły i rozpalają.

Na Podium wchodzi mężczyzna i wszyscy zaczynają klaskać. Rozpoznaję w mężczyźnie sławną Gwiazdę Rocka, kiedyś był tu Pacjentem. Podnosi triumfalnie ręce i uśmiecha się i kłania się i jego czarna skórzana kurtka lśni i jego długie

przetłuszczone ciemne włosy wiszą i jego jedwabna koszula we wzorek wisi i jego duże okrągłe srebrne kolczyki dyndają i wszyscy są olśnieni. Ucisza gestem salę i oklaski ustają i zaczyna teatralnie przechadzać się po Podium tam i z powrotem.

Zatrzymuje się i przez chwilę patrzy w sufit, jak gdyby było tam coś oprócz paneli sufitowych i spogląda znowu na nas i zaczyna mówić głębokim poważnym głosem. Jego pierwsze słowa to kiedy nagrałem pierwszy przebój i stałem się sławny, to zacząłem imprezować jak cholera.

Potem zaczyna relacjonować ze szczegółami przebieg swojej kariery. Opowiada o liczbie sprzedanych płyt i liczbie przelecianych kobiet i liczbie zdobytych nagród. Opowiada o życiu na trasie i mówi, że to niełatwa sprawa, stary, nawet jeżeli zatrzymujesz się w Four Seasons. Opowiada o kłopotach podczas nagrywania płyty i opowiada o stresie, w jakim żyje Gwiazda. Opowiada o w jego mniemaniu narodowej obsesji na punkcie jego ust i włosów i opowiada o melodyjności swojego głosu. Po pewnym czasie, po zdecydowanie zbyt długim czasie, opowiada o alkoholu i narkotykach. Kiedy opowiada o heroinie, stuka dwoma palcami w zgięcie łokcia, kiedy opowiada o kokainie, pociąga nosem, o wódzie wykonuje gest, jakby miał butelkę, prochach, jakby wrzucał je sobie do gardła. Twierdzi, że w szczytowym punkcie brał co dzień kokainę i heroinę

za pięć tysięcy dolarów i mieszał to co noc z czterema albo pięcioma ćwiartkami wódki i nawet czterdziestoma tabletkami valium na sen. Mówi o tym z największą szczerością i z najwyższą powagą.

Jestem zmęczony i jestem wyczerpany. Jestem zdenerwowany i jestem szczęśliwy. Jestem opanowany. Gdyby mój umysł był w normalnym stanie, tobym wstał, pokazał palcem, krzyknął Oszust, i pogonił tego Pierdolonego Matoła i spuścił mu łomot. Gdyby mój umysł był w normalnym stanie, po tym, jak spuściłbym mu łomot, kazałbym mu tu wrócić i przeprosić wszystkich za marnowanie ich cennego czasu. Po przeprosinach powiedziałbym mu, że jeżeli jeszcze raz usłyszę, jak Publicznie wypluwa z siebie te gówniane fantazje, to obetnę mu te jego drogocenne włosy, okaleczę jego drogocenne usta i zabiorę wszystkie te jego zasrane złote płyty i wsadzę mu prosto w dupę.

Nie podoba mi się ten człowiek. Nie podoba mi się, co ma do powiedzenia ani jak to mówi. Nie wierzę mu i jego status Gwiazdy Rocka nie wystarczy, żebym połknął szajs, który próbuje tu wciskać. Cztery do pięciu tysięcy dolarów dziennie czekogolwiek wystarczy, żeby zabić Człowieka kilka razy. Pięć butelek mocnego alkoholu w ciągu jednej nocy wprowadzi najsilniejszego człowieka na Ziemi w stan śpiączki. Czterdzieści tabletek valium na sen i pójdzie w jebaną kimę, z której już się nie obudzi.

Nigdy się nie obudzi, i może tak byłoby najlepiej.

Nałogowiec to Nałogowiec. Nie liczy się, czy Nałogowiec jest biały, czarny, żółty czy zielony, bogaty czy biedny czy gdzieś pomiędzy, czy jest największą Sławą na Planecie, czy jest kompletnie nieznaną. Nie liczy się, czy jest uzależniony od narkotyków, alkoholu, przemocy, seksu, zakupów, jedzenia, hazardu, telewizji, czy jebanych Flintstone'ów. Życie Nałogowca jest zawsze takie samo. Nie ma w nim emocji, nie ma blasku, nie ma zabawy. Nie ma dobrych czasów, nie ma radości, nie ma szczęścia. Nie ma przyszłości i nie ma ucieczki. Jest tylko obsesja. Nieokiełznana, wszechogarniająca, pochłaniająca do cna obsesja. Żartować z niej, pysnić się nią, pławić się w jej fałszywej chwale to nie jest żaden sposób na przybliżenie się do prawdy o niej, a to wszystko, co się liczy, prawda. Ten człowiek stojący przede mną i całą resztą sali i okłamujący nas to herezja.

Tylko prawda się liczy. To jebana herezja.

Vfykład się kończy i wybucha dziki aplauz i słyhać entuzjastyczne okrzyki, a Usta, Włosy, Skóra i Jedwab na Podium uśmiecha się i macha i lśni i posyła całusy swoim pełnym uwielbienia Fanom.

Jestem zmęczony. Jestem wyczerpany. Jestem zdenerwowany i jestem szczęśliwy i jestem opanowany. Gdyby mój umysł był w normalnym stanie, miałbym mdłości. Słyszę, jak Leonard

mamrocze, i pytam, co powiedział, a on śmieje się i mówi, że rozważa wysłanie kilku swoich Pomagierów, żeby omówili z Ustami kwestię korekty nastawienia. Śmieję się i mówię mu, że byłoby cudnie. Powodzenia, Leonard.

To by było kurwa cudnie.

Wstajemy i zaczynamy wychodzić, a przed wyjściem odwracam się, żeby spojrzeć na Lilly, ale jej nie widzę i nie chcę, żeby moje zamiary były oczywiste, więc odwracam się i idę dalej. Żałuję, że jej nie widzę. Chcę ją zobaczyć. Nie widzę jej. Wracam na Oddział i idę do Pokoju i kładę się do łóżka.

Wchodzi Miles i siada na łóżku i sięga po futerał od klarnetu i zaczyna go wyciągać i pyta czy może zagrać i mówię tak graj co tylko chcesz jak długo chcesz i sięgam po pierwszą książkę z książek które dostałem od Brata i nie chce mi się patrzeć po co sięgam bo jest mi wszystko jedno chcę tylko czytać i chcę zająć czymś umysł. Wściekłość i potrzeba z powrotem wróciły ożyły jak prawie zawsze są żywe i powracają i zżerają mnie. Potrzebuję czegoś, żeby zająć umysł. Nieważne czego. Zająć.

Wyciągam chińską książkę, *Wielką księgę Tao*, zdecydowanie najmniejszą z trzech, które posiadam, i jedyną, której wcześniej nie czytałem. To mała cienka książeczka w miękkiej oprawie. Tytuł napisany jest na okładce zwyczajną białą czcionką na

czarnym tle. Odwracam książkę i patrzę na tył okładki, a z tyłu okładki są cytaty z trzech źródeł, o których nigdy wcześniej nie słyszałem, ale które wyglądają jak idiotyczne Hipisowskie Periodyki o New Age.

W górnym rogu jest klasyfikacja publikacji. Religia.

Jestem z miejsca sceptycznie nastawiony. Nie tylko z powodu cytatów ze źródeł i religijnej klasyfikacji, ale ponieważ zawsze umieszczałem takie książki w kategorii bzdur w stylu Astrologii, Aromaterapii, Kryształologii, Energii Piramidy, Leczenia Umysłem i Feng Shui, które w różnych momentach mojego życia miały być lekarstwem na moje kłopoty. Zawsze wydawało mi się idiotyczne, że ktoś potrafi naprawdę uwierzyć, że te rzeczy mogą rozwiązać jego problemy, rzeczywiście je rozwiązać, a nie tylko sprawić, żeby o nich na chwilę zapomniał. Jednak tę książkę dostałem od Brata, więc ją przeczytam. Gdyby ktoś oprócz mojego Brata mi ją dał, wylądowałaby na dnie kosza na śmieci.

Kiedy ją otwieram, Miles zaczyna grać na klawirze. Gra cicho i powoli. Dźwięki są niskie i wyciąga je tak długo, że zastanawiam się, jak oddycha. Dźwięki są długie i wydobywa je tak, jakby to było łatwe, choć wiem, że nie jest. Niskie i wolne i łagodne i długie i łatwe. Nie wiem, co to jest, ale mi się podoba.

Omijam Wstęp. Jeżeli książka wyląduje w koszu, to wyląduje tam w wyniku moich przemyśleń, a nie przemyśleń jakiegoś Palanta, który napisał Wstęp.

Zaczyna się tekst. Składa się z serii krótkich wierszy ponumerowanych od jednego do osiemdziesięciu jeden. Pierwszy mówi, że Tao jest tym, co nie ma nazwy i nie da się nazwać. Mówi, że nazwy nie są potrzebne do tego, co prawdziwe, i do tego, co wieczne. Mówi, że jeżeli jesteśmy wolni od pożądania, możemy uświadomić sobie tajemnicę, że jeżeli jesteśmy uwięzieni w pożądaniu, możemy uświadomić sobie same przejawy. Mówi, że tajemnica i przejawy wywodzą się z tego samego źródła, którym jest ciemność. Mówi, że ciemność wewnątrz ciemności jest kluczem do wszelkiego zrozumienia. To za mało, żebym ją wyrzucił, ale nie jestem też przekonany.

Czytam dalej. Czytam dalej, słuchając niskich i wolnych i łagodnych i długich i łatwych. Czytam dalej, sadowiąc się w ciepłe łóżko, i czytam dalej, czekając na dzwonek telefonu. Wiem, że kiedy telefon zadzwoni, usłyszę głos Lilly. Chcę usłyszeć głos Lilly.

Numer dwa. Gdzie jest piękno, jest też brzydota. Gdzie jest dobro, jest też zło. Byt i niebyt i trudne i łatwe i wysokie i niskie i długie i krótkie i przed i po potrzebują, zależą, tworzą i definiują się nawzajem.

Ci, którzy żyją w zgodzie z Tao działają, nie robiąc, i uczą, nie mówiąc. Pozwalają rzeczom pojawiać się i pozwalają rzeczom zniknąć i żyją bez dobytku i żyją bez oczekiwań. Nie potrzebują, nie zależą, nie tworzą ani nie definiują. Nie widzą piękna ani brzydoty ani dobra ani zła. Po prostu są. Po prostu bądź.

Numer trzy. Przeceń ludzi, a staną się bezsilni. Przeceń dobytek, a zaczną się kradzieże. Opróżnij umysł, a wypełnij esencję. Pozbądź się ambicji, a wzmocnij determinację. Zapomnij wszystko, co wiesz, i wszystko, czego pożadasz, i zignoruj tych, którzy twierdzą, że wiedzą. Ćwicz niepożądanie, niechcenie, nieoceniając, nierobienie, niewalczenie, niewiedzę. Ćwicz bycie. Wszystko trafi na właściwe miejsce.

Cztery. Tao jest w użyciu, ale nigdy się nie zużywa. Wieczna pustka wypełniona nieskończonymi możliwościami. Nie ma go tam, ale jest zawsze tam. Jest starsze i potężniejsze od każdego Boga. Nie ma go tam, ale jest zawsze tam. Jest starsze i potężniejsze od każdego Boga.

Przestaję czytać i czytam jeszcze raz. Od pierwszego do czwartego, i jeszcze raz. Słowa i słowa razem i znaczenie i kontekst są proste tak proste i podstawowe tak podstawowe i prawdziwe i to wszystko, co się liczy prawdziwe. Przemawiają do mnie, mają dla mnie sens, rozbrzmiewają we mnie uspokajają ułatwiają łagodzą rozluźniają uciszają

usypiają mnie. Brzmi w nich prawda i to wszystko, co się liczy prawda. Mimo że nie jestem ekspertem w tym ani w niczym pokrewnym ani w ogóle w niczym oprócz bycia pojebem, chyba rozumiem co ta książka ta dziwna piękna oświecona mała książeczka do mnie mówi. Żyj i daj żyć, nie osądzaj, bierz życie takim, jakie jest, i radź sobie z nim, wszystko będzie dobrze.

Zamykam książkę i pozwalam dźwiękom klarnetu unosić się unosić unosić. Są niskie i wolne i łagodne i długie i łatwe tak jak myśli w mojej głowie. Unoszą mnie unoszą unoszą.

Żyj i daj żyć.

Nie osądzaj.

Bierz takim, jakie jest.

Radź sobie.

Wszystko będzie dobrze.

\A/-zaski, długie i głośnie i upiorne, jakby palono żywcem Dziecko. Siadam na łóżku. Jest cicho i ciemno. Nie wiem, czy to sen czy jawa. Wtedy znowu nadchodzą. Jakby palono żywcem Dziecko.

Wstaję z łóżka i wychodzę z pokoju i idę w stronę wrzasku. Dochodzi z Głównych Sal Oddziału i z każdym moim krokiem staje się głośniejszy i bardziej przejmujący. Jakby palono kurwa żywcem Dziecko.

Boję się. Włoski stają mi na karku i włoski stają mi na ramionach i serce mi wali i w uszach mi dzwoni i z każdym krokiem jest głośniejszy i bardziej

przejmujący. Chcę, żeby się skończył. Boję się. Biedne Dziecko. Boję się. Biedne Dziecko.

Wchodzę na Górny Poziom. Jest tam kilku innych mężczyzn i wpatrują się w Dolny Poziom z wyrazem oszołomienia na twarzach. Podążam za ich wzrokiem i dźwiękiem wrzasków, które rozbrzmiewają echem po całej sali, i widzę Roya stojącego na kanapie trzymającego grubą groźną drewnianą pałkę, krótką niczym taran, z zakrwawionym ukruszonym końcem. Wymachuje pałką na oślep, biorąc zamach na niewidzialnych wrogów i wrzeszcząc na całe gardło. Jego ubranie, stare i znoszone, jest brudne i zakrwawione, tak jak jego ramiona i jego twarz i jego włosy, a jego oczy są szerokie i puste, białka jak ciemna czerwień paleniska, źrenice to bezkresna czerń. Nadchodzą kolejni mężczyźni przyciągnięci strasznymi piskliwymi wrzaskami i stoją dokoła Górnego Poziomu, obserwując Roya, nie wiedząc, co zrobić ani jak zareagować, ani czy da się go powstrzymać. Zwiększył tempo swojego szału i podskakuje na kanapie, jedną ręką uderzając pałką o oparcie kanapy, a drugą drapiąc się po twarzy. Ślina pryska mu z ust i drobinki krwi plamią wykładzinę i ściany i wygląda, jakby się zsikał albo był w trakcie sikania. Chyba w ogóle nie zauważa, że w Sali jest ktoś jeszcze. Pojawia się Lincoln z dużym mężczyzną w szarym ubraniu i z krótkofalówką, który jest przypuszczalnie

kimś z Ochrony.

Przez chwilę stoją na górze schodów, obserwując Roya i po cichu rozmawiając. Kiedy kończą rozmawiać, zaczynają schodzić po schodach, a Roy zaczyna wrzeszczeć i piorunuje ich wzrokiem i podnosi pałkę i wymachuje nią w ich kierunku.

Dlaczego próbujecie mnie zabić?

Lincoln mówi. Cicho i spokojnie.

Roy?

Dlaczego próbujecie mnie zabić?

Roy, nie próbujemy cię zabić.

Schodzą po schodach i zatrzymują się.

Kto to jest Roy?

Lincoln robi krok do przodu, mężczyzna zostaje.

Brałeś coś, Roy?

Roy podskakuje na kanapie. Potrząsa pałką.

NIE JESTEM ROY.

Lincoln robi krok do przodu.

Kim jesteś?

Nazywam się Jack i zabiję cię. ZABIJĘ CIĘ, TY SKURWYSYNU.

Lincoln odwraca się i daje znak mężczyźnie, a mężczyzna zaczyna mówić do krótkofalówki.

Lincoln odwraca się do Roya.

Cześć, Jack.

Zmiażdżę ci łeb, ty dwulicowy Skurwielu.

Dlaczego miałbyś to zrobić, Jack?

Bo jestem Zabójcą. Bezwzględny najemny

Zabójcą.

Pojawia się dwóch kolejnych ubranych na szaro mężczyzn. Mężczyzna, który przyszedł z Lincolnem, odchrząkuje. Lincoln odwraca się, sygnalizuje głową naprzód i robi krok w stronę Roya. Mężczyźni sięgają do kieszeni i wyciągają rękawiczki z lateksu i zakładają je.

Może oddasz mi pałkę, Jack?

Roy potrząsa pałką.

To żadna pałka, tylko maczuga. Kafar.

Mężczyźni się zbliżają.

Może odłożysz maczugę, Jack.

Po moim trupie, Jebako.

Mężczyźni otaczają kanapę, Lincoln staje przed Royem. Ten marszczy brwi i warczy i obraca się, żeby się bronić.

Zmiażdżę wam łby, Chujociągi.

Roy.

Zabiję was na śmierć, aż będziecie martwi i umrzecie, wy Skurwysyny.

Roy.

Mężczyźni patrzą na Lincolna, Lincoln na Roya. Roy obraca się, wymachując pałką i wrzeszcząc.

Jestem kafar Jack. Rozpierdolę was wszystkich na kawałeczki.

Lincoln kiwa do mężczyzny, który z nim przyszedł, ten kiwa do dwóch pozostałych mężczyzn. Kiedy Roy stoi odwrócony, jeden z nich rzuca się na

niego z tyłu, wytrącając pałkę w powietrze i przewracając go na podłogę. Dwóch pozostałych natychmiast na niego wskakuje i łapią go za ręce, a kiedy próbują go poskromić, rzuca się na nich z pazurami i próbuje ich gryźć. Kiedy wie, że to już koniec i już po nim, zaczyna wrzeszczeć wrzeszczeć wrzeszczeć. Wrzeszczeć. Jak palone żywcem Dziecko.

Większość mężczyzn z Oddziału zebrała się na Górnym Poziomie i obserwują, jak mężczyźni podnoszą Roya. Jeden trzyma go za nogi, drugi za dłonie i dolną część tułowia, trzeci za ramiona i klatkę piersiową. Wnoszą go po schodach i wynoszą z Oddziału i kiedy niosą go po Korytarzach, ciągle wrzeszczy. Choć z pewnością zabierają go w nieprzyjemne miejsce, nie wydaje mi się, żeby było gorsze niż to, w którym właśnie był. Nie może być. Jego wrzaski.

Ni chuja.

Lincoln, który przyglądał się bez słowa, zwraca się do nas.

Chłopcy, przedstawienie skończone. Z powrotem do łóżek.

Nikt się nie rusza.

Z powrotem do łóżek.

Nikt się nie rusza. Ted mówi.

To wszystko na dzisiaj?

Parę osób się śmieje. Lincoln patrzy na Teda.

Ted, to nie jest śmieszne.

Ted mówi.

Dla mnie jest.

Lincoln ignoruje go.

Wszyscy z powrotem do łóżek. Pogadamy o tym jutro.

Stoi i patrzy, a niektórzy mężczyźni zaczynają jeden po drugim wychodzić. Kiedy to robią, wspina się po schodach i wychodzi. Jestem rozbudzony i nie wracam do łóżka. Nawet gdybym wrócił, nie ma mowy, żebym zasnął. Wrzaski rozbrzmiewają echem w mojej głowie. Widok krwi i śliny mnie nie opuszcza. Słowa nie jestem Roy żyją wewnątrz mnie. Pustka i szaleństwo jego oczu mnie prześladowuje. Nie wracam do łóżka. Te wrzaski brzmiały, jakby palono żywcem Dziecko.

Podchodzę do ekspresu do kawy i zaczynam przygotowywać pierwszy dzienny zapas. Napęlniam filtr tanią, zmieloną hurtem kawą, napęlniam zbiornik wodą z kranu, naciskam przycisk. Stoję i czekam, podczas gdy woda przecieka przez przezroczysty brąz i bulgocze bulgocze bulgocze. Kiedy woda przestaje lecieć, napęlniam kubek kawą i wypijam łyk i jest gorąca i jest gorzka i jest dobra. Bez cukru i bez śmietanki jest gorąca i gorzka i dobra. Nie wracam do łóżka. Będę potrzebował kawy. Będę jej potrzebował. Podchodzę do oddalonego o parę kroków stolika. Kilku mężczyzn zebrało się tam i

rozmawiają o tym, czego byliśmy właśnie świadkami. Mówię im, że kawa jest gotowa, i kilku z nich wstaje, żeby sobie nalać, a ja siadam i słucham. Zastanawiają się, które narkotyki mogą zrobić z Człowiekiem to, co się stało z Royem, albo raczej, co on ze sobą zrobił. Crack mógł to zrobić, metamfa mogła to zrobić, PCP albo duża dawka kwasu mogły to zrobić, ale nic innego z łatwo dostępnych rzeczy nie jest tak mocne. Ted uważa, że to był crack. Kilka razy miał psychozę po cracku, ostatnio, kiedy przemaszerował po Głównej Ulicy w małym Miasteczku w Missisipi w kostiumie Świętego Mikołaja i rzucał torebkami z gównem w przejeżdżające samochody i Przechodniów. Mężczyzna, którego nie znam, uważa, że to była metamfa, i wydaje mu się, że Roy przypuszczalnie nie spał od kilku dni i cierpi na ciężki przypadek braku snu. Pozostali myślą, że to było PCP albo kwas. Każdy z osobna i obydwu na raz mogą zrobić coś takiego z Człowiekiem na krótką metę albo na dłużej. Każdy z osobna i obydwu naraz mogą to zrobić za pierwszym razem. Łysol mówi, że Roy jest Alkoholikiem i że nienawidzi narkotyków i nienawidzi każdego, kto bierze, i że nigdy by ich nie wziął. Myśli, że po prostu oszalał. Ni stąd, ni zowąd źle działający umysł do reszty się rozsypał. Nie mam teorii. Siedzę i słucham i piję kawę i czekam, aż wrzaski ucichną.

Mężczyźni rozchodzą się do łóżek, jeden po drugim, zmęczeni i zmęczeni rozmową. Rozchodzą się, aż zostaję sam i jestem jedynym, który nie śpi, ja i tania kawa i blade ciche ściany i powolne samotne chwile i żyjąca przemieszczająca się ciemność najgłębszej nocy. Siedzę przy stoliku i palę papierosy i piję kawę. Słucham tykania niewidocznego zegara i rozmyślam o tym, jak źle działający umysł może rozsypać się do reszty i przypominam sobie. Siedzę patrzę palę piję słucham tyka pamiętam. Źle działający umysł może rozsypać się do reszty. Rozsypał się do reszty. Pamiętam.

Pamiętam ją. Pamiętam ją wysoką i szczupłą i smukłą i z włosami blond jak najgrubszy jedwab jej oczy niebieskie oczy arktyczne oczy pamiętam ją. Pamiętam, jak zostawiłem ją tego popołudnia, kiedy przyniosłem Lucindzie torebkę trawy. Pamiętam, jak następnego dnia ją widziałem. Pamiętam, jak z nią nie rozmawiałem, ale chciałem z nią porozmawiać i nie byłem w stanie z nią porozmawiać. Pamiętam, jak się w nią wpatrywałem, brawurowo i bez ogródek, wzrok utkwiony i magnetyczny i nieruchomy, prosto na nią. Pamiętam, że nie wiedziałem, czy to zauważyła. Zatraciłem się głęboko i mocno i zatraciłem się. Nie wiedziałem, czy zauważyła. Przyglądałem się jej przez następny rok. Na Ulicy, w Korytarzach, na chodnikach, przy stole, przed Kawiarnią, wewnątrz Baru, rano po południu w nocy.

Jeżeli byłem tam, gdzie ona, to się jej przyglądałem. Chciałem z nią porozmawiać, ale nie zrobiłem tego. Nigdy cześć, nigdy jak się masz, nigdy co słyhać, nigdy jak leci, nigdy nie powiedziałem słowa, tylko na nią patrzyłem. Po pewnym czasie wiedziałem, że wie, że to robię, ale nigdy nie kazała mi przestać. Po prostu patrzyłem.

Zniknęła na początku trzeciego roku. Nie wiedziałem, gdzie jest, i nikogo nie pytałem. Studenci nierzadko wyjeżdżali za granicę albo do pracy, więc zakładałem, że wróci. Gdyby nie wróciła, pojechałbym jej szukać. Była daleko daleko i gdyby nie wróciła, przeszukałbym Ziemię na wylot. Szukałbym, aż bym ją znalazł.

Zobaczyłem ją znowu na Zajęciach. To były pierwsze Zajęcia nowego semestru Jesiennego, piętnaście miesięcy po tym, jak zniknęła. Przyszedłem pijany po poprzedniej nocy i kręciło mi się w głowie z odwodnienia i wyczerpania i usiadłem z tyłu Sali, z dala od reszty Studentów, tak daleko, jak tylko mogłem. Położyłem ręce na ławce i położyłem głowę na rękach i zamknąłem oczy i głowa mi wirowała żołądek mi wirował ciało mi wirowało i starałem się nie zasnąć i starałem się nie zwymiotować nie chciałem zwymiotować na pierwszych Zajęciach. Podniosłem głowę, kiedy usłyszałem, jak Profesor mówi dzień dobry i witam na kolejnym roku, i ona tam była, w pierwszym

rzędzie, z Lucindą i inną dziewczyną, którą już widziałem, ale której nie znałem. Była tam. Nie widziałem jej przez ponad rok. Przeszukałbym Ziemię na wylot. Była tam.

Siedziałem i patrzyłem na nią. Zapomniałem, że jestem pijany, zapomniałem, że jest mi niedobrze, zapomniałem, że jestem na Zajęciach, zapomniałem, że jestem w Szkole, zapomniałem, że mam przyjaciół, Rodzinę, życie, imię, twarz, umysł. Zapomniałem o wszystkim, zapomniałem zapomniałem zapomniałem o wszystkim, I patrzyłem na nią. Chociaż patrzyłem z tyłu, widziałem, że zmieniła się, od kiedy ją ostatnio widziałem. Przybrała na wadze, miała dłuższe włosy, opaliła się i promieniowała z niej cicha opanowana pewność siebie, której nie było wcześniej. Była ubrana na czarno i ta czerń sprawiała, że jej włosy były jeszcze jaśniejsze, a oczy, mimo że ich nie widziałem, jeszcze bardziej niebieskie. Poszedłbym na koniec Świata.

Kiedy Zajęcia się skończyły, nie chciałem, żeby się skończyły, chciałem tylko patrzeć, wstała i odwróciła się, jak gdyby wiedziała, że tam jestem, dwoje oczu utkwionych i magnetycznych i popatrzyła na mnie i wytrzymałem jej spojrzenie arktyczne niebieskie kontra bladozielone. Patrzyła i wytrzymałem, aż Sala była pusta, i odwróciła się i wyszła. Wzięłem głęboki oddech i poszedłem za nią.

Szła po Korytarzach Budynku. To był Budynek Nauk Humanistycznych i rozsadzały go podniecenie i hałas nowego roku. Szła szybko, ale zwalniała na zakrętach i klatkach schodowych na tyle, żebym zobaczył, dokąd idzie, i na tyle, żebym wiedział, że chce, żebym zobaczył, dokąd idzie. Arktyczny błękit kontra blada zieleń.

Zgubiłem ją gdzieś koło Głównego Wejścia do Budynku i spanikowałem. Nie chciałem jej zgubić i popędziłem na zewnątrz natychmiast przeszukując rozglądając się dokąd poszła chcę ją zobaczyć patrzeć na nią dokąd poszła arktyczne niebieskie dokąd dokąd dokąd i usłyszałem głos wypowiadający moje imię wypowiadający je wyraźnie, czysto, dobitnie, zwyczajnie, jak słońce na kamieniu w płytkiej wodzie. Wyraźnie czysto zwyczajnie i dobitnie głos powiedział moje imię James.

Zatrzymałem się i odwróciłem i stała na dużym szerokim kamiennym schodku, pierwszym z dziesięciu. Stała tam, czekając na mnie.

James.

Co?

Dlaczego mi się przyglądasz?

Co?

Przyglądasz mi się. Chcę wiedzieć dlaczego.

Przecież wiesz dlaczego.

Nie wiem.

Wiesz.

Nie wiem.

Wiesz, tylko chcesz usłyszeć, jak to mówię.

Powiedz, dlaczego mi się przyglądasz.

Wzięłem głęboki oddech.

Kiedy cię zobaczyłem pierwszy raz, serce mi zadrżało. Kiedy cię zobaczyłem drugi raz, serce mi zadrżało. Za trzecim razem czwartym razem piątym razem i każdym następnym serce mi drżało.

Patrzyłem na nią.

Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. Twoje włosy, twoje oczy, twoje usta, twoje ciało, do którego jeszcze się nie przyzwyczaiłaś, to, jak chodzisz, uśmiechasz się, śmiejesz, to, jak policzki ci się zapadają, kiedy jesteś wściekła albo zdenerwowana, to, jak powłóczysz nogami, kiedy jesteś zmęczona. Każdy twój szczegół jest piękny.

Patrzyłem na nią.

Kiedy cię widzę, Świat się zatrzymuje. Zatrzymuje się i wszystko, co mi zostaje, to ty i moje oczy, które się w ciebie wpatrują. Nie ma nic więcej. Nie ma hałasu, nie ma innych ludzi, nie ma myśli ani zmartwień, nie ma wczoraj, nie ma jutra. Świat się po prostu zatrzymuje, i to piękne miejsce, i jesteś tylko ty. Tylko ty i moje oczy, które się w ciebie wpatrują.

Patrzyłem.

Kiedy odchodzisz, Świat znowu odżywa i już mi się tak nie podoba. Mogę w nim żyć, ale mi się nie

podoba. Po prostu chodzę po nim i czekam, aż cię znowu zobaczę, i czekam, aż się znowu zatrzyma. Uwielbiam, kiedy się zatrzymuje. To najbardziej wyjebista rzecz, jaką kiedykolwiek znałem i czułem, najlepsza rzecz, i oto, piękna Dziewczyno, dlaczego ci się przyglądam.

Staliśmy o krok od siebie, patrząc na siebie, arktyczne i blade, utkwione i magnetyczne. Świat się zatrzymał i nie było nic więcej. Tylko ja i ona, arktyczne i blade, utkwione i magnetyczne. Uśmiechnęła się.

To było piękne.

To była prawda.

Dziękuję.

Nie ma sprawy.

Co teraz robisz?

Mam kolejne Zajęcia. Potem mam zamiar się nawalić.

Serio?

Aha.

Te opowieści to prawda?

Nie wiem, co słyszałaś, ale pewnie tak.

Liczyłam na to, że nie.

Nie wiem, co powiedzieć.

Robię krok w tył, jeden schodek niżej.

Zobaczymy się jeszcze?

Uśmiechnęła się i przytaknęła.

Tak.

Odwróciłem się i odszedłem i z każdym krokiem po schodach nogi mi się trzęsły jak galareta. Wiedziałem, że patrzy, jak odchodzę, i czeka, żebym odwrócił się po kolejny uśmiech, i chciałbym zobaczyć kolejny uśmiech i chciałbym, żeby Świat się zatrzymał, i czekała na to, ale się nie odwróciłem. Szedłem do przodu, obraz w mojej głowie, arktyczne i blade, utkwione i magnetyczne, piękne wspaniałe tajemnicze i cudowne. Był w mojej głowie. Wiedziałem, że nigdzie się nie wybiera.

Słucham tykania niewidocznego zegara odmierzającego czas od dawno minionych chwil. Tykanie mnie pochłania i zatrzymuje i niesie i zajmuje niczym powolne ruchy wahadła przed oczami głupka.

Świat zatrzymuje się nie tak jak wcześniej i nie w dobry sposób. Zatrzymał się i nie idzie do przodu, tak samo jak moje życie zatrzymało się i nie idzie do przodu. Nie idzie do przodu ani do tyłu ani w ogóle donikąd, po prostu się zatrzymało. Po prostu się zatrzymało.

Zegar trzyma mnie w nigdzie. Nigdzie. Nigdzie. Nie ma nic oprócz teraz i przemieszczającej się głębi nocy. Siedzę sam przy stoliku, palę papierosy i piję kawę i słucham i trzymam się życia. Nie powinno mnie być tu ani gdziekolwiek indziej. Nie powinienem oddychać ani zajmować przestrzeni. Nie powinienem mieć tej chwili ani niczego innego. Nie

powinienem mieć tej możliwości, żeby znowu żyć. Nie zasługuję na nią i nie zasługuję na nic, jednak ona tu jest i ja tu jestem i nadal mam ją nietkniętą. Nie dostanę jej ponownie. Tej chwili ani tej szansy to jedno i to samo. Tej chwili ani tej szansy to jedno i to samo i będą moje, jeżeli tak zdecyduję, i to właśnie robię. Pragnę ich. Teraz i tak długo, jak mogę je mieć, obie są cenne i ulotne i znikną w mgnieniu oka nie zmarnuj ich. Chwila i szansa i życie, to wszystko w niewidocznym tykaniu zegara trzymającego mnie w nigdzie. Serce mi bije. Ściany są blade i ciche. Trzymam się życia.

Ciemności się rozstępują, światło atakuje je i zwycięża. Oprócz mnie Oddział jest nadal pusty. Wstaję i chcę oddychać głęboko i oddychać bez ograniczeń i podchodzę do drzwi i otwieram je i wychodzę na zewnątrz. Idę nad Jezioro, nad którym unosi się lodowata mgła powstała z różnicy temperatur. Mgła unosi się nad przejrzystą spokojną czernią wody, przemieszcza się w górę bez poruszania, zmienia kształt, będąc ciągle taka sama. Mgła mi się podoba i chcę ją wchłonąć i pozwolić jej stać się mną. Chcę ją wypić i być pełny. Chcę ją połknąć i oddać się jej do obróbki. Mgło, uczyn mnie takim, jaki powinienem być. Uczyn mnie takim, jaki powinienem być.

Siadam na środkowej ławce. Zimno mi w nogi i plecy, ale zimno jest przeciw wagą kawy i papierosów

i nocy. Przyglądam się bez ruchu i silny, a ptak szybuje w dół i przedziera się, przebijając sobie drogę niczym Lodowiec dryfujący na południe. Podlatuje i wylatuje i wznosi się ponad mgłę i znajduje drzewo i siada na drzewie i odpoczywa, spoglądając w dół nie na mnie, ale na to, czego szukał. Nie ma tego teraz ani znowu, więc zostaje ptak zostaje na gałęzi wyprostowany i wierny. Patrzy, szuka, bada, czeka. Zostaje wyprostowany i wiemy.

Słyszę z tyłu hałas i odwracam się do hałasu. Z odbicia szklanych drzwi wyłania się Postać. Jest opatulona warstwami bawełny i jaskrawego niebieskiego nylonu nosi okulary i kapelusz. Zamyka drzwi i widzi mnie i podchodzi do mnie krok za krokiem celowo przez gęstą połyskującą rosę. Nie chcę jej, tej Postaci, ani tego, co przynosi, więc odwracam się od niej i patrzę na wodę nieruchomą i silną. Ptak nadal tam jest. Patrzy, szuka, bada, czeka. Siedzi wyprostowany i wiemy.

Kroki się zbliżają i kątem oka widzę bawełnę i nylon. Próbuję to zignorować, ale słyszę głos.

Hej, Młody.

Znam ten głos.

Hej, Leonard.

Staje przede mną.

Mogę się przy siąść?

Wpatruję się w mgłę.

To nie moje ławki.

Śmieje się i siada.
Dlaczego tak wczesnie wstałeś?
Wpatruję się w mgłę.
Nie mogłem spać.
Roy?
Między innymi.
Jakimi innymi?
Takimi, że nie będę o nich rozmawiał.
Na pewno?
Tak, na pewno.
Leonard wstaje.
Chodźmy na spacer.
Nie ruszam się z ławki.
Dzięki, ale nie.
No chodź.
Nie.
Dlaczego.
Spoglądam na niego.
Nie wiem, czy chcę się pokazywać z tobą w tym
dresie. Spogląda na siebie i znów na mnie.
Coś nie tak z tym dressem?
Z czego on jest?
Pociera go, uśmiecha się.
Z mieszanki rayonu/nylonu/atłasu.
Śmieję się.
To jest pierwsze nie tak.
A drugie?
Masz złoty zegarek.

Uwielbiam ten zegarek.

I lamerskie okulary.

Od Gucciego.

Nie obchodzi mnie od kogo, są lamerskie.

Zdejmuje je, ogląda, chowa do kieszeni.

A teraz?

Lepiej.

Uśmiecha się, pokazuje na las.

Młody, chodźmy na spacer.

Wstaję i zaczynamy iść i znajdujemy Szlak do Lasu. Leonard pyta, jak leci, i odpowiadam, że w porządku. Pyta jeszcze raz i jeszcze raz odpowiadam, że w porządku. Pyta jeszcze raz i odpowiadam, że kurwa w porządku, i mówi, że w porządku to żadna odpowiedź, chce wiedzieć, jak leci naprawdę. Odpowiadam, że nie wiem. Pyta, co to znaczy, i odpowiadam, że nie wiem, jak leci, że czasami jest mi dobrze a czasami jest mi znacznie gorzej znacznie znacznie gorzej niż dobrze. Mówi, że jeżeli tak się właśnie czuję, to znaczy, że jest w porządku, i powinienem tak trzymać i mi się polepszy i życie mi się polepszy wszystko się polepszy i śmieję się do niego. Pyta, czemu się śmieję, i odpowiadam, że śmieję się, bo nie wydaje mi się, żeby on, Kokainista i Pacjent i Pojeb Pierwszej Wody, mógł dawać mi jakieś rady. Śmieje się i mówi poszukajmy czegoś do siedzenia, Młody. Chcę ci coś opowiedzieć.

Idziemy, aż dochodzimy do ławki przy jednym z

mniejszych Jeziorek. To zwykła drewniana ławka, która wygląda, jakby została wyciosana z jednego kawałka drewna. Ma szorstkie krawędzie, chropowatą powierzchnię i tak jak wszystkie ławki o tej porze jest zimna. Słońce zaczęło wschodzić i żółte i białe snopy wypalają mgłę. Dryfujące tafle szarego lodu przemieszczają się i pękają z trzaskiem wystrzałów i woda kapie z sopli zwisających z gałęzi Dębu i Sosny, krople roztopiają warstwę szronu pod spodem. Mimo że jestem lekko ubrany, jest mi ciepło. Serce mi bije i trzymam się życia i jest mi ciepło.

Leonard spogląda na Jezioro. Jest bardziej opanowany niż kiedykolwiek, jego aura przemocy, kontroli i władzy zniknęła. Trzyma dłonie złożone nieruchomo na kolanach, jego oddech jest głęboki i miarowy, a wzrok skoncentrowany na czymś w oddali, mimo że wcale na to nie patrzy. Jego oczy patrzą do wewnątrz, redagując, przypominając sobie, kombinując, jak by to opowiedzieć. Pozostaje w bezruchu, zaczyna mówić.

Opowiedziałem ci, jak zginął mój Ojciec. Jak potrąciła i zabiła go ciężarówka. Zanim umarł, kiedy leżał w Szpitalnym łóżku, wziął moją dłoń i powiedział, że jedyną rzeczą, jakiej dla mnie pragnął, było to, żebym pewnego dnia odniósł taki sukces, żeby należeć do Klubu i zagrać na Polu Golfowym, które on kosił przez piętnaście lat. Obiecałem mu, że

pewnego dnia to zrobię.

Leonard bierze głęboki oddech.

Opowiedziałem ci, jak zginęła moja Matka i jak Michelangelo i Geena zaadoptowali i wychowali mnie jak własnego syna. Oprócz wychowywania mnie Michelangelo wciągnął mnie do interesów. Nieważne jakich. Ważne, że nauczył mnie to robić i mnie w tym ustawił. Załatwiałem dla niego drobne sprawy, a on mnie obserwował i chronił. Gdy Michelangelo i Geena mieli okazję przeprowadzić się do Las Vegas, skorzystali z niej i pojechałem z nimi. Bardzo szybko zaczęło nam się powodzić. Vegas kwitło i przeżywało boom, a my z nim. Mieliśmy pieniądze, Domy, samochody, czego tylko zapragnęliśmy. Było tam wszystko, czego tylko zapragnęliśmy. Leonard urywa, patrzy w ziemię. Bierze głęboki oddech, podnosi wzrok. Potem okazało się, że Geena ma raka. To był zły rak, rak kości, i – wyniszczył ją szybko i brutalnie. W ciągu trzech jebanych miesięcy z najpiękniejszej kobiety na Świecie przemieniła się w jebany szkielet, a kiedy rak ją zabił, w pewnym sensie zabił też mnie i Michelangelo.

Kręci głową, patrzy na Jezioro.

Nic nie było już tak jak przedtem. Michelangela przestał kręcić nasz biznes i oddał go mnie. Potem przestałem go widywać. Chyba za bardzo przypominaliśmy sobie o tym, co straciliśmy. To

były główniane przygnębiające lata. Obydwaj zaczęliśmy więcej pić i przeginać z kokainą, ale Michelangelowi kompletnie odbiło. Pewnego dnia musiałem się z nim spotkać, żeby coś przedyskutować, więc poszedłem do niego do domu. Nie było mnie tam od miesiący, a kiedy wszedłem do środka, zrobiło mi się niedobrze. Na stołach były lustra pełne koki, wszędzie wałały się butelki i puszki, w każdym pokoju sterty śmieci, a Blondynki z wielkimi sztucznymi cycami spały na kanapach i wylegiwały się przy Basenie. Poszedłem do jego Pokoju, a on siedział tam z kilkoma młodymi Dziewczynami i kupą drągów. Powiedziałem Dziewczynom, żeby spadały, i zaprowadziłem go do Basenu. Posadziłem go i spojrzałem mu w oczy i powiedziałem Mikey, powinienes się kurwa wstydzic. Powinienes się wstydzic tego, jak żyjesz, i wstydzic tego, że bezczescisz pamiec swojej Zony. Geena nie chcialaby, zebyś tak skonczył, i jezeli oglada cię z Nieba, to pewnie wypłakuje sobie oczy. Nie powiedział ani słowa. Tylko się odwrócił i wyszedł z Domu.

Nie wiedziałem, dokąd poszedł, w ogóle się ze mną nie kontaktował, więc zacząłem go oplakiwać. Moja żałoba była taka sama jak jego. Piłem za dużo, brałem za dużo koki i robiłem masę kretyńskich rzeczy.

Jakiś rok później śpię w swoim łóżku i słyszę, że

ktoś jest w domu. Pod poduszką zawsze trzymam rewolwer, więc wziąłem go i poszedłem się rozejrzeć. Usłyszałem kogoś w kuchni i poszedłem tam i zobaczyłem Michelangela, który schudł dwadzieścia kilo i wyglądał lepiej i bardziej zdrowo niż kiedykolwiek. Spojrzał na mnie i zapytał, dlaczego cholerna lodówka jest pusta.

Uściskałem go i zapytałem, gdzie był, a on powiedział mi, że tutaj, w tej Klinice, gdzie ty i ja teraz jesteśmy. Powiedział, że kiedy wyszedł z Domu tego dnia, kiedy go otrzeźwiłem, miał zamiar pojechać na Pustynię i palnąć sobie w łeb, ale kiedy już tam dotarł, nie był w stanie. Postanowił, że jeżeli ma umrzeć, to chce umrzeć tak, jak żył przez większość życia, czyli z godnością i honorem. Słyszał o tym miejscu i postanowił, że tu przyjedzie. Kupił mapę i przyjechał tu z Vegas i został, aż poczuł się lepiej. Potem wsiadł do samochodu i jeździł przez parę miesięcy, zobaczył Biały Dom i Key West i Bourbon Street i Alaskę. Zobaczył wszystko, co zawsze chciał zobaczyć, a czego nigdy nie widział.

Przyjechał do Domu, żeby mi powiedzieć, że przechodzi na emeryturę i chce, żebym tu przyjechał. Powiedział, że to miejsce odmieniło jego życie. Powiedział, że abstynencja to najtrudniejsze, co osiągnął, ale oprócz małżeństwa i życia spędzonego z Geeną najlepsze. Chciał, żebym też został abstynentem, powiedział, że nigdy nie odejdzie ani

nie umrze, dopóki tego nie zrobię.

Przez resztę dnia graliśmy w golfa i rozmawialiśmy o tym miejscu. Powiedział, że kiedy tu przyjechał, myślał, że popełnił duży błąd. Rozważał odejście, ale tego nie zrobił. Kilka dni później poczuł się lepiej i wiedział, że coś jest na rzeczy. Miesiąc później wiedział, że będzie w porządku. W dalszym ciągu miewał kiepskie chwile i trudne chwile i chwile, kiedy wydawało mu się, że już po nim, ale kiedy nadchodziły, po prostu się trzymał. Trzymał się mocno i z całych sił, aż dobre zaczęły powracać. Kiedy był gotowy do wyjścia, miał pewność, że nigdy więcej nie będzie pić ani ćpać, i powiedział, że wyszedł stąd szczęśliwy i dumny.

Przez kilka następnych dni rozmawialiśmy jeszcze o wpływie, jaki to miejsce na niego miało i o moim przyjeździe tutaj. Jakiś tydzień później podjechał do mnie do domu i zabrał mnie i powiedział, że zaprasza mnie do mojej ulubionej Restauracji. Nie wiem, jak zrobił, że się o tym nie dowiedziałem, ale zorganizował wielką kolację ze wszystkimi naszymi przyjaciółmi, nawet tymi starymi z Nowego Jorku. Kiedy weszliśmy, wszyscy na nas czekali. Jedliśmy, piliśmy, wciągaliśmy kokę. Michelangelo powiedział, że wsadza mnie następnego dnia do Samolotu, więc sobie pofolgowałem. Po kilku godzinach powiedział mi, że

jedzie do Domu. Powiedział, że nie czuje się zupełnie w porządku, spędzając cały wieczór z taką masą alkoholu i narkotyków. Uściskał mnie i powiedział, że przyjedzie po mnie w południe i zabierze mnie na Lotnisko. Wyciskałem go i powiedziałem, że będę czekał i że będzie ze mnie dumny. Powiedział, że to wie.

Leonard bierze głęboki oddech.

Odwrócił się i wyszedł w stronę parkingowego. Stałem w drzwiach i patrzyłem, jak czeka na samochód, licząc, że się odwróci, żebym mógł do niego pomachać. Kiedy tak stał, podjechał czarny lincoln i okna się opuściły. Wiedziałem, co się dzieje, i próbowałem krzyczeć, ale zanim zdążyłem coś powiedzieć, pojawiły się lufy. Zaczęły miotać ogniem. Po prostu miotać kurwa ogniem. Michelangelo padł od razu i nawet kiedy już leżał, gnaty miotały kurwa ogniem. Zanim tam dobiegłem, było już po nim, trafili go szesnaście razy, dwa razy w klatkę piersiową, cztery w żołądek, reszta w ramiona i nogi. Ludzie biegali wszędzie, krew była wszędzie, i było po nim, trafiony szesnaście razy przez samochód tchórzliwych Chujów.

Głos Leonarda się załamuje i łzy zaczynają lecieć mu po policzkach. Trzymałem go, kiedy krwawił. Tylko go trzymałem i mówiłem, jak bardzo go kocham. Był jeszcze przytomny i mógł mówić, ale wiedział, że już po nim. Zanim umarł, podniósł

zakrwawioną dłoń i położył mi na policzku. Spojrzał mi w oczy i powiedział, żyj honorowo i godnie, czcij pamięć wszystkich swoich Rodziców. Chcę, żebyś grał na Polu twojego pierwszego Ojca i grał, jakbyś był członkiem Klubu, i chcę, żebyś żył w trzeźwości i żył wolny. Zrób to dla mnie, Leonard. Żyj w trzeźwości i żyj wolny. To będzie trudne i przerażające i straszne, ale jeżeli będziesz się trzymać, będziesz w porządku. Tylko się trzymaj. A potem umarł w moich ramionach, zastrzelony jak jebany pies. Umarł mi w ramionach.

Leonard rozkleja się i zaczyna płakać. To silny rozdzierający szlochający pustoszący płacz, płacz z rany, która nigdy się nie zagoi. Pozwalam mu płakać, zostawiam go ze wspomnieniami i stratą i bólem. Mógłbym go pocieszyć, ale to bez znaczenia. Rany, które nigdy się nie goją, można oplakiwać tylko w samotności.

Odzyskuje panowanie nad sobą, a wraz z nim aurę przemocy, kontroli i władzy. Patrzy przez Jezioro na płonącą mgłę i dryfujący pękający lód, z utrwalonym w głowie wizerunkiem zmarłego.

Nie wsiadłem do Samolotu ani następnego dnia, ani długo potem. Pochowałem Michelangela obok Geeny i płakałem na ich grobach, tak jak płakałem przed chwilą i tak jak płaczę za każdym razem, kiedy o nich myślę. Potem zamknąłem się na tydzień w domu i doprowadziłem się do stanu przechodzącego

wszelkie wyobrażenie. Kiedy wyszedłem po tym tygodniu, w głowie miałem już tylko zemstę.

Przez następny rok ścigałem Matkojebców odpowiedzialnych za zamordowanie Michelangela. Potem znalazłem Matkojebców, dla których pracowali, a potem Matkojebców, dla których pracowali tamci Matkojebcy. To, co im zrobiłem, nie jest godne tej opowieści, ale powiedzmy, że nie dany im był luksus przebywania w ramionach kogoś, kto ich kocha, kiedy skurwieli dobijałem. Potem przez rok piłem i ćpałem i próbowałem się wkręcić na to cholerne Pole Golfowe w Westchester. Nie udało się, więc postanowiłem dać sobie na razie spokój i przyjechać tutaj, dochodząc do wniosku, że jeżeli nie potrafię sprawić, żeby mój pierwszy Ojciec był ze mnie dumny, to chociaż kuma mógłbym to umożliwić drugiemu.

Pobyt tutaj i terapia okazały się niewiarygodnie trudne, znacznie trudniejsze, niż je sobie wyobrażałem. Kiedy tu przyjechałem, byłem jebanym wrakiem. Nie takim wrakiem jak ty, ale też niezłym. Każda mijająca sekunda była najpodlejszym Piekłem. Teraz jest coraz łatwiej, ale to ciągle kurewsko paskudne i nadal jest o wiele więcej złych chwil niż dobrych chwil i o wiele więcej złych uczuć niż dobrych uczuć. Nie wiem, co myśleć o Sile Wyższej i Dwunastu Krokach i całej reszcie tego, o czym tu gadają, ale wiem, że kiedy sprawy się rypią i

kiedy myślę, że nie zniosę kolejnej minuty tutaj, jeżeli tylko się trzymam, trzymam się mocno i z całych sił, ten szajs zaczyna znikać. Stary miał rację, tak jak zawsze, i jego ostatnie słowa były prawdziwe. Tylko się trzymaj. Tylko się trzymaj.

Leonard odwraca się i patrzy na mnie. Odwzajemniam spojrzenie. Opowiedziałem ci tę historię z kilku powodów. Najważniejszy to ten, że kiedy się podłamiesz albo będzie ci się wydawać, że już kurwa nie pociągniesz, tylko się trzymaj, a wcześniej czy później szajs zniknie.

Patrzymy na siebie.

Jak już mówiłem, Młody, wyjdiesz stąd, to cię tu sprowadzę. Tyle razy, ile będzie trzeba, zostaniesz tu kurwa mać przyprowadzony.

Jak chcesz, to możesz mnie w tej kwestii przetestować, ale ci to odradzam. Jeżeli jesteś bystry, to posłuchasz mojej rady. Może jestem Kokainistą i Pacjentem i Pojebem Pierwszej Wody, ale daję ci dobrą radę. Bądź bystry, bądź silny, bądź dumny, żyj honorowo i godnie i po prostu się trzymaj.

Patrzymy na siebie. Słucham go i szanuję go i szanuję słowa, które wypowiada. Są prawdziwe. Są rezultatem doświadczenia i uczucia.

A temu mogę zawierzyć. Prawdzie, doświadczeniu i uczuciu. Mogę im zawierzyć. Tylko się trzymaj.

Myślisz, że możesz to zrobić?

Przytakuję.

No, mogę to zrobić.

Uśmiecha się.

Nie będziesz się ze mną o to kłócił?

Kręcę głową.

Nie, nie będę się z tobą kłócił.

Młody, jest z tobą coraz lepiej.

Chichoczę. Odwracam się i patrzę na Jezioro. Mgła zniknęła i lód się zmniejszył, kapanie z sopli jest szybkie i intensywne. Słońce wzeszło i Niebo jest niebieskie puste niebieskie jasne niebieskie czyste niebieskie. Napiłbym się Nieba, gdyby dało się go napić, napiłbym się go i uczcił je i dał się nim wypełnić i stałbym się nim. Jest ze mną coraz lepiej. Puste i czyste i jasne i niebieskie. Jest ze mną coraz lepiej.

Leonard mówi.

Czas na śniadanie.

No.

Leonard wstaje. Spoglądam na niego.

Leonard, dziękuję.

Uśmiecha się.

Nie ma sprawy, Młody.

Wstaję. Chcę powiedzieć coś jeszcze, ale nie mam słów, żeby wyrazić wielką, prostą, głęboką wdzięczność, jaką czuję. Wyciągam ręce i obejmuję Leonarda i ściskam go. Nie mam słów, więc pozwalam mówić czynom. Wielka, prosta, głęboka

wdzięczność. Czyny mówią prawdę.

Odsuwamy się od siebie i zaczynamy wracać do Kliniki. Kiedy idziemy po Szlaku, mijamy innych Pacjentów i witamy się z nimi albo kiwamy do nich głowami albo wymieniamy z nimi drobne uprzejmości. Większość zdaje się spacerować dla poprawienia kondycji i większość z nich wie, dokąd zmierza. Kilkoro spaceruje dla samego spaceru. Kilkoro wygląda na zagubionych.

Wchodzimy do Stołówki i bierzemy tace i dostajemy jedzenie i siadamy przy stoliku z Mattym i Edem i Tedem i Milesem i mężczyzną o imieniu Bobby. Bobby, który jest niski i gruby i ma różową skórę i rude włosy Irlandczyka, ma przed sobą wielki talerz pełen jedzenia. Pakując sobie do ust niedosmażoną jajecznicę, opowiada historie. Matty i Ed i Ted go podpuszczają, Miles siedzi i słucha w milczeniu.

Kiedy przychodzimy, nie zwraca na nas uwagi. Nie przestaje jeść ani mówić, fałdy duszczu pod brodą nie przestają podrygiwać.

Opowiada o Gangsterach, których zna w Brooklynie, utrzymuje, że zarządza ich pieniędzmi, inwestując je na Giełdzie, i załatwiają mu narkotyki i kobiety i wszystko, czego sobie zażyczy. Kiedy opowiada o ilości narkotyków, Matty śmieje się i mówi, że trzeba było poprosić o więcej. Na to Bobby poprawia się i mówi, że faktycznie dostał więcej.

Kiedy opowiada o kobietach, Ed mówi, że cztery naraz to żadne halo, i Bobby mówi, że następnym razem miał osiem. Opowiada o cracku i o ilości, jaką rzekomo wypalił, a Ted pyta, jak było, bo zawsze chciał spróbować. Bobby mówi, że to taka naprawdę mocna trawa. W rzeczywistości to nie ma nic wspólnego. Ted nabija się z niego, udając podziw i zdumienie.

Leonard siedzi i uważnie i w milczeniu przygląda się i słucha. Co pewien czas pyta Bobby'ego o ludzi, których tamten rzekomo zna, i o to, skąd ich zna. Nie wiem, czy Leonard zna tych wszystkich ludzi, o których rozmawia z Bobbym, ale wiem, że Leonard próbuje go wybadać. Nie wydaje się jakoś specjalnie przekonany.

W końcu Bobby i jego brednie zaczynają mnie męczyć i pryham, słysząc kwotę, jaką rzekomo zarabia, która według niego każdego roku idzie w miliony. Przerywa i patrzy na mnie i pyta, co mi się kurwa wydaje takie zabawne. Patrzę na niego i mówię, że jego kłamstwa wydają mi się zabawne, a Miles odzywa się po raz pierwszy od początku śniadania i mówi, że faktycznie są zabawne. Bobby jak wszyscy przyłapani Kłamcy robi się od razu agresywny i od razu wściekły. Pyta, kto ja kurwa jestem i czy mnie kurwa kręci oskarżanie go. Odpowiadam, że jestem nikim i że kręci mnie, bo tak sobie postanowiłem. Mówi, że nie jest typem gościa,

który pozwoli w ten sposób szargać swój honor, i że lepiej, żebym się wycofał z oskarżeń albo poniósł konsekwencje, i wizja, jak próbuje coś mi zrobić, całe trzysta funtów jego tłustego dupska podryguje w moją stronę w ataku dzikiego szału, jest przezabawna. Śmieję się z niego, a on wstaje i pyta, czy chcę wyjść no chodź Wypierdku dawaj tu i teraz, a ja wstaję i mówię pewnie, tu i teraz. Spogląda na Lincolna i Keitha, którzy jedzą kilka stolików obok, i mówi masz fart, że oni tu są, bobym ci przypierdolił. Śmieję się z niego, biorę tacę i odchodzę. Kładę tacę na taśmociąg. Kiedy się odwracam, wpadam na Lilly. Upuszcza tacę i uderza o podłogę i rozlewa i nachyla się, żeby to posprzątać, a ja nachylam się, żeby jej pomóc. Kiedy sięgam po pusty kubek, wsuwa dłoń w moją dłoń i w jej dłoni czuję złożoną karteczkę. Kiedy zabiera dłoń, karteczka zostaje. Zupełnie jak zakup narkotyków na Rogu Ulicy. Dwie dłonie wymieniające małą zwiniętą karteczkę gestem sprawiającym wrażenie niewinnego. Jej dłoń ociera się o moją. Karteczka zostaje.

Podnosimy talerz i pustą miseczkę i widelec i nóż i łyżkę. Kładziemy je na jej tacy, ona kładzie tacę na taśmociąg, a ja odchodzę. Tak jak na Rogu Ulicy chcę tego, co jest w albo na tym świstku, i chcę tego natychmiast. Tak jak na Rogu Ulicy wiem, że muszę poczekać, aż będę sam. Tak jak na Rogu Ulicy wiem, że nie powinienem tego mieć.

Wkładam karteczkę do przedniej kieszeni spodni i idę do Auli i znajduję krzesło w tylnym rzędzie. Przyszedłem wcześniej i Aula jest prawie pusta. Sięgam do kieszeni i wyciągam karteczkę. Tak jak na Rogu Ulicy ręce mi się trzęsą i serce mi wali, obraz rozmywa mi się przed oczami i muszę się skoncentrować, żeby znowu widzieć, jeżeli nie dostanę tego, co jest w środku i to szybko, to kurwa oszaleję. Ręce mi się trzęsą. Rozwijam. W środku nic nie ma, chociaż nie jestem pewien, czy w ogóle się czegoś spodziewałem. Gdyby tam były narkotyki, to nie wiem, co bym z nimi zrobił. Część mnie wzięłaby od razu i z wielką ochotą, część mnie popędziłaby do najbliższej toalety, żeby się ich pozbyć. Nie wiem, co bym zrobił. Odwracam kartkę i są słowa. Widzę słowa muszę się skoncentrować skupić opanować na tyle żeby je przeczytać mogę je przeczytać. Spotkajmy się na Polanie o czwartej. Czytam jeszcze raz. Spotkajmy się na Polanie o czwartej. Czytam jeszcze raz i jeszcze raz i są te same i te same. Spotkajmy się na Polanie o czwartej. Ręce mi się trzęsą trzęsą i serce mi wali wali i obraz rozmywa mi się przed oczami muszę się skoncentrować, żeby znowu widzieć. Spotkajmy się na Polanie o czwartej. Jeszcze raz i jeszcze raz. Jeszcze raz i jeszcze raz.

Do Auli zaczynają się schodzić Pacjenci. Ostrożnie składam karteczkę i wkładam ją z powrotem do kieszeni. Siedzę patrzę prosto przed

siebie, myślę o czwartej, kiedy dołączają do mnie Leonard i Ed i Ted i Matty i Miles. Śmieją się i są w dobrym nastroju, rozmawiają o Bobbym i wspominają, jak sobie z nim pogrywali. Opowiadają, że kiedy poszedłem, Ted powiedział mi, że jestem Instruktorem Jogi z San Francisco uzależnionym od rzadkiego indiańskiego narkotyku zwanego szampon, wymawianego tak samo jak to do włosów, ale pisanego sham-pohn. Bobby odpowiedział, że przyłał już kiedyś Instruktorowi Jogi i że bez skrpułów zrobiłby to ponownie.

Wykład się zaczyna i jest o Piątym Kroku z wszechmocnej Dwunastki. Prowadzi go Katolicki Ksiądz. Nie słucham ani jednego słowa. Siedzę i patrzę na drugą stronę Auli. Siedzę i patrzę na Lilly. Wykład się kończy. Wstaję i wychodzę za resztą Pacjentów niesiony do drzwi na fali ludzi, niesiony na fali wspomnień. Kiedy wychodzę na Korytarz, Ken stoi i czeka na mnie, czekając tak, jak zawsze czeka, wygląda, jakby zawsze tam stał i na mnie czekał.

James?

Co jest, Ken?

Sprawdzam, czy wypełniłeś książeczkę ćwiczeń Pierwszego Kroku. Nie.

Przeglądałeś ją?

Od kiedy ją dostałem, nie.

Chciałbym, żebyś dzisiaj rano nad nią

popracował.

Dobrze.

Nie spiesz się, ale jak skończysz, przynieś mi do Gabinetu. Jeżeli mnie tam nie będzie, po prostu zostaw mi to na biurku.

Zrobi się.

Jakieś postępy na Tablicy Celów?

Nie.

To nad tym też się zastanów.

Dobrze.

Zobaczymy się potem?

Nie mogę się doczekać.

Ken chichocze i odchodzi. Odwracam się w drugą stronę i idę na Oddział. Schodzę na Niższy Poziom i biorę pudełko świecówek i szukam Jaskrawego Rózu. Jest, tak samo jak pozostałe sześćdziesiąt trzy śliczne świecówki. Kiedy zaczynam wracać po schodach, na ścianie na Górnym Poziomie widzę Tablicę Celów. Podchodzę do niej i staję przed nią i oglądam ją. To duży kawałek zalaminowanej tablicy podzielony na prostokąty za pomocą pionowych i poziomych linii. W każdym prostokącie jest imię napisane ścieralnym flamastrem, a obok imienia cel. Niektóre cele są proste, takie jak Znaleźć Pracę i Ją Utrzymać, Nie Pić przez Sześćdziesiąt Dni, Być Użytecznym dla Społeczeństwa. Niektóre cele są smutne, jak Zeby Zona Chciała ze Mną Rozmawiać, Odzyskać

Szacunek Dzieci, Nie Pójść do Więzienia przez Sześć Miesięcy. Większość celów to Poprawić Relację z Moim Przyjacielem i Zbawicielem Jezusem Chrystusem Panem, Trzymać się Programu i w Każdej Chwili Życ według Kroków, Doprowadzić się do Porządku: Silny Umysłem, Silny Duchem, Silny Ciałem. Cel przy imieniu Matty'ego to Przestać Kurwa Przeklinać i śmieję się. Cel przy imieniu Leonarda to Trzymać się i uśmiecham się. Cel przy imieniu Milesa to Życ i jest najbardziej sensowny. Miejsce obok mojego imienia jest puste.

Oprócz przeżycia na tyle długo, żeby w ogóle przeżyć, nie przychodzi mi do głowy żaden cel, który by coś dla mnie znaczył. Mógłbym napisać Przeżyć, ale wolałbym zatrzymać to słowo w sercu niż napisać na jebanej tablicy. Kiedy się wcześniej śmiałem, kiedy śmiałem się z Instruktora Jogi i uzależnienia od sham-pohnu, czułem się dobrze. Kiedy w ogóle miałem tu okazję do śmiechu, a nie zdarzało mi się to zbyt często, zawsze czułem się dobrze. Mógłbym napisać na tablicy Śmiać się, ale wolałbym napisać coś, z czego będę się śmiał za każdym razem, kiedy to zobaczę, więc biorę flamaster i piszę obok swojego imienia Jadę do Los Angeles, żeby Zrealizować Swoje Marzenie. Zostanę Cheerleaderką Lakersów. Kiedy kończę pisać, śmieję się. Kiedy odsuwam się i jeszcze raz czytam własne słowa, śmieję się. Kiedy idę na Górny Poziom i wchodzę w Korytarz, który

prowadzi do mojego Pokoju, śmieję się. Kiedy się śmieję, jest mi dobrze. Za mało się śmiałem i chcę się śmiać więcej. Jadę do Los Angeles Zostać Pierdoloną Cheerleaderką Lakersów.

Wchodzę do Pokoju i siadam na łóżku i otwieram pudełko świecówek i otwieram ćwiczenia i wyciągam z pudełka Jaskrawy Róż i zaczynam czytać. Pierwsza część książeczki opowiada historię Joego. Joe jest pijakiem, który traci Żonę, Pracę, wszystkie pieniądze, i ląduje na Ulicy, pijąc tanie wino z gwinta. Jednocześnie Joe nie chce przyznać, że ma problem albo że stracił kontrolę. Historia jest opowiedziana prostymi słowami i prostymi ilustracjami składającymi się z pustych konturów postaci i miejsc, których wewnątrz jest do pokolorowania. Idea, jak sądzę, polega na tym, żebym podczas kolorowania obrazków uchwycił grozę historii Joego i następnie powiązał tę grozę z sytuacjami z własnego życia. Jeżeli Joe stracił kontrolę, ja też muszę być bezradny. Jeżeli Joe wylądował na Ulicy, powinienem uważać albo wyląduję na Ulicy razem z nim. Na końcu książki, po puencie historii Joego, która kończy się szczęśliwie, kiedy Joe przyznaje, że stracił jakkolwiek kontrolę, i przyłącza się do AA, jest ankieta składająca się z dwudziestu siedmiu pytań na temat nawyków związanych z piciem. Pytania są proste i na wszystkie trzeba odpowiedzieć tak lub nie. Czy obudziłeś się

kiedyś rano po picciu i odkryłeś, że nie jesteś w stanie przypomnieć sobie fragmentów poprzedniego wieczoru? Tak. Czy są sytuacje, w których czujesz się nieswojo, jeżeli nie masz dostępu do alkoholu? Tak. Kiedy jesteś trzeźwy, czy żałujesz rzeczy, które zrobiłeś po pijanemu? Tak. Czy następnego ranka po picciu masz drgawki? Tak. Czy zdarza ci się być pijanym przez kilka dni z rzędu? Tak, tak, tak, tak, tak. Odpowiadam tak na każde pytanie, na wszystkie dwadzieścia siedem, co według klucza na końcu ankiety oznacza, że jestem w zaawansowanym stadium chronicznego i niebezpiecznego Alkoholizmu. Powiedzcie mi coś, czego kurwa nie wiem.

Wkładam Jaskrawy Róż z powrotem do pudełka i wyciągam Czarny. W odróżnieniu od większości świecówek Czarna jest prawie nieużywana. Ludzie przypuszczalnie unikają Czarnego, bo nie jest to kolor uznawany za radosny, a tutaj łaknie się każdej formy radości, nawet tak elementarnej jak kolor świecówki. Mnie jednak Czarny się podoba. To kolor, z którym czuję się pewnie, i kolor, w którym mam najwięcej doświadczenia. W najciemniejszej ciemności wszystko jest Czarne. W najgłębszej dziurze wszystko jest Czarne.

W przerażeniu mojego Uzależnionego umysłu wszystko jest Czarne. W pustych okresach mojej straconej pamięci wszystko jest Czarne. Lubię kuma

Czarny i mam zamiar oddać mu sprawiedliwość. Kartkuję książeczkę, aż dochodzę do pierwszej strony. Biorę piękną Czarną świecówkę i piszę NIE dużymi prostymi drukowanymi literami, zaczynając na górze strony i kończąc na dole, zamazując i nie zważając na kontury postaci. Na następnej stronie piszę Potrzebuję. Na każdej kolejnej stronie piszę Tego Gówna Żeby Wiedzieć Ze Straciłem Kontrolę. Po skończeniu przyglądam się swojej pracy. Każda strona wygląda idealnie i podoba mi się. Zamykam książkę. Dobrze wykonana robota, James. Nie potrzebuję tego gówna żeby wiedzieć że straciłem kontrolę. Dobrze wykonana robota.

Mam godzinę do lunchu, więc rzucam książeczkę do kolorowania na podłogę, gdzie jest jej miejsce, i biorę *Wielką księgę Tao*. Oglądam ją z przodu i z tyłu, patrzę na głupawe cytaty i absurdalną czcionkę i zabawny tytuł. Zastanawiam się, czy kiedy ostatni raz ją czytałem, nie rzuciło mi się na głowę. Zastanawiam się, czy nie byłem po prostu zmęczony albo nadwrażliwy po spotkaniu na Polanie z Lilly. Zastanawiam się, czy dźwięk klarnetu Milesa jakoś mnie nie zahipnotyzował. Oglądam książkę i zastanawiam się, jakim cudem wywarła na mnie takie wrażenie. Przeczytałem tylko cztery strony. Otwieram ją na cyfrze pięć na piątej stronie. Pozwalam oczom przebiec po słowach. Pozwalam umysłowi je przetworzyć. Pozwalam sercu je poczuć.

Cyfra pięć jest taka jak reszta. Nie ma dobra ani zła, Grzesznika ani Świętego. Jest to, co jest, i to wszystko. Wykorzystaj to, żeby być, i to wystarczy. Nie omawiaj ani nie kwestionuj. Pozwól być. Bądź.

W dalszym ciągu wywiera na mnie wrażenie i w dalszym ciągu ma dla mnie sens. W dalszym ciągu mnie porusza i w dalszym ciągu brzmi prawdziwie. To wszystko, co się liczy. Prawda. Czy brzmi prawdziwie tak brzmi. Czuję to.

Sześć. Tao jest Wielką Matką Wielkim Ojcem Wielkim Niczym. Jest puste i niewyczerpane. Jest zawsze obecne możesz z niego czerpać lub nie. Czy brzmi prawdziwie tak brzmi.

Siedem. Nieskończone i wieczne. Nigdy się nie narodziło i nigdy nie umrze. Po prostu jest. Niczego nie pragnie i niczego nie potrzebuje, po prostu jest. Zostań z tyłu i zmierzaj naprzód. Odłącz się i zostań. Zrezygnuj ze wszystkiego, a będziesz syty. Zrezygnuj ze wszystkiego, a będziesz syty.

Osiem i dziewięć mówią dobro jest jak woda, która poi sama z siebie. Mówią w myśleniu trzymaj się prostoty, w konflikcie uczciwości. Mówią nie porównuj ani nie konkuruj po prostu bądź sobą. Mówią napełnij misę po brzegi a przeleje się, ostrz nóż a stępi się. Mówią goń za pieniędzmi a twoje serce nigdy się nie otworzy. Przejmuj się tym, co myślą inni a zawsze będziesz ich więźniem.

Te rzeczy, te wersy, te słowa, te znaczenia mają

dla mnie sens. Nie każą mi czegoś robić ani czymś być w coś wierzyć ani czymś się stać. Nie osądzają mnie ani nie próbują przekonać. Nie ma w nich świętoszkowości ani ządęcia. Nie atakują mnie ani mi nie uwłaczają ani nie mówią, że jestem w błędzie. Nie ma w nich Władzy i nie ma Reguł. To tylko słowa, zebrane na stronie, czekające cierpliwie, żebym je zaakceptował albo odrzucił. Nie obchodzi ich, czy zrobię jedną z tych rzeczy, czy obydwie naraz, czy nie zrobię żadnej. Nigdy nie powiedzą mi, że jestem w błędzie. Nigdy nie powiedzą mi też, że mam rację. Po prostu są.

Nie czytam ich jeszcze raz. Zamykam książkę i pozwalam im być. Jestem na łóżku i lubię to łóżko. Jest miękkie i ciepłe, a ja nie jestem miękki i ciepły, ale potrafię sobie wyobrazić, że to musi być miłe. Nigdy nie znałem tego uczucia. Znam chłodną, silną, rozwścieczoną Furię głęboko wewnątrz mnie i jestem nią zmęczony. Jestem zmęczony tym uczuciem, chcę umrzeć, żebym już nie musiał czuć. Chciałbym być miękki i ciepły. Byłbym tym przerażony. Gdybym był ciepły i miękki, można by mnie skrzywdzić. Mogłoby mnie skrzywdzić coś oprócz mnie. Trudniej jest być miękkim niż twardym. Mogłoby mnie skrzywdzić coś oprócz mnie.

Zbliża się południe. Słyszę mężczyzn rozmawiających na zewnątrz Pokoju. Idą do Stołówki śmieją się z czegoś zastanawiam się co poczują kiedy

śmiej się skończy. Śmiech jest tutaj jedynym narkotykiem. Śmiech albo miłość. Jedno i drugie to narkotyki.

Wstaję z łóżka i niosę książeczkę do kolorowania do Gabinetu Kena. Jest pusty, więc zostawiam książeczkę na biurku. Idę do Stołówki i dostaję talerz makaronu z wołowiną i siadam z tymi samymi mężczyznami, z którymi jem każdy posiłek. Matty, Ed, Ted, Leonard, Miles. To typowy posiłek. Opowieści i przekleństwa i trochę śmiechu. Kiedy kończymy, Lincoln podchodzi i mówi, że nie musimy iść na Wykład, że zamiast tego jest Spotkanie na Oddziale. Ed pyta dlaczego i mówi nie przejmujcie się tym, tylko przyjdźcie. Kończę jeść i odkładam tacę na taśmociąg. Wracam na Oddział i dołączam do reszty mężczyzn na Dolnym Poziomie. Siedzą na kanapach, palą papierosy i piją kawę. Tematem rozmowy jest Roy. Najnowsza obiegowa teoria mówi, że był pijany. Alkohol może mieć olbrzymi wpływ na człowieka, ale jak podkreślają zwolennicy teorii narkotykowej, Roy nie miał charakterystycznych dla ciągu alkoholowego bełkotliwej wymowy i opóźnionego czasu reakcji. Twierdzą, że to musiały być narkotyki, mimo że w swoim gronie sprzeczą się jaki rodzaj. Bobby, którego nie było w trakcie incydentu, próbuje zakończyć dyskusję tezą, że Roy musiał zażywać rodzaj silnych tabletek na odchudzanie, że

wielokrotnie był tego świadkiem na Wall Street. Matty odpowiada, że pojebane tabletki na kurwa odchudzanie nie dadzą kurwa rady rozjechać Skurwysyna. Bobby pyta Matty'ego, czy wie, co to jest Wall Street i gdzie się znajduje. Matty tłumaczy Bobby'emu, że na chuja ci się zda to, gdzie jest ta cała kurewska Wall Street, kiedy skasuję to twoje tłuste pierdolone dupsko prawym prostym. Bobby śmieje się i mówi to dawaj, Kurduplu, to będzie ostatnia pomyłka twojego życia. Matty wstaje i robi krok do przodu, ale Leonard mówi mu, żeby siedział, że Bobby nie jest wart kłopotów. Matty siada.

Wchodzi Lincoln i bierze krzesło i siada przodem do nas. Wszyscy cichną i czekają, co powie. Siada i patrzy przez chwilę w podłogę i spogląda w górę. Mówi.

Większość z was zna Roya i była świadkiem jego zachowania wczoraj w nocy. Dla tych, którzy go nie znają albo tego nie widzieli, oto co się stało. Roy był tu Pacjentem. Przez większość czasu był wzorowym Pacjentem. Ciężko pracował nad sobą, ciężko pracował zgodnie ze swoim Programem, słuchał i przestrzegał wszystkich naszych Reguł. Kiedy jakiś tydzień temu wychodził, wierzyłem, podobnie jak większość Personelu, że ma szansę na długofalową poprawę.

Zeszłej nocy, około wpół do czwartej, przedostał się niezauważony przez Ochronę do Ośrodka i

przyszedł na Oddział. Miał ze sobą dużą pałkę i wszedł na tę kanapę.

Pokazuje na jedną z kanap.

Zaczął wrzeszczeć. Wezwano Ochronę, ja miałem Nocną Zmianę, i kiedy zeszliśmy tu, żeby go powstrzymać, twierdził, że ma na imię Jack, i groził, że zatłucze nas pałką. Został unieruchomiony i usunięty z Oddziału i zabrany na Oddział Medyczny i przebadany. Stamtąd został przeniesiony do Szpitala Psychiatrycznego.

Na tym etapie mamy podstawy, żeby stwierdzić, że Roy cierpi na rozszczepienie osobowości. Dla tych, którzy nie wiedzą, co to jest, rozszczepienie osobowości, to stan psychologiczny, w którym dwie lub więcej odrębnych Tożsamości, każda z własnymi strategiami postrzegania, analizowania i podejścia do otoczenia i samych siebie, istnieją wewnątrz jednego Osobnika. Niekiedy osobowości mogą mieć świadomość istnienia pozostałych, jednak często jej nie posiadają i długo mogą koegzystować całkowicie niezależnie od siebie. Zeszłej nocy zobaczyliśmy przynajmniej cztery, a może pięć odrębnych osobowości składających się na Roya. Jedną z nich był facet, którego poznaliśmy podczas jego pobytu.

Zeszła noc była bardzo smutna i przygnębiająca. Byłem Opiekunem Roya i byłem bardzo dumny z niego i z pracy, którą wspólnie wykonaliśmy podczas jego pobytu. Mam nadzieję, że każdy z was zmówi za

niego modlitwę, w jakikolwiek sposób zdarza wam się modlić. Jakież pytania?

Łysol mówi.

Jak to możliwe, że nie dowiedzieliście się o tym pomimo badań i całej reszty?

Oprócz kilku incydentów, na które z perspektywy czasu patrzę inaczej, jego główna i dominująca osobowość odpowiadała Osobie, która była tutaj. Ponieważ ta Osoba została poddana badaniom i postępowała zgodnie z zaleceniami, nie mieliśmy możliwości zorientowania się, że coś jest nie tak.

Jeden z nowych mężczyzn mówi. Jest wysoki i chudy i nosi czarne markowe okulary.

Czy to się często zdarza?

Nie. Nigdy wcześniej nie widziałem tego ani, o ile mi wiadomo, nikt inny z Personelu.

Miles mówi.

Czy to się da wyleczyć?

Długofalowa opieka psychiatryczna, grupy wsparcia, intensywne terapie. Większość metod leczenia nie różni się od tych stosowanych przy innych poważnych i nieuleczalnych chorobach psychicznych.

Ted mówi.

Mam pytanie.

Jakie?

Ted mówi.

Nigdy nie lubiłem Roya, więc tak sobie myślę, czy moglibyście go tutaj przyprowadzić z tą jego osobowością Suki, żebym mógł mu spuścić mały wpierdol.

Wszyscy się śmieją. Lincoln patrzy, mówi.

To mało śmieszne, Ted.

Mnie tam wcale nie do śmiechu. Chętnie zdzieliłbym przez łeb Suke.

Znowu śmiech. Lincoln kręci głową, próbuje zignorować Teda. Jeszcze jakieś pytania?

Nikt się nie odzywa. Lincoln wstaje.

No to zaczynamy popołudnie. Grupa Czwartego Kroku zostaje tutaj, Grupa Trzeciego Kroku na górę, reszta do zajęć indywidualnych. James, chodź ze mną do gabinetu Joannę.

Mężczyźni idą do miejsca spotkania swojej grupy albo na zajęcia indywidualne. Wstaję i idę z Lincolnem do gabinetu Joannę.

Nie rozmawia ze mną i nie rozmawiam z nim. Nie patrzymy na siebie. Kiedy jesteśmy na miejscu, puka. Zza drzwi słychać głos Joannę.

Proszę.

Otwiera drzwi, wchodzimy. Joannę siedzi przy biurku, pokazuje, żebyśmy usiedli. Lincoln siada na kanapie. Siadam na krześle między kanapą a biurkiem. Joannę mówi.

Cześć, James. Jak leci?

W porządku. U ciebie?

W porządku.

Pokazuje mi ćwiczenia Pierwszego Kroku.

Możesz nam to wytłumaczyć?

Śmieję się.

Dla mnie to dość oczywiste.

Lincoln mówi, w jego głosie da się wyczuć gniew.

To zupełnie nie do przyjęcia. To i twój cel uwłaczają wszystkiemu, co próbujemy dla ciebie zrobić.

Według mnie ta jebana książeczka uwłacza mojej inteligencji, a mój cel to żart. Wpisałem go tam, bo mnie rozśmiesza, a śmiech sprawia, że się dobrze czuję, i to mój jedyny cel, żeby dobrze się czuć. Kiedy czuję się dobrze, czuję, że jest ze mną lepiej.

Joannę mówi.

Staramy się rozplanować Program Terapii i przyszłość Pacjenta po wyjściu na podstawie postępów w tym, co robimy i czego uczymy. Twoje postępy nie są zadowalające. Zdajesz się częściowo rozumieć Pierwszy Krok.

Śmieję się.

Dlaczego się śmiejesz?

Mówię.

Pierwszy Krok, o ile pamiętam, polega na tym, żeby przyznać się, że jesteśmy bezbronni wobec alkoholu i narkotyków, że życie wymknęło nam się

spod kontroli. To akurat rozumiem dość dobrze.

Lincoln mówi.

Na pewno?

Jestem poszukiwany w trzech stanach. Jestem uzależniony od alkoholu i cracku. Jestem bezrobotny, niezdatny do pracy i bez grosza przy duszy. Od kiedy pamiętam, codziennie urywał mi się film, a mój pobyt tutaj to najdłuższy okres abstynencji w moim życiu, od kiedy skończyłem dziesięć lat. Nad niczym nie panuję. Jeżeli chcecie, żebym to powiedział, to powiem. Nad niczym kurwa nie panuję. Życie wymknęło mi się spod kontroli.

Joannę mówi.

James, nie jesteśmy twoimi wrogami.

Wiem.

Lincoln mówi.

Nie traktuj nas, jakbyśmy nimi byli.

A wy nie traktujcie mnie jak idioty, nie mówcie do mnie jak do pierdolonego Niemowlaka i nie zwracajcie mi głowy książeczkami do kolorowania, to nie będę was traktował jak wrogów.

Lincoln kręci głową. Joannę mówi.

Wracając do naszej rozmowy, twoje postępy nie są zadowalające.

Na wszystko, co ci się mówi, reagujesz oporem. Nie wydaje nam się, żebyś był gotów wrócić do normalnego życia po zakończeniu Programu. Jeżeli nie będzie ci groziło Więzienie, a chcielibyśmy

zacząć nad tym pracować poprzez skontaktowanie się z Władzami stanów, w których jesteś poszukiwany, chcemy umieścić cię w kolejce do Ośrodka Resocjalizacji.

Co miałbym tam robić?

Jest tam podobnie jak tutaj, tylko w ciągu dnia miałbyś wykonywać jakąś pracę.

Nie ma mowy.

Lincoln mówi.

Dlaczego?

Bo w moim wypadku to bez sensu.

Dlaczego?

Zaczynam rozumieć, jak mogę sobie z tym poradzić. Nie przekonam się, dopóki nie znajdę się w prawdziwym Świecie i dopóki nie spróbuję. Taka próba nie będzie dla mnie wiarygodna, jeżeli będę miał świadomość, że mogę wrócić do bezpieczeństwa jakiegoś Ośrodka Resocjalizacji.

Joannę mówi.

Kiedy masz do czynienia z poważnym i nieuleczalnym nałogiem, nie ma czegoś takiego jak bezpieczeństwo. Ośrodki Resocjalizacji mają zapewnić wsparcie, a będziesz go bardzo potrzebował. Będziesz go potrzebował, kiedy stąd wyjdiesz, miesiąc później, rok później i najprawdopodobniej do końca życia.

Nie chcę bezpieczeństwa ani wsparcia. Chcę być sam na sam z tym, czemu muszę stawić czoło, czy to

z alkoholem, czy narkotykami, czy jeszcze czymś innym. Chcę walczyć, bo potrafię walczyć. Ta walka będzie miała Zwycięzcę. Jeżeli to będę ja, odejdę i pokonam gówna, które wydawało mi się nie do pokonania, i będę dalej żyć. Jeżeli to nie będę ja, przynajmniej będę miał to już z głowy.

Lincoln mówi.

Jeżeli nie przejdiesz tego swojego teściku, to umrzesz. Czy o to ci chodzi, żeby umrzeć?

Jeżeli nie potrafię żyć bez nałogu, to tak.

Nie zdołasz żyć bez nałogu, jeżeli będziesz nadal robił to co teraz. Dlaczego tak myślisz?

Nie chodzi o to, co myślę, chodzi o to, co wiem. A wiem, bo za każdym razem, kiedy przychodzi tu ktoś, komu wydaje się, że zna lepszą metodę, potem wychodzi, przegrywa, i już się nie podnosi. Może masz rację, ale przynajmniej przegram ze świadomością, że zrobiłem, co mogłem z tym, w co wierzę.

Joannę mówi.

Nie podoba mi się pomysł próby. Myślę, że jest niebezpieczny, niemądry i arogancki. Myślę, że stawka jest zbyt wysoka, jeżeli miałyby ci się nie udać. Chcę, żebyś to sobie przemyślał. Zastanowił się nad ewentualnością, że twój opór wobec tego, co próbujemy z tobą zrobić, może się skończyć śmiercią. Spotkamy się tu jutro po porannym Wykładzie i porozmawiamy sobie o różnych

sprawach i miejmy nadzieję, posuniemy się do przodu.

Wstaję.

Czy po południu mam coś jeszcze robić?

Tylko się zastanowić.

W takim razie do jutra.

Idę do drzwi i wychodzę i zamykam drzwi za sobą i wracam na Oddział. Idę do Pokoju i patrzę na budzik koło łóżka Milesa wskazuje trzecią czterdzieści dwie. Za osiemnaście minut spotykam się z Lilly.

Biorę kurtkę Hanka. Wkładam ją i idę przez Oddział. Otwieram szklane drzwi i wychodzę. Idę przez trawę nie ma rosy znajduję Szlak i wchodzę do Lasu Słońce przebłyskuje przez gałęzie niczym rusztowanie ze światła. Idę Szlakiem. Widzę połamane gałęzie i widzę porwane liście jak okruszki i porwane liście mnie prowadzą. Ślady moich zniszczeń mnie prowadzą.

Przeciskam się przez gąszcz i wchodzę na Polanę. Jest pusta.

Siadam na ziemi i kładę się i zamykam oczy. Nie wyspałem się i jestem zmęczony. Potrzebuję snu i jestem zmęczony. Zmęczony. Jestem zmęczony.

Czuję dłoń na twarzy. Jest miękka i ciepła, spoczywa mi na policzku, pieści go w bezruchu. Na drugim policzku dołączają do niej usta, pełne i wilgotne i miękkie i delikatne. Słodki oddech przed i

słodki oddech po. Opuszczają mój policzek
chciałbym żeby zostały. Otwieram oczy i powoli
siadam. Lilly jest koło mnie opatulona w dużą
zieloną wojskową kurtkę, ciemne włosy zaplecione w
warkoczyki, blada skóra odbijająca rusztowanie
Słońca. Uśmiecha się i mówi.

Cześć.

Która godzina?

Patrzy na tani plastikowy zegarek Superwoman
na nadgarstku. Pod nim widzę blizny.

Dziesięć po czwartej.

Przecieram twarz.

Zasnąłem.

Uśmiecha się jeszcze raz.

Obudziłam cię.

Uśmiecham się.

To dobrze.

Nachyla się i całuje mnie w policzek. Dotyka
mnie jej usta miękkie wilgotne ciepłe i delikatne.
Odruchowo chcę się odsunąć, ale tego nie robię.
Kiedy się odsuwa, zostawia po sobie słodki oddech.
Odpowiedz mi na pytanie.

Dobra.

Masz Dziewczyne?

Waham się, przebłysk, arktyczna i blond.

Nie.

Dlaczego się zawahałeś?

Zawahałem się, ale już się nie waham. Przez

chwilę o niej pomyślałem.

Gdzie jest?

Nie mam pojęcia.

Kiedy ostatni raz z nią rozmawiałeś?

Jakiś rok temu.

Przeszło ci?

Nie.

Lilly uśmiecha się, nachyla i całuje mnie w usta.

Szkoda.

Uśmiecham się. Nie mam słów. Nawet gdybym je miał, nic by nie znaczyły.

Chcesz fajkę?

Sięga do kieszeni kurtki i wyciąga paczkę papierosów.

No.

Biorę jednego. .

Masz zapalniczkę?

Sięgam do kieszeni, wyciągam zapalniczkę.

No.

Zapalam jej papierosa, zapalam swojego.

Jak ci mija dzień?

Zaciągam się. Natychmiast czuję nikotynę. Nie jest tak przyjemna jak pocałunek Lilly.

Powoli.

Zaciąga się, patrzy na mnie.

Tu wszystkie są takie.

Odruchowo chcę się odwrócić, ale tego nie robię.

No.

Powiedz mi coś.

Dobra.

Dlaczego tu jesteś?

Tutaj w tym miejscu czy tutaj z tobą?

Jedno i drugie.

Nie wiem.

Uśmiecha się.

Dobra odpowiedź.

Odruchowo chcę się odwrócić, ale tego nie robię.

Mówię.

Dlaczego ty tu jesteś?

Uśmiecha się.

Tutaj w tym miejscu czy tutaj z tobą?

Uśmiecham się.

Wszystko jedno.

Przyjechałam tu dla Babci.

Przywiozła cię?

Namówiła mnie, żebym przyjechała.

Jak to zrobiła?

Kochała mnie i zajmowała się mną, mimo że byłam totalną porażką, i za każdym razem, kiedy robiłam coś durnego, czyli mniej więcej codziennie, mówiła mi, że kiedy będę gotowa nauczyć się, co to jest wolność, powinnam z nią porozmawiać. Jakiś czas temu stało się coś naprawdę, naprawdę okropnego. To mnie kompletnie rozjechało i poszłam do niej i zapytałam, o co jej chodziło. Powiedziała mi, że jestem Więźniem swojej Mamy i wszystkich

jej problemów i Więźniem swojego Taty, którego nie pamiętam, i powiedziała mi, że jestem Więźniem narkotyków i seksu i samej siebie. Powiedziała mi, że życie Więźnia to zmarnowane życie i że wolność, nawet sekunda wolności, jest warta więcej niż całe życie w niewoli. Potem powiedziała wróć tutaj jutro. Wróciłam i dała mi mapę i powiedziała wsiadamy do samochodu, ty prowadzisz. Osiem godzin później mapa zaprowadziła mnie tutaj. Powiedziała, że oszczędzała przez lata i że jeżeli pragnę wolności, powinnam wejść do środka i ona za to zapłaci. Powiedziała, że jeżeli tego nie zrobię, pojedziemy do Domu. Nienawidzę swojego życia. Nigdy nie chciałam, żeby tak wyglądało, i to była moja szansa, żeby od tego uciec. Słyszałam o tym miejscu i wiedziałam, że to najlepsze miejsce tego rodzaju i bardzo drogie, i wiedziałam, że jeżeli Babcia oszczędzała, żebym mogła tu przyjechać, to znaczy, że chce tego dla mnie, i wiedziałam, że ja też tego chcę. Być wolna choć przez sekundę. Więc weszłam do środka i oto jestem.

Jesteś już wolna?

Nie, ale pracuję nad tym.

Uśmiecha się.

Teraz ty opowiedz mi historię.

Jaką?

Opowiedz mi o swojej Dziewczynie.

Nie lubię o niej rozmawiać.

Dlaczego?

Bo to zbyt bolesne.

Jasne. To opowiedz mi coś innego.

Wybierz coś.

Jak straciłeś dziewictwo?

Dlaczego chcesz to wiedzieć?

To wiele mówi o Osobie.

O mnie nie powie ci nic dobrego.

Nie przyszedłem tu, żeby cię osądzać.

To po co przyszedłeś?

Żeby cię poznać. Albo spróbować.

Patrzę na nią. Patrzę na jej oczy przejrzyste niebieskie jak woda i jej włosy zaplecione kruczoczarne. Patrzę na jej bladą skórę i czerwone jak krew usta, patrzę na jej ciało pod kurtką jest taka mała. Patrzę na jej nadgarstki i zegarek Superwoman i podłużne blizny. Patrzę na siebie, ale nie na siebie. Widzę szkody i ból ciężkich lat. Widzę pustkę i rozpacz egzystencji pozbawionej nadziei. Widzę młode życie, które za długo trwa. Widzę siebie, ale nie siebie. Ufam sobie. Mogę jej zaufać.

Nigdy nikomu tego nie opowiadałem.

Mnie też nie musisz opowiadać, jeżeli nie chcesz.

Nie, opowiem.

Możesz w każdej chwili przerwać.

Patrzę na nią. Widzę siebie, ale nie siebie. Mogę jej zaufać. Mówię. Miałem szesnaście lat, byłem w

drugiej klasie Liceum. Na koniec semestru był Mecz i Dyskoteka. Nienawidziłem Miasteczka, w którym mieszkaliśmy, i moi Rodzice wiedzieli, że go nienawidzę, i było im z tym źle. Mama zawsze pytała mnie o przyjaciół i Dziewczyny, bo miała nadzieję, że poznam jakichś Ludzi i będę szczęśliwszy. Zawsze ją okłamywałem i mówiłem, że mam mnóstwo Przyjaciół i że podobam się wielu Dziewczynom, żeby się tym nie przejmowała. W rzeczywistości nikt mnie nie lubił. Kiedy zbliżała się Dyskoteka, Mama ciągle pytała, czy się wybieram. Mówiłem, że jeszcze nie wiem, że kilka Dziewczyn chce ze mną iść i nie jestem pewien, która mi się najbardziej podoba, i żeby już przestała się dopytywać. Nie przestała. Co dzień było to samo. Którą zaprosisz, musisz podjąć decyzję, musisz dać Dziewczynie czas na przygotowanie, to niezwykły wieczór, nie możesz go przegapić.

W końcu po prostu ją okłamałem i powiedziałem, że z kimś idę.

Była bardzo podekscytowana i poszła na miasto i kupiła mi garnitur i kupiła mi różę do wpięcia w klapę i umyła samochód i powiedziała, że mogę go pożyczyć, i dała mi pieniądze na Kolację przed Meczem. Byłem podkurwiony, bo wiedziałem, że to wszystko kit i że ją okłamałem.

Kiedy nadszedł dzień Meczu, włożyłem garnitur, a ona i mój Tata zrobili mi mnóstwo zdjęć, i kiedy

wyjeżdżałem, to machałem do nich przez okno. Zaparkowałem koło Szkolnego Stadionu i siedziałem i patrzyłem na całą resztę Dzieciaków, tych z dziewczynami, jak podjeżdżali i kręcili się po Trybunach albo z boku Boiska w garniturach i sukienkach i w przerwie patrzyłem na Wybory Króla i Królowej i patrzyłem na koronację Króla i Królowej i patrzyłem, jak wszyscy klaszczą i wiwatują, i patrzyłem, jak wszyscy są szczęśliwi. Kiedy Mecz się skończył, nie miałem nic do roboty, a z pewnością nie wybierałem się sam na Dyskotekę, więc pojechałem do takiego Getta w pobliżu, żeby spróbować zdobyć jakieś narkotyki, bo czułem się podle po tym, jak okłamałem Mamę, i nie miałem żadnych przyjaciół i chciałem, żeby ból zniknął. Kiedy tak jeździłem, zobaczyłem kurwę przechadzającą się po chodniku koło Budynku, gdzie czasami kupowałem towar. Patrzyła na mnie i machała do mnie, kiedy przejeżdżałem, i nie mogłem znaleźć żadnych narkotyków, więc w końcu po prostu się zatrzymałem. Podeszła do samochodu i zapytała, czy szukam Dziewczyny, a ja spytałem ile i powiedziała mi i to było akurat trochę mniej niż to, co dostałem od Mamy, więc powiedziałem dobra. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Chyba czułem się po prostu samotny i było mi smutno i liczyłem, że znajdę jakąś miłość, która sprawi, że poczuję się lepiej. To, co się stało, było niezręczne i idiotyczne i

obrzydliwe. Kobieta śmierdziała i mówiła do mnie takim fałszywym lubieżnym głosem i wszystko trwało może dwie sekundy. Odstawiłem ją z powrotem na ulicę i jeździłem po okolicy przez kilka godzin, próbując się zniechęcić do wjechania rozpędzonym samochodem w drzewo. Kiedy wróciłem do domu, powiedziałem Mamie i Tacie, że świetnie się bawiłem, i podziękowałem im za wszystko, co od nich dostałem, i poszedłem do swojego Pokoju. Kiedy wiedziałem, że już śpią, ukradłem butelkę z ich szafki na alkohol i wypilem i płakałem, aż zasnąłem.

Biorę głęboki oddech, patrzę w ziemię.

To było kurewstwo i prawdę mówiąc, na samo wspomnienie o tym mam ochotę się teraz zabić. Nie mogę znieść tego, że to się stało, i jak z prawie wszystkim w moim życiu liczyłem na coś innego.

Patrzę w ziemię. Gdyby była tam wystarczająco głęboka dziura, to bym do niej wszedł. Gdyby były narkotyki, które mogłyby unicestwić wszystko, brałbym je, aż wszystko zostałoby unicestwione. Chcę się zabić nawet teraz, na samo wspomnienie.

Podnoszę wzrok. Po policzku Lilly ciekną łzy i uśmiecha się do mnie. To przejmujący uśmiech, nie forma chwilowego szczęścia, ale rzadki rodzaj, który pojawia się, kiedy coś w środku bez słów budzi się ze snu i wraca do życia. Chociaż wiem, że zniknie jej z twarzy, pozostanie w niej i z nią na długo po tym.

Obudziło się i żyje. Wyciągam dłoń i delikatnie wycieram jej łzy. Jej skóra jest miękka i wilgoć na mojej dłoni jest ciepła. Kiedy palce ześlizgują mi się z jej brody, bierze je w dłoń i trzyma. Patrzy na mnie oczami przejrzystymi niebieskimi jak woda nabrzmiętymi od żalu. Jej uśmiech nie znika mówi.

To było piękne.

Trzyma moją dłoń.

Nie, nie było.

Gdyby puściła, rozsypałbym się.

Było. Było piękne, bo było szczere, i było piękne, bo bolało, i było piękne, bo nie musiałeś mi tego mówić.

Rozsypał.

Czuję się fatalnie.

A gdybym ci powiedziała, że straciłam dziewictwo nie z kurwą, tylko jako kurwa?

Powiedziałbym, że jest mi przykro.

Tak było.

Przykro mi.

Dziękuję.

Spogląda na zegarek na wolnej ręce, patrzy na mnie.

Lepiej chodźmy.

Wstaje i pociąga mnie za sobą. Przez chwilę patrzymy na siebie i kładzie mi wolną dłoń na policzku. Z drugiej dłoni nie wypuszcza mojej i jest mi z tym dobrze.

Zadzwoń w wieczorem.

Dobrze.

Nie musisz, ale byłoby miło, gdybyś to ty odebrał tym razem. Uśmiecham się.

Wczoraj w nocy zasnąłem.

Jeżeli chcesz, dzisiaj w nocy też możesz zasnąć, ale mam nadzieję, że nie zaśniesz.

Nie zasnę.

Nachyla się i całuje mnie. Mimo że jest tak jak wcześniej, nie jest ani trochę tak samo. To jest więcej, mocniej, słabiej, głębiej, ciszej, głośniejsze. To jest więcej, bezbronnie, nie do przeniknięcia, delikatne, bezpieczne, bez ochrony, z doskonałą ochroną. To jest więcej, otwarte, głębsze, pełne, prostsze, prawdziwe. To jest więcej. Prawdziwe.

Odsuwa się jej usta odsuwają się. Bez słowa idziemy trzymając się za ręce przez gęsty Las. W gąszczu przy samym Szlaku zatrzymuje się i prowadzi mnie naprzód i nasze dłonie powoli się rozjeżdżają aż zostają dwa palce jeden każdy z naszych palców dotyka nie chce puścić ani odejść. Zatrzymuję się. Mój palec koniuszek palca dotyka jej koniuszka. Patrzymy na siebie. Jej uśmiech nie zniknął i mój też nie zniknie. Będzie kiedy się nie będę uśmiechał on ciągle będzie. Uśmiech i pocałunek i koniuszki dwóch palców. Dotykają.

Kiwa głową i wiem, że kiwnięcie oznacza, że czas kończyć, i puszczam ją. Odwracam się i

odchodzę. Wiem, że patrzy, jak odchodzę, uśmiecha się, i wiem, że chce, żebym się odwrócił. Odwracam się. Odwracam się i jest tam i uśmiecha się. Uśmiecham się do niej i to jest więcej niż tylko uśmiech. To jest więcej.

Wracam na Oddział. Wchodzę i idę Korytarzami na kolację. Każdy posiłek jest teraz taki sam.

Po kolacji jest ^Cfyklad. Mężczyzna opowiada historię swojego życia. Był niedobry i poszedł do AA i teraz jest dobry. Słyszałem to już zbyt wiele razy.

Wracam na Oddział i siadam i oglądam telewizję. Leci sitcom o błyskotliwych nowojorczykach, którzy przez cały czas siedzą w tym samym Mieszkaniu. Jeden z mężczyzn chwali serial i opowiada, jaki jest prawdziwy. Jedyni znani mi ludzie, którzy siedzą tyle czasu w tym samym Mieszkaniu, zazwyczaj mają okna zaklejone czarną taśmą i broń w szafie i poczerńiałe od papierosów wargi i palce i potężne zamki na drzwiach. To nie są błyskotliwi ludzie, mimo że ich paranoja może być zabawna. W tym serialu nie widzę nic takiego, ale jest on podobno bardzo prawdziwy. Może nie wiem już, co to znaczy prawdziwy.

Dzwoni telefon, przez cały wieczór dzwonił telefon. Jednak ten dzwonek zwraca moją uwagę. W jakiś sposób wiem, że to Lilly, choć nie powinienem i choć nie mam powodu sądzić, że to Lilly. Wstaję i idę, zanim mężczyzna mnie zawoła. Kiedy mnie

woła, biorę słuchawkę i dziękuję mu i przykładam słuchawkę do ucha i mówię.

Cześć.

Cześć.

Jak leci?

Dobrze. U ciebie?

U mnie dobrze.

Tęsknię za tobą.

Śmieję się.

Tęsknisz za mną?

Tak, tęsknię za tobą. Dlaczego to jest śmieszne?

Nikt nigdy za mną nie tęsknił. Ludzie zwykle cieszą się, że mnie nie ma.

Śmieje się.

Ja nie.

To dobrze. Podoba mi się, że za mną tęsknisz.

Mnie też się podoba.

Uśmiecham się.

Co robiłaś wieczorem?

Siedziałam i gapiłam się w zegar, aż wydawało mi się, że już mogę do ciebie zadzwonić, żeby nie wyszło, że za bardzo mi zależy. Śmieję się.

A ty co robiłeś?

Siedziałem i czekałem na twój telefon i zastanawiałem się, co powiedzieć, żeby nie wyszło, że za bardzo mi zależy.

Śmieje się, mówi.

Chyba obojgu nam za bardzo zależy.

Pewnie troszeczkę.
Na czym?
Na wolności. W dowolnej dostępnej postaci.
I myślisz, że jedną z tych postaci możemy być my nawzajem? Może.
Nie tego spodziewałam się po przyjeździe tutaj.
Nie powinnaś się teraz niczego spodziewać. Po prostu czekaj i zobacz, co się stanie.
Nieźle to ująłeś.
Dziękuję.
Chcesz się ze mną jutro znowu spotkać?
Pewnie.
Możesz opowiedzieć mi kolejną historię.
Teraz chyba twoja kolej.
Chyba masz rację.
Masz coś konkretnego na myśli?
Zadaj mi pytanie tak samo, jak ja ci zadałam, a ja ci na nie odpowiem.
I niezależnie od odpowiedzi nie będę cię osądzał.
Dziękuję.
Do zobaczenia jutro.
Tęsknię za tobą.
Podoba mi się, że za mną tęsknisz.
Podoba mi się, że tobie się podoba.
Na razie.
Na razie.
Odkładam słuchawkę na widełki i patrzę na aparat i uśmiecham się. To nie jest tylko uśmiech

chwilowego szczęścia. Kiedy zniknie mi z twarzy, zostanie ze mną.

Odwracam się i przechodzę przez Oddział Korytarzem do swojego Pokoju. Kiedy się do niego zbliżam, słyszę delikatne dźwięki klarnetu Milesa dobiegające z za drzwi. Zatrzymuję się i słucham.

Gra nisko, tak jak zawsze. Wyciąga nuty dłużej, niż można by się po nim spodziewać. Za każdym razem powtarza tę samą melodię z wariacjami. To prosta muzyka, tworzona przez jednego człowieka i jego płuca i kawałek metalu z otworami i jego palce poruszające się po otworach. To tylko dźwięk nisko potem wyżej powoli potem szybciej znowu powoli i nisko powtarzane z wariacjami. Nie ma słów i nie ma śpiewu, ale muzyka ma głos. To stary głos i głęboki głos jak ogarek słodkiego cygara albo dziurawy but. To głos, który żył i żyje ze smutkiem i wstydem, ekstazą i błogością, radością i bólem, odkupieniem i potępieniem. To głos z miłością i bez miłości. Ten głos mi się podoba i choć nie mogę z nim porozmawiać, podoba mi się sposób, w jaki do mnie przemawia. Mówi wszystko jedno, Młodzieńcze. Weź i nie przejmuj się.

Piosenka melodia stary, niski i powolny głos kończy się. Kończy się i rozprasza w ciszy śpiącego Korytarza. Otwieram drzwi i wchodzę do Pokoju. Miles siedzi na łóżku jego wargi ciągle obejmują stroik. Kiwa do mnie i kiwam do niego. Podchodzę

do łóżka. Zdejmuję ubranie i wchodzę pod kołdrę na swoim łóżku jest ciepła i lubię ją i zamykam oczy i zwijam się w kłębek głowa na poduszce zwijam się w kłębek i głos zaczyna się jeszcze raz. Smutek i wstyd i ekstaza i błogość i radość i ból i odkupienie i potępienie i miłość i bez. Wszystko jedno, Młodzieńcze.

Weź i nie przejmuj się.

\A/ jednej dłoni mam pustą butelkę. W drugiej mam pustą fife. Stoję na zaśmieconym Rogu Ulicy. Z przewodów telefonicznych zwisają buty. Duchy kryształków wrzeszczą. Dilerzy handlują towarem. Mam pustą butelkę w jednej dłoni, pustą fife w drugiej. Chcę jeszcze.

Budzę się roztrzęsiony i wstrząśnięty. Wiem, że to był sen, ale to bez znaczenia. Alkohol był prawdziwy. Crack był prawdziwy. Duchy były prawdziwe i dilerzy byli prawdziwi. Wszystko było prawdziwe.

Jestem roztrzęsiony i wstrząśnięty.

Obejmuję się. Zwijam się w kłębek. Myślę o tym, co dobre w moim życiu. Próbuję zająć umysł. Nie biorę od kilku tygodni. Mam przyjaciół. Matty ego i Eda i Teda. Milesa i Leonarda i Lilly. Mam Brata Boba. Mam ubranie i mam książki. To więcej, niż trzeba. Rozwścieczone pitbule napinają łańcuchy. Martwe podwórko. Szczury ganiają po podłodze gryzą śpiące twarze. Pusty Dom żadnych mebli nic.

Nie ma nic oprócz pustych Ludzi. Duchy kryształków.

W powietrzu jest dym zmieszany z oparami benzyny i formaldehydu. Wrzeszczę. Wrzeszczę błagam zebrzę o więcej. Dajcie mi więcej proszę dajcie mi więcej chcę potrzebuję muszę dostać więcej. Oddam życie serce duszę pieniądze przyszłość wszystko proszę dajcie mi więcej. Chcę potrzebuję muszę dostać więcej. Dajcie mi więcej i oddam wam wszystko. Dajcie mi więcej i zrobię co chcecie. Dajcie mi więcej. Dajcie mi więcej. Dajcie mi więcej.

Budzę się roztrzęsiony i wstrząśnięty. Wiem, że to był sen, ale to bez znaczenia. To było prawdziwe. Psy szczury Dom Ludzie kryształki. Wielkie i straszne kryształki. Były prawdziwe i paliłem je. Jestem roztrzęsiony i wstrząśnięty.

Zwijam się mocniej próbuję myśleć o dobrym. Mam więcej niż potrzebuję, więcej niż trzeba. Zwijam się mocniej. Myśl o dobrym. Myśl o dobrym.

Kolejny sen.

Kolejny sen.

Zawsze, kiedy zasypiam.

Kolejny sen.

Są prawdziwe.

Prawdziwe.

Kolejny sen.

Jestem roztrzęsiony i wstrząśnięty. Przez okno

widzę światło. Wstaję. Idę chwiejnie do Łazienki. Otwieram drzwi i padam na kolana i czołgam się do toalety i wymiotuję. Jeszcze raz i jeszcze raz. Mam potężne torsje. To kolejna pamiątka po moim dawnym życiu.

Mdłości i krew i żółć i kawałki żołądka. W wodzie tuż przed moim nosem. Kolejna pamiątka.

Wstaję i wchodzę pod prysznic puszczam gorącą wodę. Wchodzę pod strumień i woda spływa po mnie i przeze mnie nade mną i ze mnie. Zmagam się z kolejnymi wymiotami i jestem kurewsko wyczerpany mdłościami. To były tylko sny. Tak dalej być nie może.

To były tylko sny.

Wychodzę i biorę ręcznik i owijam go sobie wokół bioder i idę do umywalki i myję zęby. Smak wymiocin miesza się ze smakiem pasty do zębów. Płuczę usta, ale smak nie znika. Płuczę jeszcze raz i nie znika. Płuczę jeszcze raz. Nie znika.

Przestaję płukać usta i golę się. Kiedy stoję przed lustrem z maszynką, oglądam swoje ciało. Jestem coraz większy. Nabieram ciała. Żyły na ramionach są ciągle niebieskie, ale to jaśniejszy niebieski. Kości policzkowe i szczęka są mniej zarysowane, sińce zniknęły. Pokrywa mnie cienka warstwa tłuszczu i zaczynam mieć brzuch. Wyglądam mniej na to, kim jestem, a bardziej jak normalny człowiek. Staję się coraz bardziej normalnym człowiekiem.

Kończę się golić i obmywam twarz. Biorę głęboki oddech i zaczynam na dole lustra i zaczynam powoli podnosić wzrok. Widzę swoją klatkę piersiową, obojczyk, podstawę szyi. Chcę zobaczyć oczy. Widzę gardło, jabłko Adama, zarys szyi przechodzącej w podbródek chcę zobaczyć oczy. Widzę usta zagoiły się. Widzę policzek z blizną. Widzę nos opuchlizna zesza. Widzę obszar pod oczami. Mam worki, ale to szare worki zmęczenia, a nie sine i żółte worki przemocy.

Nad nimi jest zieleń. Błada zieleń. Kiedy się do niej zbliżam, zatrzymuję się i oddycham. Zatrzymuję się pod bladą zielenią. Widzę na dole rzęsę. Widzę pod spodem biel. Oddycham. Jest. Zatrzymuję się i jest. Błada zieleń.

Odwracam się. Wschodzę z Łazienki. Miles ciągle śpi staram się być cicho. Ubieram się i wychodzę z Pokoju Korytarz ciągle śpi. Wchodzę na Górny Poziom Oddziału i robię kawę. Czekam, aż się zaparzy. Kiedy jest gotowa, nalewam sobie pełen kubek parujący gorący i czarny. Siadam przy stoliku i zapalam papierosa. Jestem sam. Siadam i piję i palę. Nie myślę o tym, co robię ani dlaczego to robię. Po prostu siedzę sam. Piję i palę. Drzwi się rozsuwają. Spoglądam w dół i widzę Leonarda wchodzącego na Dolny Poziom Oddziału. Ma na sobie strój do joggingu i jego twarz jest czerwona ocieka potem. Wygląda, jakby był w lepszej kondycji, niż kiedy go

poznałem. Jest szczupły, ma zarysowaną szczękę, zarumienione policzki. Wygląda jak zdrowy Ojciec wracający do domu na przedmieściach z joggingu. Widzi mnie, podchodzi.

Jak tam, Leonard?

Biegałem.

Jak było?

Chujowo.

Bierze kubek z kawą, siada przy stoliku.

Poczęstujesz mnie?

Nie wiedziałem, że palisz.

Właśnie zrobiłem coś dobrego dla swojego ciała.

Teraz chcę mu zrobić coś złego.

Śmieję się, podaję mu fajkę, zapalam. Zaciąga się głęboko, patrzy na mnie.

Chodzą słuchy, że spotykasz się z tą Dziewczyną z czarnymi włosami. Jaką Dziewczyną?

Palaczką.

Skąd to wiesz?

Nigdy nie zdradzam Źródeł.

Jesteśmy kumplami, ale to mnie nie powstrzyma przed złożeniem ci dupy, jeżeli mi nie powiesz, od kogo się dowiedziałeś.

Śmieje się.

Ted mi powiedział.

A on skąd wie?

Co noc się wykrada i spotyka z jakąś Panną w Lesie. Tamta Dziewczyna jest chyba z tego samego

Oddziału co twoja, a Dziewczyny, jeżeli jeszcze o tym nie wiesz, gadają między sobą o takich pierdołach.

Nie ma za bardzo o czym gadać.

Nie ma za bardzo oznacza, że coś tam jednak jest.

Spotkaliśmy się parę razy. Gadamy. Wielkie mi halo.

Podoba ci się?

No.

Jest dla ciebie dobra?

Nie ma, że dobra ani zła, po prostu gadamy.

Wygadasz teraz inaczej. To dobry znak.

Uśmiecham się.

Robisz z igły widły, Leonard.

Młody, interesuje mnie wyłącznie twoje szczęście. Jeżeli jesteś szczęśliwy, to i ja jestem szczęśliwy.

Nie jestem szczęśliwy, ale nie jestem nieszczęśliwy.

Wkrótce będziesz szczęśliwy. Tylko się trzymaj.

Zobaczymy.

Podnosi papierosa, ogląda.

To jest kurwa obrzydliwe.

Śmieję się.

Tylko to mi zostało.

Gasi, wstaje.

Wezmę prysznic. Poczekaj na mnie, to

pójdziemy na śniadanie. Wschodzi. Siedzę i czekam i palę papierosa i piję kawę. Patrę, jak mężczyźni zaczynają pojawiać się i znikać z Oddziału. Jedni wykonują swoje poranne Prace, inni piją kawę, jeszcze inni kupują słodczyce albo napoje w puszkach z automatów. Nie rozmawiam z żadnym z nich. Tylko siedzę i wyglądam przez okno. Nie wiem, co jest za oknem, I jakoś mnie to specjalnie nie obchodzi, to tylko punkt, na którym mogę skoncentrować wzrok, kiedy piję i palę. Piję i palę.

Leonard wraca na Górny Poziom. Jest umyty i ma mokre włosy. Mówi jestem głodny chodźmy jeść i wstaję i idziemy do Stołówki. Staję w kolejce i dostaję talerz jajeczniczy na bekonie, a on dostaje talerz naleśników i znajdujemy stolik. Przyjaciele się przysiadają. Podczas jedzenia rozmawiamy o nadchodzących Mistrzostwach Wagi Ciężkiej. Matty zna bokserów i opowiada o walce z wielkim entuzjazmem, przerywając i przeklinając się za przeklinanie, boksując powietrze i poruszając się, jakby był na Ringu. Siedzimy i śmiejemy się i po jakimś czasie oprócz Matty'ego nikt już nic nie mówi. On mówi za nas wszystkich.

Po śniadaniu kolejny Wykład. Gramy w karty w ostatnim rzędzie.

Po Wykładzie Joannę czeka na mnie przy wyjściu z Korytarza. Mówi, żebym z nią poszedł, i idziemy Korytarzami do jej Gabinetu. Korytarze są

jaskrawe i to mi nie przeszkadza. Po wejściu siada na jednym z wygodnych foteli, a ja siadam na kanapie. Zapala papierosa i zapalam papierosa. Opiera się, siada wygodnie, mówi.

Myślałeś o naszej wczorajszej rozmowie?

Nie.

Dlaczego?

Bo nie zmienię zdania i nie będę sobie zawracał głowy myśleniem o zmianie zdania.

James, jesteś niezwykle silnie Uzależnioną Osobą. Dowiedziałeś się od Lekarzy specjalistów, że zażywanie narkotyków albo picie alkoholu cię zabije. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś rzucił nałóg i przeżył dłuższy czas bez AA i Dwunastu Kroków. Ludzie wytrzymują tydzień albo miesiąc, albo w najlepszym wypadku rok, ale pozbawieni niezbędnego wsparcia wszyscy zaczynają znowu brać i większość umiera. Czy naprawdę właśnie tego chcesz?

Wolę to, niż spędzić całe życie, siedząc w przykościelnych piwnicach, słuchając, jak Ludzie użalają się i narzekają i marudzą. Dla mnie to nie jest produktywne, donikąd nie prowadzi. To zastąpienie jednego nałogu innym, a jeżeli mam już być od czegoś uzależniony, to niech to chociaż będzie coś, co lubię.

AA nie jest substytutem nałogu. To grupa wsparcia oparta na Dwunastu Krokach.

Możesz na to patrzeć, jak chcesz, ale kiedy ktoś

przestaje codziennie robić jedno i zaczyna codziennie robić co innego, to mi wygląda na substytut nałogu.

Bierze głęboki oddech pełen frustracji.

Czyli wolałbyś być Uzależniony od czegoś, co czyni cię lepszym człowiekiem i sprawia, że każdego dnia jesteś coraz zdrowszy, czy od czegoś, co cię zabije?

Możesz próbować dowolnych sztuczek, brać moją stronę, psychoanalizować, czy co tam jeszcze potrafisz, ale nie uwierzę w AA ani Dwanaście Kroków. To wszystko opiera się na wierze w Boga.

Ja nie wierzę i nigdy wierzyć nie będę.

Opiera się na wierze w Siłę Wyższą, nie Boga.

Jedno i to samo.

Bóg to w naszym Społeczeństwie mężczyzna z długą falującą brodą, który siedzi na tronie w Niebie. W to nie musisz wierzyć. Siła Wyższa może być, czym sobie chcesz, żeby była, czymkolwiek, co pomoże ci przeżyć kolejny dzień. To może być Niebo, to może być Budda. To może być Moc z *Gwiezdnych wojen*. AA nie próbuje narzucić ci żadnej konkretnej Siły Wyższej ani religii, ani konkretnej wiary.

Może wyjaśnijmy sobie coś, zanim będziemy o tym dalej rozmawiać. Co?

Kiedy mówisz Siła Wyższa i kiedy mówisz Bóg, to mówisz o tym samym.

Według mnie to uogólnienie. Nie uwzględniasz

różnorodności Myśli Duchowej Świata.

Z mojego punktu widzenia wszystkie Religie i Myśl Duchowa Świata to jedno i to samo. Są po to, żeby Ludziom się lepiej żyło, żeby dać im jakiś kodeks moralny, pomóc im pogodzić się ze śmiercią poprzez obietnicę czegoś lepszego, kiedy ich życie dobiegnie końca, zakładając, że postępowali zgodnie ze wszystkimi Regułami Boga.

I co w tym złego?

Według mnie to stek bzdur. Nie chcę, żeby coś, co nie istnieje, mówiło mi, jak mam żyć.

Skąd ta pewność, że nie ma czegoś Większego od nas?

Skąd ta pewność, że jest?

Bo wierzę.

Ja nie.

Urywa, bierze głęboki oddech, mówi.

Czym według ciebie jest wiara?

Przez chwilę się zastanawiam. Mówię.

Wiara to zaakceptowanie czegoś, czego nie można udowodnić. Próbowales kiedyś uwierzyć?

Tak.

I dlaczego ci się nie udało?

Myślę, że Bóg to coś, czego Ludzie używają, żeby uniknąć rzeczywistości. Myślę, że wiara pozwala Ludziom odrzucić to, co mają przed oczami, to znaczy fakt, że to coś, to życie, to istnienie, ta świadomość, czy jakkolwiek byś to nazwała, to

wszystko, co mamy, i wszystko, co będziemy mieć. Myślę, że Ludzie wierzą, bo pragną i muszą w coś wierzyć, w cokolwiek, bo życie bez tego może być trudne i przygnębiające i bezwzględne.

Może masz rację, ale w takim razie co z pomysłem, że dzięki wierze życie może się stać lepsze. Wem, że dzięki wierze moje życie stało się lepsze, i niezależnie od tego, czy to, w co wierzę, faktycznie istnieje, ponieważ ja w to wierzę, czerpię z tej wiary korzyści.

Nigdy nie będę wierzyć w Boga ani nic podobnego do Boga. Wierzysz w miłość?

To znaczy?

Czy wierzysz w miłość?

Tak.

Wierzysz, że dzięki niej twoje życie może stać się lepsze?

Tak.

Wierzysz w coś jeszcze?

Przyjaźń.

Wierzysz w przyjaźń?

I to bardzo.

Coś jeszcze?

O co ci chodzi?

Nie możesz udowodnić, że miłość albo przyjaźń istnieją, ale mimo to w nie wierzysz. Proszę cię, żebyś spróbował zastosować ten sam mechanizm do czegoś większego od siebie.

Czuję miłość i przyjaźń. Mogę zobaczyć i dotknąć i porozmawiać z Ludźmi, których kocham, i z Ludźmi, których wybieram sobie na przyjaciół. Na myśl o Bogu nic nie czuję i nie mogę zobaczyć Boga ani dotknąć Boga, ani porozmawiać z Bogiem.

Czy próbowałaś kiedyś otworzyć się na ideę wiary?

Przeczytałem Biblię. Nie było w niej dla mnie prawdy. Znam Ludzi, którzy uważają, że są blisko Boga, ale nigdy nie rozumiałem tego, co czują. Byłem w Kościołach i doceniam ich piękno i majestat, ale w Kościele nie przytrafiło mi się nigdy nic dobrego.

Co masz na myśli?

Właśnie to, co powiedziałem.

Czy jest coś, czego mi nie powiedziałaś?

Nic w kwestii spraw, o których rozmawiamy.

Patrzy na mnie, patrzę na nią. Mówi.

Chciałabym, żebyś jeszcze o tym pomyślał i spróbował się z tym pogodzić. Chciałabym, żebyś przestał podchodzić do tego intelektualnie i spróbował się na to otworzyć.

Nigdy nie wierzyłem w Boga, nawet jako Dziecko. Nie mam zamiaru teraz zaczynać.

Zastanów się nad tym.

Zgoda.

Wstaje i wstaje i idziemy do drzwi i otwiera je.

Do twojego Programu zostaną wprowadzone

zmiany, o których Ken opowie ci po południu. Kiedy będziesz gotowy, przyjdź do mnie porozmawiać.

Wschodzę i idę Korytarzami. Kiedy idę na Oddział, widzę Leonarda idącego w moją stronę. Mówi, że czas na lunch, więc idziemy do Stołówki i znajdujemy stolik. Przysiadają się do nas Ed i Ted i Matty i Miles i Bobby.

Bobby ciągnie historie z dupy. Mam to, znam tego, tamci są mi winni tyle, i tak w kółko. W pewnej chwili zaczyna opowiadać o Las Vegas i o swojej przejażdżce na spotkanie z Nosatym Mikeym.

Leonard, który przez większość lunchu ignorował Bobby'ego, zaczyna słuchać. Nic nie mówi i nie daje po sobie poznać, że go to interesuje, ale widzę, że zaczyna się uważnie przysłuchiwać. Bobby mówi, że Mikey był tłustym pijanym knurem, rozrzutnym i z niewyparzoną gębą i że kiedy go w końcu wykończyli, cały Nowy Jork świętował. Bobby mówi, że był winien Mikey'emu całkiem poważną sumkę, a teraz, po jego śmierci, dług zniknął. Bobby mówi, że ostatnim razem, kiedy pojechał do Las Vegas, znalazł grób Mikey'ego i się na nim wysikał. Kiedy Bobby to wszystko mówi, obserwuję Leonarda. Przyglądam się jego twarzy ukrytej pod maską opanowania, przyglądam się jego dłoniom nieruchomym na stoliku. Wem, że gdyby Bobby mówił to wszystko o kimś, kogo kochałem, przeleciałbym już przez stolik i trzymał go za gardło.

Leonard tylko siedzi i słucha. Leonard tylko siedzi i patrzy.

Kończymy lunch i wstajemy i idziemy grupą na W^{ad}. Siadam z tyłu i gramy w karty. Po raz pierwszy, od kiedy go poznałem, Leonard przegrywa każde rozdanie. Ted wygrywa trzy, Ed i Matty dwa, Miles i ja żadnego. Kiedy W^{ad} się kończy, wszyscy oddają Leonardowi jego pieniądze. Wchodzimy.

Kiedy idziemy Korytarzami na Oddział, z Gabinetu wychodzi Ken i chce ze mną rozmawiać. Wchodzę do jego Gabinetu i siadam, a on robi to samo.

Jest parę spraw, o których musimy porozmawiać.

Podnosi kartkę i mi ją podaje.

To jest upoważnienie dla naszego Prawnika, żeby mógł skontaktować się ze stanami, w których ciążą na tobie jakieś zarzuty, i zaczął nad nimi pracować. Musisz to przeczytać, wypisać stany i Miasta i jakie są według ciebie zarzuty i podpisać. Nie musisz tego robić, ale będziemy cię do tego namawiać.

Masz długopis?

Jasne.

Podnosi długopis i podaje mi. Biorę go, zaczynam czytać dokument. Skoro mowa o byciu na bakier z prawem, zauważyliśmy, że zadajesz się z Leonardem. Trochę nas to niepokoi.

Podnoszę wzrok.

Dlaczego?

Jesteś młodym człowiekiem z niewyraźną kartoteką. Nie wydaje nam się, żeby on miał na ciebie dobry wpływ.

Niby dlaczego?

Czy wiesz cokolwiek o tym, jak Leonard zarabia na życie?

Jest jakimś Biznesmenem.

Ken śmieje się.

A czym się zajmuje?

Nie pytałem.

Zauważyłeś, że ludzie boją się Leonarda?

Aha.

Jak ci się wydaje dlaczego?

Bo nie ma w nim lęku. To zwykle przeraża ludzi.

Jest inny powód, James.

Jaki to powód, Ken?

Zakładam, że wiesz więcej, niż mówisz, ale i tak ci opowiem. Leonard jest uwikłany w Przystępczość Zorganizowaną. Jest dość ważną postacią tego światka. Poprosiliśmy go, żeby nie omawiał ani nie przechwalał się tym, co robi, a ponieważ ma poważne i prawdziwe problemy z Uzależnieniem, nie odrzuciliśmy jego zgłoszenia, ale uważnie mu się przyglądamy.

Wzruszam ramionami.

Każdy orze, jak może.

Taka jest twoja reakcja?

Taka jest moja reakcja.

Uważamy, że nie powinieneś spędzać tyle czasu w jego towarzystwie. Wydaje nam się, że może to negatywnie wpłynąć na twoją terapię. Leonard jest moim przyjacielem. Ufam mu i lubię go i szanuję. Nie rozumiem, jak posiadanie takiego przyjaciela może mi zaszkodzić. Czy prosił cię kiedyś o zrobienie czegoś nielegalnego?

Śmieję się.

Nie.

Czy opowiedział ci kiedyś, jak zarabia na życie?

Powiedział, że jest Biznesmenem, mniej więcej tyle powiedział. Możesz zdefiniować mniej więcej?

Ken, nie mam zamiaru rozmawiać na ten temat.

To dla twojego dobra, James.

Ken, następna sprawa.

Bierze głęboki oddech i spogląda na stertę papierów na biurku. Podnosi wzrok.

Przyjeżdżają twoi Rodzice. Zgłosili się do Programu Terapii Rodzinnej.

Co?

Od twojego przyjazdu jesteśmy z nimi w stałym kontakcie i postanowili, że chcą wziąć udział w Programie Terapii Rodzinnej. Wszyscy zainteresowani uważają, że to dobry pomysł.

Ktoś pomyślał, żeby skonsultować to ze mną?

Domyślaliśmy się, jaka będzie twoja reakcja.

Kiedy tu przyjadą?

Jutro.

Przylatują z Japonii?

Tak.

Kręcę głową i patrzę w podłogę. Pozwalam jej nadejść i nadchodzi szybko. Gniew, wściekłość, nienawiść, wstyd i przerażenie zlewają się w Furię doskonałą piękną i straszną Furię. Nie mogę nic na to poradzić i nie mogę zrobić nic, żeby to powstrzymać, chyba że napiję się i to zabiję albo wezmę narkotyki i to zabiję albo zrobię jedno i drugie i to zabiję. Zaciskam szczękę i zaciskam pięści i zmagam się ze sobą. Chcę się najebać.

W porządku?

Patrzę na Kena.

Nie.

Co czujesz?

Jestem zły.

Coś jeszcze?

Chcę się napić.

Coś jeszcze?

Najebać się.

Coś jeszcze?

Chcę przeskoczyć to cholerne biurko i wybić ci te pierdolone zęby.

Mam zawołać Ochronę?

Biorę głęboki oddech.

Jak to będzie wyglądać, kiedy tu przyjadą?

Zaciskam szczękę.

Będziesz spał i jadł posiłki na Oddziale tak jak zwykle, ale w ciągu dnia będziesz w Ośrodku Rodzinnym.

Zaciskam pięści.

I co tam będzie się działo?

Będziesz uczestniczył w Terapii Grupowej z innymi Pacjentami i Członkami Rodzin, a jakiś czas będziesz sam na sam z Rodzicami. Trzymam się.

Brzmi kurwa zajebiście.

Dlaczego ich tutaj nie chcesz?

Bo nie.

Dlaczego?

Nie będę z tobą o tym rozmawiał.

Spoglądam na upoważnienie, które mi dał, wpisuję nazwy Miast i stanów, oddaję mu.

Coś jeszcze?

Chyba musimy zacząć pracować nad dotarciem do źródła twojego gniewu.

Patrzę na niego i śmieję się i wstaję i wychodzę z Gabinetu. Korytarze są jasne i Furia wewnątrz mnie chce je zniszczyć podziurawić zamienić w zgliszcza. Nienawidzę tych pierdolonych Korytarzy chcę je zniszczyć zniszczyć siebie zniszczyć wszystko. Oddycham głęboko i trzymam się i idę na Oddział. Chcę wyjść na zewnątrz i chcę odetchnąć świeżym powietrzem. Chcę powietrza nie stąd i chcę przestrzeni nie stąd. Nie chcę ścian, nie chcę Korytarzy, nie chcę Oddziałów, nie chcę Opiekunów,

nie chcę Reguł, nie chcę Boga, nie chcę Siły Wyższej, nie chcę Kroków, nie chcę Grup, nie chcę Wykładów, nie chcę Stołówki, nie chcę nikogo widzieć z nikim rozmawiać zadawać się. Chcę oddychać. Wolnym pustym powietrzem.

Idę przez Górny Poziom i schodzę na Dolny Poziom i przechodzę obok tych z Terapii Grupowej prowadzonej przez Lincolna i pyta mnie, co robię, a ja go ignoruję i otwieram szklane drzwi i wychodzę na zewnątrz i oddycham oddycham oddycham i powietrze jest wolne.

Zaczynam iść. Nie mam pojęcia, dokąd idę, po prostu idę.

Wybieram Szlak i trzymam się go i prowadzi mnie pod osłonę Wiecznie Zielonych. Tu jest ciemniej i czuję się mniej odsłonięty i jest mi lepiej. Oddycham głęboko, tak głęboko, jak potrafię, i powietrze mnie uspokaja. Furia się rozproszyła i wściekłość zwolniła bieg, gniew jest jak ogień, do opanowania, łatwo się przed nim uchronić, żeby nie spalił ani nie oparzył.

Słońce jest wysoko, promienie roztrzaskane między gałęziami, strumienie podświetlają ściółkę, martwe liście i gnijące rośliny zabite mrozem Zimy. Szron pobłyskuje w cieniu, czekając na stopienie.

Za godzinę już go nie będzie. Za dziesięć godzin powróci. Kolejny dzień kolejny cykl dziś nie ma jutro jest znowu nie ma. Jest mi zimno. W świetle jest

ciepło, ale go unikam. Kiedy idę, rozgrzewam się. Nie spieszy mi się.

Idę po Szlaku i Szlak prowadzi mnie wzdłuż Jeziora. Jezioro jest takie samo jak co dzień takie samo. Tafla lodu, pod nią życie, nad nią ptaki. Niszcząca hałas cisza, cisza pochłaniająca hałas. Refleksy powoli przemieszczają się po wodzie, zniekształcając to, co jest prawdziwe, obiekt albo obraz. Oba są prawdziwe i wszystko jest prawdziwe. To wszystko jest przede mną życie jest przede mną i za mną nade mną pode mną otacza mnie. Widzę i czuję i słyszę i dotykam. Wewnątrz i na zewnątrz. Właśnie teraz.

Ławka jest wolna. Siadam zamykam oczy otwieram siebie. Nie wiem, na co się otwieram. Czy to Bóg czy coś Wyższego. Czy to ja czy to, co mnie otacza. Czy to jest ważne czy muszę wiedzieć. To jest ważne, bo to trzyma mnie przy życiu. To otwarcie pozwala mi pozbierać szczątki pogruchotanego życia. Muszę w to wierzyć, żeby móc dalej wierzyć w siebie. Muszę wiedzieć, co to jest. Czym jest to, co mnie otwiera.

Wstaję i idę wzdłuż brzegu wody, aż ta kończy się w Morzu żółtej trawy. Trawa jest teraz martwa, ale powróci na Wiosnę, taka jest kolej Rzeczy. Umierają i powracają. Czy to biologia czy Bóg czy coś Wyższego. Czy jesteśmy biologią czy Bogiem czy czymś Wyższym. Wiem, że serce mi bije, i

wysłuchuję się. Bicie to biologia, ale jaka jest pieśń. Czy ta pieśń będzie, kiedy bicie ustanie. Czy jedno może zostać, kiedy drugiego nie ma, czy jedno może żyć bez drugiego. Czy to jest ważne. Jest. Muszę w coś wierzyć. To trzyma mnie przy życiu. Sosnową ścieżką i przez mroczne pustkowie bagna i rozkładu i życia, które istnieje dzięki śmierci. Z powrotem do gęstych Dębów i Wiecznej Zieleni. Słońce ciągle praży i stoi wysoko jego promienie ciągle porzucane ciągle tańczą po powierzchni gleby i moje stopy poruszają się z łatwością. Furia zniknęła, zastąpiło ją wolne powietrze i cicha pustka spokoju odosobnienia. Jestem cichy i pusty. Jestem spokojny.

Jeżeli czegoś szukam, to jest właśnie to. Spokój. Jeżeli istnieje Bóg, czy coś Wyższego, dla mnie to jest to. Spokój. Jeżeli jest coś, co mnie powstrzyma, kiedy będzie mi to potrzebne, to jest właśnie spokój. Nie ma gniewu, nie ma wściekłości, nie ma Furii. Nie ma pragnień nie ma potrzeb nie ma pożądania. Nie ma nienawiści nie ma wstydu nie ma żalu. Nie ma bólu, nie ma smutku, nie ma przygnębia. Nie ma lęku. Nie ma żadnego lęku. Nie da się złamać tego, kto żyje bez lęku. Ten, kto żyje w lęku, jest złamany, jeszcze zanim zacznie żyć. Spokój, który teraz czuję. Co to jest? Zgubiłem się w Lesie, ale ciągle jestem na Szlaku. Szukam tego, co mam, ale znowu stracę. Szukałem już tego wcześniej jako lekarstwa na chorobę samego siebie. Kiedy jako Dziecko byłem w

Kościele, nie nadeszło. Trzymałem Rodziców za ręce i nic nie czułem. Miłość przyniosła mi tylko samotność i przerażenie.

W butelkach i fifach znalazłem pustkę i ból. Kiedy miałem dwadzieścia dwa lata po Więzieniu i kaucji i ucieczce wróciłem do Katedry, gdzie szukałem spokoju. Spokój nie nadszedł. Mam go teraz. Bez Boga. Mam go teraz.

Las przechodzi w kruchą brązową trawę, a wzniesienie prowadzi mnie do punktu, z którego widzę wszystko, co mnie otacza. Widzę drzewa i Lasy i Bagna i Jeziora i ptaki i zwierzęta i mężczyźni i kobiety i Budynki Kliniki i Niebo i cokolwiek jest poza Niebem. Słyszę wiatr i wodę i krzyki lecących ptaków i krzyki Pacjentów zamkniętych i poddawanych odtruciu. Czuję ich i czuję siebie.

Czuję życie w nich i życie dokoła mnie. Czuję je w bijącym spokoju swojego serca. To nie jest Bóg i to nie jest coś Wyższego. To poczucie spokoju jest moje, we mnie, ze mnie i stworzone przeze mnie. To nie jest Bóg. To nie jest coś Wyższego.

Siedzę i patrzę na Świat. Widzę go i słyszę i dotykam i czuję. Jest tym, czym jest, ziemią i skałą i wodą i Słońcem i powietrzem i falami światła i falami dźwięku składającymi się z poddających się analizie cząstek. Może być do woli tworzony albo odtwarzany przez człowieka. Nauka dała nam tę moc. Nie ma w niej tajemnicy. Możemy to wszystko

wytworzyć w laboratorium. Nie ma już tajemnicy jak u zarania dziejów kiedy nikt nie wiedział co ani jak ani dlaczego. Teraz mamy odpowiedzi. Odpowiedzi, które odsłaniają prawdę. Prawda nie jest Bogiem i nie jest Siłą Wyższą. Nie ma Boga. Nie ma Siły Wyższej.

Wpuszczam to przez otwór swojego spokoju. Nie ma Boga. Nie ma Siły Wyższej. Wpuszczam to do głębokiego zwyczajnego centrum tego, czym jestem, czyli biologii i energii i bijącego serca, które śpiewa w języku znanym tylko mnie. Wpuszczam to i miesza się i osiada wraz ze spokojem nie ma nic więcej. Nie będę już więcej walczył z Bogiem. Nie będę walczył z niczym Wyższym. Walka jest potwierdzeniem istnienia. Nie muszę już walczyć ani potwierdzać tego, o czym wiem, że nie istnieje. Muszę odbyć inne walki i będę to robił, ale nie ze ślepą ufnością fałszywego nawrócenia na wiarę w to, co nie istnieje, nie istniało i nie będzie nigdy istnieć, Boga i coś Wyższego. Będę walczyć sobą, swoim sercem, swoją wolą, sobą, swoją pieśnią, będę walczyć sobą. Może wygram, może przegram.

Tak czy inaczej to nie ma znaczenia. Ma znaczenie, jak to zrobię.

Nie ma Boga i nie ma czegoś takiego jak Siła Wyższa. Zrobię to sobą. Sam. Zrobię to sobą.

Wiem, że już czas na spotkanie z Lilly. Wstaję i schodzę ze wzgórza obok krzyków wzdłuż

budynków przy Oddziale. Wracam na Szlak i Szlak prowadzi mnie do miejsca, gdzie go zostawiam, i przeciskam się, aż docieram na Polanę. Czeka na mnie. Czeka na mnie idzie do mnie całuje mnie całuje mnie całuje mnie. Odsuwa się i uśmiecha.

(

Cześć.

Uśmiecham się.

Cześć.

Usiądźmy.

Dobra.

Siadamy.

Tęskniłam za tobą.

Uśmiecham się.

To dobrze.

Uśmiecha się. To słodki subtelny uśmiech. Ten rodzaj uśmiechu, który złamie ci serce, jeżeli będziesz na niego za długo patrzeć. Nadal trzyma moją dłoń i nadal jestem spokojny i teraz jestem na haju. Swoim haju i jej haju. Mówi.

Mogę cię jeszcze raz pocałować?

Aha.

Nachyla się. Całuje mnie całuje mnie jestem na haju. Całuje mnie. Odsuwa się, mówi.

Opowiedz mi historię.

Teraz twoja kolej.

Chcę, żebyś zaczął.

Dlaczego?

Bo jesteś odważniejszy ode mnie.

Dlaczego tak myślisz?

Po prostu opowiedz mi historię.

Co chcesz usłyszeć?

Opowiedz mi historię o miłości.

Nie jestem specem od miłości, ale spróbuję.

Dzięki.

Patrzę jej w oczy. Są przejrzyste niebieskie jak woda. Dodają mi otuchy, jakbym był spragniony. Mówię.

Byłem na studiach z tą Dziewczyną. Przez trzy lata gapiłem się na nią i rozmyślałem o niej i czekałem, aż ze mną porozmawia. Wiedziałem, że wie, że się na nią gapię, ale wiedziałem, że jeżeli ja pierwszy zagadam, to pomyśli, że jestem walnięty, więc czekałem, aż ona to zrobi. Na ostatnim roku mieliśmy razem kilka Zajęć i pierwszego dnia po pierwszych Zajęciach czekała na mnie i chwilę rozmawialiśmy. Zapytała mnie, dlaczego się jej przyglądam, a ja powiedziałem jej to, na powiedzenie czego czekałem od pierwszego razu, kiedy ją zobaczyłem, czyli że jest najpiękniejszą Dziewczyną, jaką w życiu widziałem. Zapytała mnie, czy historie, które o mnie słyszała, są prawdziwe, a ja odpowiedziałem, że pewnie tak. Potem przez pewien czas nie rozmawialiśmy ze sobą i przestałem się w nią wgapiać, ale wiedziałem, że tęskni za moim gapieniem się i że wcześniej czy później do mnie

przyjdzie. Miałem rację. Dwa miesiące po rozpoczęciu semestru zapytała, czy chcę się z nią uczyć do egzaminów półsemestralnych. Po nauce wyszliśmy na drinka z jej znajomymi. Nie wziąłem ze sobą żadnych narkotyków i piłem tyle, żeby opanować roztrzęsienie i drgawki, i poszło gładko.

Zaczęliśmy się często spotykać, uczyć się, chodzić na Zajęcia, jeść lunch, pić kawę i palić papierosy, pić piwo, robić cokolwiek i bardzo się do siebie zbliżyliśmy. Moje picie ograniczało się do godzin nocnych, przestałem sprzedawać narkotyki.

Biorę oddech, patrzę w ziemię, przypominam sobie. Te wspomnienia są dobre, jedne z nielicznych. Patrzę znowu na Lilly.

Przyszły święta i pojechała do domu do Connecticut, a ja pojechałem do Brazylii, gdzie wtedy mieszkali moi Rodzice. Dała mi numer do domu Rodziców i powiedziała, żebym zadzwonił, i chociaż chciałem zadzwonić, to tego nie zrobiłem. Pomyślałem sobie, że lepiej, żeby za mną potęskniła, licząc na to, że jej tęsknota w jakiś sposób sprawi, że układ między nami się zmieni. Chciałem więcej, o wiele wiele więcej. Wierzyłem, że jeżeli mnie pokocha, to będę szczęśliwy, wierzyłem, że jej miłość pomoże mi rozwiązać moje problemy, a przede wszystkim ją kochałem i chciałem, żeby czuła do mnie to samo.

Lilly uśmiecha się, kręci głową, mówi.

Kiepskie posunięcie.

Jakie?

Wiara, że miłość rozwiąże twoje problemy.

Przytakuje.

No.

Gniewasz się, że to powiedziałam?

Kręcę głową.

Trudno się gniewać, kiedy coś jest prawdą.

Uśmiecha się.

Chcę usłyszeć resztę.

Chichoczę.

Kiedy wróciliśmy na Uczelnię, zapytała, dlaczego do niej nie zadzwoniłem. Powiedziałem, że myślałem, że jest zajęta z rodziną i że nie chciałem przeszkadzać. Uśmiechnęła się i powiedziała, że od teraz mogę przeszkadzać, kiedy tylko mam ochotę. Uśmiechnąłem się i starałem się uspokoić, ale nie byłem spokojny. Serce zaczęło mi walić i ręce zaczęły mi się trząść. Nie powiedziała tego, ale ja wiedziałem. Tęskniła za mną.

Parę dni później poszliśmy do Knajpy spotkać się z kilkoma jej znajomymi. Usiadła bliżej mnie niż zazwyczaj, śmiała się trochę głośniej z moich dowcipasów, dotykała mnie bardziej czule w nogę, ramię, kark, dłoń. Dotykała mnie i traktowała, jakbym był jej chłopakiem, i byłem zachwycony.

Siedzieliśmy tam jakąś godzinę, kiedy weszło kilku Gliniarzy z Kolesiem, którego nigdy wcześniej

nie widziałem. To były Małomiasteczkowe Gliny, tłuste tępe pały z wąsami i bebechami i gnatami i odznakami. Znałem ich i oni mnie znali. Przez wszystkie lata, które spędziłem w tym Miasteczku, otwarcie ich zaczepiałem i rzucałem im wyzwanie, żeby mnie na czymś przyłapali, co im się nigdy nie udało. Teraz byli z tym nowym Kolesiem i przymaszerowali do mnie napompowani brawurą Gliniarza na pokaz i wyciągnęli nakaz i powiedzieli, że mam pojechać z nimi na Posterunek, żeby odpowiedzieć na kilka pytań. Powiedzieli, że inna ekipa przeszukuje mój Dom z psami. Roześmiałem się i powiedziałem, że mogą spierdalać, a nowy Koleś wyciągnął odznakę i powiedział Synek, jestem z FBI i wybiła twoja godzina, i złapał mnie i wyciągnął mnie stamtąd za fraki. Zrobił to na jej oczach i zrobił to na oczach jej znajomych. Zostałem kurewsko upokorzony. Po tym, jak od lat byłem zakochany w tej Dziewczynie, byłem pewien, że nie będzie chciała już więcej ze mną rozmawiać.

Przejażdżka na Posterunek to była farsa. Odśpiewałem Hymn na całe gardło, a pomiędzy zwrotkami pytałem Gliniarzy, kiedy zatrzymamy się na ciacho. Przesłuchanie było jeszcze bardziej absurdalne. Agent FBI w kółko pytał mnie o podróże do Brazylii, które nie miały nic wspólnego z narkotykami, i o moich znajomych w Ameryce Południowej, a ja na zmianę mówiłem. Nic nie

powiem bez Adwokata. Oglądasz z tymi wąsami jak pierdolony ćwok.

W końcu Ekipa z mojego Domu wróciła i nic nie znaleźli, bo nie było tam nic do znalezienia, i musieli mnie wypuścić. Wschodząc, mówiłem każdemu Gliniarzowi po drodze, żeby się pierdolił.

Lilly się śmieje.

Co odpowiadali?

Kilku mnie zignorowało, kilku odpowiedziało to samo, jeden rzucił we mnie kubkiem kawy.

Trafił?

Nie.

Spotkałeś się z Dziewczyną?

Kiedy wyszedłem głównymi drzwiami, siedziała na zderzaku swojego samochodu i czekała na mnie.

Była zdenerwowana?

Tak. Płakała.

Co zrobiłeś?

Palila papierosa i patrzyła w ziemię i nie zauważyła mnie, więc podszedłem do niej i zapytałem, czy na kogoś czeka. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się i rzuciła mi się na szyję i wypłakała mi się w ramię.

Kiedy skończyła płakać, zapytała, czy mam kłopoty, a ja odpowiedziałem nie i zapytała, czy wszystko w porządku, a ja odpowiedziałem tak. Potem spojrzała mi w oczy i wzięła mnie za rękę i powiedziała jeżeli mamy być ze sobą, to muszę być z

Osobą, którą znam, nie z Osobą, o której słyszałam historie. Nie poradzę sobie z Policją i narkotykami i piciem i w czym tam jeszcze siedzisz, więc się teraz zdecyduj, kim chcesz być. Uśmiechnąłem się i powiedziałem chcę, żebyś była dumna z tego, że ze mną jesteś. Zrobię wszystko, co mogę, żeby być taką Osobą. Jeżeli to ci wystarczy, po prostu przytaknij. Jeżeli nie, po prostu odejź. Jeśli jednak przytakniesz, to cię pocałuję, tu i teraz i w usta, i ten pocałunek będzie moim ślubowaniem, że się poprawię.

Patrzyła na mnie i uśmiechnęła się i przytaknęła, a ja wysunąłem swoje dłonie z jej dłoni i położyłem je na jej policzkach i pocałowałem ją i przynajmniej na chwilę ten pocałunek mnie odmienił i przynajmniej na chwilę ona i ja byliśmy zakochani.

A potem to spierdolileś?

No.

Co zrobiłeś?

Nie chcę o tym teraz rozmawiać.

Dlaczego?

Po prostu nie chcę.

A co chcesz robić?

Chcę cię jeszcze raz pocałować.

Bo pomyślałeś o niej?

Nie, bo pomyślałem o tobie.

Lilly uśmiecha się i wypuszcza moje dłonie i obejmuje mnie i trzyma mnie i delikatnie całuje skórę

na mojej szyi. W jej ramionach czuję się bezpiecznie, czuję się tak bezpiecznie jak nigdy i spokój i moc spokoju jest ciągle ze mną. Podnosi nieznacznie głowę podnosi ją i delikatnie całuje moje usta i przyciąga mnie mocniej i nigdy nie czułem się tak bezpieczny i tak spokojny. W jej ramionach.

Całując ją.

Puszcza mnie i odsuwa się. Uśmiecha się do mnie i przesuwając dłoń po moim policzku.

Szkoda, że nią nie jestem.

Dlaczego?

Bo fajnie by mieć kogoś, kto czułby coś takiego do mnie.

Nigdy nie byłaś zakochana?

Nawet odrobinę.

I nikt nigdy się w tobie nie zakochał?

Faceci zawsze chcą mnie przerznąć, ale nikt się nigdy we mnie nie zakochał.

Nie wierzę w to.

To prawda.

Nie wierzę.

Patrzy na mnie.

To prawda.

Patrzę na nią.

Jeżeli ma to dla ciebie w ogóle znaczenie, ja nie chcę cię przerznąć. Śmieje się.

Dzięki.

Jesteś piękna, ale nie chciałbym cię przerznąć,

bo kiedy byłoby po wszystkim, nie chciałbym, żebyś czuła się zerżnięta. Chciałbym się z tobą kochać, i byłbym pewnie niezdarny i niezręczny, ale kiedy byłoby po wszystkim, chciałbym, żebyś czuła się kochana.

Uśmiecha się.

Dziękuję ci, James.

Uśmiecham się.

Dziękuję ci, Lilly.

Uśmiechamy się do siebie i patrzymy sobie w oczy i rozmawiamy ze sobą milczeniem, które wisi między nami. Jest mocne, bezpieczne i spokojne. Milczenie między nami.

Lilly spogląda na zegarek.

Robi się późno.

No.

Spotkamy się jutro?

Nie wiem.

Dlaczego?

Nie wiem, czy będę mógł.

Boisz się?

Trochę, ale to nie dlatego nie mogę się spotkać.

To jaki jest powód?

Jutro przyjeżdżają tu moi Rodzice. Muszę przejść z nimi przez Program Rodzinny i nie wiem, ile będę miał wolnego.

Jesteś podekscytowany?

Nie.

Dlaczego?

Nie układa mi się z Rodzicami i nie chcę, żeby tu byli.

Młody, lepiej popracuj nad podejściem.

Śmieję się.

Co?

Powiedziałam popracuj nad podejściem.

O czym ty mówisz?

Kurewsko ci się przyfarcilo, że w ogóle masz Rodziców. Masz jeszcze większego farta, jeżeli cię rzeczywiście kochają. Jeżeli są gotowi poświęcić czas, żeby tu przyjechać i spróbować zrozumieć, dlaczego jesteś taki, jaki jesteś, i spróbować nauczyć się, jak ci pomóc, to wygrałeś w pierdolonego totka. Traktuj ich dobrze i spróbuj zrozumieć, jak oni muszą się czuć, przyjeżdżając tu, żeby się z tobą spotkać, i jak muszą być tym zdenerwowani.

Zawsze byli przeze mnie zdenerwowani. To część problemu.

Na ile cię znam, raczej mieli powody do nerwów.

Może.

Może sroże. Popracuj kurwa nad podejściem i spróbuj być dla nich w porządku i pamiętaj, jaki to fart, że w ogóle ich masz.

Opuszczam wzrok, patrzę w ziemię, przytakuję. Chwyta mnie za podbródek i podnosi mi twarz do swojej.

Masz teraz powiedzieć najdroższa Lilly, postaram się być w porządku dla moich Rodziców.

Uśmiecham się.

Zaczynasz zgrywać twardzielkę?

Przytakuje.

Jestem Twarda Sztuka, Młody. I lepiej o tym kurwa pamiętać.

Śmieję się.

Dobrze najdroższa Lilly. Postaram się być w porządku dla swoich Rodziców.

Śmieje się.

Dziękuję.

Patrzę na nią, mój uśmiech znika, ale nie wewnątrz. Nigdy nie czułem się tak bezpiecznie ani spokojnie. Ta dzielna, poturbowana, Uzależniona od narkotyków Twarda Sztuka siedząca przede mną z czarnymi włosami zaplecionymi w warkoczyki i przejrzystymi jak woda niebieskimi oczami i bliznami bliznami bliznami na nadgarstku nagimi pod plastikowym zegarkiem sprawia, że czuję się bezpieczny i jestem spokojny.

Chcę się z tobą jutro spotkać, ale nie wiem, jak to wszystko wyjdzie z Rodzicami. Jak będziesz szła na lunch, usiądź tak, żebyś widziała Część Męską. Jeżeli będę odwrócony plecami, to nie możemy się spotkać. Jeżeli będę odwrócony do ciebie, to mogę się z tobą spotkać, a liczba talerzy na tacy będzie oznaczać godzinę.

A jeżeli będziesz mógł przyjść dopiero o północy?

To będę wyglądał jak jebany kretyń.

Śmieje się.

Pocałuj mnie, zanim pójdziesz.

Nachylam się i całuję ją, całuję jej usta miękkie i wilgotne i ciepłe. Obejmuję ją i przytulam ją mocno tę moją małą Twardą Sztukę. Odsuwa się i wstajemy. Mówi.

Śpij dobrze.

Zamierzam.

Odwraca się i zaczyna odchodzić. Mówię.

Lilly.

Zatrzymuje się i odwraca.

Co?

Będę za tobą tęsknił.

Uśmiecha się.

To dobrze.

Odwraca się i znika w zieleni. Odwracam się w drugą stronę i przeciskam się i wychodzę na Szlak i powoli wracam powoli wracam. Czuję się bezpieczny i jestem spokojny i chcę, żeby tak zostało tak długo, jak się da. Zatrzymuję się przed szklanymi drzwiami na Oddział. Patrę przez szkło na mężczyzn nie czują się bezpieczni ani nie są spokojni. Oglądają telewizję, grają w karty, palą papierosy i piją kawę. Pierdola trzy po trzy i opowiadają historie.

Nie czują się bezpieczni ani nie są spokojni.

Nałogi potrzebują paliwa. Tankują do pełna.

Wiem, że to uczucie nie będzie trwało wiecznie, że wcześniej czy później się skończy. Wybieram wcześniej i otwieram drzwi i wchodzę na Oddział. Idę do swojego Pokoju. Drzwi są zamknięte, więc delikatnie pukam nikt nie odpowiada. Otwieram drzwi i wchodzę Miles siedzi na łóżku. Ma twarz schowaną w dłoniach i płacze. Jestem pewien, że słyszał, jak wchodzę, ale nie zwraca na mnie uwagi. Ma twarz schowaną w dłoniach i płacze.

Wycofuję się tak, jak wszedłem, i zamykam drzwi. Stoję na Korytarzu i jest włączone światło i ściany są białe i żałuję, że nie są niebieskie przejrzyste jak woda niebieskie.

Idę do Stołówki. Jestem za wcześnie i jest pusta. Biorę tacę i talerz paluszków rybnych i sos tatarski i wybieram stolik i siadam. Zaczynam jeść. Jem powoli. Paluszki rybne są ciepłe i rozmoczone, panierka smakuje jak wilgotny piasek. Z każdym kęsem część mnie zapala się i chce więcej chce całego paluszka naraz wrzeszczy i błaga o pięćset paluszków na raz panierka i w ogóle. Nieważne jakie są obrzydliwe po prostu ich kurwa chcę. Siedzę i oddycham i zaciskam szczękę. Patrzę prosto przed siebie. Kęs za kęsem. Trzymaj się. Kęs za kęsem. To nie takie trudne. Kęs za kęsem. To jebane paluszki rybne. Tylko się trzymaj.

Kończę jeść. Mężczyźni zaczynają się zbierać,

nie siadają ze mną. Chcę więcej jedzenia, znacznie więcej jedzenia, ale nie wstaję od stolika. Po prostu siedzę i trzymam się, siedzę i trzymam się, siedzę i trzymam się. Mam świadomość, że może zmagam się z drobnostką, ale mam też świadomość, że aby wygrać wielką walkę, trzeba najpierw wygrać tę małą. Nałóg to nałóg i walka to walka. Rządzą nimi te same mechanizmy. Tylko się trzymaj.

Widzę Leonarda wychodzącego z kolejki. Zamiast paluszków rybnych ma makaron z wołowiną. Uśmiecha się i kiwa do mnie i podchodzi do mojego stolika i siada. Przed chwilą wziął prysznic i ma mokre włosy i zaczerwienioną twarz.

Jak leci, Młody?

Dobrze. A u ciebie?

Miałem bardzo udany dzień.

Dlaczego?

Nie twoja sprawa.

Dlaczego?

Przestań pytać dlaczego.

Mogę zapytać jak?

Może.

Leonard, jak zarabiasz na życie?

Śmieje się.

Młody, wiesz przecież, jak zarabiam.

Chcę usłyszeć, jak to mówisz.

Ktoś z tobą gadał?

Tak.

Ze mną też.
I co mówili?
Powiedzieli, że nie chcą, żebym miał na ciebie
zły wpływ. Powiedziałem im, że nie masz.
Dziękuję.
Leonard, jak zarabiasz na życie?
Młody, przecież wiesz.
Chcę usłyszeć, jak to mówisz.
Leonard zjada trochę makaronu z wołowiną.
Przeżuwa z uśmiechem na twarzy.
Jestem Szefem Oddziału na Zachodnim
Wybrzeżu dużej Włoskiej Instytucji Finansowej.
Śmieję się.
Chcesz wiedzieć coś jeszcze?
Nie.
I bardzo dobrze.
No.
Widziałeś się dzisiaj ze swoją Dziewczyną?
Tak.
Teraz przyznajesz, że to twoja Dziewczyna?
Tak jakby.
Dobra jest?
Tak, jest dobra.
Podoba ci się?
Tak.
Kochasz ją?
W pewnym sensie.
Uważaj, Młody. O nią też mnie pytali.

Skąd mogą o niej wiedzieć?

Wiedzą wszystko.

Jak?

Nietrudno się dowiedzieć, jeżeli coś cię interesuje.

Pewnie tak.

Wiesz, co o tym myślę?

Co?

Myślę, że miłość to rzadka rzecz na tym Świecie. Jeżeli wydaje ci się, że z tą Dziewczyną to jest właśnie to, wal każdego, kto spróbuje cię powstrzymać, i wal ich Reguły. Ryzykuj i rób, co potrafisz, i nie daj się przyłapać. A jak cię przyłapią, zrób to znowu.

Śmieję się.

Leonard, masz na mnie zły wpływ.

Uśmiecha się.

Nie, Młody, wcale nie mam.

Uśmiecham się. Leonard się uśmiecha. Jemy w milczeniu nikt z nami nie siada. Kończymy jeść i idziemy na Wykład i siadamy z Edem i Tedem i Mattym na tych samych miejscach, na których zawsze z nimi siadamy. Gramy w karty i wyniki wracają do normy. Leonard wygrywa, reszta przegrywa. Stawki są na tyle niewielkie że jest nam wszystko jedno czas płynie tutaj powoli gra sprawia że szybciej mija. Wemy, że po rozgrywce Leonard rozdzieli wygraną. Parę dolców do przodu, parę

dolców do tyłu. Ignoruję osobę na Podium. Nie chce mi się tam nawet patrzeć.

W^ad się kończy i wracamy na Oddział. Nalewam sobie kubek kawy i znajduję miejsce między innymi mężczyznami na jednej z kanap i oglądam telewizję. Leci serial o grupie Lekarzy pracujących w pogotowiu w centrum miasta. Jedna z historii jest o Heroinistce, która po przedawkowaniu trafia do Szpitala.

To piękna młoda kobieta, na której ciele nie ma ani śladu siniaków, blizn ani nakłuć. Jej ubranie jest brudne i efektownie poszarpane. Kiedy ktoś chce z nią porozmawiać, kobieta wybucha płaczem, a pod oczami ma duże sińce, ale jej płacz jest wyraźnie sztuczny, a worki pod oczami są różnej wielkości za każdym razem, kiedy ją widzimy.

Zaczęła dla hecy palić skręty, spotkała faceta i zakochała się, a facet okazał się Dilerem heroiny, który uzależnił ją od swojego towaru. Teraz nie potrafi rzucić, a po wstrzyknięciu szczególnie pokaźnej dawki ocknęła się na Pogotowiu, co jest jedynym elementem noszącym znamiona autentyzmu. Nie chce wziąć na siebie winy za zaistniałą sytuację. W kółko wrzeszczy to nie moja wina.

Kiedy oglądamy serial, niektórzy mężczyźni witają Dziewczynę gwizdami, inni klaszczą i śmieją się, jeden stęka i rzuca butem w telewizor, potem po

niego idzie i trzyma w dłoni gotowy, aż pojawi się znowu. Gdyby miał rewolwer, pewnie rozwaliby telewizor na kawałki.

Odcinek się ciągnie, Dziewczyna stawia czoło problemom z pomocą przystojnego młodego Lekarza pogotowia. Pomaga jej rzucić ćpanie, wciąga ją do AA. Pozwala jej zatrzymać się u siebie, pociesza ją, kiedy płacze, co wieczór po pracy przynosi do domu specjalne soki ze składnikami odżywczymi. Zakochują się i po wzruszającej kolacji przy świecach uprawiają wyborny romantyczny seks zakończony wielokrotnym orgazmem. Pod koniec odcinka jest jej znacznie lepiej. Rzuciła nałóg i zaczęła nowe życie. Ostatnie ujęcie pokazuje ją i Lekarza idących po Ulicy z małym golden retrieverem bawiącym się u ich boku.

Gdybym mógł, odnalazłbym Twórców tej bzdurnej gównianej wyssanej z palca bajeczki i zamknąłbym ich w pokoju i szprycował narkotykami, aż staliby się od nich silnie i chronicznie Uzależnieni. Potem wywołałbym przedawkowanie, zawiózł na najbliższe pogotowie w centrum i zostawiłbym ich przy wejściu, zaraz obok bezdomnych Nożowników, chorych na AIDS Narkomanów i Gliniarzy i Kierowców Karetki, którzy wyszli na fajkę. Zostawiłbym ich tam na parę dni, a potem wrócił, żeby sprawdzić, co słyhać. Gdyby jeszcze żyli albo byli w okolicy, co jest mało prawdopodobne,

zapytałbym, czy ich doświadczenie w jakikolwiek sposób przypominało historię, którą przedstawili Telewizjom. Zapytałbym, czy byli już na odtruwaniu i czy dobrze się czują. Zapytałbym, czy byli już na pierwszym Spotkaniu AA i czy mają nową Pracę i czy mają nowe Mieszkanie. Zapytałbym, czy zakochali się podczas kolacji przy świecach i czy uprawiali najlepszy seks swojego życia. Zapytałbym, czy zakupili nowego golden retrievera. Po ich odpowiedziach, nie nie nie błagam co mam teraz robić nie o w dupę mam przejebane nie błagam pomóż mi nie nie nie nie, zapytałbym, jak mają zamiar w przyszłości przedstawiać nałóg Telewizjom. Zapytałbym, czy będą nadawać mu romantyczny rys, czy będą go gloryfikować, żartować sobie z niego albo przedstawiać zupełnie inaczej, niż jest naprawdę. Nie nie nie błagam co mam teraz robić nie o w dupę mam przejebane nie błagam pomóż mi nie nie nie nie. Tak właśnie myślałem, wy Skurwysyny. Nie.

Po serialu wstaję i idę do Pokoju. Nie widziałem Milesa, od kiedy widziałem go ostatni raz, i zatrzymuję się i przykładam ucho do drzwi, zanim sięgam, żeby je otworzyć. Słyszę płacz, delikatne ciche szlochanie, wyrazy wymruczane w pustkę, pięść uderzającą w poduszkę. Chciałbym znaleźć się w swoim łóżku, pod kołdrą w ciepło, ale nie chcę mu przeszkadzać, więc odsuwam się od drzwi i wracam

na Oddział.

Robię sobie kolejną kawę i wracam na kanapę. Oprócz mnie i dwóch mężczyzn Dolny Poziom jest pusty. Nie znam ich i nie rozmawiam z nimi. W telewizji jest talk-show i Gwiazda Filmu opowiada o swojej miłości do wyścigów samochodowych i Gospodarz programu udaje, że jest tym zainteresowany. Uśmiecha się, przytakuje, kiedy wypada przytaknąć, podkreśla uwagi Gwiazdy Filmu błyskotliwymi komentarzami. Widownia jest wniebowzięta, i chociaż wiem, że program jest idiotyczny, ja też jestem wniebowzięty. Jestem Alkoholikiem i Narkomanem. Potrzebuję paliwa. Wezmę wszystko, co mi podejdzie.

Wypijam kolejną kawę, oglądam kolejny talk-show, przysypiam i budzę się. Kawa już na mnie nie działa, a telewizja to narkotyk.

To tępe migotanie karmi mnie zapycha mnie zabija mnie utrzymuje mnie trzyma mnie tutaj i daje coś, na czym można się skupić. Dwóch mężczyzn na kanapach koło mnie mocno śpi. Jeden rzuca się i jęczy, cicho mamrocze słowo zbyt powszechne krzyczy przestań przestań przestań. Drugi chrapie i leży bez ruchu. Gdyby nie chrapanie, można by pomyśleć, że nie żyje. Pojawiam się i znikam.

Telewizja to narkotyk. Pojawiam i znikam. Pojawiam.

Znikam.

Pojawiam.

Znikam.

ęczyzna sprzedający produkty na porost włosów wrzeszczy kupuj kupuj kupuj będą rosły rosły rosły. Cała głowa włosów, o jakich zawsze marzyłeś. Ofiaruję ci to, jeżeli kupisz kupisz kupisz będą rosły rosły rosły. Stoi na plaży. Na każdym ramieniu ma piękną blondynkę. Ma na sobie tani garnitur.

Wyłączam go. Idę do Pokoju i otwieram drzwi. Wchodzę. Miles nie śpi, siedzi na łóżku. Czyta Biblię. Kiwa do mnie i ja kiwam do niego. Wchodzę do łóżka i układam się pod kołdrą i zwijam się w siebie. Budzę się. Przez okno wpada szare światło mrużę oczy, żeby go nie widzieć. Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to Rodzice. Jestem zdrowo wkurwiony.

Wstaję z łóżka, biorę prysznic, golę się, myję zęby. Lustro, ja, moje oczy, nie mam szans na oczy. Cienia szansy.

Kiedy się ubieram, Miles wchodzi z dwoma kubkami kawy. Jeden mi podaje.

Przyniosłem ci kawę.

Dzięki.

Lubisz czarną, nie?

No.

Wypijam łyk, stawiam kubek na stoliku nocnym obok łóżka, dalej się ubieram. Miles podchodzi do swojego łóżka i siada i mówi.

Dziękuję, że zostawiłeś mnie wczoraj samego w Pokoju.

Nie ma sprawy.

Musiałem się uporać z paroma sprawami.

Teraz już dobrze?

Lepiej.

Cisza gęstnieje. Chwila. Miles patrzy w podłogę, potem na mnie.

To wstyd, James.

Co?

Zmagam się z poczuciem wielkiego wstydu, James. Dlatego wczoraj przez cały dzień tu siedziałem. To wstyd.

Jak będziesz chciał kiedyś o tym pogadać, to spróbuję ci pomóc. Dziękuję ci, James. Wiem o tym.

Kończę się ubierać, siadam na łóżku. Miles patrzy w podłogę.

W porządku?

Przytakuje. Nie wygląda dobrze.

Wstaję, podchodzę do niego, siadam obok niego na łóżku, obejmuję go, ściskam. On też mnie mocno ściska i czuję, jak wstyd wychodzi z niego przez ręce. Jestem Przestępcą, a on jest Sędzią i jestem biały, a on jest czarny, ale w tej chwili to nie ma znaczenia. Jest mężczyzną, który potrzebuje przyjaciela, a ja mogę być tym przyjacielem. Czekam, aż mnie puści, czekam, aż pozbędzie się tego czegoś, i po kilku minutach pozbywa się. Wstaję i mówię.

Jak będziesz w potrzebie, to dawaj. Nie ma ze mnie specjalnego pożytku, ale zrobię, co będę mógł.

Przytakuje.

Dziękuję, James.

^chodzę z Pokoju i na Korytarz i Korytarz sprowadza mój gniew. Gniew, ponieważ są tu moi Rodzice. Gniew, ponieważ nie chcę ich widzieć. Wchodzę na Oddział i idę zrobić kawę, ale kawa została już zrobiona. Patrzą na Tablicę Prac. W miejscu obok mojego imienia napisane jest Rodzina.

Wychodzę z Oddziału i idę do Stołówki. Biorę tacę, talerz, burrito na śniadanie. Siadam przy wolnym stoliku. Jestem wściekły i chcę być sam.

Jem szybko. W buritto są jajka, bekon, ser i kawałeczki niezidentyfikowanych warzyw. Jest ohydne, ale i tak je zjadam. Chciałbym zjeść takich sto. Wściekłość przechodzi w Furię. Furia nadciąga.

Kończę jeść i wychodzę i idę w stronę Auli. Przede mną są mężczyźni i za mną są mężczyźni. Nie zwracam na nich uwagi. Po prostu idę. Joannę czeka na mnie przy wejściu do Auli. Prosi, żebym poszedł z nią do Gabinetu. Idziemy obok siebie Korytarzami.

James, jak się dzisiaj czujesz?

Dobrze.

Oglądasz, jakbyś był rozgniewany.

Bo jestem.

Dlaczego?

Po prostu jestem.

Przychodzimy do jej Gabinetu. Wchodzimy.
Siada na fotelu, siadam na kanapie.

Twoi Rodzice przyjechali wczesnym rankiem.
Zostali zakwaterowani w Ośrodku Rodzinnym. Za
parę minut się z nimi spotkamy.

Bomba.

Nie jesteś z tego powodu szczęśliwy, prawda?

Nie.

Dlaczego?

Bo nie chcę się z nimi spotykać.

Dlaczego?

Irytują mnie.

Dlaczego.

Nie wiem dlaczego.

Muszą być konkretne powody.

Jakiegokolwiek by były, to wszystko brednie.
Rzeczy w stylu, że zawracali mi głowę albo się o
mnie martwili, beznadziejny syf, na który
zasłużyłem.

Czy uważasz, że twoje emocje są czymś
spowodowane?

Nie wiem.

Od kiedy to czujesz?

Byłem wkurwiony na Rodziców, od kiedy tylko
pamiętam.

Może podczas ich pobytu uda nam się zrozumieć
dlaczego.

Wątpię.

Nie zapominaj, że są tutaj, bo cię kochają i chcą ci pomóc. To nie jest dla nich łatwe.

Spróbuję.

Zwykle zaczynamy, sadzając wszystkich w Sali. Jeżeli twoi Rodzice mają zrozumieć, gdzie się znalazłeś i co mogą zrobić, żeby ci pomóc, będą musieli dowiedzieć się, co robiłeś i do jakiego stopnia to robiłeś. Chcielibyśmy, żebyś im to opowiedział.

To będzie jakiś pierdolony koszmar.

Dlaczego tak uważasz?

Moi Rodzice wiedzą, że przesadzam z piciem, i wiedzą, że biorę narkotyki, ale nie mają pojęcia ile i nic nie wiedzą o moich konfliktach z prawem.

Jak to nie wiedzą?

Nigdy im nie powiedziałem.

Wydaje ci się, że mogą niedobrze zareagować?

Śmieję się.

Niedobrze nie opisuje tego, jak według mnie zareagują.

Niezależnie od ich reakcji poradzimy sobie z tym. Po to tu przyjechali, po to tu jesteśmy.

Pewnie tak. i Według mnie mogą cię zaskoczyć.

Raczej w to kurwa wątpię.

Spogląda na zegarek.

Powinniśmy iść.

Wstaje. Wstaje.

Dobra.

Otwiera drzwi i wychodzimy z Gabinetu i zaczynamy iść Korytarzami. Są jaskrawe i wywołują we mnie gniew, z każdym krokiem jestem coraz bardziej rozgniewany. Nie chcę spotykać się z Rodzicami. Nie chcę być z nimi w jednej Sali. Nie chcę z nimi rozmawiać, nie chcę, żeby ze mną rozmawiali. Zawsze tak się czułem. To moi Rodzice. Nie chcę ich nigdzie w pobliżu.

Ręce zaczynają mi się trząść i serce zaczyna mi walić jak Armata na Polu Bitwy. Joannę wyczuwa to i bierze mnie za rękę rękę z jej strony i trzyma ją i uśmiecha się. Próbuję odwzajemnić uśmiech, ale nie mogę się uśmiechnąć. Nadciąga Furia. Nie chcę widzieć swoich Rodziców.

Dochodzimy do drzwi. Joannę puka i głos mówi proszę. Spogląda na mnie i mocno ściska moją dłoń. Patrzę w podłogę. Trzęsę się i moje serce moje serce moje serce. Podnoszę wzrok i biorę głęboki oddech i kiwam głową. Joannę otwiera drzwi.

Wchodzimy. Matka i Ojciec siedzą przy stole konferencyjnym po przeciwległej stronie Sali. Trzęsę się. Jest z nimi zupełnie łysy mężczyzna koło trzydziestki w czarnym swetrze i czarnych dżinsach.

Moje serce moje serce moje serce. Kiedy się do mnie odwraca, Matka wstaje. Ma na sobie płócienne spodnie i białą koszulę i niebieską marynarkę i jedwabną apaszkę w tureckie wzory i ma idealne włosy i idealny makijaż i ma diamenty na palcach i

diamenty w uszach. Rzuca się do mnie. Furia nadciąga. Chcę stąd wypierdalać. Chcę wyjść wyjść wyjść.

James.

Obejmuje mnie. Nie podoba mi się jej dotyk i nie odwzajemniam uścisku. Puszczą mnie, ale trzyma dłonie na moich ramionach. Świetnie wyglądasz.

Chcę, żeby zabrała dłonie.

Nabierasz ciała.

Zabrała oczy.

I twoja twarz i zęby mają się lepiej. Wyglądasz o wiele lepiej.

Ścisła mnie jeszcze raz. Chcę, żeby mnie zostawiła. Żeby mnie kurwa zostawiła.

O, James.

Puszczą mnie, patrzy. Ojciec podchodzi. Płóciennie spodnie, niebieska koszula, niebieska marynarka. Duży drogi zegarek. Obejmuje mnie. Chcę, żeby mnie zostawił.

Jak się masz, James?

Puszczą mnie.

Dobrze.

Wyglądasz znacznie lepiej.

Chyba tak.

Joannę podchodzi.

Pan Frey?

Wyciąga dłoń, żeby mu ją podać. Uścisk.

Proszę mi mówić Bob.

Joannę przytakuje.

Bob, mam na imię Joannę. Jestem Psychologiem i opiekuję się pana Synem.

Tata się uśmiecha.

Wygląda lepiej.

Joannę się uśmiecha.

Czuje się lepiej i jest na drodze do znaczącej poprawy.

Tata się uśmiecha.

Jesteśmy bardzo dumni z tego, że tu przyjechał.

Joannę się uśmiecha.

Słusznie.

Przytakuje, patrzy na mnie. Odwracam wzrok. Joannę mówi.

To może usiądziemy i możemy zaczynać.

Matka uśmiecha się i przytakuje. Ojciec mówi dobrze. Siadają na tych samych miejscach. Siadam po drugiej stronie stołu tak daleko, jak to możliwe. Trzymam ręce na kolanach trzęsą się. Patrzę prosto przed siebie patrzę na powierzchnię jaskrawobiałej ściany. Joannę siada między nami, spogląda na mężczyznę w czerni i kiwa głową. Mężczyzna mówi.

Cześć, James. Mam na imię Daniel i jestem Opiekunem z Ośrodka Rodzinnego.

Patrzę w ścianę.

Będę opiekował się tobą i twoimi Rodzicami podczas ich pobytu. Ręce mi się trzęsą.

Jak zapewne wiesz, zaczynamy pracę nad

Programem Rodzinnym od tego, że osobnik Uzależniony zdaje Członkom Rodziny relację z rodzaju i przebiegu swoich nałogów.

Moje serce moje serce moje serce. Jak Armata na Polu Bitwy. Chcielibyśmy, żebyś był tak szczery, jak potrafisz, i masz na to tyle czasu, ile ci potrzeba.

Przytakuję.

Zaczynaj, kiedy będziesz gotów.

Patrzę prosto przez stół. Matka i Ojciec czekają na mnie.

Zanim zacznę, chcę tylko powiedzieć, że nie chcę tego robić, i żałuję, że tu przyjechaliście, i przykro mi, że musicie usłyszeć to, co wam zaraz opowiem.

Ojciec przytakuje i ściska dłoń Matki.

Piłem, od kiedy tylko pamiętam. Jako dziecko podpijałem piwo na meczach, na które chodziliśmy, i wypijałem resztki wina z kieliszków na waszych przyjęciach. Nie wiem, dlaczego to robiłem, po prostu robiłem. Z jakiegoś powodu to mi poprawiało samopoczucie i podobało mi się, podobało mi się bardziej niż cokolwiek, czego wcześniej doświadczyłem. Robiłem to, kiedy tylko mogłem i tak często, jak mogłem, czyli dość często. Chodziliśmy na wiele meczów, a wy urządzaliście wiele przyjęć. Po raz pierwszy upiłem się, kiedy miałem dziesięć lat. Poszliście na symfonię albo na bal dobroczynny i wykradłem się z Domu bez wiedzy

opiekunki i poszedłem na imprezę jakichś Licealistów. Moja obecność wydała im się zabawna i robili mi drinki, aż się porzygałem. Dotarłem do Domu i opiekunka spała i poszedłem do łóżka.

Matka wyciera oczy, Ojciec ściska jej dłoń.

Kiedy miałem dwanaście lat, po raz pierwszy wypaliłem skręta. Ta sama historia. Wykradłem się na imprezę i starsze Dzieciaki mi dały. Nie podobało mi się za bardzo, ale za to podobało mi się, że wydałem im się spoko. Robiłem to tak często, jak mogłem, a ponieważ często wychodziliście albo wyjeżdżaliście, to było łatwe. Opiekunki zawsze miały mnie w dupie, a czasami nawet paliły ze mną.

Matka zasłania twarz dłonią, Ojciec patrzy w stół.

Kiedy miałem czternaście lat, po raz pierwszy urwał mi się film.

Piłem i paliłem w piwnicy u kogoś w domu, a potem nagle był już ranek i znalazłem się u siebie. Na tym etapie byłem zwykle najebany trzy, cztery razy na tydzień. Kiedy miałem piętnaście lat, zacząłem brać mocniejsze rzeczy, kokainę i kwas i metamfę w kryształkach. To wszystko mi się podobało bardziej niż marihuana, więc przestałem ją palić, i jest to jedyny narkotyk, który udało mi się rzucić. Kiedy miałem piętnaście lat, handlowałem dragami i alkoholem. Szedłem do Getta w Porcie i spotykałem się z takim gościem o imieniu Freddy. To był lokalny

handlarzyna i za kilka dolców był mi w stanie załatwić, co tylko chciałem. Wiadomo było, że mogę załatwić towar, więc ludzie mnie podwozili. Umowa była taka, że oprócz tego mieli mi coś jeszcze kupić. Jeżeli nie mogli mnie podwieźć, brałem wasz samochód. Kiedy nie miałem pieniędzy, Freddy dawał mi na kreskę. Lubił mnie i mówił na mnie Białas James, i tak zaczęto mnie tam nazywać. To było kurewsko głupie i niebezpieczne, ale podobało mi się, wydawało mi się spoko i umożliwiało zdobycie, czego tylko chciałem, kiedy tylko chciałem. A chciałem bez przerwy.

Matka zaczyna płakać, Ojciec patrzy na mnie.

Szesnaście i siedemnaście to było mniej więcej to samo. Kupowałem i sprzedawałem alkohol i dragi, brałem, ile się dało, co tylko wpadło mi w ręce. Byłem najebany przed Szkołą, w Szkole, po Szkole.

Byłem najebany codziennie. Piłem i głównie wciągałem metamfę, a kiedy wtedy przedawkowałem, to było właśnie po tym, metamfie i alkoholu. Nie wiem, ile wzięłem, bo urwał mi się film. Nie mieliście pojęcia, co się dzieje, bo nie rozmawiałem z Lekarzami. Wiem, że teraz, kiedy tu siedzicie, wydaje się wam, że powinniście byli się zorientować i mnie powstrzymać, ale dobrze się maskowałem, a wy staraliście się, bardzo się staraliście. Może pamiętacie, jak parę razy postraszyliście mnie Odwykiem i powiedziałem, że

jeżeli mnie tam wyślecie, to ucieknę i już nigdy mnie nie zobaczycie ani nie usłyszycie ode mnie ani słowa. Myślę, że wtedy bym to zrobił. Nic nie mogliście zrobić, żeby na mnie wpłynąć. Nie przestałbym.

Biorę głęboki oddech. Matka przysunęła się do Ojca i szlocha w dłonie. Widzę, jak makijaż przecieka jej przez palce. Ojciec patrzy na mnie i ma wilgotne oczy. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby płakał, nigdy nie widziałem, żeby był choćby bliski płaczu. Osiemnaście. To samo, tylko więcej. Jesienią wyjechałem na Uczelnię. Żadnych Reguł, was nie było, co miesiąc dostawałem kieszonkowe. Byłem w Raju. Co wieczór urywał mi się film, bez przerwy leciała mi krew z nosa od nieustannego wciągania koki, moczyłem łóżko trzy, cztery razy na tydzień, bo byłem zbyt pijany, żeby wstać. Dziewiętnaście, to samo, tylko chyba jeszcze gorzej. Kiedy miałem dwadzieścia lat, zacząłem palić kokę. Wszystkie pieniądze od was przeznaczałem na handel. FBI zaczęła się mną interesować z powodu dilerki i przesłuchali mnie na miejscowym Posterunku pięć czy sześć razy. Nigdy mnie na niczym nie przyłapali. Dwadzieścia jeden. Zły rok. Zacząłem palić crack, który uwielbiałem. Paliłem, kiedy tylko mogłem, czyli praktycznie codziennie. Crack to zły narkotyk i mnie rozpierdolił. Rzygałem krwią, sikałem krwią, srałem krwią. Miałem bez przerwy mdłości.

Nie za bardzo wiem, jak mi się to udało, ale

skończyłem studia, i załatwiliście mi tę robotę i wysłaliście do Europy. Wiem, że zrobiliście to, bo wydawało się wam, że praca i wyjazd wyjdą mi na dobre, ale nie wyszły. Właściwie nie musiałem pracować i przez cały czas byłem napruty i szukałem guza. Nie było tam cracku, ale były freebase i kokaina w proszku i wciągałem tego, ile wlezie. Matka szłocha z twarzą w dłoniach, po policzkach Ojca lecą łzy.

 Nie wyciera ich, tylko na mnie patrzy.

Kiedy tam byłem, chciałem spotkać się ze swoją Dziewczyną z College'u. Wiem, że ją pamiętacie, bo bardzo ją lubiliście i mieliście nadzieję, że coś z tego wyjdzie. Zerwaliśmy ze sobą pod koniec studiów, a potem pogodziliśmy się listownie i przez telefon i miała zamiar przyjechać i ze mną zamieszkać. Byłem tym podekscytowany i chyba traktowałem to trochę jako ostatnią szansę, żeby się zrehabilitować. Wiedziałem, że kiedy przyjedzie, będę się musiał doprowadzić do porządku, bo miała dosyć użerania się z moimi problemami. Byłem pełen nadziei i dobrze się z tym czułem i byłem tak podekscytowany, że złamałem jedną ze swoich Reguł, która mówiła, żeby nigdy do niej nie dzwonić po pijanemu. Dzwoniłem trzy noce z rzędu i nie wiem, co mówiłem, bo nic nie pamiętam. Kiedy zadzwoniłem znowu czwartego dnia, jej Mama podniosła słuchawkę i powiedziała, żebym więcej nie

dzwonił, że ona nie chce mnie znać. Odbiło mi i poszedłem w ostry cug, a potem postanowiłem, że wrócę do Stanów, bo wiedziałem, że ma zamiar przyjechać do Szkoły odwiedzić znajomych.

Nie mogę już patrzeć na Rodziców, więc patrzę w stół.

Przyleciałem z Paryża do Chicago, pojechałem z Chicago do Ohio. Kiedy tam dotarłem, nic nie piłem ani nie brałem, dopóki jej nie znalazłem, a kiedy już ją znalazłem, nie chciała ze mną rozmawiać. Kazała mi spadać, powiedziała, że nie chce mnie więcej widzieć, rozmawiać ani mieć ze mną nic wspólnego. Dobiła mnie. Poszedłem i wypłem tyle, ile dałem radę, i wypaliłem tyle cracku, ile dałem radę, a kiedy byłem już nieźle nawalony, postanowiłem ją znaleźć i spróbować jeszcze z nią pogadać. Pojechałem do Knajpy, gdzie zwykliśmy przesiadywać, i wiedziałem, że tam będzie. Kiedy podjeżdżałem, zobaczyłem, jak stoi na zewnątrz ze znajomymi. Gapiłem się na nią i nie patrzyłem na drogę i wjechałem na chodnik i potrąciłem stojącego tam Gliniarza. Nie uderzyłem go mocno, bo jechałem tylko pięć mil na godzinę, ale w niego wjechałem. Widziała to, tak samo jak wielu innych ludzi. Gliniarz wezwał posiłki i siedziałem w samochodzie i patrzyłem na nią i czekałem. Posiłki przyjechały i otoczyli samochód i kazali mi wysiąść i powiedziałem chciecie, żebym wysiadł, to mnie

wyciągnijcie, wy pierdolone Psy. Otworzyli drzwi, zacząłem się rzucać i spałowali mnie i aresztowali. Kiedy mnie wyciągali szarpiącego się i wrzeszczącego, namawiałem gapiów, żeby ich zaatakowali i mnie odbili, ale nic takiego się nie stało. Kiedy siedziałem na tylnym siedzeniu radiowozu, podeszła i spojrzała na mnie i płakała, a ja zapytałem, czy wniesie za mnie Kaucję, i kiwnęła głową i powiedziała tak, zrobię to. Spędziłem noc w Areszcie, a rano zostałem postawiony w stan oskarżenia za napaść z użyciem niebezpiecznego narzędzia, napaść na policjanta, prowadzenie w stanie wskazującym na spożycie, zakłócenie porządku publicznego, stawianie oporu podczas aresztowania, prowadzenie bez prawa jazdy, prowadzenie bez ubezpieczenia, próbę wszczęcia zamieszek, posiadanie narkotyków z zamiarem sprzedaży i ciężkie uszkodzenie ciała. Jediną bzdurą był zarzut dotyczący narkotyków, a był bzdurą, bo chciałem je wziąć, a nie sprzedać. Nie pojawiła się, więc mój Kumpel wpłacił za mnie Kaucję kartą kredytową i poleciałem z powrotem do Paryża. O ile mi wiadomo, w dalszym ciągu jestem poszukiwany w związku z wszystkimi stawianymi mi zarzutami.

Podnoszę wzrok. Rodzice oboje milczą i oboje płaczą. Łzy lecą im po twarzy i moja Matka ciężko oddycha. Rozkleja się i zaczyna szlochać. Czekam, aż przestanie, ale nie przestaje. Tylko szlocha szlocha

szlocha. Ojciec obejmuje ją i szepcze jej coś do ucha, szepcze łagodnie, ale to nie pomaga. Moja Matka szlocha. Patrzę na nią i czekam, aż przestanie. To trwa wieczność. Pierdoloną wieczność. Kiedy się uspokaja, mówię dalej.

Zatrzymałem się w Paryżu, najebałem się, wiedziałem, że się zabijam, i mi to zwisało. Stamtąd poleciałem do Londynu i zrobiłem to samo. Kiedy wróciłem do Stanów i pojechałem do Karoliny Północnej, znowu zacząłem palić crack. Crack to zły i groźny narkotyk, a ja paliłem go tyle, ile się dało. Piłem również tyle, ile się dało, co na tym etapie oznaczało całkiem sporo. Nie pamiętam wiele z tego, co tam robiłem, bo byłem przez cały czas kompletnie najebany, ale wiem, że znowu trafiłem do Aresztu. Wiem też, że oprócz tego trafiłem do Aresztu w Michigan, chociaż nie mam pojęcia, co robiłem w Michigan. W obydwu wypadkach nie stawiałem się na rozprawę po zwolnieniu za Kaucją, więc pewnie tam też jestem poszukiwany. Przez ostatnich sześć miesięcy tylko piłem i paliłem i czekałem, aż umrę.

Moja Matka szlocha, a Ojciec ją obejmuje. Tym razem na nią nie czekam, chcę to mieć już z głowy.

Nie mam do was o nic żalu, nie wydaje mi się, żeby było coś, co moglibyście zrobić, żeby to się nie stało. Jestem, czym jestem, czyli Alkoholikiem i Narkomanem i Przestępcą, i jestem, czym jestem, bo sam do tego doprowadziłem. Zrobiliście dla mnie

wszystko, co się dało, i kochaliście mnie najlepiej, jak było można, i to jest wszystko, czego mogłem od was oczekiwać. Nie mam żadnego wytłumaczenia na to, co robiłem, ani na to, czym jestem, ani na to, co musieliście przeze mnie przeżyć przez te wszystkie lata.

Moja Matka zaczyna szlochać. Głośniej niż poprzednio i bardziej przejmująco. Makijaż rozmazał się jej na dłoniach i twarzy i ubraniu i z trudem oddycha. Tuli się do mojego Ojca, który obejmuje ją i patrzy w podłogę. Łzy ciekną mu po policzkach i kapią na spodnie, widzę, że wargi mu drżą. Kręci głową i próbuje na mnie spojrzeć, ale nie potrafi.

Siedzę i patrzę na nich. Furia jest we mnie i nadeszła szczytuje. Nie rozumiem, dlaczego tak się dzieje, ale tak jest za każdym razem, kiedy z nimi jestem. Próbują dać mi miłość, a ja ich ranię. Próbują być uczciwi i rozsądni, ja nie jestem uczciwy ani rozsądny. Próbują mi pomóc, mam do nich o to żal. Nie rozumiem dlaczego. To moi Rodzice. Robią, co mogą.

Zawsze tak ze mną było. Daj mi coś dobrego, a zniszczę to. Kochaj mnie, a zniszczę ciebie. Nigdy nie czułem, żebym na coś w życiu zasłużył. Nigdy nie czułem, żebym był wart chorej przestrzeni, którą zajmuję. To poczucie naznaczyło wszystko, co kiedykolwiek zrobiłem, widziałem i z czym miałem do czynienia. Nie rozumiem tego. Nie rozumiem,

skąd się wzięło. Nienawidzę go tak bardzo jak siebie i z jakichś powodów obecność moich Rodziców zawsze to podsycala. Próbują mnie tylko kochać, ale zawsze przy nich to się kurwa pogarsza.

Joannę wstaje i podchodzi do mnie i nachyla się do mojego ucha. Powinniśmy już iść.

Patrzę na Rodziców. Nadal płaczą. Łzy kapią z twarzy Ojca, Matka ma problemy z oddychaniem. Chciałbym sprawić, żeby poczuli się lepiej, ale nie potrafię. Za bardzo siebie nienawidzę, żeby coś zrobić.

Wstaję i wychodzę z sali. Joannę trzyma otwarte drzwi i zamyka je za mną. Kiedy są już zamknięte i kiedy już nie mogę widzieć słyszeć czuć dotykać ranić swoich Rodziców, zaczynam czuć się lepiej.

Idziemy. Joannę nic nie mówi, ja też nic nie mówię. Po prostu idziemy Korytarzami. Myślę o swoich Rodzicach siedzących w tamtej Sali, płaczących przeze mnie i idziemy w stronę Gabinetu Joannę. Kiedy tam jesteśmy, otwiera drzwi. Wchodzimy do środka i siadam na kanapie, a ona siada naprzeciwko.

Jak się czujesz?

Samobójstwo.

Co?

To jedyne słowo, które pasuje.

Masz ochotę się zabić?

Nie zrobię tego, ale w tej chwili wydaje się ono

rozsądnym rozwiązaniem.

Dlaczego?

To moi Rodzice. Kiedy jestem z nimi, narasta we mnie taki gniew, że nie mogę się opanować. Ten gniew sprawia, że nienawidzę siebie jeszcze bardziej niż zwykle, i dlatego samobójstwo wydaje się rozsądnym rozwiązaniem.

Potrzebujesz nadzoru?

Nie, jestem zbyt tchórzliwy, żeby to rzeczywiście zrobić. Samobójstwo wydaje ci się aktem odwagi?

Nie, to tchórzostwo, tak samo jak nałóg jest tchórzostwem. Ale uważam, że jedno i drugie wymaga pewnego specyficznego żalosnego rodzaju siły.

Siły?

Trzeba być dość silnym, żeby odczuwać coś tak potężnego jak nienawiść albo nienawiść do samego siebie. Nałogi i samobójstwo nie są dla mięczaków.

Dla mnie to absurdalne.

Absurdalne też może być prawdziwe.

Dlaczego obecność Rodziców napawa cię takim gniewem?

Nie wiem.

Czy byłeś źle traktowany w dzieciństwie? o ile pamiętam, nie.

Czy wydaje ci się to możliwe?

Nie.

Dlaczego?

Dorastałem w bezpiecznym, uprzywilejowanym środowisku. Rodzice zawsze mnie kochali i zawsze starali się mnie chronić i zawsze chcieli dla mnie jak najlepiej. Wkurwiają mnie, ale nigdy w życiu nie zrobili mi krzywdy.

A ktoś inny?

Nie.

Na pewno?

Tak.

Wyciągam z kieszeni papierosa, zapalam, zaciągam się. Nikotyna spowalnia moje tętno i mnie uspokaja. i co teraz?

Lunch, a potem schodzisz do Ośrodka Rodzinnego. Aż do kolacji będziesz na Sesjach Grupowych z Członkami Rodzin innych Ludzi. Po kolacji usiądziemy znowu z twoimi Rodzicami.

Po co?

Zeby omówić ranek.

Może być zabawnie.

Dziś rano byłeś dzielny. Byłeś bardzo uczciwy i bezpośredni i powiedziałaś wiele rzeczy, które pewnie niełatwo powiedzieć. Twoi Rodzice zareagowali w bardzo normalny, naturalny sposób i gdyby tak właśnie nie zareagowali, byłabym zaniepokojona, czy uda nam się osiągnąć jakiś postęp. Teraz, kiedy wiedzą, o czym musieli się dowiedzieć, możemy popracować nad zagojeniem

twoich ran i próbą poprawienia waszych relacji.

O której dzisiaj skończymy?

To zależy od tego, do czego dojdziemy z twoimi Rodzicami.

A mniej więcej?

Próbujesz się umówić z Lilly?

Co?

Słyszałeś.

Tak, próbuję się umówić z Lilly.

Nie rób tego.

Dlaczego?

Jeżeli zostaniesz przyłapany, będziesz miał poważne kłopoty.

Wygląda na to, że już zostałem przyłapany.

Zachodzi podejrzenie, że coś między wami jest. Na niczym cię nie przyłapaliśmy.

Skąd się wzięło to podejrzenie?

Nie mogę z tobą o tym rozmawiać.

Chcesz, żebym rozmawiał z tobą, ale ty nie możesz rozmawiać ze mną. To jebana kpina, Joannę.

Tak ci się zdaje?

Tak, tak mi się zdaje. Będziesz ze mną szczera, to ja będę z tobą szczery. Taka jest kurwa umowa. A jak nie, to spierdalaj.

Nie jestem twoim wrogiem.

Jeżeli nie będziesz ze mną szczera, to jesteś.

Lilly jest w tobie zadurzona. Jedna z Opiekunek na jej Oddziale podsłuchiwała, jak Lilly opowiadała o

tobie Koleżance. Od tej pory słyszała, jak Lilly opowiadała o tobie wiele razy. Wygląda na to, że Lilly chce rozmawiać wyłącznie o tobie.

Uśmiecham się.

Dlaczego się uśmiechasz?

Podoba mi się, że jest we mnie zadurzona.

James, to zły pomysł.

Dlaczego?

Powinieneś się skoncentrować na tym, po co tu jesteś, czyli na abstynencji i odbudowie życia. Lilly odwraca twoją uwagę, oddala cię od tego celu. W tej chwili oboje jesteście bardzo wrażliwi i bezbronni i gdyby coś się miało między wami nie udać, to mogłoby zagrozić waszej abstynencji.

Dam sobie radę.

Nadmierna pewność siebie zabiła już wielu.

Dobrze mi z nią, lepiej niż z kimkolwiek innym.

Bez wątplenia, ale to nie zmienia naszego Regulaminu.

Nie chcę jej zostawiać.

To leży w interesie was obojga.

Wezmę twoją radę pod uwagę.

Weź ją sobie do serca.

Wstaję.

Idę coś zjeść.

Przytakuje.

Do zobaczenia wieczorem.

Odwracam się i otwieram drzwi i wychodzę z

Gabinetu Joannę. Idę do Stołówki. Kiedy przechodzę Szklanym Korytarzem oddzielającym mężczyzn od kobiet, widzę Lilly siedzącą przy stoliku. Patrzy na mnie i patrzę na nią, choć nie daję jej żadnego innego sygnału. Ciężko się na nią patrzy, ciężko, bo już nie jest tą odległą Dziewczyną, która się do mnie uśmiecha. Stała się kimś więcej, kimś więcej, niż się spodziewałem, i kimś więcej, niż chciałem. Staje się tym, czego chciałem od tej poprzedniej z arktycznymi oczami, czyli kimś, kto mnie kocha. Zwyczajnie i prawdziwie i tak jak ja. Ciężko się na nią patrzy, bo wiem, że ona zaczyna mnie kochać, ja zaczynam kochać ją. Nie obchodzi mnie, co robiła ani z kim to robiła, nie obchodzi mnie, jakie demony skrywa jej przeszłość. Obchodzi mnie to, jak się przy niej czuję, a czuję się przy niej silny i bezpieczny i spokojny i ciepły i prawdziwy. Ciężko się na nią patrzy, bo jestem zmuszony rozważać odrzucenie tego wszystkiego. Ciężko się na nią patrzy, ale i tak to robię.

Biorę tacę i ustawiam się w kolejce i dostaję talerz makaronu z duszonym tuńczykiem. Proszę o dziesięć porcji, ale Kobieta w siatce na włosy odmawia. Idę do Baru Sałatkowego i biorę pięć talerzy. Na jeden nakładam sałatę, na drugi twarożek, na trzeci buraki, na czwarty sałatkę z kukurydzy, na piąty grzanki. Moja taca jest pełna, więc biorę kolejną. Kładę na niej cztery talerze, każdy

obladowany porcjami budyniu, brzoskwiniami, kawałkami jabłecznika i ciasta marchewkowego. Powoli idę przez Stołówkę, niosąc obie tace. Są ciężkie i słyszę kilka chichotów i słyszę kilka śmiechów. Nieznany mi głos mówi to smutny nałóg. Chichoczę. Spotykam przyjaciół Eda i Teda i Leonarda i Matty'ego i Milesa i siadam z nimi. Leonard mówi.

Gdzieś ty był cały dzień?

Są tu moi Rodzice.

Miles mówi.

Przyjechali na Program Rodzinny?

Tak.

Jak było?

Chujowo.

Dlaczego?

Musiałem rano tak się niby wypowiadać, opowiadając im o tym całym szajsie, w którym siedziałem.

Ed mówi.

Czego nie wiedzieli?

Prawie wszystkiego.

Co było najgorsze?

Crack i fakt, że jestem poszukiwany w trzech stanach.

Leonard mówi.

Za co jesteś poszukiwany?

Takie tam.

Miles mówi.

James, czy zostały za tobą wysłane listy gończe?

Tak.

Gdzie?

W Michigan, Ohio i Karolinie Północnej.

Robisz coś w tej sprawie?

Ktoś stąd ma się tym zająć.

Ted mówi.

Kiedy powiedziałem swojej Mamuśce, że palę kokę, poprosiła, żebym też jej trochę załatwił.

Wszyscy się śmieją.

Serio. Powiedziała tyle że słyszała o tym niby cracku no to bym se wzięła. Skołowałem pięćdziesiątkę i paliłem z nią, aż gały jej zaczęły wypływać. Potem już nie chciała.

Wszyscy się znowu śmieją, mimo że obraz Mamuśki Teda z wypływającymi oczami nie jest do końca zabawny. Reszta lunchu schodzi nam na żartach, głównie z Matty'ego, który w dalszym ciągu próbuje przestać przeklinać. Co trzecie albo czwarte słowo mówi kurna albo kurwa, po czym następuje seria inwektyw skierowanych na samego siebie. W końcu przestaje się w ogóle odzywać. Kiedy lunch dobiega końca, moje talerze są wymiecione do czysta, faceci wsunęli wszystko. Kiedy wstajemy od stolika, patrzę przez Stołówkę i szybę na Lilly. Uśmiecha się do mnie i ten uśmiech boli. Nie oddam, nie mógłbym oddać, nie chcę oddać tego uśmiechu.

Nie oddam go. Nie ma kurwa mowy.

Wychodzimy ze Stołówki. Moi przyjaciele idą na Wykład, ja zapuszczam się Korytarzami w nieznane mi okolice, idąc po znakach, które prowadzą mnie do Ośrodka Rodzinnego. Podchodzę do drzwi. Na tabliczce na drzwiach napisane jest Witaj w Domu. Otwieram drzwi i wchodzę.

Białe ściany są bielsze żarówki jaśniejsze wiszące obrazy bardziej radosne. Są na nich Rodziny na piknikach na przestronnych polanach pełnych zieleni i kwiatów. Na obrazach Członkowie Rodzin uśmiechają się, jedzą bagietki, zrywają owoce i grają w tryktraka. Każda ściana obwieszona jest wariacjami na temat familijny. Przechodzę obok obrazów, które prowadzą mnie do dużej otwartej Sali. Jedna ze ścian Sali jest ze szkła i wychodzi na Jezioro. W Sali są fotele wszędzie są fotele. Duże miękkie wyglądające na wygodne fotele z radosną tapicerką we wzorki.

Na fotelach siedzą Ludzie, rozmawiają, palą, piją kawę i czekają. Czekają na Członków swoich Rodzin i czekają, aż im się polepszy.

Łatwo rozróżnić, kto uczestniczy w Programie Rodzinnym, a kto we własnym. Ludzie z Programu Rodzinnego są schludnie ubrani mają ładniejsze fryzury, lepsze zegarki, błyszczącą biżuterię. Ich skóra jest rumiana, ich ciała lśnią, są lepiej zbudowani. W oczach mają życie. Pozostali z nas

palą papierosy i piją kawę z kubków, dłonie nam się trzęsą i mamy podkrążone oczy. Poruszamy się powoli, a jedyne, co żyje w naszych oczach, to lęk.

Rozglądam się po Sali. Moi Rodzice siedzą ściśnięci w kącie, cicho ze sobą rozmawiając. Zauważają mnie. Podnoszę palec, a Ojciec daje mi sygnał głową i idę do automatu do kawy. Napęlniam kubek kawą, czarną i parującą, i idę do nich.

Kiedy podchodzę, wstają. Uśmiechają się, przebrali się, choć w podobne ubrania. Matka ułożyła sobie ponownie włosy i umalowała się i wszystko jest znowu idealne i marynarka Ojca jest świeżo uprasowana. Pod ich uśmiechami dostrzegam wysiłek i z każdym kolejnym krokiem mam coraz większą ochotę się odwrócić i uciekać. Ojciec mówi.

Jak się masz, James?

Bywało lepiej. A wy?

U nas też chyba bywało lepiej.

Cisza, uśmiechy. Chcę, żeby uśmiechy się skończyły. Matka mówi. Usiądziesz z nami?

Przytakuję, siadamy. Siedzą ramię w ramię, ja naprzeciwko. Między nami jest stolik, na nim popielniczka. Sięgam do kieszeni po papierosy i je wyciągam. Matka się krzywi.

Proszę cię, mógłbyś nie palić?

Dlaczego?

Bo właśnie się przebrałam i nie chcę, żeby ubranie śmierdziało. Dobra.

Wkładam papierosy z powrotem do kieszeni.
Matka mnie obserwuje.

Zamierzasz to rzucić w trakcie pobytu?

Nie.

Dlaczego?

Bo nie chcę tego rzucać.

Dlaczego nie?

Mamo, pozwolę ci wybrać. Mogę palić albo papierosy, albo crack.

Ty decydujesz.

Odsuwa się wyraźnie urażona. Wiedziałem, że to się stanie, i tak się stało. Ojciec mówi.

James, nie musisz odzywać się do Matki w ten sposób. Oczywiście, że wolimy, żebyś palił papierosy niż crack.

To przestańcie się przypierdalać.

Nie mów do nas w ten sposób.

Sięgam po kubek i wypijam kawę jednym haustem. Jest gorąca i paruje i pali mi usta, ale nie zwracam na to uwagi. Odstawiam kubek i mówię.

Idę zrobić sobie jeszcze jedną kawę. Chcecie?

Ojciec spogląda na Matkę. Matka kręci głową na nie i wyraz jej twarzy mówi mi, że nadal jest urażona. Ojciec spogląda znów na mnie.

Chyba dziękujemy.

Wstaję i wracam do automatu do kawy. Kiedy napełniam kubek, wysoki i szczupły mężczyzna ubrany jak mój Ojciec dzwoni dzwonkiem wiszącym

koło drzwi. Wszyscy odwracają się w jego stronę. Mówi, że mamy podzielić się na grupy i że grupy spotkają się w osobnych Salach. Pokazuje na parę drzwi naprzeciwko szklanej ściany i zaczyna wyczytywać nazwiska. Kiedy Ludzie słyszą swoje nazwisko, wstają i przechodzą przez drzwi. Kiedy wracam do kąta, gdzie siedzą moi Rodzice, mężczyzna wyczytuje moje nazwisko. Podchodzę do Rodziców i kiedy jestem koło nich, mówię.

Chyba muszę już iść.

Ojciec przytakuje, Matka wygląda, jakby się miała rozpląkać. Odwracam się i zaczynam odchodzić. Ojciec mówi.

James?

Odwracam się.

Przepraszamy za ten komentarz o paleniu.

Matka przytakuje. Łzy zaczynają jej lecieć po policzkach.

Wiemy, że masz teraz dużo rzeczy na głowie i że dajesz z siebie wszystko, więc jeżeli czujesz taką potrzebę, to możesz przy nas palić. Uśmiecham się. Ten prosty gest łamie mi serce.

Dziękuję.

Ojciec się uśmiecha i, przez łzy, Matka też się uśmiecha. Jej uśmiech sprawia, że czuję się trochę lepiej.

Do zobaczenia wieczorem.

Odwracam się i idę do wskazanych drzwi.

Przechodzę przez nie i wchodzę do kolejnej dużej Sali. Jest biały, jaskrawy i radosny.

Na ścianach są ilustracje motywujące ze sformułowaniami takimi jak Zyj Dzień po Dniu, Otwórz się na Boga, Pomalutku. Na podłodze jest gruba wykładzina, a dokoła Sali ustawiony jest szeroki okrąg ze składanych krzeseł. Na krzesłach siedzą Ludzie. Znajduję wolne krzesło z pustymi miejscami po obu stronach i siadam. Przez chwilę jestem sam, ale potem kobieta w ciąży siada po jednej stronie, a siwy mężczyzna po drugiej. Sala się zapełnia, a na każdego Pacjenta przypada trzech Członków Rodziny. Wszyscy wyglądają na zdenerwowanych.

Wchodzi kobieta koło trzydziestki, ma na sobie spodnie khaki i sandały i wełniane skarpety i sweter w prążki. Jest szatynką, ma zielone oczy i wygląda jak modelka. Siada na jedynym wolnym krześle w kółku i uśmiecha się.

Witam na waszej pierwszej Sesji Terapii Grupowej w Programie Rodzinnym.

Parę Osób przytakuje, parę Osób dziękuje.

Tę Sesję poświęcimy na zapoznanie się i zadawanie pytań. Członkowie Rodzin często pytają Pacjentów, co robimy albo dlaczego robimy to, co robimy, albo jakie to uczucie, z kolei Pacjenci często pytają Członków Rodzin, jaki wpływ ma na nich nasze postępowanie albo jak się czują, próbując sobie

z nami radzić, albo dlaczego radzą sobie z nami tak, jak to robią, albo po co w ogóle sobie z nami radzą. Możecie pytać, o co tylko chcecie, byle tylko świadomie nie ranić niczyich uczuć. Przedstawię się jako pierwsza. Uśmiecha się.

Mam na imię Sophie i jestem Narkomanką i Alkoholiką.

Wszyscy mówią Cześć, Sophie. Mężczyzna koło niej uśmiecha się, mówi.

Jestem Tony i jestem Mężem Alkoholiczki.

Wszyscy mówią Cześć, Tony i każdy w Sali po kolei się przedstawia. Matka Heroinisty, Uzależniony od Metamfetaminy, Zona Uzależnionego od Cracku, Alkoholik, Syn i Córka Alkoholika. Uzależniony od Vicodinu, Ciężarna Zona Uzależnionego od Cracku. Wszystkie rodzaje relacji, wszystkie rodzaje Narkomanów i Alkoholików.

Po przedstawieniu się nadchodzi czas na pytania. Z początku nikt nic nie mówi. Ludzie patrzą w podłogę, patrzą na ręce, patrzą na siebie. Niezręczne uśmiechy i westchnienia frustracji. Po jakimś czasie mężczyzna, który przedstawił się jako Uzależniony od Metamfetaminy, pyta, jak długo potrwa ta Sesja. Wszyscy się śmieją. Kobieta, która przedstawiła się jako Zona Alkoholika, pyta o to samo. Ile to będzie trwało? Sophie uśmiecha się i pyta, czy ma na myśli nałóg. Kobieta kiwa głową i mówi tak. Sophie mówi, że nałóg trwa całe życie. Trwa całe życie.

Wtedy pojawiają się kolejne pytania. Jak to jest być od czegoś Uzależnionym. Okropnie. Dlaczego akurat tak. Bo wiemy, jaką krzywdę wyrządzamy sobie i wam, i nie potrafimy się pohamować. Jakie to uczucie, kiedy tego pragniesz. Głód, przejmujący głód, nieokiełznany głód, niewyobrażalny głód. Jakie to uczucie, kiedy to dostajesz. Ulga, a zaraz potem przerażenie, a potem jeszcze większy głód. Dlaczego nie potrafisz się pohamować. Nie wiem. Dlaczego nie potrafisz się pohamować. Nie wiem. Dlaczego nie potrafisz się pohamować. Nie wiem.

Są też pytania prostsze, bardziej techniczne. Co to jest crack i jak się go bierze. Crack to kokaina ugotowana z alkoholem etylowym, benzyną i proszkiem do pieczenia. Pali się go przez fifę. Gdzie kupuje się heroinę i ile kosztuje. Heroinę kupuje się od dilerów i jest bardzo droga. Co to jest metamfa i jak się ją wytwarza. Metamfa to speed i powstaje przez ugotowanie lekarstwa na astmę, czyli efedryny, formaldehydu, czasami benzyny albo nawozu, i proszku do pieczenia. Co to robi z człowiekiem. Odbiera mu serce, odbiera mu duszę, odbiera możliwość i potrzebę jedzenia i snu, odbiera zmysły.

Narkomani i Alkoholicy dają proste, rzeczowe odpowiedzi. Nie zadajemy pytań. W odróżnieniu od Członków Rodzin my już znamy odpowiedzi. Rozpierdalamy wam życie. Rujnujemy wasz każdy dzień. Jesteśmy waszym najgorszym koszmarem. Nie

wiecie, co z nami zrobić. Jesteście u kresu sił. Nie wiecie, co robić. Jesteście u kresu pierdolonych sił. Nie wiecie, co robić.

Na koniec Sesji Sophie prosi wszystkich, żeby wzięli się za ręce. Pojawiła się bliskość i chętnie to robimy. Każe nam wyrecytować zdanie, które nazywa Modlitwą o Spokój. Mówi, a my powtarzamy. Boże, obdarz nas spokojem, abyśmy potrafili zaakceptować to, czego nie da się zmienić, odwagą, żeby móc zmienić to, co się da, i mądrością, żeby je rozróżnić. Uśmiecha się uśmiechamy się wszyscy się uśmiechają. Kiedy kończymy odmawiać modlitwę, każe nam ją powtórzyć. Boże obdarz nas spokojem, abyśmy potrafili zaakceptować to, czego nie da się zmienić, odwagą, żeby móc zmienić to, co się da, i mądrością, żeby je rozróżnić. Każe nam to powtarzać bez końca.

Kiedy wstaje, wszyscy wstają. Mówi, że skończyliśmy, i wszyscy zaczynają się nawzajem obejmować. To objęcia przypieczętowujące więzi leczące rany uściski wdzięczności za wiedzę i wgląd objęcia wzajemnego zrozumienia i objęcia roztaczanego współczucia.

Po objęciach Sophie otwiera drzwi i wychodzimy uśmiechnięci i roześmiani i w lepszej formie, niż kiedy wchodziliśmy. Wszyscy mówią do widzenia dziękuję do widzenia dziękuję.

Główni Pacjenci idą Korytarzami do Stołówki.

Idziemy grupą. Mężczyźni rozmawiają z mężczyznami, kobiety rozmawiają z kobietami. To wszystko gadka szmatka, pozbawione znaczenia duperele typu skąd jesteś, jak długo tu jesteś, jaki jest twój nałóg. Rozmowy nie ustają, kiedy przechodzimy przez Szklany Korytarz i ustawiamy się w kolejce. Nie ustają, kiedy bierzemy tace i dostajemy jedzenie.

Rozmowy kończą się, kiedy nadchodzi czas, żeby postanowić, gdzie siadamy. Prawie wszyscy szukają wolnego stolika. Reszta Pacjentów jeszcze nie przyszła, więc jest duży wybór. Znajduję stolik, przy którym nikogo nie ma, i siadam. Jem powoli. Patrę na talerz, poruszam widelcem, nakładam, wkładam widelec do ust. Przeżuwam. Nie zwracam uwagi na to, co przeżuwam, a po kilku kęsach to już nie ma znaczenia. Wszystko smakuje tak samo. Widelec do talerza, widelec do ust. Przeżuć. Wszystko smakuje tak samo.

Mój talerz jest pusty. Przychodzi reszta Pacjentów i Stołówka zaczyna się zapełniać. Wstaję z tacą i kładę ją na taśmociąg i wychodzę. Wracam na Oddział i idę do Pokoju. Mam trochę czasu do zabicia przed spotkaniem z Rodzicami. Powinienem się przygotować. Tak opanowany, jak się da, żeby pohamować Furie, o której wiem, że nadejdzie. Lilly mnie uspokaja, ale Lilly tu nie ma. Powietrze na dworze mnie uspokaja. Książeczka *Tao* mnie uspokaja i leży koło mojego łóżka. Siadam na łóżku i

otwieram książkę na chybił trafił i zaczynam czytać.

Piętnaście. Bądź ostrożny jak przy przejściu przez zamarznąłą wodę, uważny jak Wojownik na terenach wroga. Bądź uprzejmy jak Gość, płynny jak Strumień. Daj się formować jak kawałek drewna, daj się napełnić jak szklanka. Nie szukaj i nie oczekuj. Bądź cierpliwy i czekaj, aż błoto osiadzie, a woda się oczyści. Bądź cierpliwy i czekaj. Twoje błoto osiadzie. Twoja woda się oczyści.

Sześćdziesiąt trzy. Działaj, nie czyniąc, pracuj bez wysiłku, postrzegaj duże jako małe i wiele jako kilka. Stawiaj czoło trudnemu, kiedy jest jeszcze łatwe, krok po kroku dążąc do wielkości. Nie sięgaj, a znajdziesz, w obliczu kłopotów pędź im na spotkanie. Nie przyj do wygody, a wszystko będzie wygodne.

Siedemdziesiąt dziewięć. Porażka to okazja. Jeżeli zrzucisz odpowiedzialność na innych, poczucie winy nie będzie miało końca. Wypełniaj zobowiązania, naprawiaj błędy. Zrób to, co musisz, i usuń się. Nie domagaj się niczego i rozdawaj wszystko. Nie domagaj się niczego i rozdawaj wszystko.

Dwadzieścia cztery. Stań na palcach, a nie będziesz stał mocno. Popędź do przodu, a nie zajdziesz daleko. Staraj się zabłysnąć, a przyćmisz swój blask. Próbuj się określić, a nie dowiesz się, kim jesteś. Nie próbuj kontrolować innych. Odpuść i

zostaw.

Ta książka uspokaja mnie bez wysiłku, wypełnia luki mojej strategii przetrwania. Kontroluj poprzez oddanie kontroli, rozwiązuj problemy, zapominając, że nimi są. Radź sobie z nimi i ze Światem i ze sobą z cierpliwością i prostotą i empatią. Pozwól sprawom się toczyć po swojemu, odpuść sobie, odpuść wszystkiemu i przyjmuj wszystko takie, jakie jest. To wszystko. Ni mniej ni więcej. To wszystko.

Jestem gotowy. Jestem spokojny. Pogodzę się z tym, co nadejdzie. Wchodzę z Pokoju. Rodzice czekają na mnie po drugiej stronie Kliniki.

Idę Korytarzami. Patrzą przed siebie, ale nie patrzą na nic. Każdy krok to krok i nic więcej niż krok, sposób na przemieszczenie się stąd tam. Kiedy skręcam, słyszę dźwięki. Brzmia, bo są, brzmia tak, jak brzmia. Tao przekazało mi, co musiałem usłyszeć, i posłuchałem. Tao nauczyło mnie, czego musiałem się nauczyć, i zrozumiałem. Dźwięki po prostu brzmia.

Zatrzymuję się przed drzwiami Gabinetu Joannę. Pukam. Głos mówi proszę, więc otwieram drzwi i wchodzę. Matka i Ojciec siedzą na kanapie. Znowu się przebrali i trzymają się za ręce. Mają suche oczy i nieruchome wargi. Wstają, żeby się ze mną przywitać, ale nie próbują mnie obejmować. Mówię cześć i też nie próbuję ich obejmować. Siadam na fotelu naprzeciwko i oni siadają. Joannę jest za

biurkiem. Pali papierosa.

Twoi Rodzice powiedzieli mi o swojej taryfie ulgowej dla palenia i objęli nią mnie. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

Wyciągam papierosa.

Ani trochę.

Sięgam po popielniczkę.

Omawialiśmy naszą poranną Sesję. Twoi Rodzice mają w związku z tym pewne przemyślenia i odczucia, ale może zaczniemy od twoich. Zapalam papierosa, zaciągam się. Wypuszczam dym.

To było straszne.

Joannę patrzy na mnie.

Chyba musisz być bardziej konkretny i chyba powinienes mówić to do Rodziców, nie do mnie.

Patrzę na swoich Rodziców. Trzymają się za ręce i patrzą na mnie. Przykro mi z powodu tego, co wam rano powiedziałem. Wysłuchanie tego musiało być dla was straszne. W trakcie mówienia miałem różne odczucia. Po pierwsze gniew. Intensywny gniew. Nie wiem dlaczego, ale kiedy jesteście w pobliżu, czuję niewiarygodny i niepohamowany gniew. Drugim uczuciem było przerażenie. Przerażenie, bo kiedy patrzę na siebie z boku, dociera do mnie, jaką jestem straszną Osobą. Wiele przed wami ukrywałem, tyle, ile mogłem, i nie jestem sobie w stanie wyobrazić, jakie to musiało być uczucie siedzieć i wysłuchiwać szczegółowych opowieści o

mojej potwornej egzystencji.

Zaciągam się fajką. Matka przysuwa się do Ojca, Ojciec trzyma ją trochę mocniej.

Czułem wstyd, ogromny wstyd. Wstydziłem się tego, kim jestem, co zrobiłem, jak żyłem, przestępstw, które popełniłem. Wstydziłem się, bo jesteście dobrymi Ludźmi i zasługujecie na kogoś lepszego ode mnie. Wstydziłem się, bo krzywdziłem, krzywdziłem was wielokrotnie, i za każdym razem, kiedy to robiłem, włącznie z dzisiejszym rankiem, miałem tego świadomość.

Zaciągam się.

Czułem żal z tych samych powodów co wstyd. Ale też bo zmarnowałem tyle swojego życia i tyle waszego życia i ponieważ w pewnym sensie to nie musiało tak wyglądać. Nie wiem, jak inaczej to powinno wyglądać ani jak mógłbym się zmienić, ale wiem, że moje życie nie powinno być takie, jakie było. Wiem, że to wyłącznie moja wina.

Zaciągam się.

Miałem ochotę się napić. Miałem ochotę brać narkotyki. Miałem ochotę na duże ilości jednego i drugiego. Ale czuję to przez większość czasu, więc nie wiem, czy było to powiązane z naszą rozmową. Czułem się upokorzony, zhańbiony, zawstydzony, czułem żal i smutek.

Kończę i zaciągam się ostatni raz i gaszę papierosa. Ojciec trzyma Matkę i Matka płacze. Łzy

lecą jej po policzkach, ale jej oddech jest spokojny i nie szlocha. Joannę patrzy na moich Rodziców.

Jesteście gotowi?

Ojciec mówi.

Tak.

To proszę opowiedzieć Jamesowi, co czuliście.

Ojciec bierze głęboki oddech i patrzy na mnie i mówi. Wolałbym, żeby odwrócił wzrok.

Byliśmy bardzo zdenerwowani. Oczywiście bardzo zdenerwowani. Najpierw poczułem zaskoczenie, a po zaskoczeniu przeżyłem szok. Wiem, że dużo pracuję, i zawsze pracowałem, i nie ma mnie w domu częściej, niżbym sobie tego życzył, ale nie miałem pojęcia, że robiłeś niektóre rzeczy, i nie miałem pojęcia, jak daleko się w tym posunąłeś. Crack to dla mnie jakiś okropny narkotyk z Getta, który palą Bezdomni i schizofrenicy i członkowie gangów. Nie miałem pojęcia, że go bierzesz, i myślenie o tym przeraża mnie i smuci. Alkohol. Wiedziałem, że przesadzasz z piciem, to było od dawna oczywiste, ale jeżeli miałeś mdłości i traciłeś przytomność od tak dawna, jak opowiadasz, a wierzę ci, to jesteś Alkoholikiem w bardzo, bardzo ciężkim stanie. Byłem zaszokowany handlem narkotykami. Zaszokowany, przerażony i rozczarowany. Gdyby cię złapano, poszedłbyś na długo do Więzienia, miałeś szczęście, że tak się nie stało. Mogłeś również zginąć i według mnie to cud, że nikt cię nie zabił. Jeżeli

chodzi o twoje obecne problemy prawne, naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Oczywiście ani twoja Matka, ani ja nie chcemy, żebyś poszedł do Więzienia, i zrobimy co w naszej mocy, żeby pomóc ci tego uniknąć. Oprócz szoku i zaskoczenia byłem rozczarowany i urażony i bardzo smutny. Byłem rozczarowany tobą i sobą i twoją Matką. Bardzo niedobrze musi się między nami dziać, skoro sprawy zdążyły zajść tak daleko. Czułem się urażony, bo to bardzo bolesne dowiedzieć się takich rzeczy, jakich się dowiedzieliśmy. To mnie zabolęło, bo czuję się, jakbym był latami okłamywany i nabierany, i zabolęła świadomość, że uważałeś, że musisz nas oszukiwać i coś przed nami ukrywać. Było mi przede wszystkim ciebie żal. Żal, bo przeszedłeś paskudne rzeczy, i żaden Rodzic, a zwłaszcza twoja Matka i ja, nie życzyłby tego swojemu Dziecku.

Opuszcza wzrok, bierze oddech, spogląda na mnie.

Dziś rano część mnie chciała ci ukręcić łeb i część mnie nadal tego chce. Inna część mnie, ta część, która mam nadzieję, jest dominująca, chce cię uściskać i powiedzieć, że wszystko będzie w porządku. Jeszcze inna część mnie podpowiada, żebym dał sobie spokój i pozwolił ci robić, co tam sobie zamierzasz.

Ojciec patrzy na mnie, unikam jego wzroku. Odwraca się do Matki, która patrzy w podłogę.

Mocno ją przytula, dodając jej otuchy w swoich ramionach.

Mówię.

Tato.

Spogląda znowu na mnie.

Przepraszam.

Ja też przepraszam, James. Ja też.

Spogląda znowu na moją Matkę. Już nie płacze, choć nadal ma mokrą twarz.

Lynne.

Matka przytakuje.

Jesteś gotowa.

Matka przytakuje raz jeszcze i wygląda, jakby się miała załamać.

Nie spiesz się.

Odsuwa się od Ojca nieznacznie i doprowadza się do porządku. Wyciera sobie twarz chusteczką i bierze głęboki oddech.

Oprócz tych chwil, kiedy umarli moi Rodzice i mój Brat i moja Siostra, ten ranek był dla mnie najgorszym rankiem w życiu. To było straszne. Słuchanie o tym wszystkim było straszne. Wyobrażanie sobie, jak to robiłeś, było straszne. Myślenie o kłamstwach i oszustwach było straszne. Myślenie o narkotykach było straszne.

Te sprawy z Policją były straszne. Picie było straszne. Świadomość, że to tak długo trwało, była straszna. Wszystko tego ranka było dla mnie straszne.

Płacze. Jeszcze raz wyciera sobie twarz chusteczką i bierze głęboki oddech.

Nie wiem, po co to wszystko robisz. Nie wiem, co cię skłania ku tak okropnym rzeczom. Przez to czuję się jak najgorsza Matka i najgorszy Człowiek i czuję, że nic nigdy mi nie wyszło. Przez to nienawidzę samej siebie.

Jej oddech robi się coraz cięższy. Znowu wyciera twarz.

Byłam zszokowana i urażona i przestraszona. Czuję się, jakbym nie wiedziała, kim jesteś. Nie wiem, kim jesteś, i to jest okropne. Jesteś moim Synem. Jesteś moim Synem.

Oddycha, płacze, wyciera.

Jestem na ciebie za to wszystko wściekła. Takie tarapaty. Crack i urwany film i handel narkotykami i bójka z Policją i Areszt. Wpadłeś w takie tarapaty. To dla mnie najgorszy koszmar.

Płacz przechodzi w szloch. Łzy w powódź.

Czuję się jak idiotka, bo do tego dopuściłam i broniłam cię przez te wszystkie lata. Kiedy ktoś mówił o tobie coś złego, stawałam po twojej stronie i twierdziłam, że nie ma racji. To chyba ja nie miałam racji.

Już nie próbuje wycierać łez.

Tyle rzeczy mi się dla ciebie marzyło.

Szlocha.

Mogłeś być, kim tylko chciałeś.

Szloch.

A zostałeś tym.

Szloch.

Tym.

Ojciec obejmuje ją. Wtula twarz w jego tors. Zawodzi, trzęsie się, czepia rękawów jego koszuli. Siedzę i patrzę i czekam. Nie wiem, co robić. Chcę uściskać swoich Rodziców i ich przeprosić, ale nie potrafię. Chcę błagać ich o przebaczenie, ale to się nie stanie. Chcę ująć ich dłonie i powiedzieć im, że wszystko się ułoży, ale wiem, że nie mogę złożyć takiej obietnicy. Siedzę i patrzę i czekam. Nie wiem, co robić. Chcę ich dotknąć, ale nie potrafię.

Matka ciągle płacze. Nie może nie potrafi nie jest w stanie przestać. Ojciec tuli ją i patrzy jej przez ramię w podłogę. Joannę wstaje i podchodzi do mnie i nachyla się do mojego ucha.

Lepiej już idź.

Wstaję.

Spotkanie z Danielem i Rodzicami będzie jutro wieczorem. W tej samej Sali co wtedy.

Idę do drzwi. Przed wyjściem odwracam się i patrzę na Matkę i Ojca. Matka płacze, Ojciec patrzy w podłogę. Joannę klęczy na kolanie i szepcze im słowa otuchy, słowa, na które nie zasłużyłem. Otwieram drzwi i wychodzę. Wracam na Oddział. Zapadła noc i Korytarze są ciemne. Rozświetlają je świedówki. Nienawidzę świetlówek, chcę, żeby

zniknęły. Chciałbym, żeby Korytarze były ciemniejsze. Łaknę ciemności najciemniejszej ciemności głębokiej i potwornej dziury. Chciałbym, żeby Korytarze były kurwa czarne. Mój umysł jest czarny moje serce jest czarne chciałbym, żeby Korytarze były czarne. Gdybym mógł, rozwalilibym świetlówki nad głową pierdolonym kijem. Rozpierdoliłbym je na kawałeczki. Chciałbym, żeby Korytarze były czarne.

Otwieram drzwi do Pokoju. Wchodzę i siadam na łóżku. Milesa nie ma i jestem sam. Mój umysł jest czarny i moje serce jest czarne i jestem sam.

Zdejmuję buty i zdejmuję skarpety. Kładę prawą stopę na lewe udo. Oglądam palce. Są brudne i sękaty i spocone. Jestem sam i jest we mnie Furia. Nie szaleje, nie jest u szczytu, ale jest. Płyne mi w żyłach niczym powolny, leniwy wirus, namawia mnie do psucia, ale nie na tyle, żeby zniszczyć. Chcę, żeby zniknęła. Chcę, żeby mnie zostawiła. Kiedy jest w pełni sił, często jestem na jej łasce, ale nie teraz. Wiem, jak sprawić, żeby odeszła, wiem, jak sprawić, żeby zniknęła. Nakarmię ją bólem i mnie zostawi. Nakarmię ją bólem, a odejdzie.

Kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni zaczynam zrywać paznokiec drugiego palca lewej stopy. Wiem, że to chore, kurewsko chory objaw skażonego umysłu, ale i tak to robię. Ciągnę. Ciągnę paznokiec.

To zawsze ten palec, zawsze ten paznokcieć. Po tym, jak odrósł od ostatniego razu, łatwo mi to znowu zrobić. Wystaje trochę bardziej niż pozostałe paznokcie, ma bardziej poszarpany kształt. Ma krawędzie, pod które łatwo się dostać, krawędzie, które dają oparcie. Ciągnę. Ciągnę paznokcieć.

Zaczyna odchodzić przy wierzchołku. Zaczyna boleć. Furia we mnie wyje z rozkoszy. Daj mi jeszcze. Daj mi jeszcze.

Ciągnę i paznokcieć dalej się łamie. Odrywa skórę, która trzyma go na miejscu, rozrywa żyły, które go karmią. Zaczyna lecieć krew. Ból zaczyna się przemieszczać. Tak jak krew ból jest czerwony. Przemieszcza się wzdłuż palca na stopę, tańczy dokoła kostki. Czuję, jak Furia się nim żywi. Daj mi jeszcze. Daj mi jeszcze.

Spoglądam w dół. Moje palce i stopa są zakrwawione. Pod czerwienią widzę paznokcieć, widzę, jak trzyma się u podstawy.

Wiem, że Furia to widzi, bo czuję to. Jest jak głodny demon.

Nakarm mnie. Nakarm mnie. Nakarm mnie tym cholernym paznokciem. Nakarm mnie Skurwysynu albo cię zniszczę. Nakarm mnie tym cholernym paznokciem.

Kładę palec na paznokciu, a kciuk pomiędzy nim a odsłoniętym różowym mięsem. Kciuk ociera się o mięso i ból przechodzi z czerwieni w biel i czuję

rozdzierający ból w nodze i w żołądku. Zostaje natychmiast pożarty i pojawia się żądanie o więcej. Nakarm mnie ty Skurwysynu albo cię zniszczę. Nakarm mnie tym cholernym paznokciem.

Ciągnę. Ciągnę paznokiec. Połowa odrywa się od podstawy. Zamykam oczy dłoń jest zakrwawiona zaciskam szczękę i jęczę cicho płaczę. Ból jest przenikliwy i jest wszędzie. Od końcówek włosów w dół przez wszystko wszędzie ból jest wszędzie. Furia go pożera. Demon pije. Jeszcze jedno szarpnięcie i będzie syty.

Ciągnę. Ciągnę paznokiec. Odrywa się i jęczę, mój jęk nie jest tym razem taki cichy. Ból jest wszędzie, biały i płonący i zimny jak Piekło. Przez każdą komórkę mojego ciała przebiega elektryczny skurcz, każda jest pełna nienawiści, wdzięczności i ulgi. Furia wzbiera na chwilę wzbiera z uśmiechem i wrzeszczy wniebogłosy dzięki. Pożera ból. Spija go. Pochłania go, jak tylko może. Sprawia, że odchodzi odejść już. Dałem ci, czego chciałaś, teraz już odejść. Oddycham głęboko. Głęboki, głęboki oddech jak po rozkoszy, jak kiedy życie przeleciało ci przed oczami. Patrzę na stopę. Jest zakrwawiona, tak jak moja dłoń. Wstaję i idę do Łazienki. Robiąc krok zranioną stopą, staję tylko na pięcie. Z każdą eksplozją pojawia się pulsujące wyładowanie elektrycznej czerwieni i białej błyskawicy. Z każdą eksplozją wyładowanie zostaje pożarte.

Otwieram drzwi. Idę w stronę umywalki, ostrożnie omijając lustro. Kiedy dochodzę do umywalki, puszczam zimną wodę. Czekam, aż zrobi się tak zimna, jak to możliwe. Kiedy już najzimniejsza woda wypełnia umywalkę, podnoszę stopę i umieszczam ją pod kranem. Kiedy ją podnoszę, kropelki krwi spadają na podłogę i nachylam się, żeby je wytrzeć czystą dłonią.

Woda napotyka ciało i wszystko jest różowe. Róż ścieka do odpływu, a za nim więcej różu. Zimno znieczula i Furia oczyszcza oblizuje się resztką i znika. Stoję i czekam. Myję dłoń. Wszystko jest różowe. Krew spływa.

Po jakimś czasie ciśnienie wody zasklepia ranę na palcu i zamyka porwane końcówki popękanych naczyń. Palec pulsuje. Nie jest tak źle. Lepsze pulsowanie niż co innego. Lepiej nakarmić niż wypuścić na wolność.

Zakręcam wodę i wyciągam stopę z umywalki i wracam do łóżka. Wkładam skarpety i wkładam buty. Wychodzę z Pokoju.

Już prawie czas na mnie, dochodzi dziesiąta. Idę na Oddział. Mężczyźni są rozproszeni po Sali. Oglądają telewizję, grają w karty, palą papierosy i opowiadają historie, czekają na telefon. Leonard jest w Budce Telefonicznej i słyszę narzekanie, ile on tam siedzi. Narzekanie niepoparte działaniem. W wypadku większości innych mężczyzn działanie

zostałoby podjęte.

Robię sobie kawę. Mężczyzna w czarnych spodniach od dresu i czarnym T-shircie stoi pod ścianą na Dolnym Poziomie Oddziału. Wgląda na dwadzieścia kilka lat i mimo że jest szczupły, wygląda na silnego. Pali papierosa i patrzy na mnie. Jest w nim coś znajomego, choć nie wiem, skąd go mogę znać, i coś niepokojącego, choć nie wiem dlaczego. Tylko tam stoi i na mnie patrzy. Nie daję się i wytrzymuję spojrzenie. W jego spojrzeniu nie ma wysiłku, jest przekonanie o swojej racji. Jest znajomy i niepokojący. Nie wiem dlaczego.

Chichocze i odsuwa się od ściany i odrywa ode mnie wzrok i podchodzi do jednej z kanap naprzeciwko telewizora i siada.

Przez cały czas go obserwuję. Nie dałem się, mam poczucie, że to jeszcze nie koniec.

Wracam z kawą do Pokoju. Miles siedzi na łóżku i poleruje klarnet. Spogląda na mnie, kiedy wchodzę.

Co tam, Miles?

Nic takiego, James. A u ciebie?

W porządku.

Siadam na łóżku, zaczynam wkładać cieplejsze ubranie.

Jak poszło wieczorem z Rodzicami?

Chyba nie najgorzej.

Jak zareagowali?

Nie tak źle, jak się spodziewałem, ale i tak źle.

A ty co teraz czujesz?
Mniej więcej to samo.
Ale bardziej wstyd niż coś innego?
Chyba tak.
Wstyd to straszna rzecz. Niezbędna, ale straszna.
Dalej się z nim zmagasz?
Podejrzewam, że to jeszcze trochę potrwa.
Dlaczego?
James, nie jestem dobrym człowiekiem.
Jesteś Sędzią. Nie możesz być zupełnie beznadziejny.
Jestem Sędzią, ale w głębi serca wiem, że nie zasługuję na to, żeby kogokolwiek sądzić.
Chyba zbyt wiele od siebie wymagasz.
Kręci głową.
Nikommu tego nie mówiłem, choć Personel wie, ale już tu kiedyś byłem. To mój drugi pobyt w tej Klinice.
Kiedy był pierwszy?
Pierwszy raz byłem tu wiele lat temu. Przyjechałem tu, bo tak jak teraz miałem poważny problem alkoholowy, problem, który prawie mnie zniszczył. Prawie zniszczył moją karierę i w pewnym sensie zniszczył moje pierwsze małżeństwo ze wspaniałą kobietą, z którą mam Syna.
Ile ma lat?
Teraz dwanaście. To dobry chłopak. Chciałbym móc go częściej widywać.

No więc znowu tu jesteś, to przecież nie jest nic wstydliwego. Odkłada klarnet.

Jest, James, dla mnie jest.

Dlaczego?

Poradzenie sobie z tym, co się wtedy stało, zajęło mi wiele lat. Lat pełnych długich samotnych nocy, w czasie których patrzyłem na siebie w lustrze, lat ciężkiej pracy nad abstynencją, lat starań, żeby odrobić swoje uchybienia. I teraz, po tym wszystkim, znowu to zrobiłem.

Dlaczego tak myślisz?

Wspominałem ci już o swojej Zonie. To wspaniała kobieta. Jest bystra, piękna, wymagająca, niezależna, robi karierę. Ma wszystko, czego zawsze szukałem w kobietach. Kiedy ją pierwszy raz spotkałem, wiedziałem od razu, że chcę się z nią ożenić. Na naszej pierwszej randce opowiedziałem jej swoją historię. Chciałem być z nią szczery i miałem nadzieję, że dzięki tej szczerości historia się nie powtórzy. Po tym, jak jej to opowiedziałem, uśmiechnęła się ze słowami Miles, jesteś wspaniałym mężczyzną i od chwili, kiedy cię zobaczyłam, wiedziałam, że ze sobą będziemy, ale jeżeli wywiniesz mi taki numer, dostaniesz kopa w dupę i wyrzucę cię jak zużyte opakowanie.

Chichoczę, uśmiecha się.

Mnie też to się spodobało, i podobało mi się jeszcze bardziej, bo wiedziałem, że mówi serio.

Myślałem sobie, że przydałoby mi się żyć ze świadomością, że jeżeli znowu zbłądzę, to zostanę ukarany za grzechy. Wzięliśmy ślub, żyliśmy przez kilka lat jak Mąż i Zona, postanowiliśmy mieć Dzieci i zaszła w ciążę. Czułem się bardzo pewny siebie, może zbyt pewny siebie w kwestii tego, kim jestem i jak ma wyglądać moje życie.

Przerywa, patrzy w podłogę, bierze głęboki oddech.

Mniej więcej w tym samym czasie pojechałem na konferencję Sędziów Federalnych. To było na Florydzie, przy samej plaży, w bardzo dobrym hotelu. Było tam pole golfowe i pierwszego dnia konferencji grałem w golfa z innymi Sędziami, z którymi się zaprzyjaźniłem, ale których nie znałem za dobrze. Po grze poszliśmy do Restauracji pod gołym niebem na kolację. To był wspaniały wieczór, i grało mi się dobrze, i przed chwilą rozmawiałem z Zoną, i byłem u szczytu kariery, i czułem się dobrze, bardzo dobrze, w kwestii tego, kim jestem, co osiągnąłem w życiu. Kiedy mieliśmy złożyć zamówienie, wszyscy pozostali Sędziowie zamówili koktajle. Uznałem, że też tak zrobię. Zamówiłem whisky z colą. Wydawało mi się, że dam sobie radę. Kiedy tylko wypilem pierwszy łyk i poczułem uderzenie alkoholu, wiedziałem, że nie jest dobrze.

Kręci głową.

Parę minut później wstałem od stolika i

poszedłem do pokoju i wypilem większość tego, co było w barku. Następnego dnia zasnęłam i nie poszedłem na konferencję i kiedy barek został uzupełniony, zrobiłem to samo. Kiedy wróciłem do domu, zacząłem chować tam alkohol, a także w biurze i w samochodzie, i piłem tyle, ile się dało. Niedługo potem piłem całymi dniami i nocami.

Zacząłem trzymać butelkę burbona pod Ławą. Nalewałem z niej do kubka i wypijałem podczas posiedzeń Sądu. Udawałem, że to woda, i piłem, jakby to była woda. Próbowałem przestać, ale nie mogłem. Pewnego popołudnia zemdlałem podczas przerwy w posiedzeniu i kiedy doszedłem do siebie, czekał na mnie Funkcjonariusz Sądu. Powiedział, że Zona próbowała się do mnie dodzwonić i zostawiła kilka pilnych wiadomości. Natychmiast poszedłem się z nią zobaczyć, a kiedy zapytała, czy wszystko u mnie w porządku, powiedziałem jej, że mam gripę. Wiedziała, że kłamię, i powiedziała mi to. Powiedziała, że ostrzegała mnie przed powrotem do alkoholu i że wiedziała, że ostro piłem. Miała nadzieję, że przestanę, ale teraz zrozumiała, że nic z tego. Próbowałem zaprzeczyć, że jest jakiś problem, ale wyciągnęła kilka butelek, które znalazła ukryte po kątach, i powiedziała, że bym przestał kłamać. Potem kazała mi się wynosić. Przyjechałem prosto tutaj.

Bierze głęboki oddech.

Moja Zona przyjeżdża w przyszłym tygodniu na

Program Rodzinny. Spodziewam się najgorszego i mam poczucie, że na to zasłużyłem.

Zrobiłem to więcej niż raz i czuję, że to godne ubolewania, i czuję, że to najgorsze przestępstwo, jakie mężczyzna może popełnić przeciwko swojej Rodzinie. Nienawidzę siebie za to i wstydzę się tego, bardzo, bardzo wstydzę. Były takie chwile w mojej karierze, kiedy skazywałem ludzi na karę śmierci. Wydaje mi się, że w pewnym sensie ta kara byłaby odpowiednia dla mnie. Wiem, że to brzmi patetycznie, ale dla mnie tak właśnie jest.

Kręci głową.

Jest mi tak bardzo wstyd, że nie wiem, czy chcę dalej żyć. Nie znamy się dobrze, ale mam poczucie, że zmagasz się niekiedy z podobnymi problemami. Widzę też, że się zmieniasz, że wynajdujesz sposoby, żeby sobie z nimi radzić. Kiedy pytam cię, co robisz, to dlatego że szukam sposobu, by znaleźć w sobie nadzieję na jakąś formę odkupienia. Wierzę w Boga, ale Bóg chyba przestał wierzyć we mnie. Jeżeli wiesz o czymś albo masz coś, co według ciebie mogłoby mi pomóc, byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś się tym ze mną podzielił. Uśmiecham się.

Dlaczego się uśmiechasz?

Bo to, że Sędzia Federalny prosi mnie o radę, wydaje mi się zabawne.

Tu wszyscy jesteśmy tacy sami. Sędzia czy Przestępca, Alkoholik czy Narkoman.

Chyba tak.

Czy masz coś, czym mógłbyś się ze mną podzielić, James?

Dwie rzeczy.

Co takiego?

Po pierwsze Leonard.

Leonard, Dyrektor Finansowy z Zachodniego Wybrzeża?

Śmieję się.

Tak, Leonard, Dyrektor Finansowy z Zachodniego Wybrzeża. Powinieneś z nim porozmawiać. Powiedz mu, że cię wysłałem, i powiedz, żeby opowiedział ci, jak się trzymać.

Trzymać czego?

Po prostu go zapytaj.

Dobrze. A po drugie?

Widziałeś, jak czytam taką małą książeczkę?

Pokazuję na *Tao*. Leży na mojej szafce.

Tak.

Za jakieś trzydzieści sekund wyjdę przez okno nad twoim łóżkiem. Miles śmieje się.

Kiedy już mnie nie będzie, weź tę książkę i zacznij czytać. Może ci się wydawać bez sensu, i może faktycznie jest bez sensu, ale zawsze, kiedy ją czytam, to jakoś dobrze na mnie działa.

Jak myślisz, dlaczego tak jest?

Po prostu ona ma dla mnie sens.

Spróbuję.

Wstaję, podchodzę do jego łóżka.

Przepuścisz mnie?

Odsuwa się.

Nie będę pytał, dokąd się wybierasz ani co robisz.

Tak będzie najlepiej.

Uważaj, żeby cię nie złapali.

Otwieram okno i wychodzę i zamykam je za sobą. Od razu czuję zimno. Jest ostre, kłujące, intensywne i groźne. Kłuje mnie w twarz i odsłoniętą skórę dłoni jak termyty wgryzające się w drewno. Zaczynam iść. Idę szybko, unikając światła i okien. W cieniu jestem bezpieczny i silny i pewny siebie. Wiem, że w cieniu nikt mnie nie złapie.

Odnajduję Szlak i prowadzi mnie w stronę Polany. Zbaczam tam gdzie zawsze i przeciskam się przez gęstą płataninę gałęzi i przez gobelin z roślin Wiecznie Zielonych.

Kiedy już dochodzę do Polany, zaczynam pędzić. Moje oczy widzą, ale mój umysł rejestruje chwile z przyszłości, już wkrótce w ramionach Lilly. Gałąź mnie uderza, przecina skórę na policzku, nie bardzo głęboko, ale wystarczająco głęboko.

Wchodzę na Polanę i ona tam jest. Siedzi na zamarznętej ziemi owinięta w koc jej blada skóra lśni. Uśmiecha się i wstaje i bez słów podchodzi, rozchyła koc, otula mnie nim i siebie, otulamy się sobą. Całuje mnie w policzek, ten nieprzecięty, owija

mnie i przytula.

Jej ramiona są szczupłe, ale silne. Szepcze mi do ucha.

Cieszę się, że tu jesteś.

Ja też.

Tęskniłam za tobą.

Ja też za tobą tęskniłem.

Wypuszcza mnie odrobinę, na tyle, żeby zrobić mi miejsce. Przesuwa się na bok.

Usiądźmy.

Zostaje z boku i prowadzi mnie na dół. Siadamy za zamarznętej glebie i ostrych liściach i kłujących patyczkach. Podnosi dłoń i delikatnie dotyka mojego rozciętego policzka.

Co się stało?

Wpadłem na gałąź.

Nie zauważyłaś jej?

Nie zwróciłem uwagi.

Chcesz, żebym ci to zaleczyła?

Jak to zrobisz?

Posiadam niezwykłą moc.

Naprawdę?

Chcesz zobaczyć?

Aha.

Nachyla się i zaczyna całować mnie w policzek.

Odsuwam się.

Co ty wyprawiasz?

Leczę cię.

To świeża rana.

Wiem.

Leci z niej krew.

Wiem.

Chcesz zaryzykować?

Nachyla się do mnie.

Tak.

Nie powstrzymuję jej. Jej lekko rozchylone wargi spotykają się z policzkiem. Jej język tańczy po mojej twarzy. Zamykam oczy. Podciąga się do mnie jej ramiona trzymają szczupłe i silne. Przesuwam się do niej moje ramiona otwarte i wolne. Całuje policzek w dół do brzegu ust odpowiadają. Mówią chodź spotkajmy się. Nasze otwarte usta się spotykają. Szybko i powoli na zmianę mocno i delikatnie naciskają i dostają poszukują i są poszukiwane. Kochają i są kochane. Jesteśmy pod kocem. Zsuwamy się na ziemię już nie jest zimna. Jest na mnie i jestem na niej obok siebie nasze dłonie błędzą na całej długości. Nasze dłonie się spotykają. Obejmują. Trzymają. Nasze dłonie. Przepływ energii cielesnej, ale nie tylko.

Wysuwa dłoń z mojej dłoni i dotyka nią mojej klatki piersiowej, brzucha, poniżej brzucha, niżej. Tam mi się podoba tam ją czuję pragnę jej tam ale strach przerywa wielki strach boję się. Odpycham jej dłoń delikatnie ją odpycham. Jesteśmy nadal razem nasze wargi spotykają się jej dłoń powraca odpycham

ją. Boję się. Wielki przemożny strach. Strach prawie panika strach. Odsuwa wargi mówi. Co jest?

Dalej nie mogę.

Trzęsiesz się.

Wiem.

Dlaczego?

Boję się.

Czego?

Wszystkiego.

Co to znaczy?

Po prostu się boję.

Mnie?

Nie.

Przyciąga mnie bliżej.

Nie zrobię ci krzywdy.

Wiem.

Nie zostawię cię.

Wiem.

Powiedz, czego się boisz.

Patrzę na jej twarz tuż przy mnie. Na jej oczy przejrzyste niebieskie. Nawet w ciemności są przejrzyste niebieskie jak woda.

Nigdy wcześniej tego nie robiłem.

Czego?

Tego, co chyba mam zrobić. o czym ty mówisz?

Nigdy wcześniej tego nie robiłem.

Nigdy się nie kochałeś?

To tak, ale nie w ten sposób.

Co to znaczy?

Nigdy na trzeźwo.

A z tą Dziewczyną?

Nigdy.

Dlaczego?

Nie wiem.

Nie zrobię ci krzywdy.

Wiem.

Dlaczego?

Biorę głęboki wdech. Boję się. Mówię.

Kiedy ją poznałem, była dziewicą. Czekwała z tym, aż się zakocha.

Po kilku miesiącach uznała, że jest gotowa. Rozmawialiśmy o tym i ustaliliśmy termin i poszliśmy na wykwinną Kolację. Byłem bardzo zdenerwowany, więc piłem przez całą randkę, żeby się trochę uspokoić. Kiedy wróciliśmy do jej Pokoju, były zapalone świece i na łóżku były kwiaty i z wieży leciała muzyka poważna i to wszystko było jak z idiotycznego filmu. Zaczęliśmy się pieścić, a kiedy przyszło co do czego, nie chciał mi stanąć. Pragnąłem tego bardziej niż czegokolwiek w życiu, ale nie mogłem, bo bałem się i byłem pijany. Biorę kolejny oddech, zaczynam się mocniej trząść, bardziej się boję. Nienawidzę tych wspomnień i nienawidzę siebie za ich istnienie. Próbowaliśmy jeszcze raz i jeszcze raz i jeszcze raz. Próbowaliśmy co noc przez kilka tygodni i nigdy nie byłem w stanie. Za każdym

razem, kiedy się nie udawało, czułem się gorzej i gorzej i coraz bardziej upokorzony i zawstydzony. Oddała mi się, a ja nie mogłem jej osiąść, bo byłem impotentem. Za każdym razem, kiedy próbowaliśmy, okazywałem się jebanym impotentem.

Byliśmy ze sobą przez jakiś czas, ale nie byliśmy tak naprawdę ze sobą, byliśmy tylko do siebie przyzwyczajeni. W jej wypadku to było złe przyzwyczajenie, w moim dobre. Ostatnim razem, kiedy próbowaliśmy uprawiać seks, postanowiłem powiedzieć jej, że ją kocham. Pomyślałem, że jeżeli to zrobię, mój lęk zniknie i wszystko zadziała. Byliśmy nadszy i byliśmy w łóżku i dobrze się czułem i spojrzałem jej w oczy. Miała takie oczy, bardzo niebieskie, nie takie jak twoje, tylko jaśniejsze i bardziej lodowate, i spojrzałem jej w oczy i powiedziałem kocham cię. Nic nie odpowiedziała. Patrzyła na mnie tylko tymi oczami, i były chłodne i puste i odległe, i wyglądały, jakby zrobiło się im niedobrze po tym, co powiedziałem. Powiedziałem to jeszcze raz i zepchnęła mnie z siebie i wyszła z łóżka i poszła do Łazienki. Kiedy wróciła, uśmiechnęła się i powiedziała jesteś dla mnie bardzo niezwykłą osobą i pocałowała mnie w policzek i odwróciła się i poszła spać.

Biorę głęboki oddech.

Długo wierzyłem, że samo bycie z nią wystarczy, żebym doprowadził się do porządku.

Długo wierzyłem, że ona może mnie jakoś uratować. Kiedy nie byłem w stanie się z nią kochać i wiedziałem, że sobie nie poradziłem i że to już koniec, wiedziałem, że już zawsze będę tylko pijanym kłopotliwym Dupkiem, któremu nie staje, i że równie dobrze mogę się zabrać do samobójstwa za pomocą alkoholu i narkotyków. Tak też uczyniłem, i dokądkolwiek szedłem, widziałem jej oczy, i kiedy o niej myślę, nadal je widzę, jej oczy w tamtej chwili, kiedy powiedziałem, że ją kocham, i widziałem, że zrobiło się jej niedobrze.

Wpatruję się w ciemność. Nic nie daje. Zalewają mnie uczucia z jej czasów wracają tak samo silne. Upokorzenie, zakłopotanie, wstyd, bezradność, bezsilność.

Lilly obejmuje mnie, ale zostawia mnie sobie. Wpatruję się w ciemność i oddycham. Nic nie zmieni przeszłości i nic nie pomoże mi o niej zapomnieć. Było, jak było, i było tak przeze mnie. Żałuję, że nie było inaczej, ale nie mogę nic na to poradzić. To jest przeszłość. Najwyższy czas się z nią pogodzić i ją zostawić.

Lilly odsuwa się. Patrzy na mnie i mówi.

Przestałeś się trząść.

Na razie.

Kiedy do tego dojdzie, zrobimy to powoli.

Byłoby miło.

Tak powoli, jak chcesz albo jak ci odpowiada.

Dzięki.
I mnie też będzie miło.
Jak to?
Już chyba trochę o tym rozmawialiśmy.
Trochę.
Potrzeba ci więcej niż trochę?
Potrzeba mi tego, co chcesz mi ofiarować.
Chcę ci wszystko ofiarować.
Więc opowiedz to, co chcesz mi opowiedzieć.
Milczy, uśmiecha się.
To straszne.
Wiem.
Naprawdę straszne.
Nie zrobię ci krzywdy.
Uśmiecha się jeszcze raz.
Wiem.
I nie zostawię cię.
Wiem.
I nie będę cię osądzać.
Dziękuję.
Uśmiecha się, przez chwilę patrzy w bok, patrzy znowu na mnie.

Jej uśmiech znika i oczy jej ciemnieją i zaczyna mówić. Opowiada o swojej Matce. O nałogach swojej Matki i bólu swojej Matki. Opowiada mi o tym, że jej Matka jest prostytutką, i o tym, jak Matka ją sprzedawała. Miała trzynaście lat. Mężczyzna, który zapłacił za jej Matkę, zobaczył ją i chciał jej.

Matka potrzebowała narkotyków. Sprzedała ją mężczyźnie za dwieście dolarów. Sprzedała ją na godzinę i sprzedała ją na całe życie. Sprzedała jej dziewictwo za strzykawkę towaru. Dwieście dolarów za strzykawkę towaru. Opowiada o mężczyznach po tamtym mężczyźnie. Jak jej Matka sprzedawała ją regularnie i sama przestała pracować. Opowiada o bólu i nieszczęściu i przerażeniu. Mężczyzna za mężczyznę. Dzień po dniu. Przemoc i gwałt. Zawsze były strzykawki z towarem kupione za jej ciało. Mówi mi, jak zaczęła brać. Jak tego nienawidziła i jak jej pomagało. Mężczyzna za mężczyznę. Dzień po dniu. Przemoc i gwałt. Strzykawki pomagały.

Opowiada, jak odeszła. Po czterech latach terroru. Mężczyzna pobił ją i groził jej naładowanym rewolwerem i włożył go jej, a kiedy skończył, wyszła. Nie miała pieniędzy ani niczego innego, nie miała samochodu. Po prostu wyszła i szła, jechała autostopem do Chicago, płacąc za podróż rozłożonymi nogami, zaspokajając przez kilka minut Kierowców Ciężarówek. Kiedy dojechała do Chicago, zadzwoniła do biura numerów i znalazła Babcie. Zanim poszła do niej do domu, nigdy wcześniej jej nie widziała. Zapukała i Babcia jej otworzyła i obydwie zaczęły płakać. Nie było słów, tylko łzy. Ona i jej Babcia płakały.

Opowiada, jak wróciła do Szkoły. Jak Chłopcy ją uwielbiali, a Dziewczyny jej nienawidziły. Jak miała

poczucie, że za bardzo odstaje. Jak ciężko było trzymać się z daleka i nie brać i być w porządku. Jak ciężko było zapomnieć. Jak niemożliwe było zapomnieć. Jak spotkała Chłopaka i podobał się jej i zaczęła z nim chodzić. Jak miała nadzieje i marzenia, jak odgrywała w głowie fantazje. Chłopak zaczął palić crack i brać piguły, a ona chciała być z nim i robiła to samo. Zaczęła palić crack i brać piguły. Zaczął ją wykorzystywać. Jego przyjaciele zaczęli ją wykorzystywać. Złamał jej serce nigdy się nie zagoiło, tylko znowu się złamało. Paliła crack i brała piguły On i jego przyjaciele ją wykorzystywali.

Coś się stało. Zaczyna o tym mówić i zaczyna płakać. To było krótko przed jej przyjazdem. Krótko, zanim jej Babcia kazała jej zawieźć się ku wolności. Przestaje mówić i zaczyna płakać. Ciężkie gwałtowne łzy. Trzęsie nią szloch. Drży i przez wiele warstw ubrania czuję jej serce. Przez wiele warstw bólu. Tulę ją, a ona płacze i nie ma już więcej słów, ani jej, ani moich. Nie ma słów, które mają znaczenie w obliczu jej życia. Tego, przez co przeszła. Tulę ją, a ona płacze. Nigdzie się nie wybieram. Nie zrobię jej krzywdy. Nie zostawię jej. Nie będę jej osądzał. Tulę ją, a ona płacze.

Słyszę swoje imię. Czuję, jak ktoś mnie kopie. Nie jestem pewien, czy to naprawdę, nie jestem pewien, co robić. Moje imię. Stopa.

Ktoś mnie woła. Ktoś mnie kopie.

Otwieram oczy. Jest nadal ciemno, ale coraz jaśniej. Może za godzinę świt. Widzę kontury drzew i Lilly w swoich ramionach. Ktoś mnie woła. Ktoś mnie kopie.

Patrzę do góry. Ted stoi nade mną z blondynką pod trzydziestkę. Oboje wyglądają na zmęczonych, oboje mają rozczochrane włosy.

Ted mówi.

Myślałem, żeś mi tu zdechł, ty Mały Jebako.

Co ty tu robisz?

Ratuję ci dupsko.

Która godzina?

W sam raz na kurwa powrót.

Delikatnie potrząsam Lilly. Otwiera oczy.

Co jest?

Musimy iść.

Z kim rozmawiasz?

Z przyjacielem. Ma na imię Ted.

Która godzina?

Nie wiem.

Wstajemy. Rozbudziłem się, ale nie do końca. Lilly ciągle jeszcze śpi. Zna Dziewczynę Teda i witają się. Całuję ją na do widzenia i mówię, że będę za nią tęsknił. Pyta, kiedy się znowu zobaczymy, i mówię wieczorem.

Idziemy z Tedem przez Las do Szlaku. Pytam, co tu robił, a on mówi, że dymał. Pyta, co ja robiłem, i mówię, że rozmawiałem. Śmieje się. Pytam, czy

kiedyś już tu był, i mówi każdej kuma nocy. Pyta o to samo i mówię nie, to był mój pierwszy raz.

Docieramy do Szlaku. Mówi ostrożnie i szykuj się do biegu, jeżeli nas tu złapią, będziemy po uszy w gównie. Dawno już nie biegałem.

Płuca mi wysiadają.

Szlak przechodzi w trawę otaczającą Budynki Kliniki. Niezauważeni przedostajemy się do środka i idę do Pokoju i kładę się do łóżka. Chciałbym być koło Lilly. Zasypiam. Szkoda, że jej tu nie ma.

Kiedy się budzę, Milesa nie ma, ale na mojej szafce jest wiadomość. Leży na *Tao*. Brzmi dziękuję, James, dla mnie też ma sens. Wiadomość sprawia, że się uśmiecham.

Mój wewnętrzny zegar mówi mi, że jestem spóźniony, więc biorę szybki prysznic, myję zęby, wycieram się i ubieram. Wychodzę.

Pędzę Korytarzami do Stołówki. Kiedy przychodzę, jest prawie pusta. Biorę ciastko i kubek kawy i wychodzę.

Kolejne Korytarze. Spieszę się. Jestem spóźniony na spotkanie z Rodzicami. Furia jest ze mną, ale tylko trochę. Jest jeszcze syta po karmieniu. Znajduję Salę, otwieram drzwi.

Moi Rodzice siedzą przy stole konferencyjnym z Danielem po jednej stronie i mężczyzną, którego nie znam, ubranym jak mój Ojciec, tylko trochę młodszym, po drugiej. Matka płacze.

Co się stało?
Kręci głową. Patrzę na Ojca.
Co się stało?
Wstaje, mówi.
James, to jest Randall.
Daje znak mężczyźnie, który również wstaje.
To Adwokat wynajęty przez Klinikę.
Patrzę na mężczyznę.
Cześć, Randall.
Sięga przez stół.
Cześć, James.
Podajemy sobie dłonie. Ojciec mówi.
Skontaktował się z Władzami Michigan,
Karoliny Północnej i Ohio.
I co powiedzieli?
Może usiądź.
Siadam. Jestem zdenerwowany i przestraszony.
Siadają.
Co powiedzieli?
Ojciec patrzy na Randalla, Randall patrzy na skoroszyt. Matka płacze i patrzy w podłogę. Daniel patrzy na mnie. Jestem zdenerwowany i przestraszony, zaczynam się trząść. Nadszedł Dzień Sądu. Dzień Sądu. Randall podnosi wzrok.
Mam dobrą wiadomość i złą wiadomość. Którą chcesz usłyszeć najpierw?
Dobłą.
Michigan i Karolina Północna zgadzają się na

Kwalifikację Wyk1002611!3 – Czas, który tu spędzisz, zostanie zaliczony w poczet wyroku. Zapłacisz grzywnę, po kilka tysięcy dolarów w każdym stanie, i za trzy lata będziesz miał czystą Kartotekę. Sądy w obu stanach są przeładowane i chcą się ciebie pozbyć. Radzą przyjąć ich propozycję. Ojciec mówi.

Ja również, James.

Przytakuje.

Dobra. A zła wiadomość?

Randall mówi.

Jesteś w niezłym bagnie w Ohio. To Małe Miasteczko i nie dzieje się tam za często to, co wydarzyło się z tobą. Twierdzą, że sprawiłeś im sporo kłopotów i narobiłeś sobie wrogów w Policji. Są naprawdę wściekli, jeszcze nie miałem z czymś takim do czynienia w swojej karierze, i chcą zrobić z ciebie przykład. Nie za bardzo ich obchodzi, że tu jesteś i próbujesz uporządkować sobie życie. Twierdzą, że to prosta sprawa, i chętnie pójdą z nią do Sądu. Wierzę im.

Bierze głęboki oddech.

Jestem zdenerwowany i przerażony. Śmiertelnie kurwa przerażony. Nadszedł mój Dzień Sądu.

Jeżeli przyznasz się do wszystkich stawianych ci zarzutów, zgodzą się na trzy lata w Więzieniu Stanowym, a po nich pięć lat Zwolnienia Warunkowego. Jeżeli naruszysz warunki Zwolnienia,

będziesz musiał odsiedzieć pełen Wyrok, czyli kolejne pięć lat. Będziesz musiał zapłacić piętnaście tysięcy dolarów grzywny i po wyjściu z Więzienia przepracować tysiąc godzin na rzecz Społeczności Lokalnej. Stracisz dożywotnio prawo jazdy na terenie stanu. Będziesz miał dożywotni ślad w Kartotece.

Jeżeli zmusisz ich do pójścia do Sądu, twierdzą, że jeśli zostaniesz skazany, będą się starać o najwyższy wymiar kary, czyli osiem i pół roku. Jeżeli chodzi o twoje szanse na Rozprawie, twierdzą, że mają trzydziestu świadków, próbkę twojej krwi z poziomem alkoholu dwa i dziewięć dziesiątych promila i torebkę cracku. Jeżeli to prawda, zgodnie z tym, co mówią, sprawa jest prosta.

Strach zniknął, zastąpiło go przerażenie. Ojciec patrzy na mnie, Matka płacze. Daniel patrzy w ścianę, Randall czeka na odpowiedź. Kurwa.

Moja Matka podnosi wzrok.

James, czy mógłbyś nie używać tego wyrazu?

Spoglądam na nią.

Mamo, właśnie zostałem skazany na trzy lata Więzienia. I co mam teraz kurwa powiedzieć?

Jej wargi drżą.

Proszę.

Zaciskam szczękę.

Zgoda.

Ojciec mówi.

Masz jakiś pomysł?

Nie.

Myślisz, że naprawdę mają cały ten materiał dowodowy?

Tak.

Co chcesz zrobić?

Patrzę na Randalla.

Co mogę zrobić?

Wzrusza ramionami.

Mogę im coś zaproponować, ale nie liczyłbym na wiele.

Co to znaczy?

To znaczy, że raczej nie zmienię zdania.

Kręcę głową, myślę o trzech latach w Więzieniu Stanowym. Przed chwilą strach zamienił się w przerażenie. Teraz strach powraca, a przerażenie zostaje. Trzy lata w Więzieniu Stanowym. Trzy lata barbarzyństwa, trzy lata walki i trzy lata bronięcia się w każdej sekundzie każdego dnia. Irzy pierdolone lata.

A jeśli ucieknę?

Ojciec mówi.

Koniec z uciekaniem.

Patrzę na niego.

Tato, to mój wybór.

Nie.

Tak.

Nie ty za to wszystko płacisz.

Będziesz siedział ze mną w celi?

Nie będę.

W takim razie to ja za to wszystko płacę.

Patrzę na Randalla.

A jeśli ucieknę?

Ojciec mówi.

Nie pozwolę na to.

Ignoruję go.

Randall, co jeśli ucieknę?

Okres Przedawnienia wynosi siedem lat. Jeżeli nie wpakujesz się w kłopoty, to po upływie tego czasu będziesz wolnym człowiekiem. Jeżeli w trakcie tego okresu zostaniesz przyłapany na czymkolwiek, choćbyś tylko dostał mandat, zostaniesz aresztowany, odbędzie się ekstradycja, zostaniesz skazany i zmuszony do odsiedzenia pełnego wyroku. Bardzo, bardzo, bardzo stanowczo odradzam to rozwiązanie. Chowam twarz w dłoniach, mówię do siebie.

Kurwa.

Moja Matka mówi.

James.

Spoglądam na Matkę.

Przepraszam.

Płacze i drżą jej wargi.

Ojciec mówi.

Co chcesz zrobić?

Nie wiem.

Chcesz przygotować linię obrony?

To byłaby strata czasu i pieniędzy.

Dlaczego?

Bo jestem winny wszystkich stawianych mi zarzutów.

Za wszystko z Matką zapłacimy.

I tak już dużo zapłaciliście. Nie chcę, żebyście jeszcze musieli płacić. Co chcesz zrobić?

Muszę się zastanowić.

Patrzę w podłogę. Jestem winny wszystkich stawianych mi zarzutów. Trzy lata w Więzieniu Stanowym to wieczność, pierdolona wieczność, i przypuszczalnie zostanę umieszczony w Bloku o Zaostrzonym Rygorze. Nigdy tam nie byłem, ale znam ludzi, którzy byli. Nie wyszli zresocjalizowani i po wyjściu nie przypominali sobie sprzed więzienia. Narkomani zostawali Złodziejami. Złodzieje zostawali Dilerami. Dilerzy zostawali Mordercami. Mordercy znowu mordowali. Patrzę na Randalla.

Powiedz im, że przyznam się do wszystkich zarzutów.

Matka przerywa.

Będziesz prawomocnie skazanym Przestępcą.

Raczej nie mam innego wyjścia, Mamo.

Patrzę na Randalla.

Przyznam się do winy, ale na razie powiedz, że będę uciekał, dopóki nie dostanę gwarancji, że nie pójdę do Bloku o Zaostrzonym Rygorze. Jeżeli możesz, spróbuj też skrócić odsiadkę. Jeżeli będziesz miał jakiś wybór, co wydaje się mało

prawdopodobne, wolałbym iść na dłużej niż iść do Zaostrzonego Rygoru.

Randall przytakuje, mówi.

Powiedziałeś na razie, a co potem?

Nie wiem.

Patrzy na mojego Ojca.

Czy to jest dla pana w porządku?

Ojciec mówi.

Zobaczymy, co się stanie.

Randall spogląda na zegarek, zamyka skoroszyt, wstaje.

Muszę iść. Zadzwonię do Karoliny Północnej i Michigan i powiem im, że nasza umowa stoi. Zadzwonię do Ohio i zobaczę, co się da zrobić. Nic nie obiecuję.

Wstaję, podaję mu dłoń.

Dziękuję.

Ściska ją.

Nie ma za co.

Ojciec robi to samo i Randall wychodzi. Matka patrzy w podłogę. Patrzy, jakby chciała się rozpłakać, tylko skończyły się jej łzy. Daniel mówi.

Czy chcielibyście zostać sami?

Ojciec przytakuje.

Poproszę.

Daniel wstaje.

Jeżeli będziecie czegoś potrzebować, jestem w Ośrodku Rodzinnym. Dziękujemy.

Daniel wychodzi. Ojciec patrzy w stół, Matka w podłogę. Patrzą w ścianę. Panuje paskudna, kłopotliwa cisza. Cisza taka jak tuż po wybuchu bomby i zaraz, zanim zaczyną się wrzaski. Siedzimy na krzesłach. Oddychamy, myślimy, patrzymy. To paskudne i kłopotliwe. Bomba wybuchła. Tylko siedzimy i patrzymy.

Ściana nie podsuwa mi żadnych odpowiedzi. Po prostu jest jaskrawa i biała. Podnoszę wzrok i widzę, jak Ojciec bierze głęboki oddech i patrzy na mnie.

To było interesujące i pouczające półtora dnia.

Przepraszam.

James, jest znacznie gorzej, niż myślałem.

Wiem. Przepraszam.

Nie wiem, czy tym razem będziemy ci w stanie pomóc.

Chyba nie powinniście.

Jesteśmy twoimi Rodzicami. Nasz instynkt każe nam cię wspierać. Tato, tym razem to się chyba nie uda.

Kręci głową. Matka mówi.

Przepraszam, James.

Patrzą na nią.

Nie masz mnie za co przepraszać, Mamo.

A jednak. Zastanawiam się, co zrobiliśmy źle.

Mamo, nic nie zrobiliście źle.

Musieliśmy coś zrobić źle.

Zaczyna się rozklejać. Ojciec wstaje i do niej

podchodzi. Przysuwa do niej krzesło i ją obejmuje. Wtula twarz w jego ramię.

Płacze. Patrzę, jak płacze. Dłużej już tak nie mogę. Nie mogę znieść jej płaczu, nie mogę znieść winy, którą przez to czuję. Nie mogę pozwolić jej wziąć odpowiedzialności za to, kim jestem i co zrobiłem, nie mogę pozwolić jej się za to winić. To ja stworzyłem tę sytuację i ja podejmowałem decyzje, które doprowadziły mnie tam, gdzie teraz jestem. Podjąłem każdą z tych cholernych decyzji.

To nie jest wina ani jej, ani nikogo innego. Już tak dalej nie mogę. Nie mogę.

Odsuwam krzesło. Wstaję. Ojciec tuli Matkę, kiedy Matka płacze. Płacze przeze mnie. Robię krok w ich stronę. Robię kolejny krok. Jestem o dwa kroki od nich robię kolejny krok. Jestem o jeden krok od nich. Nie zwracają na mnie uwagi. Zatracili się we własnym smutku. Smutku, na który nie zasłużyli. Smutku, którym ich obciążyłem. Robię kolejny krok. Jestem tam. Jestem koło nich. Jestem tam.

Furia odzywa się mówi nie. Furia odzywa się mówi odwróć się i pędź. Furia odzywa się mówi jebać ich niech sami sobie radzą. Furia odzywa się mówi zapłacisz mi za to. Mówię jebać Furię. Moja Matka płacze. Jebać cholerną Furię.

Klękam na kolano. Jestem tak blisko, że czuję zapach jej łez. Wyciągam rękę i dotykam ramienia Matki. To jest pierwszy raz, odkąd pamiętam, kiedy

to ja inicjuję kontakt z Matką albo Ojcem. Wzmacniam uścisk, żeby poczuła moją obecność. To jest pierwszy raz, odkąd pamiętam, kiedy to ja inicjuję kontakt z Matką albo Ojcem. Pierwszy raz w życiu.

Podnosi głowę i odwraca się do mnie. Mówię.

Mamo.

Patrzy na mnie.

Przykro mi.

Została złamana.

Jest mi naprawdę, naprawdę przykro.

Złamana przeze mnie.

Spierdoliłem wam życie, nam wszystkim, i jest mi naprawdę, naprawdę przykro.

Uśmiecha się uśmiechem szczęścia i uśmiechem smutku, szczęścia z mojego gestu i smutku dla mojego życia, i cofa jedną z rąk, którymi obejmuje Ojca, i obejmuje nią mnie. Przyciąga mnie. Przytula mnie jedną ręką i daję się przytulić i też ją przytulam.

Nigdy wcześniej tego nie zrobiłem. Nie przytuliłem swojej Matki. Nigdy w życiu. (

Ojciec wyciąga jedną rękę i mnie obejmuje, a ja robię to samo. Wyciągam rękę i go obejmuję. Matka ciągle płacze nie może przestać płakać jej młodszy Syn właśnie został skazany na trzy lata Więzienia Ojciec i ja ją przytulamy. Przytulamy się nawzajem. Jesteśmy Rodziną. Choć przez dwadzieścia trzy lata byłem ich dzieckiem, nigdy nie byliśmy Rodziną.

Jesteśmy nią teraz. Kiedy się nawzajem przytulamy. Kiedy moja Matka opłakuje moje zmarnowane życie. Kiedy mój Ojciec próbuje znaleźć sposób, żeby je uratować. Kiedy próbuję pogodzić się z trzema latami w celi.

Matka przestaje płakać. Wszystko jest rozmazane i mokre, ale nie zwraca na to uwagi. Cofa rękę obejmującą Ojca i zostawia drugą na mnie i wyciera sobie twarz wolną dłonią. Pociąga nosem. Oddycha głęboko. Próbuje się opanować. Mówi.

Co teraz zrobimy?

Poczekamy i zobaczymy, Mamo.

Nie chcę, żebyś poszedł do Więzienia.

Ja też tego nie chcę.

Co teraz zrobimy?

Poczekamy i zobaczymy.

Kiwa głową i jej kiwnięcie jest rodzajem sygnału, że my moja Rodzina wszyscy rozumiemy. Odsuwamy się od siebie i siadamy, choć nie na tych krzesłach, na których siedzieliśmy. Siedzimy blisko.

W małym półokręgu. Wiemy, że coś się zmieniło, jesteśmy wykończeni. Zmiana nas wyczerpała. Siedzimy blisko. Jesteśmy Rodziną.

Ojciec spogląda na zegarek.

Chyba najwyższy czas na lunch.

Matka i ja wstajemy. Idziemy do drzwi, otwieramy je, wychodzimy z sali. Ojciec mówi.

Zobaczymy się po południu.

Aha.

Matka mówi.

Możesz mnie jeszcze raz przytulić?

Uśmiecham się.

Pewnie.

Podchodzi. Obejmuję ją. Jest mi niezręcznie i od razu czuję, że jestem gdzieś, gdzie nie pasuję. Delikatnie ściskam. Jest mi jeszcze bardziej niezręcznie, czuję się jeszcze bardziej obco i jeszcze bardziej skrępowany. Ściska mnie, co sprawia, że chce mi się uciekać. To moja Matka. Przytulam ją. Nie chcę jej przytulać, ale chcę spróbować. Obejmuję ją mocno i przytulam. To niewielka cena za wszystko, co zrobiłem.

Puszcza mnie i odsuwam się. Czuję się lepiej.

Do zobaczenia.

Odwracam się i odchodzę Korytarzami w stronę jedzenia. Jestem głodny. Głodny po zimnie zeszłej nocy, głodny po napięciu dzisiejszego ranka, chcę się nakarmić dla samego karmienia. Głodny. Przechodzę przez Korytarz. Zaglądam przez szkło do żeńskiej części. Widzę Lilly siedzącą przy stole. Udaje, że mnie nie widzi, ale wiem, że to nieprawda. Udaję, że jej nie widzę, ale wiem, że to nieprawda.

W jej ramionach zeszłej nocy po tym jak płakała tuliła się do mnie jak zagubione dziecko. Obejmowała mnie mocna i szczupła i powiedziała, że nie chce mnie nigdy wypuścić. Powiedziała, że nigdy

wcześniej nie była z nikim tak uczciwa ani szczerą i że to uczucie śmiertelnie ją przeraziło. Powiedziała, że nie chce mnie nigdy wypuścić. Zapytała o moje plany na przyszłość, a ja powiedziałem, że nie mam żadnych planów i nie wiem, co będę robił. Powiedziała, że wybiera się do Ośrodka Resocjalizacji w Chicago, że nie czuje się na tyle silna ani na tyle wolna, żeby żyć bez jakiejś formy nadzoru i wsparcia. Będzie blisko Babci, a będąc blisko Babci, będzie się lepiej czuła. Będzie mogła znaleźć pracę i zacząć budować życie w Mieście, gdzie będzie miała poczucie bezpieczeństwa. Kiedy skończyła opowiadać, zapytała jeszcze raz, czy wiem, co się będzie ze mną działo. Odpowiedziałem jeszcze raz, że nie wiem. Zapytała, czy byłem już kiedyś w Chicago, a ja powiedziałem, że tak, tam wychowali się moi Rodzice. Zapytała, czy mam tam jeszcze Rodzinę, i powiedziałem tak. Zapytała, czy biorę pod uwagę przeprowadzkę do Chicago, i powiedziałem tak.

Zapytała, czy biorę to pod uwagę, bo ona będzie tam mieszkać. Uśmiechnąłem się i pomyślałem przez chwilę i powiedziałem tak. Biorę tacę i staję w kolejce. Dostaję talerz wołowych poledwiczek, talerz kawałków kurczaka z ryżem, talerz taquito z indyka. Niosę tacę do Stołówki. Moi przyjaciele siedzą przy stoliku w kącie. Podchodzę do nich.

Siadam tak, żeby widzieć Lilly i żeby Lilly mnie

widziała. Leonard i Miles i Ed i Ted i Matty rozmawiają o nadchodzącym Pojedynku Wagi Ciężkiej. Pytają, co słyhać, opowiadam o swoim Wyroku. Wszyscy są zaskoczeni. Myśleli, że grożąca mi kara będzie krótka i lekka. Leonard pyta, co zrobiłem, a ja opowiadam. Ed i Ted mówią nieźle, trzy lata za wjechanie w Gliniarza, warto było. Matty mówi, że zna dobre zagrywki do bójek, które przydadzą mi się, kiedy pójdę siedzieć, i chętnie mnie ich nauczy. Miles pyta, która Prokuratura zajmuje się moją sprawą.

Jemy. Spoglądam na Lilly. Rozmawiamy. Więzienie to główny temat rozmowy. Wszyscy przy stoliku byli w Więzieniu oprócz Milesa i mnie. Leonard odsiedział, jak to ujął, łatwą czwóreczkę w Więzieniu Federalnym Leavenworth w Kansas. Matty spędził sześć lat w Poprawczaku, gdzie nauczył się boksować. Ed odsiedział dwa lata w Jackson w Michigan za napaść z zamiarem ciężkiego uszkodzenia ciała, Ted był dwa razy w więzieniu Angola State Farm na bagnach Luizjany. Miles mówi, że skazywał ludzi na Angolę, ale nigdy tam nie był. Mówi, że o ile mu wiadomo, to Piekło na Ziemi. Jest położone na głębokim bagnie, gorącym, wilgotnym i strasznym, pięćdziesiąt mil od najbliższego miasteczka. Cele są zwykle otwarte, nikt nie pilnuje Spacemiaka, jest mnóstwo Gangów, zwykle zorganizowanych rasowo, które są w stanie

nieustannej wojny. Największy ruch w całym Więzieniu jest w Kostnicy. Kiedy mężczyźni nie walczą ani nie ukrywają się, ani nie starają się przeżyć, pracują na czternastogodzinnych zmianach na należących do stanu polach uprawnych, kopiąc rowy irygacyjne i uprawiając warzywa.

Ted śmieje się i mówi to jeszcze nie tak źle. Miles mówi jeżeli tak uważasz, to albo jesteś najbardziej pokręconym kołesiem pod słońcem, albo się łudzisz. Ted przestaje się śmiać i mówi, że grozi mu tam Dożywocie bez możliwości Zwolnienia Warunkowego zgodnie z ustawą o recydywie i że jeżeli już, to próbuje się jakoś do tego przygotować. Miles pyta, na czym polega jego recydywa, a Ted mówi napad z bronią w rękę, kiedy miał dziewiętnaście lat, za który odsiedział cztery lata, posiadanie nielegalnej substancji z zamiarem sprzedaży i posiadanie broni automatycznej, kiedy miał dwadzieścia pięć lat, za co odsiedział trzy lata, i ostatnio, kiedy stuknęła mu trzydziestka, uwiedzenie nieletniej po tym, jak został przyłapany na tylnym siedzeniu podrasowanej fury z piętnastoletnią Córką Szeryfa z Małego Miasteczka. Miles pyta, dlaczego Prokurator Okręgowy postawił zarzut uwiedzenia, wiedząc, że Tedowi grozi Dożywocie bez możliwości Zwolnienia Warunkowego. Ted śmieje się i mówi, że to samo zrobił z dwiema Córkami Prokuratora, ale obydwie były w nim zakochane i nie chciały wnieść

oskarżenia. Miles kręci głową z niedowierzaniem i pyta, czy Tedowi potrzebna jest jego pomoc.

Ted mówi i to kurwa jak, tu chodzi o moje życie. Miles mówi, że zobaczy, co się da zrobić.

Kończymy jeść i wstajemy. Kiedy wychodzimy, widzę, jak Bobby siedzi przy stoliku ze znajomym mężczyzną niepokojącym mężczyzną mężczyzną którego znam ale nie wiem skąd. Bobby na mnie patrzy. Mężczyzna na mnie patrzy. Wstrzymuję spojrzenie. Nie daję się. Wychodzimy ze Stołówki. Moi przyjaciele idą na Wykład, ja idę do Ośrodka Rodzinnego. Kiedy wchodzę do Głównej Sali, widzę Rodziców na tych samych krzesłach co wczoraj. Kiedy do nich podchodzę, wstają i witają się ze mną. Tata mówi.

Jak tam lunch?

W porządku.

Mama mówi.

Z kim jadłeś?

Mam tu przyjaciół.

Jacy oni są?

Naprawdę chcecie wiedzieć?

Tata mówi.

Oczywiście że tak.

Mój najlepszy przyjaciel to jakiś Gangster. Mieszkam w Pokoju z Sędzią Federalnym. Moi pozostali znajomi to Narkomani i Alkoholicy. Mam taką niby-Dziewczynę, która jest uzależniona od

cracku i piguł i była prostytutką.

Matka wzdryga się, choć próbuje to ukryć.
Mówi.

Czy to mili Ludzie?

Przytakuję, uśmiecham się.

Tak, i w pewnym pokręconym sensie to najlepsi przyjaciele, jakich miałem.

Liczy się tylko to, że to mili Ludzie i że ich lubisz.

Tak. Bardzo.

Tata mówi.

Czy kontakty męsko-damskie nie są tu wbrew Regułom?

Są.

Czy myślisz, że powinieneś to robić?

Tu jest dużo Reguł. Na ogół staram się ich przestrzegać, ale ta Dziewczyna, ma na imię Lilly, była dla mnie dobra. Jest fajna, bystra, słucha mnie, ja jej słucham, rozumiemy się. Różnimy się od siebie i pochodzimy z różnych środowisk, ale pod wieloma względami jesteśmy tacy sami. I oni i ja jesteśmy wrakami ludzkimi, obydwójce staramy się wyleczyć. Obydwójce potrzebujemy pomocy i staramy się sobie pomóc.

Mama mówi.

Polubiłabym ją?

Jeżeli byłabyś w stanie przejść do porządku dziennego nad tym, co robiła i przez co przeszła.

Chyba byłabym.

No to pewnie, że byś polubiła. Bardzo byś ją polubiła.

Kochasz ją?

Mamo, wiesz, że nie lubię rozmawiać z tobą o takich sprawach.

Może mimo to spróbujesz?

Uśmiecham się, patrzę w podłogę. Przez całe życie ukrywałem przed Matką i Ojcem tyle, ile się dało. Nie chcę tego już dłużej robić, więc podnoszę wzrok i patrzę na Matkę i mówię.

Nie powiedziałem jej tego, ale tak, kocham ją.

Matka i Ojciec się uśmiechają. To są szerokie autentyczne uśmiechy, najlepsze uśmiechy, jakie widziałem, od kiedy tu jestem. Matka mówi.

Szkoda, że nie możemy jej zobaczyć.

Pewnego dnia zobaczycie.

Ojciec mówi.

Kiedy będziesz się z nią widział następnym razem, pozdrów ją od nas.

Uśmiecham się.

Dobrze.

Dzwonek. Mężczyzna stojący koło dzwonka każe nam przejść do Sal, w których byliśmy wczoraj. Wstaję i żegnam się z Rodzicami i obejmuję ich. Nie jest mi łatwo, ale i tak to robię.

Idę do Sali. Krzesła są znowu ustawione w krąg. Siadam, po jednej stronie mam młodą kobietę, po

drugiej mężczyznę w średnim wieku. Kiwamy do siebie i witamy się. Sophie wchodzi i siada na wolnym krześle i przedstawia się. Po kolei robimy to samo. Przedstawiamy się.

Prezentacja dobiega końca. Sophie wstaje i robi dwa kroki w tył. Na ścianie za nią jest duża biała pokryta laminatem tablica, półka pod spodem wyłożona jest kolorowymi ściERALnymi flamastrami. Sophie bierze jeden z flamastrów niebieski flaster i zaczyna pisać na tablicy. Kiedy kończy pisać, odchodzi. Napis brzmi: Narkomania

Choroba, Alkoholizm

Choroba.

Zaczyna mówić. Opowiada, że teraz, kiedy mamy już ogólne pojęcie o zachowaniach uzależniających i ich konsekwencjach dla Uzależnionych i Członków Rodzin Uzależnionych, musimy spróbować zrozumieć przyczyny tych zachowań. Mówi, że nałóg to choroba. Wszystko jedno, czy to uzależnienie od alkoholu, czy narkotyków, czy jedzenia, czy hazardu, czy seksu, czy czegoś jeszcze innego, to jest choroba. Chroniczna i rozwijająca się choroba.

Została sklasyfikowana jako taka przez większość Lekarzy i organizacji takich jak Amerykańskie Stowarzyszenie Medyczne i Światowa Organizacja Zdrowia. To choroba, która może zostać powstrzymana albo doprowadzona do remisji, ale jest

nieuleczalna. Niezależnie od naszych starań, niezależnie od podejmowanych działań nałóg, mówi, jest nieuleczalny. Całkowicie nieuleczalny. Zaczyna mówić o przyczynach choroby. Jak w wypadku większości chorób uważa się, że przyczyna jest genetyczna. Mówi, że Alkoholicy i Narkomani rodzą się z genem albo strukturą genów, dokładnie jeszcze tego nie zbadano, które po uaktywnieniu powodują pojawienie się choroby u danego osobnika. Kiedy to się już stanie, a w danej chwili nie da się stwierdzić, czy ani kiedy to nastąpi, Uzależniony jest na łasce choroby. Nie da się jej kontrolować, nie da się opanować siłą woli, decyzja, czy brać czy nie, dogodzić sobie czy nie, wziąć czy zrobić czy nie wziąć i nie zrobić, to nie jest decyzja, którą można podjąć, bo choroba podejmuje ją za ciebie.

Uzależniony zawsze bierze, zawsze sobie dogadza, zawsze weźmie, zawsze zrobi. Uzależniony zawsze pragnie i zawsze potrzebuje i to pragnienie i ta potrzeba jest zawsze zaspokajana. Niemożność zapanowania i brak wyboru to tylko objaw choroby. Groźny i straszny objaw, ale tylko objaw. Choroba jest nieuleczalna. Jeżeli wystąpi, nie da się jej powstrzymać.

Opowiada o środowiskowych aspektach choroby. Sytuacji Rodzinnej, rozpowszechnieniu alkoholizmu w Rodzinie, wpływie przyjaciół, dostępności narkotyków i alkoholu, elemencie stresu,

Spółecznym uzależnieniu od środków farmakologicznych i przyzwoleniu na ich zażywanie w codziennym życiu i funkcjonowaniu. Opowiada o kontroli otoczenia i jej wpływie na kogoś w aktywnym stadium Choroby. Mówi, że usuwanie wyzwalaczy, czyli czynników środowiskowych mogących spowodować nawrót, takich jak butelki wina w domu albo przyjaciele, którzy są nałogowcami, to istotny warunek skutecznego Programu Terapii.

Kiedy kończy mówić, Sophie prosi o pytania. Prawie każdy ma jakieś pytanie. Młoda Matka pyta o prawdopodobieństwo przekazania genów nałogu z Męża na Dzieci. Prawdopodobieństwo jest bardzo duże. Pyta, co z tym zrobić. Kiedy będą starsze, porozmawiaj z Dziećmi na ten temat i spróbuj wyeliminować tyle wyzwalaczy, ile się da. Mężczyzna obok mnie pyta o leki. Czy istnieją leki mogące powstrzymać rozwój choroby tak, jak tradycyjne leki powstrzymują rozwój innych chorób. Był jeden, antabuse, który wywoływał mdłości u Alkoholików, kiedy pili. Okazał się nieskuteczny, bo można go było obejść, po prostu go nie biorąc. Kobieta w średnim wieku pyta, czy istnieją konkretne grupy ludzi, które są podatne na zachorowanie bardziej niż inne. Nie, to choroba równych szans. Atakuje czarnych, białych, żółtych, każdego w każdym obszarze kulturowym na całym Świecie.

Mężczyzna, którego Zona jest w czwartym Ośrodku Odwykowym, pyta, dlaczego choroba z każdym nawrotem zdaje się atakować ze wzmożoną siłą. Sophie mówi, że z uwagi na rozwijającą się i chroniczną naturę choroby, kiedy remisja zostaje przerwana, choroba powraca z natężeniem sprzed remisji. Pyta, czy istnieje jakiś sposób na zmniejszenie natężenia. Odpowiedź brzmi nie. Choroba, kiedy jest aktywna, zawsze rośnie w siłę.

Pada kilka pytań o metody Leczenia. Młody mężczyzna pyta, czy są jakieś poza tradycyjnie stosowanymi w Ośrodkach Odwykowych, czyli AA i Dwunastoma Krokami. Tak, oczywiście, że są inne metody. Czy są skuteczne? Nie są. Dlaczego? Nie wiadomo dlaczego, po prostu nie są. AA i Dwanaście Kroków to de facto jedyne opcje. Jaka jest ich skuteczność? Piętnaście procent tych, którzy je stosują, wytrzymuje w abstynencji dłużej niż rok. Piętnaście procent to niewiele. Zgadza się. Dlaczego? To nieuleczalna choroba. Czy jest coś jeszcze, co można zrobić? Oprócz kochania swoich Członków Rodziny i wspierania ich nie można zrobić nic więcej. Czy istnieje sposób na zwiększenie tej szansy? Piętnaście procent to wszystko, co możemy wam zaproponować.

Siedzę i słucham. Siedzę i myślę. Nie zadaję żadnych pytań i nie mówię ani słowa. Chciałbym wstać i wrzasnąć gówno prawda to wszystko

pierdolone bzdury, ale tego nie robię. Nie wierzę, że nałóg jest chorobą. Rak jest chorobą. Atakuje ciało i je niszczy. Alzheimer jest chorobą. Atakuje ciało i umysł i je niszczy. Parkinson jest chorobą. Atakuje ciało i umysł i sprawia, że się trzęsą, i je rujnuje. Nałóg nie jest chorobą. Ani trochę. Choroby to destrukcyjne Stany Medyczne, których ludzie nie kontrolują. Nie wybierają, kiedy mają się pojawić, nie wybierają, kiedy się ich pozbyć. Nie wybierają rodzaju choroby wedle upodobań ani formy, jaką przybiera, nie wybierają jej natężenia ani kiedy chcieliby ją dostać. Choroba to Stan Medyczny, z którym można sobie poradzić za pomocą technologii Medycznej. Nie można sobie z nim poradzić za pomocą Grupy ani zestawu Kroków. Nie można sobie z nim poradzić poprzez debatowanie. Nie można sobie z nim poradzić poprzez wysyłanie Członków Rodziny na trzydniowe seminaria ani przez czytanie książek z niebieskimi okładkami ani zmaganie modlitw o spokój.

Trudno zaprzeczyć, że istnieje jakiś wpływ genetyki i uwarunkowanie genetyczne, wszystko w naszym fizycznym ja jest niejako zdeterminowane przez genetykę. Jednak jeżeli jakaś osoba jest gruba, ale chce być szczupła, to nie jest choroba genetyczna. Jeżeli ktoś jest głupi, ale chce być mądry, to nie jest choroba genetyczna. Jeżeli pijak jest pijakiem, ale nie chce już być pijakiem, to nie jest choroba genetyczna.

Nałóg to decyzja. Osoba czegoś chce, cokolwiek to jest, i podejmuje decyzję, żeby to zdobyć. Kiedy już to ma, podejmuje decyzję, żeby to wziąć. Jeżeli bierze to za często, proces decyzyjny wymyka się spod kontroli, a jeżeli za bardzo wymknie się spod kontroli, stanie się nałogiem. Na tym etapie decyzję jest już bardzo trudno podjąć, ale to w dalszym ciągu decyzja. Zrobić albo nie. Wezmę czy nie wezmę. Czy będę żalonym gównianym Narkomanem i dalej będę marnował sobie życie, czy powiem nie i spróbuję nie brać i być porządnym Człowiekiem. To jest decyzja. Za każdym razem. Decyzja. Zbierz wystarczającą liczbę takich decyzji, a ustanowisz kierunek i wyznaczysz standard swojego życia. Narkoman albo człowiek. Genetyka nie podejmuje tej decyzji. To tylko wymówka. Pozwala Ludziom twierdzić to nie była moja wina mam skłonności genetyczne. To nie była moja wina zostałem tak od samego początku zaprogramowany. To nie była moja wina nie miałem nic do gadania. Gówno prawda. Pierdolić te brednie. Zawsze jest decyzja. Weź odpowiedzialność. Narkoman albo człowiek. To jebana decyzja. Za każdym razem.

Sophie kończy odpowiadać na pytania. Nastrój w Sali jest ponury. Wyrazy genetyczna i choroba i nieuleczalna i piętnastoprocentowa skuteczność wiszą w powietrzu jak radioaktywna trucizna. Wszyscy się rozglądają. Patrzą po sobie. Wszyscy

wiemy, że po wyjściu stąd osiemdziesiąt pięć procent spośród nas będzie miało te same problemy, z którymi tu przyszliśmy. Właśnie nam powiedziano, że u ich źródła leży coś nieuleczalnego.

Bierzemy się za rękę. Trzymamy się mocniej niż wczoraj. Próbuje wycisnąć z siebie nawzajem nadzieję, stworzyć więź w nadziei, że więź zmieni fakty. Nie zmieni. Osiemdziesiąt pięć procent ma przejebane.

Odmawiamy Modlitwę o Spokój. Boże, obdarz nas spokojem, abyśmy potrafili zaakceptować to, czego nie da się zmienić, odwagą, żeby zmienić to, co się da, i mądrością, żeby potrafić je rozróżnić. Odmawiamy ją jeszcze raz i jeszcze raz. Sophie każe nam powtarzać i powtarzać, aż trucizna znika, aż na twarzach zaczynają się pojawiać uśmiechy. Boże, obdarz nas spokojem, Boże, obdarz nas spokojem. Ludzie uśmiechają się, ale uśmiechy i modlitwy nie zmieniają faktów. Osiemdziesiąt pięć procent ma przejebane.

Kończymy, wstajemy, wychodzimy z Sali. Główni Pacjenci idą w jedną stronę, Członkowie Rodziny w drugą. Wracam na Oddział i robię sobie kawę. Siadam przy stoliku. Popołudniowa Sesja właśnie dobiega końca, odbywa się Wręczenie Dyplomów. Łysol stoi przed mężczyznami i wygłasza mowę. Mówi, że to, czego się tu nauczył, ocaliło mu życie. Mówi, że gdyby tu nie przyjechał,

nigdy nie przestałby pić, niezależnie od konsekwencji, ponieważ, mimo że próbował, nie wiedział, jak przestać. Mówi, że teraz już wie, jak przestać. Mówi, że AA i Dwanaście Kroków i jego Siła Wyższa pokazały mu drogę. Mówi, że po Żonie i Dzieciach ta droga, ta wiedza, jak przestać, jest największym darem, jaki kiedykolwiek otrzymał. Bez wątpienia największym darem. Zaczyna płakać. Mężczyźni pozwalają mu płakać. Przez łzy dziękuje. Dziękuję, że pozwoliliście mi tu przyjechać, i dziękuję, że byliście tu ze mną. Zaczyna płakać z całych sił. Powtarza w kółko dziękuje. Dziękuję wam za życie. Dziękuję wam za moją Rodzinę. Oni są dla mnie wszystkim. Dziękuję wam za wszystko. Dziękuję.

Kiedy płacze, mężczyźni z przodu patrzą na siebie niepewni, co zrobić ani jak zareagować. Słyszę klaśnięcie. Pojedyncze ostre uderzenie dłoni w dłoń, ciała o ciało. Jest głośne i przeszywa niepewne spojrzenia mężczyzn tak, jak słowa Kaznodziei przeszywają serca Wiernych. Słyszę kolejne klaśnięcie. Kolejne. Kolejne. Pojedyncze oklaski z całej sali zlewają się w wyraz gremialnego podziwu i szacunku. Łysol płacze. Mężczyźni oddają mu cześć.

Wstaje i uśmiecha się. Wyciera twarz. Oklaski nie cichną. Leonard wstaje i wiwatuje i mężczyźni go naśladują. Wstają i wiwatują, oddają cześć i szacunek. Łysol uśmiecha się szerzej, płacze z całych

sił, radość teraz tej chwili i wspaniałej świetlanej przyszłości z jego Rodziną rozświetla mu twarz, skórę, okrągłą kopułę jego głowy. Rozświetla go, promieniuje z niego, przyćmiewając to, co zrobił, zanim ciemność jego przeszłości została pokonana. Wstaję i klaszczę i wiwatuję. Włoski stają mi na karku, ciarki chodzą mi po plecach. Powodzenia, Łysolu. Nie poznałem cię zbyt dobrze, ale pokazałeś mi, jak płacze mężczyzna. Byłeś odważniejszy ode mnie i od reszty mężczyzn, byłeś odważniejszy od nas wszystkich, powodzenia. Idź do domu, bądź szczęśliwy, żyj w abstynencji i wolności, żyj takim życiem, jakie sobie wymyślisz. Kochaj swoją Żonę i Dzieci i pozwól im się kochać. Powodzenia, Łysolu.

Wybiega z Auli. Tak jak poprzednio, ale zupełnie inaczej. Kiedy wybiega, uśmiecha się, i kiedy wybiega, mężczyźni się śmieją, ale nie tak jak poprzednio, zupełnie inaczej. Wybiega jako wolny abstynent. Przed nim rozciąga się wspaniała świadana przyszłość.

Mężczyźni przestają wiwatować, są szczęśliwi i śmieją się i zaczynają się rozchodzić. Widzę, jak Miles podchodzi do Leonarda, klepie go w ramię i idą w stronę drzwi. Biorę kawę i idę do telefonu i wchodzę do Budki i siadam i zamykam drzwi. Podnoszę słuchawkę i zaczynam dzwonić. Dzwonię do swojego Brata. Pyta, jak mi idzie z Mamą i Tata. Mówię lepiej, niż myślałem. Mówi to dobrze, nie

unoś się, przyjechali tylko dlatego, że cię kochają. Mówię staram się i mówi to staraj się dalej i mówię w porządku. Proszę, żeby pozdrowił ode mnie Kirka i Julie, i mówi, że to zrobi. Rozłączamy się.

Dzwonię do Kevina. Kevin mieszka w Chicago. Drze się do słuchawki słysząc, że pił. Robi mi się niedobrze i zazdroszczę mu. Jest wolny. Pije. Wyobrażam sobie kieliszek w dłoni płyn w ustach to uczucie to uczucie to uczucie. Pytam go, jak jest w Chicago. Mówi, że zimno. Pytam, czy by mi się podobało, mówi, że tak. Jest mnóstwo ciemnych uliczek i zakamarków, w których można się ukryć. Mówię nie będę się ukrywać, przed przeprowadzką idę do Więzienia. Mówi pierdol to, stary, pierdol Więzienie. Mówię muszę iść do Więzienia, a kiedy wyjdę, przeprowadzam się do Chicago. Mówi bomba, jeżeli będziesz czegoś potrzebował, to ci pomogę możesz się u mnie zatrzymać po przyjeździe. Mówię dzięki i rozłączamy się. Był pijany. Jest mi niedobrze i zazdroszczę mu. Dzwonię do jej przyjaciółek. Tych, które zostały moimi przyjaciółkami. Amy, Lucinda, Anna. Wszystkie rozmowy są takie same. Jak się masz dobrze. Myślałam o tobie dziękuję. Potrzebujesz czegoś nie. W rozmowach jest napięcie. Jak gdyby wiedziały coś, czego nie chcą mi powiedzieć. Czuję to, one to czują. Lepiej w to nie wchodzić nie wchodzę one też nie. To już nie moja sprawa. Każda mówi, że mnie

kocha. Nie romantycznie, ale w taki sposób, w jaki ludzie kochają, kiedy doświadczyli zbyt wielu trudów życia i doświadczyli ich razem. Doświadczyły ich ze mną. Mówię, że też je Kocham i to prawda. Kiedy się rozłączamy, kiedy po każdej z nich odkładam słuchawkę, czuję się lepiej. Nie z powodu ich relacji z nią, ale z powodu ich relacji ze mną.

Starczy już telefonów. Wydzwoniłem tyle, ile było trzeba, i wiem, że moje telefony rozniosą się po moich znajomych. Wchodzę z Oddziału i idę Korytarzami i Szklanym Korytarzem, który oddziela mężczyzn i kobiety w Stołówce. Rozglądam się, szukając Lilly, siedzi przy stoliku. Jest z przyjaciółkami i patrzy na mnie. Ma czerwone i podkrążone oczy. Widać zmyte ślady łez. Widzę, jak jej dłonie się trzęsą. Patrzy na mnie, jakby życzyła mi śmierci.

Nie chcę pokazywać po sobie, że ją zauważyłem, i ryzykować jeszcze bardziej ani ujawniać więcej, niż już wiadomo, ale ona na mnie patrzy. Patrzy na mnie, jakby życzyła mi śmierci. Patrzę na nią, podnoszę dłonie i opuszczam głowę i mówię, co się stało, bez słów twarzą i ciałem. Patrzy na mnie. Robię to jeszcze raz. Wiem, że mnie widać, ale jest mi wszystko jedno. Ona tylko na mnie patrzy. Biorę tacę i staję w kolejce i dostaję duszonego kurczaka. Na nim jest chrupiący chiński makaron i niezidentyfikowana zielenina. Podchodzę do stolika

patrzę przez szybę. Ciągłe na mnie patrzy. Jej przyjaciółki na mnie patrzą. Cały stół na mnie patrzy.

Siadam z Edem i Tedem i Mattym. Tematem rozmowy jest Ed, który dowiedział się rano, że jutro wychodzi. Wraca do Detroit, wraca do pracy w Hucie. Jest szczęśliwy i pełen nadziei. Wie, że związkowa składka nie wystarczy, żeby opłacić mu kolejny Pobyt, i czuje, że tym razem może mu się udać albo że może uda mu się popracować nad tym, żeby mu się udało. Nie może się doczekać, kiedy zobaczy swoich Synów. Ma ich czterech. We, że jest dla nich fatalnym wzorem, i chce im pokazać, jak zmienił się na lepsze. Czuje, że ta zmiana pozytywnie wpłynie na ich życie, że zniechęci ich do wyrośnięcia na kogoś takiego jak on. Ed to twardziel. Duży, silny, twardy jak surowiec, z którym pracuje, i nigdy nie widziałem, żeby okazał słabość w jakimkolwiek znaczeniu tego słowa, ale kiedy opowiada o swoich Synach, oczy robią mu się łagodne i wilgotne. Chce dla nich dobrego życia, lepszego niż to, które sam przeżył. Chce, żeby skończyli Szkołę i nie poszli do Więzienia, poszli na Studia i dostali Pracę w biurze. Chce, żeby założyli Rodziny, a kiedy to zrobią, żeby mieli przykład, jak być w Rodzinie dobrym człowiekiem. Chce, żeby mieli wszystko, czego on nigdy nie miał, chce wytrzymać w abstynencji, żeby im to ofiarować. Mówi, że musi się tylko wystrzeżać

Knajp. Kiedy idzie do Knajpy, wie, że będzie pić. Kiedy pije, to wie, że będzie się bić. Kiedy się bije, wie, że będzie miał kłopoty. Związki zawodowe nie pomogą mu, jeżeli jeszcze raz wpakuje się w kłopoty. Chce dać przykład swoim Dzieciom, żeby nie skończyły tak jak on. We, że to może być jego ostatnia szansa. Jest szczęśliwy i pełen nadziei.

Kończymy jeść. Kiedy wychodzimy ze Stołówki, patrzę przez szybę na stół, gdzie siedziała Lilly. Lilly tam nie ma. Stół jest pusty. Nie wiem dlaczego, ale patrzyła na mnie, jakby życzyła mi śmierci.

Idziemy razem Korytarzami. Matty i Ed i Ted omawiają nieobecność Leonarda i Milesa na kolacji. Żartują sobie z tego, co mogliby razem robić. Gangster i Sędzia. Ed mówi, że widział, jak siedzieli na ławkach naprzeciwko Jeziora, że wyglądali na pogrążonych w rozmowie. Ted mówi, że Leonard prosi Milesa o jakiś Immunitet w kwestii czegoś, co Leonard zrobił. Matty mówi czego by tam nie robili, to nie wasza sprawa. Rozchodzimy się i idą na Wykład, a ja idę do Gabinetu Joannę.

Joannę siedzi za biurkiem. Witam się z nią, wita się ze mną. Moja Matka siedzi na kanapie. Wstaje, wita się, przytula mnie. Przytulam ją. W dalszym ciągu nie czuję się dobrze, kiedy jej dotykam, i nie czuję się dobrze, kiedy ona mnie dotyka, ale wiem, że powinienem się przemóc. Mocno mnie przytula.

Czekam. Puszczaj mnie. Czuję się lepiej.

Gdzie Tata?

Matka mówi.

Musiał zadzwonić służbowo. Będzie tu, jak tylko skończy.

Wszystko w porządku?

Chyba tak.

Spoglądam na Joannę.

Co będziemy dzisiaj robić?

Będziemy rozmawiać o źródle twojego nałogu i jaka może być jego geneza.

Poczekamy z tym na Tatę?

Tak.

Co robimy do tej pory?

Twoja Matka właśnie opowiadała mi pewną historię.

O czym?

O pierwszym razie, kiedy zrozumiała, że możesz mieć kłopoty. Spoglądam na Matkę.

Kiedy to było?

Pamiętasz, kiedy znalazłam w kieszeni twojej kurtki torebkę marihuany?

Chichoczę.

No.

Dlaczego się śmiejesz?

Nie wiem.

To nie było zabawne, James.

Wiem, Mamo.

Joannę mówi.

James, czy to ci się wydało zabawne?

Trochę.

To może przedstawiś mi swoją wersję wydarzeń.

Spoglądam na Matkę, jest spięta. Czekam chwilę, przypominam sobie, mówię.

Miałem czternaście lat. Poprzedniego Lata byłem na Obozie Piłkarskim. Poznałem tam Dziewczynę, miała chyba na imię Emily, i przez cały pobyt wymykaliśmy się, żeby palić skręty. Po wyjeździe pisaliśmy do siebie. To była taka żeńska wersja mnie, co oznaczało, że nasze listy były dość bezpośrednie w kwestii alkoholu i narkotyków. Pewnego popołudnia wróciłem ze Szkoły do domu i poszedłem do Pokoju i mnóstwo rzeczy, rzeczy, które trzymałem w ukryciu, w tym listy Emily, leżało na szafce. Wiedziałem, że wpadłem i byłem wkurzony, że Mama szperała mi w rzeczach, więc zszedłem na dół, żeby ją znaleźć i to wyjaśnić. Kiedy wszedłem do Kuchni, stała, trzymając torebkę marihuany, którą znalazła w kieszeni kurtki. Zapytała co to jest a ja zapytałem skąd to wzięła i powiedziała nie odszczekuj młody człowieku a ja powiedziałem powiedz mi skąd to masz to powiem ci co to jest i powiedziała przestań pyskować młody człowieku i roześmiałem się.

Spoglądam na Matkę. Pod makijażem jest blada.

Przenoszę wzrok na Joannę.

Trzymała mój towar przed nosem i wrzeszczała co to jest skąd to masz masz mi natychmiast powiedzieć. Śmiałem się, a ona wrzeszczała. Znudziły mi się jej wrzaski i byłem wkurwiony z powodu naruszenia mojej prywatności, więc kiedy tak trzymała torebkę, sięgnąłem i wyrwałem ją z jej dłoni. Była zszokowana, a kiedy chowałem torebkę do kieszeni, zamachnęła się, żeby mnie spoliczkować. Wdziałem, co się święci, więc kiedy chciała mnie uderzyć, chwyciłem ją za rękę. Wtedy zamachnęła się drugą i tę też chwyciłem. Trzymałem ją za obie ręce i szarpała się i wrzeszczała, a ja się śmiałem. Chyba śmiałem się, bo torebka marihuany nie wydawała mi się czymś niezwykłym, a agresja Matki była absurdalna. Nie mogła mnie uderzyć, bo trzymałem ją za ręce, więc próbowała mnie kopnąć. Kiedy to zrobiła, puściłem jej rękę i straciła równowagę i upadła na podłogę i zaczęła płakać, płakać z całych sił. Odwróciłem się i wyszedłem głównymi drzwiami. Kiedy wychodziłem, słyszałem, jak płacze, ale nie chciałem zawracać sobie tym głowy, więc po prostu wyszedłem. Kiedy wróciłem do domu parę godzin później, Tata zrobił mi awanturę i dostałem szlaban na miesiąc.

Spoglądam na Matkę. Patrzy w podłogę. Joannę mówi.

James, to okropna historia.

Wiem.

Jak się czułeś, kiedy ją opowiadałeś?

Część mnie w dalszym ciągu uważa, że to zabawne, ale większa część mnie odczuwa wstyd i zakłopotanie.

Jak myślisz, jak musi się czuć twoja Matka?

Spoglądam na Matkę. Patrzy w podłogę i powstrzymuje się od płaczu.

Myślę, że musi się czuć okropnie.

Dlaczego?

Bo to musiało być upokarzające. Rozmawiasz z Synem o narkotykach, a on cię wyśmiewa, próbujesz go skarcić i lądujesz na podłodze.

Joannę spogląda na moją Matkę.

Lynne, czy to prawda?

Matka podnosi wzrok, wargi jej drżą.

Tak.

Czy wydaje ci się, że właśnie o to chodziło, o narkotyki i karę? Mówię.

Nie.

To o co według ciebie chodziło?

Chodziło o kontrolę.

Dlaczego tak myślisz?

Przeszukując moje rzeczy i czytając moje prywatne listy, chciała się dowiedzieć, czym się zajmuję, żeby móc mnie kontrolować. Próba zmuszenia mnie, żebym powiedział, co jest w torebce, mimo że to wiedziała, to była forma kontroli.

Kiedy upadła po tym, jak chciała mnie kopnąć, nie było jej przykro dlatego, że nie trafiła, było jej przykro, bo wiedziała, że w danej chwili nie może mnie kontrolować.

Joannę spogląda na moją Matkę.

Czy wydaje ci się, że to słuszna interpretacja?

Matka patrzy w podłogę, myśli. Podnosi wzrok.

Byłam zdenerwowana narkotykami. Byłam zdenerwowana po przeczytaniu listów, z których dowiedziałam się, co on wyprawiał, zwłaszcza po tym, jak wysłaliśmy go na ten Obóz, gdzie miał przebywać z dala od takich rzeczy. Kiedy znalazłam torebkę w jego kurtce, byłam przestraszona i przerażona. Miał czternaście lat. Czternastoletni Chłopcy nie powinni nosić torebek z narkotykami. Jednak do pewnego stopnia ma rację w kwestii kontroli. Jego Ojciec i ja zawsze próbowaliśmy go kontrolować, głównie dlatego, że było to takie trudne.

Pukanie do drzwi. Joannę mówi proszę, drzwi otwierają się i mój Ojciec wchodzi do Gabinetu.

Matka wstaje i obejmuje go. Robię to samo. Ojciec siada obok Matki. Trzyma ją za rękę i spogląda na Joannę.

Przepraszam za spóźnienie.

Rozmawialiśmy o incydencie, który zaszedł, kiedy James miał czternaście lat, i ta dyskusja doprowadziła nas to tematu kontroli. Celem

dzisiejszej sesji jest próba dotarcia do genezy jego uzależnienia. Mam przeczucie, że między tą genezą a kwestią kontroli może istnieć związek.

Co to za incydent?

Matka mówi.

Kiedy znalazłam w kieszeni jego kurtki torebkę marihuany.

Którym razem?

Kiedy upadłam, próbując go spoliczkować.

Ojciec przytakuje.

To było okropne. Co to ma wspólnego z kontrolą?

Joannę mówi.

James powiedział, że według niego to zdarzenie było związane bardziej z kontrolą niż z narkotykami.

Ojciec odwraca się do mnie. Wygląda na zdezorientowanego, trochę zirytowanego.

To jakiś absurd, James.

Mówię.

Nie dla mnie. Szperając w moich rzeczach i czytając moje listy i przeszukując moją kurtkę, Mama chciała dowiedzieć się, czym się zajmuję, tak żeby móc to kontrolować.

Tam były narkotyki. Twoja Matka miała prawo przeszukać twoją kurtkę. Miałeś czternaście lat.

Jeżeli chcesz tak myśleć, to nie ma sprawy, ale śledzenie mnie i grzebanie w moich rzeczach osobistych to była forma kontroli, czyli coś, co

zawsze chcieliście robić.

Ojciec podnosi głos.

Przez całe życie robiłeś, co chciałeś. Jesteśmy twoimi Rodzicami, czego się po nas spodziewałeś?

Podnoszę głos.

Ze zostawicie mnie w spokoju. Pozwolicie mi żyć własnym życiem.

W wieku czternastu lat? Jak ci się wydaje, gdzie byś wylądował, gdybyśmy tak zrobili?

A gdzie kurwa wylądowałem? Trudno sobie wyobrazić coś gorszego. Rodzice nie zostawiają swoich Dzieci samym sobie, James, oni je wychowują. To wszystko, co twoja Matka i ja chcieliśmy z tobą zrobić.

Chcieliście ręcznie sterować moim życiem i śledzić mnie w każdej sekundzie każdego dnia i zmuszać do robienia tego, co wam odpowiada.

Ojciec zaciska szczękę tak samo, jak ja to robię. Jest zły, bardzo zły, i zaczyna mówić. Joannę mu przerywa.

Chwileczkę, panie Frey.

Bierze oddech i przytakuje. Joannę spogląda na mnie.

Dlaczego według ciebie to się nie udało?

Z tego samego powodu, dla którego pies trzymany na krótkiej smyczy robi się agresywny. Z tego samego powodu, dla którego Więzień trzymany za długo w izolacji staje się brutalny. Z tego samego

powodu, dla którego Dyktatury najczęściej kończą się Rewolucją.

To ciekawe przykłady, ale jaki jest ten powód.

Nie chciałem być kontrolowany, więc robiłem wszystko, co mogłem, żeby wyrwać się z tego schematu, co sprawiło, że jeszcze bardziej chcieli mnie kontrolować.

Joannę spogląda na moich Rodziców.

Czy waszym zdaniem jest w tym jakaś słuszność?

Ojciec mówi.

Nie.

Matka mówi.

Tak.

Ojciec spogląda na Matkę.

Dlaczego tak myślisz?

Wiesz, że zawsze się o niego martwiłam, nawet kiedy był małym dzieckiem. Chyba trzymałam go zbyt blisko siebie, bo nie chciałam, żeby stała mu się krzywda.

Joannę mówi.

Macie drugiego Syna, prawda?

Matka przytakuje, Ojciec mówi tak.

Czy wychowywaliście go tak samo?

Ojciec przytakuje, mówi.

Tak.

Matka mówi.

Nie.

Na czym polega różnica.

Z Jamesem byłam znacznie ostrożniejsza niż z Bobem. Wiedziałam, że nie będziemy mieli już więcej Dzieci, i chciałam, żeby James był idealny i zdrowy i bezpieczny. Nie potrafię tego inaczej wyrazić. Chciałam, żeby był bezpieczny.

To naturalne, ale czy mogłaś być dla niego nadopiekuńcza?

Ojciec mówi.

Nadopiekuńcza? Czy z Dzieckiem to w ogóle możliwe?

Joannę przytakuje.

Owszem.

Matka mówi.

Jak?

Każdy ma jakieś granice. Są inne dla każdej Osoby, ale wszyscy je mamy. Kiedy się je przekracza albo narusza, to zwykle wywołuje zdenerwowanie. Jeżeli się je przekracza albo narusza nieustannie, zwłaszcza w wypadku Dziecka, które najczęściej nie ma wpływu na to, czy ktoś przekracza albo narusza jego granice, to może prowadzić do negatywnych zachowań, których najprostszym przykładem jest bunt przeciwko kontroli.

Ojciec mówi.

To brzmi nedorzecznie. Granice Dziecka są ustalane przez jego Rodziców, i to Dziecko ma się do nich dostosować, a nie na odwrót.

Joannę mówi.

Niekoniecznie.

Jak to?

Dzieci uczą się więcej w ciągu pierwszych dwóch lat życia niż przez całą jego resztę, nawet jeżeli dożyją setki. Większość zespołów zachowań, w tym granice prywatności, pojawia się w trakcie tych dwóch lat. Czasami schemat wyodrębniania tych zachowań i granic zostaje zakłócony.

Przez co?

Zwykle przez maltretowanie.

Ojciec burzy się.

Jeżeli sugerujesz Joanne podnosi dłoń.

Niczego nie sugeruję, a kiedy poruszyłam tę kwestię z Jamesem, bardzo stanowczo zaprzeczył, jakoby mogło do tego dojść. Opowiadam tylko, jak to się czasami odbywa.

Matka mówi.

Chroniliśmy Jamesa bardziej niż naszego pierwszego syna, ale chyba mieliśmy ku temu powody, i nie wydaje mi się, żebyśmy przekroczyli jakieś granice.

Joannę spogląda na nią, czeka, aż zacznie mówić dalej.

Bob jest trzy lata starszy od Jamesa. Tuż po narodzinach Boba mój Ojciec przeszedł na emeryturę i zaczął dużo pić. To był trudny czas dla mojej Matki i mojego Brata i mojej Siostry i dla mnie.

Próbowaliśmy go powstrzymać, ale powiedział, byśmy zostawili go w spokoju, twierdził, że przez całe życie się nami zajmował, a teraz chce zostać sam. Słyszałam, że Alkoholizm może być przekazywany z pokolenia na pokolenie, więc po narodzinach Jamesa byłam śmiertelnie przerażona. Nie wiem, czy to kobieca intuicja, czy coś innego, ale z jakiegoś powodu nie martwiłam się o Boba, martwiłam się tylko o Jamesa.

Mówię.

Dziadek był Alkoholikiem?

Ojciec spogląda na Matkę, Matka mówi.

Nie wiem, czy był Alkoholikiem, ale miał problem z piciem.

Joannę mówi.

Nie wiedziałeś o tym, James?

Ojciec mówi.

Staraliśmy się raczej o tym nie rozmawiać.

Dlaczego?

To była bardzo smutna i przygnębiająca sytuacja. Staraliśmy się pamiętać Ojca Lynne takim, jakim był przez większą część życia, czyli jako człowieka dobrego i łagodnego i szczodrego, a nie takim, jakim stał się pod koniec.

Joannę mówi.

Jak wspomniała Lynne, udowodniono związek między chorobą alkoholową i genetyką. Czy nie wydaje się wam, że Jamesowi mogłaby pomóc

świadomość, że może mieć i moim zdaniem prawie na pewno ma genetyczną skłonność do uzależnień?

Mówię.

Nie sądzę, żeby wiedza o moim Dziadku mogła coś zmienić. To nie jest tak, że piłem i ćpałem z powodu jakiejś wady genetycznej.

Joannę mówi.

Dlaczego od razu odrzucasz coś, czego istnienie zostało empirycznie udowodnione?

Bo według mnie to bzdura. Ludzie nie chcą przyjąć odpowiedzialności za swoją słabość, więc zrzucają winę na coś, na co nie mają wpływu, jak choroba albo genetyka. Jeżeli chodzi o wyniki badań, to mając wystarczająco dużo czasu i środków, mógłbym udowodnić, że jestem z Marsa.

Matka mówi.

To by bez wątpienia wiele tłumaczyło.

Rzeczywiście ciekawe, że Dziadek miał problem z pićem. Jestem tym zaskoczony, bo slyszalem o nim same wspaniale rzeczy. Myśle, ze to fatalnie i uzeranie sie z nim musiało być dla wszystkich okropne, tak jak uzeranie sie ze mną musi być okropne, ale nie będę winił jego ani jego genów za moje problemy.

Ojciec mówi.

Jakie jest twoje wytłumaczenie?

Byłem słaby i żalorny i nie potrafiłem nad sobą zapanować. Wytłumaczenie, zwłaszcza bzdurne, nie

zmienia faktów. Potrzebna mi jest przemiana, muszę się zmienić, i na tym etapie zmiana to dla mnie jedyne wyjście, chyba że mam już umrzeć. Liczy się tylko to, żebym na przyszłość stał się czymś innym i kimś innym.

Joannę mówi.

Nie wydaje ci się, że świadomość, dlaczego jesteś taki, jaki jesteś, mogłaby ci pomóc w tej przemianie?

Wydaje mi się, że wiem, dlaczego taki jestem.

Podzielisz się z nami swoją teorią?

Chyba nie.

Dlaczego?

Bo to zaboli i zdenerwuje moich Rodziców, a tego już chyba wystarczy z mojej strony.

Matka mówi.

Myślę, że chcielibyśmy to usłyszeć, James.

Ojciec mówi.

Zdecydowanie.

Patrzę na nich, biorę głęboki oddech, mówię.

Zawsze coś czułem. Chyba nie mam słów, żeby to dokładnie opisać, ale to kombinacja wściekłości, gniewu, straszego bólu. One się łączą w coś, co nazywam Furią. Znałem Furię, od kiedy tylko pamiętam. To jedyne, co było ze mną przez całe życie. Zaczynam się uczyć, jak sobie z nią radzić, ale jeszcze do niedawna jedynym znanym mi sposobem był alkohol i narkotyki. Brałem coś, cokolwiek, i

jeżeli wziąłem tego wystarczająco dużo, Furia przechodziła. Problem polegał na tym, że zawsze wracała, zwykle silniejsza, i zabicie jej wymagało silniejszych substancji w większych ilościach, a cel był zawsze ten sam, zabić ją. Od pierwszego razu, kiedy się napiłem, wiedziałem, że picie ją zabija. Od pierwszego razu, kiedy wziąłem narkotyki, wiedziałem, że narkotyki ją zabijają. Brałem świadomie, nie z powodu uwarunkowania genetycznego czy działania jakiejś choroby, ale ponieważ wiedziałem, że zabiję cholerną Furię. Choć wiedziałem, że zabijam też siebie, zabicie Furii było ważniejsze.

Patrzę na Rodziców.

Nie wiem dlaczego i nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale zawsze kiedy jesteście przy mnie, Furia się nasila. Zawsze kiedy próbowaliście mnie kontrolować albo niańczyć, albo się mną opiekować, albo mnie powstrzymać, Furia się nasilała. Zawsze kiedy rozmawiamy przez telefon albo słyszę wasze głosy, Furia się nasila. Nie twierdzę, że to wasza wina, bo nie wydaje mi się, żeby to była wasza wina. Wiem, że zrobiliście dla mnie wszystko, co było w waszej mocy, i wiem, że jestem szczęściarzem, że was mam, i nie potrafię wskazać niczego w swoim życiu, co mogłoby to spowodować. Może Furia jest genetyczna, ale bardzo w to kurwa wątpię i tak czy inaczej nie zaakceptuję choroby i genetyki jako

przyczyny. To by za bardzo ułatwiło zrzucenie odpowiedzialności za to, co zrobiłem, i co zrobiłem, mając pełną świadomość, że to robię. A za każdym razem wiedziałem kurwa doskonale, kiedy piłem drinka czy wciągałem krechę, czy ściągałem macha z fify, czy dawałem się aresztować, i niezależnie od tego podejmowałem tę decyzję. W większości wypadków usiłowałem zabić Furie, niekiedy usiłowałem zabić siebie i w końcu przestałem to rozróżniać. Wiedziałem tylko, że zabijam i że pewnego dnia to dobiegnie końca, co byłoby chyba dla wszystkich zainteresowanych najlepszym rozwiązaniem. Tak czy inaczej czuję to teraz, siedząc tutaj z wami, i będę to czuł jutro rano, kiedy was znowu zobaczę. Będę to czuł następnym razem, kiedy będziemy rozmawiać, i jeszcze następnym razem i jeszcze następnym, i jeżeli istnieje jakieś wydumaczenie, dlaczego jestem taki, jaki jestem, albo tym, kim jestem, to jest nim moja Furia, której nie da się opanować bez alkoholu i narkotyków. Jak się z tego wyciągnąć? Biorąc za siebie odpowiedzialność i ucząc się sobie ze sobą radzić i ucząc się kontrolować Furie. To może chwilę potrwać, ale jeżeli będę się wystarczająco długo trzymał i nie będę przyjmował wymówek tłumaczących moją porażkę ani odsuwał od siebie problemu, który sam stworzyłem, może mi się udać.

Matka i Ojciec patrzą na mnie. Matka wygląda,

jakby się miała rozplakać, Ojciec jest blady, jakby właśnie był świadkiem strasznego wypadku. Matka zaczyna mówić, urywa, wyciera oczy. Ojciec tylko patrzy. Joannę mówi.

Nie lekceważąc innych czynników, byłabym skłonna przychylić się do twojej teorii, ale ciekawi mnie, skąd według ciebie wzięła się ta Furia.

Nie wiem.

Patrzy na moich Rodziców. Na twarzy Matki są łzy, Ojciec nadal patrzy. Matka spogląda na mnie, mówi.

Dlaczego nam o tym wcześniej nie powiedziałaś?

Co miałem wam powiedzieć?

Nienawidzisz nas?

Kręcę głową.

Co myśmy takiego zrobili?

Mamo, niczego nie zrobiliście. To nie jest wasza wina.

Wyciera twarz. Ojciec patrzy.

Przepraszam, James.

Mamo, nie musisz mnie przepraszać. To ja powinienem was przeprosić.

Długa cisza. Ojciec spogląda na Joannę, mówi.

Czy to uczucie, ten zespół uczuć mógł zostać wywołany przez Problemy Medyczne?

Czy James miał w Dzieciństwie Problemy Medyczne?

Miał kłopoty z uszami.

Czy zostały one wykryte i wyleczone?

Matka mówi.

Nie wiedzieliśmy.

Jak to nie wiedzieliście?

Matka spogląda na Ojca i bierze jego dłoń.
Mówi.

Tuż po narodzinach Chłopców nie mieliśmy dużo pieniędzy. Bob był Prawnikiem, ale większość jego zarobków szła na spłacanie pożyczki studenckiej. Bob Junior przyszedł na świat zdrowy i był szczęśliwym dzieckiem. Był bardzo cichy i bardzo spokojny. Kiedy James się urodził, było dokładnie odwrotnie. Wrzeszczał i wrzeszczał i wrzeszczał i nieważne, co robiliśmy, nie mogliśmy go uspokoić. To były okropne wrzaski, długie i głośne i przenikliwe, i w dalszym ciągu słyszę je we wspomnieniach. Poszliśmy do Lekarza, i wybraliśmy najlepszego, na jakiego było nas stać.

Lekarz powiedział nam, że wszystko jest w porządku, że James jest najwyraźniej głośniejszym dzieckiem. Wróciliśmy do domu i wrzaski trwały nadal. Nosłam Jamesa, Bob nosił Jamesa, próbowaliśmy dawać mu zabawki i częściej go karmić, ale nic nie działało. Nie dawał się uspokoić.

Łzy zaczynają płynąć. Matka ściska dłoń Ojca, Ojciec przygląda się, jak mówi. Siedzę i słucham. Nigdy wcześniej nie słyszałem o swoich wrzaskach,

choć nie są dla mnie zaskoczeniem. Wrzeszczałem od lat. Wrzeszczałem wniebo-kurwa-głosy. Matka płacze i mówi.

To trwało co najmniej dwa lata. James tylko wrzeszczał i wrzeszczał. Bobowi zaczęło się powodzić w Pracy i dostał podwyżkę i jak tylko mieliśmy dodatkowe pieniądze, zabrałam Jamesa do lepszego Lekarza. Od razu kiedy go zbadał, powiedział, że James ma poważną infekcję w obojgu uszach, która trawi jego bębienki. Powiedział, że James przez cały czas krzyczał, bo odczuwał straszliwy ból i że krzyczał o pomoc. Skierował go na operację i tuż przed drugimi urodzinami James miał operację obojga uszu, która była pierwszą z siedmiu operacji, które w sumie przeszedł. Oczywiście czuliśmy się okropnie, ale nie wiedzieliśmy.

Łzy zamieniają się w szloch.

Gdybyśmy wiedzieli, tobyśmy coś zrobili.

Szloch.

Ale nie wiedzieliśmy.

Ojciec ją przytula.

Tylko wrzeszczał i wrzeszczał i przez cały ten czas nie wiedzieliśmy, że wrzeszczał, bo go bolało.

Matka się załamuje, chowa twarz w ramieniu Ojca i trzęsie się i drży i dygocze. Ojciec przytula ją i cierpliwie na nią czeka, gładząc ją po włosach i masując jej plecy. Siedzę i patrzę i mimo że nie pamiętam tego, o czym była mowa, pamiętam ból. To

wszystko, co zostaje. Ból. Matka przestaje płakać i odsuwa się trochę tylko trochę od mojego Ojca. Patrzy na mnie.

Przepraszam, James. Nie wiedzieliśmy. Naprawdę nie wiedzieliśmy. Wciąg3111 rękę i kładę dłoń na dłoni Matki.

Mamo, nie masz mnie za co przepraszać. Zrobiliście wszystko, co było w waszej mocy.

Odsuwa się od mojego Ojca zupełnie i wstaje i robi dwa kroki w moją stronę i obejmuje mnie i przytula mnie. Przytula mnie mocno i z całych sił i też ją przytulam i czuję, że próbuje w ten sposób wyrazić żal i smutek. W pewnym sensie ten uścisk to jej przeprosiny, nawet jeśli są niepotrzebne.

Puszcza mnie i siada z powrotem obok mojego Ojca. Joannę czeka przez chwilę, aż któreś z nas się odezwie. Nikt tego nie robi, więc mówi.

James, czy coś z tego pamiętasz?

Pamiętam operacje, tylko dlatego, że ostatnią miałem w wieku dwunastu lat, ale nie pamiętam tych wcześniejszych rzeczy.

Czy te infekcje miały długofalowe konsekwencje?

Mam trzydziestoprocentowy ubytek słuchu w lewym uchu i dwudziestoprocentowy w prawym.

Dlaczego wcześniej mi tego nie powiedziałeś?

To mi się nie wydaje jakoś istotne.

To pomaga wyjaśnić, czy nawet w całości

wyjaśnia, dlaczego powiedziałeś, że twoje pierwsze i najwcześniejsze wspomnienia wiążą się z wściekłością i bólem.

Dlaczego tak myślisz?

Zaraz po narodzinach dziecko potrzebuje pożywienia i opieki i poczucia bezpieczeństwa i wygody. Jeżeli krzyczy, to najczęściej krzyczy z jakiegoś powodu, a w twoim przypadku wygląda na to, że krzyczałeś, bo cię bolało i potrzebowałeś pomocy. Jeżeli te krzyki zostały zlekceważone, świadomie czy nieświadomie, mogły one spowodować wyodrębnienie się wszechogarniającej wściekłości, która przypuszczalnie mogła mieć długofalowe konsekwencje.

Ta wściekłość mogłaby tłumaczyć zarówno twoje uczucia związane z tym, co nazywasz Furia, jak również konkretną manifestację owej Furii w odniesieniu do Rodziców i kontroli.

Siedzę i myślę. Staram się zdecydować, czy jestem gotów przyjąć genetykę i infekcję uszu jako wytłumaczenie dwudziestu trzech lat chaosu. To byłoby proste. Umieścić się na piedestale z dala od tego, czym i kim jestem, i złożyć to wszystko na karb genów Dziadka i niekompetencji Lekarza. To były dwadzieścia trzy lata chaosu. Dwadzieścia trzy lata Piekła. Mógłbym się od nich teraz uwolnić poprzez prostą akceptację tego, co zostało mi przedstawione. Mógłbym się od nich uwolnić.

Podnoszę wzrok. Rodzice na mnie patrzą, Joannę na mnie patrzy. Czeka ją na odpowiedź. Biorę oddech i mówię.

To ciekawa teoria. Przypuszczalnie częściowo uzasadniona. Mogę ją przyjąć jako to, czym według mnie jest, czyli pewną możliwość. Nie przyjmuję jej jako genezy, bo to dla mnie wykręt, i nie wydaje mi się, żeby zaakceptowanie jako genezy cokolwiek poza mną i moją własną słabością mogło mi w czymś pomóc. Zrobiłem to wszystko, co zrobiłem. Podejmowałem decyzje, żeby to robić. Jedyńm sposobem na poprawę jest dla mnie przyjęcie odpowiedzialności za decyzję, czy być Człowiekiem Uzależnionym, czy nim nie być. Dla mnie wszystko sprowadza się właśnie do tego. Wiem, że będziecie się starać mnie przekonać, że jest inaczej, ale możecie dać sobie spokój.

Joannę chichocze, Matka i Ojciec patrzą na mnie. Spoglądam na Joannę i mówię.

Dlaczego chichoczesz?

Uśmiecha się.

Bo jesteś najbardziej upartą Osobą, jaką w życiu poznałam.

Po prostu nie pozwolę zrobić z siebie ofiary.

Co przez to rozumiesz?

Ludzie tutaj, Ludzie wszędzie, wszyscy próbują przerzucać na kogoś lub coś problemy, których przyczyną najczęściej są oni sami. Wiem, że Matka i

Ojciec robili, co mogli, i dawali mi tyle, ile mogli, i kochali mnie najbardziej, jak potrafili, i jeżeli już, to oni są moimi ofiarami. Mógłbym powiedzieć, że mam defekt natury genetycznej, że jestem chory i to jest źródło moich nałogów, ale to według mnie stek bzdur. Jestem ofiarą tylko i wyłącznie samego siebie, uważam zresztą, że większość Ludzi z tą tak zwaną chorobą to też ofiary tylko i wyłącznie samych siebie. Jeżeli chcesz nazwać ten pogląd uporem, proszę bardzo. Ja bym to nazwał przyjmowaniem odpowiedzialności. Ja bym to nazwał pogodzeniem się z własnymi problemami i własnymi słabościami, z honorem i z godnością.

Ja bym to nazwał poprawą.

Joannę się uśmiecha.

Choć nie mogę bezpośrednio przyjąć ani wyrazić aprobaty dla twojej filozofii, stopniowo zaczynam się na nią nawracać.

Uśmiecham się.

Dziękuję.

Ojciec mówi.

James.

Odwracam się do niego i Matki. Uśmiechają się do mnie.

Nigdy w życiu nie byłem z ciebie bardziej dumny niż teraz. Uśmiecham się.

Dziękuję, Tato.

Matka mówi.

Ja też, James.

Dziękuję, Mamo.

Joannę spogląda na zegarek.

Myślę, że poczyniliśmy dzisiaj wyjątkowe postępy i robi się późno. Wstaję.

Chodźmy stąd.

Rodzice wstają. Matka mówi.

Czy zanim pójdziemy, możesz nas jeszcze raz przytulić?

Robię krok do przodu, obejmuję ich ramionami, jednym Matkę, drugim Ojca, i oni kładą po jednym ramieniu na mnie. Ciągniemy każde z nas ciągnie i przytulamy się do siebie nasza trójka przytula się nawzajem to jest mocne i łatwe i pełne czegoś może miłości.

Furia burzy się i przez chwilę jest mi niezręcznie, ale siła, którą ofiarowuję, i siła, którą otrzymuję, ją zabija. Bez problemu i szybko. Dawanie i branie ją zabija.

Odsuwamy się. Rodzice nadal się uśmiechają. Zegnam się z Joannę i ona się ze mną zegna. Otwieram drzwi i czekam. Rodzice żegnają się i dziękują Joannę, a ona się uśmiecha i mówi nie ma za co. Wychodzą i idę za nimi. Zegnamy się za drzwiami i oni idą w jedną stronę, a ja w drugą.

Wracam na Oddział. Znam drogę, idę na pamięć. Jestem zmęczony i chcę iść do łóżka. Nie chcę sobie z nikim ani z niczym radzić.

Nie chcę myśleć o Więzieniu ani genetyce, ani infekcjach ucha. Nie znam tego pierwszego, a pozostałe dwa są bez znaczenia. Chcę spać. Zamknąć oczy i zasnąć.

Wracam do Pokoju, otwieram drzwi, wchodzę do środka. Miles jest w łóżku już śpi. Lampka na mojej szafce jest włączona wyłączam ją wchodzę pod kołdrę. Jest ciepła. Poduszka jest miękka.

Jestem zmęczony.

Zasypiam.

I – błonie mną potrząsają delikatnie mną potrząsają. Słyszę swoje imię James James James ktoś mną potrząsa. Słyszę swoje imię. James. Otwieram oczy. Jest ciemno dostrzegam rozmazany kształt potrząsa mną i wymawia moje imię. Mrugam raz. Dwa razy. Jest ciemno. Widzę.

Miles stoi nade mną. Widzi moje oczy widzę jego oczy. Puszczą mnie. Podnoszę się.

Za oknem czeka na ciebie młoda dama.

Co?

Młoda dama za oknem. Pyta o ciebie.

Pochylam się, zaglądam za niego. Za szybą widzę kształt.

Kurwa.

Miles się śmieje.

Kobiety są trudne. A jeżeli je ignorujesz, robią się jeszcze trudniejsze. Proponuję, żebyś z nią porozmawiał.

Kurwa.

Odpycham kołdrę, Miles robi krok do tyłu. Zwlekam się z łóżka i podchodzę do okna i otwieram je. Uderzenie zimna zimny wiatr smaga mnie po twarzy. Wystawiam głowę za okno. W cieniu stoi Lilly.

Mówi.

Muszę z tobą porozmawiać.

Teraz?

Tak.

To nie może poczekać do rana?

Muszę z tobą porozmawiać.

Poczekaj.

Odsuwam się od okna i je zamykam. Odwracam się i Miles się do mnie uśmiecha.

Wiedziałaś, że to nie może poczekać do rana, jeżeli obudziła nas w środku nocy.

Myślałam, że spróbuję.

Wkładam spodnie.

Z nimi nie ma sensu próbować. Trzeba po prostu działać.

Buty.

To będzie moja Strategia na przyszłość.

Kurtka Hanka.

Tak jest najlepiej.

Wracam do okna.

Przepraszam, że cię obudziła.

Miles uśmiecha się.

Nie daj się złapać.
Uśmiecham się.
Nie ma mowy.
Otwieram okno, uderzenie zimna zimna zimna.
Wschodzę przez okno i zamykam je za sobą. Lilly
stoi w cieniu. Podchodzę do niej.

Cześć.
To wszystko, co masz do powiedzenia?
Co to ma znaczyć?
Myślisz, że powiesz mi cześć i wszystko będzie
spoko. o czym ty mówisz?

Zatrzymuję się i staję z nią twarzą w twarz.
Widzę zapuchnięte oczy i ślady łez. Widzę, jak
odchyła się i bierze zamach. Robię krok w tył i nie
trafia.

O co ci kurwa chodzi?
Odzyskuje równowagę i podchodzi i popycha
mnie.

Pierdol się.
Śmieję się. Popycha mnie jeszcze raz.
Myślisz, że to zabawne?
Popycha mnie jeszcze raz.
Pierdol się.
Podnosi głos. Popycha jeszcze raz.
Pierdol się.
Lilly odchyła się.
PIERDOL SIĘ.
Bierze zamach. Łapię ją za rękę. Bierze zamach

drugą. Łapię drugą. Rzuca się i zaciska zęby i trzymam ją za ręce i odciągam ją od Budynku, starając się być delikatny, ale wkładając tyle siły, żeby ją pociągnąć. Mówi puszczaj mnie puszczaj mnie ty jebany Dupku puść mnie. Ignoruję ją. Powoli idę tyłem, trzymając ją za ręce i delikatnie wciągając w ciemność.

Pięćdziesiąt stóp dalej jesteśmy bezpieczni. Nadal ciągnę, ona się szarpie i przeklina i wyzywa. Sto stóp dalej jesteśmy bezpieczniejsi. Ciemność jest ciemniejsza. Dźwięk tak nie niesie. Zatrzymuję się i przestaję ciągnąć, ale nie puszczam. Szarpie się. Obejmuję ją i mocno trzymam.

Uspokój się.

Nie.

Nie puszczam cię.

To cię zmuszę.

Szarpie się mocniej. Trzymam ją mocniej. Jej ciało jest tuż przy moim, jej ręce przyciśnięte do piersi. Trzymam ją, a ona się szarpie. Czekam, a ona przeklina. Kiedy przestaje po chwili przestaje trzymam ją nieruchomo. Oddycha. Głębokie ciężkie oddechy.

W nocnej ciszy. W ciemności, gdzie jesteśmy bezpieczni.

Jej oddech zwalnia zwalnia zwalnia. Kładę jej głowę na ramieniu. Kiedy oddycha miarowo, mówię.

Tuż dobrze?

Nie.
Co się stało?
Jesteś Dupkiem.
Dlaczego jestem Dupkiem?
Rozmawiałeś z nim. Dlaczego nie przyszedłeś?
Kiedy?
O trzeciej.
Miałem sesję w Ośrodku Rodzinnym.
Miałeś być ze mną.
Nie wiedziałem.
Miałeś na lunchu trzy talerze. Trzecia.
Nie wiedziałem, że dzisiaj też tak robimy.
To myślisz, że po co na ciebie patrzyłam podczas kolacji?
Nie miałem pojęcia. Wyglądałaś na zdenerwowaną, ale nie wiedziałem dlaczego.
Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?
To ty zawsze do mnie dzwonicz.
No i co z tego?
Nie mam numeru.
Gówno prawda.
Właśnie, że tak.
To wymówka. Powinieneś być zadzwonić.
Daj mi numer, to następnym razem tak zrobię.
Odpycha się ode mnie odpycha nieznacznie, ale dalej mnie obejmuje. Patrzy na ziemię i na czerń wokół stóp. Podnosi wzrok. Przejrzysta woda niebieski w jasnozielony. Uśmiecha się, uśmiecha się

lekko, nie uśmiech szczęścia, tylko uśmiech żalu. Smutku. Uśmiech pomyłki i nieporozumienia. Mówi.

Przepraszam.

Dlaczego?

Przestraszyłam się.

Czego się przestraszyłaś?

Przestraszyłam się, że chcesz mnie zostawić.

Nie zrobię tego.

Przestraszyłam się, że po tym, jak opowiedziałam ci te rzeczy o sobie, nie będziesz się już chciał ze mną spotykać. Potem pomyślałam, że ktoś z Oddziału coś ci naopowiadał.

Nie przejmuję się takimi rzeczami. Nie przejmuję się tym, co usłyszę.

Pomyślałam, że ci coś powiedzieli, a kiedy się nie pojawiłeś, byłam już tego pewna.

Jedynie, czego możesz być pewna, to że cię nie zostawię.

Uśmiecha się. Tym razem to prawdziwy uśmiech.

Nigdy?

Nigdy.

Na pewno?

Tak.

James, ja nie chcę być już więcej sama.

Nie będziesz.

Płakałam przez cały dzień.

To już więcej nie płacz. Tylko przypomnij sobie

słowo nigdy. Uśmiecha się szerzej, pełniej, uśmiechem takim, jaka sama jest, czyli pięknym. W środku i na zewnątrz. Uśmiech. Jej. Piękny. Nachyla się i staje na palcach i zamyka oczy i całuje mnie. Długo i słodko i powoli. Mógłbym się z nią całować bez końca.

Odsuwamy się. Mówię, że powinniśmy iść. Nie z powrotem, tylko dalej w ciemność. Zaczynamy iść, dłoń w dłoń, wolnymi krokami, nie ma pośpiechu. W nocy Las żyje. Patyczki pękają, liście szeleszczą, gałęzie się kołyszą. Nieruchomy księżyc, chmury dryfują. Cienie tańczą i grożą i znikają. Zwierzęta walczą i hałasują i szukają jedzenia. Zwierzęta się ukrywają. Żyjący Las.

Idziemy, rozmawiamy. Lilly chce porozmawiać o swoich uczuciach o swoich zmartwieniach o swoich lękach. Pozwalam jej. Zachęcam ją. Słucham jej. Choć ślady łez zniknęły z jej delikatnych policzków, przyczyna jej łez jest żywa i w pełni nie zniknęła jeszcze nie. Mówi cicho i z łatwością i bez wahania. Mówi o tym, co czuła, kiedy w przeszłości była porzucana. Przez Ojca i przez Chłopca z Chicago i przez każdego, na kim jej w życiu zależało. Zostawiali ją i nigdy nie dzwonili i nigdy nie napisali listu, nigdy nie pokazali jej, że ją kochają, nigdy nie wracali. Ani razu. Nigdy.

Mówi o opuszczeniu. Jak za każdym razem łamali jej serce. Jak po każdym złamaniu trudniej mu

się było zagoić. Jak po każdym zagojeniu trudniej jej było znowu kochać. Jak za każdym razem nadzieja zamieniała się w pustkę. W samotność i rozpacz.

W nienawiść do samej siebie i pogardę dla samej siebie. Na początku była nadzieja. Zniknęła. Na końcu nie było już nic.

Mówi o moim wpływie na jej życie. Szuka wolności. To wszystko, czego pragnie, wszystko, czego pożąda, wszystko, co ma nadzieję osiągnąć. Wolność. Nie tylko od narkotyków, ale od cyklu kochania i straty, ryzykowania i porażki, powrotu do tego, do czego za każdym razem nie cierpi wracać. Dzisiaj jej się wydawało, że mnie straciła. Potem wydawało jej się, że zaczęła tracić siebie. Czuć zamykającą się bramę Więzienia autodestrukcji. Chciała z tym walczyć, ale nie może walczyć ze wszystkim. Z narkotykami i przeszłością i perspektywą mglistej samotnej przyszłości w izolacji. Zaczęła odczuwać głód.

Głód cracku. Głód pigułek. Głód czegoś, co zabiłoby ból. Rozważała odejście i prawie odeszła. Wyobrażała sobie, jak wychodzi. Miała iść na Dworzec Autokarowy w Minneapolis i wyżebrać pieniądze na bilet powrotny do Chicago. Wyżebrać albo i gorzej. Po dotarciu do Chicago chciała zobaczyć się z Babcią i się z nią pożegnać. Pożegnać się z jedyną Osobą, której kiedykolwiek na niej zależało. Zegnaj.

Są inne drogi do wolności. Zegnaj.

Zatrzymujemy się. Siadamy na ławce, na ławce z rzeźbionego drewna. Przed nami jest jedno z mniejszych Jezior, zamarznęte. Zamarznęta ciemna cicha nieruchoma treść. Siedzimy na ławce i trzymam dłonie Lilly w swoich dłoniach. Ogrzewam je. Mówię, że cieszę się, że nie odeszła. Więcej niż cieszę. Mówię, że gdyby odeszła, tobym za nią poszedł. Znalazłbym ją, nie pozwolę jej pożegnać się ze mną ani z Babcią, ani z życiem. To wszystko, co mamy, i nie można tego zmarnować. Zmarnowaliśmy za dużo ona i ja i tacy jak my. Zmarnowaliśmy stanowczo za dużo. Musimy trzymać się tego, co nam pozostało. Walczyć o to. Troszczyć się. Starać się przetrwać. Starać się pokochać. Poszedłbym za nią. Będę się jej trzymał. Będę o nią walczył. Troszczył się o nią. Starał się przetrwać samego siebie. Starał się przetrwać samego siebie, żeby móc ją kochać. Trzymam jej dłonie w moich. Ogrzewam je.

Wstajemy i zaczynamy iść. Trzymamy się za ręce idziemy jak normalni Ludzie prowadzący normalne życie zakochani. Po prostu idziemy. Szlak prowadzi nas wzdłuż nabrzeża z lodu przez martwe pożółkłe liście na szczyt drewnianej Kładki. Zatrzymujemy się na środku i palimy papierosy. Patrzymy w ciemność patrzymy na wody Bagna. Nie ma nikogo tylko my. Patrzymy w wodę. Trzymamy się za ręce. Nie ma słów. Niepotrzebne.

Kończymy palić zaczynamy wracać do Lasu. Obszar wokół Terenów Kliniki jest nasz i tylko nasz jesteśmy zupełnie sami. Po prostu idziemy. Jak normalni Ludzie. Wchodzimy na trawę pagórka siadamy na zimnej ziemi na szczycie przyglądamy się z góry betonowym i stalowym resztkom naszej przeszłości. Korytarze zbyt jaskrawe zbyt białe Piekielne Korytarze dla niektórych, czyściec dla innych, zbawienie dla nielicznych. Budynki są ciche, imponujące i dobrze oświetlone. Nie chcę wracać. Powrót oznacza wypuszczenie jej dłoni jej ciała jej oczu jej ust jej bladej cery jej włosów długich i czarnych jej włosów długich i czarnych. Powrót oznacza rozstanie. Nie chcę wracać.

Kładziemy się na ziemię trzymając się za ręce nasze nogi splątane. Patrzymy na siebie. Uśmiecha się i ja się uśmiecham. Mówię.

Cieszę się, że zapukałaś w okno.

Ja też.

Szkoda, że nie możemy tego robić codziennie.

Możemy.

Musimy być ostrożni.

Nie złapią nas.

Wiedzą, że coś kombinujemy.

Nie złapią nas.

Jak tam Rodzice?

W porządku.

Jak było z nimi?

Bardzo dobrze.
Rozumiecie się?
Po raz pierwszy w życiu.
Są spokojni?
Bardziej niż się tego spodziewałem.
Co robi twój Tata?
Jest Biznesmenem. Pracuje osiemnaście godzin
dziennie i dużo podróżuje.
Co robi twoja Mama?
Podróżuje z Tata.
Jak długo są małżeństwem?
Dwadzieścia osiem lat.
Kochają się?
Bardzo.
To niewiarygodne.
To prawda.
Chcę ich poznać.
Oni chcą cię poznać.
Powiedziałeś im o mnie?
Tak.
Co powiedziałaś?
Powiedziałem im, że spotkałem Dziewczynę.
Co jeszcze?
Ze jest piękna i że mnie rozumie.
Co jeszcze?
Milczę, uśmiecham się.
Dlaczego się uśmiechasz?
Po prostu.

Co jeszcze im powiedziałaś?

Powiedziałem, że ją kocham.

Uśmiecha się.

Co?

Powiedziałem Rodzicom, że ją kocham.

Uśmiecha się szerzej.

Nie powiedziałaś tego.

Uśmiecham się szerzej.

Powiedziałem.

Powiedziałaś im, że mnie kochasz?

Tak.

Powiedz mi.

Chcesz tego?

Powiedz mi.

Uśmiecham się. Patrzę. Trzymam jej dłoń i moje nogi są splątane z jej nogami. Moje oczy są blizutko jej oczu. Blizutko.

Od przejrzystej wody niebieskiej w ciemności. Nie da się ich zgasić nawet w ciemności nie da się ich zgasić. Patrzę i uśmiecham się i mówię.

Kocham cię.

Uśmiecha się. Wargami, zębami, oczami, drżącą dłonią. Uśmiecha się i mówię to jeszcze raz.

Kocham cię.

Mówię to jeszcze raz.

Kocham cię.

Mówię to jeszcze raz.

Kocham cię.

I to prawda. Kocham ją. Dziewczynę, która powiedziała do mnie cześć, kiedy stałem w kolejce po leki. Dziewczynę uzależnioną od cracku i piguł. Dziewczynę, która chodziła do łóżka za pieniądze i jeździła autostopem za rozłożone nogi. Dziewczynę, która przeszła przez rzeczy, o których nie da się mówić. Dziewczynę, która nie ma nic. Dziewczynę, która nie ma nic oprócz siły i pragnienia wolności. Nic oprócz bijącego serca, które boi się samotności. Nic oprócz otwartych ramion gotowych, żeby mnie przyjąć. Wspierać mnie. Towarzyszyć mi. Kochać mnie. Kocham ją. Lilly. Dziewczynę, która nie ma nic i ma wszystko. Lilly. Kocham ją.

Pojawia się łza. Lilly się uśmiecha. Nachyla się całuje mnie w usta delikatnie całuje mnie i kiedy nasze wargi stykają się ledwie się stykają szepcze.

Ja też cię kocham, James.

Nasze wargi ledwie się stykają szepcze.

Kocham cię.

Szepcze.

Kocham cię.

Leżymy razem. Uśmiechamy się i przywieramy do siebie i do nocy i chwili. Patrzymy sobie w oczy i delikatnie całujemy się i mówimy więcej ruchami warg i koniuszkami palców niż słowa pozwalają nam wyrazić. Słowa nie potrafią tego wyrazić. Jeden wyraz miłość znaczy za mało w stosunku do tego. Znaczy wszystko i to ciągle za mało. Nie wyraża

nawet cząstki obecnych tu uczuć. Miłość. Ten wyraz to za mało w stosunku do tego. Miłość. Miłość.

Słońce wschodzi. Za nami pojawia się światło cienkie białe i żółte i różowe promienie. Nie chcę wracać. Mógłbym tu leżeć i umrzeć szczęśliwy. Mógłbym umrzeć w tej miłości szczęśliwy, nie potrzebuję niczego więcej. Nie chcę wracać. Wiem, po tym jak Lilly przytula mnie mocniej, z każdą chwilą troszkę mocniej, że ona też nie chce wracać. Nie mamy wyjścia. Musimy wrócić.

Odsuwam się i mówię musimy wracać i mówi, że wie, i całujemy się ostatni raz powoli i mocno zegar tyka. Wyplątujemy się z siebie i to zajmuje sekundę i wieczność i wstajemy. Trzymam jej dłoń w swojej dłoni, zaglądam jej w oczy i patrzę. Nie widzę tego, co zobaczyłem, patrząc w arktyczne oczy w tym finalnym momencie impotencji. Tu nic nie mówi odejdz, nie chcę cię. W oczach Lilly, jej pięknych przejrzystych jak woda oczach jest to, czego szukałem i czego nigdy nie znalazłem, pragnąłem i nigdy nie miałem, na co liczyłem i czego nigdy nie dostałem. Miłość.

Robię krok w tył i odsuwam się. Nasze oczy są nadal złączone, nasze dłonie nadal stykają się. Robię kolejny krok. Nasze palce stykają się, jeden palec z każdej dłoni. Uśmiecham się jeszcze raz i mówię. Nigdy.

Uśmiecha się.

Przypomnij to sobie, kiedy będziesz się bała albo czuła się bezbronna, albo będziesz miała poczucie, że nic się już nie ułoży. Uśmiecha się szerzej.

Nigdy.

Jeszcze jeden krok i odsuwam się nasze palce rozłączone.

Odwracam się i zaczynam schodzić ze wzgórza. Chcę się odwrócić, ale jeżeli to zrobię, będę się musiał zatrzymać. Wiem, że już czas wrócić. Moje rany jeszcze się nie zagoiły i muszą się zagoić. Jeżeli mam przetrwać, żeby móc żyć, móc kochać zupełnie, potrzebuję jeszcze czasu, trochę więcej czasu. Jeżeli się odwrócę, to wrócę.

Do niej, jej ramion, ich bezpieczeństwa i wygody. Jeszcze nie czas. Jeszcze nie.

Schodzę ze wzgórza. Przecinam szeroką połąć martwej trawy przed Budynkami. Otwieram rozsuwane drzwi i wchodzę na Oddział. Leonard ćwiczy pajacyki na środku Dolnego Poziomu. Ignoruję go. Odwracam się i patrzę przez szybę na wzgórze. Lilly ciągle tam jest. Siedzi na ziemi pali papierosa. Patrzy na mnie. Dym unosi się z dłoni i Lilly ją unosi. Trzyma ją w powietrzu. Widzi mnie. Unoszę dłoń i przyciskam ją do szyby. Trzymam. Patrzymy na siebie jesteśmy za daleko, żeby widzieć cokolwiek oprócz sylwetek. To bez znaczenia.

Opuszczam dłoń. Opuszcza dłoń. Przez chwilę stoję. Słyszę, jak za mną Leonard kończy ćwiczyć

pajacyki. Kiedy przestaje, odsuwam się od okna i odwracam się.

Leonard jest zgięty, stoi z rękami na kolanach. Ma na sobie jaskrawy czerwony dres, a z czoła kapią mu krople potu. Spogląda na mnie i mówi.

Hej, Młody.

Hej, Leonard.

Jak tam twoja Dziewczyna?

Uśmiecham się.

Bardzo dobrze.

Udana noc?

Aha.

Zakochany?

Aha.

Wyznałeś?

Aha.

Uśmiech. Duży i szeroki.

No to pięknie.

Uśmiecham się jeszcze raz. Duży i szeroki.

Aha.

Zabiera dłonie z kolan, wstaje.

Jak ci się układa z Rodzicami?

W porządku.

Wszystko gra?

Tak jest.

Uśmiecha się.

Dobrze, bo pożałujesz, jak coś z nimi spierdolisz. Rodzina to najważniejsza rzecz, jaką

można mieć.

Zrozumiałem.

Młody, jestem z ciebie dumny. Wygląda na to, że robisz wszystko to, co trzeba.

Staram się.

Trzymaj tak dalej i może nie będę musiał już na ciebie uważać.

Nie wiedziałem, że prosiłem, żebyś na mnie uważał.

Nieważne, czy prosiłeś. Ważne, że to robię, czy ci się to podoba, czy nie.

Śmieję się.

Idę pod prysznic, przygotować się na kolejny dzień. Spotkajmy się tu za dwadzieścia minut. Napijemy się kawy i zjemy śniadanie.

Dobra.

Odchodzi. Idę do pokoju. Otwieram drzwi Milesa nie ma ani jego klarnetu ani egzemplarza *Tao*. Rozbieram się idę do Łazienki odkręcam kran wchodzę pod prysznic myję się. Woda jest gorąca, ale nie za gorąca. Jest dobra. Jest w sam raz.

Zakręcam kran wychodzę spod prysznic idę do umywalki myję zęby i golę się. Oglądam bliznę, gdzie kiedyś była dziura. Jest różowa, jaśniejsza od reszty skóry, goi się. Oglądam nos, na czubku jest niewielka wypukłość, zagoił się. Oglądam skórę dookoła i pod oczami, opuchlizna zniknęła, żółte resztki ran zniknęły. Po spodem są szare pierścienie,

ale to nie są sińce, tylko z niewyspania. Moje oczy się zagoiły. Na zewnątrz.

Zaczynam je oglądać. Białka są białe i poprzecinane różową siatką cienkich naczynek. Docieram wzdłuż naczynek do skraju zieleni. Jest blada jak wyblakła oliwka z porozrzucanymi nielicznymi punkcikami brązu. Zostaję na skraju zieleni, tam się zatrzymuję. Mogę zajrzeć w głąb siebie i nie przeszkadza mi to, co widzę. Niezbyt głęboko. Głębia jest miejscem, gdzie bytuje rzeczywistość. Na skraju są tylko jej przebłyski. Zaczynam podnosić wzrok, wchodzić głębiej, widzieć więcej. Ruch jest coraz trudniejszy i brzeg znika w czerni spowijającej źrenicę. Czern, w której wszystko widać. Dostrzegam przez ułamek sekundy, dostrzegam najgłębszą czerń otoczoną bladą zielenią. Odwracam wzrok.

Wschodzę z Łazienki. Wkładam ubranie i wychodzę z Pokoju. Bobby i mężczyzna, którego znam ale nie wiem skąd, siedzą przy stoliku na Górnym Poziomie. Patrzą na mnie. Ignoruję ich. Robię sobie kawę i wypijam łyk. Jest gorąca, pali mi usta i jest mocna. Czuję ją natychmiast. Sprawia, że zmęczenie po nieprzespanej nocy znika.

Odwracam się. Bobby i mężczyzna ciągle na mnie patrzą. Kiedy ich mijam, mężczyzna mówi.

Nie pamiętasz mnie, co?

Zatrzymuję się i odwracam i patrzę na niego.

Znowu jest ubrany na czarno. Czarne spodnie od dresu z białymi paskami po bokach i czarny T-shirt. Jego włosy są krótkie i brudne i sterczące, na twarzy ma widoczne ślady po trądziku. Jego oczy są zmętniałe i brązowe, a na rękach ma fioletowoczarne blizny.

Nie pamiętam.

Powiedziałem ci, żebyś mnie zapamiętał, trochę szkoda, że ci się nie udało.

Przykro mi.

Słyszałem, że jesteś z Lilly.

Gdzie to słyszałeś?

Czy to ważne?

Nie.

To się nie pytaj.

Skąd mam cię niby znać?

Spotkaliśmy się parę tygodni temu.

Parę tygodni temu byłem tutaj.

Ja też.

Podchodzę, przyglądam się mężczyźnie, sięgam pamięcią. Choć jest mglista i niepewna, przypominam sobie. Pamiętam, jak oglądałem telewizję. Pamiętam, jak włókł mnie po podłodze. Pamiętam, jak szeptał mi do ucha. Pamiętam, jak mówił, że może mi zrobić krzywdę. Byłem nafaszerowany lekami i bezbronny. Mógł mi zrobić krzywdę.

Teraz pamiętam.

Uśmiecha się.

Grzeczny Chłopiec.

Nie mów tak do mnie.

A jak będę mówił, to coś mi zrobisz?

Może.

Po tym, co mi zrobiłeś ostatnio, już się boję.

Podchodzę.

To spróbuj teraz.

Uśmiecha się.

Nie przyszedłem się z tobą bić.

To czego chcesz?

Opowiedzieć ci o Lilly.

Co chcesz mi o niej opowiedzieć?

Są rzeczy, o których powinieneś wiedzieć.

Co takiego?

Nachyla się i uśmiecha i zapala papierosa. Stoję i czekam. Bobby patrzy na mnie i uśmiecha się jak dusiciel, którego ręce znalazły szyję. Wyczuwam czyjaś obecność i spoglądam w bok i widzę Leonarda stojącego parę stóp ode mnie. Choć nie słyszał rozmowy, widzę po jego twarzy, że wie, że stanie się coś nieprzyjemnego. Mężczyzna spogląda na mnie i mówi.

Znam Lilly z Domu. Uganiała się za moim najlepszym Kumplem, a on ją wypożyczał. Przyprawiał ją na imprezy i upijał do nieprzytomności i wsadzał ją do pokoju i pozwalał koleśiom pierdolić ją za narkotyki. Uwielbiała to, bo

dostawała crack za friko i garść pigułek i noc pełną kutasów, które, jak zapewne zdążyłeś się już zorientować, kocha ponad wszystko.

Patrzy na mnie. Śmieje się.

Sam ją parę razy przeleciałem. Ma niezłe kompaktowe ciało i te swoje duże grube usta, a wie, jak zrobić z nich użytek, i pozwoli ci na wszystko. Jej Chłopak, mój Kumpel, miał krótkie spięcie z Dilerem. Można by powiedzieć, że naruszył linię kredytową. Diler zgodził się mu odpuścić w zamian za Lilly i mój Kumpel w to wszedł. Miał ją w dupie, pewnie dlatego, że trudno szanować kurwę, więc nie mówiąc jej po co, zabrał ją do Domu Dilera. Kiedy przyjechali, ujarła się crackiem i wzięła parę valium i kompletnie się rozjechała. Wtedy pojawili się kumple Dilera.

Bobby się śmieje. Mężczyzna uśmiecha się i zaciąga papierosem i patrzy na mnie i wytrzymuję spojrzenie. Czuję nadciągającą Furię, w odróżnieniu od większości wypadków nie kieruje swojej wściekłości i gniewu i żądzy zniszczenia na mnie, tylko na niego. Czuję to. Furia wzbiera.

Wtedy zaczęło się robić niefajnie. Piętnastu chłopaków ustawiło się w kolejce i położyli Lilly twarzą do podłogi i zaczęli ją pierdolić. Pierdolili ją w usta, pierdolili ją w cipę, pierdolili ją w dupę, pierdolili ją wszędzie i w każdy sposób, jaki możesz sobie wyobrazić. Cała piętnastka ją wyruchała, kilku nawet

po dwa razy, a żaden nie włożył gumki. Spuszczali się jej wszędzie. Na plecy i na brzuch, na włosy i na twarz, w każdą jej pierdoloną dziurę.

Bobby znowu się śmieje.

Jak posuwał ją drugi koleś, próbowała podnieść się i uciec, ale jej nie pozwolili. Przytrzymali ją i śmiali się z niej i pierdolili ją. Jeden po drugim po trzecim, a ona nie mogła nic na to poradzić, a kiedy już skończyli, a ona wrzeszczała i płakała i kompletnie ją pojebało, chciała zebrać ubranie, ale go jej nie oddali. Zamiast tego dostała torbę na śmieci, jedną z tych dużych czarnych plastikowych toreb, i po bokach wycięli dwie dziury na ręce i zmusili ją, żeby ją włożyła. Potem Diler otworzył drzwi i złapał ją za włosy i wyrzucił ją jak torbę jebanych śmieci.

Bobby śmieje się głośniej, uderza dłonią w stół. Mężczyzna spogląda na niego i uśmiecha się, spogląda znowu na mnie.

Z tego, co wiem, przyjechała tu zaraz po tym. Wskoczyła do samochodu z tą swoją szurniętą starą Babką i przyjechała tu tak szybciotko jak się kurwa dało. Chyba spotkała cię parę dni później. Na twoim miejscu byłbym ostrożny. Ta Dziewczyna ma w sobie sporo groźnego gówna i nawet jeżeli jeszcze ci tego nie zrobiła, to pewnie zarazi cię czymś takim, że ci fiut odpadnie.

Mężczyzna uśmiecha się do mnie. Gasi papierosa w popielniczce. Słyszę śmiech Bobby'ego i

kątem oka widzę, jak podnosi rękę. Mężczyzna chichocze i przybija z nim piątkę jakby w podzięcie za swoją opowieść. Zaciskam szczękę. Patrzę na mężczyznę. Furia wezbrała. Jest u szczytu potęgi chcę zabijać zabijać zabijać. Nie obchodzi mnie, że Lilly zrobiła to, co zrobiła. Nie ja będę ją osądzał za grzechy, jeżeli takowe posiada. Obchodzi mnie to, że ten mężczyzna ją zhańbił. Nie jej ciało, tylko jej imię. Obchodzi mnie, że opowiadał o niej, jakby była sztuką mięsa, jakby była czymś mniej niż człowiekiem, jakby była czymś, co on i jemu podobni mogą poniżyć i upokarzać. Furia jest u szczytu potęgi. Chcę zabijać zabijać zabijać. Podchodzę.

Po co mi to opowiedziałeś?

Bo miałem na to ochotę.

Bo miałeś na to ochotę?

No.

Lilly miała koszmarne pojebane życie. Nie potrzebuje, żebyś teraz jeszcze wieształ na niej psy.

Będziesz mi teraz odpierdalał z Wykładem?

Poczułeś się lepiej po tej opowiadstce?

Co?

Poczułeś się bardziej męsko, jakbyś miał nade mną albo nad nią jakąś władzę?

Spierdalaj.

Poczułeś, że czymś się od niej różnisz, chociaż wiesz, że tak nie jest, czy zrobiło ci się dobrze, choć

w głębi duszy czujesz się jak kupa gówna?

Spierdalaj.

Tak było?

Spierdalaj.

Podchodzę.

Ostatnim razem darowałeś mi. Tym razem ja ci daruję. Ale jak jeszcze raz coś o niej powiesz, znajdę cię i cię kurwa zniszczę. Grozisz mi?

Ostrzegam.

Ale się boję.

Spróbuj jeszcze raz.

Pierdolę cię i tę twoją pierdoloną kurwę. Pierdolę was oboje. Bobby się śmieje. Mężczyzna patrzy na mnie i wytrzymuję spojrzenie. Wypuszczam z dłoni kubek z kawą uderza w podłogę odwraca jego uwagę i kiedy tylko nie patrzy rzucam się na niego. Łapię go za włosy i wyginam mu głowę do tyłu i wciskam mu kciuk w szyję tuż pod grdyką. Naciskam mocno. Ciało jest miękkie i kciuk wchodzi głęboko i zaczyna się dusić, charczeć, tracić oddech, cierpieć. Kątem oka widzę jak Bobby podnosi się z krzesła i zbliża się widzę jak Leonard podchodzi i odpycha go i słyszę coś nie wiem co słyszę. Leonard coś mówi i Bobby od razu się zatrzymuje. Widzę jak Leonard nachyla się do Bobby ego i widzę jak jego usta się ruszają więcej słów których nie słyszę. Bobby siada.

Naciskam. Miękkie ciało. Patrę mężczyźnie w

oczy. Czekam, aż zrozumie, że mogę go zabić. Charczy. Dusi się. Traci oddech. Cierpi. Jest bezbronny. On to wie i ja to wiem. Jego życie jest w moich rękach. Patrzę mu w oczy. Mówię.

Jeżeli jeszcze raz coś o niej powiesz, zabiję cię.

Naciskam mocniej.

Zabiję cię, kurwa.

Naciskam mocniej.

Zabiję cię, kurwa.

Wpuszczam go. Odsuwam się. Mężczyzna zaczyna kaszleć. Chwyta się za gardło. Oddycha i wciąga tyle powietrza, ile może, tak szybko, jak potrafi. Krztusi się, charczy, pluje. Mogłem go zabić. Chciałem go zabić. Robię dwa kroki w stronę Bobby'ego, który siedzi na krześle. Jest blady, biały, szary, chory, jakby Kostucha powiedziała mu, że zbliża się koniec. Pluję mu w twarz. Czekam na reakcję, ale nie ma reakcji. Tylko patrzy przed siebie. Nie wiem, co powiedział mu Leonard, ale wiem, że więcej już się nie odezwie. Żaden z nich więcej już się nie odezwie.

Wschodzę z Oddziału i idę Korytarzem. Trzęsę się z wściekłości i ze spóźnionego strachu. Trzęsę się z przerażenia i z resztek przyływu przemocy. Trzęsę się z adrenaliny. Trzęsę się z Furii, jakiej nigdy wcześniej nie czułem. Furia wezbrała, żeby obronić kogoś, kogo kocham. Silniejsza niż kiedykolwiek.

Chcę drzwi. Widzę drzwi. Uderzam w drzwi i

wychodzę przez drzwi. Zimny szary poranek. Wilgotne ciężkie powietrze. Zaciskam szczękę pięść mięśnie klatki piersiowej. Zaciskam wszystko mocno. Oddycham przez nos tak głęboko, jak potrafię. Wilgotne ciężkie powietrze. Czuję, jak wsiąka mi w komórki, czuję, jak komórki je wsysają. Czuję, jak komórki mnie wsysają.

Drzwi otwierają się i wychodzi Leonard. Nie mówi ani słowa, tylko pozwala mi oddychać. Oddychanie opróżnia mnie i potrzeba zaciskania przechodzi. Furia przechodzi. Zrobiłem to, co mogłem, co było według mnie w porządku. Przemoc była niefortunna, ale niefortunne było niezbędne. Czasami łby są twarde. Czasami serca są puste. Czasami słowa są nieskuteczne. Przemoc była niezbędna. Biorę ostatni oddech końcowy najgłębszy i wypuszczam powietrze. Patrzę na Leonarda, mówi.

W porządku?

No.

Wiesz, że to, co mówili, nie ma znaczenia.

Wiem.

I wiesz, że to pewnie nieprawda.

To jest prawda. Wiem, że to prawda.

Skąd to wiesz?

Po prostu wiem.

To i tak się nie liczy.

Wiem.

Liczy się tylko, że ją kochasz.

No.

Nie zapominaj o tym, Młody. Miłość to wszystko, co się liczy. Przytakuje.

No.

Kładzie mi dłoń na ramieniu.

Jestem z ciebie dumny za to, co zrobiłeś.

No chyba.

Dałeś mu szansę, a potem go puściłeś. To są dwie rzeczy, których ja nigdy nie robię. Dałeś mu również do myślenia z niespotykaną kurwa precyzją.

Chichoczę.

Co powiedziałaś Bobby'emu?

Powiedziałem mu, jak się nazywam. Imię i nazwisko.

Śmieję się.

To wszystko?

Leonard przytakuje.

To bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje, ale tak, to wszystko. Dzięki za wsparcie.

Zawsze do usług.

Jestem twoim dłużnikiem.

Nie jesteś.

Jestem.

Kręci głową.

Nie jesteś.

Pokazuję na drzwi.

Chodźmy na śniadanie.

Wracamy do środka, idziemy przez Korytarze.

Szukam Lilly nie ma jej. Ustawiamy się w kolejce talerz jajek i fasoli spotykamy przyjaciół. Słyszeli o starciu, nie chcę o tym rozmawiać. Rozmawiamy o wyjściu Eda. Ted jest bliski łez. Zapisujemy na kartce nazwiska i adresy i numery telefonów. Tylko Miles i Leonard mają coś stałego. Reszta wpisuje, co może, i liczy na to, że się uda. Mamy nadzieję, że Ed pociągnie na tyle długo, żeby zadzwonić. Życzymy mu powodzenia. Mówimy, że wszystko się ułoży.

Kończymy. Wypatrywałem Lilly, ale nie przyszła. Przyjaciele idą na Wykład, ja idę do Gabinetu Joannę. Drzwi są niedomknięte, więc słyszę głosy. Wchodzę, moi Rodzice są na kanapie, wstają, żeby się ze mną przywitać. Obejmujemy się i siadamy. Witam się z Joannę, a ona mówi.

Nastąpiła zmiana planu.

Jaka?

Ojciec mówi.

Musimy wcześniej wyjechać.

Dlaczego?

Sytuacja awaryjna w pracy.

To co wczoraj?

Tak.

Odwracam na chwilę wzrok i Furia szaleje. Tak jak przez całe życie, praca Ojca jest zawsze najważniejsza. Patrząc w ścianę białą ścianę nie podoba mi się ale nie mogę jej zmienić. Biała ściana. Tak samo nie mogę zmienić Ojca ani jego podejścia

zawsze robił co mógł dla nas wszystkich. Mnie i mojego Brata i mojej Matki. Zawsze robił, co mógł, i dał nam bardzo wiele. Jest taki, jaki jest, robi to, co robi.

Nie mogę tego zmienić i po wszystkim, co od nich dostałem, wszystkim, co mi wybaczyli, mogę mu to wybaczyć i pogodzić się z ich wcześniejszym wyjazdem. Matka mówi.

Przykro nam, James.

Mamo, niepotrzebnie.

Chcieliśmy zostać do końca.

Cieszę się, że mam Rodziców, którzy w ogóle chcieli przyjechać. Uśmiecha się. To niepewny uśmiech, czekający na potwierdzenie. Na pewno?

Przytakuję.

Spróbujmy zrobić, co się da, w czasie, który nam pozostał.

Joannę mówi.

W normalnym trybie nie wchodzilibyśmy w to już teraz, ale Rodzice i ja chcielibyśmy porozmawiać z tobą o przyszłości.

Jest świetlana.

Czy to żart?

I tak i nie.

Dlaczego tak?

Bo idę do Więzienia.

Tego jeszcze nie wiemy na pewno, ale w porządku. A dlaczego nie? Bo zaczynam od nowa i

jestem wdzięczny za tę szansę.

Co będziesz robił, kiedy stąd wyjdiesz?

Pójdę i odsiedzę swoje i będę się trzymał z boku. Spróbuję przetrwać i pozostać człowiekiem. W^jdę i znajdę sobie pracę i zobaczymy, co się stanie.

Jak masz zamiar pozostać abstynentem?

Będę zamknięty i bez pieniędzy. To nie powinno być takie trudne. W Więzieniu można dostać narkotyki.

Być może, ale ja nie chcę.

Myślisz, że to będzie takie proste?

Myślę, że będę miał większe zmartwienia niż abstynencję.

Joannę mówi.

A jeżeli nie pójdziesz do Więzienia?

Pojadę do Chicago i poszukam pracy i spróbuję być szczęśliwy.

A co z Ośrodkiem Resocjalizacji?

Nie.

Dlaczego?

Już o tym rozmawialiśmy.

Joannę patrzy na moich Rodziców. Rodzice wymieniają spojrzenia. Ojciec mówi.

Nie wydaje ci się, że takie otoczenie mogłoby ci wyjść na dobre? Nie wierzę w Siłę Wyższą ani w Dwanaście Kroków, ani nic z tych rzeczy, a tego właśnie uczą w Ośrodkach Resocjalizacji. To będzie dla mnie strata czasu.

Matka mówi.

Jeżeli w to nie wierzysz, to w jaki sposób wytrzymasz bez brania?

Za każdym razem, kiedy będę chciał się napić albo przyćpać, będę podejmował decyzję, żeby tego nie robić. Będę ją podejmował tak często, aż w pewnej chwili to już nie będzie decyzja, tylko ideologia. A jeżeli nie będziesz w stanie?

Kiedy tylko stąd wyjdę, mam zamiar znaleźć sposób, żeby się przetestować, albo w obecności alkoholu, albo narkotyków, albo jednego i drugiego, żeby się upewnić, że będę w stanie.

Joannę bierze głęboki oddech, kręci głową.

Próbowałam zniechęcić Jamesa to tego pomysłu. To niesłychanie ryzykowny plan i prawdopodobieństwo nawrotu jest astronomiczne. Stawka jest zdecydowanie za wysoka.

Ojciec mówi.

James, mnie również nie podoba się ten pomysł.

Matka mówi.

Ani mnie.

Bez urazy dla nikogo z tu obecnych, ale to wyłącznie moja decyzja. Ojciec mówi.

A co jeżeli znowu zaczniesz brać?

Nie zacznę.

A jeśli zaczniesz?

Nie zacznę.

Dlaczego jesteś tego taki pewien?

Po prostu w to wierzę, to wszystko, i nie mam zamiaru zmarnować reszty czasu, jaki nam teraz pozostał, na próby przekonania was o tym. Cokolwiek przyniesie przyszłość, to się stanie i wtedy będę się tym martwił. Przejdźmy do kolejnego tematu.

Matka patrzy na Ojca, Ojciec patrzy na Joannę. Ojciec przytakuje, Joannę mówi.

Porozmawiajmy o waszej relacji.

Patrzę na Rodziców, oni patrzą na mnie.

Jakie są wasze odczucia?

Ojciec mówi.

Bardzo pozytywne.

Matka mówi.

Jest znacznie lepiej.

Mówię.

Niewiele nam brakuje.

Joannę uśmiecha się. To szeroki szczerzy uśmiech. Patrzy na mojego Ojca.

Dlaczego?

Mam poczucie, że od dawna już nie znałem Jamesa, jeżeli w ogóle go kiedyś znałem. To było bardzo trudne bycie Ojcem dla Syna, który był w sumie zupełnie Obcy. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego jest taki, jaki był, ani dlaczego ma te wszystkie problemy, które miał. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego nie dopuszcza swojej Matki ani mnie do swojego życia i dlaczego wydaje się

żywić w stosunku do nas tak silny gniew. Dla mnie najlepszą częścią tego doświadczenia jest poczucie, że odzyskałem Syna, dowiedziałem się, kim jest i dlaczego taki jest, I mogę spróbować pogodzić się z naszą przeszłością i jego przeszłością. Mam nadzieję, że przeszłość mamy już za sobą.

Joannę przytakuje, spogląda na moją Matkę. Matka się uśmiecha. Czuję, że tak samo jak Bob nie znałam Jamesa, i chociaż dowiadywanie się tych rzeczy o nim i o tym, co robił, nie było łatwe, cieszę się, że przynajmniej o tym wiemy. Od kiedy tu jest, wydaje się również mniej drażliwy. Nawet w ciągu ostatnich kilku dni zdawał się być mniej rozgniewany. Zawsze było nam ciężko radzić sobie z jego gniewem, mieć poczucie, że żywi do nas jakąś urazę, ale nie wiedzieć dlaczego. Czuję, że teraz jest między nami więź, jakbyśmy naprawdę byli Rodziną, i od bardzo dawna tego nie czułam.

Jej oczy wypełniają się łzami. Patrzy na mnie.

James, jestem z ciebie dumna. Chcę, żebyś żył i był szczęśliwy, i to wszystko. Jakkolwiek będziesz chciał to osiągnąć, po prostu żyj i spróbuj być szczęśliwy.

Dziękuję, Mamo.

Joannę patrzy na mnie.

James.

Biorę głęboki oddech.

Nie chciałem, żebyście tu przyjeżdżali. Nie

chciałem, żebyście mnie oglądali w stanie, w jakim byłem i jestem, bo w pewnym sensie wstydę się tego, że tu jestem. Wiem, że zawsze sprawiałem wam zawód. Chyba zawsze ukrywałem przed wami różne sprawy, bo wiedziałem, że gdybyście o nich wiedzieli, byłoby wam przykro. Wiedziałem, że to, co robię, jest złe, a gdybyście wiedzieli, próbowalibyście mnie zmienić, a ja nie chciałem się zmieniać.

Dobrze było wam to wszystko opowiedzieć. W trakcie waszego pobytu tutaj byliście pod każdym względem niesłuchanie opanowani. Spodziewałem się wrzasków i krzyków i Wykładów i myślałem, że spróbujecie narzucić mi mnóstwo Reguł, na co nie mógłbym się zgodzić. Cieszę się, że nie było nic takiego, i cieszę się, że przyjechaliście.

Rodzice się uśmiechają. Joannę się uśmiecha.

Jak wyobrażasz sobie waszą relację w przyszłości?

Mówię.

Według mnie ważne jest to, żeby Rodzice dali mi wolną rękę. Nie chodzi o to, że nie chcę ich w swoim życiu, bo chcę, ale chciałbym, żeby moje życie należało do mnie, i muszę być całkowicie odpowiedzialny za to, jakie jest i jakie będzie.

Patrzę na Rodziców.

Nie będę przed wami niczego ukrywał, ale jeżeli powiem, że nie chcę o czymś rozmawiać, zostawcie

temat w spokoju. Kiedy popełnię błąd, nie chcę słyszeć na ten temat Wykładu. Nie chcę, żebyście dawali mi jakieś pieniądze. Chcę sam na siebie zarabiać, tak jak potrafię, i żyć na takim poziomie, na jaki mnie będzie stać. Ostatnia sprawa i najważniejsza. Jeżeli zacznę brać, nie możecie mnie znowu ratować. To jest moja ostatnia szansa. Tak właśnie musi być, bo jeżeli będę miał świadomość, że jest jakieś zabezpieczenie, to z niego skorzystam. Jeżeli będę wiedział, że go nie ma, decyzje, które trzeba podjąć, staną się dla mnie łatwiejsze, bo będę wiedział, że jeżeli podejmę niewłaściwą, nie ma dla mnie powrotu.

Rodzice patrzą na mnie. Joannę patrzy na mnie. Ojciec mówi. Pozostawienie cię samemu sobie może być dla nas trudne, ponieważ dopiero co zacząłeś do nas wracać. Jednak wydaje mi się, że możemy spróbować. Ważne, żebyś zdefiniował, na czym według ciebie polega to, że mamy dać ci wolną rękę. Jeżeli oznacza to, że mamy z tobą nie rozmawiać ani nie utrzymywać z tobą kontaktu, mnie się to nie podoba. Jeżeli to oznacza rozmowy i szczerłość w życiowych sprawach, a jednocześnie nieosądzanie i możliwość nauki na własnych błędach, to według mnie dobry pomysł. Nie chcesz już od nas więcej pieniędzy, zgoda, ale perspektywa, że mamy ci nie pomagać, jeżeli noga ci się powinie, mnie niepokoi. Nauczyliśmy się tutaj, że większości ludzi zdarzają

się potknięcia i zaczynają znowu brać, i nie podoba mi się perspektywa, że mamy ci nie pomagać, jeżeli to się stanie. Chcemy, żeby twoje życie było udane. Nawet gdybyś musiał pójść do pięćdziesięciu takich miejsc, żeby tak się stało.

Matka mówi.

Nie chcę, żebyś coś przed nami ukrywał ani myślał, że nie możesz się z nami dzielić różnymi sprawami. Twój Ojciec i ja chcemy dla ciebie jak najlepiej i chcemy, żebyś był szczęśliwy, i zrobimy wszystko, co tylko trzeba, żeby tak się stało. Chciałabym być tylko częścią twojego życia i żebyś ty też nas do niego włączył. Powiem ci tylko, że jeżeli rzeczywiście zaczniesz znowu brać, będę nadal starała ci się pomóc. Tak jak powiedział twój Ojciec, jeżeli będziesz musiał tu przyjechać pięćdziesiąt razy, nie ma sprawy. Ja też tu przyjadę pięćdziesiąt razy.

Joannę mówi.

Jakie są twoje plany po Więzieniu, kiedy będziesz już wolny?

Pojadę do Chicago. Poszukam sobie pracy. Spróbuję przetrwać i być szczęśliwy. To wszystko, czego pragnę, przetrwać i być szczęśliwy.

Ojciec mówi.

Dlaczego do Chicago?

Pokazuję na Joannę.

Nie wiem, czy mogę o tym przy niej mówić.

Joannę się śmieje.

Nie ma sprawy, mało jest Reguł, których jeszcze nie złamaliśmy. Uśmiecham się.

Wybieram się do Chicago, bo Lilly, dziewczyna, o której wam opowiadałem, będzie w Chicago. Chcę z nią być.

Joannę kręci głową.

Czy mogę coś powiedzieć?

Kręcę głową.

Nie.

Ojciec mówi.

Co ona będzie robić w Chicago?

Idzie do Ośrodka Resocjalizacji.

Matka mówi.

Nie chciałbyś pójść tam z nią?

Nie.

Ojciec mówi.

A co zrobi, jeżeli pójdziesz do Więzienia?

Jeszcze z nią o tym nie rozmawiałem, ale mam nadzieję, że ta osoba, która wyjdzie pierwsza, znajdzie dla nas jakieś lokum.

Joannę mówi.

I co potem?

Będziemy razem mieszkać i sobie pomagać. Będziemy wspierać się nawzajem tak, jak się tylko da.

Matka mówi.

Brzmi nieźle.

Myślę, że tak właśnie będzie.

Weźmiecie ślub?

Mamo, wybiegasz teraz trochę za bardzo do przodu.

Uśmiecha się i śmieje się, a Ojciec ściska jej dłoń. Joannę uśmiecha się, choć widzę, że próbuje się opanować. Spogląda na zegarek, mówi. Chyba już czas.

Ojciec spogląda na zegarek, przytakuje.

Na to wygląda.

Wstaje, Matka też wstaje. Ojciec spogląda na Joannę.

Zanim pojedziemy, chciałbym podziękować. Bez ciebie to doświadczenie nie byłoby takie, jakie było, i my, jako Rodzina, jesteśmy twoimi dłużnikami. Proszę mówić, jeżeli możemy się jakoś zreważować.

Joannę się uśmiecha.

Po tym, co widziałam parę dni temu, fakt, że w ogóle tu dzisiaj jesteście, wystarczy mi za wszystkie podziękowania.

Matka mówi. Jej oczy zaczynają łzawić.

Dziękuję, Joannę.

Nie ma sprawy, Lynne.

Matka obchodzi biurko i Joannę wstaje. Obejmują się mocno i szczerze, tak jak tylko kobiety potrafią się obejmować. Nie ma pomiędzy nimi niepewności i nie ma dystansu. Emocjonalnego dystansu, fizycznego dystansu, żadnego dystansu.

Odsuwają się, a mój Ojciec ściska dłoń Joannę i

jeszcze raz jej dziękuje i ja jej dziękuję i idę z Rodzicami do Pokoju w Ośrodku Rodzinnym, gdzie nocowali. Bierzemy ich torby i płaszcze. Przechodzimy Korytarzami do Głównego Wejścia do Kliniki. Wychodzimy, czeka Samochód. Długi czarny Samochód z czarnymi oknami. Stawiamy torby. Ojciec mówi.

To było wspaniałe przeżycie. Jestem z ciebie bardzo dumny, że tu jesteś i starasz się z całych sił. Chociaż jest dużo problemów do rozwiązania, mam przeczucie, że wszystko będzie dobrze. Zadzwoń do nas, kiedy dowiesz się czegoś od Prawnika, i zadzwoń do nas, jeżeli będziesz czegoś potrzebował albo będziemy mogli ci jakoś pomóc, i zadzwoń do nas, żeby pogadać i opowiedzieć, jak ci się powodzi. Dobrze.

Kocham cię, James.

Ja też cię kocham, Tato.

W kąciuku oka mojego Ojca pojawia się łza. Nie wyciera jej i spływa mu po policzku. Podchodzi i obejmuje mnie, a ja obejmuję jego. Jest niezręcznie i jest Furia, ale ignoruję jedno i drugie.

Odsuwamy się od siebie i Matka podchodzi. Jej oczy znowu są pełne łez kiedyś znosiłem, kiedy płakała, teraz już nie. Czuje i płacze. To godne podziwu. Obejmuje mnie i ja ją obejmuję. Przytulamy się, przytula mnie jak swoje Dziecko. Już nim nie jestem, ale nadal jestem.

Przytulamy się i zmagam się z Furią. Nie może mnie teraz pokonać ani nade mną zapanować. Matka przytula mnie tak, żebym poczuł, że mi wybacza i że życzy mi szczęśliwego życia. Przytulam ją tak, żeby poczuła, że próbuję się zmienić i próbuję być silniejszy od swojej wściekłości. Staramy się wybaczyć.

Odsuwamy się i patrzy na mnie i chce coś powiedzieć, ale nie potrafi. Ojciec otwiera drzwi Samochodu, a ona podchodzi i siada na czarnym skórzanym siedzeniu. Płacze i uśmiecha się. Podnosi dłoń na do widzenia. Podnoszę dłoń.

Ojciec, który stoi obok drzwi, patrzy na mnie i mówi.

Tak trzymać.

Tak jest.

Wsiada do samochodu obok Matki i zamyka drzwi. Samochód rusza otoczoną lasem drogą, która prowadzi do Kliniki. Nie widzę przez przyciemniane szyby, ale wiem, że Rodzice patrzą na mnie, i stoję i patrzę na nich. Jesteśmy Rodziną, która się żegna. Na razie żegnaj. Kiedy Samochód znika z pola widzenia i moich Rodziców już nie ma, odwracam się i wchodzę do Kliniki. Jest pora lunchu, więc idę do Stołówki. Biorę tacę i talerz pizzy na francuskim cieście i szklankę czerwonego owocowego kompotu i widzę w kącie przyjaciół. Przysiadam się do nich.

Rozmawiają o walkach. Mojej porannej walce i

Mistrzostwach Wagi Ciężkiej, które są za kilka dni. Pytają, co się stało rano, mówię, że to nie była tak naprawdę walka, tylko dyskusja się trochę zaogniła. Leonard się śmieje. Pytają, co powiedział mężczyzna, a ja mówię, że nie chcę o tym rozmawiać. Pytają, czy zamierzam go znowu zaatakować, a ja mówię, że mam nadzieję, że sprawa rozejdzie się po kościach.

Rozmawiamy o prawdziwej walce. Leonard i Matty wiedzą o niej najwięcej, więc to oni przede wszystkim opowiadają. Matty'emu podoba się mniejszy Bokser Wagi Ciężkiej, który i tak jest bardzo dużym mężczyzną, Leonardowi podoba się większy Bokser Wagi Ciężkiej, który jest potężny. Mężczyźni walczyli już ze sobą dwa razy, za każdym razem wygrał inny, i nie lubią się ani nie szanują i każdy obiecał tym razem nokaut. Chcemy zobaczyć ten pojedynek.

Wszyscy chcemy go zobaczyć. Chcemy go zobaczyć, bo lubimy sport i lubimy boks, bo we wszystkich gazetach i programach sportowych jest o nim mowa, bo to jest coś, o czym można później podyskutować, a przede wszystkim chcemy go zobaczyć, bo pozwoli nam choćby na parę godzin poczuć się normalnie.

Wszystko, co przypomina normę, jest tutaj w cenie. Telefon jest wiecznie zajęty, bo mężczyźni chcą mieć kontakt z normalnym Światem zewnętrznym. Na listy czeka się i otwiera je z

niecierpliwością, bo oznaczają fizyczny kontakt z tym Światem. Ogląda się telewizję i obsesyjnie czyta gazety, bo dają nam obrazy, kartkuje się czasopisma, aż strony się rozsypują. Nasze Prace, jakkolwiek głupie i rutynowe by były, pozwalają nam udawać, że jesteśmy choćby przez kilka minut dziennie tacy jak inni ludzie. Dlatego właśnie Prace się wykonuje. Nie dlatego, że ktoś nam każe, jako że większość z nas spędziła całe życie, robiąc wszystko oprócz tego, co nam się kazało, ale dlatego, że dzięki Pracom czujemy się normalni. Normalni ludzie mają Pracę. Przez kilka minut dziennie możemy sobie poudawać.

Wszyscy zaczynaliśmy jako normalni. Wszyscy zaczynaliśmy jako nadające się do użytku istoty ludzkie, mogliśmy robić to, co nam się marzyło, ale gdzieś na ścieżce swojego życia musieliśmy się zgubić. Choć będąc tutaj, w tej Klinice, staramy się odnaleźć drogę powrotną, wszyscy wiemy, że większość nigdy tam nie dotrze. Rzeczy takie jak pojedynki bokserki pozwalają nam oderwać się od naszej rzeczywistości, wyobrazić sobie, jak wygląda normalny Świat i jak żyją w nim normalni ludzie. Faceci umawiają się tam na oglądanie walki z przyjaciółmi. Wybierają miejsce spotkania tak, żeby było gdzie usiąść i żeby był duży telewizor. Przychodzą. Jedzą coś na przekąskę i piją kilka drinków przed rozpoczęciem walki, ale potrafią przestać pić, zanim urwie im się film albo zaczną być

agresywni. Mają swojego faworyta. Potrafią porozmawiać i podyskutować z innymi o jego mocnych i słabych stronach. Są na tyle przytomni, żeby obejrzeć walkę, i wiwatują albo jęczą w zależności od wyniku. Kiedy jest już po wszystkim, idą do Domu i są w stanie iść albo prowadzić, a jeżeli mają szczęście, czeka na nich Zona z pocałunkiem albo śpiące Dziecko, którego trzeba dopilnować, po czym idą do łóżka. Kiedy budzą się następnego dnia, pamiętają poprzedni wieczór, a ich życie toczy się dalej. Ich normalne piękne życie.

Wszyscy tu obecni, mężczyźni i kobiety, Palacze i Alkoholicy i Cpuny, bogaci i biedni i czarni i biali, oddaliby wszystko, co kiedykolwiek mieli, i wszystko, co kiedykolwiek będą mieć, żeby tylko być normalni. Coś takiego jak ten pojedynek bokserski, głupia dziecinna walka, o której szybko się zapomni, daje nam tę możliwość. Chcemy ją zobaczyć. Pragniemy ją zobaczyć. Oddalibyśmy wszystko, żeby ją zobaczyć, ale tutejsza telewizja nie będzie jej transmitować. Potrzebny jest specjalny abonament kablowy i specjalny dekodery. Można takie dostać w Świecie zewnętrznym.

Kończymy jeść. Wstajemy i odkładamy tace. Idziemy na Wykład i siadamy w ostatnim rzędzie. Szukam Lilly nie ma jej. Żałuję, że jej nie ma, bo mógłbym patrzeć na nią, zamiast słuchać Wykładu. Patrzyłbym na nią, a czas by mijał. Ona patrzyłaby na

mnie, a ja czułym miłość, którą czułem wcześniej. W jej ramionach. W jej oczach. W jej słowach. Znowu tego pragnę.

Lekarz w okularach i płóciennych spodniach i białym fartuchu staje przed mównicą i zaczyna mówić. Tematem jest pojęcie uzależnienia krzyżowego. W najprostszym sensie uzależnienie krzyżowe oznacza, że jeżeli jesteś Uzależniony od jednej substancji albo wzorca zachowań, substancji takiej jak heroina albo wzorca zachowań takiego jak hazard, jesteś Uzależniony od wszystkich substancji i wzorców zachowań. Wyleczenie z jednego z tych Uzależnień oznacza potrzebę abstynencji totalnej. Jeżeli weźmiesz jakiś inny narkotyk albo poddasz się innemu wzorcowi zachowania, to istnieje prawdopodobieństwo, że się od niego uzależnisz, jak również to, że wystąpi nawrót pierwotnego uzależnienia. Lekarz mówi o konieczności wypracowania stałej i systematycznej samoświadomości w celu uniknięcia zagrożeń uzależnienia krzyżowego. Mówi, że palenie papierosów i picie kawy jest w porządku, bo to bardziej nawyk niż uzależnienie, ale oprócz tego trzeba uważać na to, co się je, na życie seksualne, trzeba uważać na hazard i na robienie zakupów, uważać na kontakt z ludźmi, którzy mają takie problemy, trzymać się z dala od miejsc, gdzie to się odbywa, być bez przerwy czujnym. Do końca życia.

Bez przerwy czujnym.

Choć sensowne w teorii, to, co mówi ten Lekarz, jest w praktyce zbyt absurdalne, żeby traktować to poważnie. Każdy Idiota, a zwłaszcza Idiota Nałogowiec, wie, że jeżeli ćpasz albo pijesz w okresie abstynencji, nawet jeżeli dany narkotyk czy rodzaj alkoholu nie jest twoim ulubionym, to pewnie się od niego uzależnisz. Każdy Idiota, a zwłaszcza Idiota Nałogowiec, wie, że po przekroczeniu granicy między zażywaniem a nawaleniem się, a potem między nawaleniem się i nałogiem nie można wrócić i zacząć z czymś innym. Twierdzenie, że seks albo jedzenie są groźne i powinny być kontrolowane, jest absurdalne. Twierdzenie, że kupowanie albo wydawanie pieniędzy spowoduje, że zacznę znowu palić kokainę, to jebany kretynizm. Stwierdzenie, że muszę się wystrzegać każdej formy potencjalnego uzależnienia przez cały czas, wszędzie, gdzie pójdę, do końca życia, jest żalosne. Nie będę tak żyć. To kurwa żalosne.

Wykład się kończy i Pacjenci klaszczą. Wstaję i wychodzę za resztą mężczyzn z Auli. Wracamy na Oddział. Kiedy przechodzę koło swojego Pokoju, zauważam na drzwiach karteczkę, na której jest napisane James Zadzwoń Pilnie i numer. Nie rozpoznaję numeru, ale kierunkowy wskazuje, że to miejscowy telefon. Biorę karteczkę i idę do telefonu. Mężczyźni szykują się do Sesji popołudniowej, nie

ma kolejki.

Otwieram drzwi i siadam i wykręcam numer. Dzwoni raz drugi trzeci trzy razy dzwoni. Po czwartym dzwonku odbiera kobieta podaje nazwę Oddziału Lilly. Pytam, czy jest tam Lilly. Kobieta pyta, kto dzwoni, i mówię przyjaciel. Słyszę, jak odkłada słuchawkę. Czekam chwilę dwie upływa jakiś czas. Słyszę, jak słuchawka się rusza ktoś ją podnosi. Słyszę jej głos. Jest zdruzgotana. Zdruzgotana. Co się stało?

Gdzie byłeś?

Na Wykładzie.

Próbowałam do ciebie zadzwonić.

Właśnie odebrałam wiadomość.

Muszę się z tobą spotkać.

Co się stało?

Muszę się z tobą spotkać.

Powiedz, co się stało.

Zaczyna płakać.

Moja Babcia.

Co się stało?

Moja Babcia.

Co z nią?

Rozkleja się i zaczyna szlochać. To przejmujący okropny szloch, taki, który fizycznie boli, który nadchodzi, kiedy serce sobie nie radzi. Widzę ją, jak siedzi w Budce Telefonicznej, oczy zapuchnięte, cała się trzęsie, łzy lecą jej po twarzy.

Muszę się z tobą spotkać.

Co się stało?

Moja Babcia.

Głos jej się łamie.

Moja Babcia umiera.

Co?

Znowu zaczyna płakać.

Muszę się z tobą spotkać.

Teraz nie możemy.

Dlaczego?

Złapią nas.

Muszę się z tobą spotkać.

Poczekajmy, aż się ściemni.

Muszę się z tobą spotkać teraz.

Co jej się stało?

Proszę.

Płacze. Płacze. Wiem, że nie powinienem iść, ale jej płacz boli mnie rujnuje mnie niszczy mnie płacze. Wiem, że mnie potrzebuje. Nie i powinno się liczyć co ani kiedy, ani gdzie jesteśmy, powinna się liczyć tylko ona. Potrzebuje mnie. Obiecałem sobie, że zrobię dla niej wszystko. Płacze i potrzebuje mnie.

Spotkajmy się na Polanie.

Kiedy?

Pójdę, jak tylko się rozłączymy.

Dobrze.

Jeżeli przyjdiesz przede mną, zaczekaj. Będę tak szybko, jak dam radę.

Dobrze.

Wszystko się ułoży.

Nieprawda.

Prawda.

James, ona umiera.

Poradzimy sobie z tym. Wszystko się ułoży.

Kocham cię.

Ja też cię kocham.

Odkłada słuchawkę i ja odkładam słuchawkę. Otwieram drzwi Budki Telefonicznej i wychodzę. Mężczyźni zebrali się na Dolnym Poziomie, krzesła są ustawione w półokrąg, Lincoln szykuje się, żeby zacząć popołudniową Sesję. Patrzy na mnie i mówi.

Przyłączysz się?

Muszę wyjść na spacer.

Wydaje ci się, że możesz tak po prostu opuszczać zajęcia, kiedy masz na to ochotę?

Nie mam ochoty, muszę.

Dlaczego?

Bo tak.

Odpowiesz mi na pytanie?

Muszę wyjść. Co cię to obchodzi?

Jestem Kierownikiem Oddziału.

No to nim pokieruj. Ja idę na spacer.

Otwieram rozsuwane drzwi i wychodzę i zaczynam iść. Nie zwracam uwagi na otoczenie. Idę szybko, znam drogę. Nie chcę, żeby była sama. Potrzebuje mnie.

Wchodzę na Polanę jest. Opuchnięte oczy. Mokre policzki. Rozdygotane dłonie. Płakała tak długo, że już nawet nie wie, że płacze. Płacze.

Podchodzi i ja podchodzę i jest w moich ramionach i przytulam ją. Kładzie mi głowę na ramieniu i płacze. Dygocze. Obejmuje mnie ściska mnie przyciska się do mnie, jakbym potrafił wchłonąć jej uczucia, mógł je zabrać. Potrafię. Potrafię wchłonąć to, co mi daje zabrać to od niej i przyjąć i zapomnieć. Potrafię. Wezmę to i przyjmę. Daj mi to. Zapomnę. Potrafię zapomnieć.

Sprowadzam ją na Ziemię trzymam ją pozwalam się wypłakać. Szepczę jej do ucha już dobrze już dobrze już dobrze. Słowa nic nie znaczą, to zwykłe słowa, ale uspokajają, bo nigdy nie miała nikogo, kto mówił już dobrze, i nigdy w to nie wierzyła. Już dobrze już dobrze. Trzymam ją w ramionach i wierzy mi. Wszystko się ułoży. Uspokaja się i przestaje płakać. Dalej opiera się o ramię.

Mówię.

Co się stało.

Ma raka. W kościach i krwi. Nieuleczalny.

Dowiedziałaś się dzisiaj rano?

Tak.

Jak długo to ma?

Wykryli w zeszłym tygodniu. Źle się czuła, ale miała nadzieję, że to minie. Straciła przytomność przy pracy.

Dlaczego wcześniej ci nie powiedziała?
Nie chciała mnie martwić.
Dlaczego powiedziała ci dziś rano?
Jest gorzej, niż myślała. Pomyślała, że im
szybciej, tym lepiej.
Ile jej zostało?
Od dwóch tygodni do sześciu miesięcy.
Przytulam ją mocniej.
Przykro mi.
Przytula mnie mocniej.
Mam tylko ją.
Masz mnie.
Boję się.
Niepotrzebnie.
Co teraz zrobimy?
Poradzimy sobie.
Jak?
Jak tylko będę mógł, przyjadę do Chicago i
zamieszkamy razem i wszystko będzie dobrze.
Odsuwa się nieznacznie i patrzy na mnie.
Przyjedziesz?
Jak tylko będę mógł.
Kiedy stąd wyjdiesz?
Nie.
Dokąd idziesz?
Do Więzienia.
Co?
Mam kłopoty. Będę musiał tam pójść na jakiś

czas. Jeszcze nie wiem, na ile, ale jak tylko wyjdę, przyjadę do Chicago.

Co zrobiłeś?

Wdałem się w bójkę z Gliniarzami i byłem pijany i miałem przy sobie narkotyki.

Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Nie chciałem cię martwić, dopóki nie będę wiedział co i jak. Powinieneś był mi powiedzieć.

Wiem. Przepraszam.

Jak długo będziesz siedział?

Jeszcze nie wiem.

Powinieneś był mi powiedzieć.

Teraz ci mówię. Przyjadę, jak tylko będę mógł.

Tylko ty mi zostałeś, James. Na całym tym cholernym Świecie tylko ty mi zostałeś.

Masz siebie.

Chciałabym, żeby to wystarczyło, ale nic z tego.

Możesz zadziwić sama siebie.

Przez całe życie byłam sama. Już tak dalej nie mogę.

Nie będziesz musiała.

James, ona umiera.

Wszystko się jakoś ułoży.

Słyszę hałas. Odwracam się w stronę zieleni. Hałas jest głośniejszy, szybko się zbliża. Zaczynamy się podnosić, hałas jest głośniejszy. Kroki na liściach i ziemi i połamane gałęzie zaplątaliśmy się i nie możemy się podnieść. Jest głośniejszy a my stoimy.

Jest głośniejszy a ja patrzę na Lilly. Głośniejszy a ona bierze mnie za rękę. Jest tuż przy Polanie. Całuje mnie. Przechodzi. Patrzy mi w oczy. Przeszedł. Mówi zostałeś mi tylko ty.

Hałas zamiera. Odwracam się. Parę kroków od nas stoi Lincoln. Mówi.

Ken przejął Sesję. Pomyślałem, że wpadnę sprawdzić, co u ciebie.

W porządku.

Nie jest w porządku. Ani trochę.

Zależy, jak na to spojrzeć.

Ja patrzę na to przez pryzmat Regulaminu. Ty najwyraźniej nie. Zgadza się.

Idziemy i po drodze ani słowa.

Odwracam się do Lilly, która patrzy na Lincolna. W jej spojrzeniu jest bunt i strach i wściekłość. Lincoln patrzy na nią i próbuje nas rozdzielić. Ciągłe trzymamy się za ręce, ona go odpycha. On łapie ją za nadgarstek, a ona ściska mocniej moją dłoń, patrzy na niego i mówi.

Będę trzymała gębę na kłódkę, ale go nie puszczę.

Nie możesz stawiać warunków.

To nie jest warunek, to stwierdzenie faktu.

Złamałaś Reguły, teraz musisz sobie sama poradzić.

Pierdołę ciebie i twoje Reguły i właśnie sobie radzę.

Patrzy na niego, a on patrzy na nią. Obserwuję ją i jestem z niej dumny złamała mi serce Kocham ją. Walczą na spojrzenia. Jej oczy są silniejsze niż się jej wydaje. Lincoln widzi to co ja ona nie puści mojej dłoni. On może mówić, co chce, próbować nas rozdzielić tak długo, jak mu się podoba, ona nie puści mojej dłoni.

Za mną.

Odwraca się i zaczyna przeciskać przez zieleń, a my idziemy za nim. Trzymamy się za ręce i patrzymy przed siebie. Lincoln idzie szybko.

Dochodzi do Szlaku i zatrzymuje się i czeka na nas. Kiedy jesteśmy parę kroków za nim, rusza. Szlak prowadzi nas z powrotem na zieloną trawę, która oddziela Budynki od Lasu. Kiedy się zbliżamy, odwracamy się i patrzymy na siebie. Nie ma słów tylko patrzymy na siebie i z każdą sekundą oczy Lilly miękną. Zaczynają łzawić. Nie chcę żeby płakała nie chcę żeby szła nie chcę żeby miała kłopoty. Jeżeli będzie trzeba wezmę na siebie winę mogą mnie stąd wyrzucić i będę na nią czekał i nic mi nie będzie. Płacze. Nie szloch tylko łzy na policzkach więcej łez. Chciałbym je zabrać i przyjąć nie chcę żeby płakała ani teraz ani nigdy nigdy więcej. Płacze.

Dochodzimy do drzwi. Lincoln otwiera i wchodzimy. Wszyscy mężczyźni odwracają się i patrzą. Lincoln zamyka drzwi i staje przed nami i mówi.

Zabieram ją na Oddział. Idź do Pokoju i zaczekaj tam. To może chwilę potrwać.

Przytakuje.

Chodź.

Patrzę na Lilly, a ona patrzy na mnie. Zabieram dłoń i obejmuję ją. Szepczę jej do ucha.

Kocham cię. Pamiętaj. Kocham cię.

Przytula mnie, aż Lincoln kładzie jej dłoń na ramieniu. Odsuwa się i czeka na nią i odwraca się i zaczynają wchodzić po schodach, a ja idę za nimi. Wszyscy na nas patrzą. Ken i mężczyźni. Patrzą. Wchodzimy do Korytarza nienawidzę go kurwa nienawidzę idą przede mną i na nich patrzą. Kiedy jestem przy drzwiach, zatrzymuję się, po prostu stoję i na nich patrzą. Lilly jest kilka kroków przed Lincolnem. Kiedy idzie, patrzy prosto przed siebie. Patrzy na jej plecy. Nie ma słów. W Korytarzu jest cisza.

Kiedy zbliżają się do końca Korytarza, Lilly odwraca się i patrzy na mnie. Widzę tylko jej oczy, głębokie przejrzyste jak woda i przekorne, przygnębione i zagubione, jej oczy patrzą na mnie. Wilgotne od łez. Nie chcę ich stracić nikną za rogiem i nie ma ich. Stoję przed drzwiami w nadziei, że wróci, w nadziei, że to wszystko to jakiś koszmar, w nadziei dla samej nadziei. Patrzę na Korytarz i bezwzględne białe ściany. Nic się nie zmienia.

Otwieram drzwi i wchodzę do Pokoju. Jest cichy

i pusty, dokładnie tak, jak kiedy rano wychodziłem. Patrzę na łóżko i zastanawiam się, czy usiąść. Patrzę na Łazienkę i myślę o prysznicu. Patrzę na okno, przez które wpada szare światło, i myślę o wyjściu. Patrzę na ściany. Chciałbym je zniszczyć. Mogę tylko czekać. Na decyzję o swoim losie, na powrót Lincolna. Mogę tylko czekać.

Dociera do mnie, co się stało. Nie stopniowo, tylko od razu. Złamałem jedną z Podstawowych Reguł tego Zakładu. Złamałem ją bezkarnie. Zakochałem się w Dziewczynie, Dziewczynie pięknej i z poważnymi problemami, która jest sama na tym Świecie i która twierdzi, że nie może bez mnie żyć. Nie chcę tu bez niej zostać, a jeżeli stąd wyjdę, to nie mam dokąd pójść. Ona nie ma dokąd pójść. Moglibyśmy wrócić do jej Babci, ale Babcia wkrótce umrze. Nie możemy iść do mojej Rodziny, sprawiłem im już za dużo kłopotów. Moglibyśmy uciec, ale nie mamy dokąd. Jestem poszukiwany i wcześniej czy później mnie złapią. Kiedy to się stanie, pójdę siedzieć i to na znacznie dłużej niż trzy lata. Jesteśmy obydwój Uzależnieni. Obydwój powinniśmy tu zostać. Zostaniemy wyrzuceni. Obydwój. Wyrzuceni.

Wracam myślami do tego, co się stało. Staram się zrozumieć, gdzie popełniłem błąd. Próbuję przemyśleć, co zrobiłem, i znaleźć sposób, który pozwoliłby mi na uniknięcie tej sytuacji. Pierwszego

dnia mogłem ją zignorować. Mogłem wyrzucić karteczkę od niej. Mogłem z nią nie rozmawiać ani jej nie odpowiadać. Mogłem wcześniej do niej nie dzwonić ani nie wychodzić z Oddziału, ani nie zostawać na Polanie, kiedy ją spotkałem. Nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy. Gdybym zrobił, nie miałbym teraz kłopotów, nie groziłoby mi to, co mi grozi. Nie chcę pogodzić się z tym, co się stało. Chcę wrócić. Chcę to zmienić. Kurwa. Mamy przejebane.

Siadam na łóżku zapalam papierosa zaciągam się, zaciągam się głęboko, tak głęboko, jak potrafię. Patrzę w podłogę. Moje myśli zwalniają. Wiem, że nie mogę zmienić tego, co się stało, i nie żałuję. Zrobiłem, co zrobiłem, i zrobiłbym to jeszcze raz. Kocham ją i miłość jest ważniejsza niż Reguły. Nauczyłem się od niej więcej niż od nich. Stałem się dzięki niej lepszą osobą. Jebać Reguły.

Zaciągam się jeszcze raz. Moje myśli jeszcze bardziej zwalniają. Dwa strumienie biegną równolegle do siebie. Napić się. Lilly. Przyćpać. Lilly. Najebać się. Lilly. Są od siebie niezależne i są ze sobą powiązane. Jeden to przemożna potrzeba samozniszczenia, przemożna potrzeba zabicia tego, co czuję, za pomocą chemii. Drugi to Lilly i gdzie jest i co robi o czym myśli czy wszystko u niej w porządku. Kto z nią jest i co jej mówi. Nakładają się na siebie i biegną razem bo jej potrzebuję i jej nieobecność i ból, który odczuwa, napędzają potrzebę

zabicia tego, co czuję.

Wstaję. Siadam. Wstaję. Siadam. Umysł podpowiada moim dłoniom, żeby wyruszyły zrobiły coś pomogły mi stąd wyjść podpowiada moim dłoniom czas już stąd wyjść. Siadam na nich. Siadam na dłoniach. Czuję się jak skończony Kretyn, słaby żaloszny Skurwiel. Umysł podpowiada moim dłoniom, żeby stąd wyjść zdobyć coś cokolwiek wyjść zniszczyć się. Siedzę na nich. Siedzę na swoich dłoniach. Jestem słabym żalosznym Uzależnionym Skurwielem.

Serce podpowiada mi, żebym został. Zaczekał. Trzymał się. Był silny. Siedział na cholernych dłoniach i się im sprzeciwił. Źródłem siły jest bunt. Zbuntuj się przeciw umysłowi uczuciom nałogom. Zbuntuj się ty Skurwysynu zbuntuj się.

Siedzę na łóżku siedzę na dłoniach zamykam oczy oddycham czuję wszystko. Testuję siłę woli. Czy potrafię siedzieć i zostać. Czy potrafię trzymać się. Czy jestem na tyle silny. Co ja kurwa wyprawiam. Kiedy to się skończy. Skończ się szybko. Proszę. Trzymaj się kurwa. Skończ się szybko.

Siedzę i czas zatrzymuje się znika płynie szybko i wolno każda sekunda więcej i mniej niż sekunda. Moje dłonie dygoczą pode mną. Moje oczy są zamknięte i oddycham powoli. Myśli i uczucie paniki i chęć samozniszczenia i wytrzymałość i silna wola

płyną i płyną i płyną.

Siedź.

Zostań.

Odejdź.

Nie.

Pij.

Pal.

Panikuj.

Panikuj.

Odejdź.

Zostań.

Przejebane.

Przejebane.

Biegnij.

Biegnij.

Biegnij.

Złapany.

Osiem lat.

Więzienie o Zaostrzonym Rygorze.

Lilly.

Gdzie jesteś.

Lilly.

Gdzie jesteś.

Bierz.

Narkotyki.

Pij.

Alkohol.

Zabij.

Się.

Teraz.

Nie.

Bez czasu. Na dłoniach. Walcząc ze sobą. Myśli zmieniają się. Bierz.

Jebane.

Narkotyki.

Pij.

Teraz.

Ty.

Skurwysynu.

Jesteśmy.

Silniejsi.

Niż.

Ty.

Kiedykolwiek.

Będziesz.

W kółko. W kółko. Czas zniknął. Siedzę na dłoniach. Walczę ze sobą. W kółko. Walczę ze sobą. W kółko.

Zaczynam płakać. Nie szloch tylko łzy lecą mi po twarzy przez zamknięte oczy. Łzy wysiłku i łzy stresu i łzy strachu to jebany koszmar. Gorzej niż koszmar. Łzy trzymania się i łzy walki i łzy perspektywy śmierci i perspektywy powrotu do starego życia. Łzy miłości. Miłości Lilly i miłości przyjaciół i miłości Rodziny. Łzy bo Furia i strach i nałóg chcą mnie pokonać i nie pozwolę im. Chcą

mnie pokonać i im nie pozwolę.

Czas minął.

Płaczę.

Pierdolony koszmar.

Gorzej.

Proszę skończ się.

Proszę skończ się.

Proszę skończ się.

Słyszę drzwi. Otwieram oczy. Jest już ciemno, szarości nie ma. Zwyczajny odgłos przerywa cykl. Zwyczajny odgłos otwieranych drzwi. Miles włącza światło widzi mnie siedzącego jest zdziwiony. James, wszystko w porządku?

Nie.

Mogę ci jakoś pomóc?

Nie.

Siedzisz tu od południa?

Tak.

Dlaczego siedzisz na dłoniach?

Nie ufam im.

Znam to uczucie.

Tak?

Ale ja na nich nie siadam. Ściskam je.

Uśmiecham się i wyciągam ręce i wycieram twarz i kładę ręce na kolanach. Są poprzecinane liniami i są niebieskie z braku krwi. Potrząsam nimi i bolą. Pieką. Szczypią.

W porządku?

Podnoszę wzrok.

Bolą.

Spróbuj pod ciepłą wodą.

To działa?

Bardzo dobrze.

Przytakuje i wstaje. Miles podchodzi do łóżka i siada. Idę do Łazienki puszcza ciepłą wodę wkładam pod nią dłonie i pali. Nie dlatego, że woda jest ciepła, ale dlatego, że dłonie są zimne. Piecze. Szczypanie jest jak próbujące się wydostać gniazdo igieł. Trzymam je i powoli się rozgrzewają. Z niebieskich robią się szare i białe i różowe i żółte i beżowe. Poruszam palcami i napinają się tak, jak powinny. Ból znika. Poruszam nimi i wszystko gra.

Wchodzę z Łazienki. Miles siedzi na brzegu łóżka i czeka na mnie. Idziesz na kolację?

Mam tu zostać.

Jak długo?

Nie wiem.

Chcesz, żebym przyniósł ci coś do jedzenia?

Pewnie.

Co chcesz?

Co ci wpadnie pod rękę.

Dobra.

Dzięki.

Mogę ci jeszcze jakoś pomóc?

Wiesz, która godzina?

Spogląda na zegarek.

Piętnaście po szóstej.

Dziękuję.

Podchodzę do łóżka. Wstaje i idzie do drzwi.

Jeżeli nie będzie cię, kiedy wrócę, zostawię ci jedzenie na stoliku. Dzięki, Miles.

Wschodzi, zamyka za sobą drzwi. Kładę się na łóżku jest mi zimno zaczynam się trząść wchodzę pod kołdrę. Zwijam się w kłębek i zamykam oczy i wtulam twarz w siebie i w łóżko. Zasypiam tak, że nie śpię. Stan głębokiej świadomości ani przytomny, ani nieprzytomny. Ciało odpręża się ciało wyłącza się ciało odpoczywa. Umysł spowalnia, wyświetla obrazy, pragnienia, pomyłki, wydarzenia. Są jak grube surrealistyczne zdjęcia. Przeglądam je w głowie i one tam są. Śpię, ale nie śpię. Jestem przytomny i nieprzytomny.

Drzwi znowu się otwierają otwieram oczy. Podnoszę głowę i widzę Lincolna stojącego pod framugą. Za nim jest światło mówi.

Czas wstawać.

Dobrze.

Kiedy będziesz gotowy, przyjdź do mnie do Gabinetu.

Dobrze.

Odwraca się i wychodzi i wychodząc zamyka drzwi. Wstaję z łóżka i idę do Łazienki i włączam wodę i spryskuję sobie twarz. Ścieka mi po policzkach i po wargach i do ust i smakuje mi.

Nachylałam się i wypijam łyk. Kolejny kolejny kolejny. Prosto z kranu. Dobrze.

Wschodzę z Pokoju i idę cichym Korytarzem. Oddział jest pusty, mężczyźni na kolacji. Idę do automatu z kawą i napełniam kubek i wypijam łyk i natychmiast mnie budzi.

Kiedy schodzę po schodach, zaczynam się denerwować. Kawa w żołądku piecze i czuję, jak krew płynie w żyłach. Moje nogi są niepewne i ostrożnie stawiam kroki. Jeden za drugim. Jeden za drugim.

Przechodzę przez Dolny Poziom wchodzę do krótkiego Korytarza prowadzącego do Gabinetu Lincolna. Korytarz jest ciemny, choć na samym końcu przez otwarte drzwi widać światło. Ostrożnie stawiam kroki. Kiedy wchodzę do Gabinetu, ostrożnie stawiam kroki. Siedzi za biurkiem.

Zamknij drzwi.

Odwracam się i zamykam drzwi. Odwracam się z powrotem, a on pokazuje na fotel naprzeciwko. Siadam, a on opada na oparcie fotela i patrzy na mnie. Patrzę na niego.

Gdyby to zależało ode mnie, już by cię tu nie było. Nie podoba mi się twoje nastawienie, uważam, że za mało się starasz, i myślę, że twój nieustanny opór wobec tego, co staramy się tu robić, a staramy się pomagać Ludziom, jest szkodliwy zarówno dla Oddziału, jak i dla ciebie.

Patrzy. Patrzę.

Mimo to dostaniesz jeszcze jedną szansę. Jeżeli będziesz się odpowiednio zachowywał i ciężko pracował i przestrzegał Reguł, będziesz mógł zostać do końca Programu. Jeżeli naruszysz którąkolwiek z Reguł, nawet coś tak drobnego, jak niewykonanie porannej Pracy albo powiedzenie czegoś więcej niż cześć do kobiety spoza Personelu, zostaniesz stąd usunięty. Myślisz, że sobie poradzisz? Uśmiecham się. Czuję ulgę.

Tak, poradzę sobie. Dziękuję.

Nie dziękuj mi, ja chciałem cię wyrzucić. Podziękuj Joannę. Tak jak poprzednio to ona cię uratowała.

Tak czy inaczej dziękuję.

Możesz iść.

Spogląda na papiery na biurku. Czekam. Kiedy podnosi wzrok, mówię.

Czy Lilly zostaje?

Nie.

Moja ulga znika.

Wyrzuciliście ją?

Panika powraca.

Kiedy dowiedziała się, że nie będzie się więcej mogła z tobą spotykać, sama wyszła.

Nie zatrzymaliście jej?

Kiedy ktoś chce wyjść, to wychodzi. Naszym Zadaniem jest pomagać Ludziom, którzy chcą zostać,

i chcą, żeby im pomóc.

A gdybym powiedział, że wiem, dokąd poszła?
Bez znaczenia.

Wiem, dokąd poszła. Mógłbym ją znaleźć i sprowadzić z powrotem.

Chichocze i za chwilę nie ma już paniki.
Nadciąga Furia.

Co cię tak śmieszy?

Nie popieramy związków, bo zazwyczaj tak to się kończy. Ludzie myślą, że mogą nawzajem rozwiązać swoje problemy, a tak po prostu nie jest. Mam nadzieję, że to będzie dla ciebie nauczka.

Co to ma niby znaczyć?

Wiemy, co robimy. Reguły istnieją nie bez przyczyny. Może teraz zaczniesz się bardziej słuchać.
Spierdalaj.

Coś ty powiedział?

To Osoba, a nie pierdolona nauczka.

Coś ty przed chwilą powiedział?

Powiedziałem spierdalaj, ty pierdolony Gnoju.
Ona nie jest żadną pierdoloną nauczka.

Jeszcze jeden taki komentarz i wylatujesz.

Myślisz, że będę chciał teraz zostać?

Jeżeli chcesz się wyleczyć z nałogu, to owszem.

Nie zostanę w miejscu, gdzie Gnojki takie jak ty mówią, że ich Zadaniem jest pomagać Ludziom, ale kiedy ktoś rzeczywiście potrzebuje pomocy, to mu się jej odmawia dlatego, że ta osoba wierzy w coś

innego albo potrzebuje innego rodzaju pomocy, niż ci się wydaje.

Rób, co uważasz.

Żebyś wiedział, ale i tak wyleczę się z nałogu, choćby po to, żeby móc tu potem wrócić i udowodnić takiemu przemądrzałemu Gnojkwowi jak ty, że twoja metoda nie jest jedyna.

Powodzenia.

Spierdalaj.

Wstaję i wychodzę. Idę przez Oddział i idę do Pokoju. Biorę książeczkę *Tao* wkładam najcieplejsze ubrania sweter dwie pary skarpet kolejną parę skarpet na dłonie. Jest zimno widzę to przez okno. Wchodzę z Pokoju do widzenia do widzenia do widzenia. Idę Korytarzami już nigdy nie będę musiał oglądać tych pierdolonych Korytarzy spierdalaj do widzenia. Przechodzę przez Recepcję walę w drzwi wychodzę z Kliniki. Spierdalaj i do widzenia. Wszedłem.

Zaczynam iść. Jest zimno i ciemno, nie ma światła ani Księżyca. Idę drogą jedna droga do jedna droga z. Widzę kontury drzew i mgiełkę oddechu. Słyszę pod stopami szuranie kamyków i żwiru.

Nie pamiętam, jak tu przyjeżdżałem, to było tak dawno temu, ale wiem, że ta droga przechodzi w większą drogę. Na większej drodze będą samochody. Spróbuję złapać autostop. Miejscowi rozpoznają, skąd jestem, i mnie nie wezmą, ale Ciężarówki mogą mnie zabrać albo ludzie przejeżdżający jadący gdzieś

indziej mogą mnie zabrać. Twarz mi się zagoiła. Nie wyglądam już na Alkoholika i Narkomana i Przestępcę. 'Oglądam normalnie, mimo że taki nie jestem. Ciężarówka może mnie zabrać albo ktoś przejeżdżający może mnie zabrać. Miejscowi się do mnie nie zbliżą. Rozpoznają mnie.

Droga skręca i ostatnie świada Kliniki znikają w tyle. Jest ciemno choć oko wykol i jest cicho i to mi się podoba. Za długo trzymałem się z dala od nocy i od najciemniejszej ciemności. Dobrze je znam jestem tu w Domu i uczucia Domu i Furii Domu wracają. Wszystko powraca.

Za mną jest hałas i przede mną jest hałas. Hałas za mną to Samochód albo Ciężarówka jadąca po drodze, jadąca w moją stronę. Hałas przede mną to hałas pojazdów poruszających się szybko po długiej gładkiej nawierzchni. Chcę hałasu przede mną. Potrzebuję tego hałasu. Skończyłem już ze wszystkim za mną. Spierdalaj i do widzenia.

Zaczynam biec. Nie jestem w formie i zimne powietrze pali mi płuca. Biegnę po poboczu między asfaltem i drzewami, biegnę tak szybko, jak potrafię, ze świadomością, ile muszę przebiec. To niedaleko. Niedaleko, ale dla mnie daleko. Każdy głęboki haust zimnego czarnego powietrza rani mi płuca. Mam dwadzieścia trzy lata. Nie potrafię biec.

Dobiegam do większej drogi. Światła mijających mnie pojazdów mkną po długich szerokich polach.

Wiem, że najbliższe Miasto jest na zachód. Lilly jest w tym Mieście, a zachód jest na lewo. Przebiegam przez jezdnię i skręcam w lewo i zaczynam iść. Wypatruję samochodu i czekam, żeby podnieść kciuk.

Biała Furgonetka zatrzymuje się na końcu drogi do Kliniki i mruga świadami. Ktokolwiek jest w tej Furgonetce, niech spierdala. Rusza i skręca w lewo i jedzie w moją stronę.

Kiedy się zbliża, okno po stronie pasażera zjeżdża w dół. Furgonetka zatrzymuje się przy mnie i czuję na sobie czyjeś spojrzenie czeka aż zwrócę na nie uwagę. Nie zwracam uwagi. Idę z wzrokiem utkwionym i skoncentrowanym. Miasto jest gdzieś przede mną. Przez szum silnika słyszę głos.

Hej, Mały. Zapomniałeś czegoś.

To znajomy głos, głos, który lubię, głos, któremu ufam, głos, który podtrzymywał mnie, kiedy nie mogłem ustać. Spoglądam na Furgonetkę i zaglądam przez opuszczone okno. Lincoln siedzi na miejscu dla pasażera. Patrzy na mnie. Hank siedzi za kierownicą. Hank trzyma swoją kurtkę. Kurtkę, którą mi pożyczył, kurtkę, która została w Pokoju. Uśmiecha się do mnie.

Bez tego zamarzniesz ci dupsko.

Uśmiecham się.

Co słyszać, Staruszkę?

Powoli. A u ciebie?

Mnie się spieszy.
Dokąd się wybierasz?
Odnaleźć przyjaciółkę.
Wskakuj, to się rozgrzejesz.
Zimno mi nie przeszkadza.
Wskakuj.
Dzięki, ale nie.
Lincoln mówi.
Wsiadaj.
Zatrzymuję się i Hank zatrzymuje Furgonetkę.
Patrzę na Lincolna, a on patrzy na mnie.
Nie wracam.
Wsiadaj do Furgonetki.
Spierdalaj.
Chcesz ją znaleźć?
Tak.
To wsiadaj do tej cholernej Furgonetki.
Patrzę na niego, a on patrzy na mnie. Jego oczy są zimne i ciemne i zmętniałe, ale jest w nich prawda. Podchodzę do drzwi, a on sięga przez ramię i otwiera zamek. Otwieram drzwi i wsiadam do Furgonetki i zamykam za sobą drzwi. Ogrzewanie jest włączone i jest ciepło. Hank rzuca mi kurtkę i wkładam ją.
Mówi.
Dokąd?
Dworzec Autokarowy w Minneapolis.
Spiesz się nam?
Spoglądam na Lincolna. Patrzy prosto przed

siebie. o której poszła?

Mówi beznamiętnym głosem.

Koło czwartej.

Spoglądam na Hanka.

Tak, spieszy się nam.

Uśmiecha się, a kiedy wciska pedał, Furgonetką szarpie. Pola kukurydziane rozmazują się w ponurą ohydłą niewyraźną plamę, wiatr przechodzi w pisk, droga w walec ruchomego światła i żółtych linii wiodących ku odnalezieniu Lilly. Siedzę i wyglądam przez okno i palę papierosy. Lincoln patrzy prosto przed siebie, oddychając głęboko przez nos, co pewien czas wyłamując sobie palce. Hank znajduje w radiu stację z muzyką country-western i śpiewa każdą piosenkę. Jeżeli nie zna tekstu, to wymyśla własny, zwykle o hokeju albo łowieniu ryb. Nikt nic nie mówi.

Wdać poświęcić Miasta. Zjeżdżamy z Autostrady, a następnie Zjazdem prosto do zatłoczonego centrum pełnego wieżowców ze szkła i stali. Ludzie pędzą po chodnikach, w Restauracjach i Knajpach jest tłok i chaos. Samochody trąbią, Ciężarówki czekają na Załadunek, Taksówki szukają Pasażerów. Hank zawraca i przejeżdżamy obok olbrzymiego Stadionu, gdzie krzykliwy neon informuje o Meczu. Objeżdżamy zapchany Parking, po którego drugiej stronie, zaraz obok zabitego deskami Budynku i zapyziałego Motelu, jest Dworzec Autokarowy.

Ostatnie ćwierć mili zabiera godzinę, tydzień, rok, wieczność. Wiem, że jedziemy szybko, ale szybko to za wolno. Nogi mi podskakują i jestem zirytowany i zdenerwowany i przestraszony. Czuję się tak, jak kiedy miałem dziesięć lat i pożyczyłem bez pytania zegarek Ojca. Zgubiłem go na Plaży. Zauważyłem to, kiedy wracałem na rowerze do domu, i wróciłem na Plażę i godzinami przeszukiwałem piasek. Szukałem na czworakach. Czuję się tak, jak kiedy z mojego Pokoju zniknęła uncja kokainy. Rozniosłem Pokój na strzępy przewróciłem łóżko opróżniłem szuflady przeszukałem wszystkie ubrania. Przeszukałem wszystko. Nigdy nie znalazłem zegarka. Znalazłem kokainę.

Kiedy podjeżdżamy do Wejścia, otwieram drzwi Furgonetki, kiedy jeszcze jedzie. Wyskakuję i zaczynam biec. Przepycham się przez tłum mężczyzn stojących na ulicy z kubkami zebrzących o drobne. Ignoruję smród sików i dymu. Popycham drzwi są stare i ciężkie i jestem na Dworcu.

To typowy Dworzec Autokarowy w centrum miasta. Składa się z jednej wielkiej Hali z nijakimi świetlówkami zawieszonymi na drutach. Kasy Biletowe wbudowane w trzy ściany, kilka Wyjść do autokarów, Rzędy zużytych drewnianych Ławek przyśrubowanych do podłogi. Nie ma tłoku, ale nie jest pusto. Dilerzy, alfonsi, na ławkach śpią bezdomni

płci obojga, uciekinierzy, nomadzi. Czuję się wśród nich jak w domu.

Zaczynam przeszukiwać Ławki. Chcę ją znaleźć, nie obchodzi mnie jak ani gdzie, chcę ją tylko znaleźć. Chodzę wzdłuż rzędów Ławek. Ściągam koce. Odwracam ludzi, żeby zobaczyć ich twarze.

Zaglądam do śpiworów, płacę fajkami za informacje. Nie mogę jej znaleźć. Nic, nikt nic nie wie. Nie mogę jej znaleźć.

Idę do Kas Biletowych. Do wszystkich trzech po kolei. Kasjerzy są znudzeni i poirytowani, zajęci oglądaniem czarno-białej telewizji na kiepskich odbiornikach. Opisuję ją i pytam, czy ją widzieli. Twierdzą, że nie. Pytam jeszcze raz, ale teleturnieje i telenowele są dla nich ważniejsze. Mówią, że jej nie widzieli. Mówią to, nie patrząc na mnie. Wracam do Wejścia. Wiem, że albo tu jest, albo była. Wiem, że ktoś ją widział. Przyglądam się każdemu przyglądam się uważnie. Trzymałaby się z dala od alfonsów bo może zarobić i bez nich. Dilerzy, których zauważyłem, nie handlują tym, co bierze wciskali mi trawę i metamfę i niskiej jakości herę. Chciałaby naćpać się albo pojechać do Domu. Wiem, że tu jest albo była. Wiem, że ktoś ją widział. Wiem. Patrę. Wiem. Patrę.

Obserwuję, obserwuję, obserwuję. Mój wzrok zatrzymuje się na dwóch może dwunastoletnich Chłopcach siedzących na Ławce. Mają na sobie duże

torbiaste dżinsy, grube długie kurtki zakrywające ciało, czapeczki założone przodem do tyłu z daszkiem w dół. Ławka jest naprzeciwko Łazienki i widać z niej cały Dworzec. Obserwuję ich. Robią to, co podejrzewam, że robią. Wiem, co robią.

Przechodzę przez Halę. Kiedy zbliżam się do Chłopców, udają, że mnie nie widzą, ale wiem, że przyglądają mi się tak samo uważnie, jak ja się im przyglądam. Zatrzymuję się przed drzwiami do Łazienki. Kiedy to robię, jeden z nich szybko spogląda na drugiego. Drugi odwzajemnia spojrzenie. Ich wymiana spojrzeń daje mi pewność. Otwieram drzwi. Od razu cuchnie szczynami i gównem i zgnilizną. Dwa kroki przez krótki ciemny Korytarz i kolejne drzwi. Otwieram je i fetor jest silniejszy. Wchodzę do paskudnej Łazienki. Popękane brudne kafelki na podłodze. Kiedyś były białe, teraz są brązowe. Potłuczone lustra wiszą nad umywalkami, w których stoi woda. Wzdłuż ściany biegną pisuary. Wszystkie są pełne żółtych sików, w jednym rozkłada się but. Patrzę na rząd Kabin. W żadnej nie ma drzwi, zużyte drewniane przegrody pokrywa graffiti. Pod ostatnią widzę parę butów. To nowe buty, drogie buty do koszykówki. Mówię. Co tam?

Słyszę głos. Głęboki z mocnym, przebijającym się niczym młot pneumatyczny akcentem z Getta.

Czego chcesz?

Pogadać.

Słyszę chichot. Słyszę ruch. Wdzę, jak buty wychodzą, i podnoszę wzrok i widzę męczyzną wychodzącego z przegrody Kabiny. Ma koło dwudziestki. Ma ogoloną głowę. Ma rzadką kozią bródkę i jest ubrany tak samo jak Chłopcy z Ławki. Ogląda mnie od stóp do głów, taksuje wzrokiem. Mówi.

Co tam?

Szukam kogoś. Może mógłbyś mi pomóc.

Kogo szukamy?

Dziewczyny. Młodej białej Dziewczyny. Długie ciemne włosy i niebieskie oczy. Miała na sobie wojskową kurtkę.

Jego głowa jest nieruchoma, ale szybko i bezwiednie rusza oczami w górny lewy róg.

Nie widziałem.

Patrzę na niego.

Wdziałeś.

Zaczyna do mnie podchodzić.

Nazwałeś mnie Kłamcą?

Nie ruszam się.

Nie nazwałem.

Podnosi głos.

Nazwałeś mnie pierdolonym Kłamcą?

Gdzie ona jest?

Robi kolejny krok do przodu. Rusza oczami w lewo i z powrotem na mnie.

Nie wiem.

Stoimy twarzą w twarz, tuż przed sobą. Czuję jego oddech na policzkach. Nie ruszam się, ale trzymam dłonie wzdłuż ciała. Powiedz mi, gdzie jest.

Uśmiecha się. To nie jest przyjazny uśmiech.

Dlaczego szukasz tej Dziewczyny?

Ma kłopoty. Potrzebuje pomocy.

A co będę miał z tego, że ci powiem, co wiem?

Satysfakcję z poczucia, że zrobiłeś to, co trzeba.

Chichocze.

To mi się nie opłaca.

Nic więcej nie mam.

Musisz mi coś dać.

Na przykład co?

Masz kasę?

Nie.

Masz gnata?

Nie.

Masz brykę?

Śmieję się.

Stary, gówno mam.

Śmieje się i odwraca wzrok. Znowu na mnie patrzy, ogląda mnie od stóp do głów, patrzy mi w oczy. Wytrzymuję spojrzenie, ale bez agresji. Mój wzrok jest neutralny i odręziony, cierpliwy i bez lęku.

Jak żeś tu przyszedł i mnie znalazł?

Zobaczyłem twoich chłopaków na zewnątrz.

A skąd wiedziałeś, że mam crack?

Bo kiedyś sam to paliłem i sprzedawałem.

A teraz chcesz pomóc tej Dziewczynie rzucić?

No.

Straciłem przez to Siostrę.

Przykro mi.

Wiedziałem, że nie ma mowy, żeby rzuciła.

Trzeba było spróbować.

Tego nie da się rzucić. Ten szajs jest za mocny.

Nie znaczy, że nie można spróbować.

Rób, co tam se uważasz, ale nie ma bata, żeby rzucić ten szajs. Powiedz mi, gdzie ona jest.

Jego źrenice zwężają się i pojawia się w nich groźba przemocy. Czekał i wytrzymał spojrzenie.

Wydasz mnie albo mnie przez ciebie wsadzą, albo będziesz mi się jakoś inaczej dopierdalał, to cię zabiję.

W porządku.

Kurwa zajebię.

Dobrze.

Była tu parę godzin temu z jakimś białym staruchem. Nie wyglądał na palacza, ale ona się cała trzęsła w chuj i miała no takie łapczywe oczy, co mają ci od freebase. Dziadu kupił dwie pięćdziesiątki i chyba poszli do tego opuszczonego Budynku na drugim końcu Ulicy. Z tyłu są rozjebane drzwi i banda Pojebów daje sobie w żyłę na drugim piętrze. Jak tam jej nie ma, to sorry.

Przytakuję.

Dzięki.

Patrzy.

Nie wracaj tu.

Nie wróćę.

Odwracam się i wychodzę, przechodzę przez Dworzec i do wejścia. Hank na mnie czeka.

Chyba ją znalazłem.

Gdzie?

Na końcu Ulicy. W tym Budynku do rozbiórki.

Skąd wiesz?

Diler mi powiedział.

Idziemy do Furgonetki, która czeka przy Krawężniku. Wsiada za kierownicę, a ja wsiadam z tyłu. Lincoln siedzi i patrzy przez okno. Hank zapala silnik i wykręca i pędzimy po Ulicy do Budynku. Wgląda, jakby był kiedyś Budynkiem Mieszkalnym. Ma cztery piętra z oknami biegnącymi w równych odstępach po każdej stronie. Wszystkie okna są teraz zabite. Zawalony gruzem Ganek prowadzi do Głównego Wejścia, które również zostało zabite. Wszystko jest zabazgrane graffiti, większość nieczytelna, a na miejscu Trawnika jest teraz góra śmieci.

Znowu wyskakuję z Furgonetki, zanim się zatrzyma. Obiegam Budynek, szukam tylnego wejścia, poluzowanej deski, czegoś, czegokolwiek. Wdę schody prowadzące w dół, na dole drzwi.

Drzwi są zabite płytą pilśniową, ale płyta wygląda na poluzowaną, wygląda, że da się ją ruszyć.

Schodzę na dół, obchodzę i przechodzę nad potłuczonym szkłem brudnymi puszkami pustymi butelkami luźnymi kawałkami nadpalonej folii zgubionymi strzykawkami zużytymi zapalkami i pogruchotanymi zapalniczkami. Sięgam do płyty i odpycham ją. Wchodzę do Budynku.

Budynek jest ruiną, paskudną jebaną ruiną. Śmieci są wszędzie, brudne materace leżą w Korytarzach i Pokojach. Z zanieczyszczonych rur wycieka jakiś ohydny płyn. Słyszę szczury w ścianach i widzę sterty ich gówna po kątach, smród przypomina fetor zgniłych jaj i powietrze jest przesiąknięte śmiercią, krzywię się, wzdrygam, chcę wstrzymać oddech. Idę szybko, kierując się fetorem i gównem, przez Korytarz i po pierwszych schodach, jakie widzę, na górę.

Na klatce schodowej jest ciemno choć oko wykol, więc stąпам ostrożnie. Wchodzę na puszkę i zgniatam ją stopą. Słyszę, jak szczury czmychają, słyszę ich piski. Kładę dłoń na Poręczu, ale jest pokryta czymś gęstym i wilgotnym i zimnym, więc zabieram dłoń.

Na półpiętrze jest podpalony pusty śmietnik. Widzę ślady sadzy i popiołu. Obchodzę go. Idę na górę.

Im wyżej wchodzę, tym jest czyściej, choć nadal obrzydliwie. Na piętrze zaczynają do mnie docierać odgłosy wydawane przez ludzi. Kroki, przytłumione

głosy, głębokie zaciąganie się, głębokie wydechy. Syk palnika. Śmiech, ale to nie jest radosny śmiech. To cienki drażniący rechot jak śmiech Wiedźmy. Odbija się echem, odbija się, odbija. Docieram do drugiego piętra. Wchodzę na Korytarz, który rozgałęzia się na lewo i na prawo. Po lewej stronie mocny męski głos wrzeszczy kto tam kurwa Skurwysynu kto tam kurwa. Idę do niego. Znowu krzyczy lepiej mów kurwa kto tam. Nie mówię ani słowa. Idę napięty, gotowy do walki. Krzyczy rozpierdolę cię Kurwo rozpierdolę. Podchodzę gotowy.

Robi się cicho, słychać tylko syk palnika. Wiem, że głos dochodził z Pokoju niedaleko. Mam zaciśnięte pięści, zaciśniętą szczękę, rozdygotane mięśnie.

Skręcam za róg i wchodzę do Pokoju. Pod przeciwległą ścianą siedzi wyniszczony staruszek, który wygląda jak duch. Ma potargane włosy, poszarzałą skórę niewiadomej rasy o barwie będącej efektem miesiący bez mycia. Wykrzywia się w bezzębnym uśmiechu i ściska fifę, długą cienką szklaną rurkę rozżarzoną do czerwoności i gorejącą. Widzę, jak fifa przypala mu dłoń. W drugiej dłoni trzyma palnik celuje nim we mnie jak rewolwerem. W Pokoju unosi się zapach cracku jak słodko-gorzka miętowa benzyna. Zapach mnie drażni i rozwściecza, marzę o tym, żeby go posmakować, ale pragnę Lilly

bardziej niż wielkiego i potężnego cracku. Kiedy patrzę na mężczyznę, mówi.

Nie mam wcale tego cracku. Nie mam wcale.

Robię krok w tył.

Nie mam wcale tego cracku, nie mam wcale, nie zabieraj mi cracku, nie zabieraj.

Robię krok przez drzwi.

Tu nic nie ma Skurwysynu nic tu po tobie, ty brudny biały Diabło ty brudna biała Świnio.

Do tyłu i z powrotem. W połowie drogi do schodów, kiedy jego głos cichnie, mężczyzna zaczyna krzyczeć kto tam kurwa Skurwysynu kurwa kto tam. Ignoruję go. Kto tam kurwa Skurwysynu kurwa kto tam.

Idę do drugiego Korytarza. Poza krzykami słyszę nowy hałas. Kolejny syk, rechotliwy śmiech, trzeszcząca klepka podłogowa, wdech i wydech. Otwieram pchnięciem kolejne drzwi. Widzę trzy kobiety i mężczyznę siedzących na podłodze na środku Pokoju. Ich oczy są szerokie i puste. Jedna z kobiet zaciąga się. Ssie tak mocno, że policzki się jej zapadają. Kończy i przekazuje fife kobiecie obok, która ją bierze i przykłada zapalniczkę do wylotu i zaciąga się. Nie mówię do nich ani słowa, oni nie mówią do mnie ani słowa. Pragnę tej fify oddałbym za nią życie trzymaj się uciekaj. Kiedy sięgam do drzwi, słyszę rechot. Zamykam drzwi i idę dalej Korytarzem.

Jest cicho. Mężczyzna przestał krzyczeć. Jedyne hałas to moje stopy na starej klepce, wyblakłych gazetach i kawałkach szkła. Zaglądam do każdego pokoju, ale wszystkie są puste. Zmagam się z potrzebą powrotu po crack pragnienie jest silniejsze z każdą sekundą. Kiedy zbliżam się do końca Korytarza, słyszę męski głos, który mówi o Maleńka, tak Maleńka, ssij go, Maleńka, ssij tego wielkiego tłustego kutasa. Oprócz głosu słyszę ślinę na ciele przesuwająca się tam i z powrotem tam i z powrotem. Furia wybucha z całej siły i przypominam sobie, że jestem tu, aby odzyskać, nie krzywdzić. Jestem tu, aby odzyskać i wydostać się. Moje pragnienie rośnie. Odzyskać i wydostać się. Tak szybko, jak się kurwa da.

Idę do końca Korytarza i staję przed drzwiami. Za nimi słyszę o tak, mała Kurewko, właśnie tak weź całego weź całego, ty mała Kurwo. Otwieram drzwi i wchodzę do Pokoju, a ona jest na kolanach, z twarzą wciśniętą w krocze starego mężczyzny. Na podłodze obok niej leży fifa i zapalniczka.

On spogląda mówi co jest kurwa ona spogląda i tłumi krzyk.

W oczach ma łapczywą potrzebę, zdesperowane szaleństwo, paskudny wstyd i kompletną obsesję na punkcie cracku. Przewraca się do tyłu od mężczyzny który ma drelichowe spodnie wokół kostek wrzeszczy co ty tu kurwa robisz. Ignoruję go i

podchodzę do niej jestem tu dla niej. Sięga po butelkę widzę to kątem oka i zatrzymuję się i odwracam się i robię krok w jego stronę. Jest w zasięgu ciosu i ma butelkę w dłoni. Uderzam. Szybkie mocne uderzenie na odlew w policzek. Ogłusza go i robię kolejny krok do przodu. Kuli się pod ścianą i patrzę na niego.

Nie przyszedłem tu, żeby ci zrobić krzywdę.

Patrzy na mnie. Jego oczy są szeroko otwarte. Boi się.

Zabieraj ten swój bajzel i wypierdalaj mi stąd.

Zaczyna podciągać spodnie, rozgląda się po podłodze, szukając swoich rzeczy. Odwracam się do Lilly, która ściska torebkę cracku i fifę i pełźnie tyłem do kąta. Wyciągam do niej dłoń.

Lilly, chodź tu.

Pełźnie tyłem, kręci głową.

No chodź. Jedziemy do Domu.

Wpełza w kąt, ściska towar. Kręci głową.

Zostawimy tu to gówno i pojedziemy do Domu.

Ściska, kręci głową, jej oczy nie widzą, nie ma jej. Mówi.

Nie.

Robię krok do przodu.

Tak.

Za mną słyszę, jak stary wychodzi. Kręci głową.

Zostaw mnie.

Bez ciebie stąd nie wyjdę.

Wrzeszczy.

Zostaw mnie kurwa.

Robię krok do przodu.

Nie.

Wciska się głębiej w kąt, ściska torebkę i fife.

Zostaw mnie kurwa.

Robię krok do przodu, nachylam się, obejmuję ją. Szarpie się, _ próbuje mnie odepchnąć, próbuje walczyć. Trzymam ją pewnie, podnoszę się, ciągnę ją do góry.

Chodźmy.

Stęka, warczy, szarpie się, walczy. Wiem, że to narkotyk crack kokaina ze mną walczy, wiem, że to nie ona. Wiem, że jeżeli wytrzymam wystarczająco długo, to wygram.

Chodź. Jedziemy do Domu.

Próbuje pchać.

Możesz ze mną walczyć, ile tylko chcesz, ale jedziemy do Domu. Próbuje mocniej. Mocniej. Mocniej.

Podnoszę głos.

Przestań kurwa ze mną walczyć. Jedziemy do Domu.

Ostatni wybuch gniewu i strachu i bicia i pchania i przestaje. Opada bezwładnie. Czuję fife i torebkę na piersi. Czuję, jak wypadają, słyszę, jak uderzają o podłogę. Chcę je podnieść potrzeba jest tak kurewsko silna trzymam się jej. Trzymam się, aż znika. Trzymaj się. Zaczyna płakać na moim ramieniu

szlochać. Rozsypała się narkotyki rozsypał się przez chwilę nie ruszam się, żeby się upewnić. Trzymam ją i odwracam ją i zaczynam iść do drzwi. Wschodzimy na Korytarz zaczynamy iść do schodów. Duch znowu krzyczy i rechot powrócił. Obejmuję Lilly i płacze i schodzimy po schodach idziemy powoli i ostrożnie jeżeli ją puszcze, spadnie. Jest załamana i zagubiona i na haju, nie wie, co się dzieje. Jeżeli ją puszcze, spadnie. Schodzimy na dół przechodzimy przez Piwnicę smród smród wchodzimy po schodach z powrotem w noc. Obchodzimy Budynek. Furgonetka jest z przodu. Hank wysiada i wychodzi nam na spotkanie.

W porządku z nią?

Nie.

Otwiera drzwi.

Szybko ją zawieziemy.

Podnoszę ją do środka.

Dzięki.

Zamyka drzwi. Siadam z Lilly w moich ramionach i płacze mi w ramię. Lincoln odwraca się i patrzy na nas.

Crack?

No.

Przytakuje i bez słowa się odwraca. Hank otwiera drzwi od strony Kierowcy i siada za kierownicą i zapala silnik i odjeżdżamy od Budynku.

Hank jedzie tak szybko, jak potrafi, w granicach

rozsądku. Z Lilly schodzi crack. Trzęsie się i poci, traci i odzyskuje przytomność, traci i odzyskuje zmysły. Kiedy jest przytomna, jej oczy są rozszerzone i nerwowe. Nie mogą patrzeć w jedno miejsce i mruga i cała jej twarz się rusza, kiedy mruga mruga mruga. Bełkocze coś o torebce cracku i wielkim ogniu i o mężczyźnie z Atlantydy, który ma po nią przyjść. Kiedy nie bełkocze, płacze. Kiedy jest nieprzytomna, rzuca się i jęczy, jakby jej ciałem wstrząsały małe wyładowania elektryczne. Jej nogi dygoczą i prostują się, jej ramiona drżą, łapie mnie za koszulę tak mocno, że ją rozrywa. Co pewien czas przeklina jak ktoś z syndromem Tourette'a, mówi spierdalaj albo Skurwysynu albo cholerna pierdolona Kurwo. Siedzę i tulę ją. Odpowiadam na jej słowa, choć wiem, że mnie nie słyszy. Nawet kiedy jest przytomna, nic do niej nie dociera oprócz tego, że była na haju, a teraz już nie jest. Schodzi z niej. Tulę ją. Chcę ją tylko odzyskać.

Zjeżdżamy z Autostrady na drogę prowadzącą do Kliniki. Przebłysk świadomości, Lilly wie, gdzie jesteśmy. Chwyta mnie i czuję, jak jej paznokcie przebijają mi skórę na ramionach i patrzy mi w oczy i jej oczy są pełne strachu strachu strachu i po raz pierwszy, od kiedy jesteśmy w Furgonetce, mówi coś sensownego.

Boję się.

Nie ma się czego bać.

James, boję się.
Wszystko się ułoży.
Nie chciałam tego zrobić.
Wiem, że nie chciałaś.
Po prostu nie mogłam się opanować.
To już się skończyło.
Tak się boję.
Jesteśmy już w Domu. Wszystko się ułoży.
Parkujemy przed Wejściem do Kliniki.
Furgonetka się zatrzymuje. Hank i Lincoln
wysiadają, Lincoln otwiera tylne drzwi i pomagam
Lilly podnieść się i przytrzymuję ją, kiedy
wychodzimy. Lincoln mówi.
My już się nią zajmiemy.
Dokąd ją zabieracie?
Na odtruwanie.
Na ile?
Jakaś dobę.
Dobrze się nią zajmijcie.
Jasne.
Wyciąga do nas rękę, Lilly trzyma mnie mocniej.
Mówię, że wszystko w porządku musi już iść mówię,
że ją kocham. Zaczyna płakać. Delikatnie popycham
ją do Lincolna, który trzyma ją z jednej strony, a
Hank podchodzi z drugiej. Kiedy już jej nie trzymam
i jest bezpieczna w ich ramionach, spoglądam na
Lincolna.
Dziękuję.

Przytakuje.

Idź do łóżka. Jutro możesz sobie pospać, przyjdź do mnie do Gabinetu, kiedy się obudzisz.

Dobra.

Hank mówi.

I już się o nią nie martw, wszystko będzie w porządku.

Zaczynam się rozklejać.

Tak bardzo wam dziękuję. Dziękuję.

Lincoln przytakuje, Hank mówi nie ma sprawy. Odwracają się i zaczynają prowadzić Lilly, która znowu bełkocze coś bez składu i ładu, w stronę Skrzydła Medycznego Kliniki. Obserwuję ich i łzy płyną i próbuję nie szlochać. Wem, że jest w dobrych rękach, i wiem, że wszystko będzie w porządku, ale kiedy widzę ją w tym stanie, serce mi kurwa pęka, rozsypuję się, chcę umrzeć, żeby tylko ona mogła żyć. Patrzę, jak odchodzą, i płaczę.

Znikają na Oddziale Medycznym. Stoję sam przed Wejściem z twarzą w dłoniach i płaczę. Jest zimno i ciemno i jest środek nocy i nie mogę nic zrobić, mogę tylko płakać. Pozwalam sobie na to. Opłakuję ją i jej ból i Świat, który razem stworzyliśmy. Dałbym się zabić, gdybym mógł w ten sposób naprawić jej życie. Oddałbym za nią życie wcześniej wieczorem, oddałbym za nią życie w przyszłości. Gdyby to mogło coś zmienić, oddałbym za nią życie. Wiem, że to nic nie zmieni. Płaczę.

Przestaję płakać i odwracam się i wchodzę do środka. Na Recepcji jest kobieta mówimy do siebie cześć i idę na Oddział. Korytarze są puste i ciche, wszyscy śpią, a kiedy dochodzę do Pokoju, otwieram drzwi i po cichu wchodzę do środka. Miles jest w łóżku i jest zgaszone światło. Rozbieram się i wchodzę pod kołdrę do łóżka. Zaczynam znowu płakać.

Płakać po cichu.

Myślę o Lilly i płaczę.

To wszystko, co mogę zrobić.

Płakać.

Siedzę w Pokoju z Lilly. W jednej dłoni trzymam nabitą fife, w drugiej butelkę thunderbirda. Na podłodze między moimi stopami leży zapalniczka. Palę i piję do nieprzytomności. Uwielbiam to i nienawidzę.

Staruch jest z nami. Zaspokaja się przy pomocy Lilly. Siedzę i patrzę. Siedzę i palę. Siedzę i piję. Zależy mi tylko na fife. Zależy mi tylko na butelce. Jestem bezbronny. Uwielbiam to i nienawidzę.

Sny są prawdziwe na tyle, na ile sny bywają prawdziwe, i w nich widzę i słyszę i czuję i dotykam. W środku i na zewnątrz. Obrazy jak film, dźwięki w stereo. Crack i wino w moim ciele są prawdziwe, crack i wino w mojej głowie są prawdziwe. Tracę przytomność i ją odzyskuję, między świadomością a brakiem świadomości, między normalnością a

szaleństwem. Uwielbiam to i nienawidzę. Uwielbiam to i nienawidzę.

Rezygnuję ze spania. Wstaję z łóżka. Idę do Łazienki. Wchodzę pod prysznic i zmywam z siebie cały wczorajszy brud. Długo siedzę pod prysznicem.

Ubieram się i wychodzę z Pokoju i robię sobie kawę i schodzę do Gabinetu Lincolna. Na Dolnym Poziomie jest Spotkanie Grupy i kiedy przechodzę obok, czuję na sobie spojrzenia wszystkich mężczyzn. Nie patrzę na nich. Nie zauważam ich.

Przechodzę krótkim Korytarzem obok Budki Telefonicznej. Drzwi są otwarte, Lincoln siedzi przy biurku, czytając Niebieską Księgę, Wielką Księgę, Biblię Anonimowych Alkoholików. Kiedy wchodzę, spogląda na mnie i mówi.

Siadaj.

Siadam naprzeciwko niego.

Dobrze ci się spało?

Nie.

Koszmary?

Tak.

Spodziewałem się tego.

Dlaczego?

Bo byłeś blisko.

I tak to wygląda?

Przynajmniej u mnie, nawet po czternastu latach.

To chyba cena, jaką muszę zapłacić.

Chyba tak.

Lincoln przez chwilę na mnie patrzy. W odróżnieniu od większości naszych spotkań w jego spojrzeniu nie ma teraz gniewu ani krytyki. Podnosi książkę, mówi.

Czytałeś?

Tak.

No i co?

Nie podobało mi się. Nie brzmiało autentycznie.

Ostatnia noc dała mi sporo do myślenia.

Dlaczego?

Bo nie powinieneś był w stanie zrobić tego, co zrobiłeś.

Bo książka tak twierdzi?

Nie, bo moja wiara w tę książkę tak twierdzi.

Ja w nią nie wierzę, więc nie obowiązują mnie jej Reguły.

To czyje Reguły cię obowiązują?

Moje własne.

I co to za Reguły?

Jest tylko jedna: Nie rób tego. Nieważne, co się dzieje, nieważne, jak bardzo tego pragniesz, nie rób tego.

Myślisz, że to zadziała?

Tak.

Na dłuższą metę?

Tak.

Próbowałem tego.

Jak poszło?

Trzy razy mi się nie udało.

Co się stało?

Byłem Uzależniony od speeda. Brałem, szedłem do Ośrodka Odwykowego, nabijałem sobie parę dni na liczniku, nie słuchałem tego, co mi mówili. Wydawało mi się, że jestem silniejszy od nałogu, a kiedy wychodziłem, jak tylko mogłem zdobyć towar, brałem.

Jak to rzuciłeś?

W końcu się poddałem. Przyjechałem tutaj, słuchałem, robiłem to, co mi kazano, oddałem swoją wolę Bogu, tak jak go rozumiem, przepracowałem Dwanaście Kroków. To mnie uratowało.

To dobrze.

To prawda.

Uśmiecha się, przez chwilę na mnie patrzy. Spogląda na książkę i znowu na mnie.

Nie myślałem, że wczoraj to zrobisz.

Nie?

Słyszę tu sporo pierdolenia i większość z tego jest właśnie tylko tym, pierdoleniem.

Nie mógłbym spojrzeć sobie w oczy, gdybym czegoś nie zrobił.

Jeżeli to cię w ogóle obchodzi, a biorąc pod uwagę naszą dotychczasową relację, to cię nie musi obchodzić, jestem z ciebie dumny.

Dziękuję.

Ja bym tak nie potrafił. Nie poszedłbym za nią,

nie wszedłbym na ten Dworzec i na pewno nie poszedłbym do tego Budynku.

Dlaczego tak uważasz?

Wczoraj w nocy ryzykowałeś życie, i to nie tylko w dosłownym sensie, żeby kogoś uratować. Ja też ratuję Ludzi albo przynajmniej staram się ratować Ludzi, ale pod kontrolą i odbywa się to w ramach Systemu, w którym nie muszę niczego ryzykować. Nie wiem, co wczoraj widziałeś ani z kim się zadawałeś, ale jestem sobie w stanie wyobrazić, jak to musiało wyglądać, i wiem, że to nie było łatwe. Nie sądzę, żebym to zrobił.

Zakładam że, jadąc po mnie, ryzykowałeś Posadę.

Być może, ale zrobiłem to, bo na tle ryzyka, jakie ty byłeś w stanie podjąć, ryzyko utraty Pracy to nic wielkiego.

To było coś wielkiego i masz za to u mnie dług wdzięczności. I to ogromny.

Zrobisz dwie rzeczy i będziemy kwita.

Jakie?

Chciałbym, żeby przez resztę twojego pobytu dobrze nam się układało. Przyłożę się do tego, mam nadzieję, że ty też.

Uśmiecham się.

Nie ma sprawy. A druga?

Wczoraj wieczorem powiedziałeś, że udowodnisz mi, że się mylę.

No i?

Zrób to. Udowodnij mi, że się mylę.

Uśmiecham się.

Na bank spróbuję.

Patrzy na mnie.

Masz zrobić więcej niż tylko spróbować.

Patrzę na niego, przytakuję.

Zgoda.

Wstaje.

Łapa?

Wstaję.

Żebyś wiedział.

Wyciąga dłoń i wyciągam dłoń i nasze dłonie się spotykają. Uścisk jest mocny i zdecydowany patrzymy sobie w oczy i nawiązuje się więź szacunku. Puszczamy i mówię.

Mogę się dowiedzieć, co u niej?

W porządku.

Co się teraz stanie?

Dzisiaj będzie jeszcze na Oddziale Medycznym. Jeszcze raz zacznie Program i przerobi go od początku. Próbujemy się skontaktować z jej Babcią, bo według Regulaminu, jeżeli Pacjent odejdzie, a potem wróci, musi zapłacić za kolejny pobyt. W dalszym ciągu nie możesz się z nią kontaktować, ale jeżeli chcesz, mogę informować cię o jej stanie.

Chcę.

To właśnie zostałeś poinformowany.

Kiedy będziesz się z nią widział, powiedz jej, że ją kocham.

Uśmiecha się.

Powiem.

Dziękuję.

Powinieneś wracać.

Dobrze.

Jak będziesz czegoś potrzebował, wpadnij.

Dobrze. Dziękuję.

Przytakuje.

To ja dziękuję.

Odwracam się i wychodzę. Idę krótkim Korytarzem i wchodzę na Oddział. Kończy się Sesja Grupowa, mężczyźni idą do Stołówki na lunch. Widzę Leonarda i Milesa i idziemy razem do Stołówki.

Po drodze pytają, gdzie byłem, a ja opowiadam i obydwaj są zaszokowani. Tym, co zrobiła Lilly, i tym, co ja zrobiłem, tym, że ją odnalazłem i sprowadziłem z powrotem i że Lincoln i Hank mi pomogli. Pytają, czy było ciężko, i mówię, że tak. Pytają, czy zrobiłbym to jeszcze raz, i mówię, że tak i że zrobiłbym to samo dla każdego z was. Kiedy bierzemy tace i jedzenie, danie dnia to hiszpański ryż i kotlety wieprzowe, pytają, co u Lilly i co z nią teraz będzie. Opowiadam, choć opuszczam fragment o pieniądzech, bo to nie moja sprawa. Mówią, że bym dał im znać, jeżeli będą mogli jakoś pomóc. Dziękuję

im.

Siadamy przy stoliku w kącie z Tedem i Mattym. Matty ma przed sobą stertę gazet i szuka artykułów o dzisiejszej walce. Większość gazet obstawia zwycięstwo większego Boksera, choć Matty nadal jest zdania, że przegra. Czytając artykuły, opowiada o dziennikarzach, zna większość z nich z czasów swojej kariery, a tych, z którymi się nie zgadza, nazywa galantami, półdupkami i wujami. Wiemy, że to wynik jego starań, żeby przestać przeklinać, i wszystkich nas to bawi. Leonard pyta, dlaczego nie używa prawdziwych wyrazów, a Matty mówi, że już od trzech dni nie używał mowy Szatana i nie zacznie teraz tylko z powodu jakiejś fajowej zarąbistej walki.

Po lunchu idziemy na Wykład. Gramy w karty w ostatnim rzędzie. Leonard zgarnia większość pieniędzy, ale po wszystkim nam je oddaje. Kiedy wychodzimy z Wykładu, widzę Kena stojącego koło drzwi z Randallem, Prawnikiem przydzielonym do mojej sprawy. Patrzę na Randalla, mówię.

Coś nowego?

Możemy porozmawiać w Gabinetcie Kena?

Mówię tak i idziemy do Gabinetu Kena. Z każdym krokiem moje stopy robią się cięższe i zaczyna mnie trawić lęk. Patrzę na Kena i Randalla w nadziei, że wyraz twarzy któregoś albo obydwu da mi wskazówkę co do mojego losu, ale nic nie widzę. Idziemy, moje stopy robią się cięższe i lęk narasta.

Czuję się, jakbym właśnie szedł do celi.

Ken otwiera drzwi i siada za biurkiem, a Randall i ja siadamy naprzeciwko. Randall trzyma na kolanach skoroszyt i otwiera go i patrzy na mnie i się uśmiecha. Spodziewam się najgorszego, więc jego uśmiech mnie drażni. Mówi.

Właściwie nie chcę tego wiedzieć, ale jeżeli nie zapytam, to będzie mnie już zawsze gnębiło.

Czeka na jakąś reakcję. Patrzę na niego. Boję się i jestem zirytowany i wolałbym, żeby się nie ociągał. Znowu się uśmiecha.

Kim są twoi przyjaciele?

Co?

Kto ci to załatwił?

Nie mam pojęcia, o czym gadasz.

Śmieje się.

Możesz mi powiedzieć.

Zaczynam się denerwować.

Nie mam pojęcia, o czym kurwa bredzisz.

Ken mówi.

Spokojnie, James.

A ty się Ken kurwa nie wtrącaj.

Randall patrzy na mnie.

Dostaliśmy dziś rano propozycję trzech do sześciu miesięcy w Areszcie Rejonowym i trzy lata Nadzoru Kuratorskiego. Wszystkie ciężkie przestępstwa zostały sklasyfikowane jako wykroczenia i jeżeli przejdiesz przez Nadzór bez

wpadki, zostaną wymazane z twojej Kartoteki.

Uśmiecham się.

Nie pierdol.

Kręci głową.

Nie pierdolę.

Śmieję się.

Co się stało?

Prokuratora powiedziała, że wyłoniły się jakieś problemy, coś z brakującym materiałem dowodowym, i że parę osób dzwoniło w twojej sprawie. Kiedy zacząłem naciskać o konkrety, nie udało mi się niczego dowiedzieć.

Śmieję się jeszcze raz. Jestem uradowany.

Kiedy mam się stawić?

Chcesz przyjąć?

No jasne kurwa.

Biorąc pod uwagę tę niespodziewaną zmianę, może poszczęściłoby ci się na Rozprawie.

Chcę już tylko mieć to z głowy.

Rozumiem. To ja się zajmę robotą papierkową.

Kiedy muszę się zgłosić?

W ciągu najbliższych dziesięciu dni.

Uśmiecham się.

No jasne.

Ken mówi.

Nie mogę uwierzyć, że tak się cieszysz z odsiadki.

Cieszę się, bo trzy do sześciu miesięcy w

Rejonowym to pierdolone ciastko z kremem.

To jednak Areszt. Będziesz zamknięty.

Ale to nie Więzienie. W Rejonowym będę siedział z facetami, którzy prowadzili po pijanemu, bili żony, i z Dilerami trawy. Z nimi nie powinienem mieć problemów.

To jednak Areszt.

Ciastko z kremem.

Randall mówi.

Czy domyślasz się, jak to się stało?

Uśmiecham się.

Mam pewną koncepcję.

Mógłbyś się nią podzielić?

Gdybym to zrobił, Ludzie, których podejrzewam, mogliby nie być zadowoleni.

Rozumiem.

Zamyka skoroszyt, wstaje.

Podrzucę papiery, kiedy tylko je dostanę.

Wstaję.

Bardzo dziękuję za pomoc.

Chyba są jeszcze inni ludzie, którym powinienem podziękować.

Nie omieszka, ale tobie również dziękuję.

Jasne.

Podajemy sobie dłonie, Randall wychodzi, a ja siadam. Ken patrzy przez chwilę w skoroszyt, potem na mnie.

Dzisiaj rano omówiłem z Joanną twój Program i

wydaje nam się, że jesteś gotów na dwa ostatnie kroki, którymi się tu zajmujemy, czyli Krok Czwarty i Krok Piąty.

To, że nie zrobiłem pozostałych, nie ma już znaczenia?

Czy masz zamiar je zrobić?

Nie.

No to porozmawiajmy o Czwartym i Piątym.

W porządku.

Krok Czwarty, dokonaliśmy dogłębnej i bezlitosnej moralnej Inwentaryzacji samych siebie. Krok Piąty, przyznaliśmy przed Bogiem, przed samym sobą i przed innym człowiekiem, na czym dokładnie polega natura naszych wykroczeń.

Moja Spowiedź.

Tak.

Oprócz tego kawałka o Bogu, nie ma sprawy.

Zalecamy, żeby w trakcie Inwentaryzacji wszystko zapisywać.

W porządku.

I zalecamy, żeby Spowiedzi dokonać w obecności Księdza.

Po co?

Bo oni mają w tym doświadczenie. Nie oceniają i są obiektywni. Większość ludzi uważa, że tak jest najlepiej.

Opuszczam wzrok, zastanawiam się, przypominam sobie. Biorę głęboki oddech.

Ken mówi.
Mogę spróbować znaleźć kogoś innego.
W porządku.
Kiedy to będzie?
Zależy od tego, ile ci zajmie przygotowanie Inwentaryzacji.
Jutro będę gotowy.
Większość ludzi potrzebuje trzech, czterech dni.
Wiem, co powiedzieć.
James, potraktuj to poważnie.
Oczywiście. Obiecuję.
Czy odpowiadałoby ci przeprowadzenie Kroku Piątego pojutrze?
W porządku.
Zarezerwuję dla ciebie Pokój. Zastanów się, czy chcesz Księdza, czy nie.
Może być Ksiądz.
Jeżeli masz jakieś pytania, przyjdź do mnie.
Dobra.
Wstaję i dziękuję mu i wychodzę. Wracam na Oddział, gdzie Lincoln prowadzi zajęcia o Zapobieganiu Nawrotom i Rozpoznawaniu wyzwalaczy. Stoi przy tablicy i mówi. Mężczyźni siedzą przed nim na kanapach i fotelach.
Szukam miejsca, żeby usiąść. Na jednej z kanap są dwa miejsca po obu stronach mężczyzny. To nowy mężczyzna, mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Ma włosy jak strąki, długie, zafarbowane

na czarno. Ma na sobie czarne skórzane spodnie i czarny T-shirt z nadrukiem szkieletu. Nie ma lewej ręki, prawą musiał mieć amputowaną niedawno tuż nad łokciem. To, co z niej zostało, jest zawinięte w bandaż i umieszczone w plastikowej szynie, która wystaje mu spod koszulki. Szyna przytrzymuje kikut nad klatką piersiową, równoległe do podłogi. Dokoła szyi ma wytatuowanego czerwonego węża, a dolna część powiek wydaje się wytatuowana na czarno. Same oczy są mętnobrazowe. Patrzą prosto przed siebie. Są nieruchome. Nic w nich nie ma.

Chcę usiąść gdzie indziej, ale nie ma żadnego wolnego miejsca. Siadam obok mężczyzny i próbuję skupić się na tym, co mówi Lincoln, ale nie potrafię. Obok tego mężczyzny czuję się nieswojo i łypię na niego kątem oka. Patrzę na kikut jego prawej ręki. Bandaże są czyste, ale pod nimi jego skóra jest jasnoniebieska z zielonkawoczarnymi plamami. Patrzę na jego szyję i podążam za oplatającym ją węzem. Głowa węża widnieje na grdyce i ma otwartą szczękę i syczy, widzę, że ogon znika na plecach mężczyzny. Patrzę na jego twarz. Cera jest bladożółta, pozostałość po żółtaczce, na policzkach ma niewielkie blizny, jakby zaciął się odłamkiem szkła albo maszynką, a na brwiach, ustach, nosie i uszach ma ślady po piercingu.

Gorsze od wszystkiego, co widzę, jest to, co czuję. Mężczyzna śmierdzi zgnilizną, jakby było w

nim coś, co albo umiera, albo już jest martwe, jakby to coś było tam od dłuższego czasu. Ten smród jest prawie widoczny, a kiedy oddycha i wydycha z siebie powietrze, pojawia się równie paskudny zapach. Kwaśny i nieco chemiczny, stary i niewiarygodnie brudny. Jakby mył zęby mieszanką ścieków i oleju silnikowego. Jakby ostatni raz robił to parę lat temu.

Nie tylko do mnie dociera ten zapach. Nie tylko ja patrzę na mężczyznę. Wszyscy na Sali, włącznie z Lincolnem, zwracają uwagę na jego obecność. Niektórzy, jak ja, obserwują go kątem oka. Niektórzy po prostu na niego patrzą. Ci siedzący najbliżej krzywią się, czując zapach, albo machają dłonią przed nosem, żeby się go pozbyć. Ci siedzący dalej wiercą się na siedzeniach, przyjmują nienaturalne pozycje, węższą, jakby chcieli się upewnić, że to, co chyba czują, rzeczywiście jest tym, co czują. A jest. I jest kurwa paskudne. Jest w nim coś martwego i to się powoli rozkłada.

Na zakończenie Sesji Lincoln mówi, że resztę popołudnia mamy wolną i że kolacja jest dzisiaj na Oddziale o wpół do siódmej. Ktoś pyta dlaczego, a Lincoln mówi poczekaj, to zobaczysz, i wypuszcza nas. Większość mężczyzn szybko wstaje. Wychodzą z Sali albo przechodzą do części, gdzie fetor nie jest taki intensywny. Wstaję i podchodzę do Leonarda i Milesa, którzy siedzą razem pod ścianą. Kiedy się do nich zbliżam, spoglądają na mnie. Uśmiecham się i

mówię.

Bardzo wam obu dziękuję.

Spoglądają na siebie. Wyglądają na zdezorientowanych. Patrzą znowu na mnie i Leonard mówi.

Za co?

Miałem właśnie spotkanie z Prawnikiem, który zajmuje się moim szajsem.

Miles mówi.

No i?

Znowu się uśmiecham.

Trzy do sześciu miesięcy w Areszcie Rejonowym. Mam się zgłosić w ciągu dziesięciu dni.

Leonard się uśmiecha, Miles mówi.

Jesteś zadowolony?

Przytakuje.

Pewnie, jestem bardzo zadowolony.

Miles przytakuje.

To dobrze.

Wydaje mi się, że wasza dwójka miała z tym coś wspólnego, więc chciałbym wam podziękować.

Leonard patrzy na Milesa, Miles patrzy na Leonarda. Leonard mówi. Zrobiłeś coś?

Miles kręci głową.

Nie. A ty?

Leonard kręci głową.

Nie, ja nic nie zrobiłem.

Miles się uśmiecha.

A gdybyś zrobił, biorąc pod uwagę nasze pozycje na przeciwległych krańcach sceny prawnej, z pewnością byś tego ze mną nie omawiał. Leonard się uśmiecha.

Raczej kurwa nie. Zaczynam się denerwować, omawiając z tobą pogodę.

Miles się śmieje. Mówię.

Czyli tak to chcecie rozegrać?

Obaj patrzą na mnie. Obaj się uśmiechają. Miles mówi.

James, powiedzmy, że jesteś młodym człowiekiem, któremu sprzyja los.

Leonard przytakuje.

Niezwykłe kurwa sprzyja.

Uśmiecham się.

Dziękuję.

Miles wstaje i mówi, że musi zadzwonić do paru osób, Leonard wstaje i mówi, że są pewne sprawy, którymi musi się zająć do wieczora. Wchodzę na piętro i idę do Pokoju i otwieram drzwi i siadam na łóżku i biorę książkę. Brakowało mi tej mojej chińskiej książeczki. Czterdzieści cztery. Co jest ważniejsze, sława czy mądrość. Co jest cenniejsze, pieniądze czy szczęście. Co jest bardziej niebezpieczne, sukces czy porażka. Jeżeli będziesz szukać spełnienia w innych, nigdy nie będziesz spełniony. Jeżeli twoje szczęście zależy od pieniędzy, nigdy nie będziesz szczęśliwy. Ciesz się z tego, co

masz, i raduj się z tego, jak jest. Kiedy dotrze do ciebie, że masz wszystko, czego ci potrzeba, Świat stanie przed tobą otworem.

Trzydzieści sześć. Jeżeli chcesz coś zmniejszyć, musisz to najpierw nadmuchać. Jeżeli chcesz się czegoś pozbyć, musisz najpierw pozwolić temu rozkwitnąć. Jeżeli chcesz coś wziąć, musisz pozwolić, żeby było dane. Miękkie pokona twarde. Wolne zwycięży szybkie. Nie opowiadaj ludziom o metodzie, tylko pokaż im rezultat. Siedemdziesiąt cztery. Jeżeli zrozumiesz, że wszystko ulega nieustannej zmianie, nie będzie nic, czego się będziesz trzymać, wszystko ulega zmianie. Jeżeli nie boisz się śmierci, nie ma nic, czego nie możesz zrobić. Próba wpłynięcia na przyszłość to jak podszywanie się pod Cieślę. A jak będziesz korzystał z narzędzi Mistrza Cieśli, możesz się skaleczyć.

Trzydzieści trzy. Umiejętność rozumienia innych to inteligencja, umiejętność rozumienia siebie to mądrość. Umiejętność kierowania innymi to siła, umiejętność kierowania sobą to potęga. Jeżeli zrozumiesz, że to, co masz, wystarczy, jesteś bogaty, naprawdę bogaty. Pozostań w środku i przyjmij pokój, prostotę, cierpliwość i współczucie. Przyjmij możliwość śmierci i wytrzymasz. Przyjmij możliwość życia i wytrzymasz.

Ta mała książeczka mnie karmi. Karmi mnie strawą, o której istnieniu nie wiedziałem, karmi mnie

strawą, której chciałem zakosztować, a nigdy nie zakosztowałem, strawą, która mnie pożywi i nasyci i utrzyma przy życiu. Czytam ją, a ona mnie karmi. Pozwala mi zrozumieć, czym jest moje życie w najprostszym sensie, jest po prostu tym, czym jest, i w tym sensie mogę sobie z nim radzić. Nie jest skomplikowane, chyba że je takim uczynię. Nie jest trudne, chyba że mu na to pozwolę. Sekunda to nie więcej niż sekunda, minuta nie więcej niż minuta, dzień nie więcej niż dzień. Przemijają. Wszystkie rzeczy i cały czas przemienie. Nie zmuszaj ani się nie lękaj, nie kontroluj ani nie trać kontroli. Nie walcz i nie przestawaj walczyć. Przyjmij i przetrwaj. Jeżeli przyjmiesz, przetrwasz. Odkładam książkę i zamykam oczy. Nie czuję spokoju i nie czuję chaosu. Nie mam nadziei ani mi jej nie brakuje. Nie jestem zdenerwowany i nie spieszy mi się. To, co czuję, to nie jest uciekający czas, to tylko czas, który upływa, tak jak upływa i tak jak powinien upływać. To, co się stanie, stanie się. To po prostu życie i wydarzenia, które zachodzą podczas trwania życia. Tak jak akceptuję to, że leżę na łóżku teraz w tej chwili nieruchomo i bez ruchu moje oczy zamknięte, a ciało spokojne, tak samo zaakceptuję wydarzenia swojego życia, kiedy nadejdą. Będę sobie z nimi radził. Dobrymi i złymi, nadejdą takie i takie. Zaakceptuję je tak samo, jak akceptuję siebie teraz. Nadchodźcie.

Otwieram oczy i biorę książkę i czytam dalej.

Czytam słowa takie jak harmonia, zadowolenie, pokora, zrozumienie, intuicja, strawa. Czytam słowa takie jak otwarty, płynny, chłonny, zrównoważony, pierwotny. Czytam, że jeżeli zamkasz umysł w osądach i przemycasz tam pożądanie, twoje serce będzie pełne trosk. Czytam, że jeżeli powstrzymasz umysł od osądów i nie dasz się zwodzić zmysłom, twoje serce odnajdzie pokój. Czytam zamknij usta, odetnij zmysły, wycisz gwałtowność. Czytam rozplącz węzły, złagodź spojrzenie, pozwól pyłowi opaść. Czytam jeżeli chcesz poznać Świat, zajrzyj we własne serce. Czytam jeżeli chcesz poznać siebie, zajrzyj we własne serce. Odkładam książkę kładę ją sobie na piersi. Zamykam oczy łóżko pode mną jest ciepłe i miękkie. Nie ruszam się tylko leżę pode mną jest ciepło i miękko. Oddycham cicho.

Myślę.

Nie myślę.

O sobie. o Świecie.

Takim, jaki jest.

Łóżko pode mną jest miękkie i ciepłe.

Leżę.

Drzwi otwierają się słyszę. Minał jakiś czas nie wiem jak długo. Słyszę drzwi i otwieram oczy i Miles wchodzi jego oczy są podpuchnięte. Podnoszę się.

Co się dzieje?

Podchodzi do łóżka, siada.

Przez ostatnie półtorej godziny rozmawiałem z

Zoną przez telefon. Jak poszło?

Spuszcza wzrok i kręci głową. Wstaję i podchodzę do niego i nachylam się i obejmuję go. On też mnie obejmuje i zaczyna płakać. Nie wiem, co powiedzieć, więc nic nie mówię. Obejmuję go i pozwalam mu się obejmować i mam nadzieję, że jakoś, w jakiś sposób, mogę mu tak pomóc. Nie wiem, co powiedziała jego Zona, ale wiem, że potrzebna mu jest pomoc. Jego płacz przechodzi w szloch, przechodzi w gwałtowny szloch. Mocno mnie ściska. Moje ręce go obejmują, to moja jedyna broń przeciwko jego smutkowi. Siedzimy, on płacze, a ja go obejmuję. Cokolwiek się stało stało się opowie o tym jeżeli będzie chciał moje ręce to moja jedyna broń. Siedzimy i Miles płacze.

Gwałtowny szloch przechodzi w szloch przechodzi w płacz. Przestaje. W Pokoju jest cicho. Robi się ciemno Słońce zaszło ostatnie gasnące promienie światła wpadają przez okno. Odsuwa się i mówi, że chciałby zostać sam. Wstaję i wychodzę z Pokoju. Zamykam za sobą drzwi.

Wchodzę na Oddział, to dziś dom wariatów. Mężczyzna w niebieskim kombinezonie instaluje dekoder na telewizorze. Inni mężczyźni w białych spodniach i białych koszulach i białych butach ustawiają stoły. Większość mężczyzn z Oddziału stoi w małych grupkach, rozmawia o tym, co się dzieje i co robią ci ludzie. Słyszę, jak mężczyzna pyta faceta

od Kabłówki, po co tu przyjechał, i facet od Kabłówki mówi nie wolno mi o tym rozmawiać. Słyszę, jak inny pyta jednego z Zaopatrzeniowców i Zaopatrzeniowiec mówi nie wolno mi o tym rozmawiać.

Robię sobie kawę, zapalam papierosa, szukam miejsca, żeby usiąść. Chcę siedzieć sam. Kiedy zaczynam rozglądać się za wolnym krzesłem, z Budki Telefonicznej wychodzi mężczyzna i woła moje imię. Pytam co jest i mówi, że to do mnie. Pytam kto to, a on mówi, że nie wie.

Podchodzę do aparatu wchodzę do Budki podnoszę słuchawkę. Halo.

Cześć, James.

Matka i Ojciec witają się ze mną. Połączenie jest z daleka. Słyszać lekkie echo i lekki pogłos.

Cześć.

Matka mówi.

James, chcieliśmy cię przeprosić.

Za co?

Za to, że musieliśmy wcześniej wyjechać. Fatalnie się przez to czujemy.

To przestańcie.

Na pewno?

Tak. Jestem wam wdzięczny, że w ogóle przyjechaliście.

Ojciec mówi.

James, dziękuję.

Nie ma sprawy.

Jakieś wieści?

Randall się pojawił.

Matka mówi.

I co powiedział?

Trzy do sześciu miesięcy w Areszcie Rejonowym w Ohio. Trzy lata Nadzoru Kuratorskiego. Jeżeli w nic się nie wpakuję, mam czystą Kartotekę.

Ojciec mówi.

To wspaniała wiadomość. Jak to się stało?

Chichoczę.

Nie jestem pewien.

Matka mówi.

Dlaczego się śmiejesz?

Po prostu się cieszę. To naprawdę jak kamień z serca.

Ojciec mówi.

Kiedy masz się zgłosić?

W ciągu dziesięciu dni.

Kiedy stąd wyjeżdżasz?

Nie wiem, ale niedługo.

Cisza. Czuję, jak Rodzice wyobrażają sobie swojego młodszego Syna siedzącego w celi. W tej ciszy jest napięcie podkreślone głębokimi oddechami i krokami. Słyszę, jak Matka zaczyna płakać, a echo jej wtóruje, Ojciec stoi obok. Pyta, czy może zadzwonić później, a ja mówię tak i mówię, że mnie

kocha, a ja mówię, że go kocham, i rozłączamy się.

Otwieram drzwi Budki Telefonicznej i wracam na Oddział. Stoły są poustawiane i przykryte białymi obrusami, na nich są białe talerze, widelce i noże i szklanki. Nie widzę Zaopatrzeniowców, ale wiem, że gdzieś tu są, bo czuję zapach, zapach wysokokalorycznego, pikantnego, gorącego jedzenia. Ten zapach natychmiast wywołuje u mnie głód natychmiast umieram z głodu. Chcę zaraz. Dziesięć naładowanych talerzy i to kurwa zaraz.

Wchodzę na Górny Poziom. Stoję z Mattym i Tedem. Pytam, czy wiedzą, co jest grane. Matty mówi nie, ale jest głodny, i jak zara nie dadzą mu kurna tego cholernego żarcia, to on tu zara opipieje. Ted wzrusza ramionami i mówi, że nie ma pojęcia.

Lincoln wchodzi na Oddział, rozgląda się i mówi.

Wszyscy są?

Mężczyźni patrzą po sobie. Nieznany głos odpowiada.

Milesa nie ma.

Inny Głos.

I Leonarda.

Lincoln mówi.

Ktoś wie, gdzie jest Miles?

Mówię.

W naszym Pokoju. Chyba nie chce, żeby mu przeszkadzać. Przytakuje, mówi.

Ktoś widział Leonarda?
Mężczyźni patrzą po sobie.
Nikt?
Kręcą głowami.
Nikt?
Lincoln uśmiecha się, podnosi głos.
Leonard.
Jeszcze raz, tylko głośniej.
Leonard.
Wrzeszczy.
LEONARD.

W jednym z Korytarzy zaczyna grać muzyka. To tytułowa piosenka ze sławnego filmu o boksie, o nieznanym patafianie z Filadelfii, który prawie zdobywa tytuł Mistrza Wagi Ciężkiej. Wszyscy mężczyźni się uśmiechają, kilku się śmieje. Muzyka się zbliża, robi się coraz głośniejsza i wszyscy odwracają się w stronę drzwi, z których wyskakuje Leonard w śnieżnobiałym garniturze. W jednej dłoni ma niewielki magnetofon na baterie, drugą, zwiniętą w pięść, trzyma nad głową.

Słysząc wiwaty, śmiech, kilku mężczyzn rzuca w niego papierkami po cukierkach albo skrawkami papieru. Staje obok Lincolna, wyłącza magnetofon, gestem prosi o spokój. Kiedy jest już cicho, mówi. Przyjaciele, mamy powód, żeby świętować.

Więcej wiwatów. Leonard czeka, aż ucichną, i mówi dalej. Wczoraj rano nasz przyjaciel Lincoln

powiedział mi, że jutro stąd wychodzę. Żeby to uczcić, i przez szacunek dla was wszystkich, i przez szacunek dla tego miejsca, dziś odbędzie się uczta.

Kolejne wiwaty. Leonard i Lincoln się uśmiechają. Kiedy wiwaty cichną, Leonard mówi.

Zamówiłem steki i homary z Minneapolis, na deser będzie jabłecznik i lody, a w trakcie pooglądamy sobie Mistrzostwa Świata Wagi Ciężkiej. Mężczyźni szaleją, wiwatują i krzyczą i klaszczą. Rzucają się, żeby podziękować Leonardowi i Lincolnowi i uścisnąć im dłoń. Kiedy to robią, rozsuwają się szklane drzwi i Zaopatrzeniowcy zaczynają wnosić duże talerze pełne befsztyków z polędwicy, gotowanych homarów, pieczonych ziemniaków i olbrzymie półmiski sałatki cesarskiej. Ustawiają je na stołach i natychmiast tworzą się kolejki. Stoję na Górnym Poziomie i obserwuję to wariactwo. Patrzę, jak mężczyźni biorą jedzenie, olbrzymie kopy jedzenia. Patrzę, jak Leonard kontroluje Salę, mówi jedzcie, ile chcecie, milej zabawy, świętujemy. Patrzę, jak Lincoln obserwuje jak dumny Ojciec. Patrzę, jak mężczyźni rzucają się na jedzenie, jakby nie jedli od lat. To są wszystko Narkomani i Alkoholicy i jedzenie to ich paliwo. Patrzę, jak kilku wraca po repetę, patrzę, jak kilku wraca po jeszcze jedną. Sam jestem głodny, ale przyglądanie się temu to piękna sprawa. Pierwszy raz od kiedy tu jestem, a wydaje się, jakbym tu był od

zawsze od zawsze od pięćdziesięciu pierdolonych lat od zawsze, wszyscy na Oddziale uśmiechają się i wszyscy wydają się szczęśliwi. Mężczyźni rozmawiają i śmieją się i są w swoim żywiole. W ich rozmowach i żartach nie pada ani jedno słowo o nałogu ani Alkoholizmie, ani utracie Pracy i Rodziny. Mężczyźni przemieszczają się, przełamują bariery małych grup, w jakie się zbieramy, małych oddziałowych klik, i robią to tylko i wyłącznie po to, żeby się dobrze bawić. Nasza przeszłość nie istnieje, nasza przyszłość to tylko odległy lęk. Nasz gniew i nasza nienawiść, nasza porażka i nasz wstyd, nasz żal i nasze przerażenie i upokorzenie, z którym żyjemy, poszły w zapomnienie. Fakt, że żaden z nas nie jest zdrowy na ciele ani na umyśle, ani w żadnym istotnym sensie, nie ma znaczenia. W tej chwili jesteśmy tacy jak mężczyźni w całym Kraju, na całym Świecie, jemy i bawimy się, szykujemy do oglądania walki. Nie jesteśmy w Ośrodku Odwykowym i nie jesteśmy rozjebani. Jesteśmy mężczyznami, którzy jedzą i bawią się i szykują do oglądania walki. Sam jestem głodny, ale przyglądanie się temu to piękna sprawa. Piękna sprawa.

Słyszę, jak ktoś mnie znowu woła. Spoglądam na jedną z kanap, Leonard mnie woła. Pokazuje na wolne miejsce koło siebie i mówi, że je dla mnie trzyma, mam nałożyć sobie jedzenie i dobrze się bawić. Uśmiecham się i zaczynam iść do stołów.

Kiedy mijam stół tuż przy schodach, zauważam Bezrękiego Mężczyznę. Wokół niego jest pusto. Siedzi sam.

Hej.

Spogląda na mnie. Jego oczy są martwe.

Chcesz, żeby coś ci podać?

Patrzy na mnie.

Mogę ci przynieść, na co masz ochotę. Jak chcesz, mogę cię nawet nakarmić.

Śmieje się.

Stary, pierdol się.

Co?

Stary, to wszystko pierdoły. To całe pierdolenie.

To znaczy niby co?

Takie sobie udawanie. Większość z tych chujków będzie za pół roku martwa albo zaćpana. To wszystko to jebany żart.

Chcesz jedzenie czy nie?

Chcę jebanej hery. Przyniósłbyś?

Przepraszam.

Zaczynam odchodzić.

Chcę pierdolonej hery, Pierdolcu. Przyniesiesz?

Schodzę na dół. Ignoruję go. Kiedy ustawiam się w kolejce po jedzenie, słyszę, jak odpycha krzesło i mówi pierdołę was, wszystkich was pierdołę. Biorę talerz i wielki befszyk z polędwicy i jaskawego czerwonego homara i piezonego ziemniaka.

Przecinam ziemniaka na pół i nakładam warstwę

masła i łyżkę śmietany. Nie zawracam sobie głowy sałatką. Na końcu stołu jest lodówka z napojami gazowanymi i biorę puszkę piwa korzennego. Piwo korzenne wystarczy.

Siadam obok Leonarda i zaczynam jeść. W trakcie jedzenia słucham, jak on i Matty i Uzależniony od xanaxu Pediatra i Uzależniony od cracku Prawnik rozmawiają o walce. Matty nadal dopinguje mniejszego mężczyznę, Leonard większego. Lekarz opowiada o ciosach w głowę, które obydwaj przyjmują i o sile ciosów w stosunku do ich masy. Wydaje mu się, że wygra większy. Prawnik twierdzi, że mniejszy. Ma takie przeczucie.

Jem powoli. Zaczynam od steku, kroję go na kawałki, kroję kawałki na mniejsze kawałki. Zjadam kawałki jeden po drugim, co pewien czas kładąc na wierzch kawałek ziemniaka, co pewien czas maczając widelec w maśle i śmietanie. Delektuję się każdym kęsem i czekam, aż się rozpułynie. Czekam, aż smak krwistego czerwonego mięsa wsiąknie mi w język, czekam, aż soki wypełnią mi usta. To walka, żeby nie zjeść więcej, żeby nie zjeść trzech albo czterech kawałków naraz, żeby nie zjeść pięciu steków albo może dziesięciu albo tylu, ile dostanę, ale to nie jest trudna walka. To, co jem, jest lepsze niż cokolwiek, co jadłem, sięgając pamięcią w zamierzłą przeszłość.

To, co mam, mi wystarcza. Jestem zadowolony.

Kończę stek, zaczynam przełamywać homara. Zrywam górną część skorupy, odrywam ogon od korpusu. Rozcinam miękką tkankę ogona i wyciągam mięso w jednym grubym kawałku. Trzymam je w dłoni i maczam w resztkach masła. Odgryzam kęs. Trzymam kęs w ustach i czekam, aż się rozpułynie, i połykam. Robię to jeszcze raz i jeszcze raz. Kiedy kończę z ogonem, rozrywam szczypce. Wytriągam mięso i zjadam. Szczypce są tak dobre jak ogon.

Kończę i jestem szczęśliwy i jestem syty. Wstaję z talerzem i patrzę na stoły, jest na nich jeszcze jedzenie. Nic nie biorę. Powstrzymuję odruch zjedzenia wszystkiego, co widzę, nażarcia się do nieprzytomności, zjedzenia tyle, żebym stracił czucie, jedzenia, aż przestanę cokolwiek odczuwać.

Oczyszczam talerz z resztek, wkładam talerz do pojemnika z resztą talerzy. Biorę nowy talerz z nowym stekiem i nowym homarem i nowym ziemniakiem. Chcę tak bardzo cholernie chcę chcę chcę. Idę do Pokoju. Pukam, nikt nie odpowiada. Otwieram drzwi i wchodzę. Miles leży na łóżku z twarzą w poduszce. Nie chcę mu przeszkadzać. Kładę talerz na jego szafce i wychodzę. Zamykam za sobą drzwi i wracam na swoje miejsce.

Rozglądam się. Patrzę na innych mężczyzn, większość z nich nadal je. Większość ma resztki jedzenia na twarzy i na koszulach, większość zapomniała o nożach i widelcach, większość je

rękami. Rozrywają steki na kawałki i wpychają je sobie do ust, rozrywają homary na kawałki i wpychają je sobie do ust, trzymają ziemniaki w dłoniach i jedzą je jak jabłka. Przeżuwają z otwartymi ustami i wpychają więcej jedzenia, jeszcze zanim zdążą połknąć to, co już przeżuwają. W krótkich chwilach między kolejnymi kęsami wycierają resztki rękawem, zewnętrzną stroną dłoni, papierowymi serwetkami tak zabrudzonymi, że zaczynają rozmiękać. Oblizują palce i usta, oblizują zewnętrzną stronę dłoni, oblizują kości steków, ssą połamane skorupy homarów.

Śmieję się z tego, co widzę. To jak scena z Rzymu. Orgia jedzenia i nadmiar potrzeb i pragnień. Orgia obżarstwa i chciwości i głodu. Nikogo nie obchodzi, jak wygląda ani jak się zachowuje, wszyscy chcą tylko jeszcze jeszcze jeszcze. Nie obchodzą ich nałogi nałogi przez które się tutaj znaleźli i nad którymi mają się nauczyć panować. Nałogi zostały uwolnione. Jedzenie to narkotyk, drink, chemia, substancja. Nikogo nie obchodzi, że bierze tyle, ile może, że ma więcej, niż potrzeba. Gdyby mogli, ci mężczyźni zjedliby meble, półki, talerze, serwetki, stoły, automat z kawą. Rozszarpaliby podłogę zjedliby wykładzinę, klej, gwoździe, klepkę. Gdyby nie to, że mają w nim oglądać pojedynki, przypuszczalnie zjedliby telewizor.

Nikogo nie obchodzi, co je. Wszyscy po prostu chcą kurwa jeszcze. Leonard patrzy na zegarek. Wstaje, jego biały garnitur cały w plamach, i ogłasza, że zbliża się godzina pojedynku. Mężczyźni pędzą, żeby zająć wolne miejsca przed telewizorem, pędzą do stołów po resztki z wielkiej uczyty. Lincoln podchodzi i mówi Leonardowi, że musi iść do Domu. Leonard wstaje i dziękuje Lincolnowi, że się na to zgodził, po czym ogłasza reszcie mężczyzn wyjście Lincolna. Lincoln wychodzi przy akompaniamencie wiwatów.

Kiedy go już nie ma, Leonard wyciąga gruby zwitek banknotów i notatnik i ogłasza, że przyjmuje zakłady. Mężczyźni rzucają się i zaczynają obstawiać, zawierają tyle zakładów, że Leonard nie nadaża. Pięćdziesiąt dolców, dziesięć dolców, para butów wartych piętnaście dolców, zegarek, złoty naszyjnik, bransoletka, orgia w toku. Jakiś mężczyzna chce postawić swoją obrączkę, ale Leonard mu nie pozwala.

Patrzę, co się dzieje w telewizji. Różni eksperci stawiają prognozy dotyczące wyniku walki. Matty, który siedzi naprzeciwko Leonarda, konwersuje z mężczyznami w telewizji swoim pseudowulgarnym żargonem, nazywając ich albo przemądrymi Sunisynami albo kalesyńskimi Szurwielami. Ktoś proponuje, żeby dał sobie spokój i zaczął znowu przeklinać, a on odpowiada nie ma mowy nie ma

mowy, nigdy więcej nie będę już biurwa przeklinać.

Komentatorzy ogłaszają, że walka zaraz się zacznie, i na Sali robi się cicho, wszyscy mężczyźni koncentrują się na telewizorze. Bokserzy wychodzą na Ring. Większy, Pretendent, wchodzi pierwszy. Ma jakieś sześć stóp pięć cali wzrostu, waży niecałe dwieście czterdzieści funtów i ma ciało niedźwiedzia z grubą warstwą mięśni i cienką warstwą tłuszczu. Mniejszy mężczyzna, obecny Mistrz, ma sześć stóp trzy cale i waży dwieście dwadzieścia pięć funtów. W odróżnieniu od przeciwnika na jego ciele nie ma w ogóle tłuszczu, a jego ciemna skóra lśni, jakby był wyrzeźbiony z polerowanej stali. Obydwu pokrywają kropelki potu, co oznacza, że są już rozgrzani i gotowi do walki. Zapowiada się rozrywkowy wieczór.

Po Hymnie i prezentacjach słychać dzwonek rozpoczynający pierwszą rundę. Runda w boksie ma trzy minuty, a między każdą z dwunastu rund jest minutowa przerwa. W większości walk bokserzy przez pierwsze dwie rundy próbują wybadać mocne i słabe strony przeciwnika. Następnie reszta pojedynku upływa na unikaniu mocnych stron przeciwnika i wykorzystywaniu jego słabości. W tej walce nie ma żadnych takich pierdoł. Bokserzy rzucają się na siebie i od razu zaczynają się zasypywać silnymi groźnymi ciosami. Jedyna widoczna strategia to spróbować zniszczyć przeciwnika tak szybko, jak się

da. Jakieś trzydzieści sekund po rozpoczęciu pojedynku mniejszy mężczyzna trafia prawą pięścią prosto w szczękę większego. Nogi większego mężczyzny się pod nim uginają i zatacza się w tył. Mniejszy atakuje, blokuje go przy linach i przez następną minutę bezlitośnie młóci większego mężczyznę po żebrach, brzuchu, ramionach i szczęce. Kiedy mniejszy mężczyzna zaczyna się męczyć i nie może już dłużej zadawać ciosów, większy przechodzi do kontrataku. Odpycha mniejszego i zaczyna uderzać go tak samo, jak przed chwilą dostawał. Po zakończeniu rundy obaj mężczyźni idą na chwiejnych nogach do swoich narożników. Przez cały czas stoję i wiwatuję i wrzeszczę podobnie jak większość mężczyzn z Oddziału.

Następne cztery rundy przebiegają według tego samego schematu. Dzwonek, bokserzy witają się, próbują się nawzajem znokautować. Nie ma obrony i nie ma taktyki. Twarze obydwu zaczynają puchnąć, obaj zaczynają krwawić z ust, z nosów i łuków brwiowych, obaj zaczynają pokrywać się obtarciami od lin i śladami rękawic na klatkach piersiowych, plecach i ramionach. Przez cały czas wszyscy na Oddziale stoją.

Czy się to tego przyznają, czy nie, wszyscy mężczyźni uwielbiają walkę. Oglądanie albo uczestnictwo w pojedynku rozpala w nas nasze prawdziwe ja, ja, które zostało rozcieńczone

tysiącami lat kultury i wyrafinowania, ja, które każe się nam kontrolować dla dobra ogółu. Stać samotnie naprzeciwko drugiego mężczyzny po to, żeby zrobić mu krzywdę albo żeby on nam ją zrobił, to jest właśnie prawdziwa natura mężczyzny. Boks pozwala nam oswoić ów najbardziej pierwotny instynkt, nie tracąc poczucia, co to znaczy walczyć.

Rozpoczyna się szósta runda. Obaj mężczyźni wyglądają na wyczerpanych, jakby ich ciała nie chciały już walczyć, tylko ich umysły i serca nie pozwalały im przestać. Wschodzą mechanicznie na środek Ringu i zaczynają się powoli okręzać. Każdy z nich zadaje kilka niegroźnych prostych klasycznych ciosów słabszą ręką, bardziej po to, żeby utrzymać przeciwnika na dystans niż zrobić mu krzywdę, i nagle mniejszy mężczyzna atakuje. Uderza szerokim zaczepnym lewym sierpowym, który trafia dokładnie w szczękę większego. Większy mężczyzna przewraca się, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa, i ląduje na plecach z wzrokiem utkwionym w suficie. Oddział szaleje. Mężczyźni wrzeszczą i potrząsają pięściami, niektórzy krzyczą leż, inni krzyczą podnoś się, a gdzieś ponad tym wszystkim słyszę, jak Matty wrzeszczy pociągnie, mój zawodnik pociągnie.

Większy mężczyzna siada, kręci głową i przy dziewięciu wstaje. Sędzia pyta, czy wszystko z nim w porządku, a bokser odpowiada, że tak, chociaż to oczywiście nieprawda, widać, że nie wie, co się

dzieje. Sędzia pokazuje mężczyznom, że mogą walczyć dalej, i obaj nieufnie podchodzą. Matty wydziera się na mniejszego mężczyznę uderzając go jednym ciosem wystarczy po prostu go znokautuj, ale mniejszy nie jest w stanie. Jakby jego ostatni cios, ten ostatni przepiękny sierpowy, wyczerpał go tak samo jak jego przeciwnika. Przez resztę rundy tylko się myziają, obaj zbyt zmęczeni, żeby zadawać prawdziwe ciosy.

W przerwie między rundami Matty wstaje i zaczyna chodzić.

Leonard każe mu usiąść, ale Matty nie potrafi. Kręci głową i kopie w podłogę, nakazując mniejszemu Bokserowi, żeby wyszedł i zmasakrował większego. Kiedy słychać dzwonek, wrzeszczy no dawaj, ty Draniu, dawaj.

Runda rozkręca się powoli, ale jakieś trzydzieści sekund po dzwonku, kiedy zawodnicy znajdują się na środku Ringu, większy mężczyzna atakuje prawym prostym, który trafia w nos mniejszego. Ze złamanego nosa bucha krew i mniejszy mężczyzna osuwa się na kolana. Potem pada twarzą na deski.

Sala eksploduje. Większość mężczyzn wrzeszczy wstawaj wstawaj, kilku przybija piątkę i mówi to na tyle. Na osiem mniejszy Bokser podnosi się z wysiłkiem, a Sędzia pyta, czy wszystko w porządku, i Bokser z zakrwawioną twarzą i krwią w ustach mówi tak. Sędzia odsuwa się i większy mężczyzna

podchodzi i miażdży nos mniejszego idealnym prawym prostym. Mniejszy mężczyzna leci do tyłu wypada przez liny i ląduje poza Ringiem. Ma zamknięte oczy i nie rusza się. Walka jest skończona.

Mężczyźni wiwatują wrzeszczą przeklinają rzucając pustymi puszkami w telewizor wstają i odchodzą. Pośród całego tego jazgotu jeden krzyk wybija się ponad resztę. To Matty wrzeszczy kurwa kurwa kurwa kurwa. Patrzy na ekran, nie posiadając się ze zdumienia, tylko patrzy i wrzeszczy kurwa kurwa kurwa kurwa kurwa. Leonard wstaje i kładzie mu rękę na ramieniu i mówi to tylko walka, nic takiego i Matty przestaje wrzeszczeć i mówi wiem, ale kiedy facet, któremu kibicuję, chuja nie wygrywa, to mi się pierdolone serce kraje. Leonard mówi, że zna to uczucie, i obejmuje Matty'ego. Odsuwają się od siebie, a Matty jeszcze raz mówi pierdolić telewizję i Leonard zaczyna chodzić po Sali i regulować należność za zakłady. Postawił większość pieniędzy na większego, ale w geście dobrej woli zrzeka się wszystkich wygranych zakładów i wypłaca pieniądze za wszystkie przegrane.

Siedzę do późna rozmawiam z Mattym i Tedem i Leonardem i innymi mężczyznami, którzy przychodzą i odchodzą. Rozmawiamy o walce i pozwalamy Matty'emu zdominować dyskusję. Wszelkie pozory jego zmagania z przeklinaniem znikają znikają znikają. Jemy jabłecznik i lody,

palimy papierosy i pijemy kawę. Oglądamy skrót z pojedynku w Wiadomościach i jeszcze raz doświadczamy tego, co czuliśmy w trakcie walki. Nikt nie idzie spać. Na Oddziale o drugiej nad ranem panuje tłok. Jutro wracamy do rzeczywistości. Nikt nie idzie spać, bo nikt nie chce, żeby ta noc dobiegła końca. o czwartej nad ranem wstaję z kanapy i idę do Pokoju. Otwieram drzwi jest ciemno i cicho Miles śpi. Kładę się do łóżka i kładę głowę i myślę o Lilly. Myślę o tym, jak śpi na Oddziale Medycznym, i myślę o tym, jaka jest mi bliska, i myślę o tym, jak jest ode mnie daleko, jak daleko. Jest na Oddziale Medycznym i to jest blisko, ale na drugim końcu Świata. Tęsknię za nią. Tęsknię za nią.

Ten wieczór był jednym z najlepszych wieczorów mojego życia. Jedzenie i przyjaciele i walka. Rzeczy, które kocham, z ludźmi, których kocham. To był prawie ideał.

Prawie.

Tęsknię za Lilly.

Tęsknię za Lilly.

Tęsknię za Lilly.

Budzę się. Nie pamiętam, jak zasnąłem, i nie pamiętam, żebym w ogóle spał. Nie było snów. Żadnych snów.

Wstaję z łóżka. Przez okno wpada Słońce. Jaskrawe Słońce. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem Słońce.

Idę do Łazienki i biorę prysznic i myję zęby i golę się. Unikam lustra. Nie patrzę sobie w oczy i nie patrzę na siebie. Biorę prysznic myję zęby golę się.

Ubieram się i wychodzę z Pokoju. Idę na Oddział, mężczyźni wykonują swoje prace. Oglądam Tablicę Prac, żeby zobaczyć, czy mam coś do roboty, moje imię widnieje pod wyrazem Wit acz. Śmieję się. Jestem Witaczem, moją pracą jest witanie. To mnie rozśmiesza. Idę na śniadanie Korytarze są jaskrawe Korytarze już mnie nie obchodzą. Są tym czym są nie mogę ich zmienić.

Biorę tacę i talerz gofrów i kubek kawy i pączka z dżemem. Idę do Stołówki. Widzę przyjaciół siedzących przy stoliku w kącie. Oni zawsze siedzą w kącie.

Siadam. Miles, Leonard, Matty i Ted. Po drugiej stronie na końcu stolika siedzi nowy mężczyzna. Patrzę na Leonarda pokazuję na mężczyznę i Leonard wzrusza ramionami. Teraz jestem Witaczem. Powinienem powitać mężczyznę.

Przechodzę na koniec stolika. Siadam naprzeciwko mężczyzny. Jest stary, dobiega siedemdziesiątki. Ma krótkie siwe włosy gęste jak na jego wiek i choć są rozczochrane i nastroszone, łatwo dałoby się je rozczesać. Jest bardzo szczupły i wymizerowany. Ma skórę pokrytą plamami wątrobianymi, na dłoniach sterczą mu żyły. Patrzy w talerz. Powoli je rzadką jajecznicę z serem. Mówię.

Cześć.

Podnosi wzrok. Ma przenikliwe niebieskie oczy, jedno jest podbite i zasinione. Ma długi cienki nos i cienkie usta. Między górną wargą a nosem ma krwawiące bąble.

Czego chcesz?

Jego głos jest oschły jak uderzenie linijką o biurko.

Jestem Witaczem. Przyszedłem cię powitać.

Idź powitaj sobie kogoś innego.

Śmieję się.

Spadaj.

Śmieję się jeszcze raz.

Spadaj, Chujku.

Sięgam przez stolik. Podaję mu rękę.

Mam na imię James.

Nie bierze jej.

Spadaj, James. Ty Chuju.

Przysiadź się do mnie i moich przyjaciół.

Pokazuję na drugi koniec stolika. Moi przyjaciele się przyglądają. Mężczyzna spogląda na nich, potem na mnie.

Wolę być sam.

Nie wolisz.

Wolę.

Gdybyś naprawdę wolał być sam, to usiadłbyś przy pustym stoliku. Mężczyzna patrzy na mnie i wytrzymuję spojrzenie. Jest spięty, ja nie.

Niezły z ciebie Chujek.

Uśmiecham się.

Wiem.

Mam na imię Michael.

Miło mi cię poznać, Michael.

Wstaje i idzie do reszty na drugim końcu stolika, a ja idę za nim. Siadamy i wszystkim go przedstawiam. Na początku jest cichy. Siedzi i słucha, jak rozmawiamy. Rozmawiamy o Bezrękim, który wyszedł dziś rano, mówiąc, że ma zamiar poszukać sobie hery nie obchodzi go, że nie ma rąk, po prostu chce pierdolonej hery. Michael zaczyna pytać, o mężczyznę, o nas, o to, co robimy i dlaczego tu jesteśmy. Odpowiadamy na pytania i zaczynamy zadawać jemu pytania. Na początku nie odpowiada, ale po kilku minutach mówi chuj z tym i tak się dowiecie. Mówi, że jest prorektorem dużego Katolickiego Uniwersytetu na środkowym zachodzie. Mówi, że jest żonaty od pięćdziesięciu jeden lat i ma siedmioro Dzieci. Mówi, że po narodzinach ostatniego Zona przestała uprawiać z nim seks, bo nie chciała już więcej Dzieci, a wierzyła, że celem seksu jest prokreacja i tylko prokreacja. Mówi, że zaczął chodzić na dziwki. Nie bardzo drogie, tylko Dziewczyny z ulicy. Mówi, że Uzależnił się od nich i od ryzyka korzystania z ich usług i od ryzyka zarażenia się od nich jakąś chorobą. Mówi, że jedna z dziwek dała mu crack i zaczął palić i się od niego

Uzależnił. Jego nałogi zlały się w jedno. Potrzebował dziwek i potrzebował cracku. Nie mógł dostać jednego bez drugiego i potrzebował obydwu na raz. Potrzebował dziwek i cracku każdego dnia. Złapali go, kiedy Studentka Uniwersytetu, która była również dziwką, rozpoznała go i próbowała szantażować. Uznał, że najwyższy czas przestać, więc poszedł do Księdza i się wyspowiadał. Ksiądz kazał mu powiedzieć Zonie, a Zona wybaczyła mu pod warunkiem, że przestanie. Nie potrafił przestać. Zrobił to tego dnia i znowu następnego dnia. Zostawił Zonę i spędził osiem dni w tanim Motelu ze wszystkimi dziwkami i crackiem, na jakie go było stać. Wypalił tyle, że poparzył sobie usta fifą. Kiedy skończyły mu się pieniądze, pojechał do domu i Zona na niego czekała. Zadzwoiła po Księdza tego samego Księdza. Ksiądz przywiózł go tutaj. Przyjechał cztery dni temu i jest w trakcie odtruwania na Oddziale Medycznym. Śmiejemy się z niego i śmiejemy się z jego historii. Na początku jest zły i dezorientowany nami i naszym śmiechem, nie rozumie go. Śmiejemy się dalej. Zaczynamy mu opowiadać własne historie. Matty opowiada o tym, jak palił z kurwą, która poparzyła mu jądra palnikiem. Ted opowiada, jak palił z Mamusią i tańczył z nią na haju country. Opowiadam, jak upiłem się z kurwą i urwał mi się film i ocknąłem się na uliczce bez spodni i bez butów i z pustym

portfelem wepchniętym między pośladki. Opowiadamy historie i śmiejemy się z siebie nawzajem i do Katolika Michaela dociera, że nie śmiejemy się niego, ale z nim. Ze jesteśmy tacy sami jak on i że jesteśmy tak samo paskudni jak on i że go nie osądzamy.

Zaczyna się śmiać. Wszyscy jesteśmy paskudni. Łatwiej jest śmiać się z siebie, niż płakać nad sobą. Wszyscy jesteśmy paskudni.

Kończymy jeść i odkładamy tace i idziemy na Wykład. Jest o narkotykach i alkoholu w Miejscu Pracy. Michael jest jedyną osobą, która słucha, reszta gra w karty. Kiedy Wykład się kończy, Leonard wręcza Matty emu i Tedowi i Milesowi koperty. Każe im nie otwierać, dopóki nie wyjedzie. Chce się ze mną spotkać w swoim Pokoju o jedenastej.

Wschodzimy z Auli i przy drzwiach czeka na mnie Joannę. Chce, żebym poszedł z nią do Gabinetu. Idziemy Korytarzami i kiedy tam już jesteśmy, siada na kanapie, a ja siadam na fotelu. Obydwoje zapalamy papierosy. Mówi.

Słyszałam, że byłeś wczoraj w Palarni Cracku.

Byłem w miejscu, gdzie parę osób paliło crack, ale to nie była Palarnia Cracku.

A co to za różnica?

Palarnie Cracku mają zwykle dostawcę na miejscu i najczęściej zarządza nimi ktoś, kto dba o bezpieczeństwo. To była zwykła opuszczona Rudera,

gdzie się chodzi, żeby przypalić.

Jak tam było?

Śmierdziało.

To wszystko, co pamiętasz?

Nie.

Przytakuje i czeka, aż powiem coś więcej. Kiedy się nie odzywam, mówi.

Byłeś blisko?

Tak.

Jak blisko?

Dotykałem go i mogłem zapalić.

Chciałeś?

Bardzo.

Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Podjąłem taką decyzję.

Tak po prostu?

Tak po prostu.

Jak się ciebie słucha, to się może wydawać łatwe.

Nie było łatwe.

Myślisz, że byłbyś w stanie opanować się na dłuższą metę?

To będzie trudniejsze niż zeszłej nocy, ale tak.

Dlaczego będzie trudniejsze?

Kocham Lilly bardziej niż ćpanie. Dzięki temu decyzja, czy jej pomóc, czy zrobić sobie dobrze, była bardzo prosta. Kiedy będę z tym sam na sam, czy to z crackiem, czy z flaszką, to będzie bardziej kwestia

tego, czy chcę zaspokoić swoje pragnienia, czy nie.

I myślisz, że co zrobisz?

Wiesz, co myślę.

Uśmiecha się.

Dziś rano widziałam się z Lilly.

Gdzie?

Byłam na Oddziale Medycznym, żeby sprawdzić, co u niej.

No i?

Biorąc pod uwagę to, przez co przeszła, nieźle. Przede wszystkim jest chyba zmartwiona i zawstydzona.

Czym zmartwiona?

Babcią i zdobyciem pieniędzy na dalszy pobyt.

Czy może się ubiegać o jakąś Zapomogę?

Tak, choć zwykle to trochę zajmuje. Próbujemy to przyspieszyć.

Czy będzie mogła zostać?

Mam taką nadzieję.

A jeżeli nie?

Nie wiem.

Odwracam wzrok. Wyglądam przez okno za biurkiem Joannę. Na dworze jest jasno i słonecznie jak w wiosenny poranek. Poranek pełen życia, poranek pełen nowych początków. Mógłbym uciec. Uciec przed odsiadką i uciec od przeszłości. Uciec z Lilly, uciec tam, gdzie będzie bezpiecznie, i uciekać, aż znajdziemy dla siebie życie. Ucieczka jest jedną z

możliwości, ale nie chcę uciekać. Uciekałem przez całe życie jestem już tym zmęczony. Wyglądam przez okno, ale w oknie nie ma odpowiedzi. Nadejdą z czasem. To poranek pełen nowych początków.

Nad czym się zastanawiasz?

Nad odpowiedziami.

Masz jakieś?

Nie.

Na razie. Odpowiedzi zawsze nadchodzą.

Zaczynam się tego uczyć.

Zapala kolejnego papierosa. Zapalam kolejnego papierosa.

Chcę porozmawiać z tobą o twojej Inwentaryzacji i reszcie pobytu. Dobra.

Ken powiedział mi, że jeszcze dzisiaj chcesz skończyć Inwentaryzację.

Aha.

Dość szybko.

Wem, co mam do powiedzenia.

Chodzi o to, żebyś pozbył się wyrzutów sumienia, żeby móc zacząć życie od nowa bez poczucia winy, żalu i wstydu. Myślisz, że będziesz w stanie to osiągnąć z tym, co masz do powiedzenia?

Tak.

Ken powiedział, że miałeś wątpliwości co do Księdza.

To może być dla niego niezręczne.

Księża, którzy się tym zajmują, słyszeli już dość

paskudne rzeczy. Jestem pewna, że ktokolwiek będzie cię spowiadał, poradzi sobie. Skoro tak uważasz.

Czy to jest coś, o czym chciałbyś ze mną porozmawiać?

Nie.

Czy to ma coś wspólnego z twoją opinią na temat Boga?

Cokolwiek się stało między mną a którymkolwiek Księdzem, nie ma nic wspólnego z moimi odczuciami wobec Boga.

Jesteś pewien?

Tak.

W porządku. Kiedy chcesz to zrobić?

Jak najszybciej.

Z samego rana?

No.

Zarezerwuję Salę i Księdza. Przypilnuję, żeby to był Ksiądz, który poradzi sobie z tym, co masz do powiedzenia. Przyjdź do mnie po śniadaniu, to cię zaprowadzę.

Dziękuję.

Po tym spotkaniu twój Program de facto dobiegnie końca.

Co to znaczy?

To znaczy, że zostaniesz wypisany.

Kiedy?

Pojutrze.

Uśmiecham się.

Doskonale.

Masz jakieś plany?

Może wpadnę na parę dni do Brata. Potem pojedę do Ohio odsiedzieć wyrok.

Słyszałam, że jesteś zadowolony z rozwoju sytuacji.

O tak. Bardzo zadowolony.

Boisz się?

Nie, chcę to mieć jak najszybciej z głowy.

A co zamierzasz zrobić w sprawie Lilly?

Mam nadzieję, że tu zostanie. Ponieważ ja nie będę już Pacjentem, zakładam, że będę mógł z nią rozmawiać i coś wymyślimy. Jeżeli tu nie zostanie, wymyślimy coś innego.

Czyli co?

Nie wiem. Mam nadzieję, że zostanie.

Przytakuje, czeka na więcej. Kiedy nie ma nic więcej, mówi.

Przyjdź do mnie, jeżeli będziesz miał jakieś pytania na temat Inwentaryzacji.

Dobrze.

Wstaję i idę do drzwi. Wychodząc, spoglądam na zegar, dochodzi jedenasta.

Wracam na Oddział i pukam do pokoju Leonarda. Pyta kto tam, a ja mówię James. Mówi proszę, a ja otwieram drzwi i wchodzę.

Na podłodze przy drzwiach stoi mała walizka z

czarnej skóry, na łóżku rozłożona jest otwarta torba na ubrania. Ostrożnie wypełnia torbę idealnie złożonymi koszulami. Mówi.

Jak leci, Młody?

Siadam na brzegu łóżka.

Dobrze. A u ciebie?

Cieszę się, że wychodzę.

Co będziesz teraz robił?

Jeden z moich chłopaków wpadnie mnie odebrać i zawiezie mnie z powrotem do Vegas. Pewnie po drodze zatrzymamy się, żeby popatrzeć na Mount Rushmore i Staruszków i parę innych punktów widokowych.

Chichoczę.

Brzmi nieźle.

A ty masz już jakieś plany?

Wgląda na to, że wychodzę pojutrze. Spróbuję podskoczyć do Brata i spędzić z nim kilka dni. Potem jadę do Ohio.

Martwisz się Ohio?

Nie.

Pewnie nie muszę ci tego mówić, ale jeżeli ktoś się do ciebie dopierdoli, daj mu popalić. Samo pokazanie, że jesteś gotów walczyć, powinno ich uspokoić.

Liczę, że uda mi się uniknąć tego gówna, ale zrobię, co będę musiał. Uśmiecha się.

Dobry z ciebie Dzieciak.

Śmieję się.

Dzięki, Leonard.

Kończy pakować torbę na ubrania i zamyka ją. Sięga do tylnej kieszeni, wyciąga portfel i wyjmuję małą karteczkę rozmiarów wizytówki. Siada przede mną i mi ją podaje.

To są wszystko moje numery i miejsca, gdzie można mnie znaleźć. Biorę ją.

Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, nieważne gdzie jesteś i co to będzie, znajdź mnie, a ja już się wszystkim zajmę.

Patrzę na karteczkę, patrzę na Leonarda.

Leonard, tu jest pięć różnych nazwisk.

Uśmiecha się.

Używam różnych nazwisk w zależności od miejsca. Numery są przypisane do nazwisk. Numer w Vegas jest najlepszy, ale znajdą mnie pod każdym.

Wkładam karteczkę do kieszeni.

Dziękuję, Leonard.

Przytakuje.

Słyszałem też, że Lilly ma kłopoty finansowe. Nie chcę, żebyś się tym więcej przejmował. Zostanie tutaj i wszystko się ułoży. Uśmiecham się.

Co?

Uśmiecha się.

Miłość to wspaniała sprawa, Młody.

Leonard, nie powinieneś był tego robić. NieMłody, powiedz dziękuję.

Uśmiecham się.

Dziękuję, Leonard. Bardzo ci dziękuję.

Przytakuje jeszcze raz.

Jeszcze jedno.

Co?

Zanim to powiem, chcę zaznaczyć, że nie mam zamiaru urazić ciebie ani twojej Rodziny, ani twojego Ojca, więc jeśli będziesz miał poczucie albo będzie ci się wydawać, że może być skrępowany tym, co chcę zaproponować, od razu mów.

Zgoda.

Bierze głęboki oddech, wstrzymuje go na chwilę, wypuszcza. Nigdy nie widziałem go tak zdenerwowanego.

Zawsze chciałem mieć Zonę. Zawsze chciałem mieć Dzieci.

A konkretnie zawsze chciałem mieć Syna. Rozmyślałam nad tym już od dłuższego czasu, właściwie od pierwszego dnia, kiedy cię spotkałem, i doszedłem do wniosku, że chciałbym, żebyś został moim Synem. Będę się o ciebie troszczył jak o rodzzonego Syna, będę ci pomagał i wspierał cię w drodze przez życie. Kiedy będziesz ze mną, a mam zamiar spotykać się z tobą, kiedy już stąd wyjdziemy, będę cię przedstawiał jako swojego Syna i tak będę cię traktował.

W zamian proszę, żebyś włączył mnie do swojego życia i pozwolił stać się jego częścią. Nasza

relacja poza ośrodkiem powinna funkcjonować w dużym stopniu tak samo jak tutaj. Jesteśmy przyjaciółmi, mamy do siebie zaufanie, pomagamy sobie przetrwać trudne chwile, wspólnie cieszymy się z tych dobrych. Jeżeli wdasz się kiedyś w konflikt ze swoim prawdziwym Ojcem, będę nalegał, żebyś był mu posłuszny i zdał się na jego zdanie bez względu na mnie. Leonard, czy to jest jakiś żart?

Kręci głową.

Nie, ani trochę.

Chcesz, żebym był twoim Synem?

Przytakuje.

Tak.

Leonard, jesteś tego pewien? Bo ja jestem taki pojebany.

Młody, znam twoje problemy. Zaufaj mi. Ale gdybym miał Syna, to chciałbym, żeby był taki jak ty.

Uśmiecham się.

Dla mnie bomba.

Młody, jesteś pewien?

No.

Bo ja jestem taki pojebany.

Śmieję się.

To mi nie przeszkadza.

Śmieje się.

To dobrze.

Wstaje.

Teraz łap się za którąś z tych cholernych waliz i mnie odprowadź.

Nie myśl sobie, że to będą kurwa same przyjemności.

Śmieję się i wstaję i biorę walizkę. Leonard podnosi torbę na ubrania i przewiesza sobie przez ramię i wychodzimy z Pokoju. Idziemy Korytarzami. Prosi, żebym pożegnał od niego wszystkich, mówi, że sam nie chciał tego robić. Nie lubi pożegnań i zbyt wiele razy zegnał się już w życiu. Prosi, żebym przekazał Milesowi i Matty'emu i Tedowi numer umieszczony na karteczce przy jego prawdziwym nazwisku, a ja mówię, że tak zrobię, i prosi mnie, żebym nikomu tej karteczki nie pokazywał. Mówię, że będę jej dobrze pilnował i nikt się o niej nie dowie.

Przechodzimy przez Recepcję i mijamy Recepcjonistkę i wychodzimy przez główne wejście. Przy krawężniku stoi duży biały nowy mercedes benz. Drzwi od strony kierowcy się otwierają i wysiada z niego wysoki krępy mężczyzna w czarnym jedwabnym garniturze. Przez policzek mężczyzny biegnie długa głęboka blizna, a on sam wygląda jak niedźwiedź. Wściekły niedźwiedź. Niedźwiedź, który, gdyby dano mu taką możliwość, pożarłby człowieka żywcem.

Leonard się uśmiecha.

Zanęta.

Mężczyzna mówi.
Hej, Szefie.
Obejmują się i odsuwają od siebie. Leonard
mówi.

Dzięki, że wpadłeś.
Nie ma sprawy.
To nowa Bryka?
No, podoba ci się?
Pewnie. Jest biała i jest nowa. Właśnie o to mi
chodziło.

To dobrze.
Leonard odwraca się do mnie, pokazuje, żebym
podszedł.

James.
Podchodzę.
To jest Zaneęta. Jeden z moich najbliższych
przyjaciół i mój Współpracownik. Nazywają go
Zaneęta, bo lubi trzymać z grubymi rybami, więc
ostrożnie. Zaneęta, to jest mój Syn, James.

Ściskamy sobie dłonie. Zaneęta spogląda na
Leonarda.

To ten, o którym opowiadałeś?
Leonard przytakuje.
Aha, i jest znacznie bardziej wredny, niż na to
wygląda, więc lepiej też uważaj.

Zaneęta śmieje się, patrzy na mnie.
Miło cię poznać, Młody.
No, ciebie też.

Leonard otwiera tylne drzwi Samochodu i wrzuca torbę na ubrania na tylne siedzenie. Daje sygnał, żebym podał walizkę i podchodzę i wrzucam ją na tylne siedzenie. Leonard zamyka drzwi i odwraca się do Zaneyty.

No to chyba czas zapierdalać z tym koksem, Zan.

Sie robi, Szefie.

Zaneyta obchodzi Samochód i siada za kierownicą. Leonard odwraca się do mnie.

Będiesz czegoś potrzebował, to dzwoń. Pamiętaj.

Pewnie.

Dobrze było się z tobą kurować. Niedługo się odezwę.

Dzięki za wszystko, Leonard. Uratowałeś mi życie, i to na wiele sposobów. Dziękuję.

Uśmiecha się.

Sam uratowałeś sobie życie.

Uśmiecham się. Leonard podchodzi. Obejmuje mnie i przytula. Obejmuję go i przytulam. Puszczam mnie i odsuwa się i patrzy mi w oczy i mówi.

Bądź silny. Żyj honorowo i godnie. Kiedy będziesz wątpił, czy sobie poradzisz, trzymaj się. Jestem z ciebie dumny i ty też powinieneś być z siebie dumny.

Odwzajemniam spojrzenie. Prosto w oczy.

Leonard, będzie mi ciebie brakowało.

Już niedługo się zobaczymy, Synu.

Przytakuje. Powstrzymuje się od płaczu. Leonard odwraca się i otwiera drzwi i wsiada od strony pasażera i zamyka drzwi i Samochód odjeżdża. Stoję i patrzę. Kiedy jedzie po drodze prowadzącej do Kliniki, okno od strony pasażera otwiera się i pojawia się pięść, mocno zaciśnięta pięść. Pięść uniesiona wysoko do góry. Kiedy patrzę na pięść Leonarda, myślę o wszystkim, co on i jego pięść dla mnie oznaczają. Odjeżdża, a ja prawie zaczynam płakać. Leonard i jego pięść. Prawie zaczynam płakać.

Stoję tam i patrzę na drogę, kiedy Samochód już odjechał. Stoję tam przez pięć minut i patrzę na drogę. Nie potrafię sobie wyobrazić, że Leonarda nie ma. Dziwnego i dobrego i okrutnego i wspaniałego Leonarda. Szatan i Święty. Będzie mi go brakowało. Będzie mi go brakowało.

Odwracam się i wracam do Kliniki. Idę do Stołówki. Staję w kolejce i biorę tacę i talerz makaronu z duszonym tuńczykiem. Posiłki zaczynają się powtarzać. Już kiedyś jadłem makaron z duszonym tuńczykiem. Mam nadzieję, że już nigdy więcej nie będę go jadł.

Siadam sam przy pustym stoliku. Zaczynam jeść. Nie jestem w stanie odróżnić, która część jest makaronem, która tuńczykiem.

I tak zjadam. Kęs za kęsem. Zapełniam żołądek. Tęsknię za Lilly i tęsknię za Leonardem. Siedzę sam

przy pustym stoliku. Zapełniam żołądek. Kęs za kęsem.

Kończę jeść. Zaczynam wstawać chcę kolejną porcję chcę czterdzieści albo pięćdziesiąt porcji chcę jebanej kadzi z tym duszonym gównem. Widzę, jak Miles idzie do mnie i się uśmiecha. Siadam. Nadal chcę jeszcze. Jeszcze jeszcze jeszcze.

Cześć, James.

Miles siada naprzeciwko.

Cześć.

Kładzie sobie serwetkę na kolanach, bierze widelec.

Co tam słyhać?

W porządku. A u ciebie?

Mam dobre wieści.

Jakie?

Rano zadzwoniła do mnie Zona.

Co powiedziała?

Powiedziała, że całą noc nie spała i rozmyślała o nas i długo siedziała i przyglądała się naszemu Dziecku i postanowiła dać mi drugą szansę. Zapisze się do Programu Rodzinnego i spróbujemy popracować nad naszym związkiem. Nie ma żadnych gwarancji, ale spróbujemy. Uśmiecham się.

To wspaniale. Zdecydowana poprawa w porównaniu z wczoraj.

To mało powiedziane.

Nie wiem, czy gratuluję to odpowiednie słowo,

ale gratuluję. Uśmiecha się.

Dziękuję, James. Dziękuję.

Więcej nie rozmawiamy. Tylko siedzimy. Je, a ja rozglądam się po Stołówce. Jest wygodna. Przyjemna. Kojąca. Żeby siedzieć i rozmawiać. Żeby siedzieć i gapić się w pustkę. Żeby siedzieć i wyłączyć umysł. Po prostu siedzieć. Nie ma niezręczności i nie ma niepokoju. Miles jest w swoim Świecie i ja jestem w swoim Świecie. Po prostu siedzimy.

Miles kończy jeść i wstaje i czeka, aż zauważę, że wstał. Kiedy zauważam, wstaję i odkładamy tace. Idziemy Korytarzami i Miles idzie na NJCfykład, a ja nie. Pyta, dlaczego nie idę, i mówię, że jeżeli mam wyjechać za dwa dni, to nie chcę ani nie muszę chodzić więcej na żadne Wykłady, że już wystarczająco dużo mi wyłożono. Śmieje się i wracam na Oddział i idę do Budki Telefonicznej.

Dzwonię do Matki i Ojca. Są po drugiej stronie Świata i u nich jest wczesny ranek. Ojciec odbiera. Brzmi, jakby jeszcze spał. Pytam go, czy mam zadzwonić później, i mówi nie, zaczekaj sekundę. Czekam. Matka podnosi słuchawkę i mówi cześć i również brzmi, jakby jeszcze spała. Ojciec podnosi słuchawkę innego aparatu. Słyszać echo i pogłos.

Mówię, że wychodzę za dwa dni. Oboje są zaskoczeni. Ojciec pyta, czy jestem gotowy do wyjścia, a ja mówię, że czuję się gotowy, ale nie będę

wiedział jak bardzo, dopóki nie wyjdę. Matka pyta, co to znaczy, a ja mówię, że nie będę wiedział, na ile mi się polepszyło, jeżeli w ogóle, dopóki nie znajdę się w Świecie zewnętrznym. Tata pyta, co to znaczy, a ja mówię, że łatwo nie brać tutaj, bo tu mnie nic nie kusi. Pyta, czy jestem gotów, żeby poradzić sobie z pokusą, a ja mówię, że wydaje mi się, że tak, ale nie będę wiedział, dopóki nie wyjdę. Wzdycha, jakby był sfrustrowany. Matka wzdycha, jakby była sfrustrowana.

Pytam, co u nich, i mówią, że w porządku. Pytam, jakie jest Tokio, a Matka mówi, że załują, że nie są przy mnie, że nie mogą mnie bardziej wspierać. Mówię, że zrobili więcej, niż trzeba. Ojciec mówi, że martwi się o mnie, a ja mówię, że nie powinien, że nigdy w życiu nie czułem się lepiej ani nie byłem silniejszy. Mówi, że to pocieszające. Nie brzmi, jakby to go pocieszyło.

Pytają mnie o plany, a ja mówię, że zadzwonię do Boba i spróbuję posiedzieć u niego parę dni, a potem jadę do Ohio i zaczynam odsiadkę. Pytają, jak tam dojadę, a ja mówię, że pewnie Autokarem. Chcą mi kupić bilet na Samolot, a ja mówię dziękuję, ale nie. Matka pyta, czy czegoś potrzebuję, mówię, że nie. Ojciec prosi, żebym zadzwonił, kiedy będę u Boba, mówię, że zadzwonię. Prosi, żebym uważał. Mówię, że będę uważał. Matka prosi, żebym uważał. Mówię, że będę uważał. Mówią, że mnie kochają, i ja

mówię, że ich kocham, i rozłączamy się.

Dzwonię do Brata. Nie ma go w domu, więc nagrywam się na automatyczną sekretarkę. Mówię, że wypisują mnie pojutrze i że fajnie byłoby, gdyby przyjechał mnie odebrać. Mówię, że jeżeli nie może, to żeby się nie przejmował, że sobie poradzę. Pytam, czy niezależnie od tego, czy po mnie przyjedzie czy nie, mógłbym zatrzymać się u niego na parę dni, mogę spać na kanapie albo na podłodze albo gdziekolwiek znajdzie się miejsce. Proszę, żeby oddzwonił. Zostawiam numer. Rozłączam się.

Wychodzę z Budki Telefonicznej i idę do szafki, skąd biorę świecówki do swojej książeczki do kolorowania. Obok świecówek leży stosik żółtych notatników w linię. Obok notatników jest kubek z długopisami. Biorę notatnik i długopis i idę na Górny Poziom i robię sobie kawę w dużym kubku gorącą parującą i czarną. Wsadzam długopis do kieszeni i w jednej dłoni trzymam notatnik, a w drugiej kawę i schodzę na dół. Rozsuwam szklane drzwi stopą i wychodzę na dwór.

Świeci Słońce. Jaskrawo i wysoko, choć nie jest ciepło. Delikatny wiaterek niczym szept porusza powietrzem. Idę po sztywnej trawie zamrażniętej teraz i na czas Zimy. Idę do Jeziora jest twarde i nieruchome i nadal jest pokryte skorupą lodu. Siadam na jednej z ławek środkowej ławce i wypijam łyk kawy i zapalam papierosa. Patrzą na notatnik i

notatnik jest żółty i pusty. Zaczynam myśleć o wszystkim, co zrobiłem, i wszystko, co zrobiłem, było złe. Zaczynam od dzieciństwa, a przynajmniej, od kiedy już coś pamiętam. Nawet wtedy byłem zły, od kiedy pamiętam. Zaczynam pisać.

Wjechałem w Przedszkolankę Traktorem. Celowo. Miałem cztery lata. Uderzyłem chłopca plecakiem z książkami i złamałem mu nos. Miał na imię Fred. Miałem sześć lat. Wykopałem dołek i namówiłem chłopca o imieniu Michael, żeby do niego wszedł. Nakryłem dołek dyktą i siedziałem na niej trzy godziny. Płakał i płakał i płakał.

Śmiałem się. Miałem siedem lat. Zamknąłem chłopca o imieniu David w skrzyni na ubrania w Kościele Rodziców. Zamknąłem skrzynię na kłódkę i spuściłem kluczyk w toalecie. Dostałem dożywotni zakaz wstępu do szkółki niedzielnej. Miałem siedem lat. Ukradłem paczkę papierosów mentolowych Matce mojego przyjaciela Claya. Wypaliłem je i zwymiotowałem. Ukradłem kolejną paczkę. Zwymiotowałem. Ukradłem kolejną paczkę. Miałem osiem lat.

Kiedy opisuję przewinienia swojego wczesnego dzieciństwa, większość z nich mnie rozśmiesza. To była głupota, zachowanie dzieciaka, który nie miał o niczym pojęcia, a jak miał pojęcie, to gwizdał na to. Zapełniam tymi przewinieniami cztery strony.

To, co zrobiłem. Chce mi się śmiać.

Piszę dalej, od kiedy miałem dziesięć lat. To wiek, w którym zaczynałem tracić kontrolę. Wracając do niego myślami, mam poczucie, jakbym to nie ja to wszystko zrobił, jakby ktoś inny to robił, a ja się tylko przyglądałem. Chciałbym, żeby tak było. Kiedy miałem dziesięć lat, zacząłem tracić kontrolę.

Wymknąłem się z domu i upiłem. Nie pamiętam nawet ani nie mogę się doliczyć, ile razy podkradałem Rodzicom alkohol. Ukradłem stertę czasopism pornograficznych z Garażu sąsiada. Spowodowałem wypadek, rzucając jajkiem w przypadkowy samochód. Przyglądałem się zamieszaniu, siedząc na drzewie. Nikomu nic się nie stało, choć było sporo pogiętej blachy. Złapali mnie, jak wypinałem tyłek na Dyrektorkę Szkoły w piątek wieczorem, kiedy powinienem być w łóżku. Zostałem przez nią zaciągnięty do Domu w trakcie imprezy Rodziców. Popsułem przyjęcie i upokorzyłem Rodziców. Ukradłem torebkę trawy Ojcu mojego przyjaciela Seana. Ukradłem Ojcu Seana fife. Ukradłem Ojcu Seana buteleczkę tabletek. Nabiłem fife i wypaliłem trawę i wziąłem wszystkie tabletki. Zwymiotowałem. Zrobiłem to samo następnym razem, kiedy byłem w Domu Seana.

Kolejne trzy strony. Zapełnione opisem skradzionych substancji chemicznych i kretyńskich żartów. Niekiedy mnie łapano, w większości wypadków nie. Wspomnienia z okresu, gdy miałem

dwanaście lat, zaczynają się rozmywać w mgłę alkoholu i narkotyków. Kiedy miałem dwanaście lat, moje życie było rozmyte. Zaatakowałem dzieciaka podczas gry w hokeja. Nie widział mnie i uderzyłem go zniemacka. Stracił przytomność, a ja stałem nad nim i się śmiałem. Co noc przez trzy tygodnie wpychałem do skrzynki na listy Nauczyciela torebki z psim gównem. Podczas wycieczki podpaliłem namiot Drużynowego. Zostałem wyrzucony z Drużyny. Wsypałem cukier do baku samochodu sąsiada i zniszczyłem mu silnik. Kradłem alkohol i narkotyki, skąd tylko się dało, kiedy tylko mogłem.

Irzy lata na pięciu stronach. Krzywdziłem Ludzi, którzy na to nie zasłużyli. Krzywdziłem Ludzi, którzy na to zasłużyli. Zacząłem rozważać samobójstwo, zaczęło do mnie docierać, że mam przejebane, zacząłem siebie nianawidzić. Robiłem to wszystko, bo siebie nienawidziłem.

Kiedy miałem czternaście lat, ukradłem motorower i zepchnąłem go z urwiska. Rozwaliłem młotem rzeźbę na trawniku sąsiada. Wysadziłem skrzynkę na listy dwie skrzynki cztery skrzynki dziesięć. Poznałem potęgę słów i zacząłem jej nadużywać. Nazwałem dziewczynę tłustą dziwką. Powiedziałem Nauczycielce w ciąży, że mam nadzieję, że poroni. Zapytałem Zonę Lekarza, czy wie o romansie Męża. Była złośliwa dla mojej Matki i nie chciałem, żeby uszło to jej na sucho. Jej Mąż

miał romans. Małżeństwo się rozpadło.

Kiedy miałem piętnaście lat, sprzedawałem Dzieciakom narkotyki. Sprzedawałem im Alkohol. Byli w moim wieku, ale to mimo wszystko Dzieci. Zwykle z nich zdzierałem, kazałem sobie płacić za dużo albo sprzedawałem im oregano. Czasami, zanim dałem im butelkę, sikałem do niej. Zniszczyłem tablicę informacyjną w miejscowym fast foodzie. Rozwaliłem ją młotkiem w środku nocy, bo Kierownik wykopał mnie stamtąd, kiedy się upiłem. Wymykałem się z Domu. Zabierałem Samochód. Upijałem się i ćpałem. Przez cały czas. Szesnaście i siedemnaście i osiemnaście zajmują pięć stron. Więcej tego samego. Picie i narkotyki. Ucieczki i wandalizm. Mówienie różnych rzeczy tylko po to, żeby kogoś zranić, jeżeli skrzywdzono mnie albo kogoś z mojego otoczenia. Zniszczyłem podwórko Animatora Parafialnej Wspólnoty Młodzieżowej, kiedy próbował mnie nawrócić. Niszczyłem je co noc w piątek przez osiem tygodni z rzędu. Ukradłem korespondencję sąsiada, który mnie zwymyślał. Ukradłem ją, żeby zdobyć jego Dane Osobowe i wysłałem w jego imieniu wnioski o dwanaście kart kredytowych i zepsułem mu zdolność kredytową. Poziom mojego uzależnienia rósł, poziom mojej nienawiści do samego siebie rósł, poziom mojego zniszczenia rósł.

Dziewiętnaście i dwadzieścia. Sześć stron. Moje

pierwsze lata studenckie. Zdradziłem Dziewczynę raz drugi trzeci za każdym razem mnie złapała. Obiecałem, że się zmienię, że to się więcej nie powtórzy. Wiedziałem, że to nieprawda. Zdradziłem inną Dziewczynę. Jeszcze inną. Kłamstwo stało się częścią mojego życia. Kłamałem, kiedy musiałem skłamać, żeby coś dostać albo się z czegoś wyplątać. Kłamałem w Szkole. Brałem pieniądze od Rodziców i wydawałem na narkotyki. Brałem więcej pieniędzy i kupowałem więcej narkotyków. Sterroryzowałem Dzieciaka o imieniu Rob, bo usłyszałem, że powiedział coś o tej z arktycznymi oczami. Zniszczyłem mu Samochód i Pokój. Naśmiewałem się z niego i groziłem mu i straszyłem go. Uprzykrzyłem mu życie. Nigdy nie powiedziałem mu, dlaczego to robiłem, po prostu to robiłem. Dwadzieścia jeden. Trzy strony. Piłem paliłem trafiłem do Aresztu parę razy kogoś pobiłem parę razy zostałem pobity zdradzałem okłamywałem oszukiwałem wykorzystywałem kobiety spałem z prostytutkami brałem więcej pieniędzy przepuszczałem więcej pieniędzy moimi najlepszymi przyjaciółmi były narkotyki i alkohol tym którzy próbowali mnie powstrzymać mówiłem odpierdolcie się zostawcie mnie w spokoju. Zmusiłem Dziewczynę, żeby wciągnęła działkę z mojego fiuta. Była Uzależniona od kokainy i sprzedawałem jej towar za jej ciało. Pozwalała mi robić, na co miałem

ochotę, I nadużywałem za dużo za często. Narkotyków i jej ciała. Przystawiłem mężczyźnie rewolwer do skroni. Nie był naładowany, ale on o tym nie wiedział. Był na kolanach błagał o życie. Zrobiłem to dla Diler, który chciał mnie sprawdzić i musiałem zdobyć jego zaufanie, bo potrzebowałem jego narkotyków. Ten mężczyzna okradł Diler, pociągnąłem za spust nienaładowanego rewolweru, mężczyzna zsiadł się w majtki i na podłogę. Diler wycierał to jego twarzą, a ja się przyglądałem.

Dwadzieścia dwa. Dwie strony. Moje aresztowanie aresztowanie w Ohio. Aresztowanie, za które zapłacę czasem spędzonym w celi. Dziewczyna w Paryżu twierdziła, że jestem Ojcem jej Dziecka. Nie byłem. Nie byłem w stanie utrzymać przy niej erekcji nigdy nie byłem w niej twardy. Błagała i zebrała, żebym przyznał się do Dziecka, ale nie byłem Ojcem, więc wywaliłem ją z Mieszkania.

Dwa dni później w Knajpie jedna z jej Koleżanek zaatakowała mnie butelką i ją znokautowałem. Kiedy się podniosła, dałem jej kopa w dupę i powiedziałem, że jeżeli jeszcze raz się do mnie zbliży, to ją pobiję do nieprzytomności. Inna znajoma Dziewczyna zaprowadziła mnie pewnej nocy do swojego Mieszkania po tym, jak znalazła mnie nieprzytomnego na Ulicy. Zwymiotowałem i zsiadłem się na jej kanapę i na podłogę. Kiedy się obudziłem, zabrałem butelkę wódki i wyszedłem.

Nigdy więcej jej nie widziałem ani nie miałem z nią kontaktu. W Knajpie w Londynie uderzyłem mężczyznę krzesłem. Rozlał mi drinka na stoliku i przywaliłem mu, kiedy był odwrócony. Nie chciało mi się czekać, żeby oszacować straty. Nigdy nie chciało mi się czekać, żeby oszacować straty.

Kończę pisać. Kawy nie ma i wypaliłem paczkę papierosów. Patrzę na stertę kartek, liczę strony, dwadzieścia dwie. Dwadzieścia dwie strony wypełnione gniewem, wściekłością, nałogiem, nienawiścią do samego siebie i Furią. Moje haniebne, żenujące i żałosne życie udokumentowane na dwudziestu dwóch stronach. Dwadzieścia dwie strony.

Czytam je. Czytam je powoli i uważnie. Robiąc to, zastanawiam się, czy coś pominąłem czy jest coś o czym zapomniałem czy jest coś czemu boję się stawić czoło boję się potwierdzić czy jest coś do czego boję się przyznać. Chcę pogodzić się z przeszłością i zostawić ją w tyle czy jest coś o czym zapomniałem co pominąłem czy jest coś czego się boję. Jedna sprawa. Jedna sprawa, która prześladowa mnie od strony pierwszej do dwudziestej drugiej.

Nigdy o tym nie mówiłem. Nigdy nikomu nie powiedziałem, co zrobiłem temu mężczyźnie, jak brutalnie się zachowałem, gdy straciłem nad sobą panowanie, jak wielką zrobiłem mu krzywdę. Prześladowa mnie to.

Podnoszę długopis i stertę żółtych kartek i składam je na pół. Wkładam stertę do kieszeni podnoszę notatnik i długopis i wstaję i wracam po trawie Słońce zaczyna zachodzić. Wiatr zaczyna się wzmacniać. Już nie śpiewa wyje wyje wniebogłosy. Rozsuwam szklane drzwi i podchodzę do półek. Odkładam notatnik i długopis na miejsce.

Na Oddziale jest tłok mężczyźni odpoczywają przed kolacją.

Z nikim nie rozmawiam. Wchodzę na górę i idę do Pokoju i wchodzę do Łazienki i stoję przed lustrem. Spisałem przewinienia swojego życia mam je w kieszeni chcę sprawdzić, czy jestem w stanie spojrzeć sobie w oczy. Kładę dłonie na umywalce. Drżą na białej ceramice. Zaczynam spoglądać w lustro. Widzę, jak drżą mi wargi. Dochodzę do nosa do czarnych rzęs pod oczami dochodzę do dolnej krawędzi oczu. Do bladej zieleni. Do brudnej zieleni. Zieleni, która jest nieczysta. Patrząc na dolny brzeg zieleni jest tylko jedna sprawa która mnie powstrzymuje przed spojrzeniem sobie w oczy. Spojrzeniem w siebie. Spojrzeniem w przeszłość, która jest moja i którą mam w kieszeni. Ten Skurwiel z Paryża. Tylko jedna sprawa. Puszczam umywalkę i odwracam się i wychodzę z Łazienki. Idę do Stołówki i jem kolację z Milesem i Michaelem. Po kolacji idę na Wykład, ale go nie słucham. Po Wykładzie wracam do Pokoju. Próbuję czytać, ale

nie mogę.

Idę do łóżka i próbuję zasnąć.

Jedna sprawa.

Która mnie prześladowuje.

Ciągle.

/

Spię całą noc. Bez przerwy, bez pomocy chemii. To druga noc z rzędu, którą przespałem bez przerwy i bez narkotyków i alkoholu. To nowy rekord.

Kiedy się budzę, jest ranek wczesny ranek. Nie ciemno, ale jeszcze nie jasno. Jest szaro. To szarość odchodzącego smutku, szarość nadchodzącego lęku. Nie ciemno, ale jeszcze nie jasno.

Wstaję z łóżka. Miles śpi idę po cichu do Łazienki. Biorę prysznic i golę się i myję zęby. Ubieram się i wychodzę z Pokoju.

Robię sobie kawę i siadam przy stoliku i piję kawę i palę papierosy i patrzę, jak mężczyźni wykonują poranne Prace. Jeden czyści kuchnię, inny wynosi śmieci, jeszcze inny odkurza podłogę. Widzę mężczyznę, który idzie ze środkami czystości do Toalet Publicznych. To było tak dawno temu. Toalety Publiczne. Roy. Tak dawno temu. Kończę kawę. Idę Korytarzami do Stołówki. Robię sobie kolejną kawę i szukam stolika. Matty siedzi sam w kącie przysiadam się do niego.

Patrzy na jedzenie. Widzę, że ma przekrwione i podpuchnięte oczy. Widelec trzęsie mu się w dłoni.

Szklanka trzęsie się w drugiej dłoni. Patrzy na jedzenie. Mówię.

W porządku, Matty?

Kręci głową.

Co się stało?

Kręci głową.

Mogę jakoś pomóc?

Kręci głową.

Chcesz, żebym sobie poszedł?

Kręci głową.

Siedzę z nim. Siedzę z nim i popijam kawę. Siedzi i patrzy na jedzenie. Dłonie mu drżą i nic nie mówi. Tylko patrzy na jedzenie. Kończę kawę i wstaję i pytam, czy czegoś potrzebuje. Spogląda na mnie i mówi.

Nie idź.

Siadam.

Dobrze.

Patrzy na mnie. Jego oczy są przekrwione i podpuchnięte.

Ktoś musi ze mną siedzieć.

Jestem.

Patrzy na mnie. Jego oczy są przekrwione i podpuchnięte.

James, to już koniec.

Jak to?

Mojego pierdolonego życia. Jest kurwa skończone. o czym ty gadasz?

Odkłada widelec, puszcza szklanę. Dłonie nadal mu drżą. Dowiedziałem się, że moja Zona zaczęła palić.

Co zaczęła palić?

Zaczyna się rozklejać.

Pierdolony crack.

Powstrzymuje się.

W dupę, Matty. Przykro mi.

Kręci głową.

Nigdy wcześniej nie paliła. Miała zaopiekować się Dzieciakami, dopóki stąd nie wyjdę. Tak się kurwa zainteresowała, co to za gówno i jak to się stało, że mnie tak rozjechało, i poszła i sobie kurwa spróbowała.

Skąd wiesz?

Babcia do mnie zadzwoniła. Powiedziała, że wpadła do domu i znalazła same Dzieciaki. Od kilku dni nic nie jadły, a najmniejsze siedziało na podłodze w zasranej pieluszce. Poczekała, aż moja Zona wróci, a kiedy wróciła, była całkiem najebana i bełkotała i takie tam i powiedziała, że wyszła sobie przypalić.

Matty, przykro mi.

Toż to kurwa nie twoja wina.

Co teraz zrobisz?

Nie wiem kurwa nie wiem. To moja w dupę jebana Zona zawsze pomagała nam przetrwać, kiedy ja miałem rozjebkę, a jeżeli teraz ona jedzie na tym ścierwie, wszystko się kurwa rozpierdoli. Nie można

mieć Dzieci ani Rodziny, kiedy Rodzice jadą na cracku, a ja też pewnie nie wytrzymam, jak ona będzie kurwa palić.

A może byś ją gdzieś wysłał, a sam wrócił do boksu?

Popatrz na mnie, James, ja już kurwa nie zawalczę. Mam zniszczone ciało, rozjebaną głowę. Nie wytrzymałbym na Ringu trzydziestu pierdolonych sekund z najbardziej chujowym bokserem na Swiecie.

I tak, jak bardzo bym chciał jej pomóc, to wydaliśmy już resztkę moich wygranych, żeby tu przyjechał, i nic więcej nie mamy.

Gównno kurwa mamy.

Mogę ci jakoś pomóc?

Tylko jeśli masz pod ręką w dupę jebany kawał kapusty, którą chcesz mi podrzucić.

Nie mam.

Mam przejebane, James. To już koniec.

Coś się wymyśli.

Za dobrze znam pierdolony crack, żeby w to kurwa uwierzyć. Ja zdechnę, ona zdechnie, a nasze Dzieciaki wyrosną na to samo co my. Mamy przejebane. Kompletnie przejebane.

Wstaje.

Muszę iść na kurwa spacer.

Podnosi tacę.

Dzięki, żeś mnie wysłuchał.

Odchodzi. Patrę na niego. Podnoszę kubek po kawie i wstaję i idę do taśmociągu i stawiam na nim kubek. Idę Szklanym Korytarzem oddzielającym mężczyzn od kobiet. Widzę, jak Miles i Ted idą w moją stronę. Idą blisko siebie i mają opuszczone głowy. Ich wargi się ruszają, ale nieznacznie. Miles spogląda na mnie i kiwnięciem daje mi znak, że mnie widzi, i dalej rozmawia z Tedem. Mijają mnie. Zostawiam ich samych.

Wracam do Pokoju. Otwieram szafkę obok łóżka. Biorę stertę papieru dwadzieścia dwie strony i wsadzam je do kieszeni spodni. Wychodzę z Pokoju i idę Korytarzami. Są szare jak poranek jak odchodzący smutek jak nadchodzący lęk. Czuję jedno i drugie, ale mi nie przeszkadzają. Za dobrze je znam. Nie przeszkadzają mi.

Pukam do drzwi Joannę mówi proszę. Otwieram drzwi i wchodzę. Siedzi za biurkiem, czyta gazetę, pije kawę, pali papierosa. Mówi. Jak leci?

W porządku.

Gotowy?

Tak, jestem gotowy.

Chcesz o czymś porozmawiać, zanim pójdziemy?

Nie.

Odkłada gazetę, gasi papierosa.

Chciałabym, żebyś tu po lunchu wrócił. Ken i ja musimy omówić z tobą kilka spraw.

Wszystko w porządku?

Przygotowaliśmy Plan Rekonwalescencji, do którego powinieneś stosować się po wyjściu.

Czy jest w nim coś, co myślisz, że zrobię?

Pewnie nie, ale bylibyśmy nieodpowiedzialni, gdybyśmy ci go nie przedstawili.

Dobra.

Idziemy?

Tak.

Wstaje. Wschodzimy z jej Gabinetu i idziemy Korytarzami. Korytarze są nadal szare, choć o kilka odcieni ciemniejsze jak głębszy smutek jak silniejszy strach. Idąc, nie rozmawiamy, i z każdym krokiem wspomnienie tamtej nocy rośnie w siłę. Chciałem być tylko sam. Płakałem. Zbliżył się, a ja go zniszczyłem. Jego rozlana krew. Kurwa zniszczyłem go.

Zatrzymujemy się przed drzwiami. Na tabliczce jest napisane Ojciec David, Kapelan, Opieka Duszpasterska. Joannę puka głos mówi proszę. Prosi, żebym chwilę zaczekał, i otwiera drzwi i wchodzi i zamyka za sobą drzwi.

Stoję i czekam. Zaczynam się trząść ręce i nogi i wargi mi się trzęsą. Serce mi się trzęsie. Gdyby Korytarze były częścią mnie, byłyby czarne. Ze smutku i strachu. Z najciemniejszej ciemności, która we mnie żyje. Byłyby czarne jak kurwa smoła. Trzęsę się.

Drzwi się otwierają. Joannę wychodzi i staje

przede mną. Mówi.

Jest gotów, żeby cię przyjąć.

Dobrze.

Uprzedziłam, że może zrobić się niezręcznie.
Powiedział, że słyszał już chyba wszystko.

Zobaczymy.

Powodzenia.

Dzięki.

Wyciąga ręce i obejmuje mnie i przytula. Mówi.

Po wszystkim lepiej się poczujesz.

Przytakuje. Puszczą mnie. Sięgam do drzwi moja ręka jest ciężka. Ciągnę drzwi ważą tonę. Otwieram je i nie chcę wchodzić nie chcę tego robić. Joannę jest za mną, odwracam się i patrzę na nią, a ona uśmiecha się i jej uśmiech pozwala mi zrobić krok do przodu. Do Sali. Zamykam za sobą drzwi.

Ksiądz siedzi za biurkiem. Jest ubrany na czarno ma białą koloratkę. Jest stary, koło siedemdziesiątki, ma siwe włosy i ciemnobrązowe oczy. Na ścianie za nim wisi Krucyfiks, na stercie papierów leży zniszczona Biblia w skórzanej oprawie. To pierwszy raz od tamtego wieczoru, kiedy jestem w obecności Księdza. Kiedy na niego patrzę, Furia wzbiera. Wstaje i patrzy na mnie i mówi.

Witaj, mój Synu. Nazywam się Ojciec David.

Z całym szacunkiem, proszę księdza, ale nie jestem Synem księdza. Mam na imię James.

Witaj, James.

Dzień dobry.
Usiądziesz?
Pokazuje na krzesło po drugiej stronie biurka.
Naprzeciwko niego. Siadam.
Dziękuję.
Siada na krzesło.
Przyszedłeś tu odbyć Piąty Krok.
Nie wierzę w Kroki. Przyszedłem tu do
Spowiedzi.
Czy jesteś Katolikiem?
Nie.
Nie mogę cię wyspowiadać, jeżeli nie jesteś
Katolikiem.
Czy mam sobie pójść?
Czy nie przeszkadza ci, jeżeli nazwiemy to
rozmową?
Nie.
Więc tak zrobmy.
Dziękuję.
Czy masz jakieś pytania, zanim zaczniemy?
Nie.
Czy masz jakieś wątpliwości?
Nie.
Chciałbym cię zapewnić, że cokolwiek mi dziś
powiesz, nie wyjdzie z tej Sali. To sprawa między
tobą i mną i Bogiem.
Nie wierzę w Boga, proszę księdza.
W takim razie to sprawa między tobą i mną.

Dziękuję.

Czy chciałbyś rozpocząć?

Tak.

Nie musisz się spieszyć.

Biorę głęboki oddech. Wyciągam z kieszeni dwadzieścia dwie kartki żółtego papieru i kładę je sobie na kolanach. Patrzą na nie. Zawierają wszystko, co pamiętam, oprócz jednej sprawy.

Zaczynam czytać. Czytam powoli i metodycznie. Czytam każde słowo i relacjonuję każde wydarzenie. Każda strona zdaje się zajmować godzinę. Przechodząc przez kolejne rzeczy, czuję się lepiej i czuję się gorzej. Lepiej, bo w końcu przyznaję się do swoich grzechów i w końcu przyjmuję za nie w jakiś sposób odpowiedzialność. Gorzej, bo kiedy o nich mówię, wracam do nich myślami. Do każdego z nich. Wracam myślami do każdego z nich. Kiedy kończę czytać, biorę kolejny głęboki oddech. Patrzą na strony i zwijam je i wkładam je z powrotem do kieszeni. Ksiądz mówi.

Czy to wszystko?

Kręcę głową.

Nie.

Wygląda, jakbyś przeczytał wszystko, co miałeś napisane.

Jest jedna rzecz, której nie zapisałem.

Czy chcesz mi o niej opowiedzieć?

Tak.

Nie spiesz się.

Spuszczam wzrok. Patrzę na dłonie trzęsą się. Czuję jak serce mocno bije boi się. Boję się. Biorę kolejny głęboki wdech biorę kolejny. Kolejny. Boję się mówić boję się wspomnień. Boję się. Podnoszę wzrok. Patrzę Ojcu Davidowi prosto w oczy. Są głębokie i ciemne i nie widzę w nich tego, co widziałem tamtej nocy.

W oczach tego Księdza jest tylko spokój i opanowanie i pewność wiary. Nie to, co widziałem tamtej nocy. Biorę kolejny oddech, ostatni oddech. Wypuszczam powietrze. Mówię.

Osiemnaście miesięcy temu w Paryżu pobiłem człowieka tak mocno, że być może zmarł.

Ten człowiek był Księdzem.

Biorę kolejny oddech.

Zaraz po incydencie w Ohio, kiedy siedziałem w Areszcie, zacząłem się zastanawiać nad swoim życiem. Miałem dwadzieścia dwa lata.

Od dziesięciu lat byłem Alkoholikiem i Narkomanem. Nienawidziłem samego siebie. Nie widziałem dla siebie przyszłości, a moja przeszłość to był ciąg katastrof i porażek. Postanowiłem, że chcę umrzeć.

Kiedy wyszedłem za Kaucją i nie stawiłem się na rozprawę, poleciałem z powrotem do Paryża. Po przyjsciu do Domu wypilem butelkę whisky i napisałem list. Napisałem tylko Nie Opłakujcie Mnie.

Położyłem go na łóżku i wyszedłem i zacząłem iść do najbliższego Mostu. W ten sposób zabija się wielu paryżan, rzucając się do Sekwany. Skaczesz, wpadasz do wody i albo giniesz od uderzenia, albo się topisz.

Idąc, zacząłem płakać. Płakałem nad swoim zmarnowanym życiem i płakałem, bo tak je sobie spaprałem, i płakałem ze szczęścia, że to się wszystko skończy. Zacząłem się też bać. Bałem się, bo samobójstwo nie jest takie proste, i wiedziałem, że kiedy już to zrobię, będzie po wszystkim. Nie wierzę w Niebo ani nic w tym stylu. Życie się po prostu kończy.

Biorę oddech.

Zobaczyłem Kościół i tak się bałem, że nie mogłem dalej iść. Pomyślałem sobie, że wejdę do środka i będzie cicho i pusto i posiedzę sobie w samotności i się zastanowię. Znalazłem pustą ławkę i usiadłem i tylko płakałem. Długo. Po prostu siedziałem tam sam i płakałem.

Biorę głęboki oddech. Furia, która uspokoiła się, kiedy opowiadałem, zaczyna znowu wzbierać.

Po jakimś czasie mężczyzna, ubrany jak ksiądz, podszedł do mnie i zapytał, czy dobrze się czuję. Powiedziałem, że nie. Przedstawił się jako Ojciec. Powiedział, że ma duże doświadczenie w pomocy młodym Ludziom i że gdybym chciał z nim porozmawiać o swoich problemach, to możemy pójść

do jego Pokoju i porozmawiać. Odmówiłem, chciałem być sam. Usiadł koło mnie i powiedział, że powinniśmy pójść do niego do Pokoju. Powiedział, że na pewno będzie mi w stanie pomóc, tylko chodź ze mną do Pokoju, chodź do Pokoju. Pomyślałem sobie, że co to w sumie szkodzi, no i poszedłem.

Biorę kolejny oddech. Furia wezbrała. Mówię.

Jego Pokój był jednym z kilku za Ołtarzem. Kiedy weszliśmy, Ojciec zamknął za nami drzwi na klucz. Powinienem się wtedy kurwa domyślić, co jest grane, ale to był Ksiądz i nie przeszło mi to przez myśl. Usiadłem na kanapie, a on usiadł koło mnie i zapytał, co się stało, i mu powiedziałem. Opowiedziałem mu o swoich nałogach, o gównianym życiu, jakie prowadziłem, o kłopotach, przed którymi uciekłem, i o tym, że chcę się zabić. Przez cały czas, kiedy mówiłem, siedział i patrzył na mnie i udawał, że słucha. Kiedy skończyłem, wyciągnął rękę i położył mi dłoń na udzie i powiedział przyszedłeś pod właściwy adres, chyba wiem, jak ci pomóc. Nie podobało mi się, że trzyma tam dłoń, więc ją odsunąłem. Znowu ją tam położył i powiedział choć Bóg mnie tobie zesłał, jest coś, co musisz dać mi w zamian. Jeszcze raz odsunąłem jego dłoń i zapytałem co takiego, a on znowu położył dłoń i położył mi ją wyżej na udzie i powiedział wiem, że jesteś zdenerwowany i zdezorientowany, ale nie możesz się opierać ani walczyć z wolą Pana, nasze spotkanie nie

jest przypadkiem, i zaczął przesuwać dłoń po moim udzie w stronę krocza. Odsunąłem ją i powiedziałem mu, żeby więcej tego nie robił. Powiedział dobrze, ale znowu ją położył i tym razem położył mi ją na kroczu i zaczął drugą ręką sięgać mi do twarzy. Kiedy to robił, mówił nie wolno ci opierać się woli Pana, mój Synu.

Patrzę na Ojca Davida. Furia szaleje szaleje szaleje. Czuję to, co czułem tamtej nocy. Żądzę zabijania, niszczenia, unicestwienia.

Nie pozwoliłem temu Skurwysynowi dotknąć twarzy. Przywaliłem mu w czubek brody i usłyszałem trzask i poląła się krew. Wstałem i uderzyłem go jeszcze raz. I jeszcze raz i jeszcze raz i jeszcze raz. Nie wiem, ile razy go uderzyłem, ale w pewnej chwili widziałem już tylko krew. Kiedy skończyłem już z jego twarzą i kiedy był już nieprzytomny, ściągnąłem go z kanapy i rozłożyłem mu nogi. Rozłożyłem je, by móc go skopać, i tak zrobiłem. Kopnąłem go jakieś piętnaście razy tak mocno, jak byłem kurwa w stanie. Kopałem go, aż zaczął jęczeć, mimo że był nieprzytomny. Potem odwróciłem się i otworzyłem drzwi i wyszedłem i poszedłem do najbliższego Sklepu Monopolowego i kupiłem tyle whisky, ile mogłem, za pieniądze, które miałem, i znalazłem uliczkę i usiadłem tam i najebałem się do nieprzytomności. Kiedy się rano obudziłem, poszedłem do Domu. Potem przez kilka

dni spodziewałem się, że Policja przyjdzie mnie przesłuchać albo aresztować, ale nic takiego się nie stało. Mogę się tylko domyślać, że ten Ksiądz robił z innymi to, co chciał zrobić ze mną, i jeżeli przeżył to, co mu zrobiłem, a myślę, że przeżył, to wiedział, że gdyby poszedł na Policję, ja powiedziałbym, dlaczego to zrobiłem, i gdyby zainteresowali się moją sprawą, pewnie znaleźliby się inni gotowi potwierdzić moją wersję wydarzeń.

Ojciec David odwraca wzrok. Bierze głęboki oddech i kręci głową. Mówię dalej.

Nie wiem, czy straciłem odwagę, żeby się zabić, czy znalazłem siłę, żeby tego nie robić, ale nie zabiłem się. W dalszym ciągu żyłem i piłem i ćpałem i byłem najebany. W końcu wylądowałem tutaj.

W odróżnieniu od reszty spraw, o których księdzu opowiedziałem, nie żałuję tego, co zrobiłem tamtemu Księdzu, i prawdę mówiąc, chyba sobie na to zasłużył. Ale to mnie prześladowało. W chwili, kiedy kopałem tamtego Księdza, mogłem go zabić i chciałem go zabić, i świadomość, że jestem to w stanie zrobić, że mam ochotę to zrobić i że jestem wystarczająco popapwany, żeby to zrobić, przeraziła mnie nie na żarty. Nie chcę nigdy więcej być w takim stanie i wierzę, że rozmowa z księdzem o tym, co zrobiłem, i wyznanie tego, jeżeli można tak w ogóle powiedzieć, pomoże mi uniknąć czegoś takiego na przyszłość. Teraz, kiedy już to zrobiłem, i

opowiedziałem o całej reszcie, to już wszystko.

Ojciec David patrzy w biurko. Patrzę na niego. Czekam, aż coś powie, ale nic nie mówi. Tylko patrzy. Wstaję.

Dziękuję, że mnie ksiądz wysłuchał.

Idę w stronę drzwi. Kiedy sięgam do klamki, słyszę, jak mówi. James.

Odwracam się. , Przepraszam.

Ksiądz nic nie zrobił.

I tak przepraszam.

Dziękuję, i jeszcze raz dziękuję księdzu za wysłuchanie.

Otwieram drzwi i wychodzę na Korytarz i zamykam za sobą drzwi. Biorę głęboki oddech i powoli wypuszczam powietrze. Razem z powietrzem wychodzi ze mnie wszystko, co napisałem, wszystko, co powiedziałem, wszystko, co zrobiłem. Znika. Wszystko. Znika kurwa na dobre.

Wracam na Oddział. Mój krok jest lekki i przyjemny, mam uśmiech na twarzy. Idę do swojego Pokoju i na drzwiach jest wiadomość zadzwoń do Brata do pracy. Pod spodem jest telefon.

Biorę kartkę i idę do Budki Telefonicznej i wchodzę do środka i zamykam drzwi. Wykręcam numer czekam na połączenie. Odbiera kobieta chciałbym rozmawiać z Bobem Freyem mówi chwileczkę. Mój Brat podnosi słuchawkę i mówi słucham. Mówię co u ciebie Skurwysynu i śmieje się

i mówi gratulacje, wychodzisz. Mówię dziękuję i pytam, czy może mnie odebrać, a on mówi tak wziął parę dni wolnego i ma nadzieję, że się u niego zatrzymam. Mówię, że bardzo chętnie. Mówi, że mój kumpel Kevin chciałby przyjechać z Chicago, żeby się ze mną spotkać, i pyta, czy mi to nie przeszkadza. Mówię, że to świetnie, a on mówi, że do niego zadzwoni. Pyta, o której ma mnie odebrać, i mówię o wpół do jedenastej albo jedenastej, albo o której przyjedzie. Mówi, że będzie o wpół do jedenastej. Rozłączamy się.

Mężczyźni wychodzą na lunch i idę za nimi. Kiedy przechodzę obok swojego Pokoju, widzę Milesa, który właśnie z niego wychodzi. Odwraca się do mnie i uśmiecha.

Cześć, James.

Zamyka drzwi, idzie koło mnie.

Cześć, Miles. Co tam u ciebie?

Jestem zajęty.

Czym?

Jutrzejszym przyjazdem Zony. Robieniem tego wszystkiego, co każą nam tu robić. No i próbuję pomóc Tedowi.

A co jest z Tedem?

Tedowi grozi dożywocie bez możliwości zwolnienia warunkowego w Luizjanie. Próbuje pomóc mu się z tego wyplątać.

No i co?

Nic. Chyba nic się nie da zrobić. Ojciec Dziewczyny chce go wsadzić. Kurwa. Wie?

Tak. i co powiedział?

Ze chce tu zostać, ile będzie mógł, a potem może uda mu się ukryć u Krewnych w Missisipi.

Co o tym myślisz?

Ze to bardzo smutne.

Wchodzimy w Korytarz oddzielający mężczyzn od kobiet. Miles trąca mnie i pokazuje na sekcję żeńską. Spoglądam i widzę Lilly. Jest odwrócona do mnie tyłem i siedzi przy stoliku z trzema innymi kobietami. Włosy związała w kucyk, ma na sobie T-shirt. Jej ramiona są cienkie, jakby bardzo schudła.

Uśmiecham się. Widzę, jak jedna z kobiet wymawia moje imię, i czekam, aż Lilly się odwróci, mam nadzieję, że się odwróci, ale się nie odwraca. Jedna z kobiet przy jej stoliku to Kierowniczka Oddziału.

Kiedy stoję w kolejce, patrzę na nią. Kiedy dostaję jedzenie, indyka z jarzynami w cieście, patrzę na nią. Kiedy idę przez Stołówkę do stolika w kącie, patrzę na nią. Chcę, żeby się odwróciła, chcę zobaczyć jej twarz. Nie odwraca się.

Siadam. Miles siada ze mną. Dołączają do nas Ted i Matty i Michael. Ani Ted ani Matty nie mówią ani słowa. Tylko patrzą w talerze i jedzą. Miles i Michael rozmawiają o swoich Dzieciach. Patrzę na długie ciemne włosy Lilly i jej ramiona, które są za

chude.

Kiedy wstaje, żeby zanieść tacę na taśmociąg, ja też wstaję. Idę powoli i staram się dopasować moje podejście tak, żeby zgrać je z podejściem Lilly. Wem, że jeżeli spróbuję z nią porozmawiać albo będę się ją starał zmusić do zasygnalizowania, że mnie zauważyła, to wpakuję ją w kłopoty, więc nie mam zamiaru próbować. Chcę tylko być koło niej. Na tyle blisko, żeby poczuć jej obecność. Na tyle blisko, żeby zobaczyć szczegóły jej twarzy. Na tyle blisko, żeby poczuć zapach jej włosów. Chcę tylko być koło niej.

Podchodzi do taśmociągu i kładzie na nim tacę. Pozostałe kobiety są za nią, a ja jestem za nimi. Kiedy się odwraca, zauważa mnie i uśmiecha się. To szeroki uśmiech, piękny uśmiech. Tęskniłem za tym uśmiechem, tęskniłem za nim. Uśmiecham się do niej, choć najchętniej bym ją objął i przytulił i pocałował i powiedział, że ją kocham. To właśnie chciałbym zrobić. Objąć ją i przytulić i pocałować i powiedzieć, że ją kocham.

Pozostałe kobiety kładą tace na taśmociągu i odwracają się i odchodzą i Lilly odchodzi z nimi. Kładę tacę na taśmociągu i idę za nimi Szklanym Korytarzem i do Korytarzy. Przy wejściu do Auli skręcają i wchodzą. Idę do Gabinetu Joannę.

Kiedy przychodzę, drzwi są otwarte. Wchodzę, a Ken i Joannę siedzą na kanapie. Każde z nich

przełóża skoroszyt na kolanach. Siadam na fotelu naprzeciwko i czekam, aż skończą. Joannę podnosi wzrok.

Właśnie omawialiśmy twój Plan Rekonwalescencji.

No i jak to wygląda?

Ken mówi.

Jeżeli będziesz się go trzymał, to będzie ci dobrze służył.

Joannę zamyka skoroszyt, prostuje się. Ken zamyka skoroszyt i podaje mi go.

Biorę go i otwieram i przełóżam. W środku są materiały AA i rozkłady Spotkań AA w Chicago. Zamykam go.

Wygląda nieźle.

Joannę mówi.

Powinieneś się w to trochę bardziej wczytać.

Dlaczego?

Bo to jest ważniejsze, niż może ci się zdaje.

Widziałem tylko rzeczy związane z AA.

Ken mówi.

Bo zalecamy ci, żebyś chodził na Spotkania AA.

Patrzę na Joannę.

Myślałem, że już to przerabialiśmy.

Ken chciał jeszcze raz o tym porozmawiać i zgodziłam się.

Dlaczego?

Ken mówi.

Bo bez AA zaczniesz znowu brać.

Dlaczego tak myślisz?

Bo tylko to jest skuteczne.

Być może tylko to jest skuteczne dla ciebie, ale nie będzie skuteczne dla mnie.

Dlaczego?

Nie wierzę w Dwanaście Kroków. Nie wierzę w Boga ani żadną formę Siły Wyższej. Nie zgadzam się na oddanie własnego życia i woli we władanie czegokolwiek ani kogokolwiek, a co dopiero czegoś, w co nawet nie wierzę.

To co masz zamiar w takim razie zrobić?

Mam zamiar żyć swoim życiem. Mam zamiar stawiać czoło temu, co nadejdzie, i radzić sobie z przeszkodami, kiedy będę sobie musiał z nimi radzić. Kiedy będę miał przed sobą alkohol albo narkotyki, albo jedno i drugie, podejmę decyzję, żeby ich nie brać. Nie mam zamiaru żyć w strachu przed alkoholem ani narkotykami i nie mam zamiaru tracić czasu na siedzenie i rozmowę z ludźmi, którzy żyją w takim strachu. Mam zamiar być zależny wyłącznie od siebie.

Ken kręci głową.

To prosta droga do katastrofy.

Śmieję się z niego.

No to zobaczymy.

Joannę mówi.

Już to mówiłam, James, i choć jestem pod

wrażeniem tego, jak poradziłeś sobie ze swoimi nałogami i swoim życiem, czuję, że postąpiłabym nieodpowiedzialnie, nie mówiąc tego jeszcze raz. Czego?

Szansa, że ktoś z twoją historią uzależnienia od narkotyków i alkoholizmu przestanie brać bez znaczącego wsparcia, zarówno w postaci AA, jak terapii, czy to Indywidualnej, czy Grupowej, są jak milion do jednego. W najlepszym wypadku milion do jednego. Nie boję się tej szansy.

Ken mówi.

Milion do jednego, Jamesi Tyle samo wynosiła szansa, że tu trafię. Nie boję się jej.

Joannę mówi.

Myślę, że poczulibyśmy się z Kenem lepiej, gdybyś przynajmniej przejrzał z nami zawartość skoroszytu.

Dobra.

Otwieram swój egzemplarz, oni otwierają swoje i zaczynamy je przeglądać. W środku jest mała książeczka o terapii w Areszcie, która polega na uczestnictwie w programach AA w Zakładzie Karnym i pracy nad Krokami. Jest rozkład Spotkań AA w Chicago i lista numerów telefonicznych Grup Wsparcia. Jest mały pakiet broszurek o Reakcyjnej Terapii Racjonalnej i jak ją stosować w Świecie zewnętrznym. Jest pakiet informacyjny o Ośrodku w Chicago współpracującym z tą Kliniką i o

Programach, które prowadzą dla pacjentów po Terapii. Jest egzemplarz samych Dwunastu Kroków. Jest egzemplarz Modlitwy o Spokój.

Kiedy to przeglądamy, Ken i Joannę cierpliwie wszystko tłumaczą, a ja cierpliwie słucham. Chyba jestem im winien szacunek, mogę ich wysłuchać. Kiedy kończymy, czuję ulgę. Jeżeli wszystko pójdzie tak, jak mam nadzieję, a zakładam i spodziewam się, że pójdzie, nigdy więcej nie będę już musiał słuchać niczego na temat swojego udziału w Spotkaniach Anonimowych Alkoholików ani Dwunastu Kroków.

Zamykam skoroszyt. Pytam Joannę, czy nie będzie jej przeszkadzało, jeżeli zapalę, a ona się śmieje i mówi, że właśnie chciała mnie zapytać o to samo. Oboje przypalamy sobie papierosy. Ken wstaje i mówi, że musi już iść, a ja wstaję i dziękuję mu za jego czas i wysiłek i ściskam mu dłoń, a on życzy mi powodzenia i mówi, żebym zadzwonił, jeżeli będę miał jakieś pytania albo wątpliwości, i dziękuję mu jeszcze raz, a on wychodzi. Siadam, a Joannę mówię. Dobrze się czujesz?

Aha.

Podeksytowany?

Aha.

Udało ci się złapać Brata?

Przyjeżdża po mnie z samego rana. Chyba przyjedzie z moim przyjacielem.

Dokąd pojedziecie?

Na jebanego cheeseburgera.

Śmieje się.

Gdybyś powiedział mi, że masz na to ochotę, tobym ci go przywiozła.

I tak dużo dla mnie zrobiłaś.

Przyjdiesz rano się pożegnać?

Na pewno.

Dobrze.

Gaszę fajkę i wstaję i dziękuję Joannę, a ona mówi nie ma sprawy i wychodzę z jej Gabinetu. Wracam Korytarzami i idę do Pokoju i zaczynam zbierać rzeczy, mimo że nie ma ich za wiele. Kilka par spodni. Kilka T-shirtów. Sweter i para kapci i para butów. Irzy książki i zapalniczka. To niewiele, ale to moje, i to wszystko, czego mi potrzeba. Kiedy kończę pakować to do małej plastikowej torby, do Pokoju wchodzi Miles. Ma ze sobą brązową kopertę.

Poczta do ciebie.

Podaje mi kopertę. Siadam na łóżku.

Dzięki.

Kiedy Miles rozpakowuje i składa klarnet, oglądam kopertę. Jest zwykła i brązowa. Nie ma adresu nadawcy, a stempel jest z San Francisco. Jest zaadresowana do mnie do tej Kliniki. Pismo jest proste i czytelne, litery szerokie i luźno rozmieszczone i zakręcone. Charakter pisma należy chyba do kobiety. Zastanawiam się, jakie znane mi kobiety mieszkają w San Francisco. Jest tylko jedna i

nie chciałyby ze mną rozmawiać, a co dopiero napisać do mnie list. Otwieram kopertę. Otwieram ją ostrożnie wzdłuż brzegu, który został zaklejony przed wysłaniem. Rozrywam ją powoli, a kiedy jest otwarta, sięgam do środka. Wyczuwam mały stos zdjęć. Są szczipione gumką recepturką. Wyciągam je z koperty.

Na pierwszym czarno-białym zdjęciu jest ona. Ona z włosami blond jak grube jedwabne liny. Ona z niebieskimi oczami jak arktyczny lód. Stoi w Pokoju, w Pokoju, gdzie się poznaliśmy, i uśmiecha się i trzyma wypchanego zwierzaka. Znam to zdjęcie, miałem odbitkę. Nosilem odbitkę tego zdjęcia w portfelu. Nosilem je, zanim ze sobą byliśmy, nosilem je, kiedy ze sobą byliśmy, nosilem je po tym, jak się rozstaliśmy. Trzyma zwierzaka, jakiegoś pluszowego lwa, na wysokości piersi. Ma rozpuszczone włosy, nie ma makijażu, a jej uśmiech jest otwarty i szeroki, jak gdyby migawka aparatu pstryknęła, tuż zanim zaczęła się śmiać. Na tym zdjęciu jest piękna. Przepiękna.

Zaczynam przeglądać pozostałe zdjęcia. Na jednym idziemy razem po ulicy. Trzymamy się za ręce i uśmiechamy. Na innym leżymy razem na kanapie. Śpię, a ona całuje mnie w policzek. Na kolejnym jesteśmy odstawieni, ona w sukience, ja w pożyczonym garniturze. Wznosimy toast kieliszkami szampana. Na jeszcze innym siedzimy na Słońcu pod

więdnącym jesiennym drzewem. Trzyma książkę, ja palę papierosa. Na następnym się całujemy. Mamy zamknięte oczy, obejmujemy się, nasze wargi delikatnie się stykają. Ona i ja. Całujemy się.

Odkładam zdjęcia z powrotem. Owijam je gumką recepturką. Wkładam je z powrotem do koperty i zamykam kopertę. Wstaję i wychodzę z Pokoju.

Idę na Oddział po schodach na dwór. Zaczynam iść po Szlaku prowadzącym do Lasu. Jest zimno i zapada noc i jestem bez kurtki. Zaczynam szcząkać zębami i drżeć.

Wchodzę do Lasu. Idę Szlakiem do miejsca, gdzie skręcam na Polanę. Przechodzę przez gąszcz gałęzi gąszcz Wiecznie Zielony gąszcz zarośli. Przechodzę na otwartą przestrzeń.

Siadam na ziemi. Gleba jest zimna, martwe liście zamrożone i sztywne. Wyciągam z kieszeni stos dwudziestu dwóch żółtych stron, które ze sobą przyniosłem. Czytam je. Czytam je powoli. Czytam każde słowo, wracam myślami do każdego wspomnienia. Kładę je na ziemi. Wyciągam zdjęcia z koperty i zdejmuję z nich gumkę recepturkę i oglądam je. Oglądam je powoli. Oglądam każde zdjęcie, wracam myślami do każdego wspomnienia. Kładę je wraz z kopertą na stosie żółtego papieru.

Wyciągam z kieszeni zapalniczkę. Przekręcam kciukiem krzesiwo. Skacze iskra i nad zapalniczką

pojawia się mały niebieski płomień. Umieszczam płomień pod żółtym papierem. Trzymam go tam, aż papier się zajmie. Papier zapala się z boku i szybko się zajmuje. Wkładam zapalniczkę z powrotem do kieszeni.

Siedzę i patrzę na palącą się stertę. Siedzę i patrzę, jak żółte robi się czerwone od ognia robi się czarne od popiołu z popiołu zamienia się w dym i znika. Patrzę, jak zdjęcia zajmują się i wyginają się i marszczą się i znikają. Patrzę, jak jej wizerunek znika. Patrzę, jak nasze wspólne chwile płoną. Patrzę, jak moje wspomnienia o niej płoną. Już z nimi skończyłem. Koniec kurwa. Czas się pożegnać.

Kiedy wszystko jest już spalone, wstaję i stawiam stopę na stercie tłącego się popiołu i wcieram go w ziemię. Wcieram, aż nic z niego nie zostaje i nie ma śladu ognia. Wcieram, aż miesza się z Ziemią i jest czarny i znika.

Zapadła noc, a z nią ciemność i chłód. Przeciskam się przez gąszcz gałęzi gąszcz Wiecznie Zielony gąszcz zarośli. Trafiam na Szlak i idę nim przez Las. Przechodzę po zamarzniętej trawie i idę do świateł Kliniki. Idę do drzwi i wchodzę do środka.

Oddział jest pusty. Spoglądam na zegar ścienny. Czas na kolację. Wychodzę z Oddziału i idę Korytarzami do Stołówki. Nie jestem głodny i nie chciałbym jeść tu więcej żadnego posiłku, ale chcę zobaczyć Lilly.

Przechodzę przez Korytarz. Rozglądam się po części żeńskiej. Rozglądam się po stolikach, ale tam jej nie ma. Przyglądam się uważniej. Nie ma jej. Patrzę na stolik, gdzie siedzi Kierowniczka Oddziału, ale tam jej nie ma.

Kiedy odwracam się do stosu tac, widzę, jak idzie w moją stronę. Uśmiecha się i odgarnia sobie włosy z oczu. Jej oczy są podkrążone, ale głębokie niebieskie jak woda lśnią. Stoję i czekam na nią, a kiedy przechodzi, bez słowa, delikatnie ociera się dłonią o skórę mojego przedramienia.

Odwracam się i patrzę, jak odchodzi. Nie patrzy na mnie. Kiedy jej nie ma, patrzę na Kierowniczkę, która dostrzega moje spojrzenie i marszczy brwi i kręci głową, jakby chciała powiedzieć widziałam, co się przed chwilą stało, więcej tego nie rób. Uśmiecham się i odchodzę.

Robię sobie kawę i szukam przyjaciół. Idą w moją stronę i niosą tace. Matty i Ted mają wygląd nieszczęśników. Kiedy mnie mijają, słyszę mrukliwe cześć. Miles i Michael są tuż za nimi, odwracam się i idę z nimi do taśmociągu. Miles mówi.

Spóźniłeś się.

Byłem zajęty.

Michael mówi.

Może i lepiej.

Dlaczego?

To była bardzo przygnębiająca kolacja.

Co się stało?

Miles mówi.

Ted dowiedział się, że musi stąd wyjść za trzy dni, a Zona Matty'ego zniknęła.

Kurwa.

Michael mówi.

To bardzo przygnębiające.

Kurwa.

Odkładają tace. Idziemy Korytarzami. Idą na Wfykład, a ja wracam do Pokoju. Siadam na łóżku i biorę swój egzemplarz *Tao* i wchodzę pod kołdrę i zaczynam czytać.

Siedemdziesiąt dziewięć. Porażka to okazja. Jeżeli zrzucisz odpowiedzialność na innych, poczucie winy nie będzie miało końca. Wypełniaj zobowiązania, naprawiaj błędy. Zrób to, co musisz, i nie wymagaj od innych.

Sześćdziesiąt cztery. Co puściło korzenie, urośnie. Co jest świeże, da się naprawić. Co jest kruche, złamie się. Unikaj kłopotów, zanim cię dopadną, porządkuj sprawy, zanim się pojawią. Wielkie drzewo rośnie z małego nasionka. Tysiącmilowa podróż zaczyna się od pierwszego kroku. Jeżeli będziesz się spieszył, przegrasz. Gdy się do czegoś za bardzo przywiążesz, stracisz to. Działaj, pozwalając, żeby to działanie do ciebie przychodziło. Bądź tak samo spokojny na początku i na końcu. Jeżeli nic nie masz, nie masz nic do stracenia. Pragnij

nie pragnąć, ucz się oduczać. Nie przejmuj się niczym, a zajmiesz się wszystkim.

Te słowa są tak samo prawdziwe teraz jak za pierwszym razem, kiedy je przeczytałem. Nie mówią mi, co robić ani jak żyć, ani czego nie robić, ani jak nie żyć, po prostu mówią mi, żebym był tym, czym jestem i kim jestem, i pozwolił życiu istnieć i istniał w życiu. Te słowa są prawdziwe.

Dwadzieścia dwa. Jeżeli chcesz być cały, najpierw musisz być częścią. Jeżeli chcesz być prosty, najpierw musisz być skrzywiony. Jeżeli chcesz być pełny, najpierw musisz być pusty. Jeżeli chcesz się odrodzić, najpierw musisz umrzeć. Jeżeli chcesz wszystkiego, oddaj wszystko. Jeżeli nie będziesz się eksponował, ludzie dostrzegą twoje światło. Jeżeli nie będziesz chciał nic udowodnić, ludzie będą ci ufać. Jeżeli nie będziesz się starał być kimś, ludzie będą się w tobie przeglądać. Jeżeli nie będziesz miał celu, zawsze odniesiesz sukces.

Czterdzieści jeden. Kiedy światły człowiek słyszy o Tao, zaczyna je uosabiać. Kiedy przeciętny człowiek słyszy o Tao, wierzy w część i wątpi w część. Kiedy głupiec słyszy o Tao, wyśmiewa je. Gdyby się nie śmiał, to nie byłoby Tao. Mówi się, że ścieżka ku światłu jest mroczna. Ze ścieżka do przodu wiedzie do tyłu. Ze prawdziwa potęga wydaje się słaba, prawdziwa czystość zszargana, prawdziwa determinacja zmienna, prawdziwa przejrzystość

mętna. Największa sztuka jest niewyszukana, największa miłość beznamiętna, największa mądrość dziecinna.

Miles wchodzi do Pokoju. Zamykam książkę. Podchodzi do łóżka i bierze klarnet i pyta, czy będzie mi przeszkadzało, jeżeli zagra. Mówię proszę bardzo, chciałbym, żebyś zagrał. Podnosi go oblizuje wargi przykłada stroik do ust i dmie. Zamykam oczy. Słyszę długie i wolne. Słyszę krótkie i szybkie. Słyszę melodię, która nie powstała z nut na stronie, tylko z bicia ludzkiego serca. Słyszę smutek i wstyd i nadzieję i odkupienie. Słyszę przeszłość, która się nie liczy, i przyszłość, która nigdy nie nadchodzi. Słyszę harmonię i prostotę i cierpliwość, słyszę dyscyplinę i współczucie. Teraz słyszę wszystko. W tej chwili w tej Klinice w tym Pokoju na tym łóżku z zamkniętymi oczami.

Słyszę.

Teraz.

Budzik na szafce Milesa pokazuje trzecią czterdzieści siedem.

Nie śpię.

Czuję, że w Pokoju jest Zjawa. Zjawa, która chce mnie zabić. Powoli i boleśnie. Zabić mnie.

Siadam. Rozglądam się po Pokoju. Jest ciemno, ale widzę. Miles śpi w swoim łóżku. Drzwi są zamknięte, okno jest zamknięte. Wszystko jest tak, jak było, kiedy zasypiałem. Choć wiem, że nic nie

ma, nadal mam poczucie, jakby w Pokoju coś było.

Wstaję z łóżka. Idę do Łazienki. Spryskuję sobie twarz zimną wodą. Jeszcze raz i jeszcze raz. To nie robi różnicy. Nadal czuję Zjawę. Wschodzę z Łazienki i ubieram się. Biorę kurtkę Hanka, paczkę papierosów, zapalniczkę. Wschodzę.

Idę przez Oddział. Jest cicho i spokojnie wszyscy śpią. Wschodzę. Czuję, jakby coś mnie śledziło.

Idę do ławek nad Jeziorem. Siadam na środkowej. Zapalam papierosa i patrzę na zamarzną wodę. Jest cicha i czarna, nieruchoma. Są w niej uwięzione patyki i liście. Pojedyncze nietoperze szybują nad powierzchnią.

Zjawa zaczyna nabierać kształtów. Przedstawia się jako strach. Nie walczę z nią, nawet nie próbuję. Nie wydaje mi się, żeby mógł z nią walczyć, nawet gdybym chciał.

Boję się. Nie wiem, czego się boję, po prostu się boję. Kiedy siedzę i palę i patrzę na Jezioro, mój strach zaczyna nabierać kształtów.

Boję się. Boję się stąd wyjeżdżać. Boję się utraty bezpieczeństwa i ochrony, które zapewnia mi pobyt tutaj. Boję się odsiadki, boję się tego, co się tam ze mną stanie. Boję się alkoholu i narkotyków i boję się picia alkoholu i brania narkotyków. Boję się tego, co mogłoby się stać, jeżeli to zrobię. Boję się tego, co mogłoby się stać, jeżeli tego nie zrobię. Boję się boję

się boję. Boję się wszystkiego. Boję się seksu, Pracy, pieniędzy, mieszkania. Boję się samej myśli, że będę to wszystko miał, boję się myśli, że nie będę tego miał. Boję się Lilly.

Boję się ją kochać i boję się pozwolić jej, żeby mnie kochała. Boję się bycia z nią, boję się, że ją stracę, boję się życia z nią, boję się życia bez niej. Boję się złamanego serca. Boję się jej wątpliwości i uzależnienia. Boję się życia. Boję się śmierci. Boję się życia. Boję się.

Siedzę i patrzę na Jezioro. Palę. Patrzę, jak niebo robi się szare, nie ma Słońca. Pytam kłęby gęstych szarych chmur, co robić. Pytam nietoperza, co robić. Pytam trawę, lód, zamarznięty patyk, martwego robaka, ławki. Każdą z ławek. Co mam robić?

Strach to tylko strach. Wem, że nic nie może mi wyrządzić większej krzywdy niż to, co sam sobie wyrządziłem. Wiem, że nie ma bólu, którego nie potrafiłbym znieść. Wem, że trzymając się każdej chwili każdej godziny każdego dnia dni się sumują każdego tygodnia każdego miesiąca, jeżeli będę się trzymał, to sobie poradzę. Wiem, że jestem silny. Wem, że jestem na tyle silny, żeby stawić czoło temu, czego się lękam, i wiem, że jestem na tyle silny, żeby się trzymać, aż strach przejdzie. Wiem to w głębi serca.

Śmieję się. Śmieję się na głos. Odpowiedzi na moje pytania są proste, jeżeli pozwolę, żeby były

proste. Mam je wszystkie w swoim zasięgu, wystarczy tylko wyciągnąć rękę. Boję się wszystkiego. Boję się, bo pozwalam sobie bać się. Nie ma nic, czego mógłbym się bać. Śmieję się na głos, bo to takie proste. Nie powinienem się niczego bać. Niczego się nie boję. Po prostu. Niczego kurwa.

Wstaję i wracam na Oddział. Otwieram drzwi i wchodzę do środka. Mężczyźni już nie śpią. Wykonują swoje poranne Prace, czytają gazety, piją kawę i palą papierosy. Podchodzę do półek i wyrywam z notatnika kartkę żółtego papieru i biorę z kubka długopis.

Wkładam je do kieszeni i idę do Pokoju. Miles stoi przy łóżku. Odwraca się i patrzy na mnie.

Cześć, James.

Cześć.

Podeksycytowany wyjściem?

Uśmiecham się.

Pewnie. Podeksycytowany przyjazdem Zony?

Bardzo podeksycytowany.

Mam nadzieję, że wszystko się między wami ułoży.

Mam przeczucie, że tak będzie.

Uśmiecham się jeszcze raz.

To dobrze.

Wyciągam z kieszeni kartkę i długopis.

Tak sobie myślałem, mógłbyś mi dać swój adres i telefon?

Jeżeli dostanę twój.

Tak naprawdę to nie mam.

A dostanę, kiedy będziesz już miał?

Oczywiście, ale odezwę się pewnie wcześniej.

Mam nadzieję.

Bierze długopis i kartkę i siada na łóżku. Kładzie kartkę na kolanach i zapisuje swoje dane. Wstaje i oddaje mi kartkę i długopis. Mówi.

James, to był dla mnie zaszczyt, że mogłem cię poznać. Dziękuję ci za wszystko, co mi dałeś. Zawsze będę ci życzył jak najlepiej i zawsze możesz do mnie przyjść, jeżeli będziesz w potrzebie.

To jest chyba pierwszy raz, kiedy ktoś powiedział, że poznanie mnie jest dla niego zaszczytem.

Śmieje się.

Dzięki za pomoc, Miles. Nawet jeżeli nie chcesz się do tego przyznać, wiem, że pomogłeś mi w Ohio, i zawsze będę ci za to wdzięczny.

Uśmiecha się.

Byłeś wspaniałym przyjacielem i będzie mi cię brakować. Przytakuje jeszcze raz.

Ty też, James.

Wyciąga dłoń i biorę ją i ściskamy sobie dłonie. Puszczamy dłonie i obejmujemy się. Ściskamy się przez chwilę i Miles mówi powodzenia, James, i mówię powodzenia, Miles.

Gotów na śniadanie?

Przytakuję.

No.

Wschodzimy. Idziemy Korytarzami i przechodzimy Szklanym Korytarzem oddzielającym mężczyzn od kobiet. Szukam Lilly, ale jej nie ma. Przechodzimy przez Korytarz i Miles bierze tacę i talerz jajeczniczy z serem, a ja robię sobie kawę. Idziemy do naszego stolika, stolika, przy którym jemy każdy posiłek. Stolika w kącie. Siadam i piję kawę i szukam Lilly. Miles je jajecznicę z serem. Ted i Matty i Michael do nas dołączają, a ja biorę od nich adresy i numery telefonów. Michael daje mi obydwa, Matty daje mi adres bez telefonu, Ted nie ma żadnego. Proszę Matty'ego, żeby podpisał się na dole kartki, a on pyta po co. Mówię, że chciałbym dostać jego autograf, a on śmieje się i mówi chuj to teraz niewarte. Mówię, że chcę dostać autograf, bo dla mnie ma wartość. Uśmiecha się i pisze Dla Jamesa, jebanego Mistrza Wagi Średniej pierdolonego Ośrodka Odwykowego. Obyśmy pożyli tak długo, żeby się jeszcze kiedyś zobaczyć, to by było kurwa fajnie. Twój Przyjaciel, Matty Jackson, były bezapelacyjny Mistrz Świata Wagi Piórkowej.

Biorę kartkę i wkładam ją do kieszeni. Kiedy mam pewność, że jest schowana głęboko i bezpiecznie, piję łyk kawy. Piję łyk i czekam.

Piję łyk i czekam. Widzę, jak Lilly idzie Korytarzem. Jest z Kierowniczką Oddziału i nie

patrzy na mnie. Patrzę, jak staje w kolejce, bierze tacę, bierze kawę i pączka. Patrzę, jak idzie do Części Żeńskiej i siada przy stoliku. Patrzę, jak Kierowniczka Oddziału każe Lilly usiąść tak, żeby była plecami do mnie.

Wstaję. Żegnam się z przyjaciółmi. Pytają, czy jeszcze się zobaczymy, a ja mówię, że dopiero na zewnątrz. Ściskam każdego z nich. Dziękuję im za przyjaźń i życzę im powodzenia i mówię, że mam nadzieję, że wszystko im się jakoś ułoży.

Biorę kubek i stawiam go na taśmociągu. Stoję i patrzę, jak zmierza ku czystości. To ostatni kubek, z jakiego tutaj skorzystam. Żegnam się z nim. Odwracam się i zaczynam iść Korytarzem. Patrzę na Lilly, mimo że ona mnie nie widzi. W połowie Korytarza zatrzymuję się i odwracam się i stoję przed szybą i patrzę.

Stolik Lilly jest jakieś trzydzieści stóp ode mnie. Pomiedzy nami jest pięć innych stolików, w żeńskiej Stołówce jest około trzydziestu stolików. Wszystkie są zajęte.

Stoję i patrzę. Stoję i patrzę. Na tył głowy Lilly, na jej długie piękne ciemne włosy, na jej dłoń wkładającą pączka do ust. Kobieta siedząca kilka stolików dalej pokazuje na mnie i reszta kobiet przy jej stoliku odwraca się i na mnie patrzy. Jedna z nich mówi coś kobiecie przy stoliku obok i wszystkie kobiety przy tamtym stoliku odwracają się i na mnie

patrzą. Jedna z tamtych kobiet mówi coś do Kierowniczkii Oddziału, która podnosi wzrok i posyła mi gniewne spojrzenie. Nie ruszam się. Nie ruszę się. Patrzę na piękne włosy Lilly i jej piękną dłoń. Uśmiecham się, bo je pączka, i to mi się wydaje zabawne. Kierowniczka Oddziału pokazuje mi, że bym sobie poszedł, ale się nie ruszam. Nie ma kurwa mowy.

Lilly widzi, jak Kierowniczka posyła mi gniewne spojrzenie, i widzi, jak pokazuje mi, że bym sobie poszedł, i odwraca się i mnie zauważa. Uśmiecha się. Patrzę na nią jej piękną twarz jej piękne czerwone jak krew usta jej piękną skórę tak bladą jej oczy jak głęboka woda. Te piękne oczy niebieskie jak głęboka woda. Widzę tylko ją. Piękna Lilly. Widzę tylko ją. Piękna Lilly.

Odwraca się. Widzę, że Kierowniczka coś mówi, ale nie widzę, co mówi. Widzę, jak szczeka Lilly się porusza, coś jej odpowiada. Kierowniczka znowu mówi. Nie widzę słów, ale widzę jej twarz.

Jest zdenerwowana i to coraz bardziej. Widzę, jak Lilly coś jej odpowiada, widzę, jak Lilly wstaje i odpycha krzesło. Widzę, jak Lilly odwraca się i zaczyna iść w stronę wejścia do Korytarza. Widzę, jak Kierowniczka wstaje i coś do niej krzyczy. Widzę, jak Lilly ignoruje ją i idzie w stronę wejścia do Korytarza.

Odwracam się do niej, kiedy obchodzi szybę.

Uśmiecham się do niej, kiedy do mnie idzie. Zaczynam do niej iść. Moje serce bije bije bije. Uśmiecham się i ona się uśmiecha. Zaczyna iść do mnie szybciej. Jest piękna tak piękna. Na zewnątrz i w środku. Kocham ją. Idzie do mnie. Kocham ją.

Rozkładam ramiona. Wybiega w nie, we mnie. Obejmuję ją obejmuję ją mocno przytulam ją mocno tak mocno jak potrafię. Obejmuje mnie. Nie ma słów. Nie ma hałasu. Nie ma nikogo oprócz nas.

Czuję bicie jej serca przy moim ciele. Wiem, że ona czuje bicie mojego serca przy jej ciele. Nic więcej się nie liczy. Nic więcej nie istnieje. Tylko ona i ja. Jej serce i moje serce. Jej serce i moje serce. Całuję ją w szyję, wążam jej włosy, przytulam jej ciało jest taka mała i wątła przytulam jej ciało. Czuję, jak płacze mi na ramieniu cicho płacze jej łzy na policzku jej łzy na mojej koszuli. Szepczę kocham cię. Kocham cię. Kocham cię. Szepczę jej do ucha kocham cię. Odpycha się ode mnie, ale nie z moich ramion. Odpycha się ode mnie, żebym mógł spojrzeć jej w twarz i żeby mogła widzieć moją. Uśmiecha się i łzy lecą jej po policzkach. Jej dolna warga drży i jej oczy tak teraz wilgotne są jeszcze bardziej niebieskie. Uśmiecham się do niej. Mówię.

Kocham cię, Lilly.

Kocham cię, James.

Będę za tobą tęsknił.

Dokąd się wybierasz?

Za chwilę wyjeżdżam.

Dokąd?

Muszę pójść do Aresztu w Ohio.

Nie.

To tylko parę miesięcy. Będę do ciebie codziennie pisał i będę dzwonił, kiedy tylko będę mógł.

Nie.

Będziemy się codziennie słyszeć. W pewnym sensie będziemy się codziennie słyszeć. Kiedy wyjdę, przyjeżdżam do Chicago.

Będę sama.

Nie będziesz.

Będę.

Nie będziesz.

Obiecujesz?

Pamiętasz słowo?

Jakie słowo?

Nigdy.

Uśmiecha się.

Podoba mi się to słowo.

Pamiętaj.

Będę za tobą tęsknić. Będę się ó ciebie martwić.

Myśl tylko o tym, żeby się wyleczyć. Ja sobie poradzę i przyjadę do ciebie, jak tylko będę mógł.

Kocham cię, James.

Kocham cię, Lilly. Kocham cię.

Nachyla się do mnie i zamyka oczy. Zamykam

oczy i czekam, aż się zbliży. Nasze usta spotykają się, delikatnie, łagodnie, powoli, nasze usta spotykają się i nasze ramiona mocno obejmują i jest nam dobrze i jest bezpiecznie i jest coraz lepiej. W swoich ramionach jest nam dobrze i bezpiecznie. Jest coraz lepiej.

Nasze usta odsuwają się. Otwieramy oczy. Patrę w głęboką niebieską wodę. Patrzy w bladą zieleń. Wyciągam dłoń i głaszczę jej policzek. Kiedy dłoń się ześlizguje, robię krok w tył. Niebieskie jak głęboka woda w bladozielone. Uśmiecham się. Odwracam się i zaczynam odchodzić.

Kiedy idę Szklanym Korytarzem, który mnie stąd wyprowadzi, wiem, że Lilly stoi tam, gdzie ją zostawiłem, i wiem, że czeka, aż się odwrócę i się z nią pożegnam. Wiem, że jeżeli to zrobię, pęknie mi serce. Wiem, że jeżeli to zrobię, to się rozpłaczę. Wem, że jeżeli to zrobię, to będzie coś, czego nie zrobiłem nigdy wcześniej. Odwrócić się i pożegnać.

Szkoło się kończy zaczynają się Korytarze. Zatrzymuję się i odwracam i patrę na Lilly. Uśmiecha się i po jej policzkach spływają łzy. Mówię kocham cię i choć wiem, że mnie nie słyszy, wiem, że rozumie. Uśmiecha się i płacze. Podnoszę dłoń. Trzymam ją na piersi i mówię żegnaj. Przytakuje. Zaciskam dłoń w pięść i mówię wyzdrowiej. Przytakuje. Stoję i patrę na nią i uśmiecham się. Stoi i patrzy na mnie i płacze. Widzę jej oczy. Będę za

nimi tęsknił. Niebieskie jak głęboka woda. Będę za nimi tęsknił.

Odwracam się i odchodzę i światło Szklanego Korytarza zanika, ale nie obraz Lilly. Zachowam ten obraz Lilly piękna Lilly stoi sama i uśmiecha się i płacze w sercu i w umyśle przez resztę życia. Najdroższa Lilly.

Idę Korytarzami i idę do Pokoju. Biorę kurtkę Hanka i małą czarną torbę ze swoimi rzeczami. Wychodzę z Pokoju i idę do Gabinetu Joannę. Pukam. Mówi proszę.

Otwieram drzwi i wchodzę. Joannę i Hank siedzą razem na kanapie. Piją kawę, a Joannę pali papierosa. Joannę uśmiecha się i mówi. Cześć.

Podchodzę do krzesła naprzeciwko.

Cześć.

Siadam. Hank mówi.

Czekaliśmy na ciebie.

Jadłem śniadanie.

Joannę mówi.

Jak było?

Wybornie.

Uśmiecha się.

Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak nazwał tutejszy posiłek. Uśmiecham się.

Tak właśnie było. Wybornie.

Hank mówi.

Gotowy do wyjścia?

Tak.
Boisz się?
Wcześniej tak, ale teraz już nie.
Joannę mówi.
Czego się bałeś?
Wszystkiego.
I co się stało?
Postanowiłem się nie bać.
Tak po prostu?
Tak po prostu.
Podnoszę kurtkę Hanka, rzucam mu ją.
Oddaję kurtkę. Dziękuję, że mogłem w niej
chodzić.
Odrzuca mi ją.
Chcę, żebyś ją sobie zatrzymał.
Odrzucam mu ją.
Dziękuję, ale nie. Ma zostać u ciebie, żebym
miał w czym chodzić, kiedy tu przyjadę.
Zgodzę się pod jednym warunkiem.
Jakim?
Ze przyjedziesz jako abstynent, jako Gość, nie
Pacjent.
Co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości,
Staruszku.
Uśmiecha się.
To jest właśnie mój kurwa Chłopak.
Joannę mówi.
Uważaj, co mówisz, Hank.

Hank odwraca się do niej.

Teraz mogę już przy nim przeklinać. Już nie jest Pacjentem.

Jest Pacjentem, dopóki nie wyjdzie głównymi drzwiami.

Hank odwraca się do mnie.

Przeszkadza ci, że powiedziałem kurwa?

Uśmiecham się.

Bym się kurwa obraził, gdybyś nie powiedział.

Hank śmieje się, klepie się w kolano.

To jest właśnie mój kurwa Chłopak.

Śmieję się. Joannę mówi.

Gotowy do wyjścia?

Tak.

Byłeś już w Recepcji?

Nie.

To powinieneś się zbierać.

Przytakuję jeszcze raz.

Wiem.

Wstaje.

Uściskasz mnie?

Wstaję.

Jasne.

Podchodzę i obejmuję ją. W uścisku jest uczucie i jest szacunek i rodzaj miłości. Uczucie wywodzące się z uczciwości, szacunek wywodzący się z wyzwania i rodzaj miłości, który pojawia się między ludźmi, których umysły się zetknęły, których serca

się zetknęły, których dusze się zetknęły. Nasze umysły się zetknęły. Nasze serca się zetknęły. Nasze dusze się zetknęły.

Odsuwamy się. Hank podchodzi.

Słowa mi nie leżą, Mały.

Obejmuje mnie i ściska mnie tak mocno, że boli. Mam ramiona przyszpilone do boków, więc nie mogę go uściskać, ale on chyba tego nie potrzebuje. Puszczą mnie i odsuwa się i obejmuje jedną ręką Joannę. Mówi.

Spraw, żebyśmy byli z ciebie dumni, Mały.

Postaram się.

Masz się bardziej niż postarać. Masz tu za rok wrócić, żeby włożyć tę pierdoloną kurtkę.

Joannę mówi.

Hank.

Hank patrzy na nią.

To już nie jest Pacjent.

Joannę kręci głową, odwraca się do mnie.

Odzywaj się.

Przytakuje.

Na pewno.

Odwracam się i wychodzę z Gabinetu. Zamykam za sobą drzwi i idę Korytarzami. Idę do Administracji i siadam z Urzędnikiem i wypełniam formularz. Potem podpisuję się na dole strony i to wszystko. Urzędnik mówi, że jestem już wolny.

Wychodzę z Administracji i idę krótkim

Korytarzem. Wchodzę do Recepcji, gdzie w poprzednim życiu siedziałem i czekałem z Rodziną. Mówię cześć Recepcjonistce, a ona mówi mi cześć. Przez okna widzę stojącą przed wejściem szarą furgonetkę Brata, modny, popularny na Przedmieściach model pasażerski. Otwieram drzwi i wychodzę z Kliniki. Jestem wolny.

Mój Brat widzi, jak idę, i otwiera drzwi od strony Kierowcy i wychodzi z furgonetki. Uśmiecha się. Mówi.

I co tam, Koleś?

I co tam, Pojebańcu?

Obejmuje mnie. Obejmuję go. Porządny mocny braterski uścisk.

Mój przyjaciel Kevin wysiada od strony Pasażera. Jest mojego wzrostu, ma krótkie ciemne włosy z przedziałkiem i świeżo zapuszczony brzuch piwosza. Zarabia na życie, sprzedając firmom nieruchomości, ale kiedy nie jest w pracy, ubiera się jak menel. Uśmiecha się i mówi.

Co jest?

Nic. A u ciebie?

Przyjechałem, żeby sprawdzić, czy wszystko gra. Uśmiecham się.

Gra.

Obejmuje mnie. Obejmuję go. Mój Brat mówi.

Gotowy?

No, spadajmy stąd.

Biorę torbę i otwieram drzwi i wsiadam na tylne siedzenie. Kiedy zamykam drzwi, Bob i Kevin siadają z przodu, Bob zapala i ruszamy. Odwracam się i patrzę przez tylną szybę, jak Ośrodek znika w oddali. Jestem wolny. Wolny. Wolny.

Kiedy nie widać już Budynków, odwracam się. Prawie natychmiast zaczyna wzbierać Furia. Jakby poskramiały ją mury Kliniki, jakby moja wolność była jej wolnością, jakby mój formularz był jej formularzem. Atak jest szybki i bezwzględny, choć nie trzęsę się na zewnątrz, trzęsę się w środku.

Kevin odwraca się i patrzy na mnie i mówi.

Jak się czujesz?

Widzę, jak Bob patrzy na mnie w lusterku.

Nie wiem.

Bob mówi.

Co to znaczy?

Nie wiem.

Kevin mówi.

Co robimy?

Chcę pojechać do Knajpy.

Co?

Chcę pojechać do Knajpy.

No chyba sobie kurwa żartujesz.

Nie.

Bob patrzy na mnie w lusterku. Kevin patrzy na Boba, Bob patrzy na Kevina. Na ich twarzach jest niepokój, konsternacja i szok. Bob patrzy na mnie,

kręci głową.

Nie jedziemy do Knajpy.

Ty może nie, ja tak.

Właśnie wyszedłeś z Odwyku.

Idę do Knajpy.

Właśnie wyszedłeś z pierdolonego Odwyku.

Idę do Knajpy. Możecie iść ze mną albo nie, wszystko mi jedno, i nie zawracajcie sobie głowy, próbując mnie powstrzymać. Idę do jebanej Knajpy.

Bob patrzy na Kevina, Kevin na Boba. Kevin wzrusza ramionami, Bob kręci głową. Zapalam papierosa i otwieram okno. Jest zimno, ale podoba mi się powietrze. Jest wolne.

Podróż trwa godzinę. Nikt nic nie mówi. Bob patrzy przez przednią szybę, Kevin patrzy przez okno od strony Pasażera, ja patrzę przez swoje. Co jakiś czas wystawiam głowę, żeby lodowate powietrze posmagało mi twarz. Boli, ale to dobre uczucie, i robię to, bo mogę. Nie ma już żadnych Reguł, których muszę przestrzegać, nie ma Opiekunów i Kierowników i Psychologów domagających się odpowiedzi, mój rozkład dnia i moje czyny znowu należą do mnie. Tak jak to było przed przyjazdem do Kliniki i tak jak to będzie już do końca, odpowiadam wyłącznie przed samym sobą.

Zjeżdżamy z Autostrady do Miasta. Patrzę na zegarek na tablicy rozdzielczej Boba, pokazuje jedenastą trzydzieści. Pytam, czy zna jakiś lokal,

który jest już otwarty, i mówi tak. Mówię, że chciałbym pójść tam, gdzie mają cheeseburgery i stół do bilarda. Nie odpowiada. Tylko patrzy przez przednią szybę.

Furia wezbrała. Jest w pełni sił, więcej niż w pełni sił. Teraz jest inna, w tej chwili wydaje się inna. Wydaje się silniejsza, bardziej spokojna, bardziej cierpliwa. Prostsza i potężniejsza. Jakby była pewna zwycięstwa. Jakby zmaganie ze mną tylko ją wzmocniło. Jakby wiedziała, że znów nadchodzi jej czas, jakby czekała, żeby się uwolnić.

Nie walczę z nią. Nie opieram się. Siedzę i czekam i oczekuję na przybycie do miejsca, w którym czuję się jak w Domu. Siedzę i czekam i oszczędzam siły na to, co nadejdzie, kiedy wejdę do Knajpy. Furia jest silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Siedzę i czekam na to, co nastąpi.

Bob zatrzymuje się na małym Parkingu. Obok Parkingu jest duży Budynek z cegły. Z przodu Budynku są wysokie ciemne okna. Neon informuje Bilard, Barek, Grill.

Wysiadamy z furgonetki. Nie mam żadnych pieniędzy, więc proszę Boba, żeby mi pożyczył. Pyta, ile potrzebuję, i proszę o czterdzieści dolców. Pyta, po co aż tyle, a ja mówię bo tak. Wyciąga z kieszeni portfel i otwiera go i daje mi dwie dwudziestki. Dziękuję mu. Przechodzimy przez Parking. Idziemy po krótkim kawałku chodnika. Podchodzimy do

drzwi i wyciągam rękę i otwieram je. Pokazuję Bobowi i Kevinowi, żeby weszli, gdy są w środku, wchodzę za nimi. Jest ciemno. Przed nami są stoły, długi wytarty dębowy bar biegnie wzdłuż ściany z prawej strony, na końcu baru po lewej stronie jest sala z sześcioma stołami do bilardu. Obok stołów znudzona Kelnerka siedzi przy kasie wpatrzona w zwisający z sufitu telewizor. Za barem Barman siedzi na stołku i czyta gazetę. Żadne z nich nie zwraca na nas uwagi.

Spoglądam na Boba i Kevina. Mówię.

Może skoczycie na partyjkę bilardu?

Brat patrzy na mnie.

Co będziesz robił?

Potrzebuję kilku minut samotności.

Na twarzy ma strach i rozczarowanie. To nie moja sprawa. Nadszedł dzień sądu ostatecznego. Nadszedł dzień Furii.

Odwracam się i podchodzę do baru. Obniżam stołek o połowę wysokości i siadam. Przede mną są lustra i butelki. Lustra biegną od sufitu do półek. Na półkach są rozstawione butelki. Butelki whisky, butelki wódki, butelki ginu. Są butelki rumu, butelki tequili, butelki dziwnych alkoholi z Zagranicy. Są butelki przezroczyste i butelki brązowe, są butelki czerwone i butelki niebieskie, są butelki wielobarwne, zaprojektowane, by cieszyć oko. Niektóre butelki są niskie, niektóre są wysokie,

niektóre są szerokie i niektóre są cienkie. We wszystkich jest alkohol. Stoją przede mną. Jest w nich jebany alkohol.

Spoglądam na Barmana. Mówię.

Przepraszam.

Podnosi wzrok.

Aha.

Można prosić?

Jasne.

Odkłada gazetę i podchodzi. Kiedy stoi przede mną, mówi.

Jak leci?

Nie przyszedłem tu na pogaduchy.

Wstało się lewą nogą?

Nie przyszedłem tu na pogaduchy.

Co podać?

Patrzę na butelki. Piękne butelki z alkoholem. Mój wzrok błądzi, aż się zatrzymuje, unikając lustra, unikając siebie. Patrzę na czarną butelkę. Grubą czarną butelkę z cienką szyjką, w której jest kentucky bourbon. To jest butelka, której najbardziej pragnie Furia, butelka, którą zna najlepiej. Pokazuję ją, patrzę na Barmana i mówię. Poproszę szklanę tego. Dużą szklanę. Nie jakąś tam pipciowatą szklaneczkę do koktajlu, tylko wielką pierdoloną półlitrową szklanę. I ma być wypełniona po brzegi.

To będzie kosztowało.

Kładę na barze czterdzieści dolarów, które

dostałem od Brata. Poproszę.

Barman patrzy na mnie jak na wariata, jakby zastanawiał się, czy dać mi to, co zamówiłem. Wstrzymuję spojrzenie, daję mu do zrozumienia, że nie wyjdę stąd, dopóki mnie nie obsłuży. Odwraca się. Jedną ręką sięga po wysoką cienką półlitrową szklankę, a drugą zdejmuje z półki czarną butelkę.

Patrzę, jak nalewa. Jak w zwolnionym tempie widzę każdą kroplę. Kiedy szklanka jest pełna, odwraca się i stawia ją przede mną. Dziękuję.

Jakby co, to jestem tam.

Dzięki.

Wraca do gazety. Patrzę na szklankę. Furia wyrywa się ze swojej ciszy drze się wniebó-kurwa-głosy jest silniejsza niż kiedykolwiek. Wrzeszczy jesteś mój Skurwysynu. Jesteś mój i zawsze będziesz mój. Jesteś mój Skurwysynu. Patrzę na szklankę.

Kładę dłonie na barze. Kładę je po obu stronach szklanki. Nie dotykają jej, ale są blisko. Na tyle blisko, że jeżeli podejmę decyzję, to łatwo będzie po nią sięgnąć. Nachylam się. Kiedy mój nos zbliża się do mocnego brązowego alkoholu, czuję opary unoszące się nad jego połyskującą powierzchnią. Rozwścieczają mnie. Sprawiają, że Furia drze się głośniej. Drażnią mnie. Przyciągają mnie.

Zamykam oczy. Zatrzymuję się, kiedy czubek nosa dotyka płynu. Zamykam usta i biorę głęboki oddech i nadchodzi nadchodzi nadchodzi. Z całą siłą.

Piękny aromat zapomnienia. Paskudny fetor Piekła. Przyprawia mnie o dreszcze, wstrząsa mną. W środku i na zewnątrz niszczy mnie i umacnia. Choć nie zetknął się z moimi ustami ani nie dostał się do mojego ciała, czuję go. Jak słodki mocny węgiel drzewny zmieszany z gorzką benzyną. Kurwa czuję go.

Czas się zatrzymuje. Nie ruszam się. Siedzę z czubkiem nosa w szklance wypełnionej alkoholem. Oddycham. Głębokie pogłębione oddechy. Do samego środka i z powrotem. Podnosi się, kiedy wdycham, marszczy, kiedy wydecham. Czuję jego zapach i czuję jego smak i czuję go. W środku i na zewnątrz.

Furia wrzeszczy podnieś podnieś podnieś. Furia wrzeszczy wypij wypij wypij. Furia wrzeszczy jeszcze jeszcze jeszcze jeszcze jeszcze. Furia wrzeszczy pragniesz potrzebujesz musisz wypić nie możesz żyć bez jesteś mój Skurwysynu podnieś wypij daj mi albo pożałujesz. Jeszcze jeszcze jeszcze jeszcze jeszcze.

Otwieram oczy. Widzę przejrzysty bursztynowy brąz, czubek swojego zanurzonego nosa, brzeg szklanki. Zaczynam powoli podnosić głowę. Patrzę prosto przed siebie, wzrok utkwiony i skupiony, bez jednego mrugnięcia. Płyn znika z pola widzenia, brzeg szklanki znika. Widzę półki i butelki, brzeg lustra. Podnoszę wzrok widzę kawałek brody, usta,

nos. Podnoszę wzrok. Widzę kawałek oka, rzęsę, otaczającą biel. Podnoszę wzrok. Widzę bladą zieleń. Prosto przed sobą. Utkwiony i skoncentrowany. Bez mrugnięcia.

Patrzę w siebie. We własne oczy. Przede mną stoi szklanka alkoholu. Choć już jej nie widzę, wiem, że tam jest. Obejmuję ją. Moje dłonie są wokół szklanki. Patrzę w siebie. W bladą zieleń swoich oczu.

Furia wrzeszczy. Wrzeszczy jak nigdy wcześniej. Jej wrzask jest silniejszy i potężniejszy, pełen wściekłości i żądz, wrogości i głodu. Wrzeszczy, żebym podniósł szklankę. Podnieś pierdoloną szklankę. Muszę podjąć decyzję. To prosta decyzja. Nie ma nic wspólnego z Bogiem ani Dwunastką czegokolwiek oprócz dwunastu uderzeń mojego serca. Tak czy nie. To prosta decyzja. Tak czy nie.

Patrzę w siebie. W bladą zieleń swoich oczu. Podoba mi się to, co widzę. Jestem z tego zadowolony. Mój wzrok jest utkwiony i skupiony. Bez jednego mrugnięcia. Po raz pierwszy w życiu, gdy patrzę sobie w oczy, podoba mi się to, co widzę. Mogę z tym żyć. Chcę z tym żyć. Długo. Chcę z tym żyć. Chcę żyć.

Furia wrzeszczy wniebo-kurwa-głosy. Błada Zieleń spokojnie mówi. Mówi jesteś mój Skurwysynu. Jesteś mój i zawsze będziesz mój. Od

dzisiaj to ja nad tobą panuję, ja mam nad tobą kontrolę i będziesz robił to, co ci powiem. Od dzisiaj to ja podejmuję pierdolone decyzje. Jesteś mój i zawsze będziesz mój. Jesteś mój Skurwysynu. Puszczam szklanę. Spoglądam na Barmana. Siedzi na stołku i czyta gazetę. Mówię.

Można?

Podnosi wzrok.

Aha.

Zabieraj mi to gównno.

Co?

Pokazuję na szklanę.

Wypierdol ten szajs to jebanego zlewu. Nie mam na to ochoty.

Przez chwilę patrzy na mnie jak na wariata. Wstrzymuję spojrzenie i daję mu do zrozumienia, że nie jestem wariatem. Wstaje i zaczyna iść w moją stronę. Wstaję i odchodzę. Zostawiam na barze szklanę, a obok niej dwie dwudziestki.

Idę do sali ze stołami do bilardu. Mój Brat Bob i mój przyjaciel Kevin kończą partię. Na stole została jedna pełna bila, jedna połówka i ósemka w rogu. Siadam na stołku przy ścianie. Obok stołka jest stół, a na nim popielniczka. Zapalam papierosa.

Kiedy Brat szykuje się do wbicia, zauważa mnie kątem oka. Podnosi wzrok i mówi.

W porządku?

Aha.

Co tam robiłeś?

Nic.

Piłeś coś?

Nie.

To po co zamówiłeś?

To było coś, co musiałem zrobić.

Ale tego nie tknąłeś?

Tknałem i powąchałem i poczułem, ale nie wypilem. Skończyłem z piciem. Nigdy więcej tego nie zrobię.

Uśmiecha się.

Gratuluje, Stary.

Uśmiecham się.

Dzięki.

Kiedy Brat szykuje się do wbicia, pytam, czy mogę zagrać z Wygranym. Kevin pyta, kiedy ostatni raz grałem, a ja mówię, że dawno temu. Pyta, czy jestem gotowy, a ja uśmiecham się i mówię, że tak. Pyta jeszcze raz, chce się upewnić. Mówię tak, jestem gotowy. Tak, jestem gotowy.

Michael wrócił do pracy na uniwersytecie. Trzy tygodnie później został aresztowany za nakłanianie do czynu nierządowego i posiadanie cracku. Zginął od samobójczego postrzału.

Roy zaatakował dwójkę Dzieci kijem baseballowym. Został skazany na trzydzieści do pięćdziesięciu lat w Zakładzie Karnym dla Umysłowo Chorych w Wisconsin.

Warren wypadł po pijanemu z kutra na Florydzie. Jego ciała nie odnaleziono.

Łysol zaczął pić osiem tygodni po wyjściu. Zona wyrzuciła go z domu, miejsce jego pobytu nie jest znane.

Ciało Bobby'ego zostało znalezione w New Jersey. Został zabity strzałem w tył głowy.

John został złapany z czternastoma uncjami kokainy w San Francisco. Odsiaduje dożywocie bez możliwości zwolnienia warunkowego w więzieniu stanowym San Quentin w Kalifornii.

Ed został śmiertelnie pobity podczas burdy w Knajpie w Detroit.

Ted został zatrzymany w Missisipi. Odsiaduje dożywocie bez możliwości zwolnienia warunkowego w więzieniu Angola State Farm w Luizjanie.

Matty został zastrzelony obok Palarni Cracku w Minneapolis.

Miles żyje i ma się dobrze i w dalszym ciągu jest Sędzią. Jest nadal żonaty, ma drugie Dziecko, Córkę o imieniu Ella, i nigdy nie wrócił do nałogu.

Leonard wrócił do Los Angeles i przeszedł na emeryturę. Później zmarł w wyniku komplikacji związanych z AIDS. Do końca życia nie wziął narkotyków. Nigdy nie wrócił do nałogu.

Lilly popełniła samobójstwo przez powieszenie w Ośrodku Resocjalizacji w Chicago. Jej Babcia umaria dwa dni wcześniej. Lilly została znaleziona

martwa tego ranka, kiedy James wyszedł z Aresztu. Prawdopodobnie do końca życia nie wzięła narkotyków.

Lincoln nadal pracuje w Klinice.

Ken nadal pracuje w Klinice.

Hank i Joannę się pobrali. Obydwoje nadal pracują w Klinice. James nigdy nie wrócił do nałogu.

Mamo i Tato dziękuję wam za wszystko, dziękuję wam Mamo i Tato. Dziękuję wam Bracie Bobie i Bratowo Lauro. Dziękuję ci Mayu, kocham cię Najdroższa Mayu. Dziękuję ci Kassie Evashevski. Dziękuję ci Seanie McDonaldzie. Dziękuję ci Nan Talese. Dziękuję ci Davidzie Krintzmanie. Dziękuję wam Pastorze i Bello, moi mali Przyjaciele. Dziękuję wam Stuarcie Hawkinsie, Elizabeth Sosnow, Kevinie Yornie, Amarze Douglasie Rao, Michaelu Cravenie, Quinnie Yanceyu, Christianie Yanceyu, Ingrid Sisson, Johnie Von Brachelu, Helen Modey, Jean Josephie Jr. , Joshuo Dorfmanie, Danielu Glasserze, Mervinie Klotzu, Colleen Silvio, Eben Strousse, Chrisie Wardwellu. Dziękuję wam Theo, Rigo, Jose i Chłopaki z Kawiarni na rogu. Dziękuję ci Phillipie Morrisie. Dziękuję wam Andrew Barashu i Keith Brayu. Dziękuję wam Kirku, Julie i Kevinie. Dziękuję wam Lilly, Leonardzie, Milesie. Kocham was i dziękuję.

